

ŚWIATOWY BESTSELLER

PATRICIA
CORNWELL



CZARNA
KARTKA

Prószyński i S-ka

PATRICIA CORNWELL

CZARNA KARTKA

(Black Notice)

Przełożyła: Magdalena Jakóbczyk



Prószyński i S-ka

2002

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Motto

6 grudnia, 1996

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Ninie Salter
Woda i słowa

*A trzeci wylał czasę swoją na rzeki i źródła wód:
i przemieniły się w krew.*
Objawienie św. Jana 16,4

BW

6 grudnia, 1996
Epworth Heights
Luddington, Michigan

Moja najdroższa Kay,

Siedzę na werandzie, patrzę na jezioro Michigan, a ostry wiatr uświadamia mi, że powinienem się ostrzec. Przypominam sobie, jak byliśmy tu po raz ostatni, zapominając na krótką, ale cenną chwilę w naszej wspólnej historii, kim i czym jesteśmy. Kay, musisz mnie wysłuchać.

Czytasz to dlatego, że ja nie żyję. Kiedy postanowiłem to napisać, poprosiłem senatora Lorda, aby osobiście doręczył Ci ten list na początku grudnia, rok po mojej śmierci. Wiem, jak trudnym okresem było zawsze dla Ciebie Boże Narodzenie, a teraz musi być nie do zniesienia. Moje życie zaczęło się od pokochania Ciebie. Teraz się skończyło, ale Twoje dalsze życie jest prezentem od Ciebie dla mnie.

Oczywiście nie zajmowałaś się tą cholerną sprawą, Kay. Pędziłaś jak diabli na kolejne miejsca zbrodni i przeprowadzałaś więcej sekcji niż kiedykolwiek. Pochłonięta byłaś sądem i prowadzeniem instytutu, wykładami, martwieniem się o Lucy, wściekaniem się na Marina, unikaniem sąsiadów i strachem przed nocą. Nie wzięłaś urlopu ani zwolnienia lekarskiego, choćbyś tego nie wiem jak potrzebowała.

Czas, abyś przestała uciekać przed bólem i dała się pocieszyć. Potrzymaj mnie za rękę w wyobraźni i przypomnij sobie te wszystkie razy, kiedy rozmawialiśmy o śmierci, nie przyjmując do wiadomości, że jakakolwiek choroba, wypadek czy akt przemocy posiadają siłę zdolną do całkowitego unicestwienia, ponieważ nasze ciała są zaledwie ubraniami, jakie nosimy. A my jesteśmy czymś znacznie więcej.

Kay, chcę, żebyś uwierzyła, że gdy to czytasz, jestem w pewien sposób przy Tobie, jakoś nad Tobą czuwam i że wszystko będzie dobrze. Chcę, abyś zrobiła dla mnie jedną rzecz, żeby uczcić życie, które wspólnie prowadziliśmy i które się nigdy nie skończy. Zadzwoń do Marina i Lucy. Zaproś ich dziś wieczorem na kolację. Przygotuj im jakąś swoją specjalność i zachowajcie jedno miejsce dla mnie.

Kocham cię na zawsze, Kay,
Benton

Rozdział 1

Przedpołudnie jaśniało błękitnym niebem i kolorami jesieni, ale nie były one dla mnie. Słońce i piękno należały teraz do innych ludzi, a moje życie stało się puste, bez radości. Patrzyłam przez okno na sąsiada grabiącego liście i czułam się bezradna, załamana i skończona.

Słowa Bentona wskrzesiły wszystkie przerażające obrazy, o których starałam się zapomnieć. Zobaczyłam oświetlone strumieniem światła splekane od żaru ludzkie szczątki leżące w błocie i w wodzie. Znow przeżywałam wstrząs, gdy niewyraźne kształty okazały się spaloną głową bez rysów twarzy, jedynie z kępkami srebrnych włosów, pokrytych sadzą.

Siedziałam przy stole w kuchni, popijając gorącą herbatę, którą mi zaparzył senator Frank Lord. Byłam wykończona i miałam pustkę w głowie po atakach nudności, które dwa razy popędziły mnie do łazienki. Czułam się upokorzona, bo najbardziej w świecie obawiałam się utraty kontroli nad własnym ciałem, a właśnie to mi się przydarzyło.

– Będę znów musiała zgrabić liście – powiedziałam bez sensu do starego przyjaciela. – Szósty grudnia, a pogoda jak w październiku. Popatrz, Frank, jakie duże żołądźcie. Zauważyłeś? Podobno oznacza to wielkie mrozy, ale na razie nic nawet nie zapowiada zimy. Nie pamiętam, czy w Waszyngtonie macie żołądźcie.

– Mamy – odpowiedział. – Jeżeli się uda znaleźć parę drzew.

– A są duże? Znaczą żółędzie.

– Na pewno sprawdzę, Kay.

Ukryłam twarz w dłoniach i zapłakałam. Wstał od stołu i podszedł do mojego krzesła. Senator Lord i ja wychowywaliśmy się w Miami i chodziliśmy do szkoły w tej samej parafii, chociaż ja byłam w liceum Świętego Brendana tylko rok i to długo po nim. A jednak owo dość odległe skrzyżowanie naszych szlaków stanowiło wstęp do tego, co czekało nas później. Kiedy on był prokuratorem okręgowym, ja pracowałam w Urzędzie Koronera hrabstwa Dade i często zeznawałam w jego sprawach. Kiedy został wybrany senatorem Stanów Zjednoczonych, a następnie mianowany przewodniczącym komisji prawnej, ja awansowałam na głównego koronera Wirginii i zaczął do mnie wpadać, żeby porozmawiać o walce z przestępczością.

Zdumiałam się, kiedy do mnie zadzwonił wczoraj i powiedział, że przyjedzie, aby coś mi przekazać. Prawie nie spałam całą noc. Byłam roztrzęsiona, gdy wszedł do mojej kuchni i wręczył mi wyjętą z kieszeni zwykłą białą kopertę.

Gdy siedziałam z nim teraz, wydawało mi się oczywiste, że Benton tak mu zaufał. Wiedział, że senator Lord bardzo mnie lubi i nigdy mnie nie zawiedzie. Jakie to typowe dla Bentona, że obmyślił plan, który dokładnie wykonano, mimo że on sam nie mógł tego dopilnować. Typowe, że przewidział moje zachowanie po jego śmierci i każde słowo w liście było prawdziwe.

– Kay – odezwał się senator Lord, stając za moim krzesłem, gdy tak siedziałam i płakałam. – Wiem, jakie to wszystko musi być trudne, i chciałbym móc coś dla ciebie zrobić. Jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie w życiu mi się przytrafiły, było obiecanie Bentonowi, że ci to oddam. Miałem nadzieję, że ten dzień nigdy nie nadejdzie, ale nadszedł i jestem tu

u ciebie. – Zamilkł na chwilę, a później dodał: – Nikt mnie jeszcze nie prosił o coś takiego, a proszono mnie o wiele rzeczy.

– On nie był taki, jak inni – odpowiedziałam cicho, zmuszając się do spokoju. – Wiesz o tym, Frank. Dzięki Bogu, wiesz.

Senator Lord był imponującym mężczyzną i emanował godnością odpowiednią do swego stanowiska. Miał gęste szare włosy i intensywnie niebieskie oczy, był wysoki, smukły i ubierał się w typowe konserwatywne ciemne garnitury ze śmiałym krawatem. Nosił spinki przy mankietach, kieszonkowy zegarek i spinę w krawacie.

Wstałam z krzesła i zrobiłam głęboki wdech. Wyciągnęłam kilka chusteczek z pudełka i wytarłam twarz i nos.

– Bardzo miło z twojej strony, że tu przyjechałeś – powiedziałam.

– Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić? – spytał ze smutnym uśmiechem.

– Zrobiłeś dosyć, przyjeżdżając tutaj. Musiałeś mieć z tym mnóstwo kłopotu. Twój rozkład zajęć i w ogóle wszystko...

– Przyznaję, że przyleciałem z Florydy, bo zajrzałem też do Lucy. Robi tam rzeczywiście wspaniałą robotę.

Lucy, moja siostrzenica, pracowała w Biurze do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej, ATF. Ostatnio przydzielono ją do oddziału w Miami i nie widziałam jej od kilku miesięcy.

– Czy wie o liście? – spytałam.

– Nie – odpowiedział, spoglądając przez okno na piękny dzień. – Myślę, że to ty powinnaś zadzwonić. Poza tym ona czuje się trochę przez ciebie zaniedbywana.

– Przeze mnie? – zdumiałam się. – To jej nie można złapać. Ja przynajmniej nie działam w ukryciu, polując na handlarzy bronią i inne takie typki. Nawet nie może ze mną rozmawiać, jeśli nie jest w kwaterze głównej lub nie dzwoni z automatu.

– Ciebie też niełatwo znaleźć. Zrobiłaś się zupełnie inna od śmierci Bentona. Brak ci energii do działania i chyba tego nie zauważasz – odrzekł.
– Wiem coś o tym. Ja też próbowałem się z tobą kontaktować, prawda?

Znów łzy napłynęły mi do oczu.

– A jeśli już udaje mi się cię złapać, to co słyszę? „Wszystko w porządku. Po prostu jestem zajęta”. Nie mówiąc o tym, że sama ani razu do mnie nie przyszłaś. Kiedyś, w dawnych czasach, przynosiłaś mi nawet którąś ze swoich słynnych zup. Nie dbasz o tych, którzy cię kochają. Nie dbasz też o siebie.

Parę razy spojrział ukradkiem na zegarek. Wstałam.

– Czy wracasz na Florydę? – spytałam niepewnym głosem.

– Niestety nie. Jadę do Waszyngtonu. Będę znów występował w „Przed narodem”. Mierzi mnie to wszystko, Kay.

– Chciałabym ci jakoś pomóc.

– To jest brudna robota, Kay. Żeby niektórzy ludzie wiedzieli, że jestem teraz sam z tobą w pustym domu, rozpuściliby jakieś obrzydliwe plotki.

– Wobec tego żałuję, że przyjechałeś.

– Nic by mnie nie powstrzymało. Ale nie powinienem marudzić na temat Waszyngtonu. Masz dosyć kłopotów.

– Mogę w każdej chwili zaświadczyć o twoim nieposzlakowanym charakterze – oznajmiłam.

– Pewnie by nie pomogło, gdyby do tego doszło.

Prowadziłam go poprzez mój idealny dom, który sama zaprojektowałam, obok wspaniałych mebli, dzieł sztuki, kolekcji starych instrumentów medycznych, po kolorowych dywanach i podłodze z twardego drewna. Wszystko było dokładnie w moim stylu, ale nie tak, jak w czasach, gdy mieszkał tu Benton. Nie zwracałam teraz uwagi na dom, podobnie jak i na siebie. Nie dbałam o swoje życie i było to widać na każdym kroku.

Senator Lord zauważył moją otwartą aktówkę, leżącą na kanapie w dużym pokoju, teczki ze sprawami, pocztę i pisma, rozrzucone na szklanym stoliku, i notesy na podłodze. Poduszki były pogniecione, a popielniczka brudna, bo znów zaczęłam palić. Nie prawil mi kazań.

– Kay, czy rozumiesz, że będę musiał teraz ograniczyć swoje kontakty z tobą? – spytał. – Z powodu tego, do czego właśnie nawiązałem.

– Boże, spójrz na tę chałupę – rzuciłam ze wstrętem. – Chyba już sobie nie daję rady.

– Krążą plotki – ostrożnie ciągnął temat. – Nie będę ich powtarzał. Takie zawołowane insynuacje. – W jego głosie zabrzmiał gniew. – Tylko dlatego, że jesteśmy przyjaciółmi.

– A taka byłam porządnicka. – Roześmiałam się smutno. – Wciąż się ścieraliśmy z Bentonem na temat mojego domu, tego gówna. Mojego wspaniale zaprojektowanego, doskonale urządzonego gówna. – Mówiłam coraz głośniejsz, w miarę jak narastały we mnie żal i wściekłość. – Jeżeli coś przestawił albo włożył do niewłaściwej szufladki... Tak się dzieje, kiedy człowiek dochodzi do wieku średniego, mieszkając sam, i robi wszystko, kurczę, jak mu się podoba.

– Kay, czy ty mnie słuchasz? Nie chciałbym, żebyś uważała, że mnie nie obchodzisz, jeśli nie będę zbyt często telefonował, albo nie zaproszę cię na obiad ani nie poproszę o radę w sprawie jakiejś ustawy, którą spróbuję przepchnąć.

– Teraz nawet nie pamiętam, kiedy Tony i ja się rozwiedliśmy – powiedziałam z goryczą. – Kiedy? W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim? Odszedł. No i co? Nie potrzebowałam ani jego, ani żadnego z jego następców. Mogłam sobie urządzać własny świat, jak chciałam. I robiłam to. Moja kariera, moje rzeczy, moje inwestycje. I patrz. – Wciąż stojąc w holu, zatoczyłam ręką łuk, wskazując na swój piękny dom i wszystko, co

się w nim znajdowało. – I co z tego? No co, do cholery? – Spojrzałam senatorowi w oczy. – Benton mógłby wyrzucić śmieci na środek tego zasranego domu! Żałuję tylko, że takie rzeczy miały kiedyś znaczenie, Frank. – Otarłam łzy wściekłości. – Chciałabym wszystko cofnąć i nigdy go za nic nie krytykować. Pragnę tylko go tutaj mieć. Boże, jak bardzo! Codziennie rano budzę się, nie pamiętając, a potem znów to mnie uderza i ledwo mogę wstać.

Po twarzy płynęły mi łzy. Czułam, jakby wszystkie nerwy w moim ciele się poskręcały.

– Benton czuł się z tobą bardzo szczęśliwy – powiedział łagodnie senator Lord. – Byłaś dla niego wszystkim. Opowiadał mi, jaka jesteś dobra, jak rozumiesz jego kłopoty, te wszystkie okropności, które musiał oglądać, gdy pracował nad ohydnyimi przypadkami w FBI. Myślę, że gdzieś w głębi serca zdajesz sobie z tego sprawę. – Wzięłam głęboki oddech i oparłam się o drzwi. – I wiem, że chciałby, żebyś była szczęśliwa, żebyś miała lepsze życie. Jeśli tak się nie stanie, to efekt końcowy miłości do Bentona Wesleya okaże się szkodliwy. Okaże się, że zrujnował ci życie, czyli był pomyłką. Czy ma to jakiś sens?

– Tak – odpowiedziałam. – Oczywiście. Dokładnie wiem, czego on by teraz chciał. I czego ja pragnę. Nie. chcę, żeby było tak jak teraz. To już prawie nie do zniesienia. Czasem myślę, że się po prostu rozpadnę i wyląduję gdzieś na oddziale psychiatrycznym albo w moim własnym cholernym prosektorium.

– Nie, nie wylądujesz. – Ujął moją rękę w dłonie. – Jeżeli mógłbym coś o tobie powiedzieć, to na pewno mimo wszystkich trudności przewycięzysz ten stan. Zawsze zwyciężałaś, tylko ten odcinek twojej podróży jest po prostu najtrudniejszy, ale po nim nastąpi lepsza droga. Obiecuję ci, Kay.

Objęłam go mocno.

– Dziękuję – szepnęłam. – Dziękuję, że to zrobiłeś, że nie zostawiłeś tego listu gdzieś wśród papierów, zapomnianego.

– Zadzwonisz, jeśli będziesz mnie potrzebowała? – zapytał rozkazującym tonem, kiedy otwierałam mu drzwi. – Ale pamiętaj, co powiedziałem, i nie czuj się zaniedbywana.

– Rozumiem.

– Natychmiast się zjawię, gdy tylko dasz mi znać. Nie zapominaj o tym. W moim biurze zawsze wiedzą, gdzie jestem.

Popatrzyłam za odjeżdżającym czarnym lincolnem, a potem weszłam do dużego pokoju i rozpałam w kominku, chociaż wcale nie było zimno.

Koniecznym potrzebowałam czegoś ciepłego i żywego, co wypełniłoby mi pustkę po wyjeździe senatora Lorda. Czytałam list Bentona wciąż od nowa, aż usłyszałam w wyobraźni jego głos. Zobaczyłam go z podwiniętymi rękawami, ukazującymi widoczne żyły na rękach. Trzymał w dłoni srebrne pióro Mont Blanc, które mu podarowałam bez żadnej specjalnej okazji, lecz dlatego, że było proste i czyste, jak on. Łzy kapały mi bezustannie i musiałam unieść kartkę z jego inicjałami, żeby nie rozmazać liter.

Jego sztuka przelewania myśli na papier zawsze była doskonała i teraz te słowa stały się dla mnie jednocześnie pociechą i udręką, gdy je po raz kolejny studiowałam i badałam, szukając jeszcze jakiegoś ukrytego znaczenia. Chwilami zaczynałam wierzyć, że chciał mi między wierszami powiedzieć, że jego śmierć nie jest prawdziwa i stanowi jedynie część jakiegoś planu FBI czy CIA, czy Bóg wie kogo. Za moment jednak powracałam do okrutnej rzeczywistości. Benton był torturowany i zamordowany. Test kodu genetycznego, karty stomatologów i rzeczy osobiste potwierdzały tożsamość nierozpoznawalnych szczątków.

Zacząłam się zastanawiać, jak mogłabym zrealizować dziś wieczorem jego prośbę, ale nie widziałam możliwości. Trudno sobie wyobrazić, żeby Lucy przyleciała na kolację z Florydy do Richmondu w stanie Wirginia. Podniosłam słuchawkę i starałam się z nią połączyć choćby dlatego, że Benton tego sobie życzył. Mniej więcej po piętnastu minutach oddzwoniła z telefonu komórkowego.

– Dowiedziałam się z biura, że mnie szukasz. O co chodzi? – spytała radośnie.

– Trudno to wyjaśnić – zaczęłam. – Wolałabym nie szukać twojego biura terenowego zawsze, kiedy chcę cię złapać.

– Ja też.

– I wiem, że nie mogę dużo powiedzieć... – Znow zaczęłam się podłamywać.

– Co się stało? – przerwała.

– Benton napisał list...

– Porozmawiamy kiedy indziej. – Znow przerwała i zrozumiałam, tak mi się w każdym razie wydało, że telefony komórkowe są niepewne.

– Zawróć tutaj – powiedziała do kogoś Lucy. – Przepraszam – znow odezwała się do mnie. – Zatrzymujemy się w Los Bobos, żeby sobie strzelić coladę.

– Co takiego?

– Wysokiej próby kofeinę z cukrem w szklaneczce.

– Posłuchaj, to jest coś, co chciał, żebyś przeczytała właśnie dzisiaj. Chciał, żebyś... A zresztą nic takiego, to głupie. – Starałam się mówić takim tonem, jakbym się już pozbierała.

– Muszę lecieć – powiedziała Lucy.

– Może zadzwonisz później?

– Starczy. – Znow usłyszałam ten jej irytujący ton.

– Z kim jesteś? – Przedłużałam rozmowę, bo nie chciałam się rozłączyć, mając w uszach ten głos pełen chłodu.

– Z partnerką z zespołu.

– Powiedz jej cześć ode mnie.

– Mówi ci cześć – usłyszałam.

Lucy powtórzyła to Jo, jej partnerce z DEA, agencji do walki z narkotykami. Działały razem w grupie HIDTA, do której zadań należały bardzo niebezpieczne naloty na domy handlarzy. Jo i Lucy były partnerkami również w inny sposób, ale zachowywały się tak dyskretnie, że chyba nikt w APT i DEA niczego nie wiedział.

– Później – odpowiedziała mi Lucy i połączenie się przerwało.

Rozdział 2

Kapitan richmondzkiej policji Pete Marino i ja znaleźliśmy się od tak dawna, że czasem wydawało się, że czytamy w swych myślach. Nie zdziwiłam się więc specjalnie, kiedy zatelefonował do mnie, nim udało mi się go odszukać.

– Wydajesz się oklapnięta – powiedział. – Jesteś przeziębiona?

– Nie – odrzekłam. – Dobrze, że się odezwałeś, bo właśnie miałam dzwonić do ciebie.

– Ach tak?

Poznałam, że pali, siedząc albo w swojej półciężarówce, albo w samochodzie policyjnym. W obu miał zainstalowany radiotelefon i skanery, które w tej chwili robiły dużo hałasu.

– Gdzie jesteś? – spytałam.

– Krążę dookoła, słucham skanera – odpowiedział, jakby miał opuszczony dach i miło spędzał dzień. – Liczę godziny do emerytury. Czy życie nie jest wspaniałe? Do szczęścia brakuje mi tylko śpiewu ptaszków.

Jego ironia była oczywista.

– Co cię ugryzło?

– Przypuszczam, że już wiesz o jednym sztywnym, którego znaleźli w porcie – odrzekł. – Mówią, że ludzie tam na miejscu rzygają. Dobrze, że to nie moja pieprzona sprawa.

Nie mogłam się skupić. Nie wiedziałam, o czym mówi. Odezwał się sygnał telefonu czekającego na połączenie. Przełożyłam bezprzewodowy telefon do drugiego ucha, idąc do gabinetu, i usiadłam przy biurku.

– Jaki sztywny? – spytałam. – Marino, nie wyłączaj się – poprosiłam, bo sygnał „czeka na połączenie” się powtórzył. – Zobaczę, kto to. Zaczekaj. – Włączyłam przycisk. – Scarpetta – powiedziałam.

– Tu Jack – odezwał się Jack Fielding, mój zastępca. – Znaleźli ciało w kontenerze towarowym w porcie. W stanie rozkładu.

– Przed chwilą Marino mi powiedział.

– Masz głos, jakbyś złapała grypę. Ja chyba też zaczynam chorować. A Chuck przyjdzie później, bo nie czuje się zbyt dobrze. W każdym razie tak mówi.

– Czy ten kontener właśnie wyładowali z jakiegoś statku? – przerwałam mu.

– Z „Syriusza”. Tak, jak ta gwiazda. Jakaś dziwna sprawa. Jak mam to załatwić?

Zaczęłam coś notować, jeszcze bardziej niewyraźnie niż zwykle, a mój centralny układ nerwowy funkcjonował równie niewyraźnie.

– Ja pojadę – odpowiedziałam, a w głowie brzmiały mi jeszcze słowa Bentona. Już pędziłam, może tylko trochę prędeziej niż zwykle.

– Nie musisz pani tego robić, pani doktor – oświadczył Fielding, jakby to on był moim przełożonym. – Ja tam pojadę. Masz dziś wolny dzień.

– Z kim się skontaktować, kiedy tam dotrę? – pytałam. Nie chciałam, żeby znów zaczynał.

Fielding błagał mnie od miesięcy, żebym wzięła wolne, wyjechała gdzieś na tydzień czy dwa, a nawet zrobiła sobie urlop na cały rok. Zmęczyło mnie już to, że ludzie patrzą na mnie z troską. Złościły mnie aluzje, że śmierć Bentona miała wpływ na moje zachowanie w pracy, że

zaczęłam się izolować od współpracowników i znajomych, że wyglądałam na zmęczoną i roztargnioną.

– Zawiadomiła nas detektyw Anderson. Jest tam na miejscu – ciągnął dalej Fielding.

– Kto?

– Chyba nowa. Naprawdę, ja to załatwię. Zrób sobie przerwę i zostań w domu.

Zdałam sobie sprawę, że Marino wciąż czeka. Włączyłam się z powrotem, żeby mu powiedzieć, że zadzwonię, gdy tylko rozłączę się z biurem, ale już go nie było.

– Powiedz, jak się tam dostać – zwróciłam się do swego zastępcy.

– Rozumiem, że nie chcesz posłuchać mojej dobrej rady.

– Wyjeżdżam z domu autostradą śródmiejską, a dalej jak?

Dał mi wskazówki. Wyłączyłam się i popędziłam do sypialni z listem Bentona w ręku. Nie miałam pomysłu, gdzie go schować. Nie mogłam włożyć tak po prostu do szuflady albo szafki na dokumenty. Nie daj Boże, bym go zgubiła albo żeby sprzątaczką zobaczyła kopertę, nie chciałam też wpaść na ten list przypadkowo i znów się rozkleić. Serce mi waliło, adrenalina szalała we krwi, gdy patrzyłam na sztywną, kremową kopertę, na której Benton napisał starannym, wyraźnym pismem „Kay”.

W końcu zdecydowałam się na mały ognioodporny sejf przyśrubowany do podłogi w mojej szafie ściennej. Rozpaczliwie usiłowałam sobie przypomnieć, gdzie mam zapisane numery kombinacji.

– Cholera, zupełnie tracę głowę! – wykrzyknęłam głośno. Kombinacja znajdowała się tam, gdzie zawsze, między stronami 670 a 671 siódmego wydania „Medycyny tropikalnej”. Zamknęłam list w sejfie, a potem poszłam do łazienki i ochlapałam sobie twarz zimną wodą. Zadzwoniłam

do mojej sekretarki i poprosiłam, żeby zamówiła karetkę do transportu zwłok za około półtorej godziny do portu Richmond.

– Uprzedź ich, że ciało jest w bardzo złym stanie – zaznaczyłam.

– Jak się pani tam dostanie? – zmartwiła się Rose. – Radziłabym, żeby pani najpierw przyjechała tutaj i wzięła samochód, ale Chuck go zabrał na wymianę oleju.

– Myślałam, że jest chory.

– Pojawił się piętnaście minut temu i odjechał suburbanem.

– Dobrze, pojedę swoim prywatnym autem. Rose, będę potrzebowała lampę Luma-Lite i przedłużacz o długości trzydziestu metrów. Niech ktoś czeka z tym na mnie na parkingu. Zadzwoń, gdy będę dojeżdżała.

– Powinna pani wiedzieć, że Jean się wściekła.

– Co się stało? – spytałam, zdziwiona.

Jean Adams była kierowniczką biura i rzadko okazywała emocje, zwłaszcza negatywne.

– Zginęły pieniądze składkowe na kawę. Wie pani, to już nie pierwszy raz...

– Do diabła! Gdzie leżały?

– Jak zwykle, zamknięte w szufladzie jej biurka. Nie wygląda na to, że ktoś na siłę sforsował zamek, a kiedy dzisiaj podeszła do biurka i otworzyła szufladę, pieniędzy po prostu nie było. Sto jedenaście dolarów i trzydzieści pięć centów.

– Trzeba z tym skończyć – oświadczyłam.

– Nie wiem, czy pani słyszała o poprzednich kradzieżach – ciągnęła Rosie. – Zaczęły ginąć drugie śniadania z pokoju rekreacyjnego, a w zeszłym tygodniu Cleta przez przypadek zostawiła na noc telefon komórkowy na biurku i też znikł. Podobna sprawa przydarzyła się

doktorowi Rileyowi. Zostawił piękne pióro w kieszeni fartucha, a następnego dnia pióra nie ma.

– A ekipa, która sprząta wieczorami?

– Może – zgodziła się Rose. – Ale coś pani powiem, pani doktor, chociaż nie chcę nikogo oskarżać. Wydaje mi się, że to chyba robota kogoś od nas.

– Masz rację, nie powinniśmy z góry nikogo oskarżać. A są dziś jakieś dobre wiadomości?

– Na razie nie – odpowiedziała rzeczowo.

Rose pracowała u mnie, odkąd zostałam naczelnym koronerem, a więc kierowała moim życiem przez większość mojej kariery zawodowej. Posiadała cudowną właściwość orientowania się we wszystkim, co się wokół niej dzieje, nie dając się wciągnąć w sprawę osobiście. Moja sekretarka pozostawała nieskalana i chociaż pracownicy trochę się jej bali, była pierwszą osobą, do której biegli, gdy pojawiał się problem.

– Niech pani na siebie uważa, pani doktor – ciągnęła Rose. – Ma pani głos chorej. Może by Jack pojechał na miejsce zdarzenia, a pani choć raz posiedziała w domu?

– Zaraz wezmę samochód – powiedziałam, chociaż ogarnęła mnie fala żalu, co było słychać.

Rose to zauważyła i przez chwilę milczała, przekładając tylko papiery na biurku. Wiedziałam, że chce mnie jakoś pocieszyć, ale nigdy jej nie pozwalałam.

– Niech pani przynajmniej pamięta o zmianie – odezwała się w końcu.

– Zmianie czego?

– Ubrania, zanim pani wsiądzie z powrotem do samochodu – wyjaśniła, jakbym nigdy w życiu nie miała do czynienia z rozkładającym się ciałem.

– Dziękuję ci, Rose.

Rozdział 3

Włączyłam alarm przeciwwłamaniowy i zamknęłam dom, po czym zapaliłam światło w garażu. Otworzyłam dużą skrzynię z cedrowego drewna z otworkami wentylacyjnymi na górze i pod spodem. Trzymałam w niej buty turystyczne, wysokie gumki, grube skórzane rękawice i nieprzemakalny płaszcz, wyglądający jak woskowany. Była w niej również ciepła bielizna, kombinezony i inne ciuchy, których nigdy nie wносиłam do domu. Po powrocie lądowały zawsze w olbrzymim metalowym zlewie, a następnie w pralce i suszarce, nigdy nieużywanych do normalnych ubrań.

Wrzuciłam do kuferka kombinezon, czarne skórzane reeboki i bejsbolową czapkę z napisem „Biuro Naczelnego Koronera”. Sprawdziłam, czy w aluminiowej skrzynce mam wystarczającą ilość lateksowych rękawiczek, grube torby do śmieci, jednorazowe prześcieradła, aparat i film. Wyruszyłam z ciężkim sercem, bo znów przypominały mi się słowa Bentona. Starłam się wymazać z pamięci jego głos, oczy, uśmiech, dotyk jego skóry. Chciałam go zapomnieć, a jednocześnie była to ostatnia rzecz, jakiej bym pragnęła.

Dojeżdżając autostradą do I-95 i obserwując błyszczące w słońcu zarysy Richmondu, włączyłam radio. Właśnie zwalniałam przy Lombardy Toll Plaza, gdy zadzwonił telefon w samochodzie. To był Marino.

– Chciałem cię zawiadomić, że tam wpadnę – powiedział.

Rozległ się klakson, gdy zmieniałam pas i omal nie potraçałam srebrnej toyoty, znajdujacej się w martwym punkcie mojego lusterka. Kierowca odwrócił się, obrzucając mnie stekiem wyzwisk, których nie słyszałam.

– Idź do diabła – cisnęłam za nim.

– Co? – spytał głośnie Marino.

– Jakiś idiota kierowca.

– Świetnie. Słyszałaś kiedyś o furii drogowej, pani doktor?

– Tak, właśnie w nią wpadłam.

Zjechałam na ulicę Dziewiątą, kierując się do biura, i dałam znać Rose, że za dwie minuty będę. Kiedy zatrzymałam się na parkingu, Fielding czekał ze skrzynką i przedłużaczem.

– Nie sądzę, żeby suburban już wrócił? – spytałam.

– Nieee – odpowiedział, pakując mi sprzęt do bagażnika. – To dopiero będzie coś, jak się pokażesz w czymś takim. Już widzę tych wszystkich dokerów, patrzących na atrakcyjną blondynkę w czarnym mercedesie. Może powinnaś pożyczyć ode mnie samochód?

Mój zastępca właśnie sfinalizował rozwód i uczcił to, zamieniając mustanga na czerwoną corvette.

– To nawet dobry pomysł – powiedziałam oschle. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Oczywiście, o ile jest ośmiozaworowy.

– Taa, taa, słyszę. Daj znać, jeśli będziesz mnie potrzebowała. Znasz drogę?

– Znam.

Pojechałam według jego wskazówek na południe i byłam już blisko Petersburga, kiedy skręciłam i przejechałam obok zakładów Philip Morris i przez tory kolejowe. Wąska droga prowadziła przez pola chwastów i lasek i kończyła się nagle przy punkcie kontrolnym. Poczułam się, jakbym

przekraczała granicę jakiegoś nieprzyjacielskiego kraju. Za nią stały setki pomarańczowych kontenerów wielkości wagonu towarowego, ustawione jeden na drugim po trzy, a nawet cztery. Strażnik, bardzo poważnie traktujący swoje obowiązki, wyszedł z budki.

Opuściłam szybę.

– Mogę czymś służyć? – spytał beznamiętnym, wojskowym tonem.

– Jestem doktor Kay Scarpetta – odpowiedziałam.

– I z kim ma się pani tu zobaczyć?

– Przyjechałam, bo macie śmiertelny wypadek – wyjaśniłam. – Jestem koronerem.

Pokazałam mu swoją legitymację. Wziął ją ode mnie i pracowicie studiował. Wydawało mi się, że nie ma pojęcia, kim jest koroner, ale nie ma zamiaru się pytać.

– Więc pani jest szefem – odezwał się, oddając mi wytartą czarną książeczkę. – Szefem czego?

– Biura Naczelnego Koronera stanu Wirginia – odpowiedziałam. – Policja na mnie czeka.

Wszedł do swej budki i sięgnął do telefonu, a moje zniecierpliwienie rosło. Za każdym razem, kiedy musiałam dostać się na jakiś strzeżony teren, przechodziłam to samo. Sądziłam, że to dlatego, iż jestem kobietą i pewnie z początku tak było. Teraz uważałam, że to z powodu zagrożeń terroryzmem, przestępczością i procesami. Strażnik zanotował opis mojego samochodu i numer rejestracyjny. Wręczył mi identyfikator gościa, żebym go podpisała i przypięła, czego oczywiście nie zrobiłam.

– Widzi pani tę sosnę tam? – wskazał.

– Widzę kilka sosen.

– Tę małą pochyłą. Przy niej skręci pani w lewo, a potem cały czas prosto, w kierunku wody – poinstruował. – Miłego dnia pani życzę.

Pojechałam, mijając po drodze zaparkowane tu i ówdzie olbrzymie tiry oraz kilka budynków z czerwonej cegły z tabliczkami informującymi, że mieści się tu Urząd Celny lub Federalny Terminal Morski. Sam port stanowiły rzędy olbrzymich magazynów z pomarańczowymi kontenerami, ustawionymi nad dokami, które wyglądały jak zwierzęta zgromadzone przy korytach. Dalej od nabrzeża, już na James River, przycumowano dwa kontenerowce, „Euroclip” i „Syriusz”, każdy o długości prawie dwóch boisk piłkarskich. Nad otwartymi lukami wznosiły się dźwigi.

Żółta taśma rozpięta na słupkach drogowych otaczała miejsce zdarzenia, czyli ustawiony na podwoziu kontener. W pobliżu nie było nikogo. Nie zauważyłam nawet policji, tylko na skraju doku stał nieoznakowany niebieski caprice, którego kierowca, siedząc za kółkiem, rozmawiał przez otwarte okno z jakimś mężczyzną w białej koszuli i krawacie. Praca stała. Robotnicy w kaskach i odblaskowych kamizelkach popijali napoje gazowane i palili, wyraźnie się nudząc.

Zadzwoiłam do biura i poprosiłam Fieldinga.

- Kiedy zawiadomiono nas o znalezieniu ciała? – spytałam.
- Chwileczkę, zaraz sprawdzę. – Usłyszałam szelest papieru. – Dokładnie o dziesiątej pięćdziesiąt trzy.
- A kiedy je znaleziono?
- Hm, tego Anderson dokładnie nie wiedziała.
- Jak, do diabła, mogła czegoś takiego nie wiedzieć?
- Ona chyba jest nowa.
- Fielding, na horyzoncie nie ma ani jednego gliny poza nią, a w każdym razie myślę, że to ona. Co ci dokładnie powiedziała, kiedy zgłosiła ten przypadek?
- Nieżyjący w momencie przybycia, ciało w stanie rozkładu. Prosiła, żebyś przyjechała na miejsce zdarzenia.

– Specjalnie prosiła o mnie?

– No, cóż. Każdy zawsze najpierw myśli o tobie. To nic nowego. Ale powiedziała, że to Marino kazał jej ciebie ściągnąć.

– Marino? – spytałam zdumiona. – On jej kazał, żeby kazała mi przyjechać?

– No, też pomyślałem, że to trochę bezczelne z jego strony. Przypomniało mi się, jak mój przyjaciel powiedział, że wpadnie tutaj, i zeżliłam się jeszcze bardziej. Namawia jakąś siusiumajtkę, żeby praktycznie wydała mi rozkaz, a potem sam, jeśli uda mu się znaleźć czas, wpadnie tutaj zobaczyć, jak sobie radzimy?

– Fielding, kiedy ostatnio z nim rozmawiałeś?

– Parę tygodni temu. Też był w cholernym nastroju.

– Ja będę w dwa razy takim, kiedy się tu w końcu pokaże – obiecałam.

Robotnicy portowi obserwowali, jak wysiadam z samochodu i otwieram kufer. Wyjęłam, z niego walizeczkę, kombinezon i buty i czułam na sobie oczy ich wszystkich, gdy szłam ciężko w stronę nieoznakowanego samochodu, a walizka objęła mi się o nogi.

Mężczyźnie w koszuli i krawacie było chyba bardzo gorąco i wyglądał dość nieszczęśliwie, gdy osłaniając ręką oczy od słońca, przypatrywał się dwóm helikopterom, krążącym nad portem.

– Cholerni reporterzy – mruknął, zwracając wzrok na mnie.

– Szukam kogoś, kto kieruje sprawą na miejscu zdarzenia – wyjaśniłam.

– To chyba mnie – usłyszałam kobiecy głos z wnętrza caprice'a.

Zajrzałam przez okienko i zobaczyłam młodą kobietę siedzącą na miejscu kierowcy. Była opalona, z krótko przystrzyżonymi włosami i mocno zarysowanym podbródkiem. Nosila wyblakłe džinsy, wysokie sznurowane buty i biały t-shirt. Broń wisiała jej na biodrze, a odznakę na

łańcuszku zatknęła za dekolt. W samochodzie klimatyzacja działała pełną parą, a lekka rockowa muzyka zagłuszała rozmowy na kanale policyjnym.

– Detektyw Anderson, jak sądzę – powiedziałam.

– Rene Anderson. Jedna jedyna. A pani jest pewnie tą lekarką, o której tyle słyszałam – odparła z arogancją, zawsze kojarzącą mi się z ludźmi, którzy za diabła nie mają pojęcia, co robią.

– A ja jestem Joe Shaw, dyrektor portu – przedstawił mi się mężczyzna.
– To pewnie w pani sprawie dzwoniła do mnie przed chwilą ochrona.

Był mniej więcej w moim wieku, miał jasne włosy, niebieskie oczy i skórę zniszczoną od słońca. Wyglądało na to, że ma dosyć detektyw Anderson i wszystkiego, co wydarzyło się tego dnia.

– Czy ma mi pani do przekazania coś ciekawego, nim zacznę? – spytałam dziewczyny, przekrzykując wentylator i szum helikoptera. – Dlaczego na przykład policja nie zabezpiecza miejsca zdarzenia?

– Nie ma potrzeby – odpowiedziała, otwierając sobie drzwiczki kolanem. – Nie każdy może tak tu sobie wjechać, jak pewnie pani sama się przekonała.

Postawiłam aluminiową walizeczkę na ziemi. Policjantka podeszła do mnie i zdziwiło mnie, że jest taka nieduża.

– Niewiele mogę pani powiedzieć. Mamy to, co widać. Kontener ze śmierdzielem w środku.

– Nie, może mi pani powiedzieć znacznie więcej, detektyw Anderson. W jaki sposób odnaleziono ciało i o której? Czy pani je widziała? Czy ktoś się do niego zbliżał? Czy to miejsce mogło zostać skażone? Dobrze byłoby, żeby odpowiedź na ostatnie pytanie brzmiała „nie”, bo będzie pani za to odpowiedzialna.

Zaśmiała się. Zaczęłam wciągać kombinezon na ubranie.

– Nikt nawet tam nie podszedł – poinformowała mnie. – Nie było chętnych.

– Nie trzeba wchodzić, żeby wiedzieć, co tam jest – dorzucił Shaw. Włożyłam czarne reeboki i czapeczkę bejsbolową. Anderson gapiała się na mojego mercedesa.

– Może też powinnam pracować dla władz stanowych – zauważyła.

Zmierzyłam ją wzrokiem od stóp do głów.

– Radzę, żeby się pani czymś okryła, nim pani tam wejdzie.

– Muszę załatwić kilka telefonów – odpowiedziała, odchodząc.

– Nie mam zamiaru pouczać ludzi, jak mają wykonywać swoją robotę – odezwał się do mnie Shaw – ale co się, do diabła, dzieje? My tu mamy trupa, a policja przysyła taką gówniarę? – Zacisnął zęby, twarz mu poczerwieniała i pojawiły się na niej kropelki potu. – W tym interesie nie można zarobić pięciu groszy, jeśli się nie pracuje – ciągnął. – A przez ponad dwie i pół godziny nic nawet nie drgnęło. – Bardzo się starał nie kłąć przy mnie. – Oczywiście, przykro mi, że ktoś nie żyje – ciągnął dalej – ale wolałbym, żebyście zrobili swoje i znikli. – Znów zerknął w niebo. – Odnosi się to też do mediów.

– Panie Shaw – spytałam – co przewożono w tym kontenerze?

– Niemieckie aparaty i kamery. Plomba na zamku pozostała nienaruszona, więc wydaje się, że nikt nie majstrował przy towarze.

– Czy to zagraniczny nadawca go zapieczętował?

– Tak jest.

– A więc ciało, żywego czy zmarłego, musiało znaleźć się wewnątrz kontenera, nim został zaplombowany? – upewniłam się jeszcze.

– Na to wygląda. Numer się zgadza z numerem na dokumentach przewozowych i celnych, nic podejrzanego. Ten transport przeszedł przez

ło pięć dni temu. Dlatego został już umieszczony na platformie. A potem zaczęło cuchnąć, i teraz nie ma mowy, żebyśmy mogli to wysłać dalej.

Rozejrzałam się, obejmując wzrokiem całą scenę. Na nieczynnych żurawiach, które przedtem unosiły ciężkie pokrywy luków, dźwięczały poruszane lekkim powiewem łańcuchy. Teraz wszystko zamarło. Wózki widłowe i ciężarówki stały, a dokerzy i marynarze, nie mając nic do roboty, gapili się na nas. Niektórzy obserwowali wszystko ze statków i przez okienka nadbudówek. Od splamionego ropą asfaltu, na którym walały się drewniane ramy, przekładki i pochylnie, buchało gorąco. Za magazynami załomotał przejeżdżający pociąg towarowy. Czuło się silny zapach kreozotu, ale nie był on w stanie zabić woni gnijącego ludzkiego ciała, unoszącej się jak dym w powietrzu.

– Skąd przyplłynął ten statek? – zapytałam i w tej chwili zauważyłam oznakowany policyjny samochód parkujący obok mojego mercedesa.

– Antwerpia, Belgia, dwa tygodnie temu – odpowiedział Shaw, patrząc na „Syriusza” i „Euroclip”. – Obce jednostki, jak wszystkie, które do nas przyplływają. Amerykańską flagę widzimy najwyżej wtedy, kiedy ktoś ją wciągnie grzecznościowo – dodał z pewnym żalem.

Na prawej burcie „Euroclipu” stał jakiś mężczyzna, obserwując nas przez lornetkę. Wydało mi się dziwne, że w taki upał ubrany jest w długie spodnie i koszulę z długimi rękawami.

– Ależ to słońce razi. – Shaw zmarszczył brwi i zmrużył oczy.

– A co z pasażerami na gapę? – spytałam. – Chociaż nie bardzo mogę sobie wyobrazić, żeby ktoś miał ochotę zamykać się w kontenerze na dwa tygodnie i przeprowiać przez ocean.

– Ja jeszcze nigdy się z tym nie spotkałem. Poza tym nie jesteśmy pierwszym portem, do którego przybił. Przed nami jest Chester w Pensylwanii. Większość statków płynie z Antwerpii do Chester, potem tutaj

i znów prosto do Antwerpii. Gapowicz na pewno wydostałby się w Chester zamiast czekać, aż dopłynie do Richmondu. Znajdujemy się na uboczu, pani doktor – ciągnął Shaw, a ja ze zdumieniem patrzyłam, jak z krążownika parkującego obok mojego samochodu gramoli się Pete Marino. – W zeszłym roku to może ze sto dwadzieścia statków oceanicznych zawinęło do nas. – Marino był detektywem od niepamiętnych czasów i nigdy go nie widziałam w mundurze. – Gdybym to ja był nielegalnym pasażerem, starałbym się dopłynąć do jakiegoś naprawdę dużego portu, jak Miami czy Los Angeles, żeby się zgubić w tłumie. – Podeszła do nas detektyw Anderson, żując gumę. – Chodzi o to, że nie odpieczętowujemy i nie otwieramy kontenerów, póki nie mamy jakichś podejrzeń, że ładunek jest nielegalny, jakieś narkotyki i tak dalej – mówił wciąż Shaw. – Co jakiś czas wybieramy statek do dokładnej kontroli, żeby ludzie się pilnowali.

– Dobrze, że ja już nie muszę się tak ubierać – odezwała się Anderson, gdy zbliżał się do nas Marino w postawie bokerskiej jak zawsze, gdy czuł się niepewnie i był w wyjątkowo parszywym nastroju.

– Dlaczego jest w mundurze? – spytałam ją.

– Został przeszerogowany.

– Jasne.

– Zaszło wiele zmian w wydziale, odkąd przyszła do nas zastępca komendanta Bray – oświadczyła dziewczyna z dumą.

Nie mogłam sobie wyobrazić, jak można kogoś tak cennego ubrać z powrotem w mundur. Zastanawiałam się, kiedy to się stało. Miałam żal do Marina, że nic nie powiedział, i wstyd mi było, że sama się nie dowiedziałam. Co najmniej miesiąc do niego nie dzwoniłam. Nie pamiętałam już, kiedy ostatnio zaproponowałam, żeby wpadł do mojego biura na kawę albo do domu na kolację.

– Co się dzieje? – spytał krótko na powitanie. Nawet nie rzucił okiem na detektyw Anderson.

– Nazywam się Joe Shaw. Jak leci?

– Gówniano – odpowiedział kwaśno Marino. – Anderson, zdecydowałaś się sama nad tym pracować? Czy może żaden inny glina nie chce pracować z tobą? – Patrząc na niego, wyjęła gumę z ust. Wyrzuciła ją, jakby uznała, że zepsuł jej smak. – Zapomniałaś zaprosić kogoś na tę swoją imprezkę? Jezu, co za pieprzone życie! – wściekał się.

Wyraźnie się dusił w zapiętej pod szyję białej koszuli z krótkimi rękawami i krawacie ze spinką. Wielki brzuch sterczał mu nad granatowymi spodniami i sztywnym pasem, za którym miał swego sigsauera dziewiątkę, kajdanki, rozpylacz z pieprzem i resztę wyposażenia. Na jego czerwonej twarzy perliły się krople potu, oczy przysłaniały duże ciemne okulary.

– Musimy pogadać – powiedziałam.

Chciałam go odciągnąć na bok, ale się nie dawał. Wyjął marlboro z paczki, którą zawsze miał gdzieś przy sobie.

– Podoba ci się moje nowe ubranko? – spytał ironicznie. – Zastępca komendanta Bray uznała, że potrzebuję nowych ciuchów.

– Marino, nie jesteś tu potrzebny – odezwała się Anderson. – I chyba nie chciałbyś, żeby ktokolwiek się dowiedział o twoim przyjeździe tutaj.

– Dla ciebie kapitan. – Wydmuchał te słowa wraz z dymem tytoniowym.
– Pilnuj tych swoich chytrych usteczek, bo przewyższam cię stopniem, laleczko.

Shaw obserwował tę wymianę bezczelności bez słowa.

– O ile wiem, nie mówi się już „laleczko” do kobiet-oficerów – odparła Anderson.

– Mam tu zwłoki do obejrzenia – przerwałam.

– Musimy przejść przez magazyn, żeby tam się dostać – objaśnił Shaw.

– To chodźmy – powiedziałam.

Poprowadził mnie i Marina do magazynu stojącego frontem do rzeki. Słabo oświetlone, olbrzymie i duszne pomieszczenie pachniało słodko tytoniem. Na drewnianych paletach leżało tysiące bali owiniętych jutą i tony specjalnego piasku i minerałów, używanych chyba do przetwarzania stali oraz części maszyn wysyłanych, według stempli na skrzyniach, do Trinidadu. Przeszliśmy dalej, przez kilka wnęk, a im bliżej byliśmy celu, tym silniejszy czuliśmy odór. Zatrzymaliśmy się przy otwartych drzwiach kontenera, ogrodzonego policyjną taśmą. Wydawało się, że każda cząsteczka tlenu w powietrzu została zastąpiona tym ciężkim odorem. Brzęczenie much przypominało dźwięk zdalnie sterowanych samolocików do zabawy.

– Czy były muchy, gdy otwierano kontener? – spytałam Shawa.

– Nie aż tyle.

– Jak blisko pan podszedł? – zapytałam, gdy dochodzili do nas Marino i Anderson.

– Dostatecznie – odpowiedział Shaw.

– Nikt nie wchodził do środka? – upewniłam się jeszcze.

– To mogę pani zagwarantować. – Smród dawał się już nam we znaki.

Marino wydawał się niewzruszony. Wyjął kolejnego papierosa i miał go w rękach, nim zapalił.

– A więc, Anderson – odezwał się – może to nie jest trup. Jeśli tam nie zaglądałaś, to może być, do cholery, jakiś duży pies, który się tam przypadkowo zabłąkał. To dopiero byłby wstyd ciągać tu panią doktor i robić szum w mediach, żeby potem znaleźć w środku jakiegoś biednego zdechłego psa.

Oboje wiedzieliśmy, że w środku nie ma psa, świni, konia ani żadnego innego zwierzęcia. Otworzyłam swoją walizeczkę, a Marino i detektyw

Anderson dalej sobie dogadywali. Wrzuciłam do środka kluczyki od samochodu i włożyłam kilka warstw rękawiczek ochronnych oraz maseczkę chirurgiczną. Ustawiłam mojego nikona z fleszem i dwudziestoosmio milimetrowym obiektywem. Załadowałam czuły film, żeby zdjęcia wypadły wyraźne, i wsunęłam sterylne ochraniacze na buty.

– To tak, jak kiedy poczujemy odór dochodzący z zamkniętego domu w połowie lipca. Najpierw patrzymy przez okno, potem włamujemy się, jeśli zachodzi potrzeba. Musimy się upewnić, że to ludzkie szczątki, nim zawołamy koronera – instruował dalej swą koleżankę po fachu Marino.

Pochyliłam się pod taśmą i weszłam do ciemnego kontenera, dostrzegając z ulgą, że jest tylko w połowie wypakowany starannie ustawionymi białymi kartonami, co umożliwiała mi swobodne poruszanie. Posuwałam się dalej, za światłem latarki, od czasu do czasu kierując ją również na boki. Przy końcu promień padł na dolną warstwę kartonów nasiąkniętych czerwonym płynem, który wyciekał z ust i nosa rozkładających się zwłok. Ukazały się najpierw buty, potem dolne partie nóg. Nagle zobaczyłam twarz z brodą. Wpatrywały się we mnie zamglone oczy, a z ust wychodził opuchnięty język, jakby zmarły naśmiewał się ze mnie. Przy każdym kroku słyszałam dźwięki człapania po lepkiej powierzchni.

Ubrane zwłoki opierały się w rogu kontenera, podtrzymywane przez jego metalowe ścianki. Nogi były wyprostowane, ręce spoczywały na kolanach pod kartonem, który zapewne spadł. Odsunęłam go, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś obrażeń czy zadrapań lub złamanych paznokci, świadczących o tym, że zamknięty człowiek próbował się wydostać. Nie dostrzegłam nic takiego, nie było również śladów krwi na ubraniu i żadnych oznak walki. Szukałam resztek jedzenia, wody, otworów wywierconych dla wentylacji, ale niczego nie znalazłam.

Przeszłam, kucając, między wszystkimi rzędami kartonów, oświetlając centymetr po centymetrze metalową podłogę w poszukiwaniu śladów butów. Oczywiście były wszędzie. Kolana już mi nie wytrzymały. Znalazłam pusty plastikowy kosz na śmieci, a po chwili dwie srebrne monety. Nachyliłam się nad nimi. Jedna to była marka niemiecka, drugiej nie rozpoznałam, ale oczywiście niczego nie dotknęłam.

Wydawało mi się, że Marino jest strasznie daleko, a stał przy wejściu do kontenera.

– Moje kluczyki od samochodu są w kuferku! – zawołałam przez maskę.

– Taa? – odezwał się, zaglądając do środka.

– Czy mógłbyś pójść i przynieść mi luma-lite? Potrzebuję tego urządzenia światłowodowego i przedłużacza. Może pan Shaw ci pokaże, gdzie to wsadzić. Musi być uziemienie.

– Uwielbiam, jak tak świntuszysz – powiedział.

Rozdział 4

Luma-lite jest to pewne szczególne źródło oświetlenia wyposażone w piętnasto watomą żarówkę jarzeniową, emitujące światło o długości fali czterystu pięćdziesięciu nanometrów przy szerokości pasma dwudziestu nanometrów. Może wykrywać płyny ustrojowe, takie jak krew czy spernę, a również ukazać narkotyki, odciski palców oraz inne ślady i niespodzianki niedostępne gołym okiem.

Shaw znalazł gniazdo z uziemieniem wewnątrz magazynu. Okryłam aluminiowe nóżki lampy jednorazowymi plastikowymi ochroniaczami, aby nie dodać obecnych śladów do poprzednich. Urządzenie było podobne do domowego projektora filmowego. Ustawiłam je na kartonie i uruchomiłam na minutę wentylator przed włączeniem aparatury do sieci.

Gdy czekałam, aż żarówka maksymalnie się rozgrzeje, pojawił się Marino z barwionymi na bursztynowo okularami, niezbędnymi do ochrony oczu. Much było coraz więcej. Obijały się o nas jak pijane i brzęczały głośno koło uszu.

– Cholera, jak ja ich nie znoszę! – Marino oganiał się ze złością.

Zauważyłam, że nie miał na sobie kombinezonu, tylko osłony na buty i rękawice.

– Chcesz w tym stroju wracać zamkniętym samochodem? – spytałam.

– Mam drugi mundur w bagażniku. Na wypadek jakby się coś na mnie wylało albo coś takiego.

– Jakbyś ty coś na siebie wylał albo coś takiego – poprawiłam, patrząc na zegarek. – Mamy jeszcze minutę.

– Zauważyłaś, jak Anderson czujnie znikła? Wiedziałem, że tak będzie, gdy tylko o tym usłyszałem. Wiedziałem, że nikt inny nie może tu być. Cholera, naprawdę dzieje się coś dziwnego.

– Jak to się, do licha, stało, że została detektywem od zabójstw?

– Podlizuje się tej Bray. Słyszałem, że załatwia jej różne sprawy, wozi tego bajeranckiego czarnego crown vica do myjni, pewnie ostrzy jej ołówki i czyści buty.

– Jesteśmy gotowi – powiedziałam.

Przez nasze okulary wewnątrz kontenera wydawało się nieprzeniknioną czarną przestrzenią kosmiczną z jarzącymi się na biało i żółto różnorodnymi kształtami. Intensywność barwy zależała od tego, gdzie skierowałam obiektyw. Niebieskie światło ukazywało włosy i różne włókna na podłodze i w ogóle wszędzie, jak się tego można było spodziewać w miejscu, w którym wiele osób wносиło i wносиło ładunek. Kartony połyskiwały delikatną bielą, jak księżyc.

Przesunęłam lampę dalej w głąb kontenera. Wydzieliny nie świeciły, a zwłoki stały się tylko ciemnym kształtem w rogu.

– Jeżeli umarł śmiercią naturalną – zastanawiał się Marino – to dlaczego siedzi z rękami na kolanach, jakby był w kościele albo coś w tym stylu?

– Jeśli zszedł na skutek uduszenia, odwodnienia czy infekcji, mógł umrzeć na siedząco.

– Wygląda mi to dziwacznie.

– Mówię tylko, że to możliwe. Czy mógłbyś mi podać lampę? Wpadł na kartony, przesuwał się w moją stronę.

– Możesz zdjąć okulary, zanim tu dojdiesz – zaproponowałam, gdyż nie było przez nie absolutnie nic widać, a lampa nie znajdowała się teraz na linii wzroku Marina.

– Mowy nie ma – odpowiedział. – Słyszałem, że wystarczy jedno krótkie spojrzenie. I cześć. Katarakta i rak do kompletu.

– Nie mówiąc o tym, że można się zamienić w słup soli.

– Co?

– Marino, uważaj!

Wpadł na mnie i nie wiem, co się potem działo, ale nagle zaczęły lecieć kartony, a on prawie mnie popchnął, upadając.

– Marino? – Byłam zdezorientowana i przerażona. – Marino! Odłączyłam luma-lite i zdjęłam okulary, żeby coś zobaczyć.

– Cholerny, pieprzony skurwiel! – wydzierał się, jakby go ukąsił wąż.

Leżał plecami na podłodze i kopał kartony, które przeszkadzały mu wstać. Plastikowe wiadro poszybowało w powietrze. Przykucnęłam przy nim.

– Leż spokojnie – powiedziałam. – Nie wierć się, póki się nie upewnimy, że nic ci nie jest.

– O Boże! Cholera! Mam całe to gówno na sobie! – panikował.

– Czy jesteś ranny?

– O Jezu, zaraz się zrzygam. O Jezu.

Zerwał się na równe nogi i roztrzając po drodze pudła, pobiegł ku wejściu do kontenera. Słyszałam, jak wymiotuje. Jęknął i znów zwymiotował.

– Powinieneś się lepiej poczuć – powiedziałam.

Odpiął koszulę i krztusząc się, gwałtownie usiłował ją z siebie zrzucić. Rozebrał się do podkoszulka, zwinął mundurową koszulę w kłębek i cisnął przed kontener.

– A jeżeli on miał AIDS? – Głos Marina brzmiał jak dzwon o północy.
– Nie dostaniesz AIDS od tego faceta – zapewniłam.
– O, kurde! – Znowu miał odruch wymiotny.
– Ja to mogę skończyć, Marino.
– Nie, daj mi jeszcze chwilę.
– Może byś poszedł poszukać gdzieś prysznic?
– Nie możesz nikomu o tym mówić – powiedział i byłam pewna, że ma na myśli detektyw Anderson. – Założę się, że znajdziesz coś ciekawego tą kamerą.

– Mam nadzieję.

– Ciekawe, co z tym zrobią.

– Czy przyjechała już ekipa do wywiezienia zwłok? – spytałam.

Uniósł do ust radio.

– Jezu! – Splunął i znów się zakrztusił.

Energicznie wytarł radio o spodnie, zakaszłał i ponownie splunął, z głębi gardła.

– Dziewiątka – powiedział, trzymając radio z dala od twarzy.

– Dziewiątka.

Dyspozytorka była kobietą. W jej głosie czuło się ciepło, co mnie bardzo zdziwiło. Dyspozytorzy i operatorzy policyjni prawie zawsze zachowywali się w sposób opanowany i nie okazywali żadnych uczuć, choćby nie wiem co się działo.

– Dziesięć-pięć Rene Anderson – nadawał Marino. – Nie znam jej numeru służbowego. Powiedz jej, że jeśli jest tak uprzejma, chcemy, żeby faceci od transportu zwłok tu się pojawili.

– Dziewiątka, znasz nazwę tej firmy?

– Hej, pani doktor – Marino zwrócił się do mnie. – Jak się nazywa ta firma?

– Główny Transport.

Przekazał tę wiadomość i dodał:

– Radio, jeżeli ona jest dziesięć-dwa, dziesięć-dziesięć albo dziesięć-siedem, albo jeśli powinniśmy dziesięć-dwadzieścia-dwa, odezwij się. Usłyszałam śmiechy z różnych policyjnych radiostacji.

– Dziesięć-cztery, dziewiątka – odezwała się dyspozytorka.

– Co powiedziałaś, że wzbudziło to taką owację? Wiem, że dziesięć-siedem to znaczy nie działa, ale reszty nie chwyciłam.

– Prosiłam, żeby się dowiedziała, czy Anderson to „słaby sygnał” czy „negatywny”, albo ma „czas na oswojenie”. Albo czy mamy „nie reagować na nią”.

– Nic dziwnego, że tak cię lubi.

– To gówniara.

– Czy przypadkiem nie wiesz, co się stało z kablem światłowodowym? – spytałam.

– Miałem go w ręku.

Znalazłam przewód tam, gdzie Marino się potknął i przewrócił kartony.

– A jeżeli on miał AIDS? – Znów zaczął swoje.

– Jeżeli koniecznie chcesz się czymś martwić, to weź pod uwagę bakterie gram-ujemne. Albo gram-dodatnie. Albo laseczniki. Streptokoki. Jeżeli masz otwartą ranę, której nie masz, o ile wiem.

Przyczepiłam jeden koniec kabla do prętu, drugi do urządzenia i dokręciłam śrubki. Kapitan mnie nie słuchał.

– Nie ma mowy, żeby ktoś tak o mnie powiedział! Że jestem jakąś cholerną ciotą! Wsadzę sobie lufę w gębę, bądź pewna.

– Nie dostaniesz AIDS, Marino – powtórzyłam.

Znów uruchomiłam lampę. Potrwa co najmniej cztery minuty, zanim będę mogła włączyć zasilanie.

– Wczoraj zadrasnąłem się gwoździem i krwawiło. To jest otwarta rana!
– Włożyłeś rękawiczki, prawda?
– Jeżeli dostanę jakiejś zarazy, to zabiję tę cholerną leniwą dziwkę. –
Zrozumiałam, że ma na myśli Rene Anderson. – Bray też swoje dostanie,
już ja coś wymyślę.

– Marino, uspokój się – powiedziałam.
– A jak by ci się podobało, gdybyś to była ty?
– Żebyś wiedział, ile razy mi się to przydarzyło! A co ja niby robię
codziennie?

– Na pewno się nie taplasz w jakichś cieczech od zmarłych!
– Cieczech od zmarłych?
– Kompletnie nic nie wiemy o tym facecie. Może w Belgii mają jakąś
koszmarną chorobę, której tu nie umiemy leczyć?

– Marino, uspokój się – powtórzyłam.
– Nie!
– Marino...
– Mam prawo się martwić!
–Więc dobrze, wychodź. – Nie miałam już cierpliwości. – Przeszkadzasz
mi się skoncentrować. Przeszkadzasz mi we wszystkim. Idź się wykąpać i
strzel sobie bourbona.

Lampa Luma-Lite była gotowa, więc włożyłam okulary. Marino milczał.
– Nie wychodzę – powiedział w końcu.
Ujęłam pręt światłowodowy jak kolbę lutowniczą. Promień intensywnie
pulsującego niebieskiego światła był cienki jak grafit od ołówka. Zaczęłam
nim badać maleńkie skrawki powierzchni.

– Masz coś? – spytał.
– Na razie nie.

Słyszałam za sobą człapanie jego lepkich kapci. Pracowałam powoli, centymetr po centymetrze, docierając do miejsc, których nie mogłam zbadać szerszym strumieniem. Nachyliłam się nad ciałem, żeby przebadać miejsca za plecami i głową, a następnie między nogami denata. Obejrzałam dłonie. Luma-lite wykrywała takie substancje, jak mocz, spernę, pot, ślinę i oczywiście krew. Ale znów nic nie zaświeciło. Bolały mnie plecy i szyja.

– Głosuję za tym, że był martwy, nim się tu znalazł – powiedział Marino.

– Będziemy wiedzieć znacznie więcej, gdy go zabierzemy do nas.

Wyprostowałam się i światło pochwyciło nagle narożnik kartonu, który przewrócił Marino. W ciemności zaświecił ostrą zielenią ogonek od litery Y.

– Marino – powiedziałam. – Popatrz na to!

Litera po literze oświetlałam słowa, napisane ręcznie po francusku. Litery, na oko pewnie dziesięciocentymetrowe, miały dziwny, prosty kształt, jakby skreślono je jakąś mechaniczną ręką. Zastanawiałam się przez chwilę, co tam właściwie jest napisane.

– *Bon voyage, le loup-garou* – przeczytałam.

Kapitan nachylił się nade mną, aż poczułam jego oddech.

– Co to, do diabła, jest *loup-garou*!

– Nie mam pojęcia.

Badałam karton dokładnie. Wierzch był wilgotny, a dno suche.

– Widzisz jakieś odciski palców? – pytał Marino.

– Jestem pewna, że wszędzie wokół jest ich pełno, ale żadne nie rzucają się w oczy.

– Czy myślisz, że ten, kto to zrobił, chciał, żeby napis zauważono?

– Możliwe. Użyto jakiegoś trwałego atramentu, który fluoryzuje. Niech ci od odcisków zrobią swoje. To pudło idzie do laboratorium i musimy

zebrać trochę włosów z podłogi do badania DNA, gdyby było potrzebne. Potem zrób zdjęcia i wynosimy się stąd.

– Mogę przy okazji wziąć te monety – powiedział.

– Możesz.

Ktoś zajrzał przez otwór w kontenerze. Oświetlało go jasne słońce na tle niebieskiego nieba i nie poznawałam kto to.

– A gdzie nasi technicy? – spytałam Marina.

– Nie mam pojęcia.

– Niech to szlag! – zakląłam.

– I mnie to mówisz?

– Mieliśmy dwa zabójstwa w zeszłym tygodniu, ale tak nie było.

– Ciebie też tam na miejscu nie było, więc nie wiesz, jak to wyglądało – zauważył Marino i miał rację.

– Pojechał ktoś z mojego biura. Wiedziałabym, gdyby mieli jakiś problem...

– Jeśli nie byłby zbyt oczywisty, to byś nie wiedziała. A na pewno nie był, bo to pierwsza sprawa Anderson. I teraz jest oczywisty.

– Jaki?

– Świeżutki, nowy detektyw. Słuchaj, a może ona sama wepchnęła tu te zwłoki, żeby mieć coś do roboty.

– Mówi, że to ty kazałeś jej po mnie zadzwonić.

– Jasne, jakbym nie miał co robić, tylko ciągać ciebie, żebyś się potem na mnie wściekała. Pieprzona oszustka – warknął.

Po godzinie skończyliśmy. Wyszliśmy z cuchnącej ciemności do magazynu. Detektyw Anderson stała we wnętrzu i rozmawiała z facetem, w którym rozpoznałam Ala Carsona, szefa dochodzeniówki. To jego widziałam przedtem w otworze kontenera. Minęłam dziewczynę bez słowa,

a Ala przywitałam, wyglądając ekipy transportowej. Odetchnęłam, widząc dwóch mężczyzn w kombinezonach obok granatowej półciężarówki.

– Jak się masz, Al? – zagadnęłam Carsona.

Siedział w tym interesie tak długo, jak ja. Był miłym, spokojnym człowiekiem, wychowanym na farmie.

– Jakoś leci, pani doktor – odpowiedział. – Wygląda na to, że mamy tu niezły bałagan.

– Na to wygląda – zgodziłam się z nim.

– Byłem w terenie i pomyślałem, że wpadnę zobaczyć, czy wszystko w porządku.

Carson nie „wpadał” na miejsca zdarzeń. Był spięty i przygnębiony. A co ważniejsze, nie zwracał uwagi na Anderson podobnie jak my.

– Już nad tym pracujemy. – W skandaliczny sposób złamała zasady hierarchii i odpowiedziała szefowi. – Rozmawiałam z dyrektorem portu... – Głos jej zamarł, gdy zobaczyła Marina, a może go poczuła.

– Hej, Pete – odezwał się Carson, nagle rozweselony. – Co jest, stary? Są jakieś nowe regulaminy mundurowe w jednostce, o których nie wiem?

– Detektyw Anderson – powiedziałam, gdy odeszła od Marina najdalej, jak mogła. – Muszę wiedzieć, kto pracuje nad tą sprawą? Gdzie są technicy? I dlaczego ta służba transportowa przyjechała dopiero teraz?

– Taa, tak właśnie wygląda nasza robota pod przykryciem, szefie. Odkrywamy to, co pod mundurem – mówił głośno Marino.

Carson parsknął śmiechem.

– I dlaczego, detektyw Anderson, nie weszła tam pani, aby zbierać dowody i pomagać we wszelki możliwy sposób? – maglowałam ją dalej.

– Nie odpowiadam przed panią. – Wzruszyła ramionami.

– Więc coś pani powiem. – Chciałam, aby mój ton wzbudził jej zainteresowanie. – To właśnie przede mną pani odpowiada, jeśli sprawa

dotyczy trupa.

– Założę się, że Bray też musiała odkrywać to, co pod mundurem, nim dotarła na samą górę. Takie jak ona lubią być na górze. – Marino mrugnął.

Światelko w oczach Carsona zgasło. Znów wyglądał na przygnębionego i zmęczonego, jakby życie zupełnie go wykończyło.

– Al? – Marino spowaźniał. – Co tu się, kurczę, dzieje? Jak to możliwe, że nikt się nie pojawił na tej imprezie?

W stronę parkingu podjeżdżała błyszcząca czarna crown victoria.

– No, muszę jechać dalej – powiedział nagle Carson, wyraźnie myśląc o czym innym. – Spotkajmy się w klubie na piwku. Teraz ty stawiasz. Pamiętasz, stary, kiedy Louisville wygrało z Charlotte, a ty przegrałeś zakład?

Carson odszedł, nie żegnając się z Anderson, bo było jasne, że nie ma nad nią żadnej władzy.

– Hej, Anderson? – Marino klepnął ją w plecy. Przeraziła się i zasłoniła dłonią nos i usta. – Jak ci się podoba praca dla Carsona? Całkiem miły facet, nie?

Odsunęła się, ale stał przy niej. Nawet mnie brało obrzydzenie z powodu jego cuchnących spodni od munduru, brudnych rękawic i kapci ochronnych. Jego podkoszulek już nigdy nie będzie biały, a tam, gdzie szwy nie wytrzymały grubego brzucha, pojawiły się dziury. Stał tak blisko Anderson, jakby ją miał pocałować.

– Śmierdzisz! – Usiłowała się od niego odsunąć.

– Ciekawe, jak to się mogło stać przy takiej robocie.

– Odejdź ode mnie!

Marino jednak nie zamierzał tego zrobić i posuwał się za nią, w miarę jak się cofała. W końcu została przyciśnięta do worków z węglem wysyłanych do Indii Zachodnich.

- A co ty, do cholery, właściwie wyrabiasz? – przygwoździł ją słowami.
- Mamy tu gnijące ciało w kontenerze, w jakimś pieprzonym międzynarodowym porcie, gdzie połowa tego skubanego towarzystwa nie mówi po angielsku, a ty decydujesz, że sama to wszystko załatwisz?

Czarna crown victoria jechała szybko, rozbryzgując żwir wokół parkingu.

- Panna detektyw-junior prowadzi swą pierwszą sprawę. I musi mieć od razu naczelnego lekarza sądowego stanu i kilka helikopterów z ekipami telewizyjnymi?

– Doniosę na ciebie do urzędu spraw wewnętrznych – wydarła się detektyw Anderson. – Dostanę dla ciebie nakaz aresztowania!

– Za co? Za śmierdzenie?

– Już nie żyjesz!

– Nie żyje to ten facet tam. – Kapitan wskazał na kontener. – I twój tyłek, jeżeli będziesz chciała kiedykolwiek zeznawać w tej sprawie.

– Marino, daj spokój – powiedziałam, gdy crown victoria bezczelnie wjechała na miejsce za zakazem parkowania.

– Hej! – Shaw biegł do samochodu, machając rękami. – Nie wolno tutaj stać!

– Jesteś skończonym, przegranym chamem – powiedziała do Marina Anderson, oddalając się truchcikiem.

Ściągnął rękawice, wywracając je przy tym na drugą stronę i pozbył się ochronnych kapci na buty, stając sobie na zmianę na stopach. Podniósł swoją zabrudzoną koszulę od munduru spinką od krawatu i zaczął deptać po tym wszystkim, jakby gasił ogień. Zebrałam jego rzeczy i razem z moimi wrzuciłam do czerwonego worka na biologicznie szkodliwe odpady.

– Skończyłeś już? – spytałam.

– Nawet nie zacząłem – odparł Marino, patrząc, jak otwierają się drzwiczki od strony kierowcy w crown victorii i wysiada z niej policjantka w mundurze.

Anderson obeszła magazyn i szybko zmierzała w stronę samochodu. Shaw również się spieszył, a robotnicy patrzyli, jak z samochodu wysiada imponująca kobieta w mundurze, z błyszczącymi odznakami. Rozejrzała się dookoła, jakby cały świat na nią patrzył. Któryś z gapiów gwizdnął. Za nim następny. Po chwili cały dok gwizdał, jakby był pełen sędziów ogłaszających wszelkie możliwe faule.

– Niech zgadnę – odezwałam się do Marina. – Bray.

Rozdział 5

Powietrze było pełne żarłocznych much, a ich brzęczenie wzmagало się z powodu ciepłej pogody i upływu czasu. Pracownicy ekipy transportowej wnieśli nosze do magazynu i tam na mnie czekali.

– Uff! – odezwał się jeden z nich, kręcąc głową, z nieszczególną miną. – Boziu, Boziu.

– Wiem, wiem – odpowiedziałam, wciągając nowe rękawice i ochraniacze na buty. – Wejdę pierwsza. To nie potrwa długo, obiecuję.

– Jeśli o mnie idzie, to w porządku, niech pani idzie pierwsza.

Weszłam do środka kontenera, a oni stąpali ostrożnie za mną, trzymając nosze tuż przy sobie. Oddychali ciężko przez maski chirurgiczne. Obaj byli starsi, z nadwagą, i nie powinni już dźwigać ciężkich zwłok.

– Weźcie za stopy i dół nóg – dyrygowałam. – Bardzo ostrożnie, bo skóra zejdzie. W miarę możliwości trzymajmy za ubranie.

Postawili nosze i nachylili się nad nogami zmarłego.

– O Boziu – mruknął znów jeden z nich.

Wzięłam trupa pod pachy, a oni za kostki.

– Dobra, teraz liczę do trzech i podnosimy – powiedziałam. – Raz, dwa, trzy.

Z trudem utrzymali równowagę i zaraz się odsunęli. Ciało było bezwładne, bo stężenie pośmiertne już minęło. Ułożyliśmy zwłoki na

noszach i okryliśmy prześcieradłem. Zasunęłam suwak worka i sanitariusze podnieśli swojego klienta. Zawiozą go teraz do prosektorium, a ja zrobię wszystko, co się da, żeby do mnie przemówił.

– Cholera – odezwał się jeden z transportujących. – Za jakie pieniądze ja to robię?

– Mnie to mówisz!

Wysłałam za nimi z magazynu na oślepiające słońce i świeże powietrze. Marino, wciąż w brudnym podkoszulku, rozmawiał z obiema policjantkami. Ze sposobu jego gestykulacji domyśliłam się, że obecność Diane Bray nieco go zmiękczyła. Zmierzyła mnie wzrokiem, gdy podeszłam. Ona się nie przedstawiła, więc ja zrobiłam to pierwsza, nie wyciągając ręki.

– Jestem doktor Scarpetta.

Przyjęła to z umiarkowanym zainteresowaniem, jakby nie miała zielonego pojęcia, kim jestem i dlaczego tu się zjawiłam.

– Myślę, że byłoby dobrze, żebyśmy porozmawiały – dodałam.

– Kim pani jest? – spytała Bray.

– O Boże! – wybuchnął Marino. – Przecież ona doskonale wie, kim jesteś.

– Kapitanie. – Jej ton brzmiał jak świst bata.

Marino zamilkł, detektyw Anderson również milczała.

– Jestem naczelnym lekarzem sądowym, koronerem – wyjaśniłam jej to, co już wiedziała. – Kay Scarpetta.

Marino spojrział w niebo, na twarzy detektyw Anderson malowały się oburzenie i zazdrość, gdy Bray skinęła głową, żebyśmy od nich odeszły. Ruszyliśmy w stronę nabrzeża, gdzie w błotnisto-niebieskiej wodzie kołysał się „Syriusz”.

– Przepraszam, że w pierwszej chwili nie skojarzyłam pani nazwiska.

– Nie odezwałam się ani słowem. – To bardzo nieuprzejme z mojej strony. – Dalej milczałam. – Powinnam wcześniej się z panią spotkać, ale taka byłam zajęta. No i proszę, oto teraz się spotykamy. Idealne zgranie, można by powiedzieć. – Diane Bray była wyniosłą czarnowłosą piękną o doskonałych rysach. Miała imponującą figurę i portowcy nie mogli od niej oderwać wzroku. Mówiła dalej tym swoim chłodnym tonem.

– Widzi pani, mam taki mały problem. Jestem przełożoną kapitana Marino, a on sprawia wrażenie, jakby pracował dla pani.

– Nonsens – odezwałam się wreszcie.

Westchnęła.

– Pozbawiła pani to miasto najbardziej doświadczonego i przyzwoitego detektywa od zabójstw, pani komendant – oświadczyłam. – Ja o tym dobrze wiem.

– Spodziewam się.

– Co właściwie chce pani osiągnąć? – spytałam.

– Czas na świeżą krew, na detektywów, którzy potrafią obsługiwać komputer, używać poczty elektronicznej. Czy pani wie, że Marino wciąż wystukuje swoje raporty dwoma palcami na maszynie? – Nie mogłam uwierzyć, że mi to opowiada. – Nie mówiąc już o tym drobnym problemie, że jest niereformowalny i niesubordynowany, a jego zachowanie przynosi wstyd całemu wydziałowi – ciągnęła.

Rene Anderson odeszła, zostawiając Marina samego przy samochodzie. Palił, opierając się o niego. Miał grube, owłosione ręce i ramiona, a spodnie, zapięte na pas pod brzuchem wyglądały, jakby miały zaraz opaść. Wiedziałam, że czuje się upokorzony, choć nie patrzył w naszą stronę.

– Dlaczego nie ma tu żadnych techników? – spytałam. Jeden z robotników szturchnął drugiego łokciem i pieścił w powietrzu swój

nieistniejący biust, jakby to były duże piersi Bray. – Dlaczego pani tu przyjechała? – spytałam.

– Bo zawiadomiono mnie, że jest tu Marino – odpowiedziała. – Został ostrzeżony. Chciałam osobiście sprawdzić, czy tak ostentacyjnie lekceważy moje rozkazy.

– Jest tutaj, bo ktoś musiał być.

– Jest tutaj, bo tak chciał. – Wbiła we mnie wzrok. – I ponieważ pani chciała tu być. Właśnie dlatego, nieprawda, pani doktor? Marino jest pani osobistym detektywem i tak było od lat.

Jej oczy przeszywały mnie na wylot i wwiercały się w różne zakamarki mojego umysłu; analizowała moją twarz i ciało i nie byłam pewna, czy porównywała je ze swoimi, czy znalazła coś, co sama chciałaby posiadać.

– Niech go pani zostawi w spokoju – powiedziałam. – Stara się pani zabić w nim ducha. Tylko o to chodzi, bo nie jest pani w stanie go kontrolować.

– Nikt nigdy nie był w stanie go kontrolować – odparła. – Dlatego przydzielono go mnie.

– Przydzielono?

– Detektyw Anderson to świeża krew. Bóg jeden wie, jak bardzo ten wydział potrzebuje świeżej krwi.

– Detektyw Anderson jest niedouczone i jest tchórzem – oświadczyłam.

– Ależ na pewno z twoim niesamowitym doświadczeniem możesz tolerować kogoś nowego i trochę go poduczyć, Kay?

– Nie można nauczyć kogoś, kto niczym się nie przejmuje.

– Podejrzewam, że słuchałaś Marina. Jego zdaniem nikt nie jest odpowiednio wyszkolony, pojętny i nie przejmuje się dostatecznie, aby robić to co on.

Miałam jej już dosyć. Ustawiłam się w odpowiedniej pozycji, żeby w pełni wykorzystać kierunek wiatru. Przysunęłam się do niej, żeby mogła własnym nosem poznać rzeczywistość.

– Niech pani mi więcej tego nie robi, komendant Bray – powiedziałam. – Niech pani więcej nie wzywa mnie ani kogokolwiek z mojego biura, żeby potem nas udupić z jakąś smarkatą, która nawet sobie nie zadała trudu, żeby zebrać dowody. I proszę do mnie nie mówić Kay.

Odsunęła się, czując, jak cuchnę, ale przedtem się wzdrygnęła.

– Spotkamy się kiedyś na obiedzie – odprawiła mnie, przywołując natychmiast swego kierowcę.

– Simmons? O której mam następne spotkanie? – zapytała, spoglądając na statek i wyraźnie ciesząc się z zainteresowania, jakie wzbudzała.

Miała zwyczaj wykonywania uwodzicielskich gestów: masowała sobie dół pleców, wkładała ręce w tylne kieszenie lub wygładzała krawat, spływający po jej wypukłościach.

Simmons był przystojny i zgrabny, ale trzęsły mu się ręce, gdy wyciągnął zwiniętą kartkę. Przysunęła się do niego, a on odchrząknął.

– Druga piętnaście, pani komendant.

– Chwileczkę. – Nachyliła się, dotykając jego ramienia, i powoli oglądając swój rozkład, zaczęła narzekać:

– Och Boże, znów ten idiota z rady szkolnej!

Simmons przestąpił z nogi na nogę. Z czoła spłynęła mu kropla potu. Wyglądał na przerażonego.

– Zadzwoń tam i odwołaj – poleciła mu szefowa.

– Tak jest, pani komendant.

– A zresztą, nie wiem. Może powinnam to tylko przesunąć.

Wzięła do ręki terminarz, ocierając się znów o ramię Simmons'a jak rozmarzona kotka. Zdumiała mnie wściekłość na twarzy detektywa

Anderson. Marino dogonił mnie, gdy szłam do samochodu.

– Widziałaś, jak się puszy? – spytał.

– Nie uszło to mojej uwagi.

– Nie myśl, że o tym nie mówią. Ta suka to trucizna.

– Co o niej wiadomo?

Marino wzruszył ramionami.

– Nigdy nie wyszła za męża, bo nikt nie był dość dobry. Podobno pieprzy się z różnymi żonatymi facetami, którzy mają władzę. Zawsze chodzi jej o władzę. Mówią, że chce być następnym sekretarzem Bezpieczeństwa Publicznego, więc każdy glina będzie musiał jej się podlizywać.

– To nigdy nie nastąpi.

– Nie bądź taka pewna. Ma wysoko postawionych przyjaciół we władzach Wirginii i dlatego nam ją przysłano. Ułożyła sobie jakiś plan, to nie ulega wątpliwości. Takie żmije jak ona zawsze robią plany.

Otworzyłam bagażnik, wykończona i przygnębiona dzisiejszymi wydarzeniami.

– Chyba nie będziesz się nim dzisiaj wieczorem zajmować, co? – spytał Marino.

– Mowy nie ma – mruknęłam. – To byłoby wobec niego niesprawiedliwe.

Marino spojrzał na mnie pytająco. Czułam, jak na mnie patrzy, gdy zdejmowałam kombinezon, buty i pakowałam w podwójne torby.

– Marino, daj mi, proszę, papierosa.

– Nie wierzę, że znów palisz.

– W tym magazynie jest około pięćdziesięciu milionów ton tytoniu, więc ta woń mnie upaja.

– Ja tego nie czułam.

– Powiedz mi, co jest grane – spytałam, gdy wyciągnął zapalniczkę..

– Widziałaś, co jest grane. Na pewno ci wyjaśniła.

– Tak, ale ja tego nie rozumiem. Diane Bray stoi na czele oddziału umundurowanego, nie dochodzeniówki. Mówi, że nikt nie mógł ciebie opanować, więc sama postanowiła zająć się tym problemem. Dlaczego? Kiedy tu przyszła, nie byłeś nawet w jej oddziale. Dlaczego stałeś się dla niej taki ważny?

– Może uważa, że jestem słodki?

– Tak, chyba o to chodzi – zgodziłam się chętnie.

Wypuścił dym, jakby gasił świeczki urodzinowe, i spojrzał na swój podkoszulek, jak gdyby zapomniał, że go nosi. Potężne łapy miał wciąż w talku od rękawic chirurgicznych. W pierwszej chwili wydał mi się samotny i pokonany, ale zaraz zaczął się znów zachowywać cynicznie i obojętnie.

– Wiesz – powiedział – jakbym chciał, mógłbym już iść na emeryturę i wyciągać czterdzieści patoli rocznie.

– Przyjdź na kolację, Marino.

– Dodając do nich to, co mógłbym dorobić za jakieś konsultacje ochroniarskie czy coś w tym rodzaju, mógłbym nieźle żyć. Nie musiałbym szuflować tego gówna dzień po dniu z różnymi gnidami, które wyłażą nie wiadomo skąd i wydaje im się, że wszystko wiedzą.

– Polecono mi, żebym cię zaprosiła.

– Kto? – zapytał podejrzliwie.

– Dowiesz się, jak przyjdiesz.

– Co to wszystko, do diabła, znaczy? – Spojrzał na mnie spode łba.

– Na miłość boską, idź się wykapać i włóż na siebie coś innego, żebyś nie wypłoszył całego miasta. A potem przyjeźdź. Koło wpół do siódmej.

– Na wypadek gdybyś nie wiedziała, pani doktor, to ja pracuję. W tym tygodniu na zmianie trzecia do jedenastej, w przyszłym jedenasta do siódmej. Jestem nowym dowódcą patroli w całym tym cholernym mieście,

a jedyną porą, kiedy potrzebny jest cholerny dowódca patroli, jest ta, kiedy inni szefowie nie są na służbie, czyli wieczorna zmiana, zmiana od północy i weekendy. Czyli jedyna kolacja, jaką mogę zjeść do końca życia, to w samochodzie.

– Masz radio – uspokoiłam go. – Mieszkam w granicach miasta, więc nie jest to poza twoim okręgiem. Przyjedź, a jak cię wywołają, to cię wywołają.

Wsiadłam do samochodu i uruchomiłam silnik.

– Nie wiem... – zaczął mówić.

– Proszono mnie... – chciałam jeszcze coś powiedzieć, ale łyzy zaczęły mi się niebezpiecznie gromadzić pod powiekami. – Miałam do ciebie telefonować, kiedy ty zadzwoniłeś.

– Co? To nie ma sensu. Kto cię prosił? O co? Czy Lucy jest w mieście?

Wydawał się zadowolony, że to ona o nim pomyślała, jakby wizyta u mnie nie miała znaczenia.

– Chciałabym, żeby była. Do zobaczenia o wpół do siódmej?

Zastanawiał się jeszcze chwilę, walcząc z muchami. Cuchnął strasznie.

– Marino, naprawdę musisz przyjść – oświadczyłam, odchrząkując. – To dla mnie bardzo ważne. Bardzo osobiste i bardzo ważne. – Trudno mi było to wykrztusić. Chyba jeszcze nigdy mu nie mówiłam, że potrzebuję go w prywatnej sprawie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się do kogoś zwracałam, poza Bentonem. – Naprawdę – dodałam.

Zgniół nogą papierosa, aż pozostał tylko ślad tytoniu i papierowy proszek. Zapalił nowego, wodząc dookoła wzrokiem.

– Wiesz co, pani doktor, muszę z tym skończyć. Te bary i kukurydza. Dobra, zależy, co ugotujesz.

Rozdział 6

Marino poszedł poszukać jakiegoś natrysku, a mój nastrój wyraźnie się poprawił, jakby minął mi jakiś skurcz. Kiedy dojechałam pod dom, wyjęłam z bagażnika torbę z rzeczami używanymi przy pracy i rozpoczęłam swój zwykły rytuał dezynfekcji, jaki towarzyszył mi przez całe prawie życie zawodowe.

W garażu wrzuciłam torby i buty do zlewu z wrzącą wodą, detergentem i płynem dezynfekującym. Wrzuciłam kombinezon do pralki, a torby i buty wypłukałam, używając drewnianej łyżki na długim trzonku. Zdezynfekowane torby wsunęłam w dwie. czyste, a następnie włożyłam do zamykanego szczelnie pojemnika, buty ustawiłam na półce, żeby schły. Wszystko, co miałam na sobie, począwszy od dzinsów, na bieliźnie skończywszy, również trafiło do pralki. Znów detergenty i płyn odkażający i popędziłam naga przez cały dom pod prysznic. Szorowałam się dokładnie phisodermem, nie zapominając o wnętrzu uszu, nosa i skórze pod paznokciami. Wymyłam dokładnie zęby.

Siedziałam na ławeczce, gorąca woda leciała mi na głowę i szyję i wspominałam, jak ręce Bentona masowały moje mięśnie i ścięgna. Mówił zawsze, że je rozplątuje. Jego brak odczuwałam niczym ból fantomowy. Wspomnienia były wciąż żywe i pomyślałam, ile bym dała za to, żeby było jak wtedy. Żal nie mijał, ale gdyby minął, oznaczałoby to akceptację.

Powtarzałam to zawsze rodzinom w żałobie i przyjaciołom. Włożyłam spodnie khaki, mokasyny i koszulę w niebieskie paski i puściłam sobie płytę z Mozartem. Podlałam rośliny i oberwałam uschnięte listki. Powycierałam i poustawiałam wszystko, co tego wymagało, i usunęłam z pola widzenia rzeczy związane z pracą. Zadzwoiłam do mamy w Miami, bo wiedziałam, że w poniedziałki gra w bingo, więc wystarczy nagrać się na sekretarkę. Nie włączyłam wiadomości, gdyż nie chciałam, żeby mi przypominano o tym, co z takim trudem usiłowałam z siebie zmyć. Nalałam sobie podwójną szkocką i poszłam do gabinetu. Zapaliłam światło i przebiegłam wzrokiem po półkach. Książki medyczne i naukowe, teksty astronomiczne, encyklopedie, różne poradniki ogrodnicze, leksykony: flora, fauna, owady, skały i minerały, a nawet narzędzia. Znalazłam słownik francuski i położyłam na biurku. *Loup* to był wilk, ale nie znalazłam słowa *garou*.

Usiłowałam wymyślić, jak z tego wybrnąć, aż wpadłam na świetny pomysł.

La Petite France była jedną z najelegantszych restauracji w mieście i choć wiedziałam, że w poniedziałki wieczorem jest nieczynna, zadzwoniłam do jej szefa do domu, gdyż znałam dobrze i jego, i żonę. Odebrał osobiście, uprzejmy i miły jak zawsze.

- Nie przychodzi pani do nas – powiedział. – Często o tym mówimy.
- Niewiele ostatnio wychodzę.
- Za ciężko pani pracuje, pani Kay.
- Potrzebuję tłumaczenia – wyjaśniłam. – I proszę, żeby to zostało między nami. Ani słowa nikomu.
- Ależ oczywiście.
- Co to jest: *loup-garou*?

– Pani Kay, chyba pani ma makabryczne sny! – wykrzyknął, rozbawiony. – Cieszę się, że to nie pełnia! *Le loup-garou* znaczy „wilkołak”!

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

– We Francji setki lat temu, jeśli kogoś uważano za *loup-garou*, to go wieszano. Wie pani, sporo napisano na ten temat.

Spojrzałam na zegarek: szósta piętnaście. Marino przyszedł wcześniej, a ja byłam nieprzygotowana.

– Dziękuję – powiedziałam do mego przyjaciela restauratora. – Niedługo do państwa przyjdę, obiecuję.

Znów zadzwonił dzwonek.

– Idę – zawołałam przez domofon do Marina.

Wyłączyłam alarm i wpuściłam go do środka. Miał na sobie czysty mundur, uczesany był starannie i wylał na siebie mnóstwo wody po goleniu.

– Wyglądasz trochę lepiej, niż kiedy cię ostatnio widziałam – pochwaliłam go w drodze do kuchni.

– Wygląda, jakbyś trochę posprzątała w tej budzie – odwzajemnił się, gdy przechodziliśmy przez duży pokój.

– Czas najwyższy.

Weszliśmy do kuchni, a on usiadł na swym zwykłym miejscu przy stole koło okna. Patrzył na mnie z ciekawością, gdy wyjmowałam z lodówki czosnek i szybko rosnące drożdże.

– To co będziemy jedli? Mogę zapalić?

–Nie.

– Ty palisz.

– To mój dom.

– Może otworzę okno i będę wydmuchiwać dym na zewnątrz.

– Zależy, w którą stronę wieje wiatr.

– Mogę włączyć wentylator pod sufitem i zobaczymy, czy pomoże.

Czuję czosnek.

– Pomyślałam, że możemy zjeść pizzę.

Przesunęłam puszki i garnki w spiżarni, szukając rozdrobnionych pomidorów i mąki.

– Monety, które znaleźliśmy, są angielskie i niemieckie – powiedział. – Dwa funty i jedna marka. Ale teraz dopiero robi się ciekawie. Kręciłem się jeszcze po tym porcie trochę dłużej, kąpałem się i tak dalej. A oni nie tracili czasu, tylko zaraz zaczęli wynosić kartony i sprzątać w tym kontenerze. Zobaczysz, sprzedadzą te części do aparatów, jakby nigdy nic.

Wymieszałam w misce pół paczki drożdży z ciepłą wodą i miodem i sięgnęłam po mąkę.

– Jestem głodny jak diabli.

Jego radio stało na stole, wydając z siebie dźwięki dziesięciu kodów i numery jednostek. Zdjął krawat i odpiął pas z całym wyposażeniem. Zaczęłam zagniatać ciasto.

– Krzyż mnie boli, pani doktor – narzekał Marino. – Masz pojęcie, co to znaczy dźwigać w pasie dziesięć kilogramów tego gówna?

Humor mu się wyraźnie poprawiał, gdy patrzył, jak podsypuję ciasto mąką na stolnicy.

– *Loup-garou* to po francusku wilkołak – odezwałam się po chwili.

– Co?

– No, człowiek-wilk.

– Cholera, nie znoszę takich rzeczy.

– Nie wiedziałam, że kiedyś miałeś z nimi do czynienia.

– Widziałeś Łona Chaneya, jak mu wyrastała sierść na twarzy, kiedy przychodziła pełnia? Bałem się, jak wszyscy diabli. Rocky zawsze oglądał

„Szokujący teatr”, pamiętasz to?

Rocky był jego synem, jedynym dzieckiem Marina. Nigdy go nie poznałam. Umieściłam ciasto w misce i przykryłam ciepłą, wilgotną szmatką.

– Czy kontaktuje się czasem z tobą? – spytałam ostrożnie. – A co na Boże Narodzenie? Zobaczysz się z nim? – Marino nerwowo pukał papierosem w popielniczkę. – Wiesz chociaż, gdzie mieszka?

– Tak, jasne, że tak.

– Zachowujesz się, jakbyś go w ogóle nie lubił – zauważyłam.

– Może i nie lubię.

Przejrzałam półkę z winami, żeby wybrać jakieś dobre czerwone. Marino wciągał głęboko dym i głośno go wydychał. Nie miał już nic więcej do powiedzenia na temat Rocky’ego.

– Pewnego dnia porozmawiasz ze mną o nim – oświadczyłam, wlewając rozdrobnione pomidory do garnka.

– Wiesz o nim tyle, ile trzeba – odparł.

– Kochasz go, Marino.

– Mówię ci, że nie kocham. Żałuję, że się w ogóle urodził. Że w ogóle go zobaczyłem.

Wyglądał przez okno, wychodzące na tyły ogrodu, nad którym zapadała ciemność. Wydało mi się w tym momencie, że w ogóle nie znam mego przyjaciela. W mojej kuchni siedział jakiś obcy facet w mundurze i miał syna, którego nigdy nie widziałam i o którym nic nie wiem. Marino nie spojrzał mi w oczy ani nie podziękował, gdy postawiłam przed nim filiżankę kawy.

– Chcesz orzeszki albo chrupki? – spytałam.

– Nie – odpowiedział. – Myślałem o tym, żeby przejść na dietę lub coś w tym guście.

- Myślenie nic tu nie pomoże, to naukowo udowodniony fakt.
- Czy zawieszysz wokół szyi czosnek, czy coś takiego, kiedy będziesz kroić naszego zmarłego wilkołaka? Bo wiesz, jak cię ugryzie, to sama się taka staniesz. To jak AIDS.
- To nie jest nic podobnego i proszę, żebyś już zszedł z tematu AIDS.
- Myślisz, że sam to napisał na pudełku?
- Nie możemy zakładać, że pudło i to, co było tam napisane, są z nim związane, Marino.
- *Milej podróży, wilkołak.* Tak, zawsze tak jest napisane na kartonach z aparatami fotograficznymi. Zwłaszcza na tych w pobliżu zwłok.
- Lepiej wróćmy do Diane Bray i twojej nowej kolekcji mody – powiedziałaś. – Zaczynaj od początku. Co zrobiłaś, że jest taką twoją wielbicielką?
- Zaczęło się chyba dwa tygodnie po tym, jak tu przyjechała. Pamiętasz ten przypadek z powieszeniem na tle erotycznym?
- Tak.
- No więc ona się tam pojawia i zaczyna wszystkim mówić, co mają robić, jakby była detektywem. Przegląda „świerszczyki”, którymi facet się zabawiał, zanim się powiesił w tej swojej skórzanej masce. Zaczyna zadawać pytania żonie.
- O rany!
- Więc mówię, żeby sobie poszła, bo tu przeszkadza i tylko wszystko spieprzy, a następnego dnia wzywa mnie do swojego biura. Przypuszczam, że będzie się pieklić o wczoraj, a ona nic, tylko wypytuje mnie, co sądzę o wydziale detektywistycznym. – Łyknął kawy i wsypał jeszcze dwie łyżeczki cukru. – Ale rzecz w tym, że tak naprawdę wcale się tym nie interesowała. Wiedziałem, że czegoś chce. Nie kierowała dochodzeniówką, więc co ją obchodził wydział detektywistyczny?

Nalałam sobie kieliszek wina.

– Więc czego chciała? – spytałam.

– Chciała porozmawiać o tobie. Zaczęła mi zadawać tysiące pytań, powiedziała, że wie, że od dawna jesteśmy „partnerami w zbrodni”, jak to ujęła.

Sprawdziłam ciasto, a potem sos.

– Wypytywała mnie o różne detale, co gliny o tobie myśla.

– I co jej powiedziałaś?

– Że jesteś lekarzem-prawnikiem, indiańskim wodzem o ilorazie inteligencji znacznie wyższym niż moja pensja, że wszystkie gliny się w tobie kochają, kobiety też. Zaraz, i co jeszcze?

– To już chyba było dosyć.

– Pytała o Bentona, co się z nim stało i jaki to ma wpływ na twoją pracę.

– Ogarnęła mnie wściekłość. – Zaczęła mnieypytywać o Lucy, czemu odeszła z FBI i czy to dlatego, że jest taka zmienna?

– Ta kobieta ma już u mnie przechlapane – ostrzegłam.

– Powiedziałem, że Lucy odeszła z biura, bo w NASA zaproponowano jej, aby została astronautą – ciągnął Marino. – Lecz kiedy zaczęła program kosmiczny, doszła do wniosku, że woli helikoptery i zgłosiła się jako pilot do ATF, sił transportu powietrznego. Bray chciała, żeby ją zawiadomić, kiedy następnym razem Lucy będzie w Richmondzie, bo chciałyby się z nią spotkać i może ją zaangażować. Powiedziałem, że to tak, jakby zaproponować Billie Jean King, żeby biegła po piłki. I jak się skończyło? Gównu Bray powiedziałem poza tym, że nie jestem jej asystentem do spraw towarzyskich. Za tydzień znów musiałem wepchnąć tyłek w mundur.....

Sięgnęłam po swoją paczkę i poczułam się jak ćpun. Paliliśmy w moim domu, przy wspólnej popielniczce, milczący i sfrustrowani. Starłam się nie kipieć nienawiścią.

– Myślę, że ci zazdrości jak cholera, to jasne jak słońce – odezwał się w końcu Marino. – Ona, taka ważniaczka, przyjeżdża tu z Waszyngtonu, a gdzie się ruszy, słyszy tylko o słynnej doktor Scarpetcie. Miała niezłą radochę, żeby nas oboje zgnoić. Poczwała władzę. – Zgniótł niedopałek w popielniczce. – Pierwszy raz, odkąd tu przyjechałaś, ty i ja nie pracujemy razem – powiedział, gdy drugi raz dzisiejszego wieczoru zadzwonił dzwonek.

– Kto to, do diabła, może być? Zaprosiłeś jeszcze kogoś i nic mi nie powiedziałaś? – spytałam.

Wstałam i spojrzałam na ekran na kuchennej ścianie. Patrzyłam z niedowierzaniem na obraz, uchwycony przez kamerę przy frontowych drzwiach.

– Chyba śnię – powiedziałam.

Rozdział 7

Lucy i Jo wydały mi się zjawami, które nie mogły być osobami z krwi i kości. Jeszcze osiem godzin temu przemierzały ulice Miami, teraz były w moich ramionach.

– Nie wiem, co powiedzieć – powtórzyłam chyba z pięć razy, gdy rzucały torby na podłogę.

– Co się, tu do diabła, dzieje? – zahuczał Marino, wychodząc do nas z dużego pokoju. – A co ty tu właściwie robisz? – pytał Lucy, jakby zrobiła coś złego. Nigdy nie potrafił okazywać uczuć normalnie. Im bardziej był szczęśliwy, widząc moją siostrzenicę, tym głośniej gderał i prawił złośliwości. – Już cię stamtąd wywalili? – spytał.

– A to ma być dowcip? – równie głośno odparowała Lucy, chwytając go za rękaw od koszuli mundurowej. – Chcesz nas nareszcie przekonać, że jesteś prawdziwym gliną?

– Marino – odezwałam się, gdy szliśmy do kuchni – chyba nie znasz jeszcze Jo Sanders.

– Nie-e.

– Opowiadałam ci o niej.

Spojrzał na Jo pozornie niewidzącym wzrokiem. Była atletycznie zbudowaną rudawą blondynką o ciemnoniebieskich oczach i wiedziałam, że mu się podoba.

– On dobrze wie, kim jesteś – zwróciłam się do Jo. – Nie chce być niegrzeczny, tylko jest sobą.

– Pracujesz? – spytał ją Marino, wyciągając z popielniczki dopalającego się papierosa, żeby jeszcze raz się zaciągnąć.

– Jak nie mam innego wyjścia – odpowiedziała Jo.

– A co robisz?

– Trochę latam na black hawkach. Zasadzki narkotykowe. Nic specjalnego.

– Nie mów, że ty i Lucy jesteście w tym samym oddziale terenowym w Ameryce Południowej.

– Ona jest w DEA, brygadzie antynarkotykowej – oświadczyła Lucy.

– Nie bujasz? – zwrócił się Marino do Jo. – Wydajesz się trochę za delikatna na DEA.

– Poszli na ilość – wyjaśniła Jo.

Otworzył lodówkę i szperał w niej, aż znalazł piwo Red Stripe. Zdjął kapsel i zaczął żłopać.

– Napoje na koszt firmy! – zawołał.

– Marino, co ty robisz! – mitygowałam go. – Przecież jesteś na służbie.

– Już nie. Zaraz ci pokażę, jak się to robi. – Odstawił butelkę na stół i wystukał numer. – Mann, słuchaj no – powiedział do słuchawki. – Taa, taaa. Słuchaj, nie żartuję, ale czuję się gówniano. Mógłbyś mnie dziś wieczorem zastąpić? Odwdzięczę się.

Marino mrugnął do nas, skończył rozmowę, włączył urządzenie głośno mówiące i znów wystukał numer. Telefon został odebrany natychmiast.

– Bray – oznajmiła w mojej kuchni Diane.

– Pani zastępco komendanta, mówi Marino – odezwał się głosem kogoś umierającego na ciężką gruźlicę. – Przepraszam, że niepokoję panią w domu.

Odpowiedziała mu cisza, ponieważ świadomie zdenerwował swoją bezpośrednią przełożoną, zwracając się do niej per „zastępco komendanta”. Zgodnie z protokołem do zastępców mówi się „komendancie”, a do samego komendanta, „pułkowniku”. Dzwonienie do szefowej do domu też nie przysporzyło mu punktów.

– O co chodzi? – spytała ostro Diane Bray.

– Czuję się okropnie – rzęził Marino. – Wymioty, gorączka, wszystko. Muszę się odmeldować z powodu choroby i położyć.

– Nie byłeś chory, kiedy cię widziałam kilka godzin temu.

– To przyszło nagle. Mam tylko nadzieję, że czegoś nie złapałem... Podbiegłam i napisałam mu w notesie „streptococcus” i „clostridia”.

– ...Jakiś strep... czy clostridia, tam na miejscu wypadku. Lekarz, do którego dzwoniłem, ostrzegł mnie w związku ze zbliżaniem się do tych zwłok i tak dalej...

– Kiedy się kończy twoja służba?

– O jedenastej.

Lucy, Jo i ja byliśmy czerwone, dusząc się z powstrzymanego śmiechu.

– Mało prawdopodobne, żebym znalazła teraz kogoś o tej porze – chłodno odpowiedziała Bray.

– Ja już rozmawiałem z porucznikiem Mannem z trzeciego posterunku. Będzie tak miły i przejmie za mnie resztę służby – poinformował ją Marino słabym głosem, gdyż jego zdrowie pogarszało się z minuty na minutę.

– Powinieneś mnie wcześniej zawiadomić – warknęła Bray:

– Miałem nadzieję, że dam radę.

– Jedź do domu. Chcę cię jutro widzieć w swoim biurze.

– Jeśli tylko będę się lepiej czuł, na pewno wpadnę, pani zastępco komendanta. Niech się pani trzyma, mam nadzieję, że nie złapała pani tego,

co ja.

Odłożyła słuchawkę.

– Jaka milutka – powiedział Marino wśród naszego śmiechu.

– O Boże – wykrztusiła Jo, gdy już wreszcie mogła mówić. – Nic dziwnego, że jej tak nie znoszą.

– Gdzie to słyszałaś? – zmarszczył się Marino. – Gadają o niej w Miami?

– Ja jestem stąd. Z Old Mili, niedaleko Uniwersytetu Richmond.

– Twój tata tam uczy?

– Nie, jest pastorem baptystów.

– O, to musi być zabawne.

– Tak – włączyła się Lucy. – I pomyśleć, że ona się tu wychowywała, a spotkałyśmy się dopiero w Miami. Więc co masz zamiar zrobić z Bray?

– Nic – odrzekł, wysączywszy do dna butelkę piwa i kierując się do lodówki po następną.

– Kurczę, ja na pewno bym coś zrobiła – oświadczyła z głębokim przekonaniem.

– Wiesz, o takich głupotach myśli się, jak się jest młodym. Prawda, sprawiedliwość, amerykański styl. Zaczekaj, aż będziesz w moim wieku.

– Nigdy nie będę w twoim wieku.

Lucy mówiła mi, że jesteś detektywem – zwróciła się do niego Jo. – Więc czemu chodzisz tak ubrany?

– Czas na bajeczkę – odpowiedział Marino. – Chcesz mi usiąść na kolanach?

– Niech zgadnę. Naraziłeś się komuś. Pewnie jej.

– To w DEA uczą cię takiej dedukcji, czy jesteś niezwykle bystra jak na kogoś, kto już prawie dorósł?

Pokroiłam w plasterki pieczarki, zieloną paprykę i cebulę i pokruszyłam pełnotłustą mozzarellę, a Lucy patrzyła.

– Po twoim telefonie dziś rano zadzwonił senator Lord – odezwała się cicho. – Muszę dodać, że wstrząsnęło to całym biurem terenowym.

– No, na pewno.

– Kazał mi natychmiast wsiadać w samolot i przyjeżdżać tutaj...

– Gdybyś tylko mnie tak słuchała. – Znów poczułam się rozdygotana wewnątrz.

– Bo mnie potrzebujesz.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę... – Głos mi się załamał ponownie i jeszcze raz wpadłam w tę ciemną, zimną otchłań...

– Dlaczego nie powiedziałaś, że mnie potrzebujesz?

– Nie chciałam ci przeszkadzać. Jesteś tam taka zajęta. Wydawało mi się, że nie chcesz rozmawiać.

Wystarczyło, żebyś szepnęła „potrzebuję cię”.

– Rozmawiałaś przez komórkę.

– Chcę zobaczyć ten list – odezwała się cicho.

Rozdział 8

Odłożyłam nóż na deskę do krojenia i wytarłam rękę. Lucy mogła teraz spojrzeć mi w oczy i zobaczyć w nich ból i strach. – Chcę go przeczytać tylko z tobą – powiedziała. Skinęłam głową. Poszłyśmy obie do mojej sypialni i tam wyjęłam list z sejfu.

Usiadłyśmy na łóżku i zauważyłam, że spod prawej nogawki spodni wystaje jej kabura, w której trzymała sig-sauera 232. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, gdy pomyślałam, co powiedziałyby o tym Benton. Oczywiście, pokręciłyby głową i zaczęłyby opowiadać jakieś psychologiczne bajery, od których konałybyśmy ze śmiechu.

Ale jego teorie nie były bezpodstawne. Zdawałam sobie sprawę z tego, że obserwuję teraz stronę ciemniejszą, która może wróżyć nieszczęście. Lucy zawsze była zagorzałą zwolenniczką samoobrony. A od czasu zamordowania Bentona stała się wręcz ekstremistką.

– Jesteśmy w domu – powiedziałam. – Dlaczego nie dasz tej nodze odpocząć?

– Jedyнным sposobem, żeby się do tego przyzwyczaić, jest nosić broń jak najdłużej – odpowiedziała. – Zwłaszcza stal nierdzewną. Jest znacznie cięższy.

– To dlaczego nosisz stal?

– Wolę, zwłaszcza tam, przy tej wilgoci i słonej wodzie.

– Lucy, jak długo będziesz jeszcze brać udział w tej akcji pod przykryciem? – wybuchnęłam.

– Ciociu Kay – spojrzała mi w oczy i położyła rękę na ramieniu – nie zaczynamy od nowa.

– Po prostu...

– Wiem, po prostu nie chcesz kiedyś dostać takiego listu ode mnie. – Trzymała kartkę kremowego papieru pewnymi rękami.

– Nie mów tak – odpowiedziałam przerażona.

– A ja nigdy nie chcę takiego od ciebie – dodała.

Słowa Bentona miały taką sama moc i były równie żywe, jak dziś rano, kiedy senator Lord przywiózł list. Znów słyszałam głos Bentona, widziałam jego twarz i miłość w oczach. Lucy czytała bardzo powoli. Kiedy skończyła, przez chwilę nie mogła mówić. W końcu się odezwała:

– Nigdy w życiu nie przysyłaj mi czegoś takiego. Nie chcę. – Głos jej drżał z emocji i bólu. – Jaki jest tego sens? Żeby znów kogoś zasmucić? – powiedziała, wstając z mojego łóżka.

– Lucy, wiesz, jaki to ma sens. – Otarłam łzy i objęłam ją. – Gdzieś w głębi serca wiesz.

Zaniosłam list do kuchni, żeby Marino i Jo też przeczytali. Jego reakcja była taka, że siedział bez słowa, wpatrując się w noc za oknem, i trzymał duże dłonie nieruchomo na kolanach. Ona wstała i ruszyła do salonu niepewna, gdzie się podziąć.

– Naprawdę powinnam wyjść – powtórzyła kilka razy, gdy ją powstrzymaliśmy. – Chciał, żebyście byli we trójkę. Nie sądzę, że powinnam tu zostać.

– Gdyby cię znał, chciałby, żebyś też tu była – powiedziałam.

– Nikt nie opuszcza kuchni – odezwał się Marino jak prawdziwy gliniarz, wchodzący do pomieszczenia pełnego podejrzanych. – Dotyczy to

nas wszystkich, do cholery. – Wstał od stołu i potarł dłońmi twarz. – Trochę żałuję, że on to napisał. – Popatrzył na mnie. – Ty byś mi to zrobiła, pani doktor? Bo jeżeli coś takiego chodzi ci po głowie, to od razu mówię, zapomnij o tym. Nie chcę żadnego słowa z za grobu, jak odejdiesz.

– Pieczemy pizzę – powiedziałam.

Wyszliśmy na patio i przełożyłam ostrożnie ciasto z blachy na ruszt, posmarowałam sosem, posypałam pokrojoną wędliną, jarzynami i serem na wierzchu. Marino, Lucy i Jo usiedli na metalowych bujanych fotelach, bo nie chciałam, żeby mi pomagali. Próbowali podtrzymywać rozmowę, ale żadne nie miało do tego serca. Pokropiłam pizzę oliwą ostrożnie, aby nie kapnąć na węgle.

– Nie sądzę, że zebrał was razem po to, żebyście siedzieli tu przygnębieni – odezwała się w końcu Jo.

– Ja nie jestem przygnębiony – zaprotestował Marino.

– Owszem, jesteś – zaoponowała Lucy.

– Czym, mądralo?

– Wszystkim.

– Przynajmniej nie boję się przyznać, że mi go brakuje.

Lucy spojrzała na niego z niedowierzaniem. W tym pojedynku pojawiła się już pierwsza kropla krwi.

– Nie mogę uwierzyć, że to mówisz.

– Uwierz. Był, cholera, jedynym ojcem, jakiego kiedykolwiek miałaś, a nigdy nie słyszałem, żebyś powiedziała, że ci go brakuje. Dlaczego? Bo wciąż uważasz, że to twoja wina, tak?

– Co się z tobą dzieje?

– Zgadnij co, agentko Lucy Farinelli. – Marino nie chciał przestać. – To nie twoja wina. To wina pieprzonej Carrie Grethen i choćbyś ją nie wiem ile razy wysadziła w powietrze pod samo niebo, nigdy nie będzie dla ciebie

wystarczająco martwa. To tak działa, jeżeli się kogoś tak okropnie nienawidzi.

– A ty jej nie nienawidzisz? – odparowała Lucy.

– Do diabła! – Marino wysączył resztkę piwa. – Nienawidzę jej bardziej niż ty.

– Chyba Bentonowi nie chodziło o to, żebyśmy tu siedzieli i opowiadali, jak bardzo nienawidzimy jej albo kogokolwiek – wtrąciłam.

– Jak pani sobie z tym radzi, pani doktor? – spytała Jo.

– Chciałabym, żebyś mówiła do mnie „Kay”. – Powtarzałam jej to już wiele razy. – Jakoś żyję. To jedyne, co mogę zrobić.

Słowa te zabrzmiały banalnie, nawet w moich uszach. Jo nachyliła się i spojrzała na mnie w świetle ognia, jakbym znała odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie chciała w życiu zadać.

– Jak żyjesz? – spytała. – Jak ludzie żyją z wszystkimi tymi okropieństwami, z jakimi mamy na co dzień do czynienia? My jesteśmy jednak po drugiej stronie, nam się to nie zdarza. Zamykamy drzwi i nie musimy patrzeć na płamę na podłodze w miejscu, gdzie czyjaś żona została zgwałcona i zakłuta nożem, albo roztrzaskano mózg czyjemuś mężowi. Żyjemy w przekonaniu, że pracujemy nad sprawami, lecz my sami nigdy nie będziemy owymi sprawami. Ale ty już teraz wiesz. – Cienie od ognia błyskały na jej twarzy, która zdawała się zbyt młoda i czysta, żeby mogła należeć do kogoś tak pełnego wątpliwości.

– Jak dalej żyjesz? – znów spytała.

– Człowiek ma duże możliwości dostosowawcze. – Nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

– Ja się boję – odrzekła Jo. – Cały czas myślę, co ja bym zrobiła, gdyby coś przydarzyło się Lucy.

– Nic mi się nie przydarzy – oświadczyła moja siostrzenica.

Wstała, pocałowała Jo i objęła ją ramionami. Jeśli ten wyraźny znak dotyczący natury ich związku był dla Marina czymś nowym, nie dał tego po sobie poznać. Znał Lucy od dziesiątego roku życia i w pewnym sensie również on wpłynął na to, że została stróżem prawa. Uczył ją strzelać, patrolował z nią ulice, a nawet pozwalał siadać za kółkiem swych kolejnych ukochanych ciężarówek.

Kiedy po raz pierwszy zorientował się, że ona nie zakochuje się w mężczyznach, zachowywał się jak skończony kołtun, może dlatego, że obawiał się, czy nie jest to w pewnym stopniu jego wina. Było to wiele lat temu. Nie przypominam sobie, aby od tamtego momentu padł z jego ust jakiś komentarz dotyczący orientacji seksualnej Lucy.

– Ale codziennie masz do czynienia ze śmiercią – nalegała Jo. – Czy nie przypomina ci się... to, co zaszło, kiedy widzisz, jak dotyka ona innych? Ja... ja nie chcę się tak bać śmierci.

– Nie mam żadnej cudownej metody – odpowiedziałam, wstając. – Poza tym, że człowiek uczy się żyć, nie myśląc za wiele.

Pizza bulgotała, więc podłożyłam pod nią łopatkę.

– Pysznie pachnie – odezwał się Marino, patrząc z niepokojem. – Myślisz, że wystarczy?

Zrobiłam drugą i trzecią, rozpaliłam w kominku i siedzieliśmy przed nim w dużym pokoju, przy wygaszonych światłach. Marino pozostał przy piwie, my piłyśmy białego burgunda, lekkiego i orzeźwiającego.

– Może powinnaś sobie kogoś znaleźć? – odezwała się Lucy, na której twarzy tańczyły światło i cienie płomieni.

– Cholera! – wybuchnął Marino. – Co to ma być? Randka w ciemno? Jeśli Kay będzie chciała porozmawiać z tobą o tak osobistych sprawach, to sama zacznij. Nie powinnaś pytać. To nieładnie.

– Życie nie jest ładne – odparła Lucy. – A co cię to obchodzi, jeżeli zabawi się w randkę w ciemno?

Jo w milczeniu patrzyła w ogień. Miała już tego dosyć. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie byłoby lepiej, gdybym ten wieczór spędziła sama. Nawet Benton nie zawsze miał rację.

– Pamiętasz, jak Doris cię zostawiła? – drażzyła Lucy. – A jakby ludzie cię o nic nie pytali? Gdyby nikogo nie obchodziło, co masz zamiar dalej robić i czy jakoś sobie radzisz? Sam na pewno nic byś nie powiedział. Podobnie z tymi idiotkami, z którymi potem chodziłeś. Za każdym razem, jak się z którąś nie udawało, przyjaciele musieli wychodzić ze skóry, żeby coś z ciebie wyciągnąć.

Marino postawił butelkę po piwie przed kominkiem tak mocno, że obawiałam się, że pęknie płytka.

– Może czas, żebyś już trochę wyoroślała? – warknął. – Masz zamiar czekać do trzydziestki, zanim przestaniesz być upartym rozpuszczonym bachorem? Idę po następne piwo. – Wszedł już z pokoju, lecz dalej dogadywał: – I jeszcze coś ci powiem. To, że pilotujesz helikoptery, znasz się na komputerach, szalejesz na siłowni i robisz inne głupoty, nie znaczy wcale, że jesteś lepsza ode mnie!

– Wcale nie powiedziałam, że jestem lepsza od ciebie! – wrzasnęła za nim Lucy.

– Jasne, że nie! – Rozległ się jego głos z kuchni.

– Różnica między tobą a mną jest taka, że ja robię to, co chcę! – krzyczała. – Nie uznaję ograniczeń.

– Woda sodowa ci uderzyła, wielka agentko.

– I teraz doszliśmy do sedna sprawy – oświadczyła Lucy, gdy pojawił się z powrotem, połykając piwo. – Ja jestem agentem federalnym i zwalczam prawdziwe wielkie przestępstwa na wielkich ulicach wielkiego świata. A ty

jeździsz sobie po mieście w mundurze, pilnując gliny o różnych porach dnia i nocy.

– A ty lubisz sobie postrzelać, bo żałujesz, że nie masz ptaszka!

– Żebym była czym? Trójnogiem?

– Dostyc już! – wykrzyknęłam. – Pwinniście się wstydzić. Żeby tak się zachowywać! I to właśnie...

Głos mi się załamał i łzy zaszczypały w oczach. Przecież postanowiłam, że nie stracę już więcej panowania nad sobą, a teraz byłam przerażona, bo nie mogłam nic na to poradzić. Odwróciłam wzrok. Zapanowało głębokie milczenie. Ogień trzaskał. Marino wstał, otworzył ekran i poruszał w popiele pogrzebaczem. Dorzucił kolejną szczapę.

– Nie znoszę Bożego Narodzenia – powiedziała Lucy.

Rozdział 9

Następnego dnia Lucy i Jo wylatywały wcześniej rano, a ja nie mogłam znieść myśli o pustce, jaka powróci, gdy wyjdą, a ja zamknę drzwi. Wzięłam więc teczkę i wyszłam z nimi. Wiedziałam, że czeka mnie ciężki dzień.

– Żałuję, że musicie jechać – powiedziałam. – Ale gdybyście tu zostali ze mną, Miami mogłoby nie przeżyć ani jednego dnia.

– Miami pewnie i tak nie przeżyje – odparła Lucy. – Lecz płacą nam za to, żeby walczyć w przegranej wojnie. Właściwie to trochę jak w Richmondzie. Boże, czuję się podle.

Obie miały na sobie podarte džinsy i wymięte koszule i jedyne, co zrobiły, to wtarły we włosy trochę żelu. Wszystkie byłyśmy zmęczone i miałyśmy kaca. Światła uliczne już pogasły, bo robiło się szaro, nie widziałyśmy się jednak dokładnie, w mroku dostrzegałyśmy tylko sylwetki, błyszczące oczy i parujące oddechy. Było zimno. Mróz na naszych samochodach wyglądał jak koronki.

– Tylko Stosześćdziesiątkipiątki nie przeżyją – odezwała się Lucy, bardzo ważna. – A ja na to czekam z niecierpliwością.

– Kto? – spytałam.

– To dupki handlujące bronią, na których polujemy. Pamiętasz, mówiłam ci, że tak ich nazywamy, bo ich ukochaną amunicją jest speer gold dot, sto

sześćdziesiąt pięć granów. Naprawdę mocna rzecz. Jak zresztą i inne ich zabaweczki: AR-piętnastki, karabiny dwieście dwadzieścia trzy, w pełni automatyczne gówna rosyjskie i chińskie, które przychodzą z Brazylii, Wenezueli, Kolumbii, Puerto Rico. Chodzi o to – ciągnęła – że część broni jest szmuglowana w kawałkach na statkach kontenerowych, na których nikt nie ma o tym pojęcia. Weźmy taki port w Los Angeles. Co półtorej minuty wyładowuje się jeden kontener. Nie ma szans, żeby ktoś to wszystko przeszukiwał.

– O, masz rację. – Głowa mi pękała.

– Bardzo nam pochlebia, że dostałyśmy takie zadanie – dodała sucho Jo.
– Dwa miesiące temu znaleziono w kanale na południowej Florydzie ciało jakiegoś faceta z Panamy związanego z tym kartelem. Kiedy zrobiono sekcję, znaleziono w żołądku jego język, bo rodacy mu go odcięli i kazali połknąć.

– Nie wiem, czy mam ochotę tego słuchać – powiedziałam, a umysł znów zatruwał mi jad.

– Ja jestem Terry – oznajmiła Lucy – a ona Brandy. – Uśmiechnęła się do Jo. – Dziewczyny z uniwersytetu w Miami, które może niekoniecznie go skończyły, ale czy to takie ważne? Spędzałyśmy pracowicie kolejne semestry, ćpając i pieprząc się, poznałyśmy kilka dobrych adresów na domowe naloty. Jesteśmy w przyjacielskich stosunkach z parą Stosześćdziesiątepiątek, wykonujących domowe naloty po broń, gotówkę i narkotyki. Właśnie teraz zastawiamy pułapkę na Fisher Island na faceta, który ma, cholera, tyle broni, że mógłby założyć własny sklep, i tyle koki, że mógłby nią obsypać okolicę, jak śniegiem.

Nie znosiłam, jak mówiła w ten sposób.

– Oczywiście, ofiara również jest pod przykryciem – mówiła dalej Lucy.

Wielkie czarne wrony zaczęły się kłócić. Po przeciwnej stronie ulicy zapaliły się światła. Zauważyłam świeczki w oknach i wianuszki na drzwiach. W ogóle nie myślałam o świętach, a przecież Boże Narodzenie już za niecałe trzy tygodnie. Lucy wyciągnęła z tylnej kieszeni portfel i pokazała mi swoje prawo jazdy. Zdjęcie było jej, ale poza tym nic się nie zgadzało.

– Terry Jennifer Davis – przeczytała. – Biała, kobieta, lat dwadzieścia cztery, sto sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, waga sześćdziesiąt i pół kilograma. To naprawdę dziwne być kimś innym. Powinnaś zobaczyć moją kwaterę tam, ciociu Kay. Mam świetny domek na South Beach i jeżdżę sportowym benzem, dwunastozaworowym, skonfiskowanym w obławie narkotykowej w Sao Paulo. Jest srebrnoszary. A żebyś zobaczyła mojego glocka! Model kolekcjonerski, czterdziestka, stalowa prowadnica, malutki. Można powiedzieć słodki.

Jad zaczął mnie dusić. Przed oczami miałam fioletowe kółka, dłonie i stopy zaczęły mi drętwieć.

– Lucy, może już skończmy z tym przedstawieniem – odezwała się Jo, czując, jak to wszystko na mnie działa. – Czy ty obserwujesz ją podczas wykonywania sekcji? Może Kay nie chce tego wiedzieć.

– Pozwalała mi patrzeć – pochwaliła się Lucy. – Widziałam chyba z sześć. – Jo już też zaczynała mieć tego dosyć. – Okazy dla akademii policyjnej. – Moja siostrzenica wruszyła ramionami. – Nie żadni zarąbani siekierami. – Jej brak wrażliwości mnie zdumiewał: jakby mówiła o restauracjach. – Zwyczajni ludzie, którzy zmarli śmiercią naturalną, albo samobójstwa. Krewni ofiarowali ciała na potrzeby medycyny. – Jej słowa wirowały wokół mnie jak trujący gaz. – Więc się nie przejmują, że wujek Tom czy kuzynka Beth są krojeni przed bandą glin. Zwykle takiej rodziny

nie stać na pochówek, więc mogą coś dostać za ofiarowanie ciała, prawda, ciociu Kay?

– Nie, nieprawda. Ciała ofiarowane przez rodziny do celów naukowych nie są używane do pokazowych sekcji – dodałam. – Co się, na miłość boską, z tobą dzieje? – wrzasnęłam na nią. Na jaśniejącym niebie gołe drzewa wyglądały jak pająki. Obok przejechały dwa cadillaki i czułam, że ludzie na nas patrzą. – Mam nadzieję, że to udawanie twardziela nie wejdzie ci w nałóg – specjalnie mówiłam ostro – bo wygląda to bardzo głupio w wykonaniu pozbawionych uczuć ignorantów. A dla ścisłości, Lucy, pozwoliłam ci obejrzyć trzy sekcje zwłok. Wprawdzie przypadki demonstrowane praktykantom z akademii policyjnej mogły nie być zarabane siekierą, były to jednak istoty ludzkie. Ktoś kiedyś kochał owe osoby, które widziałas. One też miały jakieś uczucia. Bywały zakochane, szczęśliwe, smutne. Jadły obiad, jeździły do pracy i na wakacje.

– Nie chciałam... – zaczęła Lucy.

– Możesz być pewna, że kiedy tych troje biedaków żyło, nie wyobrażali sobie, że skończą w prosektorium, gdzie dwudziestka praktykantów i dzieciak będzie się gapić na ich nagie, rozkrojone ciała – ciągnęłam dalej. – Czy chciałabyś, żeby usłyszeli to, co przed chwilą mówiłaś?

W oczach Lucy zaświeciły łzy. Odwróciła wzrok.

– Przepraszam, ciociu Kay – powiedziała cicho.

– Zawsze uważałam, że należy myśleć, iż umarli słyszą, co się mówi. Może słyszą te głupie uwagi i dowcipy małych? Ale na pewno my to wszystko słyszymy. Szkoda, że nie możesz słyszeć samej siebie, mówiącej o nich w ten sposób, albo gdy ktoś inny tak o nich mówi?

– Ciociu Kay...

– Powiem ci, jak to na ciebie działa – mówiłam dalej z rosnącą wściekłością. – Kończysz właśnie tak. – Uniosłam do przodu rękę, jakbym

chciała wskazać im świat wokół, a Lucy patrzyła zdumiona. – Kończysz właśnie tak, jak ja teraz. Stoisz na podjeździe o wschodzie słońca. Wyobrażasz sobie kogoś, kogo kochasz, w jakimś cholernym prosektorium. Wyobraź sobie, jak ludzie z niego żartują, z rozmiarów jego penisa, albo jak śmierdzi. Może rzucają go zbyt mocno na stół. Może w połowie tej upiornej roboty nakrywają ręcznikiem jego pustą klatkę piersiową i idą na obiad. A gliny sobie wchodzą i wychodzą i komentując inne przypadki, mówią coś o spalonych przez donosicieli czy w inny sposób skończonych funkcjonariuszach FBI. – Lucy i Jo patrzyły na mnie w zdumieniu. – Nie myśl, że tego wszystkiego nie słyszałam – dodałam, otwierając drzwi swojego samochodu. – Życie przechodzi przez obojętne ręce, zimną wodę i powietrze. Wszystko jest takie zimne, zimne, zimne. Nawet jeśli ktoś zmarł w łóżku, w końcu i tak wszystko jest takie zimne. Więc nie rozmawiaj ze mną o autopsjach. – Usiadłam za kierownicą. – Nigdy tak się przede mną nie zgrywaj, Lucy.

Nie mogłam się powstrzymać. Mój głos dochodził mnie jakby z innego pokoju. Przyszło mi nawet do głowy, że odchodzę od zmysłów. Czyż tak się nie dzieje, gdy ludzie popadają w chorobę psychiczną? Stoją na zewnątrz siebie i widzą, jak robią straszne rzeczy, kogoś mordują albo wchodzą na parapet okienny, ale to niby nie są oni.

– Takie rzeczy zostają ci w głowie na zawsze – zakończyłam. – Kończą się po czasie. To nieprawda, że słowa nie ranią, bo twoje zraniły mnie do głębi – zwróciłam się do Lucy. – Wracaj do Miami.

Moja siostrzenica stała jak sparaliżowana, gdy ruszyłam i odjechałam, ocierając tylną oponę o granitowy krawężnik. Widziałam ją i Jo w tylnym lusterku. Coś do siebie powiedziały, a potem wsiadły do wypożyczonego samochodu. Ręce mi się tak trzęsły, że nie mogłam zapalić papierosa, póki nie stanęłam w korku.

Nie chciałam, żeby mnie dogoniły. Zjechałam wyjazdem na ulicę Dziewiątą i wyobrażałam sobie, jak pędzą w kierunku I-64 prowadzącej na lotnisko, z powrotem do swego życia pełnego zbrodni pod przykryciem.

– A niech cię szlag – mruknęłam pod adresem siostrzenicy. – Serce mi załopotowało, jakby chciało się wyrwać na wolność. – Niech cię szlag, Lucy!
– Zapłakałam.

Rozdział 10

Nowy budynek, w którym pracowałam, znajdował się w oku cyklonu wydarzeń, czego się absolutnie nie spodziewałam, przeprowadzając się tu w latach siedemdziesiątych. Pamiętam, jak czułam się wówczas zawiedziona, że zjechałam tu z Miami właśnie wtedy, gdy różne instytucje z Richmondu postanowiły się wyprowadzić do sąsiednich hrabstw i centrów handlowych. Ludzie przestali robić zakupy i chodzić do restauracji w śródmieściu, zwłaszcza wieczorem.

Historyczny charakter miasta przesłoniły zaniedbania i przestępczość, ale w połowie lat dziewięćdziesiątych Virginia Commonwealth University zaczął odzyskiwać i przywracać Richmondowi to, co zostało zniszczone. Wydawało się, że piękne budynki, wszystkie z cegły i szkła, w podobnym stylu, wyrastają niemalże przez noc. Moje biuro i prosektorium mieściły się na tym samym terenie, co niedawno założony Instytut Nauki i Medycyny Sądowej w Wirginii, który był pierwszą tego typu placówką dydaktyczną w kraju, jeśli nie na świecie.

Miałam nawet do wyboru miejsce na parking, przy wejściu do holu. Siedziałam teraz w samochodzie, zbierając rzeczy i układając w głowie rozbiegane myśli. Postąpiłam zupełnie dziecinnie, bo wyłączyłam telefon w samochodzie, żeby Lucy nie mogła mnie złapać. Teraz go włączyłam w nadziei, że zadzwoni. Wpatrywałam się w niego. Ostatnio tak się

zachowałam po najgorszej kłótni z Bentonem, kiedy kazałam mu opuścić mój dom i nigdy nie wracać. Wyłączyłam wtedy telefony, aby po godzinie je włączyć z powrotem i wpaść w panikę, że nie dzwoni.

Spojrzałam na zegarek. Za niecałą godzinę Lucy będzie wchodzić do samolotu. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do USAir z prośbą, żeby ją wywołano. Byłam przerażona i upokorzona swoim zachowaniem.

Czułam się bezsilna, bo nie mogłam przeproszać kogoś o nazwisku Terry Davis, kto nie miał ciotki Kay ani dostępnego numeru telefonu i mieszkał gdzieś w South Beach.

Jeszcze wzburzona weszłam do przeszklonego holu. Jake, który pełnił funkcje portiera, zauważył to natychmiast.

– Dzień dobry, pani doktor – przywitał mnie, spoglądając jak zwykle nerwowo. – Nie wygląda pani za dobrze.

– Dzień dobry, Jake – odpowiedziałam. – Jak leci?

– Pomalutku, pomalutku. Tylko pogoda tak szybko się zmienia, jest coraz gorsza. – Pstrykał długopisem. – Nie mogę się pozbyć tego bólu pleców, pani doktor. Tu, między łopatkami. – Wygiął ramiona i szyję. – Tak mnie kłuje, jakbym coś tam miał. To się stało, gdy podnosiłem ciężary przedwczoraj. Jak pani myśli, co mam zrobić? A może muszę do pani napisać?

Pomyślałam, że miał to być dowcip, ale Jake wcale się nie uśmiechał...

– Wilgotne ciepłe kompresy. Odstaw ciężary na jakiś czas – poradziłam.

– Hej, dzięki. Ile pani bierze?

– Nie stać cię na mnie, Jake.

Uśmiechnął się lekko. Otworzyłam kartą elektroniczny zamek do biura. Usłyszałam swoje pracownice, Cletę i Polly, które rozmawiały, jednocześnie pisząc. Telefony już dzwoniły, a nie było jeszcze siódmej trzydzieści.

– ...Naprawdę okropnie.

– Myślisz, że ludzie z innych krajów śmierdzą inaczej, jak się rozkładają?

– No coś ty, Polly, przecież to idiotyzm.

Siedziały w szarych boksach, przekładając zdjęcia z autopsji i wpisując dane do komputerów. Kursory skakały po ekranach.

– Niech pani się napije kawy, póki jest czas – powiedziała na przywitanie Cleta, patrząc na mnie ze zrozumieniem.

– Przydałoby się – potwierdziła Polly, uderzając w klawisz cofania.

– Słyszałam.

– No to trzymam język za zębami – odrzekła Polly, która absolutnie tego nie potrafiła.

– Gdzie się wszyscy podziewają?

– W prosektorium – poinformowała mnie Cleta. – Mamy dzisiaj osiem przypadków.

– Bardzo schudłaś ostatnio, Cleta – zauważyłam, zbierając świadectwa zgonów ze swojej przegródki.

– Ponad sześć kilogramów! – wykrzyknęła, tasując zdjęcia, jakby grała w karty, i układając je według numerów przypadków. – Dziękuję, że pani to zauważyła. Cieszę się.

– Cholera – zakląłam, patrząc na świadectwo leżące na samym wierzchu.

– Czy myślicie, że uda nam się kiedykolwiek przekonać doktora Carmichaela, że „zatrzymanie akcji serca” nie jest przyczyną zgonu? Każdemu zatrzymuje się serce, kiedy umiera. Pytanie, dlaczego się zatrzymało. To trzeba uzupełnić.

Przeglądałam resztę zaświadczeń, idąc długim korytarzem do gabinetu. Rose pracowała w otwartym pomieszczeniu z mnóstwem okien i nie sposób

było przejść do moich drzwi, nie przechodząc obok niej. Stała przed wyciągniętą szufladą z kartotekami i przeglądała coś.

– Jak się pani miewa? – spytała, trzymając w ustach długopis. – Marino pani szuka.

– Rose, musisz mnie połączyć z doktorem Carmichaelem.

– Znowu?

– Niestety.

– Powinien iść na emeryturę.

Moja sekretarka powtarzała to od kilku lat. Zamknęła szufladę i wysunęła następną.

– Dlaczego Marino mnie szuka? Czy dzwonił z domu?

Wyjęła długopis z ust.

– Jest tutaj, pani doktor, albo był. Czy pamięta pani list, jaki dostała pani od tej wstrętnej baby w zeszłym miesiącu?

– Jakiej baby? – zapytałam, rozglądając się po holu w poszukiwaniu detektywa.

– Tej z więzienia, która zamordowała męża, kiedy tylko zabrała mu polisę ubezpieczeniową na milion dolarów.

– Ach, ta – przypomniałam sobie.

Weszłam do gabinetu, postawiłam teczkę na podłodze i zdjęłam żakiet od kostiumu.

– Dlaczego Marino mnie szuka? – spytałam znowu.

Rose nie odpowiedziała. Zauważyłam, że pogorszył się jej słuch, a każdy objaw starzenia się mojej sekretarki napawał mnie przerażeniem. Położyłam świadectwa zgonów na stosie innych, których jeszcze nie przejrzałam, i powiesiłam żakiet na krześle.

– Chodzi o to – mówiła głośno Rose – że od tego czasu przysłała jeszcze jeden list. Tym razem oskarża panią o oszustwo. – Zdjęłam fartuch

laboratoryjny z wieszaka na drzwiach. – Twierdzi, że była pani w zмовie z firmą ubezpieczeniową i dlatego na świadectwie zgonu napisała pani nie „wypadek”, tylko „zabójstwo”, żeby tamci nie musieli wypłacić pieniędzy. I dostała pani za to sporą sumę, więc może pani sobie pozwolić na mercedesa i kosztowne kostiumy. – Włożyłam fartuch i wsunęłam ręce w rękawy. – Pani doktor, ja już nie mogę znieść tych wszystkich stukniętych. Niektórych się naprawdę boję, a przez ten Internet jest coraz gorzej. – Rose zajrzała przez drzwi. – Pani w ogóle nie słucha, co mówię.

– Kostiumy kupuję na wyprzedażach – odpowiedziałam. – A ty o wszystko obwiniasz Internet.

Pewnie w ogóle nie zajmowałabym się kupowaniem ubrań, gdyby Rose mnie czasem nie wypchnęła, kiedy sklepy urządzały wyprzedaż po sezonie. Nienawidzę zakupów, chyba że chodzi o jedzenie i wina. Nie znoszę tłumów. Nie lubię centrów handlowych. Rose natomiast nie znosi Internetu i uważa, że pewnego dnia świat się skończy z jego powodu. Musiałam ją zmusić do używania poczty elektronicznej.

– Jeżeli Lucy zadzwoni, koniecznie mnie połącz, gdziekolwiek będę, dobrze? – poprosiłam, gdy Marino akurat wchodził do sekretariatu. – I spróbuj w jej biurze terenowym.

Na myśl o Lucy ścisnęło mnie w żołądku. Straciłam panowanie nad sobą i nagadałam za dużo. Rose spojrzała na mnie. W sobie tylko znany sposób wszystko już wiedziała.

– Kapitanie – odezwała się do Marina. – Wygląda pan dzisiaj bardzo odświeżenie.

Marino chrząknął. Zadzźwięczało szkło, gdy otwierał słoik z dropsami cytrynowymi na jej biurku.

– Co mam zrobić z listem tej zwariowanej damy? – Przez otwarte drzwi zajrzała Rose z okularami zsuniętymi na nos.

– Myślę, że czas przesłać jej teczkę, o ile takową znajdziemy, do prokuratora generalnego – odpowiedziałam. – Na wypadek, gdyby mnie podała do sądu, co pewnie zrobi. Dzień dobry, Marino.

– Mówisz o tej wariatce, którą przymknąłem? – spytał, ssąc dropsa.

– Jasne – przypomniałam sobie. – Przecież to była twoja sprawa.

– Więc pewnie mnie też zaskarży.

– Prawdopodobnie – mruknęłam. – Stałam przy biurku i przeglądałam wczorajsze informacje o telefonach. – Dlaczego wszyscy dzwonią, kiedy mnie nie ma?

– Zaczyna mi się to podobać, że mnie zaskarżają – oświadczył Marino. – Czuję się wyróżniony.

– Nie mogę się przyzwyczaić do pana w mundurze, kapitanie Marino – odezwała się moja sekretarka. – Czy mam salutować?

– Nie podniecaj mnie, Rose.

– Myślałam, że zaczynasz dyżur dopiero o trzeciej – powiedziałam.

– A najlepsze z tym procesowaniem, że miasto będzie musiało za mnie płacić, cha, cha. Niech się wypchają!

– Zobaczymy, jak się pan będzie śmiał, kiedy wreszcie to pan będzie płacił i straci swoją ciężarówkę albo basen. Albo nie daj Boże te wszystkie dekoracje świąteczne i dodatkowe bezpieczniki – straszyla go Rose, podczas gdy ja otwierałam i zamykałam kolejne szuflady biurka.

– Czy ktoś widział moje długopisy? – spytałam. – Nie mam ani jednego cholernego pisaka. Rose, gdzie są kulkowe piloty? Miałam co najmniej jedno pudełko jeszcze w piątek. Wiem na pewno, bo sama je kupowałam, gdy byłam ostatnio w Ukrops. No, nie uwierzę! Nie ma mojego watermana!

– Ostrzegałam panią, żeby nie zostawiać tu niczego cennego – przypomniała mi Rose.

– Muszę zapalić – odezwał się Marino. – Już mam dosyć tych budynków „wolnych od dymu”. Pełno trupów w tej twojej budzie, a władze stanowe przejmują się paleniem! A te wszystkie opary formaliny? Parę sztachów konia by zabiło.

– Cholera! – zamknęłam jedną szufladę i otworzyłam drugą. – Wiecie, co jeszcze? Nie mam advilu, proszków BC i sudafedu. Teraz się naprawdę wściekłam.

– Pieniądze na kawę, telefon komórkowy Clety, kanapki, a teraz pani długopisy i lekarstwa. Ja już doszłam do tego, że gdziekolwiek się ruszam, zabieram z sobą torebkę. Zaczęli już mówić na tego, kto to robi, „złodziej ciała” – powiedziała Rose ze złością – co moim zdaniem wcale nie jest śmieszne.

Marino podszedł do niej i objął ją ramieniem.

– Kotku, nie można mieć pretensji do faceta, który chciałby ukraść twoje ciało – powiedział jej czule do ucha. – Ja chciałem to zrobić od czasu, kiedy moje oczy ujrzały cię po raz pierwszy, dawno temu, jak musiałem uczyć naszą panią doktor wszystkiego, co teraz umie.

Rose poklepała go po policzku i położyła mu głowę na ramieniu. Wyglądała na pokonaną i nagle bardzo starą.

– Jestem zmęczona, kapitanie – powiedziała cicho.

– Ja też, kotku, ja też.

Popatrzyłam na zegarek.

– Rose, zawiadom wszystkich, że zebranie pracowników będzie parę minut później. Marino, porozmawiajmy.

Palarnią był kącik, gdzie stały dwa krzesła, automat z coca-colą i brudna wyszczerbiona popielniczka, którą teraz ustawiliśmy między sobą. Zapaliliśmy i znów odczułam wstyd.

– Dlaczego tu jesteś? – spytałam. – Mało narobiłeś sobie kłopotów wczoraj?

– Myślałem o tym, co wieczorem mówiła Lucy – zaczął Marino. – Wiesz, o mojej obecnej sytuacji. Że jestem na wylocie, skończony. Nie mogę tego znieść, jeśli mam być szczery. Jestem detektywem, byłem nim prawie całe życie. Nie mogę znieść tej gównianej roboty w mundurze. Nie mogę pracować dla takich idiotek jak Diane Bray.

– Dlatego w zeszłym roku zdałeś egzamin na śledczych terenowych – przypomniałam mu. – Nie musisz zostać w tym oddziale policji ani w ogóle w żadnym. Masz dosyć przepracowanych lat, żeby iść na emeryturę. I samemu dyktować warunki.

– Nie gniewaj się, ale dla ciebie też nie chcę pracować – powiedział. – Ani na części etatu, ani nad poszczególnymi sprawami, ani inaczej.

Władze stanowe przyznały mi dwa etaty dla śledczych i żadnego jeszcze nie wykorzystałam.

– Chodzi mi o to, że masz wybór – tłumaczyłam mu, starając się nie okazać żalu.

Milczał. Nagle ujrzałam przed sobą Bentona, zobaczyłam uczucie w jego oczach, ale zaraz znikł. Zmartwiłam się, że utracę Rose albo Lucy. Pomyślałam o starzeniu się i ludziach znikających z mojego życia.

– Nie zostawiaj mnie, Marino – powiedziałam.

Nie odpowiedział od razu, jednak w końcu się odezwał. Oczy mu błyszczały.

– Pieprzę ich wszystkich. Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić. Kiedy będę chciał pracować nad jakąś sprawą, to będę pracował.

Strzepnął popiół i wydawał się bardzo zadowolony z siebie.

– Nie chcę, żeby cię wyrzucili lub zdegradowali – powiedziałam.

– Już nie mogą bardziej mnie zdegradować – odrzekł w kolejnym napadzie złości. – Nie mogę być mniej niż kapitanem i nie ma gorszego przydziału niż mój obecny. I niech mnie wyrzucą. Ale wiesz co? Nie zrobią tego. A wiesz dlaczego? Bo mógłbym pojechać do Henrico, Chesterfield, Hanover, dokądkolwiek. Nie wiesz nawet, ile razy proszono mnie, żebym przejął dochodzenie w innych oddziałach.

Przypomniał mi się niezapalony papieros w ręku.

– W niektórych nawet chcieli, żebym został komendantem. – Ponośli go nadmierny optymizm.

– Nie oszukuj się – powiedziałam, czując mentol. – Boże, nie mogę uwierzyć, że znów to robię.

– Nie próbuję nikogo oszukać – odrzekł i zauważyłam, że ogarnia go przygnębienie, jak front niskiego ciśnienia. – Tylko czuję się, jak na obcej planecie. Nie rozumiem takich Bray i Anderson naszej ziemi. Kim są?

– Są żądne władzy.

– Ty masz władzę. Posiadasz jej znacznie więcej niż one albo ktokolwiek inny, kogo znam, łącznie z mężczyznami, a nie jesteś taka.

– Ostatnio nie czuję jakoś swojej władzy. Nie potrafiłam nawet opanować dziś rano emocji przed własnym domem i dałam popis wobec mojej siostrzenicy, jej przyjaciółki i prawdopodobnie kilku sąsiadów. – Wydmuchałam dym. – I jest mi od tego niedobrze.

Marino nachylił się do mnie.

– Ty i ja jesteśmy jedynymi osobami, które w ogóle się przejmują tym gnijącym ciałem. – Wskazał kciukiem na drzwi do prosektorium. – Założę się, że Anderson nawet się nie pokazała dziś rano – ciągnął. – Jedno jest pewne: nie będzie się tu dzisiaj przyglądać, jak będziesz go kroić.

Wyraz jego twarzy doprowadzał moje serce do utraty rytmu. Marino był zdesperowany. Nie miał nic innego prócz tego, co robił całe życie, poza

byłą żoną i niezwiązanym z nim emocjonalnie synem o imieniu Rocky. Marino był uwięziony w ciele, z którego niewłaściwie korzystał i które wkrótce mu za to odpłaci. Nie miał pieniędzy i miał fatalny gust, jeśli chodzi o kobiety. Był politycznie niepoprawny, niechlujny i miał niewyparzoną gębę.

– W jednej sprawie na pewno przyznam ci rację: nie powinieneś chodzić w mundurze. Przynosisz wstyd wydziałowi. A co tu masz na koszuli? Znowu musztardę? Krawat jest za krótki. Pokaż skarpetki. – Nachyliłam się i zajrzałam pod mankiety jego spodni mundurowych. – Nie pasują. Jedna czarna, druga granatowa – powiedziałam.

– Żeby cię nie wpędził w kłopoty, pani doktor.

– Już się wpędziłam. Marino – odrzekłam.

Rozdział 11

Jednym z nieprzyjemnych aspektów mojej pracy jest to, że niezidentyfikowane szczątki nazywane są „Korpus”, „Kobieta z bagażnika” albo „Superman”. Nazwy takie ograbiają zmarłych z ich znaczenia i ziemskich dokonań równie skutecznie jak śmierć.

Uznawałam to zawsze za osobistą porażkę, jeśli nie udawało mi się zidentyfikować osoby, którą się zajmowałam. Pakowałam kości w pancerne skrzynki i przechowywałam w szafach w nadziei, że kiedyś mi powiedzą, kim są. Przechowywałam nietknięte ciała albo ich części w zamrażarkach przez całe miesiące czy też lata i nie dawałam pogrzebać zwłok w żebraczym grobie tak długo, póki nie było już nadziei ani miejsca. Nie mamy tylu szuflad, żeby zatrzymać wszystkich na zawsze.

Dzisiejszy przypadek został nazwany „Człowiek z kontenera”. Był w fatalnym stanie i miałam nadzieję, że nie będę musiała go dłużej przetrzymywać. Kiedy rozkład jest aż tak zaawansowany, nawet chłódnia nie zdoła go zahamować.

– Czasem nie wiem, jak ty to wytrzymujesz – mruzczał Marino.

Byliśmy w szatni obok prosektorium i żadne zamknięte szczelnie drzwi ani betonowe ściany nie mogły w pełni zatrzymać przenikającego tu odoru.

– Nie musisz tu być – przypomniałam.

– Nie opuściłbym tego za nic w świecie.

Włożyliśmy podwójne kitle, rękawice, ochraniacze na rękawy i na buty, maski chirurgiczne i osłony na twarze. Nie mieliśmy urządzeń z powietrzem, bo w nie, nie wierzę, a moim lekarzom nie pozwalałam używać inhalatorów Vicka do nosa, chociaż policjanci zawsze to robili. Jeśli lekarz sądowy nie jest w stanie znieść trudów tej pracy, powinien robić coś innego.

Poza tym zapachy są istotne. Opowiadają swoją własną historię. Zapach słodki może wskazywać na etchlorvynol, podczas gdy wodzian chloralu pachnie jak gruszka. W obu przypadkach rozważałabym przedawkowanie środków odurzających, natomiast odrobina czosnku sugerowałaby arszenik.

Zapach fenolu i nitrobenzenu przywodzą na myśl eter i pastę do butów. Glikol etylenowy pachnie jak odmrażacz, bo właśnie do tego jest używany. Wyodrębnienie potencjalnie ważnego zapachu z odoru brudnych ciał i rozkładających się zwłok przypomina nieco archeologię. Zwracasz uwagę na to, co masz znaleźć, a nie na nędzne szczątki wokół.

Sala rozkładających, jak ją nazywaliśmy, była miniaturową wersją pomieszczenia do autopsji. Miała własną chłodnię, system wentylacyjny i pojedynczy stół na kółkach, który można było przysunąć i przyczepić do wielkiego zmywaka. Wszystko, łącznie z szafkami i drzwiami było z nierdzewnej stali. Ściany i podłogi pokrywała specjalna wykładzina akrylikowa, która wytrzymywała najokrutniejsze mycie środkami dezynfekującymi. Automatyczne drzwi otwierało się przez wciśnięcia guzika odpowiednio dużego, aby przycisnąć go łokciem, a nie palcem.

Kiedy drzwi za Marinem i za mną się zasunęły, zdumiał mnie widok Rene Anderson opartej o blat. Nosze z zamkniętym w worku ciałem stały na środku pokoju. Zwłoki są dowodem. Nigdy nie zostawiałam policjanta samego z niezbadanymi zwłokami. Zwłaszcza od czasu fatalnie

spartaczonemu procesowi O.J. Simpsona, kiedy to w sądzie padały zarzuty przeciwko wszystkim, prócz oskarżonego.

– Co pani tu robi i gdzie jest Chuck? – spytałam policjantkę.

Chuck Ruffin zajmował się moim prosektorium i powinien od jakiegoś czasu tu być, sprawdzić instrumenty chirurgiczne, oznakować próbówki i upewnić się, że mam całą niezbędną dokumentację.

– Wpuścił mnie i dokądś poszedł.

– Wpuścił panią i zostawił? Jak dawno temu?

– Może ze dwadzieścia minut – odpowiedziała i spojrzała uważnie na Marina.

– Czyżbym zauważył Vicka w nosku? – spytał ten słodkim tonem. Nad jej górną wargą wyraźnie błyszczała wazelina. – Widzisz ten wywietrznik przemysłowy? – Wskazał głową na specjalny system wentylacyjny pod sufitem. – Wiesz co, Anderson? To guzik pomoże, jak już rozepniemy ten worek ze zwłokami.

– Nie mam zamiaru tu zostać – oświadczyła. To było jasne. Nie włożyła nawet rękawic.

– W ogóle nie powinna tu pani przebywać bez odzieży ochronnej – oświadczyłam.

– Chciałam tylko powiedzieć, że będę rozmawiała ze świadkami i chcę, żeby mnie pani zawiadomiła, kiedy będzie pani wiedziała, co mu się stało – oznajmiła.

– Jakimi świadkami? Bray wysyła cię do Belgii? – spytał Marino poprzez zaparowaną oddechem szybkę.

Ani przez minutę nie wierzyłam, że Rene Anderson przyszła do tego nieprzyjemnego miejsca, aby mi cokolwiek powiedzieć. Pojawiła się tu w jakimś innym celu niż ten przypadek. Popatrzyłam na ciemnoczerwony

worek z ciałem, sprawdzając, czy nie był ruszany, i poczułam, że dopada mnie jakaś paranoja. Spojrzałam na zegar na ścianie. Dochodziła dziewiąta.

– Niech pani do mnie zadzwoni – rzuciła Anderson, jakby to był rozkaz, i drzwi zasyczały, zamykając się za nią. Podniosłam słuchawkę intercomu i zadzwoniłam do Rose.

– Gdzie, do diabła, jest Chuck? – spytałam.

– Bóg raczy wiedzieć – odparła moja sekretarka, nie kryjąc niechęci do młodego człowieka.

– Poszukaj go, proszę, i każ mu przyjść natychmiast. Oszaleję przez niego. I jak zwykle zanotuj, że telefonowałam. Wszystko trzeba udokumentować.

– Zawsze to robię.

– Wyrzucę go w najbliższym czasie – powiedziałam do Marina, gdy się wyłączyłam. – Jak tylko zbiorę dość dowodów przeciw niemu. Zrobił się leniwy i nieodpowiedzialny, a kiedyś taki nie był.

– Zrobił się bardziej leniwy i nieodpowiedzialny, niż był – sprecyzował Marino. – Facet jest nie w porządku i wyraźnie coś kombinuje. Starał się wkręcić do policji.

– Świetnie, możecie go sobie wziąć.

– To jeden z tych smarkaczy, którzy uwielbiają mundury, broń i koguta na dachu – dodał, gdy odpinałam suwak worka.

W głosie detektywa nie słyszałam już zapału. Za wszelką cenę starał się zachować stoicki spokój.

– W porządku? – spytałam.

– Och, tak.

Fetor uderzył w nas jak front burzowy.

– Cholera! – zaczął narzekać Mario, gdy odwijałam prześcieradła zakrywające ciało – Cholerny skurwieli!

Czasami zwłoki były w tak strasznym stanie, że tworzyły surrealistyczną mieszaninę nienaturalnych kolorów, faktur i woni, która mogła zwalić kogoś z nóg. Kapitan odsunął się najdalej, jak mógł, a ja postarałam się nie roześmiać.

Wyglądał dość zabawnie w stroju z sali operacyjnej. Kiedy miał ochraniacze na butach, jeździł po podłodze jak na łyżwach. Czapeczka niezbyt dobrze się trzymała jego łysiejącej głowy i zjeżdżała na czubek czaszki, wyglądając jak wepchnięta na siłę papierowa torebeczka. Dawałam mu jeszcze piętnaście minut i byłam pewna, że potem jak zwykle ją zrzuci.

– To nie jego wina, że jest w takim stanie – przypomniałam.

Marino gwałtownie wpychał do dziurek od nosa inhalator.

– To już hipokryzja – skomentowałam, ale w tym momencie drzwi się rozsunęły i wszedł Chuck Ruffin ze zdjęciami rentgenowskimi.

– Nie jest to zbyt dobry pomysł, żeby tu kogoś wprowadzać, a potem zniknąć – poinformowałam go znacznie delikatniej, niż to odczuwałam. – Zwłaszcza detektywa-debiutantkę.

– Nie wiedziałem, że to debiutantka – odpowiedział.

– A co niby myślałeś? – spytał Marino. – Nigdy tu nie była i wygląda na trzynaście lat.

– Fakt, że jest płaska jak decha. Wcale mi się takie nie podobają. – Ruffin zgrywał waźniaka. – Uwaga, lesby! Ieee, ieee! – naśladował syrenę, a rękami pokazywał błyskające światła.

– Nie zostawiamy osób nieupoważnionych samych przy niezbadanych zwłokach. Dotyczy to również policjantów. Doświadczonych i niedoświadczonych. – Chciałam go z miejsca wyrzucić.

– Wiem. – Chuck starał się być miły. – O.J. Simpson i podłożona skórzana rękawiczka.

Ruffin był wysokim, smukłym młodzieńcem o marzycielskich brązowych oczach i rozwichrzonych blond włosach, rosnących w różnych kierunkach i nadających mu wygląd „właśnie wstałem”, któremu kobiety nie mogły się oprzeć. Mnie nie zdołał oczarować i już nawet nie próbował.

– O której pojawiła się tu detektyw Anderson? – spytałam.

W odpowiedzi spojrział dookoła na negatoskopy, umieszczone u góry na ścianach.

– Przepraszam za spóźnienie. Poszedłem do telefonu. Moja żona bardzo źle się czuje – tłumaczył się szybko.

Używał tej wymówki już tyle razy, że jego żona była albo przewlekłe chora, albo to skończona hipochondryczka; ewentualnie miała zespół Münchhausena albo już powinna leżeć martwa.

– Rene chyba postanowiła nie zostawać tutaj... – zaczął, mając na myśli detektyw Anderson.

– Rene? – przerwał mu Marino. – Nie wiedziałem, że jesteście tak blisko.

Ruffin zaczął wyjmować zdjęcia z dużych brązowych kopert.

– Chuck, o której Anderson tu weszła? – spróbowałam ponownie.

– Dokładnie? – Zastanawiał się chwilę. – Chyba piętnaście po.

– Po ósmej? – sprecyzowałam.

– Tak.

– A ty ją wpuściłeś, wiedząc, że wszyscy będą na zebraniu pracowników? – pytałam dalej, gdy Chuck układał zdjęcia rentgenowskie na negatoskopach. – Przecież wiedziałeś, że teraz w prosektorium nikogo nie będzie. A wszędzie tutaj są dokumenty, rzeczy osobiste zmarłych, zwłoki.

– Ona nigdy tego wszystkiego nie widziała, więc ją szybko oprowadziłem. A poza tym przecież tu byłem. Musiałem liczyć te

wszystkie piguły.

Mówił o kupowanych na recepty lekarstwach, które docierały do nas z wszystkimi prawie przypadkami przedawkowania środków psychotropowych. Ruffin miał nudne zajęcie: musiał za każdym razem policzyć tabletki i wyrzucić je do zlewu.

– O, patrzcie na to! – zawołał.

Zdjęcia rentgenowskie w różnych ujęciach wskazywały metalowe szwy w lewej części szczęki. Były tak wyraźne, jak szwy na piłce bejsbolowej.

– „Człowiek z kontenera” miał pękniętą szczękę – zauważył Chuck. – Już to samo wystarczy, żeby go zidentyfikować, prawda, pani doktor?

– Jeżeli moglibyśmy zdobyć jego wcześniejsze prześwietlenia – odpowiedziałam.

– Zawsze jest jakieś „jeżeli” – powiedział Ruffin, starając się mnie zagadać, bo wiedział, że może mieć kłopoty.

Obejrzałam dokładnie szare cienie i zarysy zatok i kości, ale nie dostrzegłam żadnych innych deformacji czy złamań. Jednak kiedy odsłoniłam zęby, zauważyłam dodatkowy guzek Carabellego. Wszystkie zęby trzonowe mają cztery takie wierzchołki, a ten miał pięć.

– Co to Carabelli?

– Jakiś facet. Nie wiem kto. – Wskazałam na ząb, o którym mówiliśmy. – W górnej szczęce. Językowy i środkowy, czyli w kierunku języka i do przodu.

– Chyba to dobrze – zastanawiał się Marino. – Chociaż nie mam zielonego pojęcia, o czym mówiłaś.

– Niezwykła cecha – powiedziałam. – Nie mówiąc już o konfiguracji zatok i złamanej szczęce. Mamy wystarczająco dużo, żeby go zidentyfikować, jeśli tylko mielibyśmy dla porównania jakieś dane z okresu przed śmiercią.

– Za każdym razem to mówimy, pani doktor – przypomniał mi Marino. – Do diabła, miałaś tu ludzi ze szklanymi oczami, sztucznymi nogami, płytkami w głowach, sygnetami, aparatami ortodontycznymi, Bóg wie czym, i dotąd nie doszliśmy, kim są, bo nigdy nie zgłoszono ich zaginięcia. Albo zgłoszono, a sprawa gdzieś się zapodziała. Albo nie mogliśmy znaleźć żadnego świadectwa lekarskiego ani prześwietlenia.

– Uzupełnienia stomatologiczne tutaj i tutaj – powiedziałam, wskazując na kilka metalowych plomb, które podkreślały olśniewającą biel na matowych trzonowcach. – Wygląda na to, że miał dobrą opiekę dentystyczną. Paznokcie zadbane. Dajmy go na stół. Musimy się spieszyć, bo będzie coraz gorszy.

Rozdział 12

Oczy wychodziły z orbit, jak u żaby, włosy i broda odpadały wraz z zewnętrzną warstwą pociemniałej skóry. Głowa się przechyliła, gdy Ruffin chwycił go pod pachy, a ja pod kolana, żeby unieść go na ruchomy stół, a Marino podtrzymywał nosze.

– Cała zaleta nowych stołów miała polegać na tym – westchnęłam – żebyśmy nie musieli tego robić.

Nie wszystkie służby transportu i domy pogrzebowe już się na nie przestawiły. Wciąż używano rozklekotanych noszy i ręcznie przenoszono zwłoki na jakiegokolwiek stoły, zamiast na nowoczesne blaty autopsyjne, które można było przysuwać wprost do zmywaka. Jednak moje dotychczasowe wysiłki, aby oszczędzać nasze kręgosłupy, na razie poszły na marne.

– No, Chuckie, chłopcze – odezwał się Marino – słyszałem, że chcesz się do nas zapisać.

– Kto to powiedział? – Ruffin był wyraźnie zaskoczony i przyjął postawę obronną.

Ciało plasnęło o stalowy blat.

– Tak mówią na mieście – odrzekł Marino.

Ruffin milczał, splukując nosze. Wytarł je do sucha ręcznikiem, a następnie położył na nich i na blatach czyste prześcieradła, podczas gdy ja

robiłam zdjęcia.

– Musisz jednak wiedzieć – ostrzegł go detektyw – że to nie jest całkiem tak, jak ci się wydaje.

– Chuck – przerwałam – potrzebujemy jeszcze film do polaroidu.

– Już przynoszę.

– Rzeczywistość zawsze jest trochę inna – ciągnął Marino protekcjonalnie. – Oznacza krążenie po mieście całą noc i umieranie z nudów, kiedy nic się nie dzieje. To oznacza, że mogą cię opluwać; przeklinać, nie doceniać, oznacza jeżdżenie głównianymi samochodami, podczas gdy jakieś małe dupki bawią się w politykę, podlizują, dostają piękne gabinety i grają w golfa z ważniakami.

Powietrze szumiało, woda bębniła o zmywak i spływała. Naszkicowałam na karcie metalowe klamerki i dodatkowy guzek, marząc, żeby nie czuć już tego ciężaru wewnątrz. Mimo że tyle wiedziałam o funkcjonowaniu ludzkiego organizmu, wciąż nie do końca rozumiałam, jak to możliwe, że żal, rozpoczynający się w mózgu, atakuje ciało jak infekcja, rozpalając je i znieczulając, aż w końcu potrafi zniszczyć całe rodziny i kariery, a czasem i fizyczne życie człowieka.

– Ładne szmaty – zauważył Ruffin. – Ar-ma-ni. Nigdy czegoś takiego nie widziałem z bliska.

– Same krokodyle buty i pasek kosztują pewnie z tysiąc dolarów – powiedziałam.

– Nie bujasz? – zdziwił się Marino. – To go mogło zabić. Żona mu to kupuje na urodziny, on się dowiaduje, ile kosztowało, i dostaje ataku serca. Pozwolisz mi tu zapalić?

– Nie. Jaka była temperatura w Antwerpii, kiedy statek wypływał? Pytałeś Shawa?

– Minimalna dziewięć, maksymalna dwadzieścia stopni Celsjusza – odrzekł Marino. – Tak samo ciepło jak tutaj. Jeżeli dalej tak będzie, mogę równie dobrze spędzić Boże Narodzenie w Miami z Lucy. Albo ustawię sobie palmę w salonie.

Na dźwięk tego imienia coś mnie ścisnęło za serce. Moja siostrzenica zawsze była trudna i zwichrowana. Niewiele osób dobrze ją zna, chociaż tak im się wydaje. Za całą jej inteligencją, osiągnięciami i ryzykownymi przedsięwzięciami kryło się zranione dziecko, walczące ze smokami, których reszta ludzi się bała. Sama Lucy obawiała się porzucenia, autentycznego czy wymagowanego, więc zawsze odchodziła pierwsza.

– Zauważyliście, że większość ludzi, jak umiera, nie jest zbyt dobrze ubrana – powiedział Chuck. – Zastanawiam się dlaczego.

– Słuchaj, włożę czyste rękawiczki i stanę w kąciku. Muszę zapalić – odezwał się Marino.

– Inaczej było jedynie zeszłej wiosny, kiedy zostały zabite te dzieciaki, które wracały z rozdania dyplomów – ciągnął Chuck. – Chłopak w niebieskim smokingu, z kwiatkiem w klapie.

Dżinsy były w talii przymarszczone pod paskiem.

– Spodnie za luźne w pasie – powiedziałam, zaznaczając to na formularzu. – O jeden lub dwa rozmiary. Może kiedyś był grubszy.

– Trudno powiedzieć, co to za rozmiar – powiedział Marino. – Teraz ma walizę większą od mojej.

– Jest wypełniony gazem – wyjaśniłam.

– Szkoda, że pan się tak nie może tłumaczyć. – Ruffin stał się odważniejszy.

– Sto siedemdziesiąt dwa centymetry, waga pięćdziesiąt kilogramów, to znaczy, biorąc pod uwagę ubytek płynów, mógł za życia ważyć siedemdziesiąt lub siedemdziesiąt pięć – liczyłam. – Mężczyzna przeciętnej

postury, ale jak już mówiłam, mógł być w pewnym momencie tęższy, jeśli weźmiemy pod uwagę ubranie. Ma na nim dziwne włosy. Długości piętnastu do osiemnastu centymetrów, bardzo jasne, bladożółte.

Wywróciłam kieszeń dzinsów na lewą stronę i znalazłam jeszcze kilka włosów, srebrny obcinacz do cygar i zapalniczkę. Ułożyłam wszystko na czystym białym papierze, uważając, aby nie zniszczyć ewentualnych odcisków palców. W prawej kieszeni znajdowały się dwie monety pięciofrankowe, funt angielski i sporo zgniecionych obcych banknotów, których pochodzenia nie znałam.

– Nie ma portfela, paszportu ani biżuterii – zauważyłam.

– Zdecydowanie wygląda na rabunek – powiedział Marino. – Tylko co z rzeczami w kieszeniach? To nie bardzo ma sens. Jeżeli został obrabowany, to sprawcy powinni byli zabrać wszystko.

– Chuck, dzwoniłeś już do doktora Boatwrighta? – spytałam. Boatwright był odontologiem, czyli stomatologiem sądowym, którego zawsze ściągaliśmy z Akademii Medycznej stanu Wirginia.

– Zaraz to zrobię.

Zdjął rękawiczki i podszedł do telefonu. Słyszałam, jak otwiera i zamyka szuflady.

– Widziała pani spis telefonów? – zapytał.

– To ty masz pilnować takich rzeczy – odparłam z rozdrażnieniem.

– Zaraz wracam. – Ruffin nie mógł się doczekać, żeby kolejny raz gdzieś zniknąć.

Gdy wychodził, Marino odprowadził go wzrokiem.

– Głupi jak but – powiedział.

– Nie wiem, co z nim zrobić – zastanawiałam się głośno. – Bo on wcale nie jest taki głupi, Marino. Na tym właśnie polega problem.

– Próbowałam go zapytać, co się z nim, do cholery, dzieje? Może ma zaniki pamięci, zaburzenia uwagi czy coś takiego? Może uderzył w coś głową albo za dużo się masturbował.

– Nie zadawałam mu akurat takich pytań.

– Nie zapominaj, że w zeszłym miesiącu utopił pocisk w zlewie. W dodatku zachowywał się, jakby to była twoja wina, co było największą bzdurą. Przecież tam stałem.

Mocowałam się z wilgotnymi, oślizgłymi dżinsami, próbując zsunąć je z bioder i ud zmarłego.

– Zechcesz mi pomóc? – spytałam Marina.

Ostrożnie ściągnęliśmy dżinsy, czarne slipy, skarpetki i t-shirt. Ułożyłam te rzeczy na przykrytych prześcieradłem noszach i oglądałam starannie, czy nie mają dziur, rozdarcia albo jakichś innych śladów. Zauważyłam, że tył spodni, zwłaszcza na siedzeniu, jest znacznie brudniejszy niż przód. Spody butów były zdarte.

– Dżinsy, czarne slipy i t-shirt są od Armaniego i z firmy Versace. – Majtki włożone na lewą stronę – kontynuowałam inwentaryzację. – Buty, pasek, skarpetki też Armaniego. Widzisz ten brud i otarcie? – Pokazałam mu. – Może to oznaczać, że ktoś go ciągnął, pewnie trzymając pod pachy.

– Tak właśnie myślę – zgodził się detektyw.

Jakieś piętnaście minut później drzwi się rozsunęły i wszedł Ruffin ze spisem telefonów w ręku. Przykleił go na drzwiach szafki.

– Coś przegapiłem? – spytał radośnie.

– Obejrzymy te rzeczy w świetle luma-lite, a później wysuszymy i niech spece od śladów zrobią swoje – poinstruowałam go nieprzyjaznym tonem. – Jego drobiazgi osobiste muszą wyschnąć, a później spakujemy je w torebkę.

Naciągnął rękawiczki.

- Dziesiąta cztery – zauważył znacząco.
- Wygląda, jakbyś już się przygotowywał do akademii policyjnej, synu – podpuścił go jeszcze raz Marino. Dobra, Chuckie.

Rozdział 13

Pogrzałam się w pracy, badając zwłoki, które uległy już samotrąwieniu i rozkładowi, i z trudem można było rozpoznać w nich ludzkie ciało. Śmierć uczyniła je bezbronnym, bakterie, które wydostały się z przewodu pokarmowego, wędrowały wszędzie, powodując fermentację i wypełniając każdą przestrzeń gazem. Zniszczyły też ściany komórek i nadały krwi kolor zielonoczarny, więc cały system naczyń krwionośnych widoczny był pod bezbarwną skórą jak mapa rzek i ich dopływów. Części ciała zakryte ubraniami zachowały się lepiej niż głowa i ręce.

– Boże, jak by to było wpaść na takiego, pływając nocą na golasa – powiedział Ruffin, patrząc na zmarłego.

– On nie jest temu winien – odrzekłam.

– I wiesz co, chłopaczku? – włączył się Marino. – Jak ty umrzesz, też będziesz okropnie wyglądał.

– Czy wiemy dokładnie, gdzie znajdował się kontener w ładowni? – zapytałam Marina.

– W drugim rzędzie od góry.

– A jakie mieli warunki atmosferyczne przez te dwa tygodnie, kiedy statek był w morzu?

– Na ogół ciepło, od dwunastu do dwudziestu stopni. Kochany El Nino! Ludzie robią świąteczne zakupy w szortach.

– Więc myśli pan, że on umarł na pokładzie, a ktoś go wepchnął do kontenera? – spytał Ruffin.

– Nie, tego nie myślę, chłopcze.

– Na imię mi Chuck.

– Zależy, kto do ciebie mówi. Na tym to polega, chłopcze. Jeżeli masz mnóstwo kontenerów, upchniętych jak sardynki w puszcze, to powiedz, jak tam wcisnąć trupa – wyjaśniał Marino. – Nawet by się nie dało otworzyć drzwi. Nie mówiąc o tym, że pieczęć pozostała nienaruszona.

Przysunęłam sobie lampę chirurgiczną i zbierałam włókienka i paprochy, używając pęsetki oraz lupy, a czasem tamponu.

– Chuck, trzeba sprawdzić, ile mamy formaliny – powiedziałam. – Wczoraj było mało. Czy może już się tym zająłeś?

– Jeszcze nie.

– Nie wdychaj za dużo oparów – przestrzegł Marino. – Widzisz, co się dzieje z tymi wszystkimi mózgami, które zanosisz do Akademii Medycznej.

Formalina jest roztworem formaldehydu, używa się jej do konserwacji wycinków lub organów, lub – w przypadku zachowania do celów naukowych – nawet całych ciał. Niszczy tkankę. Jest substancją żrącą, działa zwłaszcza na drogi oddechowe, skórę i oczy.

– Pójdę sprawdzić formalinę – zaproponował Ruffin.

– Nie, teraz nie pójdziesz – oświadczyłam – póki tego nie skończymy.

Zdjął zakrętkę z markera.

– Może by zadzwonić do Clety, czy Anderson wyszła? – powiedziałam.

– Nie chcę, żeby się gdzieś kręciła.

– Zaraz to zrobię – zaofiarował się Marino.

– Muszę przyznać, że wciąż mnie to zadziwia, jak takie laski uganiają się za zabójcami. – Ruffin zwrócił się do detektywa. – Jak pan zaczynał, to pewnie najwyżej sprawdzały parkometry.

Marino podszedł do telefonu.

– Zdejmij rękawiczki – zawołałam, bo zawsze zapominał, mimo że porozlepiałam napisy: „Czyste ręce”.

Przesunęłam powoli lupę i zatrzymałam się na kolanach. Były otarte i zabrudzone, jakby zmarły klęczał bez spodni na ostrej, brudnej powierzchni. Sprawdziłam łokcie. Też wyglądały na brudne i otarte, ale nie mogłam nic konkretnego powiedzieć, bo skóra była w bardzo złym stanie. Zmoczyłam tampon z waty w sterylnie czystej wodzie. Marino odłożył słuchawkę i słyszałam, że otworzył nową paczkę rękawic.

– Anderson tu nie ma – oznajmił. – Cleta powiedziała, że wyszła mniej więcej pół godziny temu.

– A co pan myśli o kobietach podnoszących ciężary? – spytał go Ruffin.
– Widział pan, jakie Anderson ma mięśnie ramion?

Wzięłam piętnastocentymetrową linijkę jako skalę i zaczęłam robić zdjęcia trzydziestopięciomilimetrowym aparatem z powiększającym obiektywem. Znalazłam więcej brudnych miejsc pod pachami i pobrałam próbki na tampony.

– Zastanawiam się, czy była pełnia, gdy statek opuszczał Antwerpię – powiedział do mnie Marino.

– Chyba jak ktoś chce żyć w świecie mężczyzn, musi być silny jak mężczyzna – ciągnął Ruffin.

Woda leciała nieustannie, stal szczekała o stal, a lampy nad głowami nie rzucały cienia.

– Dzisiaj mamy nów – odrzekłam. – Wprawdzie Belgia jest na wschodniej półkuli, ale chyba cykl księżyca jest tam taki sam.

– Więc mogła być pełnia.

Wiedziałam, do czego zmierzał, i moje milczenie powinno dać mu do zrozumienia, żeby trzymał się z dala od tematu wilkołaków.

– Więc co się wydarzyło, kapitanie? Siłowaliście się na rękę o tę robotę?
– spytał Ruffin, przecinając sznurek na rolce ręczników.

Oczy Marina wyglądały jak dwie wycelowane w Chucka lufy.

– I chyba wiem, kto zwyciężył, skoro teraz ona jest detektywem, a ty z powrotem w mundurze. – Ruffin uśmiechał się głupkowato.

– Do mnie mówisz?

– Słyszałeś. – Chłopak otworzył szklane drzwi szafki.

– Chyba się starzeje. – Marino ściągnął czapeczkę chirurgiczną i wrzucił do śmieci. – Słuch już mam nie ten. Ale o ile się nie mylę, właśnie mi przypieprzyłeś.

– A co myślisz o tych żelaznych kobietach w telewizji? A co powiesz o zapaśniczkach? – Ruffin nie przestawał.

– Zamknij się, do cholery – przestrzegł go Marino.

– Jesteś samotny, Marino, umówiłbyś się z taką.

Ruffin nie znosił Marina, a teraz miał okazję, a w każdym razie tak mu się wydawało, jakoś to okazać, gdyż jego egocentryczny świat kręcił się po malutkiej osi. Jego zdaniem detektyw znalazł się w dołku i był urażony. Dobry moment, żeby mu dokopać.

– Pytanie tylko, czy taka kobieta poszłaby z tobą? – Chuck nie miał na tyle rozsądku, żeby uciec z sali. – Czy w ogóle jakakolwiek by z tobą poszła?

Marino podszedł do niego. Stał tak blisko, że dotykali się osłonami do twarzy.

– Mam dla ciebie parę rad, ty gnojku – powiedział przez zaparowaną osłonę na groźnej twarzy. – Zamknij te swoje usteczka, zanim zamknie ci je moja pięść. A tego swojego małego ptaszka schowaj na miejsce, bo jeszcze zrobisz sobie krzywdę.

Chuck stał się purpurowy, a w tym momencie rozsunęły się drzwi i wszedł Neils Vander, niosąc tusz, wałeczek i dziesięć kartek do odcisków.

– Uspokójcie się, i to natychmiast – nakazałam obu mężczyznom – bo zaraz was stąd wyrzucę.

– Dzień dobry – powiedział Vander, jakby rzeczywiście był dobry.

– Skóra odchodzi – poinformowałam go.

– Będzie łatwiej.

Vander był szefem sekcji odcisków palców i laboratorium i niewiele rzeczy mogło go załamać. Zdarzało mu się odsuwać robaki, żeby zdjąć odciski, gdy ciała się rozkładały albo w przypadkach spalenia odciąć palec i przynieść w słoiku na górę. Znałam go od początku swojej działalności tutaj i wydawało mi się, że w ogóle się nie starzał ani nie zmieniał. Na zawsze pozostał łysy, wysoki i kościsty, jakby zagubiony w zwojach fartuchów laboratoryjnych, które powiewały wokół niego, gdy pędził korytarzami.

Założył lateksowe rękawiczki i delikatnie uniósł dłoń zmarłego, obracając ją w różne strony.

– Najłatwiej będzie zsunąć skórę – zdecydował.

Wierzchnia warstwa skóry dłoni nazywa się rękawiczką i ją właśnie zsunął, następnie włożył na swoją lateksową, posmarował tuszem dziesięć koniuszków palców i odbił na dziesięciu karteczkach. Zdjął delikatnie „rękawiczki” ze skóry, a potem własne lateksowe, i poszedł z powrotem na górę.

– Chuck, włóż je do formaliny – poleciłam. – Musimy to zachować. Widziałam, że był bardzo ponury, kiedy otwierał zakrętkę od słoika.

– Obróćmy go – poprosiłam.

Marino pomógł nam ułożyć ciało na brzuchu. Znow znalazłam trochę brudu, zwłaszcza na pośladkach, i pobrałam próbkę. Nie widziałam

żadnych obrażeń, tylko nieco ciemniejsze miejsce na skórze w górnej części pleców. Przypatrywałam mu się przez lupę, oddalając ją i przybliżając, i cały czas się zastanawiałam, jak zawsze, gdy pragnęłam znaleźć jakiś znak, ślady ukąszeń czy inne dowody. Było to trochę jak nurkowanie w mętnej wodzie. Widziałam tylko kształty, cienie i czekałam, aż na coś wpadnę.

– Czy widzisz to, Marino – spytałam – czy to tylko moja wyobraźnia?

Wciągnął nosem Vick z inhalatora i nachylił się nad stołem. Patrzył i patrzył.

– Może – odpowiedział. – Nie wiem.

Wytarłam skórę wilgotnym ręcznikiem i naskórek zszedł. Warstwa pod nim wyglądała jak brązowa krepina zaplamiona ciemnym tuszem.

– Tatuaż. – Byłam tego pewna. – Tusz przeniknął do głębszych warstw skóry, ale nie mogę niczego rozpoznać. Po prostu duża plama.

– Jak takie znamię, które ludzie mają od urodzenia – podsunął Marino.

Ustawiłam wygodniej lampę chirurgiczną i przysunęłam się jeszcze bliżej z lupą. Ruffin z obrażoną miną gorliwie polerował stalowe blaty.

– Spróbujemy ultrafioletu – zdecydowałam.

Wielopasmowa lampa ultrafioletowa była bardzo prosta w obsłudze i wyglądała podobnie do ręcznych skanerów, używanych na lotniskach. Przygasiliśmy światła i wypróbowałam urządzenie najpierw na długich falach, zbliżając je do interesującego mnie miejsca. Nic nie zabłysnęło, ale pojawił się jakby lekki cień fioletu i pomyślałam, że może wyłapaliśmy ślad białego tuszu. W świetle ultrafioletowym wszystko białe, jak na przykład prześcieradło na noszach, będzie świeciło jak śnieg przy księżycu i może mieć lekki odcień fioletu od lampy. Zmieniłam selektor i spróbowałam krótkich fal. Nie zauważyłam żadnej różnicy.

– Światło – powiedziałam.

Ruffin zaświecił.

– Myślałem, że tusz od tatuażu będzie świecił jak neon – powiedział Marino.

– Tusze odblaskowe dają taki efekt – wyjaśniłam – ale duże stężenia jodyny i rtęci nie są zbyt zdrowe, więc już się tego nie używa.

Minęło południe, kiedy wreszcie rozpoczęłam sekcję, wykonując nacięcie w kształcie Y i usuwając żebra. Zobaczyłam to, czego się spodziewałam. Organy wewnętrzne były bardzo miękkie, prawie się rozpadały, i musiałam niesłychanie ostrożnie oddzielać je i ważyć. Niewiele mogłam powiedzieć na temat naczyń krwionośnych, lecz nie były zablokowane. Nie znalazłam już krwi, mózg był płynny.

– Próbkę mózgu i wysięki idą na badania toksykologiczne – powiedziałam do Ruffina.

Mocz i kał przeszły przez tkanki i znikły, z żołądka nic nie pozostało. Kiedy jednak obejrzałam tył czaszki, pomyślałam, że mam już odpowiedź. Zmarły miał obustronne zasinienia wyrostków skalistych kości skroniowej oraz wyrostków sutkowatych. Chociaż nie mogłam niczego stwierdzić ostatecznie, zanim otrzymam wyniki toksykologiczne, byłam prawie pewna, że ten człowiek utonął.

– Co? – Marino patrzył na mnie zdumiony.

– Widzisz te ciemne ślady? – Pokazałam mu je. – To wynik poważnego krwotoku, prawdopodobnie gdy walczył, tonąc.

Zadzwoił telefon i Rufin poczłapał, aby go odebrać.

– Kiedy ostatnio miałeś do czynienia z Interpolem? – spytałam Marina.

– Pięć, może sześć lat temu, kiedy uciekinier z Grecji skończył tutaj, bo wdał się w bójkę w barze niedaleko Hull Street.

– W tym przypadku bez wątpienia wyjdą międzynarodowe powiązania. I jeśli policja poszukuje go we Francji, Anglii, Belgii czy Bóg wie gdzie, jeśli jest jakimś międzynarodowym zbiegiem, my, w Richmondzie, nie dowiemy

się tego, dopóki Interpol nie znajdzie go w swoim systemie komputerowym.

– Rozmawiałaś kiedyś z nimi? – spytał detektyw.

– Nie, to robota dla was.

– Powinnaś kiedyś posłuchać tych wszystkich gliniarzy, którzy mają nadzieję dostać sprawę związaną z Interpolem, ale jeżeli ich zapytasz, co to jest, nie mają zielonego pojęcia – powiedział. – Właściwie to nie interesują mnie kontakty z Interpolem. Przeraza mnie, tak samo jak CIA. Nawet nie chcę, żeby tacy ludzie wiedzieli, że istnieję.

– To śmieszne. A czy wiesz, co znaczy Interpol, Marino?

– Tak. Tajemnicze wiewiórki.

– To skrót od International Police. Chodzi o to, żeby zebrać policje z wielu krajów razem i rozmawiać z sobą. Trochę tak, jak chciałbyś, żeby było w waszym wydziale.

– Więc nie mogą mieć u siebie takiej Bray.

Obserwowałam Ruffina, gadającego z kimś przez telefon. Ktokolwiek to był, Chuck starał się zachować treść rozmowy dla siebie.

– Telekomunikacja, ogólnoswiatowa sieć przestrzegania prawa... Słuchaj, nie wiem, jak długo jeszcze to zniosę. On nie tylko mi się sprzeciwia, ale robi to ostentacyjnie – mruknełam, patrząc na Ruffina, gdy odkładał słuchawkę.

Marino wpatrywał się w chłopaka.

– Interpol przesyła kodowane kolorami informacje o osobach zaginionych, ostrzeżenia, pytania – mówiłam dalej roztargnionym tonem, patrząc jednocześnie, jak Ruffin wpycha ręcznik do tylnej kieszeni kitla i wyciąga z szafki szufladkę z pigułkami.

Usiadł na stołku przy zlewie, tyłem do mnie. Otworzył brązową papierową torebkę z zaznaczonym numerem sprawy i wyciągnął z niej trzy

buteleczki z advilem i dwie z lekarstwami na receptę.

– Czarna kartka oznacza niezidentyfikowane ciało – powiedziałam. – Zwykle podejrzanych zbiegów z międzynarodowymi powiązaniem. Chuck, dlaczego teraz to tu robisz?

– No, tak jak mówiłem, mam zaległości. Nigdy nie widziałem, żeby tyle cholernych pigułek przychodziło ze zwłokami, pani doktor. Już nie daję rady. A kiedy dochodzę do sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu dzwoni telefon, tracę rachubę i muszę zaczynać wszystko od nowa.

– Tak, chłopcze – wtrącił się Marino. – Widzę, dlaczego łatwo tracisz rachubę. – Ruffin zaczął gwizdać. – Z czego nagle tak się cieszysz? – spytał zirytowany detektyw, gdy Ruffin pęsetką układał rzędy tabletek na niebieskiej plastikowej tacce.

– Będziemy mogli dostać odciski palców, karty dentystyczne, wszystko, co się da – powiedziałam, pobierając skrawek mięśnia do badania DNA. – A wszystko, co znajdziemy, musimy im posłać – dodałam.

– Im? – zapytał Marino.

Byłam już zniecierpliwiona.

– Interpolowi – wyjaśniłam oschle.

Znów zadzwonił telefon.

– Hej, Marino, możesz odebrać? Ja liczę.

– Co za gnojek – powiedział o Ruffinie.

– Słuchasz mnie? – spytałam Marina.

– Tak – odrzekł. – Mamy łącznika w Stanowej Policji Kryminalnej. To taki starszy sierżant, któremu kiedyś zaproponowałem, żeby się wybrał z nami na piwo do klubu albo coś przegryźć u Chetti. Wiesz, zwróciłem się do niego tak po przyjacielsku, a on nawet nie zmienił tonu głosu. Jestem pewien, że mnie nagrywał.

Pracowałam nad fragmentem kręgosłupa, który musiał zostać oczyszczony w kwasie siarkowym, a następnie poddany badaniu na okoliczność mikroskopijnych organizmów, zwanych diatomami lub okrzemkami, znajdujących się w wodzie na całym świecie.

– Szkoda, że nie pamiętam jego nazwiska – ciągnął Marino. – Ten facet zbierał wszelkie informacje, kontaktował się z Waszyngtonem, a oni z Lyonem, gdzie urzędują te wszystkie tajemnicze wiewiórki. Podobno mają taki bajerancki budynek na ukrytej uliczce, coś jak kryjówka Batmana. Ogrodzenie pod napięciem, drut kolczasty i strażnicy z karabinami maszynowymi, wszystkie bajery.

– Oglądasz za dużo Jamesa Bonda – zauważyłam.

– Nie od czasu, kiedy odszedł Sean Connery. Obecne filmy są beznadziejne, w ogóle nie ma nic ciekawego w telewizji. Nie wiem, dlaczego jeszcze je oglądam.

– Może powinieneś od czasu do czasu poczytać książkę.

– Doktor Scarpetta – odezwał się Chuck, odłożywszy słuchawkę. – To był doktor Cooper. Poziom alkoholu wynosi zero osiem setnych w płynach otrzewnych i zero w mózgu.

Ta ilość nie miała żadnego znaczenia, skoro również w mózgu nie zanotowano obecności alkoholu. Może zmarły pił coś przed śmiercią, ale mógł to być też alkohol powstały po śmierci na skutek działania bakterii. Nie mieliśmy, niestety, do porównania żadnych innych płynów: moczu, krwi, ciała szklatego z oka. Jeśli poziom osiem setnych był prawdziwy, przynajmniej wskazywałby na to, że człowiek ów był w momencie śmierci w pewnym stopniu osłabiony, a więc mniej odporny.

– Co napiszesz przy wypisywaniu go? – spytał Marino.

– Ostra choroba morska. – Ruffin pacnął ręcznikiem muchę.

– Wiesz, ty rzeczywiście zaczynasz mi działać na nerwy – ostrzegł go detektyw.

– Przyczyna śmierci nieznana – powiedziałam. – Rodzaj: zabójstwo. To nie jest jakiś biedny doker, który został przypadkowo zamknięty w kontenerze. Chuck, potrzebna mi miska chirurgiczna. Postaw ją tu, na blacie, a przed końcem pracy musimy porozmawiać.

Odwrocił ode mnie wzrok. Zdjęłam rękawice i zadzwoniłam do Rose.

– Czy byłabyś uprzejma pójść do archiwum i znaleźć jakąś moją starą korkową deseczkę do krojenia? – poprosiłam. Urząd Zdrowia i Bezpieczeństwa Pracy zdecydował, że deseczki muszą być pokryte teflonem, gdyż wszelkie porowate mogły ulec zakażeniu. Miało to sens, jeśli chodzi o żywych pacjentów lub przy pieczeniu chleba. Dostosowałam się, ale to nie znaczy, że cokolwiek wyrzuciłam. – Potrzebuję też małych szpileczek – ciągnęłam. – Powinny być w plastikowym pudełeczku w prawej górnej szufladzie mojego biurka. Oczywiście, jeżeli ich też nie ukradziono.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała Rose.

– Myślę, że deseczki są na dolnej półce w schowku, obok pudeł ze starymi podręcznikami dla koronerów.

– Jeszcze coś?

– Lucy pewnie się nie odezwała?

– Jeszcze nie. Jak zadzwoni, znajdę panią.

Myślałam przez chwilę. Było po pierwszej. Wsiadła już z samolotu i mogła zatelefonować. Znowu opanowały mnie załamanie i strach.

– Poślij kwiaty do jej biura – poprosiłam. – Z karteczką: „Dziękuję za wizytę, całuję, ciocia Kay”. – Cisza. – Jesteś tam? – odezwałam się do Rose.

– Czy na pewno to właśnie chce pani przekazać? – spytała.

Zawahałam się na chwilę.

– Niech napiszą, że ją kocham i przepraszam.

Rozdział 14

Normalnie użyłabym niezmywalnego pisaka do zaznaczenia kawałka skóry, przeznaczonej do wycięcia ze zwłok, ale w tym przypadku żaden pisak nie zostawiłby śladu na skórze w takim stanie.

Użyłam więc plastikowej linijki i zmierzyłam odległość od szyi do ramienia, następnie do dołu łopatki i z powrotem w górę.

– Dwadzieścia jeden na siedemnaście i pół, na pięć, na dziesięć – podyktowałam Ruffinowi.

Skóra jest elastyczna. Nacięta kurczy się, więc było ważne, żeby po przypięciu do korkowej deseczki rozciągnąć ją do pierwotnych wymiarów, bo inaczej tatuaż stałby się zupełnie nieczytelny.

Marino wyszedł, a moi pracownicy zajęci byli w swoich gabinetach lub sali autopsyjnej. Co jakiś czas telewizja w obwodzie zamkniętym ukazywała samochód, zatrzymujący się w zatoczce, który przywoził lub zabierał jakieś zwłoki. Ruffin i ja znajdowaliśmy się sami za zamkniętymi stalowymi drzwiami sali „rozkładających”. Chciałam go skłonić do rozmowy.

– Jeżeli chciałbyś iść do policji – powiedziałam – to w porządku. – Zadzwieczętało szkło, gdy układał na półeczce próbówki do krwi. – Ale jeśli chcesz tu zostać, Chuck, musisz być odpowiedzialny, zawsze na miejscu i okazywać szacunek.

Wzięłam ze stołu skalpel i szcypce i popatrzyłam na chłopaka. Wydawało mi się, że wcześniej przypuszczał, co powiem, i miał przygotowaną odpowiedź.

– Może nie jestem doskonały, lecz z pewnością odpowiedzialny – oświadczył.

– Ostatnio nie. Potrzebuję więcej zacisków.

– Wiele się dzieje – powiedział, zdejmując je z tacy i podając mi. – To znaczy w moim życiu prywatnym. Żona, dom, który kupiliśmy. Nie uwierzy pani, jakie z tym są problemy.

– Przykro mi z powodu twoich kłopotów, ale ja muszę prowadzić tę instytucję obsługującą cały stan i po prostu nie mam czasu na wymówki. Jeżeli nie zaczniesz się wywiązywać ze swoich obowiązków, będziemy mieli poważne problemy. Nie życzę sobie jeszcze raz wejść do prosektorium, do którego ty nie wszedłeś wcześniej, żeby wszystko przygotować. Nie życzę sobie znowu cię szukać.

– Już mamy poważne problemy – odpowiedział, jakby czekał na możliwość tego strzału. – Zaczęłam ciąć. – Pani po prostu o tym nie wie – dodał.

– Więc może mi powiesz, Chuck, co to za poważne problemy? – spytałam.

Odwróciłam nacięty kawałek skóry, a Ruffin patrzył, jak przymocowuję ją zaciskami, by pozostała napięta. Zatrzymałam się i spojrzałam na niego przez stół. – No, dalej – zachęcałam. – Powiedz mi wreszcie.

– Nie wiem, czy powinienem to pani mówić – odrzekł, a w jego oczach ujrzałam coś, co mnie bardzo zaniepokoiło. – Niech pani posłucha, pani doktor. Wiem, że nie zawsze byłem tu na baczność. Wiem, że urywałem się na rozmowy w sprawie pracy i może nie jestem taki odpowiedzialny, jak należy. I nie bardzo zgadzam się z Marinem. To wszystko przyznaję. Ale

powiem pani coś, czego nikt inny pani nie powie, o ile pani obieca nie ukarać mnie za to.

– Nie karzę ludzi za to, że są szczerzy – odparłam wściekła, że mógłby w ogóle coś takiego pomyśleć. Wzruszył ramionami i zobaczyłam w jego oczach błysk satysfakcji, że udało mu się wyprowadzić mnie z równowagi.

– W ogóle nie karzę, kropka. Po prostu oczekuję, że ludzie będą robili, co trzeba, a jeśli nie, to sami się ukarzą. Jeśli się nie utrzymasz w tej robocie, to twoja wina.

– Może użyłem niewłaściwego słowa – odpowiedział, cofając się, Chuck. Oparł się o blat i skrzyżował ręce. – Nie wyrażam się tak dobrze, jak pani, to pewne. Nie chcę tylko, żeby się pani denerwowała, że będę mówił prosto z mostu. Okay?

Milczałam.

– A więc wszystkim jest przykro z powodu tego, co stało się w zeszłym roku – zaczął od wstępu. – Podziwiają, jak pani przez to przeszła. Naprawdę. Gdyby ktoś to zrobił mojej żonie, nie wiem, jak bym zareagował, zwłaszcza gdyby to było takie okropne, jak to, co zrobili z agentem specjalnym Wesleyem.

Chuck zawsze mówił o Bentonie „agent specjalny”, co wydawało mi się dość głupie. Bezpretensjonalny Benton czuł się zawsze tak zakłopotany, gdy ktoś go tytułował. Ale biorąc pod uwagę to, co powiedział mi Marino o fascynacji Ruffina służbą w ochronie prawa, zaczynałam rozumieć. Mój niepokąźny pomocnik w prosektorium był zapewne pełen podziwu dla doświadczonego agenta FBI, zwłaszcza specjalisty od portretów psychologicznych. Przyszło mi do głowy, że może dobre zachowanie Ruffina w tamtych czasach miało więcej wspólnego z Bentonem niż ze mną.

– To miało wpływ na nas wszystkich – mówił dalej Chuck. – Przychodził tutaj do nas, zamawiał jakieś dobre kanapki albo pizzę i tak sobie siedzieliśmy, gadaliśmy i żartowaliśmy. Taki ważny, wspaniały facet jak on, a nie zadzierał nosa. To na mnie robiło wrażenie.

Zaczęły mi się też układać fragmenty przeszłości chłopaka. Jego ojciec zginął w wypadku samochodowym, gdy Ruffin był dzieckiem. Wychowywała go matka, wspaniała, inteligentna kobieta, z zawodu nauczycielka. Żona Chucka również była silną osobowością, a teraz jeszcze pracował dla mnie. Zawsze mnie to fascynowało, że ludzie powracają do wzorców z dzieciństwa, uparcie poszukując tego samego wroga, jakim w tym wypadku jest typ dominującej kobiety.

– Wszyscy obchodzą się z panią jak z jajkiem – próbował wytłumaczyć – więc nikt nic nie mówi, chociaż pani nie zwraca uwagi, a dzieją się różne rzeczy, o których pani nie ma zielonego pojęcia.

– Na przykład co? – spytałam, odwracając delikatnie skalpelem rozek skóry.

– Po pierwsze, mamy w budynku tego cholernego złodzieja. I założę się, że musi to być ktoś z naszych pracowników. To już trwa od tygodni i nic pani z tym nie zrobiła.

– Dopiero co się dowiedziałam.

– Właśnie o to mi chodzi.

– To absurdalne. Rose niczego przede mną nie ukrywa – zaprotestowałam.

– Ludzie ją też traktują w aksamitnych rękawiczkach. Niech pani to zrozumie: dla pracowników Rose jest pani kablem. Nie ufają jej.

Staralam się skoncentrować na tym, co robię, chociaż jego słowa zraniły moją dumę i uczucia. Kontynuowałam sekcję, uważając, aby nie przekłuć ani nie przeciąć tkanki. Ruffin czekał na moją reakcję.

– Nie potrzebuję kapusiów – odpowiedziałam. – Każdy z moich ludzi wie, że może zawsze przyjść do mnie do gabinetu i porozmawiać o wszystkim. – Milczenie chłopaka wskazywało na to, że rozkoszuje się tą sceną i swoją lekceważącą postawą. – Nie sędzę, Chuck, żebym się musiała usprawiedliwiać przed kimkolwiek – kontynuowałam. – Wydaje mi się, że jesteś jedynym z moich współpracowników, który ma ze mną problem. Oczywiście rozumiem, że trudno ci się pogodzić z tym, że masz szefa kobietę, a wszystkie ważne osoby w twoim życiu też są kobietami. – Ten przycisk zadziałał i zobaczyłam jakiś błysk w jego oczach. Znow zabrałam się do delikatnej, śliskiej tkanki. – Ale wdzięczna ci jestem, że podzieliłeś się ze mną swymi przemyśleniami.

– To nie tylko moje – oświadczył bezczelnie. – Wszyscy uważają, że pani jest na wylocie.

– Cieszę się, że wiesz, co wszyscy uważają – odparłam, starając się nie okazywać wściekłości.

– O to nietrudno. Nie tylko ja widzę, że nie robi pani już niczego tak, jak kiedyś. I pani o tym wie, musi to pani przyznać.

– Powiedz mi, co muszę przyznać.

Miał gotową listę.

–Jakieś nietypowe zachowania. Zapracowuje się pani na śmierć, jeździ na miejsca przestępstw, chociaż pani nie musi, i później jest pani tak zmęczona, że nie zauważa pani, co się dzieje w biurze. A potem dzwonią zrozpaczeni krewni, pani zaś nie ma czasu z nimi porozmawiać.

– Jacy zrozpaczeni krewni? – zaczynałam tracić cierpliwość. – Zawsze rozmawiam z rodzinami, z każdym, kto o to poprosi, jeśli tylko jest to ktoś, kto ma prawo do informacji.

– Może powinna pani sprawdzić to u doktora Fieldinga: ile telefonów do pani załatwiał osobiście, z iloma rodzinami z pani przypadków rozmawiał,

ile razy panią zastępował. A jeszcze ta pani strona w Internecie. To już naprawdę przesada. To ostatnia kropla.

Byłam zdumiona.

– Jaka strona w Internecie?

– Takie rozmowy, czy co tam pani prowadzi. Szczerze mówiąc, ponieważ nie mam w domu komputera i nie używam Internetu ani poczty elektronicznej, nie widziałem tego osobiście.

Dziwne, wściekłe myśli przelatywały mi przez głowę jak tysiące gwiazdek, zaciemniając umysł i uniemożliwiając logiczne myślenie.

– Nie zamierzałam pani denerwować – zakończył Chuck. – Mam nadzieję, że pani wie, że rozumiem, jak mogło do tego wszystkiego dojść po tym, co pani przeszła.

Nie chciałam już słyszeć ani słowa o tym, co przeszłam.

– Dziękuję za zrozumienie, Chuck – odpowiedziałam, przeszywając go spojrzeniem, aż odwrócił oczy.

– Mają przywieźć ten przypadek z Powhatan, już tu powinien być. Może mam iść sprawdzić? – zapytał, żeby już wyjść.

– Dobrze, a potem włóż to ciało z powrotem do chłodni.

– Oczywiście – odrzekł.

Drzwi się za nim zasunęły i w sali znów zapanowała cisza. Odczepiłam ostatni kawałeczek i umieściłam wszystko na korkowej deseczce. W moją pewność siebie zaczęła się wkradać jakaś paranoja i nachodziły mnie wątpliwości. Zaczęłam przypinać wycinek szpileczkami, naciągać, mierzyć, znów naciągać. Umieściłam deseczkę w misce, nakryłam zieloną serwetką i włożyłam do chłodni.

Wzięłam prysznic i przebrałam się w szatni, oczyściłam myśli z fobii i wątpliwości. Zrobiłam sobie przerwę, żeby wypić kawę. Dzbanek był stary

i miał już czarne dno. Zainicjowałam nowy fundusz kawowy, wręczając mojej kierownicze biura dwadzieścia dolarów.

– Jean, czy ty czytałaś te rozmówki, jakie rzekomo prowadzę w Internecie? – spytałam.

Pokręciła głową, ale miała niewyraźną minę. Następnie to samo pytanie zadałam najpierw Clecie, a potem Polly. Cleta zaczerwieniła się, spuściła oczy i bąknęła: „czasami”.

– Polly? – zapytałam.

Przestała pisać i też się zarumieniła.

– Nie cały czas.

Skinęłam głową.

– To nie ja – oświadczyłam stanowczo. – Ktoś się pode mnie podszywa. Szkoda, że wcześniej o tym nie wiedziałam. – Obie wyglądały na bardzo zmieszane i nie byłam pewna, czy mi uwierzyły. – Rozumiem oczywiście, dlaczego nie chciałyście mi nic mówić, kiedy dowiedziałyście się o tych pogawędkach – ciągnęłam. – Pewnie gdyby było odwrotnie, też bym tego nie zrobiła. Ale potrzebuję waszej pomocy. Jeśli macie pomysł, kto mógł mi to zrobić, powiedzcie, dobrze?

Wyraźnie im ulżyło.

– To straszne! – zawołała Cleta z przejęciem. – Ten, kto to robi, powinien iść do więzienia.

– Przepraszam, że nic nie powiedziałam – dodała Polly. – Nie mam pojęcia, kto mógłby coś takiego wymyślić.

– Najgorsze, że to trochę jest w pani stylu, jak się to czyta. W tym problem – dodała Cleta.

– W moim stylu?

– No wie pani, rady, jak zapobiegać wypadkom, o bezpieczeństwie, rozpaczy, różne medyczne sprawy.

– I mówicie, że wydaje się, jakby to pisał lekarz albo ktoś z medycznym wykształceniem? – pytałam z rosnącym niedowierzaniem.

– Ktokolwiek to jest, wydaje się wiedzieć, o czym pisze – tłumaczyła Cleta. – Tylko robi to bardziej w stylu zwykłej rozmowy, a nie jakby czytał sprawozdanie z sekcji zwłok czy coś w tym rodzaju.

– Właściwie kiedy się teraz zastanawiam – myślała głośno Polly – nie brzmi to jak pani wypowiedzi.

Zauważyłam na jej biurku teczkę jakiejś sprawy otwartej na kolorowym zdjęciu komputerowym z sekcji mężczyzny, którego głowa, roztrzaskana pociskiem, wyglądała jak zakrwawiony kieliszek do jaj. Rozpoznałam ofiarę morderstwa. Żona tego człowieka pisała do mnie z więzienia, oskarżając mnie o wszystko, od niekompetencji po oszustwo.

– Co to jest? – zapytałam.

– „Times Dispatch” i Biuro Prokuratora Generalnego dostało listy od tej wariatki i Ira Herbert dzwonił niedawno, pytając o tę sprawę – wyjaśniła Polly.

Herbert był reporterem od spraw kryminalnych w lokalnej gazecie. Jeśli on telefonował, oznaczało to prawdopodobnie, że podano mnie do sądu.

– A potem Harriet Cummins zadzwoniła do Rose z prośbą o dokumenty z tego przypadku – dodała Cleta. – Okazuje się, że według ostatnich rewelacji tej jego zwariowanej żony denat sam wsadził sobie pistolet do ust i dużym palcem u nogi pociągnął za spust.

– Ten biedny człowiek nosił wojskowe buty – oświadczyłam. – Żadnym sposobem nie mógł nacisnąć spustu palcem u nogi, a zastrzelono go z bliskiej odległości pociskiem w tył głowy.

– Ja już nie rozumiem, co to się z ludźmi dzieje – powiedziała Polly, wzdychając. – Ciągłe tylko kłamią i oszukują, a jak się ich zamknie, to rozrabiają i podają do sądu. Niedobrze się robi.

- Mnie też – zgodziła się jej koleżanka.
- Czy wiecie, gdzie jest doktor Fielding? – spytałam je.
- Gdzieś tu się niedawno kręcił – odrzekła Polly.

Znalazłam go w bibliotece medycznej, jak przeglądał „Odżywianie się przy uprawianiu ćwiczeń i sportów”. Uśmiechnął się na mój widok, ale wyglądał na zmęczonego i nie w humorze.

– Jem za mało węglowodanów – odezwał się, pukając palcem w kartkę.
– Wciąż sobie powtarzam, że jeśli w mojej diecie nie będzie pięćdziesiąt pięć do siedemdziesiąt procent węglowodanów, zacznę cierpieć na niedobór glikogenu. Mam ostatnio tak mało energii...

– Jack – przerwałam mu. – Chciałabym, żebyś był ze mną szczery jak zawsze dotąd.

Zamknęłam drzwi od biblioteki, powtórzyłam mu, co powiedział Ruffin, i zauważyłam cień bolesnego wspomnienia na twarzy Fieldinga. Wysunął krzesło i siadł przy stole. Zamknął książkę. Usiadłam obok niego i zwróciliśmy krzesła ku sobie.

– Ktoś się kręci wokół sekretarza stanu Wagnera, żeby cię wyrzucić – powiedział. – Myślę, że to bzdura i przykro mi, że w ogóle to do ciebie doszło. Chuck to idiota.

Sinclair Wagner był szefem Urzędu Zdrowia i Pomocy Ludności i tylko on lub gubernator Wirginii mogli powoływać lub odwoływać głównego koronera stanowego.

- Kiedy zaczęły do ciebie dochodzić te plotki? – spytałam.
- Niedawno, parę tygodni temu.
- Wyrzucić z jakiego powodu? – wypytywałam dalej.
- Bo podobno nie bardzo wam się układa współpraca.
- Przecież to śmieszne!

– Albo nie jest z ciebie zadowolony, czy coś takiego, i w rezultacie gubernator też nie będzie.

– Jack, mów konkretnie.

Zawahał się i przez chwilę kręcił na krześle. Wyglądał, jakby uważał, że moje problemy powstały z jego winy.

– Dobra, wykładam kawę na ławę, pani doktor. Mówią, że Wagner czuje się zakłopotany z powodu tych rozmówek, jakie pani odbywa przez Internet.

Przysunęłam się do niego i położyłam mu rękę na ramieniu.

– To nie ja – zapewniłam go. – Ktoś się pode mnie podszywa.

Spojrzał na mnie zdumiony.

– Bujasz.

– Nie, nie ma w tym nic śmiesznego.

– Jezus Maria – westchnął z obrzydzeniem. – Czasem myślę, że, Internet to najgorsze, co nam się mogło przydarzyć.

– Jack, dlaczego mnie po prostu nie zapytałeś? Jeśli myślałeś, że robię coś niewłaściwego... Czy już od wszystkich w tym biurze tak się oddaliłam, że nikt nie może mi nic powiedzieć?

– To nie o to chodzi – powiedział. – Nie w tym rzecz, że ludzi nic nie obchodzi albo ty jesteś wyobcowana. Raczej obchodzi nas tak bardzo, że jesteśmy nadopiekuńczy i próbujemy cię chronić.

– Przed czym? – Chciałam wiedzieć.

– Każdy powinien mieć szansę przeżycia swojego bólu w spokoju – zaczął cicho – i przeczekania. Nikt nie uważał, że będziesz zaraz pracować na pełnych obrotach. Ja na pewno bym nie mógł. Jezu, ja ledwo przeżyłem swój rozwód.

– Ja nie przeczekuję, Jack. I funkcjonuję na pełnych obrotach. Mój prywatny, osobisty ból pozostaje prywatnym i osobistym.

Patrzył na mnie długo, wytrzymując mój wzrok, ale wyraźnie tego nie pojmował.

– Szkoda, że to nie takie proste.

– Nie mówię, że to proste. Czasem poranne wstanie z łóżka to najtrudniejsza rzecz, jaką mi się udało osiągnąć. Ale nie mogę pozwolić, żeby moje własne problemy wpływały na moją pracę.

– Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałem, co robić, i głupio się z tym czuję – wyznał. – Nie wiedziałem też, jak pomóc ci poradzić sobie z jego śmiercią. Wiem, że bardzo go kochałaś. Wciąż mi chodziło po głowie, że może dobrze byłoby zaprosić cię gdzieś na kolację albo spytać, czy nie trzeba w czymś pomóc albo naprawić czegoś w domu. Ale miałem też swoje własne problemy, o których wiesz. Więc uznałem, że nie mogę zrobić wiele więcej ponad to, żeby zdjąć z ciebie jak najwięcej obowiązków.

– Czy odbierałaś za mnie telefony, kiedy rodziny ofiar chciały ze mną porozmawiać?

– To nie problem – powiedział. – To było minimum, jakie mogłem zrobić.

– O mój Boże – powiedziałam, pochylając głowę i przeczesując włosy palcami. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Po prostu robiłem...

– Jack – przerwałam. – Jestem tu codziennie, poza sytuacjami, kiedy idę do sądu. Dlaczego telefony do mnie miałyby być przełączane na ciebie? Nic o tym nie wiedziałam. – Teraz Fielding był zmieszany. – Nie zdajesz sobie sprawy z tego, jakie to byłoby z mojej strony nikczemne, gdybym odmawiała rozmowy z oszołomionymi, cierpiącymi ludźmi? Nie odpowiadać na ich pytania i nawet się nie zainteresować?

– Myślałem tylko...

– To szaleństwo! – wykrzyknęłam. Żołądek zwinął mi się w węzeł. – Gdybym taka była, nie zasługiwałabym na to stanowisko. Jeżeli się taka stanę, to odejdę. Jak właśnie ja mogłabym się nie przejmować bólem innych zrozpaczonych ludzi? Jak mogłabym im nie współczuć, nie rozumieć ich i nie odpowiadać na pytania, i nie walczyć o to, żeby wysłać cholernego drania, który to zrobił, na krzesło elektryczne? – Byłam bliska płaczu, głos mi drżał. – Albo na śmiertelny zastrzyk. Cholera, powinniśmy powrócić do publicznego wieszania takich łotrów – oświadczyłam.

Fielding patrzył na zamknięte drzwi, jakby się bał, że ktoś mnie usłyszy. Wzięłam głęboki oddech i nakazałam sobie spokój.

– Ile razy się to zdarzyło? – spytałam. – Ile razy odebrałeś za mnie telefony?

– Ostatnio wiele razy – odpowiedział niechętnie.

– Ile to jest „wiele razy”?

– Pewnie co drugi przypadek, jaki robiłaś w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

– To niemożliwe – odpowiedziałam.

Milczał, a kiedy o tym myślałam, zaczęły mnie nachodzić wątpliwości. Rzeczywiście, rodziny ofiar nie dzwoniły tak często jak kiedyś, nie zwróciłam jednak na to uwagi, bo nigdy nie prowadziłam żadnej statystyki, nie można tego było przewidzieć. Niektórzy krewni chcieli znać wszystkie szczegóły. Inni telefonowali, żeby dać upust rozgoryczeniu i wściekłości. Niektórzy woleli nic nie wiedzieć, bo była to dla nich droga ucieczki.

– Więc podejrzewam, że są na mnie jakieś skargi? – spytałam. – Cierpiący, zrozpaczeni ludzie, którzy myśleli, że jestem zimna i arogancka. I nie mam do nich o to żalu.

– Niektórzy się skarżyli.

Widziałam z jego twarzy, że było więcej niż kilka skarg. Nie miałam wątpliwości, że pisano również listy do gubernatora.

– Kto przełączał do ciebie te telefony? – spytałam rzeczowo i cicho, bo bałam się, że mogę w holu ryknąć jak tornado i wrzeszczeć na wszystkich po opuszczeniu tego pokoju.

– Nie było w tym nic dziwnego, że nie chciałaś teraz rozmawiać z cierpiącymi ludźmi – starał mi się wytłumaczyć. – Niektóre bolesne sprawy mogłyby przypominać... wydawało mi się to logiczne. Większość z tych ludzi potrzebowała po prostu kogoś fachowego, lekarza. Jeśli mnie nie było w pobliżu, zajmowali się nimi Jill albo Bennett – powiedział, mając na myśli moich stażystów. – Myślę, że problemy pojawiały się wtedy, kiedy nie było żadnego z nas i wtedy Dan albo Amy musieli przeprowadzać te rozmowy.

Dan Chong i Amy Forbes, studenci medycyny, zaliczali tutaj praktykę. W żadnym wypadku nie powinni być postawieni przed koniecznością rozmowy z rodzinami.

– No nie – powiedziałam, zamykając oczy, porażone tak koszmarnymi wiadomościami.

– Głównie po godzinach. Ta nieszczęsna automatyczna sekretarka... – powiedział.

– Kto przełączał rozmowy do ciebie? – spytałam ponownie, tym razem zdecydowanie.

Westchnął. Był smutny i zmartwiony jak jeszcze nigdy.

– Powiedz – nalegałam.

– Rose – szepnął.

Rozdział 15

Rose zapinała płaszcz i zarzuciła właśnie na szyję jedwabną apaszkę, gdy wpadłam do jej pokoju kilka minut przed szóstą. Jak zwykle pracowała do późna. Czasem musiałam ją zmuszać do pójścia do domu pod koniec dnia i chociaż w przeszłości mnie to wzruszało i robiło na mnie wrażenie, teraz poczułam się nieswojo.

– Odprowadzę cię do samochodu – zaproponowałam.

– Och – powiedziała – naprawdę nie musi pani tego robić.

Miała zaciśnięte usta i nerwowo skubała skórzaną rękawiczkę. Wiedziała, że chodziło mi o coś, o czym nie chcę tu rozmawiać i zapewne domyślała się o co. Niewiele mówiłyśmy, idąc korytarzem do wyjścia. Dywan tłumił kroki i wyczuwałam między nami pewną niezręczność.

Było mi ciężko na sercu. Nie wiedziałam, czy bardziej jestem zła, czy załamana, i zaczęłam się zastanawiać nad różnymi sprawami. Co jeszcze Rose przede mną ukrywała i od jak dawna to trwało? Czy jej lojalność przerodziła się w zaborczość, której nie dostrzegłam? Czy uważała, że do niej należę?

– Lucy pewnie nie dzwoniła? – spytałam, gdy doszliśmy do pustego marmurowego holu.

– Nie – odpowiedziała Rose. – Parę razy próbowałam złapać ją w biurze.

– Ale kwiaty dostała?

– Och tak.

Pomachał nam nocny strażnik.

– Na zewnątrz jest zimno! Gdzie pani ma płaszcz? – zapytał.

– Nic mi nie będzie. – Uśmiechnęłam się do niego i zapytałam Rose: – Wiemy, czy Lucy je widziała? – Była zakłopotana. – Kwiaty – przypomniałam. – Czy Lucy je widziała?

– Och tak – powtórzyła moja sekretarka. – Jej przełożona powiedziała, że przysłała, zobaczyła je, przeczytała bilecik i wszyscy sobie z niej żartowali i pytali, kto przysłał ten bukiet.

– Zapewne nie wiesz, czy zabrała je z biura do domu?

Rose spojrzała na mnie, gdy wyszliśmy z budynku na zimny, ciemny parking. Wydawała mi się stara i smutna i nie wiedziałam, czy łzy w jej oczach pojawiły się z powodu moich problemów, czy z powodu wiatru.

– Nie wiem – odrzekła.

– Resztki mojej drużyny – mruknęłam. – Podniosła kołnierz i wtuliła w niego twarz. – Do tego doszło – powiedziałam. – Kiedy Carrie Grethen zamordowała Bentona, uderzyła również w nas, prawda, Rose?

– Oczywiście miało to koszmarny skutek. Nie wiedziałam, co mogłabym dla pani zrobić, ale próbowałam. – Spojrzała na mnie, gdy szliśmy dalej, skulone z zimna. – Próbowałam, jak tylko potrafię i wciąż to robię – ciągnęła.

– Wszyscy się rozpiechli – mówiłam dalej. – Lucy jest na mnie zła i wtedy zawsze robi to samo. Odsuwa mnie. Marino nie jest już detektywem. A teraz się dowiedziałam, Rose, że przełączałaś do Jacka telefony, przeznaczone dla mnie, nie pytając mnie o to. Zrozpaczone rodziny ofiar nie mogły się ze mną skontaktować. Dlaczego to zrobiłaś?

Doszliśmy do jej niebieskiej hondy accord. Zadzwięczały kluczyki, które wyjęła z przepastnej torby.

– Czy to nie dziwne? – powiedziała. – Bałam się, że pani mnie zapyta o swój rozkład zajęć. Wykłada pani na Akademii więcej niż przedtem i kiedy sprawdziłam kalendarz na przyszły miesiąc, doszłam do wniosku, że ma pani za dużo spraw. Powinnam była wcześniej to zauważyć i jakoś temu zapobiec.

– To akurat jest w tej chwili moim najmniejszym zmartwieniem – odparłam, starając się nie przejmować. – Dlaczego mi to zrobiłaś? – spytałam, nie mając na myśli moich umówionych zajęć. – Dlaczego osłaniałaś mnie przed telefonami? Zrobiłaś mi krzywdę i osobiście, i zawodowo.

Rose otworzyła drzwiczki, uruchomiła silnik i włączyła dmuchawę, żeby zagrzać samochód przed samotną jazdą do domu.

– Robię to, co pani mi poleciła, doktor Scarpetta – odpowiedziała w końcu.

– Nigdy nie poleciłam ci takiej rzeczy i nigdy w życiu tego nie zrobię – oświadczyłam, nie wierząc własnym uszom. – Wiesz o tym i znasz moje zdanie co do tego, żeby zawsze mieć czas na rozmowę z rodziną.

Oczywiście, że wiedziała. Pozbyłam się dwóch lekarzy sądowych w ciągu ostatnich pięciu lat dlatego, że unikali spotkań z krewnymi ofiar i byli obojętni wobec tych, którzy pozostali w smutku.

– Robiłam to niechętnie – tłumaczyła się Rose już swym zwykłym matczynym tonem.

– A kiedy niby ci to powiedziałam?

– Nie powiedziała pani, tylko przysłała e-maila. Dawno, pod koniec sierpnia.

– Nigdy czegoś takiego nie wysyłałam – zapewniłam ją. – Zachowałaś tę notatkę?

– Nie – odpowiedziała z żalem. – Zwykle nie zostawiam poczty elektronicznej. Nie widzę powodu. Najchętniej w ogóle bym jej nie używała.

– A co było w tym liście rzekomo ode mnie?

– „Chcę, żebyś przełączała do kogoś innego jak najwięcej telefonów od rodzin. Obecnie jest to dla mnie zbyt trudne. Wiem, że zrozumiesz”. Albo coś w tym rodzaju.

– I nie miałaś wątpliwości? – spytałam z niedowierzaniem.

Rose przykręciła ogrzewanie.

– Oczywiście, że miałam – odrzekła. – Posłałam natychmiast e-maila i zapytałam o to. Wyraziłam swoje obawy, a pani odpowiedziała, że mam po prostu wykonywać polecenia i więcej już na ten temat nie dyskutować.

– Nigdy nie dostałam od ciebie takiego listu – oświadczyłam.

– Nie wiem, co odpowiedzieć. – Zaczęła zapinać pas. – Ale może pani po prostu nie pamięta? Ja wciąż zapominam o e-mailach. Uważam, że czegoś nie napisałam, a potem to znajduję.

– Nie, to niemożliwe.

– Więc myślę, że ktoś udaje panią.

– Udaje? A było tego więcej?

– Niewiele – odpowiedziała. – Od czasu do czasu z podziękowaniami, że tak dbam o panią. I zaraz, co jeszcze?

Szukała w pamięci. W światłach parkingu jej samochód wydawał się ciemnozielony, nie niebieski. Twarz miała w cieniu i nie widziałam jej oczu. Pukała palcami w kierownicę, a ja stałam wpatrzona w Rose. Byłam przemarznięta.

– Już wiem co – powiedziała nagle. – Sekretarz Wagner chciał się z panią spotkać, a pani kazała mu odpowiedzieć, że nie ma czasu w tym terminie.

– Co? – wykrzyknęłam.

– To było na początku zeszłego tygodnia – dodała.

– Znów e-mail?

– W dzisiejszych czasach nieraz to jedyny sposób, żeby kogoś złapać. Jego asystentka przysłała e-maila do mnie, a ja odesłałam do pani, bo była pani gdzieś w sądzie. Potem pani odpisała mi wieczorem, chyba z domu.

– To czyste szaleństwo! – zauważyłam, usiłując rozważyć różne możliwości, ale bezskutecznie.

Wszyscy w biurze mieli mój adres poczty elektronicznej. Nikt jednak poza mną nie mógł znać mojego hasła, a bez niego nikt nie mógł się podpisać jako ja. Rose myślała o tym samym.

– Nie wiem, jak się to mogło zdarzyć – powiedziała, po czym wykrzyknęła. – Chwileczkę. Ruth podłącza Internet każdemu do jego komputera.

Ruth Wilson była moją analityczką komputerową.

– Oczywiście. I musiała mieć moje hasło, żeby to zrobić – kontynuowałam jej myśl. – Ale Rose, ona nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

– Za nic na świecie – zgodziła się moja sekretarka. – Musiała jednak gdzieś te hasła zapisać. Nie mogła ich wszystkich zapamiętać.

– Chyba nie.

– Może pani wejdzie do samochodu, nim pani umrze z zimna – zaproponowała.

– Jedź do domu i odpocznij – odpowiedziałam. – Ja zrobię to samo.

– Oczywiście, że pani tego nie zrobi – zgromiła mnie. – Wróci pani do gabinetu i będzie usiłowała rozgryźć tę sprawę.

Miała rację. Kiedy odjechała, wróciłam do gmachu i zastanawiałam się, jak mogłam być taka głupia, żeby wychodzić na zewnątrz bez płaszcza.

Byłam sztywna z zimna. Strażnik nocny pokręcił głową.

– Pani doktor, musi pani cieplej się ubierać!

– Święta racja – zgodziłam się z nim.

Przesunęłam kartę magnetyczną przez zamek i otworzyły się pierwsze szklane drzwi, następnie musiałam otworzyć drugie do swojego skrzydła budynku. Wewnątrz panowała zupełna cisza. Kiedy weszłam do pokoju Ruth, stałam przez chwilę, patrząc na minikomputery i drukarki oraz na mapę na ekranie, która pokazywała, czy działają wszystkie połączenia do innych gabinetów.

Podłoga za biurkiem była jedną plątaniną kabli, a wszędzie leżały wydruki z najróżniejszych programów, czego absolutnie nie rozumiałam. Zerknęłam na zapełnione półki, podeszłam do szafek z teczkami i spróbowałam otworzyć szufladę. Wszystkie były zamknięte.

Dobrze, Ruth, pomyślałam. Poszłam do swojego gabinetu i nakręciłam jej numer.

– Halo? – odezwała się dość udręczonym głosem. W tle słychać było płaczące dziecko i głos męża mówiącego coś o patelni.

– Przepraszam, że przeszkadzam ci w domu – powiedziałam.

– Doktor Scarpetta – odrzekła zdziwiona. – Nie przeszkadza mi pani. Frank, czy możesz ją zabrać do drugiego pokoju?

– Mam jedno krótkie pytanie. Czy jest jakieś miejsce, w którym trzymasz nasze hasła do Internetu?

– Pojawił się jakiś problem? – spytała szybko.

– Chyba ktoś zna moje hasło i podpisuje się jako ja. – Nie owijałam rzeczy w bawełnę. – Chcę wiedzieć, jak ktoś mógł je zdobyć. Czy istnieje taka możliwość?

– No nie – powiedziała zmartwiona. – Jest pani tego pewna?

– Tak.

– Oczywiście nie podawała go pani nikomu? – zasugerowała. Przez chwilę intensywnie myślałam. Nawet Lucy nie znała mojego hasła. Zresztą nie interesowałoby jej to.

– Poza tobą – powiedziałam do Ruth – nie mam pojęcia, kto mógłby je znać.

– Przecież pani wie, że nikomu bym go nie dała!

– Wierzę w to – zapewniłam ją i tak było.

Po pierwsze, Ruth nie ryzykowałaby w ten sposób utraty pracy.

– Umieściłam wszystkie adresy i hasła w katalogu komputerowym, do którego nikt nie ma dostępu – wyjaśniła.

– A na papierze?

– W kartotece, w specjalnej szafce, którą trzymam zamkniętą.

– Cały czas?

Zawahała się, po czym odpowiedziała z wahaniem:

– No, nie cały czas. Oczywiście, po pracy tak, ale szafki są otwarte w ciągu dnia, chyba że wiem, że będę dużo wychodzić. Większość czasu jednak jestem w pokoju. Wychodzę tylko po kawę i na przerwę śniadaniową.

– Jak się nazywa katalog? – spytałam, czując, że znów zbierają mi się nad głową czarne chmury.

– E-mail – odpowiedziała, wiedząc, jak na to zareaguję. – Pani doktor, mam tysiące katalogów, wypełnionych kodami programowymi, uzupełnieniami, dodatkami, pluskwami, pojawiającymi się nowinkami, Bóg wie czym. Jeżeli nie będę ich nazywać w miarę dokładnie, nigdy się nie połąpię.

– Rozumiem – odpowiedziałam. – Mam ten sam problem.

– Mogę zmienić pani hasło od razu jutro rano.

– Świetny pomysł. Tylko słuchaj, Ruth, nie zapisuj go nigdzie tak, żeby znowu ktoś mógł je znaleźć. Nie w tym katalogu, dobrze?

– Mam nadzieję, że nie wpadłam w tarapaty – spytała niepewnie.

Słyszałam wciąż płacz dziecka.

– Ty nie, ale ktoś wpadł – wyjaśniłam. – A ty możesz mi pomóc dowiedzieć się kto.

Nie wymagało to ode mnie specjalnej intuicji, aby natychmiast pomyśleć o Ruffinie. Był sprytny i niewątpliwie mnie nie lubił. Ruth z zasady trzymała drzwi zamknięte, żeby móc się skoncentrować. Nie byłoby mu trudno wślizgnąć się do jej gabinetu, gdy wychodziła na przerwę śniadaniową, i też zamknąć za sobą drzwi.

– Ta rozmowa jest absolutnie poufna – podkreśliłam. – Nie możesz o niej powiedzieć nawet koleżankom czy rodzinie.

– Ma pani moje słowo.

– Jakie jest hasło Chucka?

– K-O-G-T. Pamiętam, bo mnie zdenerwowało, że takie chciał. Jakby był kogutem w kurniku – powiedziała. – Jego adres pewnie pani zna, C-H-U-C-K-B-G-K. Chuck, Biuro Głównego Koronera.

– A co by się stało, gdybym ja właśnie coś robiła, a ktoś inny spróbowałby wejść również w tym samym czasie? – spytałam.

– Tamtej osobie nie udałoby się włączyć i dowiedziałyby się, że ktoś już jest na linii. U pani pojawiłby się napis „błąd” i stan alarmowy. W przeciwnym wypadku jest inaczej. Jeżeli, powiedzmy, ten ktoś już zaczął działać, a pani próbuje, dostaje pani wprawdzie wiadomość o błędzie, ale u niego nie pojawia się alarm.

– Czyli ktoś mógłby próbować w czasie, kiedy ja jestem podłączona, a ja nic bym o tym nie wiedziała?

– Właśnie tak.

- Czy Chuck ma w domu komputer?
- Pytał mnie kiedyś, co mógłby niedrogo kupić, i poradziłam mu sklep prowadzący sprzedaż wysyłkową. Podałam mu jedną nazwę.
- Jaka?
- Disk Thrift. Należy do mojej koleżanki.
- Czy jest taka możliwość, żebyś zadzwoniła do tej osoby do domu i dowiedziała się, czy Chuck coś u nich kupował?
- Spróbuję.
- Będę jeszcze jakiś czas w biurze – odpowiedziałam.

Wywołałam „menu” na moim komputerze i popatrzyłam na ikonkę e-mail.

Podłączyłam się bez problemu, to znaczy nikt przede mną tego nie zrobił. Kusilo mnie, żeby się podać za Ruffina i zobaczyć, z kim koresponduje, bo wtedy może dowiedziałabym się czegoś więcej na temat jego zamiarów, ale się bałam. Zmroziła mnie myśl o włamaniu się do cudzej skrzynki na listy.

Zadzwoniłam do Marina, wyjaśniłam mu sytuację i poprosiłam o radę.

– Do diabła – odrzekł bez chwili wahania – ja bym to zrobił. Zawsze mówiłem, że nie ufam temu gówniarzowi. A słuchaj, skąd wiesz, że on nie dostał się do twojej poczty i nie wyrzucił różnych rzeczy, mógł nawet wysłać listy do jeszcze innych osób oprócz Rose?

– Masz rację – powiedziałam wściekła. – Dam ci znać, jeśli coś znajdę.

Po chwili zadzwoniła bardzo przejęta Ruth.

– Kupił komputer i drukarkę w zeszłym miesiącu – oznajmiła. – Zapłacił około sześciuset dolarów. Do komputera dołączony był modem.

– A my mamy tutaj oprogramowanie do poczty elektronicznej.

– Mnóstwo. Jeżeli nie kupił własnego, mógł się dobrać do tego.

– Możemy mieć do czynienia z bardzo poważną sprawą. Zależy mi, żebyś nie powiedziała nikomu ani słowa – przypomniałam ponownie.

– Nigdy nie lubiłam Chucka.

– Tego też nie możesz nikomu mówić.

Wyłączyłam się, włożyłam płaszcz i pomyślałam o Rose. Byłam pewna, że się przejęła. Nie zdziwiłabym się, gdyby całą drogę płakała. Na ogół zachowywała stoicki spokój i rzadko okazywała, co czuje, ale wiedziałam, że jeśli uznała, iż wyrządziła mi krzywdę, będzie niepokieszona. Wysłałam do samochodu. Chciałam, żeby się lepiej poczuła i żeby mi pomogła. E-maile Chucka będą musiały poczekać.

Rose była już zmęczona dbaniem o dom, więc przeprowadziła się do apartamentu na bliskim West Endzie, w bok od Grove Avenue, niedaleko kawiarni Du Jour, gdzie czasem jadałam niedzielne śniadania. Rose mieszkała w starym dwupiętrowym budynku z ciemnej czerwonej cegły, otoczonym wielkimi dębami. Była to stosunkowo bezpieczna część miasta, ale zawsze się rozglądałam, nim wysiadłam z samochodu. Gdy parkowałam obok hondy Rose, zauważyłam coś jakby ciemnego taurusa kilka samochodów dalej. Ktoś w nim siedział, lecz silnik i światła miał wyłączone. Wiedziałam, że większość nieoznakowanych samochodów policyjnych w Richmondzie to właśnie taurusy, i zaczęłam się zastanawiać, dlaczego jakiś gliniarz miałby siedzieć tu po ciemku na zimnie. Możliwe, że osoba w tym samochodzie czekała, aż ktoś zejdzie, żeby pojechać dalej razem, ale na ogół nie robi się tego z wygaszonymi światłami i silnikiem.

Czułam, że jestem obserwowana, wyjęłam swój siedmiostrzałowy rewolwer Smith & Wesson i wsunęłam do kieszeni płaszcz. Szłam chodnikiem i zauważyłam numer rejestracyjny samochodu na przednim zderzaku. Zanotowałam go w pamięci. Czułam na plecach czyjś wzrok.

Aby dostać się do mieszkania Rose, musiałam przejść po schodach, oświetlonych tylko słabą lampką na każdym półpiętrze. Byłam zdenerwowana i co kilka stopni zatrzymywałam się, żeby sprawdzić, czy ktoś za mną nie idzie. Nikt nie szedł. Rose zawiesiła na swych drzwiach świeży wianek świąteczny i jego zapach poruszył we mnie różne wspomnienia. Słyszałam dochodzącą z mieszkania muzykę Haendla. Wygrzebałam z saszetki długopis i notesik, zapisałam zapamiętany numer rejestracyjny, po czym nacisnęłam dzwonek.

– Boże! – wykrzyknęła Rose. – Co panią tu sprowadza? Co za miła niespodzianka! Proszę wejść.

– Czy spojrzałaś przez wizjer, nim otworzyłaś drzwi? – przepytywałam ją. – Mogłaś chociaż zapytać kto.

Rose się zaśmiała. Zawsze kpiła z mojej troski o bezpieczeństwo, która w opinii większości ludzi była przesadna, ale oni nie prowadzili takiego życia jak ja.

– Czy przyszła mnie pani sprawdzić? – zażartowała znowu.

– Może powinnam zacząć.

Meble Rose były ciepłe, pięknie wypolerowane i chociaż nie nazwałabym ich stylowymi, wszystko wydawało się bardzo właściwe i starannie dopasowane. Podłogi były z drewna, jakiego już się nie spotykało, a małe, orientalne dywaniki tworzyły na niej kolorowe akcenty. W kominku palił się elektryczny ogień, a elektryczne świece błyszczały w oknach, wychodzących na porośniętą trawą przestrzeń, gdzie przy ciepłej pogodzie mieszkańcy domu ustawiali grille.

Rose usiadła w bujanym fotelu, a ja przysiadłam na kanapce. Dotychczas byłam tylko dwa razy w jej mieszkaniu i wydawało mi się takie smutne i dziwne, że nie było tu widać śladu jej ukochanych zwierząt. Dwa ostatnie z przygarniętych chartów poszły do jej córki, a kot zdechł. Zostało tylko

akwarium z niedużą liczbą gupików i złotych rybek, krążących nieustannie. W budynku nie wolno było trzymać zwierząt.

– Wiem, jak tęsknisz za swoimi psami – powiedziałam, nie wspominając kota, bo z kotami jakoś się nam nie układa. – Muszę też kiedyś mieć charta. Najgorsze, że chciałabym je wszystkie uratować.

Pamiętałam jej psy. Biedne stworzenia nie pozwalały się pogłaskać za uszami, bo były szarpane przez trenerów, a to tylko jedno z okrucieństw, jakie je spotykały na torach psich wyścigów. W oczach Rose zaszkliły się łzy, odwróciła ode mnie twarz i pomasowała kolana.

– Ta pogoda jest okropna – tłumaczyła, odchrząknąwszy. – Biedactwa się zestarzały. Dobrze, że Laurel je zabrała, bo nie zniosłabym, żeby znowu ktoś mi umarł. Powinna pani też wziąć charta. Żeby każdy dobry człowiek chociaż jednego wziął.

Psy usypiano setkami, kiedy przestawały osiągać odpowiednie prędkości. Przekręciłam się na kanapie. Tyle mnie w życiu złościło.

– Czy mogę pani zrobić herbatki z żeńszeniem, którą mi kupuje drogi Simon? – Mówiła o swym ubóstwianym fryzjerze. – Może coś mocniejszego? Miałam kupić po drodze kruche ciasteczka.

– Nie mogę długo tu zostać – wyjaśniłam. – Musiałam wpaść i sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Ależ oczywiście – odpowiedziała takim tonem, jakby naprawdę nie było powodu do niepokoju.

Zamilkłam, a Rose spojrzała na mnie czekając, aż wyjaśnię prawdziwy powód swojej wizyty.

– Rozmawiałam z Ruth – zaczęłam. – Sprawdzamy pewne przesłanki i mamy podejrzenia...

– ...Które z pewnością prowadzą do Chucka – dokończyła Rose, kiwając głową. – Zawsze uważałam, że to robaczywe jabłuszko, a on mnie unika jak

ognia, bo wie, że go przejrzałam. Prędeż mi tu kaktus wyrośnie, niż jemu się uda mnie oszukać.

– Nikt cię nie oszuka – zapewniłam ją.

Zaczynał się „Mesjasz” Haendla i serce wypełnił mi wielki smutek. Rose szukała oczyma mojego wzroku. Wiedziała, jak trudne było dla mnie ostatnie Boże Narodzenie. Spędziłam je w Miami, gdzie dawało się jakoś przed nim schronić, ale nie uda mi się uciec przed światłami i muzyką, choćbym wyjechała na Kubę.

– Co pani będzie robiła w tym roku? – spytała.

– Może pojedę na zachód. Gdyby tu padał śnieg, byłoby łatwiej, ale nie znoszę szarego nieba. Lód i burze lodowe to pogoda w Richmondzie. Wiesz, kiedy się tu wprowadziłam, co najmniej dwa razy każdej zimy padał porządny śnieg.

Wyobraziłam sobie śnieg na gałęziach drzew, padający gęsto na przednią szybę w samochodzie, i biały świat wkoło, kiedy jadę sobie do pracy, chociaż inne państwowe urzędy są zamknięte. Śnieg i tropikalne słońce działają na mnie antydepresyjnie.

– Miło, że przyjechała pani sprawdzić – powiedziała moja sekretarka, wstając z niebieskiego fotela. – Ale zawsze za bardzo się pani o mnie martwi.

Poszła do kuchni i słyszałam, że robi coś przy zamrażarce. Wróciła do saloniku i wręczyła mi zamrożony pojemniczek.

– Moja zupa jarzynowa – powiedziała. – Tego pani trzeba dziś wieczorem.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo – odpowiedziałam z prawdziwą wdzięcznością. – Pojadę do domu i zaraz ją podgrzeję.

– A co pani zrobi z Chuckiem? – spytała z bardzo poważną miną.

Zawahałam się. Nie chciałam jej o to prosić.

– Rose, on mówi, że jesteś moją biurową donosicielką.

– Bo jestem.

– Potrzebuję cię – ciągnęłam. – Chciałabym, żebyś zrobiła wszystko, co można, i dowiedziała się, co on zamierza.

– Ten mały skurwiol próbuje sabotażu – powiedziała Rose, która nigdy nie używała brzydkich wyrazów.

– Musimy mieć jakiś dowód – oświadczyłam. – Wiesz, jakie są władze stanowe. Trudniej kogoś wyrzucić niż chodzić po wodzie. Ale nie wygra.

Milczała przez chwilę.

– Po pierwsze, nie można go lekceważyć. Nie jest taki bystry, jak uważa, ale za to sprytny. I ma dużo czasu, żeby myśleć i kręcić się niezauważony. Na nieszczęście zna metody pani pracy lepiej niż ktokolwiek, lepiej niż ja, bo ja nie pomagam pani w prosektorium, za co jestem wdzięczna. A to pani główne pole działania. I tam może pani naprawdę zaszkodzić – odpowiedziała w końcu.

Miała rację, chociaż nie mogłam znieść tej myśli. Chuck miał wiele sposobności, aby mi zaszkodzić: mógł zmienić naklejki lub zawieszkę na nodze ofiary albo zatruć którąś z substancji. A także nakłamać reporterom, którzy nie ujawniliby tożsamości informatora. Zakres możliwości wydawał się wprost niewyobrażalny.

– Nawiasem mówiąc – odezwałam się, wstając z kanapki – jestem prawie pewna, że ma w domu komputer, więc skłamał.

Odprowadziła mnie do drzwi i przypomniał mi się samochód, zaparkowany blisko mojego.

– Czy znasz kogoś w swoim budynku, kto jeździ ciemnym taurusem? – spytałam.

Rose zmarszczyła brwi ze zdziwienia.

– No, w ogóle jest ich dużo, ale nie przypominam sobie nikogo w najbliższej okolicy.

– A może mieszka w twoim domu jakiś policjant, który czasem przyjeżdża takim wozem do domu?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Niech się pani nie przejmuje jakimiś wyimaginowanymi strachami. Jeśli pozwolimy im nad sobą zapanować, to będą samospełniającą się przepowiednią.

– Cóż, to pewnie nic takiego, ale dziwnie się poczułam, kiedy zobaczyłam jakąś osobę siedzącą w samochodzie z wyłączonymi światłami i silnikiem. Mam numer rejestracyjny.

– To się pani chwali. – Rose pogładziła mnie po plecach. – I wcale mnie to nie dziwi.

Rozdział 16

Wydawało mi się, że moje kroki słychać bardzo głośno na schodach, gdy wyszłam z mieszkania Rose. Myślałam o swojej broni, wychodząc z bramy w zimny wieczór. Taurusa już nie było. Rozejrzałam się jeszcze raz, podchodząc do auta.

Parking był słabo oświetlony. Nagie drzewa wydawały przy wietrze dziwne dźwięki, a cienie ukrywały jakieś okropności. Szybko zamknęłam drzwi samochodu, rozejrzałam się i odjechałam. Zadzwoiłam na pager do Marina, który oczywiście odezwał się od razu, ponieważ był w mundurze na ulicy i nie miał nic do roboty.

– Czy możesz sprawdzić numer rejestracyjny? – spytałam bez ogródek, kiedy oddzwonił.

– Dawaj go.

Wyrecytowałam.

– Wyjeżdżam właśnie od Rose – poinformowałam – i mam dziwne przeczucie co do samochodu, który tam parkował.

Marino prawie zawsze traktował moje dziwne przeczucia poważnie. Nie miewałam ich bez ważnego powodu. Jestem prawnikiem i lekarzem, mam raczej skłonności do klinicznego, rzeczowego podejścia i nie poddaję się na ogół nieracjonalnym reakcjom i wymysłom.

– Są jeszcze inne sprawy – dodałam.

– Chciałabyś, żebym wpadł?

– Jasne, że bym chciała.

Kiedy dojechałam, czekał na podjeździe i na mój widok zaczął się niezdarnie gramolić z samochodu, bo przeszkadzał mu służbowy pas, a pas bezpieczeństwa, którego nigdy nie zapinał, gdzieś go przytrzymał.

– Niech to szlag! – powiedział, odpinając pas. – Nie wiem, jak długo to jeszcze wytrzymam. – Trzasnął nogą drzwiczki. – Gównno, nie samochód.

– To jak tu dotarłeś pierwszy, jeśli to gównno, a nie samochód? – spytałam.

– Byłem bliżej niż ty. Krzyż mnie boli.

Wciąż narzekał, gdy weszliśmy po schodach i otworzyłam drzwi frontowe. Zdumiała mnie cisza. Światło alarmu było zielone.

– To niedobrze – zauważył Marino.

– Wiem, że dziś rano go włączyłam.

– Sprzątaczką dziś przychodziła? – pytał, patrzył, nasłuchiwał jednocześnie.

– Zawsze go włącza – zapewniłam. – Jeszcze nigdy nie zapomniała, ani razu w ciągu tych dwóch lat, jak do mnie przychodzi.

– Zostań tu – polecił.

– Absolutnie nie – odparłam, bo nie miałam najmniejszego zamiaru czekać sama, a poza tym nie jest dobrze, jeśli dwoje uzbrojonych ludzi reaguje nerwowo i stoi na straży w różnych miejscach na tym samym terenie.

Włączyłam alarm i chodziłam za detektywem od pokoju do pokoju, patrząc, jak otwiera po kolei wszystkie szafy, zagląda za każdą storę, zasłone prysznicową i drzwi. Przeszukaliśmy obie kondygnacje i nie znaleźliśmy nic niezwykłego, póki nie zesliśmy na dół, gdzie popatrzyłam na chodnik w korytarzu. Połowa była odkurzona, a połowa nie, a w

gościnniej łazience Marie, moja gosposia, zapomniała wymienić brudne ręczniki do rąk na czyste.

– Nie jest zazwyczaj taka roztargniona – powiedziałam. – Ona i jej mąż zarabiają bardzo mało, mają małe dzieci i Marie stara się, jak może.

– Oby tylko nikt mnie nie wywołał – marudził Marino. – Masz jakąś kawę w tej budzie?

Zrobiłam dzbanek mocnej kawy Pilon Espresso, którą Lucy przysłała mi z Miami, i na widok tego czerwono-żółtego opakowania znów serce mnie zabolalo. Zabraliśmy kubki z kawą do mojego gabinetu. Zajrzałam do poczty elektronicznej, używając adresu i hasła Ruffina, i odetchnęłam z ulgą, że nie zostałam odcięta.

– Droga wolna – oznajmiłam.

Marino przysunął sobie krzesło i patrzył mi przez ramię. Na Ruffina czekała poczta. Miał osiem wiadomości, lecz nie wiedziałam od kogo.

– Co się stanie, jak je otworzysz? – chciał wiedzieć Marino.

– Pozostaną w jego skrytce, jeśli się je zapisze jako nowe – odpowiedziałam.

– Chodzi mi o to, czy się zorientuje, że ktoś je otwierał?

– Nie, ale nadawca może. Nadawca może sprawdzić stan poczty, jaką wysłał i zobaczyć, o której ją otwarto.

– Och – odrzekł z lekceważeniem w głosie. – To co takiego? Ilu ludzi ma zwyczaj sprawdzać, o której ktoś otworzył ich cholerną pocztę?

Nie odpowiedziałam, tylko dostałam się do skrzynki Chucka. Może powinnam była trochę się bać tego, co robię, ale byłam zbyt wściekła. Cztery listy pochodziły od żony Chucka, która przekazywała różne instrukcje dotyczące spraw domowych, co doprowadziło Marina do śmiechu.

– Ona trzyma jego jaja w puzderku na kominku! – wykrzyknął radośnie. Adres piątej przesyłki brzmiał MAYFLR i były w niej zawarte tylko dwa słowa: „*Musimy porozmawiać*”.

– To ciekawe – skomentowałam. – Sprawdźmy, co on mógł wysłać do tego kogoś, kim jest ten „Mayflower”.

Doszłam do menu poczty wysyłanej i zorientowałam się, że Chuck nadawał e-maile do tej osoby prawie codziennie przez ostatnie dwa tygodnie. Przebiegłam szybko tę korespondencję i natychmiast stało się jasne, że mój pomocnik z prosektorium spotykał się z ową osobą, a być może miał z nią romans.

– Ciekawe, kto to? – zainteresował się Marino. – Zyskalibyśmy dobrego haka na tego skurwiela.

– Niełatwo będzie się dowiedzieć – odrzekłam.

Wycofałam się szybko, mając wrażenie, jakbym uciekała z domu, do którego się włamałam.

– Spróbujmy Chatplanet – zaproponowałam.

Znałam ten wynalazek tylko dlatego, że czasami moi koledzy po fachu z całego świata używali go, aby się poradzić w szczególnie trudnych przypadkach albo podzielić informacjami użytecznymi dla wszystkich. Włączyłam się, załadowałam program i wybrałam skrytkę, w której mogłam przebywać podczas dyskusji, nie będąc zauważoną.

Przeleciałam przez listę salonów dyskusyjnych i kliknęłam „Droga Dyrektor Kay”. Doktor Kay osobiście prowadziła sesje z sześćdziesięcioma trzema osobami.

– O, cholera. Daj mi papierosa, Marino – powiedziałam zdenerwowana.

Wyjął jednego z paczki i przysunął krzesło bliżej mnie, żebyśmy mogli razem czytać.

<RURARZ> Czy to prawda, że Elvis zmarł na sedesie i że wielu ludzi tak umiera? Jestem hydraulikiem, więc rozumiem pani, dlaczego się zastanawiam. Dziękuję, ciekawski z Illinois.

<DROGA DYREKTOR KAY> Drogi ciekawski z Illinois, tak, przykro mi to powiedzieć, ale Elvis rzeczywiście zmarł na sedesie i nie jest to rzadkością, bo ludzie się natężają i natężają, a ich serce tego nie wytrzyma. Niestety, wiele lat złego odżywiania się Elvisa i lekomania odbiły się w końcu na jego zdrowiu i zmarł z powodu ataku serca w swej luksusowej łazience w Graceland. I powinno to być nauką dla nas wszystkich.

<STUMED> Droga dyrektor Kay, dlaczego zdecydowała się pani zajmować umarłymi pacjentami zamiast żywymi? Chorobliwie ciekawy z Montany.

<DROGA DYREKTOR KAY> Drogi chorobliwie ciekawy z Montany, nie bardzo umiem postępować z żywymi pacjentami, a w przypadku umarłych nie muszę się martwić, jak się czują. Doszłam do wniosku podczas studiów medycznych, że żyjący pacjenci są wyjątkowo upierdliwi.

– Do kurwy nędzy! – zaklął Marino.

Byłam wściekła i zupełnie bezradna.

– Wiesz – powiedział oburzony – wolałbym, żeby ludzie zostawili Elvisa w spokoju. Już mam dosyć słuchania o tym, jak zmarł na sedesie!

– Cicho bądź, Marino – warknęłam. – Proszę, usiłuję pomyśleć.

Sesja się ciągnęła i ciągnęła, i wszystko razem było okropne. Kusiło mnie, aby się włączyć i powiedzieć wszystkim, że DROGA DYREKTOR

KAY to nie ja.

– Czy masz jakiś sposób, żeby się dowiedzieć, kto to jest naprawdę? – spytał Marino.

– Jeśli owa osoba prowadzi ten salon dyskusyjny, odpowiedź brzmi „nie”. On czy ona wie, kim są wszyscy inni, ale nie odwrotnie.

<JULIE W> Droga dyrektor Kay, ponieważ wie pani wszystko, co tylko można, o anatomii, czy wie pani więcej na temat punktów rozkoszy, jeśli się dobrze wyraziłam. Mój chłopak chyba się nudzi w łóżku, bo czasem nawet zasypia w połowie! Marząca o seksie.

<DROGA DYREKTOR KAY> Droga marząca o seksie, czy on zażywa może jakieś lekarstwa, od których staje się senny? Jeśli nie, dobrym pomysłem będzie seksowna bielizna. Kobiety nic ostatnio nie robią, aby ich mężczyźni czuli się ważni i dowartościowani.

– Dostyc tego! – wykrzyknęłam. – Zabiję go... albo ją... Ktokolwiek to jest! – Zeskoczyłam z fotela tak zdruzgotana, że nie wiedziałam, co zrobić. – Nie będzie mi rozpieprzał wiarygodności!

Zacisnęłam pięści i przemaszerowałam błyskawicznie do dużego pokoju, a tu zatrzymałam się i rozejrzałam, jakbym nigdy go nie widziała.

– To zabawa dla dwojga – zapowiedziałam, wróciwszy do gabinetu.

– Ale jak się możesz bawić, jeśli nie wiesz, kim jest dyrektor Kay numer dwa? – spytał Marino.

– Wprawdzie nie mogę nic zdziałać z tym cholernym salonem dyskusyjnym, ale zawrze jeszcze jest e-mail.

– Jaki e-mail? – zapytał.

– Zabawa dla dwojga. Tylko poczekaj. Dobra, może sprawdzimy ten podejrzany samochód.

Marino wyjął zza paska radio i włączył kanał obsługi.

– Jaki był ten numer?

– RGG – 7112 – wyrecytowałam z pamięci.

– Tablica z Wirginii?

– Przepraszam, tak dobrze nie widziałam.

– Dobra, zaczniemy stąd.

Podał numer w sieci informacji kryminalnej Wirginii, czyli VCIN i poprosił o dziesięć-dwadzieścia-dziewięć. Było już po dziesiątej.

– Czy mogłabyś mi zrobić jakąś kanapkę albo coś w tym rodzaju? – zapytał. – Zaraz umrę z głodu. VCIN grzebie się dzisiaj. Nie znoszę tego.

Poprosił o boczek, sałatę i pomidora z sosem rosyjskim i cebulą. Przypiekłam boczek w mikrofalówce, zamiast go smażyć.

– Jezu, doktorku, czemu to zrobiłaś? – jęknął, trzymając kruchy, nieciekający tłuszczem plasterek boczku. – Musi się trochę ciągnąć i mieć jakiś smak, a nie żeby wszystko wsiąkło w te papierowe ręczniki.

– Będzie miał dużo smaku – zapewniłam – a reszta należy do ciebie. Ja nie chcę mieć na sumieniu zapychania ci naczyń krwionośnych jeszcze bardziej, niż zapewne są już zatkane.

Marino zrobił sobie grzanki z żytniego chleba, posmarował je masłem i sosem rosyjskim, który wyczarował z lekkiego majonezu, ketchupu i posiekanych pikli. Na wierzch położył sałatę, solidnie posolone pomidory i grube plastry surowej słodkiej cebuli.

Sporządził dwa takie cuda i zapakował w folię aluminiową. Radio odezwało się z odpowiedzią. Samochód nie był fordem taurusem, ale fordem contour z 1998 roku. Jest ciemnoniebieski, zarejestrowany w Korporacji Leasingowej Avis.

– To ciekawostka – zamyślił się Marino. – Zwykle w Richmondzie wszystkie samochody z wypożyczalni mają numery rejestracyjne rozpoczynające się na R i trzeba specjalnie zamówić tablicę, jeżeli chcesz mieć inną. Zaczęli tak robić, żeby złodzieje samochodów nie widzieli od razu, że ktoś jest spoza miasta.

Nie było żadnych nakazów zajęcia i wóz nie figurował na liście skradzionych.

Rozdział 17

Następnego ranka o ósmej, we środę, udało mi się znaleźć miejsce obok parkometru. Po drugiej stronie ulicy, we mgle, za kutym żelaznym płotem wznosił się osiemnastowieczny gmach Commonwealthu.

Doktor Wagner, inni członkowie gabinetu oraz prokurator generalny pracowali w budynku przy Dziewiątej. Ochrona była tam tak baczna, że wchodząc, poczułam się natychmiast jak przestępca. Zaraz za drzwiami był stół, przy którym miejscowy funkcjonariusz policji sprawdził moją torbę.

– Jeśli pan coś tu znajdzie – zażartowałam – proszę mi powiedzieć, bo ja nie potrafię.

Uśmiechnięty policjant wydawał się znajomy. Był niewysoki, krępy, po trzydziestce. Miał przerzedzone brązowe włosy i twarz, na której malował się zapewne chłopięcy urok, nim zaczęła zwyciężać tusza. Pokazałam mu legitymację, lecz nawet na nią nie spojrział.

– Nie potrzebuję tego – powiedział pogodnie. – Poznaje mnie pani? Byłam czasem odpowiedzialny za pani budynek, jak pani jeszcze pracowała tam. – Wskazał ręką w kierunku Czternastej, znajdującej się zaledwie o pięć przecznic na wschód stąd.

– Rick Hodges – przypomniał mi. – Wtedy, kiedy mieliśmy zagrożenie uranem, pamięta pani?

– Jak mogłabym nie pamiętać? Nie najmilszy epizod w naszych dziejach.

– Ja i Wingo często gadaliśmy razem. Jak nic specjalnego się nie działo, schodziłem do niego podczas przerwy obiadowej.

Serce mi się ścisnęło. Wingo był moim najlepszym, najwrażliwszym pomocnikiem. Kilka lat temu zmarł na ospę. Klepnęłam Hodgesa po ramieniu.

– Wciąż mi go brakuje – powiedziałam. – Nie ma pan pojęcia jak bardzo.

Rozejrzał się i nachylił do mnie.

– A kontaktuje się pani z jego rodziną? – zapytał cicho.

– Od czasu do czasu.

Ze sposobu, w jaki to powiedziałam, zrozumiał, że rodzina nie chciała rozmawiać na temat swojego syna geja i nie życzyli sobie, żebym dzwoniła. Z pewnością nie życzyli sobie również kontaktów z Hodgesem ani z innymi znajomymi Winga. Hodges skinął głową, lecz w jego oczach pojawił się smutek. Starał się uśmiechnąć.

– Ten chłopak miał fioła na pani punkcie, pani doktor. Dawno to chciałem pani powiedzieć.

– To wiele znaczy – rzekłam ze wzruszeniem. – Dziękuję ci, Rick.

Przeszłam przez skaner bez kłopotów i Hodges oddał mi torbę.

– Niech pani znowu nas odwiedzi – powiedział.

– Oczywiście – przyrzekłam, patrząc w jego niebieskie oczy. – Czuję się pewniej, mając cię w pobliżu.

– Wie pani, dokąd iść?

– Chyba tak.

– Tylko proszę pamiętać, że ta winda ma swoje humory. Poszłam wydeptanymi granitowymi schodami na szóste piętro, gdzie znajdował się

wychodzący na plac Kapitolu gabinet Sinclaira Wagnera. W ten ciemny, deszczowy poranek z trudem można było zobaczyć pomnik Jerzego Waszyngtona na koniu. W ciągu nocy temperatura się obniżyła i padał drobny grad, jak śrut z dubeltówki.

Poczekalnia w Urzędzie Zdrowia i Pomocy Ludności była elegancko urządzona, z kolonialnymi meblami i flagami, co na pewno nie pasowało do stylu doktora Wagnera. Jego gabinet był zawałony papierami i idealnie pasował do człowieka, który pracował niezwykle ciężko i nie doceniał swojej władzy.

Doktor Wagner urodził się i wychował w Charlestonie, w Karolinie Południowej. Był psychiatrą i prawnikiem i nadzorował takie dziedziny, jak zdrowie psychiczne, leczenie uzależnień, służby socjalne i opiekę medyczną dla seniorów. Zanim awansował na stanowisko szefa urzędu, był wykładowcą w Akademii Medycznej Wirginii. Zawsze bardzo go szanowałam i wiedziałam, że z wzajemnością.

– Kay – odsunął fotel na kółkach z biurka i wstał. – Jak się masz?

Wskazał mi miejsce na kanapie, zamknął drzwi i podszedł do biurka, co nie było dobrą oznaką.

– Jestem zadowolony z tego, jak się wszystko układa w instytucie – powiedział. – A ty?

– Bardzo – odpowiedziałam. – Jest ciężko, ale lepiej, niż mogłam się spodziewać.

Oparł się na krawędzi biurka, wziął z popielniczki fajkę i woreczek z tytoniem.

– Zastanawiałem się, co się z tobą dzieje – powiedział. – Zupełnie, jakbyś znikła z powierzchni ziemi.

– Nie rozumiem dlaczego – odrzekłam. – Robię tyle przypadków co zawsze, jeśli nie więcej.

– Och tak, oczywiście, mam wiadomości z biuletynu.

Zaczął upychać tytoń do fajki. W budynku był całkowity zakaz palenia i Wagner ssał niezapaloną fajkę, kiedy się czuł nieswojo. Wiedział, że nie przyszedł rozmawiać o instytucie ani opowiadać, jaka jestem zapracowana.

– Wiem, jaka jesteś zajęta – ciągnął – skoro nie masz nawet czasu zobaczyć się ze mną.

– Właśnie dziś się zorientowałam, Sinclair, że próbowałeś się ze mną zobaczyć w zeszłym tygodniu.

Wytrzymał moje spojrzenie i dalej ssał fajkę. Wagner miał około sześćdziesiątki, wyglądał jednak starzej, jak gdyby dźwiganie ciężaru bolesnych sekretów pacjentów dało mu się przez tyle lat we znaki. Miał miłe oczy i na jego szczęście ludzie zapominali, że odznaczał się również przenikliwością prawnika.

– Jeśli nie dotarła do ciebie wiadomość, że chcę się z tobą zobaczyć, Kay – powiedział – to byłbym skłonny przypuszczać, że masz kłopoty z pracownikami. – Mówił powoli, starannie dobierając słowa.

– Mam, ale nie takie, jak sądzisz.

– Więc słucham.

– Ktoś się dostał do mojej poczty elektronicznej – wyjaśniłam beznamyślnie. – Najprawdopodobniej ta osoba miała dostęp do teczki, w której przechowywane są nasze hasła, i wydobyła moje.

– To by było tyle na temat zabezpieczenia...

Uniosłam dłoń, żeby mu przerwać.

– Sinclair, zabezpieczenie to nie problem. Spotkała mnie krzywda ze strony mojej własnej drużyny. Jest jasne, że ktoś, może nawet więcej niż jedna osoba, stara się wpędzić mnie w kłopoty. A nawet sprawić, żeby mnie wyrzucano. Twoja sekretarka wysłała e-mailem list do mojej, że chcesz się ze mną zobaczyć. Moja sekretarka przekazała go mnie, a ja rzekomo

odpisałam, że jestem zbyt zajęta, żeby się z tobą spotkać. – Dla doktora Wagnera było to wyraźnie niejasne, jeśli nie zabawne. – Są jeszcze inne sprawy – ciągnęłam, czując się coraz bardziej niepewnie, gdy słyszałam własny głos, opowiadający tę dziwną historię. – E-maile z poleceniem przełączania przeznaczonych dla mnie telefonów do mojego zastępcy. A najgorszy jest ów tak zwany salon dyskusyjny, który rzekomo prowadzę w Internecie.

– Wiem o tym – oświadczył ponuro. – I uważasz, że ten, kto prowadzi to „Droga dyrektor Kay”, to ta sama osoba, która posługuje się twoim hasłem?

– Z całą pewnością ktoś posługujący się moim hasłem i przedstawiający się jako ja.

Ssał fajkę w milczeniu.

– Poważnie podejrzewam, że jest z tym związany mój pomocnik z prosektorium – dodałam. – Dziwne zachowanie, wrogość, częste nieobecności. Jest niezadowolony i coś kombinuje, mogę się założyć.

Cisza.

– Kiedy będę już mogła to udowodnić, zajmę się tym problemem.

Doktor Wagner odłożył fajkę do popielniczki. Wstał od biurka i podszedł do mnie. Usiadł na fotelu obok, nachylił się i wpatrywał we mnie z wielką uwagą.

– Znam cię od dawna, Kay – powiedział łagodnym, ale zasadniczym tonem. – Zdaję sobie sprawę z twojej świetnej opinii. Jesteś chlubą Commonwealthu. Ponadto przeżyłaś koszmarną tragedię, i to nie tak dawno temu.

– Chcesz się ze mną bawić w psychiatrę, Sinclair? – zapytałam poważnie.

– Nie jesteś maszyną.

– Ale nie jestem sensatką. To, co ci mówię, dzieje się naprawdę. Każdy element tego przypadku, który właśnie badam. Trwa jakaś podstępna intryga i jeśli nawet jestem bardziej roztargniona niż zwykle, to wszystko, o czym ci mówię, nie ma z moim stanem związku.

– Jak możesz być tego pewna, Kay, skoro sama mówisz, że jesteś roztargniona? Większość ludzi nie wróciłaby do pracy przez jakiś czas, a może i w ogóle, nie po tym, co ty przeżyłaś. Kiedy wróciłaś do swoich zajęć?

– Sinclair, każdy z nas ma własny sposób na kłopoty.

– Więc ja sam sobie odpowiem na to pytanie: po dziesięciu dniach. I to w niezbyt przyjemne warunki, pozwolę sobie zauważyć. Tragedie, śmierć.

Nie odpowiedziałam, starając się pozbierać. Byłam wtedy w czarnej dziurze i z trudem pamiętałam rozsypanie prochów Bentona do morza w Hilton Head, w miejscu, które kochał najbardziej. Z trudem pamiętam porządkowanie jego mieszkania tam, a następnie opróżnianie szuflad i szaf w moim domu. W szaleńczym tempie usunęłam natychmiast wszystkie jego rzeczy, które kiedyś i tak musiałyby zostać wydane.

Nie przeżyłabym, gdyby nie doktor Anna Zimmer. Była to starsza pani, psychiatra, moja przyjaciółka od wielu lat. Nie mam pojęcia, co zrobiła z eleganckimi garniturami Bentona, krawatami, lakierkami, wodami po goleniu. Nie chciałam wiedzieć, co stało się z jego bmw, a przede wszystkim co stało się z ręcznikami i pościelą z naszej sypialni.

Anna była tak rozsądna, że sama zajęła się ważniejszymi rzeczami. Nie tknęła jego książek czy biżuterii. Pozostawiła wszystkie świadectwa i dyplomy, które znajdowały się w jego gabinecie, ale nikt ich nie widział, gdyż Benton był taki skromny. Nie pozwoliła mi schować stojących w różnych miejscach zdjęć, i tłumaczyła, że to bardzo ważne, żebym nauczyła się z nimi żyć.

– Musisz żyć z tą pamięcią – powtarzała mi wciąż ze swym niemieckim akcentem. – To jest terażniejszość, Kay. Nie możesz od niej uciekać. Nie próbuj.

– Na skali do dziesięciu jak bardzo jesteś przygnębiona, Kay? – Głos doktora Wagnera dotarł do mnie gdzieś z daleka.

Wciąż bolało mnie to i nie mogłam zaakceptować faktu, że Lucy się wtedy nie pojawiła. Benton zostawił mi w spadku swoje mieszkanie i była na mnie wściekła, że je sprzedałam, chociaż wiedziała, równie dobrze jak ja, iż żadna z nas nigdy więcej nie przekroczy jego progu. Kiedy chciałam jej dać ukochaną, wytartą kurtkę pilota, którą nosił jeszcze na studiach, powiedziała, że jej nie chce i komuś odda. Wiem, że tego nie zrobiła i że ją gdzieś schowała.

– Przecież to nie wstyd, chociaż wiem, że trudno ci się przyznać do ludzkich słabości. – Usłyszałam głos doktora Wagnera i ocknęłam się. – Czy myślałaś o jakichś lekach antydepresyjnych? – zapytał. – Coś łagodnego jak wellbutrin.

Czekałam chwilę z odpowiedzią.

– Po pierwsze, Sinclair – zaczęłam – depresja sytuacyjna jest normalna. Nie potrzebuję pigułek, żeby cudownie zlikwidowały mój ból. Mogę się zachowywać w sposób stoicki, może mi być trudno okazywać innym uczucia i łatwiej jest mi walczyć, wściekać się i osiągać sukces za wszelką cenę niż czuć ból, ale nie zamykam się, uciekając od niego. Mam wystarczająco dużo rozsądku, żeby wiedzieć, że żal musi potrwać. Nie jest to łatwe, jeżeli ludzie, którym ufasz, zaczynają szarpać ową odrobinę, która ci została w życiu.

– Właśnie przestałaś mówić w pierwszej osobie i przeszłaś na drugą – zwrócił mi uwagę. – Zastanawiam się, czy zdajesz sobie sprawę...

– Nie analizuj mnie, Sinclair.

– Kay, pozwól, że namaluję ci portret tragedii i przemocy, jakiej nie widują nigdy ci, których one nie dotknęły. Żyje swoim własnym życiem, wciąż zbiera żniwo, chociaż już ukradkiem i z biegiem czasu rany są mniej widoczne.

– Ja widuję takie portrety tragedii codziennie – odparłam.

– A jak patrzysz w lustro? – spytał.

– Sinclair, wystarczająco okropne jest przeżyć taką rzecz, lecz jeśli się do tego doda wszystkie spojrzenia rzucone z ukosa i powątpiewanie w twoje możliwości dalszego funkcjonowania, to jest jak kopanie leżącego. – Wytrzymał moje spojrzenie. Znów przeszłam na drugą osobę, na bezpieczniejszą pozycję i widziałam to w jego oczach. – Okrucieństwo zeruje na tym, co uważa za słabość – ciągnęłam. Wiedziałam, co to zło. Czułam je i rozpoznawałam w mojej pracy. – Ktoś uznał to, co mi się przydarzyło, za dawno oczekiwaną okazję, aby mnie zniszczyć – podsumowałam.

– A nie uważasz, że to trochę paranoja? – odezwał się w końcu.

– Nie.

– Dlaczego ktoś miałby to robić poza tym, że jest małostkowy i zawistny? – spytał.

– Władza. Żeby ukraść mój ogień.

– Ciekawa analogia – zauważył. – Wy tłumacz, co przez to rozumiesz.

– Ja używam swojej władzy do dobrego – wyjaśniłam. – Natomiast ten, kto chce mnie skrzywdzić, potrzebuje jej do swoich własnych, egoistycznych celów, a ja nie chcę, żeby władza znajdowała się w rękach takich ludzi.

– Zgadza się – odpowiedział z namysłem.

Zabrzączał telefon. Wagner wstał i podniósł słuchawkę.

– Nie teraz – powiedział. – Wiem, ale będzie musiał zaczekać.

Wrócił na swój fotel, głęboko odetchnął, zdjął okulary i położył na stoliku.

– Myślę, że najlepiej będzie umieścić w prasie komunikat, że ktoś się pod ciebie podszywa w Internecie, i wyjaśnić, ile się da – powiedział. – Musimy z tym skończyć, nawet jeśli okaże się potrzebny nakaz sądowy.

– Byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby się udało. – Wstał, ja też. – Dziękuję ci, Sinclair. Dzięki Bogu, że mam taką tarczę, jak ty.

– Miejmy nadzieję, że następny sekretarz stanu będzie taki sam – rzucił, jakbym wiedziała, o co chodzi.

– Jaki nowy sekretarz? – spytałam, znów czując zdenerwowanie.

Po jego twarzy przemknęło zdziwienie, po czym pojawiła się złość.

– Przesłałem ci kilka wiadomości, oznaczonych prywatne i poufne. Cholera! To już poszło za daleko.

– Nic od ciebie nie dostałam.

Zacisnął wargi, policzki mu poczerwieniały. Co innego było grzebać przy e-mailach, a co innego przechwytywać zapieczętowane pisma od sekretarza stanu. Nawet Rose nie otworzyłaby niczego takiego.

– Wygląda na to, że Gubernatorska Komisja Przystępstw ubzdurzyła sobie, że powinniśmy przenieść twoje biuro z resortu zdrowia do bezpieczeństwa publicznego – wyjaśnił.

– Na miłość boską, Sinclair! – wykrzyknęłam.

– Wiem, wiem. – Uniósł rękę, żeby mnie uspokoić.

Ta sama idiotyczna propozycja pojawiła się już, kiedy mnie zatrudniano. Laboratoria policyjne i sądowe znajdowały się w resorcie bezpieczeństwa publicznego, co między innymi oznaczało, że jeśli moje biuro również by tam podlegało, skończyłyby się wszelkie dotacje. Departament policji będzie decydował o tym, jak pracuję nad swoimi przypadkami.

– Pisałam już pisma na ten temat – powiedziałam do Wagnera. – Wiele lat temu wybroniłam się, tłumacząc wszystko prokuratorom i szefom policji, chodziłam nawet do izby adwokackiej. Nie możemy na to pozwolić. – Wagner nic nie mówił. – Dlaczego teraz? – nalegałam na odpowiedź. – Dlaczego wynikło to teraz? Sprawa była w zawieszeniu od dziesięciu lat.

– Myślę, że nalega na to deputowany Connors, ponieważ naciska na niego ktoś wyżej – powiedział. – Kto to wie.

Ja wiedziałam i jadąc z powrotem do pracy, już się mobilizowałam. Zajmowałam się pytaniami bez odpowiedzi, dokopywaniem się do tego, co było trudne do zauważenia, dochodzeniem do prawdy. Tacy intryganci jak Chuck Ruffin i Diane Bray nie uwzględnili w swych machinacjach tego, że udało im się mnie obudzić. W głowie miałam już scenariusz kolejnych działań. Był bardzo prosty. Ktoś chciał mnie wysadzić w powietrze, żeby mój urząd łatwiej mógł zostać przejęty przez Bezpieczeństwo Publiczne. Słyszałam, że obecny sekretarz stanu, którego bardzo lubiłam, wybiera się na emeryturę. Jakież byłby to zbieg okoliczności, gdyby Diane Bray miała zająć jego miejsce!

Gdy dotarłam do biura, uśmiechnęłam się do Rose i powitałam ją radośnie.

– Ależ mamy dzisiaj dobry humor! – skomentowała zadowolona.

– To twoja zupa jarzynowa – wyjaśniłam. – Zostawiłam sobie jeszcze trochę, żeby mieć na co czekać. Gdzie Chuck?

Skrzywiła się na sam dźwięk jego imienia.

– Poszedł do Akademii zanieść jakieś mózgi.

Czasami, gdy przypadki były podejrzane neurologicznie i skomplikowane, zachowywałam mózg w formalinie i wysyłałam do laboratorium neuropatologii na specjalne badania.

– Daj mi znać, jak wróci – powiedziałam. – Musimy zainstalować luma-lite w jednej z sal.

Rose podparła ręką brodę i pokręciła głową, patrząc na mnie.

– Szkoda, że ja muszę to pani powiedzieć.

– O Boże, co znowu? A już myślałam, że dzisiaj będzie dobry dzień.

– Ci z instytutu przeprowadzają gdzieś odtworzenie zdarzeń na miejscu zbrodni, a ich luma-lite jest w naprawie.

– Nie, nie mów mi tego.

– Wiem tylko tyle, że ktoś zadzwonił, a Chuck zabrał naszą lampę i zaniósł im, nim wyszedł do Akademii.

– To zaraz idę po nią z powrotem.

– Ale to się odbywa jakieś piętnaście kilometrów stąd.

– A kto dał Chuckowi prawo do pożyczania naszej aparatury komukolwiek? – spytałam.

– Niech się pani cieszy, że jej nie skradziono, jak połowę wszystkiego tutaj.

– Czuję, że będę musiała iść na górę i przeprowadzić to badanie w laboratorium Vandera – powiedziałam.

Poszłam do swego gabinetu i siadłam przy biurku. Zdjęłam okulary i pomasowałam nasadę nosa. Doszłam do wniosku, że nadszedł czas na zorganizowanie randki komendant Bray i Chucka. Posługując się jego adresem, przesłałam e-mailem wiadomość do Diane Bray.

Pani Komendant Bray

Mam pewne informacje, które pani musi poznać. Proszę się ze mną spotkać w Centrum Handlowym Beverly Hills o 17.30. Niech pani zaparkuje w tylnym rzędzie obok Buckhead's. Możemy porozmawiać w pani

samochodzie, żeby nas nikt nie widział. Jeśli pani nie może, proszę wysłać wiadomość na pager. Jeśli tak, to do zobaczenia.

Chuck

Później posłałam wiadomość Ruffinowi, rzekomo od komendant Bray, zapraszającej go na spotkanie.

– Gotowe – powiedziałam, gratulując sobie samej, gdy zadzwonił telefon.

– Hej – odezwał się Marino. – Tu twój osobisty detektyw. Co robisz po robocie?

– Dalszą robotę. Pamiętasz, jak mówiłam, że to zabawa dla dwojga? Zabierasz mnie do Buckhead's. Nie chcielibyśmy przegapić randki dwóch osób najbliższych naszym sercom, prawda? Więc pomyślałam, że może zaprosiłbyś mnie tam na kolację i przypadkowo wpadlibyśmy na nich – powiedziałam.

Rozdział 18

Marino czekał na mnie tak, jak się umówiliśmy, na parkingu, w swoim dodge'u pikapie. Nie chciałam ryzykować, że Diane Bray rozpozna mojego mercedesa. Na dworze było ciemno i zimno, ale przestało padać. Siedziałam tak wysoko, że niemal zaglądałam w oczy kierowcom ciężarówek. Pojechaliśmy Patterson Avenue w kierunku Parkham Road, głównej ulicy w mieście, gdzie ludzie siedzieli w restauracjach, robili zakupy i tłoczyli się na chodnikach.

– Muszę cię ostrzec, że na końcu tęczy nie zawsze znajduje się skarb – powiedział, wyrzucając przez okno niedopałek. – Co najmniej jedno z nich może się w ogóle nie pokazać. Albo może to oni chcą nas przyłapać. Ale musimy spróbować, nie?

Centrum Handlowe Beverly Hills składało się z kilku niedużych pawilonów i sklepu Ben Franklin – Rzemiosło Artystyczne i Ramy. Trudno się było domyślić, że tu właśnie znajduje się jedna z najlepszych knajp w mieście.

– Nie widzę ani śladu – powiedział Marino – ale jesteśmy parę minut wcześniej. – Zaparkował między dwoma samochodami w pewnej odległości od restauracji, przed Benem Franklinem, i wyłączył silnik. Otworzyłam drzwi. – A ty niby dokąd się wybierasz? – zaprotestował.

– Wchodzę do restauracji.

- A jeżeli teraz się pojawią i cię zobaczą?
- Mam wszelkie prawo tu być.
- A jeżeli ona tam jest, przy barze? – zastanawiał się dalej. – Co jej powiesz?
- Zaproponuję, że jej coś postawię, a potem wyjdę po ciebie.
- Jezu, myślałem, że chodzi o to, żeby ją nakryć. – Marino był coraz bardziej przejęty.
- Uspokój się i zostaw gadanie mnie.
- Uspokoić się? Skręciłbym tej dziwce kark.
- Musimy być czujni. Jeżeli wyjdziemy z za rogu i zaczniemy strzelać, możemy zostać trafieni pierwsi.
- To znaczy, że nie masz zamiaru powiedzieć jej prosto w oczy, że wiesz, co zrobiła? Po co więc ten e-mail do Chucka i wszystko inne? – Był wściekły i wciąż powtarzał to samo. – Więc co tu, do cholery, robimy?
- Marino – starałam się go uspokoić. – Przecież sam wiesz najlepiej. Jesteś doświadczonym detektywem i dlatego masz tu być. Ona jest niesamowita. Chyba rozumiesz, że nigdy nie zapędzisz tej kobiety w kozi róg. – Milczał. – Pilnuj ze swojego dodge’a, a ja sprawdzę w środku. Jeżeli ją zobaczysz wcześniej ode mnie, prześlij mi na pager wiadomość symbol dziesięć-cztery i zadzwoń do restauracji, pytając o mnie, na wypadek gdybym z jakiegoś powodu nie dostała informacji – powiedziałam.
- Ze złością zapalił papierosa, gdy otwierałam drzwi.
- To nie jest, kurde, sprawiedliwe – oświadczył. – Przecież wiemy bardzo dobrze, co ona robi. Uważam, że możemy jej udowodnić, iż nie jest taka sprytna, jak myśli.
- Przecież ty wiesz najlepiej, jak się prowadzi taką sprawę. – Martwiłam się już, że nie będzie mógł się powstrzymać.
- Widzieliśmy, co napisała do Chucka. Mayflower!

– Mów ciszej – zwróciłam mu uwagę. – Nie możemy udowodnić, że to ona nadała ten e-mail, tak samo jak nie możemy udowodnić, że ja nie wysyłałam tego, o co mnie posądzają. Nie potrafię nawet udowodnić, że to nie ja prowadzę te nieszczęsne porady.

– Może powinienem po prostu zostać najemnikiem? – Wydmuchnął dym w lusterko.

– Pager albo telefon? – upewniłam się, wychodząc z samochodu.

– A jak nie dostaniesz wiadomości na czas?

– To przejedź ją pikapem – odpowiedziałam zniecierpliwiona, zatrzasnąwszy drzwi.

Rozejrzałam się dookoła, idąc w kierunku restauracji, ale nie było śladu Diane Bray. Nie miałam pojęcia, jak wygląda jej prywatny samochód, nie podejrzewałam jednak, żeby nim przyjechała. Otworzyłam ciężkie, drewniane drzwi i usłyszałam gwar różnorodnych głosów i brzęk dzwoniących w szklankach kostek lodu. Wiszący na ścianie wielki jeleni łeb uzasadniał nazwę lokalu. Panował tu miły półmrok, ściany wyłożone były ciemnym drewnem, a półki i skrzynki z winem sięgały prawie do sufitu.

– O, dobry wieczór – uśmiechnęła się do mnie hostessa. – Stęskniliśmy się za panią, ale wiem z telewizji, że była pani ostatnio dość zajęta. Czym mogę służyć?

– Czy macie rezerwację na nazwisko Bray? – spytałam. – Nie jestem pewna, na którą godzinę.

Sprawdziła grubą księgę rezerwacji, pomagając sobie ołówkiem. Jeszcze raz, nazwiska i terminy. Była nieco zażenowana. W końcu to niemożliwe, żeby przyjść do dobrej restauracji bez zamawiania stolika, nawet w zwykły dzień.

– Niestety, nie – powiedziała cicho.

– Hmm. Może na moje nazwisko?

Spróbowała jeszcze raz.

– O rany, tak mi przykro, pani doktor. A mamy dziś wieczorem komplet, bo cała grupa zarezerwowała salę od frontu.

Dochodziła za dwadzieścia szósta. Stoły nakryto już obrusami w czerwonej kratkę, świeciły się na nich małe lampki, lecz sala była zupełnie pusta, gdyż cywilizowani ludzie rzadko jadali kolację przed siódmą.

– Umówiłam się na drinka z koleżanką – łągałam dalej. – Może mogłybyśmy szybko zjeść wcześniej, koło szóstej?

– Z tym nie będzie problemu – zapewniła mnie rozpromieniona hostessa.

– To proszę nas zapisać – odpowiedziałam, denerwując się coraz bardziej.

A jeżeli Bray zorientowała się, że na parkingu nie ma samochodu Chucka i nabrała podejrzeń?

– A więc o szóstej...

Cały czas czułam wiszący przy pasku pager i nasłuchiwałam telefonu.

– Doskonale – podziękowałam hostessie.

Ta sytuacja mnie irytowała. Zgodnie ze swoją naturą, wykształceniem i praktyką zawodową mówiłam zawsze prawdę, nie zniżając się do zabiegów różnych kombinatorów w rodzaju obrońców sądowych, do których bym mogła należeć, gdybym się dała wciągnąć w tego typu manipulacje. Hostessa zapisywała moje nazwisko w książce, gdy poczułam wibrowanie pagera, jak wielkiego owada. Odczytałam na ekraniku dziesięć-cztery i popędziłam z powrotem przez bar. Musiałam otworzyć drzwi wejściowe, bo okna były z matowego szkła i nic przez nie, nie widziałam. Zauważyłam ciemną crown victorię.

Marino na razie nic nie zrobił. Zdenerwowałam się jeszcze bardziej, gdy Bray zaparkowała i wyłączyła światła. Byłam pewna, że nie zamierza zbyt

długo czekać na Chucka i już wyobrażałam sobie jej zniecierpliwienie. Takie nic nieznaczące osoby, jak Ruffin, nie mogą kazać na siebie czekać zastępcy komendanta Diane Bray.

– Czy mogę pani czymś służyć? – zapytał barman, wycierający kieliszek. Wyglądałam przez uchylone drzwi i zastanawiałam się, co teraz zrobi Marino.

– Czekam na kogoś, kto nie wie dokładnie, gdzie jest wasz lokal – wyjaśniłam.

– Niech pani powie, że obok salonu kosmetycznego Michelle – poradził barman, a ja obserwowałam detektywa wychodzącego z samochodu.

Spotkałam się z nim na parkingu i poszliśmy razem w kierunku samochodu Diane Bray. Nie zauważyła nas, bo rozmawiała przez telefon komórkowy i coś zapisywała. Kiedy Marino zapukał w szybę, poderwała się i zobaczyła nas. Z ponurą miną powiedziała jeszcze coś do telefonu i zakończyła rozmowę. Szyba zjechała w dół.

– Pani zastępca komendanta? Tak myślałem, że to pani – ucieszył się kapitan, jakby byli starymi przyjaciółmi.

Nachylił się i zajrzał do samochodu. Diane była wyraźnie zaniepokojona i prawie było widać, jak gorączkowo myśli, jednocześnie udając, że nie ma nic niezwykłego w tym, iż wpadliśmy na nią właśnie tutaj.

– Dobry wieczór – powiedziałam uprzejmie. – Cóż za miły zbieg okoliczności!

– Kay, co za niespodzianka – odrzekła bez entuzjazmu. – A więc odkryłaś ten mały sekret Richmondu.

– Znam już większość małych sekretów Richmondu – zapewniłam ją bez ironii. – Jest ich wiele, jeśli się wie, gdzie szukać.

– Ja staram się unikać czerwonego mięsa – Bray wróciła do towarzyskiego tonu rozmowy – ale ryby mają tu doskonałe.

– To jakby pójść do burdelu i stawiać sobie pasjansa – zauważył Marino.

Bray zignorowała go i próbowała bezskutecznie przygwoździć mnie wzrokiem. Nauczyłam się przez wiele lat zmagania ze złymi pracownikami, nieuczciwymi adwokatami i bezwzględными politykami, że jeśli patrzyłam komuś pomiędzy oczy, nie zdawał sobie z tego sprawy, i mogłam go trzymać w szachu wzrokiem przez cały czas.

– Przyjechałam tu na kolację – powiedziała, jakbyśmy jej przeszkodzili i bardzo się śpieszyła.

– To zaczekamy, aż pani gość się pojawi – zaproponował Marino. – Na pewno nie chce pani siedzieć tu sama w ciemności albo być zaczepiana tam, w środku. Prawda jest taka, pani zastępco komendanta Bray, że nie powinna pani jeździć tak sama bez ochrony, teraz kiedy się pani stała znana, przyjeżdżając tutaj. Jest pani kimś w rodzaju lokalnej znakomitości.

– Nie spotykam się tu z nikim. – W jej głosie brzmiała lekka nutka irytacji.

– Nie mieliśmy tu nigdy kobiety na tak wysokim stanowisku, a do tego tak atrakcyjnej i kochanej przez media. – Kapitan nie zamierzał być cicho.

Jego szefowa wzięła torebkę i zaczęła wysiadać.

– Proszę mnie przepuścić. – Powiedziała to jak rozkaz.

– Dzisiaj wieczorem niełatwo będzie dostać stolik – zauważyłam, gdy otwierała drzwiczki. – Chyba że ma pani rezerwację – dodałam, dając do zrozumienia, że wiem coś na ten temat.

Pewność siebie i swoboda opuściły ją na moment i widać było, jak się w niej gotuje. Wsiadła z samochodu, ale Marino zablokował jej drogę. Nie mogła przejść inaczej niż ocierając się o niego, a duma jej na to nie pozwalała. Diane Bray była prawie przygwożdżona do drzwi swego nowego błyszczącego samochodu. Nie umknęło mojej uwagi, że miała na sobie sztruksy, adidas i kurtkę Departamentu Policji Richmond. Taka

próżna kobieta, jak ona, nigdy nie pokazałaby się w eleganckiej restauracji w podobnym stroju.

– Przepraszam – powiedziała głośno.

– Och, przepraszam – westchnął, odsuwając się, Marino.

Następną moją wypowiedź starannie sobie ułożyłam. Nie mogłam oskarżyć jej wprost, ale chciałam, żeby zrozumiała, że się nie udało, i jeśli będzie dalej zastawiać na mnie takie pułapki, przegra i słono za to zapłaci.

– Jest pani detektywem – odezwałam się spokojnie. – Proszę więc mi pomóc rozwikłać zagadkę, jak ktoś mógł zdobyć moje hasło i odbierać przesyłki z poczty elektronicznej, podszywając się pode mnie. A później, ktoś, najprawdopodobniej ta sama osoba, zaczęła idiotyczny, kretyński salon dyskusyjny w Internecie, zatytułowany „Droga doktor Kay”.

– Och, to okropne. Niestety, nie potrafię ci pomóc. Komputery to nie moja specjalność – odpowiedziała z uśmiechem. W świetle jarzeniówek jej oczy wyglądały jak ciemne dziury, a zęby błyszczały niczym stalowe ostrza. – Mogę tylko doradzić, żebyś rozejrzała się w najbliższym otoczeniu. Może jest ktoś niezadowolony, jakiś przyjaciel, z którym zerwałaś – zgrywała się dalej. – Naprawdę nie mam pojęcia, ale przypuszczam, że to ktoś z tobą jakoś związany. Słyszałam, że twoja siostrzenica jest ekspertem od komputerów. Chyba ona umiałaby ci pomóc? – Wściekłam się na wzmiankę o Lucy. – Chciałabym z nią porozmawiać – dodała mimochodem. – Wiesz, instalujemy COMPSTAT i potrzebujemy eksperta komputerowego.

COMPSTAT, czyli komputerowy system statystyczny był nowym, zaawansowanym technicznie wynalazkiem, wprowadzonym przez Departament Policji Nowego Yorku. Będą do niego potrzebni specjaliści komputerowi, ale żeby coś takiego zaproponować Lucy, z jej umiejętnościami i doświadczeniem, to obraza.

– Mogłabyś jej to przekazać, kiedy będziecie rozmawiały – ciągnęła Bray.

Wściekłość Marina buzowała jak ogień w kominku. – Naprawdę, Kay, powinniśmy kiedyś gdzieś usiąść, żebym ci opowiedziała o swoich doświadczeniach z Waszyngtonu – zaproponowała, jakbym nigdy nie pracowała nigdzie indziej, jak w małym miasteczku. – Nie masz nawet pojęcia, co ludzie potrafią wymyślić, żeby kogoś zdołować. Zwłaszcza kobiety przeciwko kobietom, sabotaż w miejscu pracy. Widziałam upadki największych.

– Nie wątpię – odparłam krótko.

Zamknęła drzwiczki od samochodu i dodała:

– A dla twojej informacji, żeby usiąść przy barze, nie trzeba rezerwować miejsca. I zwykle tam jadam. Dają słynny stek serowy, ale polecam ci homara, Kay. A panu, kapitanie Marino, z pewnością będą smakować obwarzanki cebulowe. Podobno można dla nich oszaleć.

Patrzyliśmy, jak odchodzi.

– Cholerna dziwka – podsumował Marino.

– Wynośmy się stąd.

– Jasne, ostatnie, co bym chciał, to jeść w pobliżu tej trucizny. Nawet nie jestem już głodny.

– To nie potrwa długo.

Wgramoliliśmy się do jego ciężarówki i poczułam, że ogarnia mnie wielkie przygnębienie. Potrzebne mi było jakieś zwycięstwo, jakiś promyk optymizmu wynikający z tego, co zaszło, ale czułam się pokonana. Co gorsza, czułam się głupio.

– Chcesz papierosa? – spytał Marino w ciemnościach szoferki, włączając zapalniczkę.

– Czemu nie? – mruknęłam. – Niedługo znowu przestanę.

Podał mi go, zapalił swojego, po czym wręczył mi zapalniczkę. Spoglądał na mnie, wiedząc, o czym myślę.

– Uważam i tak, że dobrze to zrobiliśmy – odezwał się pocieszającym tonem. – Założę się, że ona tam zapija się whisky, bo jej dołożyliśmy.

– Nie dołożyliśmy jej – odrzekłam, mrużąc oczy przed światłami mijanych samochodów. – Obawiam się, że w jej wypadku możliwe jest tylko zapobieganie. Musimy się strzec przed dalszymi szkodami, nie tylko przewidując, ale i sprawdzając wszystko, co robimy. – Opuściłam troszkę szybę. Poczułam na czole zimne powietrze i wydmuchałam dym. – Chuck się nie objawił – przypomniałam sobie.

– Pojawił się. Nie widziałaś go, bo zobaczył nas pierwszy i dał nogę.

– Jesteś pewien?

– Widziałem tę jego gównianą miatę, jak skręcała w zjazd prowadzący do centrum handlowego, po czym nagle, w połowie drogi do parkingu Chuckie wykręcił i pognął z powrotem. Było to dokładnie wtedy, gdy Bray jeszcze coś powiedziała do komórki, kiedy zobaczyła nas przed swoim samochodem.

– Chuck jest bezpośrednim kanałem między mną a nią. Równie dobrze Bray mogłaby mieć klucz do mojego gabinetu.

– Cholera, może mieć – zgodził się Marino. – Ale, pani doktor kochana, zostaw tego Chuckiego mnie.

– O to właśnie się boję – odrzekłam. – Proszę cię, nie zrób czegoś głupiego, Marino. W końcu on u mnie pracuje. Nie chcę mieć więcej problemów.

– Dokładnie o tym mówię. Nie trzeba ci więcej problemów.

Podwiózł mnie pod biuro i zaczekał, aż weszłam do samochodu. Pojechałam za wozem Marina do wyjazdu z parkingu, a potem każde z nas ruszyło w swoją stronę.

Rozdział 19

Okrągłe jak księżyc, maleńkie oczka widoczne na skórze nieżyjącego mężczyzny wciąż pojawiały się w mojej pamięci. Wyglądały z zakamarków, w których skrywały się moje najgłębsze lęki, a było ich wiele i to takich, jakich nie odczuwali inni. Gołe gałęzie szumiały na wietrze, a chmury pojawiały się nagle na niebie, powiewając jak sztandary zapowiadające nadejście chłodnego frontu.

Słyszałam w wiadomościach, że temperatura może spaść nocą do około minus czternastu stopni, co wydawało się niemożliwe po tylu tygodniach jesiennej pogody. Ostatnio wszystko w moim życiu było nienormalne. Lucy nie była Lucy, więc nie mogłam do niej zadzwonić, a ona się do mnie nie odzywała. Marino pracował nad zabójstwem, chociaż przestał być już detektywem, a Bentona w ogóle nie było i wszędzie, gdzie go szukałam, znajdowałam puste miejsce. Wciąż czekałam, że nagle podjedzie jego samochód, zadzwoni telefon, usłyszę znajomy głos. Jest jeszcze za wcześnie, aby moje serce pogodziło się z tym, co wiedział rozum. Zjechałam z drogi szybkiego ruchu na Cary Street i kiedy przejeżdżałam obok centrum handlowego i restauracji Wenecja, zdałam sobie sprawę, że podąża za mną samochód. Jechał bardzo powoli i zbyt daleko, żebym mogła zobaczyć, kto siedzi za kierownicą. Instynkt nakazał mi zwolnić, a kiedy to zrobiłam, ów ktoś postąpił tak samo. Skręciłam w prawo i

samochód znalazł się za mną. Wykonałam skręt w lewo na Windsor Farms, a ów ktoś zrobił to również, zachowując wciąż bezpieczną odległość.

Nie chciałam zapuszczać się głębiej w tę okolicę, pełną małych, ciemnych uliczek i zaułków. Skręciłam w prawo w Dover i zadzwoniłam do Marina. Tamten samochód znów był za mną i bałam się coraz bardziej.

– Marino – powiedziałam głośno do nikogo. – Bądź w domu, Marino. – Cisza. Wyłączyłam się i spróbowałam ponownie. – Marino, do cholery, bądź w domu – powiedziałam znów do swojego głośno mówiącego urządzenia na tablicy rozdzielczej. Bezprzewodowy telefon w domu Marina dzwonił i dzwonił. Leżał pewnie gdzieś koło telewizora, a kapitan nigdy nie mógł go znaleźć, bo nie odkładał słuchawki do bazy. A może jeszcze nie wrócił do domu.

– Tak? – zdumiał mnie nagle jego donośny głos.

– To ja.

– Cholerny pieprzony stolik. Jeżeli jeszcze raz uderzę o niego kolanem...

– Marino, posłuchaj mnie!

– Jeszcze jeden raz, a wyląduję na podwórku i roztrzaskam to draństwo młotkiem! Prosto w rzepkę! Nigdy go nie widzę, bo jest szklany, a zgadnij, kto powiedział, że będzie tu ładnie wyglądał?

– Uspokój się! – zawołałam, obserwując samochód w lusterku.

– Wypiłem trzy piwa i jestem głodny i zmęczony jak diabli. Co jest? – zapytał.

– Ktoś za mną jedzie.

Skręciłam, w prawo do Windsor Way, kierując się z powrotem na Cary Street. Poruszałam się z normalną prędkością i nie robiłam nic dziwnego poza tym, że nie zmierzałam w kierunku domu.

– Co to znaczy, że ktoś za tobą jedzie?

– A co, do diabła może znaczyć? – zawołałam, denerwując się coraz bardziej.

– Więc skieruj się natychmiast w moją stronę – polecił. – Wyjedź z tej twojej ciemnej okolicy.

– Właśnie to robię.

– Widzisz tablicę rejestracyjną albo coś innego?

– Nie, jest za daleko. Chyba specjalnie trzyma się w pewnej odległości, żebym nie mogła zobaczyć tablicy rejestracyjnej ani twarzy kierowcy.

Wróciłam na drogę szybkiego ruchu w kierunku Powhite Parkway, a wtedy osoba śledząca mnie wyraźnie zrezygnowała i skręciła gdzie indziej. Serce mi waliło. Połówka księżyca pojawiała się i znikwała za chmurami, a silne porywy wiatru waliły w boczną ścianę samochodu jak fale o falochron.

Zadzwoiłam pod mój numer domowy, żeby odsłuchać automatyczną sekretarkę. Trzy razy ktoś się wyłączył, a czwarte nagranie uderzyło mnie, jakbym dostała w twarz.

– Tu komendant Bray – zaczęła. – Miło było wpaść na was koło Buckhead's. Mam do omówienia z tobą kilka spraw proceduralnych i dotyczących mojej ogólnej polityki. Kierowania pracami na miejscu zbrodni, zbierania dowodów i tak dalej. Chciałabym to z tobą przedyskutować, Kay. – Dźwięk mojego imienia w jej ustach doprowadzał mnie do szału.

– Może mogłybyśmy pójść na obiad w najbliższych dniach – ciągnął jej nagrany na taśmę głos. – Może prywatny lunch w Klubie Federacyjnym?

– Mój numer domowy był zastrzeżony i bardzo pilnowałam, komu go podaję, ale nie stanowiło dla mnie tajemnicy, jak go zdobyła. Personel, włącznie z Ruffinem, musiał mieć możliwość złapania mnie w domu. – A jeżeli jeszcze nie słyszałaś – ciągnęła Bray – to Al Carson dziś podał się do

dymisji. Na pewno go pamiętasz. Zastępca komendanta z dochodzeniowego. Co za szkoda. Major Inman przejmie na razie jego zadania.

Zwolniłam przy budce na końcu autostrady i wrzuciłam żeton do puszki. Ruszyłam dalej i minęła mnie wysłużona toyota pełna nastolatków, gapiących się na mnie bezczelnie, a jeden z nich, nie wiadomo dlaczego, zawołał wyraźnie „kurwa”.

Patrzyłam na drogę, rozmyślając o tym, co powiedział Wagner. Ktoś naciskał na delegata Connorsa, aby żądał zmian prawnych, umożliwiających przeniesienie mojego urzędu do resortu bezpieczeństwa publicznego, gdzie departament policji miałby nade mną większą kontrolę.

Kobiety nie mogły należeć do prestiżowego Klubu Federacyjnego, w którym rozstrzygała się połowa najważniejszych interesów i spraw politycznych dotyczących Wirginii w obecności najważniejszych i najbogatszych mężczyzn ze starych rodzin o głośnych nazwiskach. Plotka głosiła, że panowie ci, z których wielu znałam, zbierali się wokół krytego basenu, większość nago. Handlowali i pertraktowali w szatniach, do których kobiety oczywiście nie miały wstępu.

Ponieważ Diane Bray nie mogła przekroczyć progu tego starego elitarnego klubu, o ile nie była gościem któregoś z członków, moje podejrzenia co do jej ambitnych planów się potwierdziły. Urabiała członków Zgromadzenia Ogólnego i wpływowych biznesmenów, chcąc zostać sekretarzem stanu w Departamencie Bezpieczeństwa Publicznego i przenieść tam moje biuro. Wtedy mogłaby mnie wyrzucić osobiście.

Dotarłam do Midlothian Turnpike i zobaczyłam dom Marina dużo wcześniej, niż do niego podjechałam. Kiczowate, rzucające się w oczy dekoracje świąteczne i jakieś trzysta tysięcy lampek świeciły nad całą ulicą, jak wesołe miasteczko. Żeby tam trafić, wystarczyło jechać za sznurem

samochodów, gdyż dom Marina stał się największą atrakcją świątecznej trasy w Richmondzie. Ludzie nie mogli sobie odmowie obejrzenia tego zdumiewającego widowiska.

Świąteczka we wszystkich możliwych kolorach, umieszczone na drzewach, tworzyły kontury olbrzymiego cukierka. W ogrodzie stały zrobione z kolorowych lampek mikołaje, bałwanki, kolejki i żołnierzyki oraz imitacja dużych, piernikowych figurek, trzymających się za ręce. Wzdłuż chodnika pełniły straż wysokie cukrowe laseczki, też z żaróweczek. Na dachu widniały napisy z życzeniami: „Wesołych świąt” oraz „Szczęśliwego Nowego Roku”. W części ogrodu, w której rzadko wyrósł jakiś kwiatek, a trawa była przez cały rok tylko na brązowym spłachetku, Marino urządził ogródek elektryczny. Znajdował się tam biegun północny, na którym państwo Mikołajostwo omawiali swe plany, śpiewał im chór chłopięcy, na kominie przysiadły flamingi, a łyżwiarze krążyli wokół świerku.

Biała limuzyna przesunęła się wolniutko, a tuż za nią mikrobus z jakiegoś kościoła. Wbiegałam po schodkach, czując się jak w świetle jupiterów.

– Za każdym razem gdy to widzę, utwierdzam się w przekonaniu, że zupełnie straciłam rozum – odezwałam się, gdy przyjaciel otworzył mi drzwi i mogłam zejść ze sceny. – Już w zeszłym roku było strasznie.

– Założyłem trzecią skrzynkę z bezpiecznikami – oznajmił radośnie. Ubrany był w dżinsy, skarpetki i czerwoną flanelową koszulę, której poły wyłaziły ze spodni. – Przynajmniej przychodzę do domu i mam się z czego cieszyć – powiedział. – Pizza jest w drodze. Mam bourbon, jeżeli chcesz.

– Jaka pizza?

– Ta, którą zamówiłem. Ze wszystkim. Ja stawiam. Papa John nie potrzebuje już mojego adresu. Po prostu posłańcy jadą tam, gdzie te

światła.

– A może by tak gorącą ziołową herbatę – zaproponowałam, pewna, że niczego takiego nie ma.

– Żartujesz chyba.

Rozglądałam się, wchodząc przez salonik do małej kuchenki. Oczywiście wewnątrz domu też było udekorowane. Choinka stała już przy kominku, pod nią leżał stos prezentów, przeważnie sztucznych, a w oknach wisiały czerwone światełka – papryczki.

– Bray do mnie dzwoniła – powiedziałam, nalewając wody do czajnika.
– Ktoś dał jej mój numer domowy.

– Zgadnij kto. – Pisnęły otwierane drzwi od lodówki i czułam, jak dobry nastrój kapitana pryska.

– Myślę, że wiem, dlaczego mogło się to zdarzyć – ciągnęłam. – Postawiłam czajnik na kuchence i włączyłam palnik. – Zastępca komendanta Carson podał się dziś do dymisji. Albo udają, że sam się podał.

Marino otworzył piwo. Jeśli nawet coś wiedział, niczego nie okazał.

– Wiedziałeś, że odszedł? – spytałam.

– Ja już w ogóle nic nie wiem.

– Podobno major Inman pełni teraz obowiązki zastępcy komendanta...

– No, oczywiście, oczywiście – skomentował głośno Marino. – A wiesz dlaczego? Bo jest dwóch majorów, jeden w mundurowej, jeden w dochodzeniowej, więc oczywiście Bray posyła swojego człowieka z mundurowej, żeby przejął dochodzeniówkę. – Wypił piwo trzema haustami, ścisnął puszkę z wściekłością i wrzucił do kubła. Nie trafił i potoczyła się po podłodze. – Masz pojęcie, co to znaczy? Zaraz ci wytłumaczę. Bray kontroluje teraz mundurowych i dochodzeniówkę, co znaczy, że kieruje całym tym pieprzonym wydziałem i pewnie też trzyma w garści cały

budżet. Powiedz, jak to możliwe, że taka kobieta przychodzi tu sobie i niecałe trzy miesiące później może to wszystko zrobić?

– Najwyraźniej ma jakieś dojścia. Pewnie już miała, nim dostała tę robotę. I to nie tylko do szefa.

– No więc do kogo?

– Marino, to mógł być ktokolwiek, nie o to chodzi w tym momencie. Obecnie nie ma to znaczenia. Teraz musimy walczyć z nią. Z nią, a nie z osobą, która pociąga za sznurki.

Otworzył następne piwo, ze złością chodząc po kuchni.

– Już rozumiem, dlaczego Carson pojawił się wtedy na miejscu zdarzenia – powiedział. – Pojął, co się święci. Wie, jak tu śmierdzi, i może chciał nas na swój sposób ostrzec albo się pożegnać. Jego kariera się skończyła. Koniec. Ostatnie miejsce przestępstwa. Wszystko ostatnie.

– To taki porządny człowiek. Cholera, Marino, musi być coś, co możemy zrobić.

Zadzwonił jego telefon i przestraszył mnie. Za oknem słychać było monotonny szum samochodów, a w domu znów dźwięczały tony „Jingle Bells”.

– Bray chce ze mną porozmawiać o tak zwanych zmianach, jakie zamierza wprowadzić – poinformowałam detektywa.

– Jasne, że chce – zgodził się, chodząc po linoleum w samych skarpetkach. – Przypuszczam, że musisz rzucić wszystko, kiedy ona nagle zechce cię na lunch i to właśnie zrobi, pochłonie Cię między dwoma kawałkami chleba i dobrze posmaruje musztardą.

Złapał telefon.

– Co? – wrzasnął do biedaka po drugiej stronie. – Ehm, hm, taa – mówił, jednocześnie słuchając.

Grzebałam w szafkach, aż znalazłam pogniecione pudełko z herbatą Lipton w torebkach.

– Ja tu jestem. Dlaczego, do licha, nie chcesz rozmawiać ze mną? – warknął Marino z oburzeniem. Słuchał, chodząc w kółko. – A to dobre! Chwileczkę, zaraz ją zapytam. – Zakrył słuchawkę ręką i odezwał się przyciszonym głosem: – Czy jesteś pewna, że to ty jesteś doktor Scarpetta? – Zwrócił się do osoby z telefonu. – Mówi, że była, jak ostatni raz sprawdzała – i ze złością podał mi słuchawkę.

– Tak? – spytałam.

– Doktor Scarpetta? – upewnił się nieznajomy głos.

– Tak, to ja.

– Mówi Ted Francisco z terenowego biura ATF w Miami. – Zamarłam, jakby ktoś wymierzył lufę we mnie. – Lucy powiedziała mi, że kapitan Marino może wiedzieć, gdzie panią zastać. Czy chce pani z nią rozmawiać?

– Oczywiście – odrzekłam przerażona.

– Ciociu Kay! – Usłyszałam jej głos.

– Lucy, co się stało? Czy wszystko w porządku?

– Nie wiem, czy słyszałaś, co się tu stało...

– Nic nie słyszałam – powiedziałam szybko, a Marino stanął i patrzył na mnie.

– Nasza akcja. Nie poszło tak, jak powinno, za długo, żeby wchodzić w szczegóły, ale wyszło naprawdę fatalnie. Musiałam dwóch z nich zabić. Jo została postrzelona.

– O Boże – jęknęłam. – Powiedz, że z nią dobrze.

– Nie wiem – odezwała się z nienormalną obojętnością. – Wzięli ją do szpitala Jackson Memorial pod jakimś zmienionym nazwiskiem i nie mogę do niej zadzwonić. Ja jestem odizolowana, bo boją się, że tamci będą

próbowali nas odnaleźć. Zemsta kartelu. Wiem tylko, że krwawiła z głowy i nogi i była nieprzytomna, kiedy zabierała ją karetka.

Lucy nie objawiała żadnych emocji. Mówiła jak robot czy komputer o sztucznej inteligencji, które programowała na wcześniejszym etapie swej kariery.

– Wezmę... – zaczęłam mówić, gdy na linii znów pojawił się agent Francisco.

– Spodziewałem się, że usłyszysz pani o tym w wiadomościach, doktor Scarpetta, więc chciałem, żeby pani wiedziała wcześniej. Zwłaszcza to, że Lucy nie ucierpiała.

– Może nie fizycznie – przerwałam.

– Chcę pani wytłumaczyć dokładnie, co się dalej stanie.

– Dalej stanie się to – znów przerwałam – że natychmiast tam przylecę. Jeżeli będę musiała, to znajdę prywatny samolot.

– Chciałbym prosić, żeby pani tego nie robiła – odrzekł. – Zaraz wyjaśnię. Jest to wyjątkowo niebezpieczny gang, a Lucy i Jo wiedzą o nich za dużo, wiedzą, kim tamci są i jak działają. Parę godzin po strzelaninie posłaliśmy grupę specjalistyczną Miami-Dade do domów Lucy i Jo i nasz pies wykrył bomby umieszczone w ich samochodach.

Wysunęłam krzesło spod kuchennego stołu Marina i usiadłam. Było mi słabo i miałam mgłę przed oczami. – Jest pani tam? – spytał.

– Tak, tak.

– Teraz, pani doktor, Miami-Dade pracują nad tym przypadkiem i normalnie posłalibyśmy tam grupę specjalistów od balistyki i naszych ludzi, którzy przeżyli takie krytyczne sytuacje i są przeszkoleni do pracy z agentami, którzy właśnie je przeżywają. Ale z powodu zagrożenia wysyłamy Lucy na północ, w okolice Waszyngtonu, gdzie będzie bezpieczna.

– Dziękuję, że tak o nią dbacie. Niech Bóg was błogosławi – odezwałam się głosem, który zupełnie nie brzmiał jak mój.

– Wiem, co pani czuje – powiedział agent Francisco – zapewniam panią.

– Dziękuję – powtórzyłam. – A co zrobicie z Jo?

– Przetransportujemy ją do innego szpitala, tysiące kilometrów stąd, jak tylko będzie to możliwe.

– A może Akademia Medyczna Wirginii?

– Nie jestem zorientowany...

– Rodzina Jo mieszka w Richmondzie, ale, co ważniejsze, mają tu bardzo dobry szpital, a ja jestem wykładowcą Akademii. Jeżeli przywieziecie ją tutaj, mogę osobiście dopilnować, żeby miała dobrą opiekę.

Zawahał się, po czym odrzekł:

– Dziękuję. Rozważę tę propozycję i omówię z jej przełożonym. Wyłączył się, a ja stałam wpatrzona w telefon.

– Co? – spytał Marino.

– Akcja się nie udała. Lucy zastrzeliła dwie osoby...

– Czy to było właściwe strzelanie?

– Żadne strzelanie nie jest właściwe!

– Cholera, przecież wiesz, o co mi chodzi. Czy było uzasadnione? Nie mów mi, że zastrzeliła przez przypadek dwóch agentów!

– Nie, oczywiście, że nie. Jo została postrzelona. Nie wiem, jaki jest jej stan.

– Cholera! – zaklął, waląc pięściami w blat tak mocno, że zadrżały naczynia na suszarce. – Lucy musiała coś takiego zrobić! Nie powinni jej w ogóle brać do takiej akcji! Ja bym im to powiedział! Czekala po prostu na okazję, żeby wejść niby jakiś cholerny kowboj z błyszczącymi pistoletami i mścić się na wszystkim, czego w życiu nienawidzi...

– Marino, przestań.

– Widziałaś, jak zachowywała się wtedy u ciebie w domu – ciągnął. – Zupełnie ześwirowała od czasu śmierci Bentona. Żadne zadośćuczynienie, jej nie wystarcza, nawet zestrzelenie w powietrzu tego helikoptera, który zatonął wraz ze szczątkami Carrie Grethen i Newtona Joyce’a.

– Dosyć – przerwałam mu wykończona. – Proszę, Marino. To w niczym nie pomoże. Lucy jest profesjonalistką, wiesz o tym. Nie powierzyliby jej takiego zadania, gdyby nią nie była. Wszystko o niej wiedzą, oceniali ją i badali, przechodziła terapię po tym, co stało się z Bentonem. Przecież gdy poradziła sobie z całą tą koszmarną historią, nabrali do niej jeszcze większego szacunku, zarówno jako do agenta jak i człowieka.

W milczeniu otworzył butelkę Jacka Danielsa. Po chwili powiedział:

– Ale ty i ja wiemy, że wcale sobie tak dobrze z tym wszystkim nie radzi.

– Lucy zawsze potrafiła oddzielać sprawy prywatne od pracy.

– Tak, tylko czy to jest zdrowe?

– Myślę, że siebie wzajemnie też moglibyśmy o to spytać.

– Teraz ci mówię, że tym razem sobie nie radzi – oświadczył, nalewając bourbona do szklanki i wrzucając kilka kostek lodu. – Zabiła dwie osoby z konieczności niecały rok temu i teraz zrobiła to znowu. Większość facetów z tej branży nie strzeliła do nikogo przez całe swoje zawodowe życie. Dlatego chcę, żebyś zrozumiała, że tym razem trzeba inaczej na to spojrzeć. Ci ważniacy w Waszyngtonie muszą wziąć pod uwagę, że może ona ma poważny problem. – Wręczył mi szklankę. – Znałem takich gliniarzy i agentów – mówił dalej. – Zawsze mieli rozsądne usprawiedliwienie dla każdego dokonanego zabójstwa, ale gdy się temu dokładniej przypatrzeć, człowiek zaczyna podejrzewać, że podświadomie dążą do stworzenia sytuacji, która do tego doprowadza. Rozkwitają, mogąc wyciągnąć spluwę.

– Lucy taka nie jest.

– Tak, tylko wciąż była odrzucana – od dnia, w którym się urodziła. Aha, ty dzisiaj nigdzie nie jedziesz. Zostajesz tu ze mną i z Mikołajem.

Nalał też whisky sobie i przeszliśmy do jego zagraconego saloniku z przekrzywionymi abażurami na lampach, zakurzonymi żaluzjami i szklanym stolikiem o ostrych kantach, o który miał do mnie pretensje. Opadł na opuszczany fotel, tak stary, że pęknięcia w brązowej plastikowej tapicerce miał posklejane taśmą izolacyjną. Pamiętam, jak pierwszy raz weszłam do domu Marina. Był chyba dumny z tego, że wszystko ma tak bardzo zniszczone, prócz swojej ciężarówki, basenu, a teraz tych dekoracji gwiazdkowych.

Zauważył, że patrzę smętnie na jego fotel z zielonej sztruksowej kanapy, na której się zwinęłam. Miała już wprawdzie wytarte prążki tam, gdzie najczęściej siadano, ale była bardzo miękka.

– Kiedyś kupię sobie taki nowy – oświadczył, uderzając w przycisk, wysuwający podnózek.

Poruszył palcami w skarpetkach, jakby mu było ciasno, i włączył telewizor. Zdziwiłam się, kiedy odszukał kanał 21, Sztuka i Rozrywka.

– Nie wiedziałam, że oglądasz „Biografię” – powiedziałam.

– No. I te programy z prawdziwymi gliniarzami, które czasem pokazują. Może to brzmi, jakbym wachał klej, ale nie uderza cię, że wszystko na świecie się popieprzyło, odkąd Bray przyjechała do naszego miasta?

– Jestem pewna, że ciebie uderza po tym, co już ci zrobiła.

– Hm, a tobie nie robi tego samego? – zaczepiał mnie wyraźnie, popijając. – Nie jestem jedyną osobą w tym pokoju, którą usiłuje zniszczyć.

– Nie sędzę, aby miała taką władzę i mogła wszystko pozmieniać – odpowiedziałam.

– No to pozwól, że ci zaprezentuję listę, i pamiętaj, że mówimy tylko o trzech miesiącach. Przyjeżdża do Richmondu. Ja wkładam z powrotem mundur. Ty nagle masz złodzieja w biurze. A także kapusia, który włamuje się do twojego komputera i robi z ciebie „ciocia Klocia radzi”. Potem pojawia nam się ten trup w kontenerze i na horyzoncie majączy Interpol, a teraz twoja siostrzenica zabija dwie osoby, co nawiasem mówiąc jest Bray bardzo na rękę. Nie zapominaj, że bardzo się napaliła, żeby ściągnąć Lucy do Richmondu, więc jeśli teraz dziewczynę wyrzucą z wydziału, będzie szukała roboty. I jeszcze... aha, ktoś cię śledzi.

Patrzyłam, jak młody, wspaniały Liberace gra na fortepianie i śpiewa, a w tle słychać głos jego przyjaciela, który opowiada, jakim dobrym i hojnym człowiekiem był ten artysta.

– Nie słuchasz mnie. – Marino znów podniósł głos.

– Słucham.

Uniół się, wzdychając ciężko, i poczłapał do kuchni.

– Czy mieliśmy jakieś informacje z Interpolu? – zawołałam poprzez hałas, jaki robił, drąc jakiś papier i grzebiąc w szufladzie ze sztućcami.

– Nic godnego przekazania.

Zaszumiała mikrofalówka.

– Byłoby miło, gdybyś mi to przekazał, mimo wszystko – oświadczyłam zniecierpliwiona.

Reflektory oświetliły Liberace’a przesyłającego publiczności pocałunki, a jego strój obszyty cekinami błyszczał jak czerwonozłote fajerwerki. Marino wszedł z powrotem do pokoju, niosąc miskę chrupek ziemniaczanych i pojemniczek z jakimś dipem.

– Facet z policji stanowej dostał od nich już po godzinie wiadomość, że czekają na dalsze informacje, to wszystko.

– To dużo wiemy – odparłam rozczarowana. – To prawdopodobnie znaczy, że nie natrafili na nic znaczącego. Stare złamanie szczęki, nietypowy dodatkowy guzek Carabellego, nie mówiąc o odciskach palców. Nic nie pasowało do żadnej osoby zaginionej czy poszukiwanej.

– Tak. Mamy zagwozdkę – powiedział z pełnymi ustami, podsuwając mi miskę.

– Nie, dzięki.

– Naprawdę dobre. Trzeba tylko rozmiękczyć twarożek w mikrofalówce i dodać *jalapenos*. To znacznie zdrowsze niż dip cebulowy.

– Na pewno.

– Wiesz, zawsze go lubiłem – wskazał zatłuszczonym palcem na ekran.
– Nie obchodzi mnie, że świrował. Trzeba przyznać, że miał styl. Jak się każe ludziom płacić tyle forsy za płyty i bilety na koncerty, to muszą dostać kogoś, kto wygląda i zachowuje się inaczej niż pierwszy lepszy gnojek na ulicy. Muszę ci powiedzieć – ciągnął z pełnymi ustami – że strzelanie to cholerstwo. Przesłuchują cię, jakbyś usiłował zrobić zamach na prezydenta, potem są różne terapie i wszyscy tak strasznie się przejmują twoim zdrowiem psychicznym, że można oszaleć. – Łyknął bourbona i pochrupał jeszcze trochę chipsów. – Będzie musiała spędzić trochę czasu na ceglach – ciągnął, używając określenia z policyjnego żargonu na przymusowe czasowe zwolnienie. – A detektywi z Miami będą nad tym pracowali jak nad zwykłym zabójstwem. I wszystko zostanie wywrócone w tę i z powrotem. – Popatrzył na mnie, ocierając ręce o dzinsy. – Wiem, że nieprzyjemnie ci to słyszeć, ale może jesteś ostatnią osobą, którą ona chciałaby teraz zobaczyć – zakończył.

Rozdział 20

W naszym budynku obowiązywała zasada, że każdy dowód, nawet coś tak nieznacznego jak mała kartka, musi być przewożony służbową windą. Znajdowała się przy końcu korytarza, gdzie dwie sprzątaczkі właśnie pchały swoje wózki, gdy zmierzałam do laboratorium Neilsa Vandera.

– Dzień dobry, Merle. Jak się masz, Beatrice? – uśmiechnęłam się do nich.

Ich wzrok natychmiast powędrował na zakrytą ręcznikiem tacę i przykryty papierowymi prześcieradłami wózek, który pchałam. Pracowały tu wystarczająco długo, żeby rozumieć, że jeśli niosę coś zapakowanego lub pcham coś przykrytego, na pewno nie jest to coś, o czym powinny wiedzieć.

– Ehm, hm – odezwała się Merle.

– W porządku – zawtórowała Beatrice.

Wcisnęłam guzik od windy.

– Gdzieś pani doktor jedzie na Boże Narodzenie?

Chyba poznały po wyrazie mojej twarzy, że nie jest to bliski mi temat.

– Na pewno jest pani bardzo zajęta przed świętami – szybko powiedziała Merle.

Widać było, że czują się nieswojo jak każdy, komu przypominało się, co się stało z Bentonem.

– O tej porze jest dużo pracy. – Merle niezdarnie zmieniała temat. – Tyle pijanych na drogach. Więcej samobójstw i ludzie na siebie napadają.

Do Bożego Narodzenia pozostały dwa tygodnie. Fielding będzie tego dnia na dyżurze. Nie zliczę już, ile świąt to ja spędziłam z pagerem.

– I jeszcze ludzie giną w pożarach.

– Po prostu jeżeli w tym okresie stanie się coś strasznego, bardziej to odczuwamy – odparłam, gdy otwierały się drzwi windy. – To dlatego.

– Może tak.

– Nie wiem, ale pamiętasz ten pożar od elektryczności...

Drzwi się zamknęły i pojechałam na drugie piętro, które było tak zaprojektowane, żeby mogli je zwiedzać politycy i wszyscy zainteresowani naszą pracą. Laboratoria znajdowały się za olbrzymimi przezroczystymi drzwiami i z początku naukowcom przywykłym do pracy w zaciszu grubych murów wydawało się to dziwne. Teraz nikt już się tym nie przejmował. Badano naciski spustów, plamy krwi, odciski palców, nie zwracając uwagi na to, kto znajdował się po drugiej stronie szklanej ściany. Tym razem byłam to ja z moim wózkiem.

Świat Neilsa Vandera stanowiły olbrzymie blaty z najbardziej niezwykłymi przyrządami technicznymi i urządzeniami przyszykowanymi do wystąpienia przed przysięgłymi. Pod jedną ścianą stały drewniane szafki ze szklanymi drzwiami i tam Vander umieścił na sznurach od prania przypięte klamerkami przedmioty poddane działaniu oparów kleju Super Glue, wydzielających się z gorącej płyty. W przeszłości rzadko udawało się zdejmować odciski palców z nieporowatych przedmiotów, jak torebki plastikowe, taśmy izolacyjne czy skóra. Później zupełnie przypadkowo odkryto, że opary Super Glue przywierają do linii papilarnych jak tradycyjny proszek i wychodzi biały, błyszczący odcisk. W kącie znajdowała się druga komora klejowa, Cyvac II, w której mieściły się

większe przedmioty, na przykład pistolet czy karabin, a nawet zderzak samochodowy, a teoretycznie nawet całe ciało.

Komory wilgotnościowe ukazywały odciski z materiałów porowatych, jak papier czy drewno, potraktowanych ninhydryną, chociaż Vander czasem uciekał się do szybkich metod, używając domowego żelazka z parą i raz czy dwa przypalił dowód, tak w każdym razie słyszałam. Dookoła leżały lampy Nedermana wyposażone w urządzenia do odsysania oparów i produktów spalania z torebek po lekach.

W pozostałych pomieszczeniach królestwa Vandera mieścił się automatyczny system identyfikacji odcisków palców i ciemnie do cyfrowego audio- i videopowiększania. Doktor nadzorował również laboratorium fotograficzne, gdzie codziennie wywoływano około stu pięćdziesięciu rolek filmów. Przez jakiś czas nie mogłam zlokalizować Neilsa, ale znalazłam go w laboratorium odcisków, w którym stały stopy pudełek od pizzy, gdyż przemyślni policjanci wykorzystywali je do przechowywania gipsowych odlewów śladów opon i butów, a o ścianę opierały się drzwi, które ktoś próbował otworzyć kopniakiem.

Vander siedział przed komputerem, porównując odciski śladów obuwia na ekranie. Zostawiłam swój wózek za drzwiami.

– Miło, że to robisz – powiedziałam.

Jego jasnoniebieskie oczy były zawsze trochę nieobecne i jak zwykle fartuch miał poplamiony na fioletowo, a przez kieszeń przebijała plama od mazaka.

– Ten jest naprawdę dobry – powiedział, gdy wstał i popukał palcem w ekran. – Facet kupuje nowe buty, a wiesz, jakie są śliskie, jeżeli mają podeszwy ze skóry? Więc bierze nóż i nacina je, żeby nie były takie gładkie, bo się żeni i nie chce się potknąć, przechodząc przez kościół. – Wyszłam za nim z laboratorium i wcale nie byłam w nastroju do anegdot. –

Jego mieszkanie okradziono. Buty, ubrania, jakieś inne rzeczy. Dwa dni później zostaje zgwałcona jakaś kobieta w sąsiedztwie. Policja znajduje na miejscu przestępstwa te dziwne ślady butów. Prawdę mówiąc, w okolicy było sporo włamań. – Weszliśmy do laboratorium z niezależnym źródłem zasilania. – Okazało się, że to był jakiś dzieciak. Trzynaście lat. – Vander kręcił głowę, zapalając światła. – Nic już nie wiem o dzieciach. Kiedy ja miałem trzynaście lat, najgorsza rzecz, jaką zrobiłem, to zastrzeliłem ptaszka. – Zaczął ustawiać luma-lite na statywie.

– Według moich kryteriów to bardzo złe.

Rozłożyłam ubrania na białym papierze pod kloszem chemicznym, Vander włączył luma-lite i zaczęły szumieć wentylatory. Po minucie uruchomił główną lampę, przekręcając pokrętkę na pełną moc. Położył obok mnie okulary ochronne, a na soczewki nałożył niebieski filtr optyczny 450 nanometrów. Włożyliśmy okulary i wyłączyliśmy światła. Żarówka luma-lite rzucała na podłogę błękitny blask. Cień Vandera poruszał się tak, jak on sam, a pobliskie słoiki z farbami rozświectliły się błyszczącą żółcią, ostrą zielenią, wściekłą czerwienią.

– Wiesz, w wydziałach policji mają teraz takich idiotów, którzy biorą własne lampy i sami badają miejsce zdarzenia – doszedł mnie z ciemności głos Vandera. – Więc posypują czerwienią i kładą odcisk na czarnym tle, a ja muszę jeszcze raz to fotografować przy włączonym luma-lite i zmieniać z powrotem cały ten cholerny odcisk na białe.

Zaczął od białego plastikowego kosza na śmieci, znalezionego w kontenerze i szybko został wynagrodzony słabymi śladami odcisków palców. Posypał je redwopem, którego elektryzujący czerwony pył unosił się w powietrzu.

– Dobry początek – powiedziałam. – Tak trzymać, Neils.

Przesunął statyw bliżej czarnych dżinsów zmarłego i wewnętrzna kieszeń zaczęła błyszczeć mętym różowym kolorem. Poruszyłam materiał palcem w rękawiczce i natrafiłam na smugi fosforyzującego pomarańczowego odcienia.

– Chyba jeszcze nigdy przedtem nie miałem takiej czerwieni – zastanawiał się Vander.

Spędziliśmy godzinę, oświetlając wszystkie części garderoby, łącznie z butami i paskiem, ale nic innego nie fosforyzowało.

– Tu są zdecydowanie dwie różne rzeczy – oświadczył, gdy zapaliliśmy światło. – Dwa różne, naturalnie fosforyzujące elementy. Nie wchodzi w grę żadne farby, poza barwnikiem, którego użyłem do kubła.

Podniosłam słuchawkę i zadzwoniłam do prosektorium. Odebrał Fielding.

– Potrzebne mi wszystko, co było w kieszeniach naszego niezidentyfikowanego mężczyzny. Powinno się suszyć na tacy.

– Tu są jakieś zagraniczne pieniądze, obcinacz do cygar i zapalniczka.

– Tak.

Zgasiliśmy znów światło i kończyliśmy przeglądanie wewnętrznej strony ubrań. Znaleźliśmy więcej dziwnych, jasnych włosów.

– Czy pochodzą z jego głowy? – spytał Vander, gdy w świetle zimnego, błękitnego światła zbierałam pęsetką włoski i chowałam do koperty.

– Włosy na głowie ma ciemne i ostre – odpowiedziałam. – A więc nie, te nie są jego.

– Wyglądają na kocie. Są takie długowłose koty, których nie pozwalam już trzymać w domu. Angorskie? Himalajskie?

– Bardzo rzadkie. Niewiele osób je ma.

– Moja żona uwielbia koty – ciągnął Vander. – Miała kiedyś takiego, co się nazywał Kremówka. To cholerne bydlę zawsze szukało moich rzeczy i

kładło się na nich, a jak chciałem się ubrać, to ciuchy wyglądały tak, jak te.

– Może to i kocia sierść – zastanawiałam się głośno.

– Jak na psa, za delikatna, prawda?

– Nie, jeżeli byłby to jakiś skye terier. Długa, prosta, jedwabista sierść.

– Jasnożółta?

– Może być brązowa – odpowiedziałam. – Albo sierść zimowa? Nie wiem.

– Może facet był hodowcą lub pracował u kogoś takiego – zasugerował Vander. – Czy nie ma też długowłosych królików?

– Puk, puk – odezwał się Fielding, otwierając drzwi.

Wszedł, trzymając w ręku tacę, więc zapaliliśmy światło.

– Są króliki angory – odpowiedziałam – te, z których sierści robi się swetry.

– Wyglądasz, jakbyś znowu nad sobą pracował – powiedział Vander do Fieldinga.

– A co, przedtem tak nie wyglądałem? – spytał ten.

Vander wyglądał na zdziwionego, jakby nigdy nie zauważył, że Fielding był fanatykiem siłowni.

– Znaleźliśmy jakieś pozostałości w jednej z kieszeni, tej, w której były pieniądze – powiedziałam do Fieldinga.

Zdjął ręcznik z tacy.

– Rozpoznaję funty i marki niemieckie – mówił – ale nie wiem, skąd są te dwa miedziaki.

– To chyba franki belgijskie – powiedziałam.

– I nie mam pojęcia, co to za banknoty.

Wszystkie były powieszony do wyschnięcia.

– I co tu jeszcze mamy? A co to jest? Dirhem? Arabskie pieniądze?

– Poproszę Rose, żeby sprawdziła.

– Dlaczego ktoś miałby nosić przy sobie cztery rodzaje różnych pieniędzy? – dziwił się Fielding.

– Jeżeli wyjeżdżał do różnych krajów w krótkim czasie – zgadywałam. – Tylko to mi przychodzi do głowy. Przeprowadźmy teraz ich analizę w świetle luma-lite.

Włożyliśmy okulary ochronne i Vander wyłączył lampy. Na kilku banknotach znów pojawiły się te same kolory: mętny różowy i ostry pomarańczowy. Zbadaliśmy oryginały po obu stronach, znajdując plamki i smugi tu i ówdzie, i nagle dostrzegliśmy słaby odcisk palca. Był ledwo widoczny w lewym górnym rogu banknotu o nominale stu drachm.

– Widocznie zasłużyliśmy sobie na takie szczęście – powiedział Fielding.

– Ale numer – zarechotał Vander. – Zaraz się do niego przymierzę. Poproszę jakiegoś kumpla w Secret Service, żeby je sprawdził w MORPHO, PRINTRAK, NECAVIS, WIN, we wszystkim, we wszystkich bazach danych, jakie mają, czterdzieści pięć milionów odcisków.

Nic bardziej nie radowało Vandera, jak znalezienie jakiejś pętelki, spiralki, którą mógłby puścić w cyberprzestrzeń i ustalić tożsamość przestępcy.

– Czy krajowa baza danych FBI już działa? – spytał Fielding.

– Secret Service już dawno ma wszystkie te same odciski, co FBI, ale oczywiście oni muszą wyważać otwarte drzwi. Wydają tyle pieniędzy, żeby stworzyć własną bazę danych, a całość jest niekompatybilna z innymi programami. Muszę się dzisiaj śpieszyć, idę na proszoną kolację.

Skupił światło lampy na zniszczonej, ciemnej skórze rozpiętej na deseczce i natychmiast dwie plamki zamigotały na jasnożółto. Były nie większe niż łepiek od gwoździa, symetryczne, ułożone równolegle i nie dawały się zetrzeć.

– Jestem pewna, że to tatuaż – powiedziałam.

– Tak – zgodził się Vander. – Nie wiem, co by to jeszcze mogło być. Nic innego nie daje takiego efektu.

W zimnym, niebieskim świetle ciało zmarłego wydawało się ciemne i ubrudzone.

– Ale widzisz, jakie ciemne jest tutaj? – Palec Vandera, w rękawiczce, zakreślił miejsce wielkości mojej dłoni.

– Co to, do cholery, może być? – zastanawiał się Fielding.

– Nie wiem, dlaczego jest takie ciemne – głowił się Vander.

– Może tatuaż jest czarny albo brązowy – rzuciłam.

– No, zrobię Philowi z tego zabawę – powiedział Vander. – Która to godzina? Czemu Edith musi akurat dzisiaj urządzać kolację? Muszę już iść, zostawiam was. Cholera, nie znoszę, kiedy Edith znów musi coś „uczcić”.

– Daj spokój, ważniaku – uśmiechnął się Fielding. – Sam wiesz, że jesteś duszą towarzystwa.

– Już nie mogę pić. Czuję to.

– Trzeba to czuć, Neils – powiedziałam.

Phil Lapointe nie był w zbyt dobrym nastroju, kiedy weszłam do jego laboratorium powiększania obrazów, które wyglądało bardziej na studio produkcyjne niż na miejsce, gdzie naukowcy posługiwali się pikselami i kontrastami różnych odcieni światła i ciemności, aby ujrzeć oblicze zła. Lapointe, jeden z pierwszych absolwentów naszego instytutu, był wykształcony i oddany pracy, ale nie nauczył się jeszcze zachowywać optymizmu, nawet jeśli sprawa absolutnie nie posuwała się naprzód.

– Cholera – zaklął, przeczesując palcami gęste, rude włosy i zerkając na dwudziestoczterocalowy ekran.

Niecierpliwie stukał w klawisze, dodając jeszcze inny odcień szarości do zdjęcia z zatrzymanej klatki filmu ze sklepu osiedlowego. Postać w

ciemnych okularach i w siatce na włosach nie była wyraźniejsza, natomiast pracownik sklepu rzucał się w oczy, gdyż krew wypływała mu z głowy w postaci delikatnej mgiełki.

– Wykręcą to, już prawie mam i znów znika – skarżył się Phil, wzdychając. – Widzę to cholerstwo już we śnie.

– Nie do wiary – powiedziałam, patrząc w ekran. – Zobacz, jaki jest rozluźniony. Jakby mu to przypadkiem przyszło do głowy. „A co tam, mogę spróbować”.

– Tak, tyle zrozumiałem – Lapointe się wyprostował. – Po prostu zlikwidował faceta bez żadnego powodu. Ale tego już nie rozumiem.

– Jeszcze parę lat i zrozumiesz – zapewniłam go.

– Nie chcę się stać cyniczny, jeśli to ma pani na myśli.

– Nie chodzi o to, żeby być cynicznym, tylko o uświadomienie sobie, że nie musi być żadnych powodów.

Wpatrywał się w ekran komputera, w ostatni obraz, na którym Pyle Gant jeszcze żył. Przeprowadzałam jego sekcję.

– Zobaczmy, co tu mamy – powiedział Lapointe, zdejmując ręcznik z tacy.

Gant miał dwadzieścia trzy lata, dwumiesięczne dziecko i pracował w nadgodzinach, żeby uskładać pieniądze na urodzinowy naszyjnik dla żony.

– To musi być tego Człowieka z kontenera. Myśli pani o tatuażu? Gant przed zastrzeleniem przestał kontrolować pęcherz.

– Pani doktor?

Wiedziałam o tym, bo tył jego dżinsów i siedzenie krzesła przy kasie były mokre od moczu. Kiedy wyjrzałam przez okno, dwaj policjanci usiłowali zatrzymać histeryzującą żonę zabitego na parkingu.

– Pani doktor!

Krzyczała i uderzała ich rękami. Nosiła jeszcze na zębach aparat ortodontyczny.

– Trzydzieści jeden dolarów i dwanaście centów – mruknęłam.

Lapointe zapisał plik i zamknął.

– Co to było? – zapytał.

– Tyle miał w kasie – odpowiedziałam.

Lapointe okręcił się na krześle, otworzył szufladę i wygrzebał z niej rękawice. Zadzwoił telefon i musiał go odebrać.

– Chwileczkę. – Podał mi słuchawkę. – To do pani. Była to Rose.

– Złapałam kogoś z działu walut obcych w Crestar – powiedziała. – Pieniądze, o jakie pani pyta, są marokańskie. Według dzisiejszych notowań jest dziewięć i trzy dziesiąte dirhema za dolara, więc dwa tysiące dirhemów to będzie około dwustu piętnastu dolarów.

– Dziękuję, Rose...

– I może jeszcze panią zainteresuje – ciągnęła – że zabroniony jest wywóz i przywóz do kraju marokańskich pieniędzy.

– Mam wrażenie, że ten facet zajmował się mnóstwem innych zabronionych rzeczy – powiedziałam. – Czy możesz jeszcze raz spróbować połączyć się z agentem Francisco?

– Oczywiście.

Moja wyrozumiałość dla przepisów ATF szybko zmieniła się w obawę, że Lucy mnie odrzuciła. Tak bardzo chciałam ją zobaczyć. Byłam skłonna zrobić wszystko, żebym tylko mogła z nią porozmawiać. Odłożyłam słuchawkę i zdjęłam z tacy tablicę korkową, a Lapointe spojrzał na nią w silnym świetle.

– Nie jestem zbyt optymistą w tym przypadku – powiedział.

– Tylko żebyś również tego nie widział przez sen. Ja też nie mam wielkiej nadziei, ale spróbujmy.

To, co zostało z naskórka, miało kolor zielonoczarny, jak bagno, a ciało pod spodem było coraz ciemniejsze i suchsze, niczym wyprawiona skóra. Umieściliśmy deseczkę pod kamerą o dużej rozdzielczości, połączonej z ekranem wideo.

– Nie – powiedział Lapointe. – Za duże odbicie.

Próbował oświetlenia pod kątem, powrócił jednak do zwykłego. Nakładał różne filtry na obiektyw kamery. Niebieski kolor nie był dobry, żółty też nie, ale gdy spróbował czerwonego, odblaskowe plamki znów nam się pokazały. Były idealnie okrągłe. Pomyślałam o księżycu w pełni i o wilkołaku ze złymi żółtymi oczyma.

– Nie uda mi się już nic lepszego uzyskać na żywo. Biorę to.

Załadował obraz na twardy dysk i zaczął go obrabiać, a dzięki doskonałemu oprogramowaniu udało nam się zobaczyć około dwustu odcieni szarości, których nie odróżnilibyśmy gołym okiem.

Lapointe używał klawiatury i myszy, wchodząc w różne okna, stosował kontrast, rozjaśnianie, powiększanie, zmniejszanie, dopasowanie. Wyeliminował tło, czyli śmieci, jak je nazywał i zaczęliśmy dostrzegać pory mieszków włosowych i punkty pozostawione przez igłę do tatuażu. Z mroku wyłoniły się czarne, faliste linie, które wyglądały jak futro lub pióra. Czarna linia, wyrastająca jak płatki stokrotki, zmieniła się w szpon.

– Co o tym myślisz? – spytałam.

– Myślę, że to najlepsze, co nam się uda osiągnąć – odrzekł niecierpliwie.

– Czy znamy jakiegoś eksperta od tatuaży?

– Może by pani zaczęła od naszego histologa? – zaproponował.

Rozdział 21

Znalazłam George'a Garę w jego laboratorium, gdzie właśnie wyciągał torebkę z drugim śniadaniem z lodówki, na której naklejono napis „Nie wkładać jedzenia”. Wewnątrz lodówki mogły być plamy z azotanu srebra i mucykarminu w połączeniu z odczynnikami Schiffa, a żadna z tych substancji nie powinna mieć styczności z żywnością.

– To nie najlepszy pomysł – zauważyłam.

– Przepraszam – wyjąkał, położył torebkę na blacie i zatrzasnął drzwi lodówki.

– Mamy lodówkę w pokoju rekreacyjnym, George – oświadczyłam. – Serdecznie zapraszam do korzystania.

Nie odpowiedział, a ja dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, że jest chorobliwie nieśmiały i z tego zapewne powodu nie chodzi do pokoju rekreacyjnego. Bardzo mu współczułam. Wyobrażałam sobie, co przeżywał, kiedy już dorastał, a nie mógł wypowiedzieć ani jednego zdania, nie jękając się. Może to wyjaśniało fakt, że jego ciało coraz gęściej pokrywały tatuaże. Może dzięki nim czuł się inny niż wszyscy albo bardziej męski? Wysunęłam sobie krzesło i usiadłam.

– George, czy mogę zapytać o twoje tatuaże? – spytałam. Zacerwienił się gwałtownie. – Fascynują mnie i potrzebuję pomocy w pewnej sprawie.

– Oczywiście – bąknął niepewnie.

– Czy masz kogoś, do kogo z tym chodzisz? Prawdziwego eksperta, z dużym doświadczeniem w tatuażu?

– Tak, proszę pani. Nie poszedłbym do byle kogo.

– I robi to gdzieś tu, w mieście? Szukam miejsca, w którym mogłabym zadać parę pytań, nie wpadając na jakieś podejrzane typki. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Pit – odrzekł natychmiast. – Jak w „pitbull”, ale to prawdziwe nazwisko. John Pit. Jest naprawdę dobry. Czy chce pani, żebym do niego zadzwonił? – spytał, jękając się okropnie.

– Byłabym bardzo wdzięczna – powiedziałam.

Gara wyciągnął z kieszeni spodni notesik i odszukał numer. Kiedy już się połączył, wyjaśnił Pitowi, kim jestem, a ten okazał się chętny do rozmowy.

– Proszę. – Gara wręczył mi słuchawkę. – Resztę pani sama wyjaśni. Wymagało to nieco wysiłku. Pit był w domu i właśnie się obudził.

– Więc myśli pan, że może się nam udać? – spytałam.

– Widziałem praktycznie wszystkie flasze, jakie tu są używane – zapewnił mnie.

– Przepraszam, ale nie wiem, co to znaczy.

– Flasz to taki szablon, tak to chyba można nazwać. No wie pani, wzór, jaki ludzie wybierają. U mnie każdy skrawek ściany jest pokryty flaszami. Dlatego myślę, że może lepiej, aby pani przyszła tutaj, niż żebym to ja chodził do pani biura. Może zobaczymy coś, co da nam do myślenia. Mam zamknięte w środy i czwartki, a w weekendy, kiedy wypłacają pensje, jestem zarżnięty robotą. Dotąd dochodzę do siebie. Ale otworzę dla pani, bo to wydaje się ważne. Przywozi pani tego, który ma ten tatuaż?

Wciąż niedokładnie rozumiał.

– Nie – poinformowałam. – Przywożę tatuaż, lecz nie właściciela tego tatuażu.

– Chwileczkę – zastanawiał się. – A, już rozumiem. Wycięła go pani z tego nieżyjącego faceta?

– Zniesie pan to?

– O, do licha, pewno. Wszystko zniosę.

– O której?

– No to może najszybciej, jak się da.

Wyłączyłam się, a kiedy się odwróciłam, przeraziłam się na widok Ruffina, który mnie obserwował. Odniosłam wrażenie, że był tu już jakiś czas, przysłuchując się mojej rozmowie, ponieważ tłumacząc i notując, byłam odwrócona tyłem. Miał zmęczoną twarz i czerwone oczy, jakby przez pół nocy nie spał, tylko pił.

– Źle wyglądasz, Chuck – zauważyłam bez większego współczucia.

– Właśnie przyszedłem zapytać, czy mógłbym iść do domu – odpowiedział. – Czuję, że coś złapałem.

– To przykre. Krąży teraz nowa, bardzo zaraźliwa przypadłość, przenoszona prawdopodobnie przez Internet. Nazywa się „wirus osiemnasta trzydzieści” – wyjaśniłam. – Ludzie pędzą po pracy do domu i podłączają się do domowych komputerów. Jeśli mają komputer. Twarz Ruffina zrobiła się biała.

– To zabawne – odezwał się Gara. – Tylko że nie rozumiem, co znaczy ta osiemnasta trzydzieści.

– Godzina, o której połowa świata włącza się do Internetu – odrzekłam. – Oczywiście, Chuck, możesz iść do domu. Odpocznij. Odprowadzę cię, bo musimy zatrzymać się w sali „rozkładających” i zabrać tatuaż.

Zdjęłam go z korkowej tablicy i umieściłam w formalinie.

– Mówią, że będzie naprawdę dziwaczna zima – zaczął mnie zagadywać Ruffin. – Słuchałem dziś rano radia, jadąc tutaj. Ma się znacznie ochłodzić koło Bożego Narodzenia, a potem w lutym znów będzie jak wiosną.

Otworzyłam automatyczne drzwi do sali „rozkładających”, gdzie specjalista od śladów, Larry Posner, ze studentem z instytutu zajmowali się ubraniem denata.

– Miło mi was widzieć, chłopaki – pozdrowiłam ich.

– Muszę przyznać, że znów nam pani wlepiła ambitne zadanie – odezwał się Posner, zeskrobując skalpelem brud z buta na białą kartkę papieru. – Zna pani Carlisle’a?

– Czy ten człowiek czegoś cię uczy? – Chciałam się dowiedzieć od studenta.

– Czasami – odrzekł.

– Jak leci, Chuck? – spytał Posner. – Nie wyglądasz za dobrze.

– Ledwo, ledwo – Ruffin dalej udawał chorego.

– Przykro, że tak wypadło z tym Wydziałem Policyjnym Richmondu – odezwał się Posner ze współczuciem.

Mój pomocnik był najwyraźniej wstrząśnięty.

– Słucham? – spytał.

Posner wyglądał na zakłopotanego, gdy odpowiadał.

– Słyszałem, że nie wyszło ci z akademią. Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś się nie zrażał. – Ruffin skupił wzrok na telefonie. – Większość ludzi tego nie wie – ciągnął Posner, pracując nad drugim butem. – Oblałem dwa razy testy z chemii na studia.

– Żartujesz – mruknął Ruffin.

– I teraz się tego dowiaduję! – Carlisle udał przerażenie i odrazę. – A mówiono mi, że tutaj będę miał najlepszych instruktorów na świecie. Oddajcie mi forszę.

– Coś pani pokażę, pani doktor – powiedział Posner, odsłaniając maskę ochronną.

Odłożył skalpel, zawinął kartkę papieru po jubilersku i podszedł do czarnych dżinsów, nad którymi pracował Carlisle. Były starannie rozłożone na okrytych prześcieradłem noszach. Talię wywrócono na drugą stronę, aż do bioder, i Carlisle ostrożnie zbierał włoski pęsetą o zaokrąglonych uchwytach.

– To najgłupsza rzecz – zwrócił się do mnie Posner, wskazując palcem, lecz nie dotykając miejsca, które jego praktykant wywinął jeszcze dalej, odkrywając jeszcze więcej włosów. – Zebraliśmy już dziesiątki – opowiadał dalej. – Wywracaliśmy te dżinsy coraz bardziej, w kroku znaleźliśmy, jak należało się spodziewać, włosy łonowe, a później znowu te blond. Zupełnie bez sensu.

– Zupełnie – zgodziłam się.

– Może jakieś zwierzę, na przykład kot perski? – zastanawiał się Carlisle.

Ruffin otworzył szafkę i wyjął z niej plastikowy pojemnik z formaliną, w której znajdował się tatuaż.

– Jakby to zwierzę spało na spodniach, kiedy były wywrócone na lewą stronę – ciągnął Carlisle. – Wiecie, wiele razy, kiedy nie chce mi się przełożyć dżinsów, zostawiam je w końcu na lewej stronie i rzucam na fotel. A mój pies uwielbia spać na moich rzeczach.

– Nie sądzę, żeby kiedyś przyszło ci do głowy powiesić rzeczy w szafie albo włożyć do szuflady – zauważył Posner.

– Czy to mam zadane do domu?

– Znajdę jakąś torebkę, żeby to schować – zaproponował Ruffin, podnosząc pojemnik. – Na wszelki wypadek, jakby przeciekał albo co.

– Dobry pomysł – pochwaliłam i zapytałam Posnera: – Jak szybko możesz to wszystko przejrzeć?

– Pani doktor, zadam pytanie na wagę życia. Jak szybko pani tego potrzebuje?

Westchnęłam tylko.

– Dobra, dobra.

– Interpol stara się wyśledzić, kim był ten facet. Jestem pod taką samą presją jak wszyscy, Larry – oświadczyłam.

– Nie musi się pani tłumaczyć. Wiem, że kiedy pani mówi „skacz”, istnieje ważny powód. Chyba się wygłupiłem – dodał. – Co z tym chłopakiem? Zachowywał się, jakby nie wiedział, że go nie przyjęli do Akademii Policyjnej. Przecież wiedzą o tym wszyscy w całym budynku.

– Po pierwsze, ja nie wiedziałam, że nie został przyjęty – odrzekłam. – A po drugie, nie rozumiem, dlaczego wiedzą o tym wszyscy w całym budynku.

Gdy to mówiłam, przypomniał mi się Marino. Powiedział, że załatwi Ruffina i może właśnie to zrobił, bo jakoś zdobył tę wiadomość i z radością ją rozgłaszał.

– A może to Bray mu się przysłużyła – zastanawiał się Posner.

Po chwili wrócił Ruffin z plastikową torebką w ręku. Opuściliśmy salę i poszliśmy do swoich szatni. Myślałam specjalnie powoli, żeby musiał na mnie czekać w holu i z każdą sekundą bardziej się denerwować. Kiedy w końcu się ukazałam, szliśmy razem w milczeniu, a on zatrzymał się dwa razy, żeby nerwowo łyknąć wody.

– Mam nadzieję, że nie dostaję gorączki – powiedział.

Zatrzymałam się i popatrzyłam na Chucka, a on odruchowo się uchylił, gdy przyłożyłam mu wierzch dłoni do policzka.

– Myślę, że nic ci nie jest.

Towarzyszyłam mu całą drogę przez korytarz i na parking i teraz był już wyraźnie przestraszony.

– Czy coś się stało? – zapytał w końcu przestraszony, gdy już odchrząknął i włożył okulary od słońca.

– A dlaczego pytasz? – odezwałam się niewinnie.

– Odprowadza mnie pani tutaj i w ogóle.

– Idę do swojego samochodu.

– Przepraszam, że powiedziałem pani to, co powiedziałem, o tych problemach tutaj, tym kąciku w Internecie i o wszystkim – wykrztusił w końcu. – Wiedziałem, że lepiej zatrzymać to dla siebie, bo będzie pani na mnie zła.

– Dlaczego uważasz, że jestem na ciebie zła? – spytałam, otwierając samochód.

Nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Otworzyłam bagażnik i umieściłam w nim plastikową torbę.

– Ma pani tu plamkę na lakierze. Pewnie od jakiegoś kamyka, ale zaczyna już rdzewieć...

– Chuck, chciałabym, żebyś posłuchał, co mam do powiedzenia – odezwałam się spokojnie. – Ja wiem.

– Co? Nie rozumiem, o czym pani mówi – zacinał się lekko.

– Rozumiesz doskonale. – Weszłam do samochodu i włączyłam silnik. – Siadaj do środka. Nie ma sensu, żebyś stał na zimnie, zwłaszcza że źle się czujesz.

Zawahał się i czułam jego strach, wyraźny jak woń, gdy przechodził na stronę pasażera.

– Szkoda, że nie udało ci się zdążyć do Buckhead's. Odbyłyśmy ciekawą rozmowę z zastępcą komendanta Bray – zaczęłam, gdy zatrzasnęła drzwiczki. – Otworzył usta z wrażenia. – To duża ulga, gdy tyle rzeczy w

końcu mi się wyjaśniło – ciągnęłam dalej. – E-mail, Internet, plotki o mojej pracy, przecieki.

Czekałam, co będzie miał do powiedzenia na ten temat i zaskoczył mnie, gdy nagle wybuchnął:

– To dlatego nagle nie zostałam przyjęta do akademii, tak? Pani widziała się z komendantem Bray wczoraj wieczorem, a dziś rano dostaję tę wiadomość. Pani na mnie naskarżyła, powiedziała, żeby mnie nie przyjmowali, a potem wszędzie to rozgłosiła, żeby mnie zawstydzić.

– Twoje nazwisko nie padło ani razu. A ja z całą pewnością niczego na twój temat nie rozpowiadałam.

– Bzdura. – Głos zadrżał mu tak, jakby miał się rozplakać. – Przez całe życie chciałem być gliną, a teraz pani to zniszczyła!

– Nie, Chuck, sam to zniszczyłeś.

– Niech pani zadzwoni do niej i coś jej powie. Pani może – błagał, jak rozżalone dziecko. – Proszę.

– Dlaczego wczoraj wieczorem miałeś się spotkać z Diane Bray?

– Bo mi kazała. Nie wiem, czego chciała. Posłała mi wiadomość i kazała być na parkingu przed Buckhead's o wpół do szóstej.

– A ty, jej zdaniem, się nie pojawiłeś. Może to ma jakiś związek z wiadomością, jaką dostałeś dziś rano, nie sądzisz?

– Może – wydusił.

– Jak się czujesz? Wciąż chory? Jeśli nie, ja muszę ruszać i myślę, że powinieneś jechać ze mną, żeby dokończyć tę rozmowę.

– Więc... ja...

– Więc co, Chuck?

– Ja też chcę dokończyć tę rozmowę – odparł.

– Zacznijmy od tego, skąd znasz zastępcę komendanta Bray. Dla mnie to niezwykle, że jesteś w zażyłych stosunkach z najważniejszą osobą w

wydziale policji.

– Niech pani sobie wyobrazi, jak się poczułem, kiedy to się zaczęło – odrzekł skromnie. – Widzi pani, detektyw Anderson zadzwoniła do mnie dwa miesiące temu, powiedziała, że jest nowa i chciałaby mnie popytać o urząd naczelnego koronera, jak działamy, więc czy mógłbym się z nią spotkać w River City Diner na obiedzie. Wtedy zaczęła się moja droga do piekła i wiem, że trzeba było panią zawiadomić o tym telefonie. Powinienem powiedzieć, co mam zamiar zrobić. Ale przez większość dnia pani miała wykłady i nie chciałem przeszkadzać, a doktor Fielding był w sądzie. Więc odpowiedziałem detektyw Anderson, że chętnie jej pomogę.

– Widać wyraźnie, że niczego się nie nauczyła.

– To była pułapka – powiedział – bo kiedy wszedłem do restauracji, nie wierzyłem własnym oczom. Siedziała przy stoliku z zastępcą komendanta Bray i oświadczyła, że ona też chce się wszystkiego dowiedzieć o tym, jak funkcjonujemy.

– Kto chciał?

– Pani Bray.

– Rozumiem. Cóż za niespodzianka – zauważyłam.

– Chyba mi to pochlebiało, ale byłem też bardzo zdenerwowany, bo nie rozumiałem, o co chodzi. A zaraz potem poleciała mi, żebym poszedł razem z nią i Rene Anderson do głównej komendy policji.

– Dlaczego mi wtedy nie powiedziałaś o tym wszystkim? – spytałam, gdy jechaliśmy w kierunku Piątej Ulicy, żeby skręcić na I-95 Południe.

– Nie wiem... – zamilkł.

– Chyba wiesz.

– Bałem się.

– Czy może mieć to coś wspólnego z twoim marzeniem, aby zostać oficerem policji?

– Bądźmy szczerzy; jakie mogłem mieć lepsze wejście? Diane Bray skądś wiedziała, że mnie to interesuje i kiedy weszliśmy do jej gabinetu, zamknęła drzwi i usadziła mnie naprzeciwko swego biurka.

– Czy detektyw Anderson tam była?

– Tylko pani Bray i ja. Powiedziała, że z moim doświadczeniem mógłbym myśleć o zostaniu technikiem pracującym na miejscu przestępstw. Poczułem się, jakbym wygrał na loterii.

Starałam się bardzo zachować bezpieczną odległość od betonowych barier i agresywnych kierowców, a Ruffin dalej odgrywał rolę niewinnego chłopczyka.

– Muszę przyznać, że żyłem potem jak we śnie, straciłem zainteresowanie pracą i bardzo za to przepraszam – tłumaczył. – Ale dopiero dwa tygodnie później, jak Bray przysłała mi e-maila...

– Skąd miała twój adres?

– Ehm, poprosiła o niego. Więc przysłała mi ten list, że bardzo prosi, żebym wpadł do niej do domu o piątej trzydzieści, bo chce ze mną omówić coś bardzo poufnego. Zapewniam panią, pani doktor, naprawdę nie chciałem tam iść. Czułem, że może wyniknąć z tego coś złego.

– Jak na przykład?

– Zastanawiałem się przez pół drogi, czy może się nagle na mnie rzuci, czy coś takiego.

– Tak? I co się stało?

– Kurczę, to naprawdę trudno powiedzieć.

– Powiedz.

– Poczęstowała mnie piwem i przysunęła swój fotel bardzo blisko kanapy, na której siedziałem. Zadawała mi różne pytania, jakby naprawdę się mną interesowała jako człowiekiem.

Załadowana ciężarówka zatrzymała się nagle przede mną i dodałam gazu, żeby ją wyminąć.

– Nie znoszę ich – powiedziałam.

– Ja też – oświadczył Chuck takim lizusowskim tonem, że zrobiło mi się niedobrze.

– I co? Co mówiłeś?

Zrobił głęboki oddech. Nagle bardzo zainteresowały go zbliżające się do nas ciężarówki i ludzie pracujący przy górkach asfaltu na poboczach. Pomyślałam, że ten odcinek I-95 jest w budowie chyba od czasów wojny secesyjnej.

– Nie była w mundurze, rozumie pani – ciągnął z nagłą szczerością. – Miała na sobie kostium, ale nie nosiła biustonosza ani nawet bluzki... To było widać.

– Czy próbowała cię uwieść, prowokowała cię czymś jeszcze oprócz ubrania – spytałam.

– Nie, ale chyba miała nadzieję, że ja to zrobię. Teraz wiem dlaczego. Ona by na to nie poszła, ale wykorzystałaby coś takiego przeciwko mnie. Jeszcze jeden sposób, żeby zdobyć nade mną władzę. Więc jak mi dała drugie piwo, przeszła do tego, o co jej chodziło. Powiedziała, że to ważne, żebym znał prawdę o pani.

– To znaczy?

– Że jest pani emocjonalnie niestabilna. Wszyscy wiedzą, że straciła pani kontrolę, dokładnie tak to określiła, i że pani zbankrutowała, bo jest pani kompulsywną konsumentką...

– Kompulsywną konsumentką?

– Wciąż pani coś kupuje, mówiła coś o pani domu i samochodzie...

– Skąd mogłaby wiedzieć cokolwiek o moim domu? – spytałam, zdając sobie sprawę z tego, że oprócz wielu innych spraw Ruffin wiedział o tych

obu.

– Nie wiem – odrzekł. – Ale chyba najgorsze było to, co powiedziała o pani pracy. Że pani spaprała kilka spraw i wszyscy detektywi, oprócz Marina, narzekają na panią. On panią osłania i dlatego w końcu będzie coś musiała z nim zrobić.

– I oczywiście zrobiła. – Staralam się nie okazywać żadnych emocji.

– Jezu, czy muszę mówić dalej? – zawołał. – Nie chcę powtarzać pani tych wszystkich rzeczy!

– Chuck, czy chciałbyś mieć szansę zacząć wszystko od nowa i naprawić część tych szkód, które wyrządziłeś? – przycisnęłam go.

– Boże, żebym tylko mógł – oświadczył, jakby naprawdę miał taki zamiar.

– Więc powiedz mi prawdę. Wyznaj mi wszystko. Wrócisz na właściwą drogę, żebyś mógł prowadzić szczęśliwe życie – zachęcałam.

Wiedziałam, że ten mały gnojek zwróci się przeciwko każdemu, jeśli tylko mu to przyniesie korzyść.

– Oświadczyła, że jednym z powodów, dla których ją tu zatrudniono, jest to, że główny komendant, burmistrz i rada miejska chcą się pani pozbyć, ale nie wiedzą jak – ciągnął Ruffin, jakby te słowa sprawiały mu ból. – Że nie mogą, bo pani nie jest zatrudniana przez miasto i właściwie tylko gubernator może panią zwolnić. Wyjaśniła mi, że to tak samo, jak kiedy się zatrudnia nowego burmistrza, bo ludzie chcą się pozbyć złego szefa policji. Była tak przekonująca, że mnie w to wciągnęła. A później, nie zapomnę tego nigdy, wstała ze swojego fotela, usiadła obok mnie i spojrzała mi w oczy. Powiedziała: „Chuck, twoja szefowa zrujnuje ci życie, rozumiesz? Zniszczy każdego wokół siebie, a zwłaszcza ciebie”. Zapytałem, dlaczego mnie, a ona wyjaśniła: „Bo jesteś dla niej niczym. Ludzie tacy jak ona mogą się zachowywać sympatycznie, ale w głębi duszy uważają, że są

bogami, i mają w pogardzie pachołków”. Spytała, czy wiem, co to pachołek, i wyjaśniła, że to służący. No, to wtedy się wściekłem.

– Ja myślę – odrzekłam. – Nigdy nie traktowałam ciebie ani nikogo innego jak służącego, Chuck.

– Wiem, wiem!

Wierzyłam w część jego historyjki. Większość faktów była jednak spreparowana tak, by służyć jego własnym celom.

– Więc zacząłem robić dla niej różne rzeczy. Najpierw drobne. Za każdym razem gdy postąpiłem źle, następna sprawa szła łatwiej, jakbym stawał się w środku coraz twardszy. Wmawiałem sobie, że wszystko, czego sobie życzy, jest uzasadnione i słuszne. Pewnie dzięki temu mogłem spać w nocy. Potem polecenia były coraz poważniejsze, jak ten e-mail, ale to teraz Anderson wydawała mi dyspozycje. Bray jest za śliska, żeby dać się złapać.

– Na przykład jakie polecenia? – spytałam.

– Upuszczenie pocisku do zlewu. To było wystarczająco złe.

– Zgadzam się – odrzekłam, powstrzymując wyrażenie pogardy dla niego.

– To był jeden z powodów, dla których uznałem, że musi mieć coś rzeczywiście ważnego, gdy przysłała mi tę wiadomość o spotkaniu wczoraj wieczorem w restauracji – ciągnął. – Oświadczyła, że nikomu ani słowa i mam jej nie odpowiadać, póki nie pojawi się jakiś prawdziwy problem. Tylko przyjechać. Kropka. Wtedy już się jej śmiertelnie bałem – wyjaśnił i w to akurat uwierzyłam. – Trzymała mnie w garści. Wpadłem po uszy i teraz mnie miała. Bałem się, co dalej każe mi zrobić.

– A co by to mogło być?

Zawahał się. Kolejna ciężarówka znowu wepchnęła się przede mnie i musiałam nagle zahamować. Buldożery przerzucały ziemię na pobocze i wszędzie unosił się pył.

– Schrzanić sprawę Człowieka z kontenera. Wiedziałem, że do tego dojdzie. Zamierzała kazać mi coś zepsuć, żeby pani miała wielkie kłopoty, żeby było już po pani. A jaka mogłaby być lepsza okazja niż sprawa związana z Interpolem i o takim znaczeniu.

– A czy zrobiłeś już coś, żeby ją zepsuć, Chuck? – spytałam.

– Nie, proszę pani.

– A czy zaszkoziłeś już w jakimś śledztwie?

– Poza tą kulą nie, proszę pani.

– Zdajesz sobie oczywiście sprawę z tego, że popełniasz przestępstwo, podmieńając czy niszcząc dowód? Zdajesz sobie sprawę z tego, że Bray pcha cię wprost do więzienia i prawdopodobnie tak to sobie wszystko ustawia, żeby cię tam wpakować, kiedy już mnie wykończy?

– Wierzę, że mi tego nie robi – odparł z przekonaniem.

Był dla niej nikim; pachółkiem, który nie miał nawet tyle rozsądku, żeby nie wpaść w pułapkę, gdy ją zobaczył, ponieważ przeszkadzało mu własne ego i ambicja.

– Jesteś tego bardzo pewien – zauważyłam. – Może rzeczywiście Diane Bray nie robi z ciebie kozła ofiarnego. Czy to ty kradłeś wszystko, co zginęło w biurze? – postanowiłam postawić sprawę jasno.

– Mam te rzeczy. Ona chciała, żebym... żebym robił wszystko, co się da, że niby pani nie radzi sobie z prowadzeniem biura. Są w pudle u mnie w domu. Chciałem je kiedyś podrzucić do urzędu, żeby ktoś to znalazł i wszyscy mogli zabrać swoją własność.

– Dlaczego pozwoliłeś, żeby miała nad tobą taką władzę? Taką, żebyś kłamał, kradł i świadomie ingerował w sprawę?

– Och, proszę, niech pani nie pozwoli mi aresztować i wsadzić do więzienia – powiedział spanikowanym głosem, ale nie zdobyłby za to

żadnej nagrody aktorskiej. – Mam żonę. Dziecko w drodze. Popełnię samobójstwo, przysięgam. Znam wiele sposobów.

– Nawet nie myśl o czymś takim – odparłam. – Nigdy więcej o tym nie mów.

– Będę. Jestem skończony i to wszystko moja wina. Niczyja inna.

– Nie jesteś skończony, póki sam się na to nie zdecydujesz.

– Teraz to już nie ma znaczenia – wymamrotał i zaczęłam się obawiać, że mówi poważnie.

Wciąż oblizywał wargi i jego słowa wydawały się lepkie, ale miał suche wargi.

– Mojej żony by to nie obeszło. A dziecko nie powinno rosnąć, mając ojca w więzieniu.

– Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy przysyłać swego ciała do mnie – powiedziałam ze złością. – Nie waż się znaleźć na którymś z moich stołów, gdy wejdę kiedyś do prosektorium. – Odwrócił się do mnie, zszokowany. – Dorośnij, Chuck – powiedziałam. – Nie rozwala się sobie łba, kiedy wszystko wokół nas pada, rozumiesz mnie? Czy wiesz, co to jest samobójstwo? – Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczyma. – To znaczy mieć ostatnie, pieprzone słowo. Ostatnie, wielkie „i co mi zrobisz”.

Rozdział 22

Pit Stop mieścił się tuż za Salonem Kosmetycznym Kate obok małego domku, na którym wisiała tabliczka reklamująca gabinet parapsychologa. Zaparkowałam przy czarnym pikapie oklejonym nalepkami, co dało mi pewne pojęcie o panu Picie.

Drzwi do jego studia nagle się otworzyły i powitał mnie mężczyzna, którego każdy widoczny skrawek ciała, łącznie z szyją i twarzą, pokryty był tatuażami. Na widok liczby jego kolczyków skurczyłam się w sobie. Był starszy, niż się spodziewałam, miał chyba koło pięćdziesiątki, długi siwy kucyk i brodę. Twarz wyglądała tak, jakby parę razy został pobity. Nosił skórzaną kamizelkę do t-shirtu. Portfel miał przymocowany łańcuchem do dżinsów.

– Pan na pewno jest Pit – powiedziałam, otwierając bagażnik, żeby wyjąć plastikową torebkę.

– Proszę wejść – odrzekł swobodnie, jakby nic na świecie się nie działo i nie było warte zmartwienia.

Wszedł przed Ruffinem i mną, i zawołał:

– Taxi, siad! – po czym nas zapewnił. – Proszę się jej nie bać. Jest łagodniejsza niż szampon dla dzieci.

Wiedziałam, że to, co zobaczę w jego studiu, nie spodoba mi się na pewno.

– Nie myślałem, że pani jeszcze kogoś przyprowadzi – skomentował Pit, a ja zauważyłam wystający srebrny kolczyk na jego języku. – Jak ci na imię?

– Chuck.

– To jeden z moich asystentów – wyjaśniłam. – Jeśli ma pan gdzieś miejsce, żeby mógł usiąść, to zaczeka.

Taxi, pitbullterierka, była brązowo-czarnym kwadratowym blokiem mięśni na czterech łapach.

– Jasne – Pit wskazał na kąt pokoju, w którym znajdowały się telewizor i miejsca do siedzenia. – Mamy tu poczekalnię dla klientów. Chuck, rozgość się i powiedz, czy potrzebujesz drobne do automatu z coca-colą.

– Dzięki – odpowiedział nieco przygaszony.

Nie podobało mi się spojrzenie Taxi. Nigdy w życiu nie zaufałam pitbullterierowi, choćby właściciel zapewniał, że jest nie wiem jak łagodny. Według mnie skrzyżowanie buldoga i teriera stworzył doktor Frankenstein hodowców, a widziałam w życiu już dosyć rozszarpanych ludzi, zwłaszcza dzieci.

– Dobra, Taxi, drapiemy po brzuszku.

Suka przekręciła się na plecy, podniosła łapy w górę, a jej pan nachylił się i zaczął ją drapać po brzuchu.

– Jak państwo widzą – spojrzał na Chucka i na mnie – te psy nie są złe, jeśli właściciele nie chcą, żeby takie były. Są jak duże dzidziusie. Prawda, Taxi? Nazwałem ją Taxi, bo rok temu przyjechał tu jakiś taksówkarz i chciał tatuaż. Powiedział, że przehandluje szczeniaka pitbullteriera za wytatuowanie Ponurego Żniwiarza z podpisanym pod nim imieniem byłej żony. I tak zrobiłem, prawda, maleńka? To taki dowcip, że ona jest pit i ja też. Ale nie jesteśmy spokrewnieni.

Studio Pita było światem, jakiego nie znałam i o jakim nie miałam pojęcia, chociaż w swojej karierze bywałam w różnych dziwnych miejscach. Całe ściany pokrywały wzory, każdy szablon osobno. Tysiące Indian, skrzydlate konie, smoki, ryby, żaby i symbole kultowe, które mi nic nie mówiły. Wszędzie wisiały ulubione hasła Pita: „Nie ufaj nikomu” i „Byłem tam, pieprzyłem tam”. Plastikowe czaszki wykrzywiały się z półek i stołów, na których umieszczono magazyny tatuażystów, żeby odważni klienci, czekający na nakłucia, mogli sobie poprzeglądać literaturę przedmiotu.

Ciekawe, że to, co jeszcze godzinę temu mogłoby mi się wydać odpychające, nabrało logiki usprawiedliwionej przekonaniem. Ludzie tacy jak Pit i prawdopodobnie jego klienci byli poza normami społecznymi w tym sensie, że odrzucali wszystko, co odbierało człowiekowi prawo do bycia, kim i czym chce. Ten umarły człowiek, którego skrawek ciała przyniosłam w słoiku, wydawał się tu zupełnie nie na miejscu. W kimś, kto nosi ubrania od Armaniego i buty z krokodylej skóry, nie znalazłoby się nic buntowniczego ani kontrkulturowego.

– Jak pan w to wszedł? – spytałam właściciela salonu.

Chuck zaczął oglądać wzory, jakby zwiedzał muzeum. Położyłam torebkę na ladzie obok kasy.

– Graffiti – wyjaśnił Pit. – Dużo z tego jest w moim stylu, trochę jak u Grime’a z Primal Urge w San Francisco, chociaż nie mówię, że jestem tak dobry jak on. Ale jeśli połączyć jasne obrazy typu graffiti ze starą szkołą wyraźniejszych linii, to będzie mój styl.

Stuknął palcem w oprawioną w ramki fotografię nagiej kobiety, uśmiechającej się chytrze, z prowokująco skrzyżowanymi na piersiach rękami. Na brzuchu miała latarnię morską na tle zachodu słońca.

– Na przykład ta dama tutaj – powiedział. – Przychodzi z chłopakiem i mówi, że dostaje tatuaż w prezencie na urodziny. Zaczyna od maleńkiego motylka na biodrze, śmiertelnie przerażona. A potem przychodzi co tydzień po nowy.

– Dlaczego? – spytałam.

– To uzależnia.

– Większość ludzi ma więcej niż jeden?

– Ci, którzy mają tylko jeden, chcą go gdzieś schować, zwykle tak, żeby był niewidoczny. Jak serduszko na pośladku albo na piersi. Inaczej mówiąc, ten jedyny tatuaż ma specjalne znaczenie. Chyba że ktoś dał go sobie zrobić po pijaku, co się też zdarza, ale nie w moim zakładzie. Nie tknę nikogo, kto załatuje alkoholem.

– Gdyby ktoś miał tylko jeden tatuaż, o ile jestem w stanie to stwierdzić, na plecach, to czy uznałby go pan za ważny? Może znaczyć coś więcej niż wygłup lub efekt upojenia alkoholowego? – spytałam.

– Uważałbym, że tak. Plecy widać, chyba że ktoś nigdy nie zdejmuje koszuli. Tak, myślę, że to mogło coś oznaczać. – Popatrzył na torbę ustawioną na blacie. – Więc ten tatuaż pochodzi z pleców faceta?

– Dwie okrągłe, żółte plamki, o średnicy mniej więcej łebka od gwoźdźca.

Pit stał w milczeniu, z twarzą wykrzywioną jak w wielkim bólu.

– Czy mają źrenice, tak jak oczy? – spytał.

– Nie – odpowiedziałam, zerkając, czy Chuck jest w zasięgu słuchu. Siedział na kanapie, przeglądając magazyn.

– Kurczę – zaklął mój ekspert – to dopiero trudne. Nie ma źrenic. Nie mogę sobie przypomnieć niczego bez źrenic, jeśli ma to być jakieś zwierzę czy ptak. Wydaje mi się, że nie jest to gotowy rysunek, tylko specjalne zamówienie.

Rozłożył ręce, ukazując całą symfonię najróżniejszych wzorów.

– To wszystko gotowe szablony – powiedział – w odróżnieniu od tatuaży będących oryginalnym dziełem artysty, takiego jak Grime. Jak mówię, patrząc na tatuaż, można rozpoznać konkretny styl. Tak różny, jak van Gogh i Picasso. Ja na przykład potrafię odróżnić Jacka Rudy’ego czy Tina Tina wszędzie, to najpiękniejsza szara robota, jaką można zobaczyć.

Poprowadził mnie przez salon, który wyglądał jak typowy gabinet lekarski. Wyposażony był w autoklaw, urządzenie czyszczące ultradźwiękami, mydło chirurgiczne, opatrunki, maść z witaminami A+D, szpatułki laryngologiczne i paczki igieł jednorazowych w dużych szklanych słoikach. Właściwe urządzenie do tatuażu wyglądało podobnie jak sprzęt do elektrolizy. Stał tam również wózek z buteleczkami farb w jaskrawych kolorach i przykrywki, żeby je wymieszać. Na samym środku znajdował się fotel ginekologiczny. Przypuszczam, że dzięki jego strzemionom łatwiej było pracować nad nogami czy innymi częściami ciała, o których wolałam nie myśleć.

Pit rozłożył na blacie ręcznik i włożyliśmy rękawiczki. Włączył i przysunął lampę chirurgiczną, a ja odkręciłam słoik i natychmiast owionął mnie zapach formaliny. Kawałek skóry, który wyjęłam, był jak z gumy, z tkanką zachowaną na stałe. Pit wziął go ode mnie i uniósł pod światło. Obracał rysunek na różne strony i przyglądał się mu przez lupę.

– No tak – powiedział. – Widzę te kropki. Taa, są pazury, czepiające się gałęzi. Jeżeli się w wyobraźni oddali ten obrazek od tła, widać pióra na ogonie.

– Ptak?

– Jasne, że ptak – odpowiedział. – Może sowa. Wie pani, najpierw na człowieka wyskakują te oczy. Myślę, że kiedyś były większe. Poznać to po takich cieniach dookoła. O, tutaj. Widzi pani?

– Nie.

– Bardzo słabe. Oczy mają ciemne otoczki, nierówne i niezbyt wprawnie narysowane. Ktoś wyraźnie starał się je zmniejszyć. Poza krawędzią ptaka rozchodzą się takie paseczki. Tego nie zauważy ktoś, kto nie miał nigdy do czynienia z tatuażem, bo jest strasznie ciemne, w złym stanie. Ale jeśli się bardzo dokładnie przyjrzeć, widać, że wokół oczu, czy jak je nazwiemy, znajdują się ciemniejsze i grubsze obwódki. Żółte kropki są nieudolną próbą zamienienia ich na oczy sowy.

Zaczynałam widzieć paseczki, pióra w ciemnym odcieniu, jak je opisał, i ciemne obwódki wokół żółtych oczu, jakby ktoś usiłował je zmniejszyć.

– Ktoś miał coś z żółtymi kropkami, co przestało mu się podobać, i kazał sobie na to położyć coś innego – tłumaczył Pit. – Ponieważ wierzchnia warstwa skóry zeszła, większość nowego rysunku, sowy, też znikła. Chyba w tym wypadku igła nie weszła tak głęboko, jak przy pierwszym tatuażu. Ale żółte kropki weszły naprawdę głęboko. Głębiej, niż potrzeba, co oznacza, że mamy do czynienia z dwoma różnymi artystami. – Badał jeszcze kawałek skóry. – Nigdy nie udaje się do końca zakryć starego tatuażu – podsumował. – Ale jeśli się na tym znasz, możesz tak narysować nowy na istniejącym i dookoła, że odwróci się od niego uwagę. Myślę, że można to nazwać iluzją optyczną.

– Czy możemy w jakiś sposób się dowiedzieć, częścią jakiego rysunku były te żółte oczy?

Pit westchnął zmartwiony.

– Szkoda, cholera, że jest w takim kiepskim stanie – mruknął, kładąc skórę na ręcznik i mrugając powiekami. – Ludzie, te smrody człowieka wykończą. Jak pani przy tym pracuje cały czas?

– Bardzo, bardzo ostrożnie – odpowiedziałam. – Czy mogłabym skorzystać z pańskiego telefonu?

– Proszę bardzo.

Weszłam za ladę, wpatrując się niepewnie w Taxi, która siadła na swym posłaniu. Patrzyła na mnie, jakby chciała się przekonać, czy wykonam ten jeden ruch, który jej się nie spodoba.

– W porządku – odezwałam się do niej łagodnie. – Pit? Czy mogę zadzwonić do kogoś na pager i podać pański numer?

– To nie tajemnica. Proszę bardzo.

– Grzeczny piesek – zachęcałam Taxi, żeby taka była, gdy obchodziłam ladę, chcąc się dostać do telefonu.

Jej małe, tępe oczka przypominały mi oczy rekina, a gruby i trójkątny łeb – węża. Wyglądała na jakiegoś prymitywnego stworza, który nie uległ ewolucji od najdawniejszych czasów i przypomniało mi się, co było napisane na pudle wewnątrz kontenera.

– Czy to mógłby być wilk? – spytałam Pita. – Albo wręcz wilkołak? Pit znów westchnął. Pracowity weekend pozostawił mu ślady w postaci sińców pod oczami.

– Cóż, wilki są dosyć popularne. Wie pani, instynkt stadny, samotny wilk. Ale trudno coś takiego przykryć ptakiem, sową czy innym.

– Taaa – odezwał się w słuchawce głos Marina.

– Cholera, to mógłby być kojot, pies, kot – myślał głośno Pit. – Wszystko, co ma futro i żółte oczy. Musiałoby być małe, żeby zakryć to sową. Naprawdę malutkie.

– Kto, do diabła mówi coś o futrze? – spytał niegrzecznie detektyw.

Wyjaśniłam mu, gdzie jestem i dlaczego, a Pit przez cały ten czas pokazywał mi wzory wszystkiego, co ma sierść.

– Wspaniale. – Marino od razu się wściekł. – Skoro tam jesteś, może byś sobie od razu coś wytatuowała?

– Chyba innym razem.

– Nie mogę uwierzyć, że mogłaś pojechać sama do salonu tatuażu. Czy masz pojęcie, jacy ludzie tam chodzą? Handlarze narkotyków, recydywiści na przepustkach, członkowie gangów motocyklowych.

– Ale on jest w porządku.

– O nie, nie w porządku! – wybuchnął kapitan.

Był wściekły na coś więcej niż tylko na moją wizytę w salonie tatuażu.

– Co się stało, Marino?

– Nic, chyba że uznasz zawieszenie bez wynagrodzenia jako coś, co się stało.

– Nie ma żadnego powodu do tego – oświadczyłam ze złością, chociaż czułam, że do tego dojdzie.

– Bray uważa, że jest. Chyba zepsułem jej wczoraj wieczorem kolację. Mówi, że jeżeli zrobię jeszcze jedną rzecz, wylatuję. Ale jest też dobra wiadomość: mam zabawę jak cholera, bo zastanawiam się, co zrobię jako tę jedną rzecz.

– Hej! Coś pani pokażę! – zawołał do mnie Pit z przeciwległego krańca pokoju.

– Zastanowimy się nad tym – obiecałam Marinowi.

– Taa.

Oczy Taxi śledziły każdy mój ruch, gdy odłożyłam słuchawkę i przechodziłam obok posłania. Przebiegłam wzrokiem szablon wiszące na ścianie i poczułam się jeszcze gorzej. Tak bardzo chciałam, żeby tatuaż okazał się wilkiem albo malutkim wilkołakiem, a prawdopodobnie było to coś zupełnie innego. Nie znosiłam pytań pozostających bez odpowiedzi, gdy nauka i racjonalne myślenie dochodziły tylko do pewnego momentu, a dalej się wycofywały. Nie pamiętam już od dawna, żebym czuła się tak zniechęcona i niepewna. Wydawało mi się, że ściana na mnie napiera, a wszystkie te wzory wyskakują jak demony. Serca przebite strzałą, czaszki,

nagrobki, szkielety, straszliwe stwory i wampiry tańczyły wokół mnie taniec śmierci.

– Dlaczego ludzie chcą na sobie nosić śmierć? – powiedziałam głośno, a Taxi uniosła głowę. – Czy życie z nią to nie dosyć? Dlaczego ktoś chce spędzić resztę życia, patrząc na wizerunek śmierci na własnym ramieniu?

Pit wzruszył ramionami i wcale się nie przejmował tym, że kwestionowałam sens jego sztuki.

– Widzi pani, pani doktor – wyjaśnił – jak się człowiek zastanowi, to nie ma się czego bać, tylko strachu. Więc ludzie chcą mieć tatuaże ze śmiercią, żeby się nie bać samej śmierci. Tak jak ludzie, którzy boją się węży, dotykają ich potem w zoo. Pani też na swój sposób żyje na co dzień ze śmiercią – powiedział do mnie. – Nie uważa pani, że bardziej by się jej obawiała, gdyby nie miała z nią codziennie do czynienia? – Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. – Ma pani z sobą w słoiku kawałek skóry trupa i nie boi się pani. Ale ktoś inny, kto by tu wszedł, na ten widok pewnie by zaczął krzyczeć albo zwymiotował. Nie jestem psychologiem – ciągnął dalej, żując gumę z zapamiętaniem – ale jest jakiś ważny element w tym, co człowiek chce mieć na stałe wyrysowane na własnym ciele. Niech pani weźmie tego umarłego. Ta sowa coś o nim mówi, o tym, co go nurtowało. Przede wszystkim, czego się lękał i co może być ważniejsze od tego, co miał pod sową.

– Wydawałoby się więc, że większość pana klientów boi się kształtnych nagich kobiet – skomentowałam.

Pit żuł gumę, myśląc, jak wybrnąć z tego, co powiedziałam.

– O tym nie myślałem, ale mi pasuje. Większość tych facetów z golasami wszędzie naprawdę boi się kobiet. Boją się uczucia.

Chuck włączył telewizję i oglądał Rosie O'Donnell, przykręciwszy dźwięk. Widziałam tysiące tatuaży na ludzkich ciałach, ale nigdy nie

myślałam o nich jako symbolach strachu. Pit poklepał wieczko słoika z formaliną.

– Ten facet się czegoś bał – oświadczył. – Wygląda na to, że miał powód.

Rozdział 23

Kiedy dotarłam do domu, zdążyłam tylko powiesić płaszcz i rzucić teczkę koło drzwi, gdy zadzwonił telefon. Było dwadzieścia po ósmej i moją pierwszą myślą było: Lucy. Jedyna informacja, jaką dostałam, dotyczyła przewiezienia Jo do kliniki Akademii Medycznej Wirginii podczas weekendu. Byłam przerażona i miałam żal do mojej siostrzenicy. Niezależnie od wszystkich zaleceń i przepisów Lucy mogła się ze mną skontaktować. Mogła dać mi znać, że z nią i Jo wszystko w porządku, a także powiedzieć, gdzie jest.

Szybko złapałam za słuchawkę i poczułam się jednocześnie zdziwiona i zakłopotana, gdy usłyszałam głos byłego zastępcy komendanta, Ala Carsona. Wiedziałam, że nie kontaktowałyby się ze mną, zwłaszcza w domu, gdyby nie wydarzyło się coś naprawdę ważnego.

– Nie powinienem tego robić, ale ktoś powinien – odezwał się z miejsca.
– Było zabójstwo w Quik Cary. To sklep osiedlowy w bok od Cary, koło Libbie. Wie pani, o którym mówię? Takie miejsce spotkań sąsiadów. – Mówił szybko i nerwowo. Wydawał się przerażony.

– Tak – odpowiedziałam. – To niedaleko ode mnie. Wzięłam tabliczkę do notatek i zaczęłam pisać.

– Ewidentny rabunek. Ktoś wszedł, opróżnił szufladę i zastrzelił kasjerkę.

Przypomniałam sobie kasetę, widzianą wczoraj.

– Kiedy się to stało? – zapytałam.

– Sądźmy, że została zastrzelona nie dalej niż godzinę temu. Dzwonię do pani osobiście, bo pani biuro jeszcze o tym nie wie. – Zamilkłam, gdyż nie bardzo rozumiałam, o czym mówi. To nie było możliwe. – Zatelefonowałam też do Marina – ciągnął. – Chyba już nic więcej nie mogą mi zrobić.

– Zaraz, co pan ma na myśli, mówiąc, że moje biuro jeszcze o tym nie wie? – spytałam.

– Policja ma teraz przykazane, żeby nie zawiadamiać Urzędu Głównego Koronera, póki nie skończymy oględzin miejsca zdarzenia. Póki technicy nie zrobią swego, a oni dopiero tam jadą. Więc to może jeszcze trwać godzinami...

– A skąd się to, do diabła, wzięło? – spytałam, chociaż wiedziałam.

– Pani doktor, właściwie zostałam zmuszony do rezygnacji, choć i tak bym to zrobił – powiedział Carson. – Nastąpiły zmiany, których nie mogę zaakceptować. Wie pani przecież, że moi ludzie świetnie się dogadywali z pani biurem. Ale Bray wepchnęła tu nowych pracowników. Już to, co zrobiła z Marinem, wystarczy, żebym odszedł. Najważniejsze jednak jest to, że w ciągu miesiąca mamy już drugie zabójstwo w sklepie osiedlowym. Nie chciałbym czegoś przegapić. Jeśli to był ten sam facet, zrobi to znowu.

Zadzwoiłam do Fieldinga do domu i powiedziałam, co się dzieje.

– I chcesz, żebym...? – zaczął mówić.

– Nie – przerwałam. – Już tam jadę. Chcą nas wyrolować, Jack.

Jechałam szybko. Bruce Springsteen śpiewał „Santa Claus is coming to town”, a ja myślałam o Diane Bray. Nigdy przedtem nikogo nie nienawidziłam. Nienawiść to trucizna i zawsze się przed nią broniłam. Nienawidzić – oznaczało przegrać, a nie mogłam sobie teraz na to

pozwolić. W radiu nadawano wiadomości. Zabójstwo było tematem numer jeden, przekazywanym na żywo z miejsca zbrodni.

– ...Co jest już drugim morderstwem w sklepie osiedlowym w ciągu trzech tygodni. Pani komendant Bray, co pani nam może na ten temat powiedzieć?

– Szczegóły na razie są nieznane – usłyszałam jej głos w swoim samochodzie. – Wiemy na pewno, że kilka godzin temu niezidentyfikowany osobnik wszedł tu, do Quik Cary, obrabował kasę i zastrzelił kasjerkę.

Zadzwoił mój telefon.

– Gdzie jesteś? – spytał Marino.

– Zbliżam się do Libbie.

– Ja się zatrzymam na parkingu Cary Town. Muszę ci powiedzieć, o co chodzi, bo o tej porze nikt tam na miejscu nic ci nie powie.

– Zobaczymy.

Po kilku minutach skręciłam do małego centrum handlowego i zaparkowałam przed sklepem jubilerskim Schwarzchild, gdzie siedział już Marino w ciężarówce. Po chwili był w moim samochodzie, ubrany w dżinsy, sznurowane buty i krótki kożuszek, łysy jak jego głowa, z zepsutym suwakiem. Wypachnił się dokładnie wodą kolońską, co oznaczało, że pił piwo. Wyrzucił przez okno niedopałek i czerwony popiół poszybował w noc.

– Wszystko pod kontrolą – oświadczył ironicznie. – Anderson na miejscu przestępstwa.

– I Bray.

– Ona odbywa konferencję prasową przed sklepem – poinformował mnie Marino z obrzydzeniem. – Chodźmy.

Podjechałam pod Cary Street.

– Zaczniemy od tego – powiedział. – Ten dupek strzela do niej przy ladzie, w głowę. Wydaje się, że potem wywiesza napis „zamknięte”, rygluje drzwi od środka, ciągnie ją na zaplecze i bije z całych sił.

– Zastrzelił ją, a potem pobił?

– Tak.

– Kto zawiadomił policję? – spytałam.

– O dziewiętnastej szesnaście włączył się alarm anty włamaniowy. Drzwi od tyłu są zamknięte, nawet gdy sklep jest czynny. Policjanci przyjechali, zobaczyli, że drzwi wejściowe są zamknięte i wisi ten napis, jak mówiłem. Więc idą z drugiej strony, znajdują tylne drzwi otwarte, wchodzi, a ona leży tam na podłodze i wszędzie pełno krwi. Na razie zidentyfikowana jako Kim Luong, trzydzieści pięć lat, Azjatka.

Zastępca komendanta na dobre zdominowała wiadomości.

– Mówiła pani coś przedtem o świadku? – spytał ją reporter.

– Tylko tyle, że pewien obywatel poinformował nas, iż widział w tej okolicy jakiegoś mężczyznę, ubranego na ciemno, mniej więcej w czasie, kiedy jak przypuszczamy, popełniono zabójstwo – opowiadała Diane Bray.
– Zniknął w pobliskiej uliczce. Osoba, która nas zawiadomiła, nie widziała zbyt dokładnie. Mamy nadzieję, że jeśli ktokolwiek coś dostrzegł, zadzwoni do nas. Każdy szczegół jest ważny. Musimy wspólnie chronić społeczeństwo.

– Co ona wyprawia? Kandyduje na prezydenta? – spytał Marino.

– Czy w sklepie jest gdzieś sejf? – zapytałam go.

– Z tyłu, tam, gdzie znaleziono ciało. Nie został otwarty. Tak mnie w każdym razie poinformowano.

– A kamera wideo?

– Nie. Może się nauczył po tym, jak załatwił Ganta, i działa tylko w takich miejscach, gdzie mu nie zrobią numeru z ukrytą kamerą.

– Może.

Oboje wiedzieliśmy, że to tylko próbne założenia, ale Marino starał się bardzo, bo nie chciał zrezygnować ze swej pracy.

– Carson ci to wszystko powiedział? – zapytałam.

– To nie gliniarze mnie zawiesili. Wiem już, że twoim zdaniem sposób działania tym razem jest trochę inny, ale to nie nauka, pani doktor, wiesz o tym.

Benton miał zwyczaj nam tak mówić z tym swoim wymuszonym uśmiechem. Był specjalistą od portretów psychologicznych, ekspertem od *modus operandi* i przewidywania działań przestępców. Ale każde przestępstwo ma własną, specjalną metodę, ponieważ każda ofiara jest inna. Okoliczności i nastroje też mogą być różne, nawet pogoda, a zabójca często modyfikuje swój sposób postępowania. Benton narzekał na hollywoodzkie przedstawianie tego, co potrafią zrobić naukowcy behawioryści. On nie był jasnowidzem, a niebezpieczne jednostki nie są sterowane programem komputerowym.

– Może go wkurzyła albo coś takiego – ciągnął Marino. – Może miał właśnie jakąś nieprzyjemną rozmowę z matką, kto to, do diabła, wie?

– Co się stanie, jeśli ludzie tacy jak Al Carson nie będą już do ciebie dzwoniли?

– Ta sprawa jest moja – oświadczył, jakby mnie w ogóle nie słyszał. – Gant to była moja sprawa, więc i ta jest, jakkolwiek by na to patrzeć. Nawet jeśli to nie ten sam zabójca, kto będzie to wiedział wcześniej ode mnie, skoro ja wiem najwięcej na ten temat?

– Nie możesz zawsze pchać się z dwiema nabitymi lufami – powiedziałam. – Z Bray to się nie sprawdzi. Musisz wymyślić jakiś sposób, żeby jej się opłacało ciebie tolerować, a najlepiej wymyśl to w ciągu najbliższych pięciu minut.

Milczał, gdy skręcałam w Libbie Avenue.

– Jesteś inteligentny, Marino – dodałam. – Rusz głową. Tu nie chodzi o czyjeś ego czy ambicje, tylko o zabitą kobietę.

– Cholera. Co się, do diabła, porobiło z ludźmi?

Quik Cary, nieduży sklep, bez ozdobnego frontu, nie stał obok stacji benzynowej, nie miał jaskrawego oświetlenia i nie znajdował się w atrakcyjnym, przyciągającym klientów miejscu. Oprócz świąt był otwarty tylko do szóstej.

Na parkingu kłębił się czerwono-niebieski tłum, a wśród huczących silników, policjantów i grupy ratowników królowała Diane Bray w aureoli lamp telewizyjnych. Miała na sobie długą, czerwoną pelerynę i pantofle na wysokich obcasach, a brylantowe kolczyki błyskały przy każdym ruchu jej pięknej głowy. Najwidoczniej właśnie wybiegła z jakiegoś wytwornego przyjęcia.

Gdy wyjmowałam z bagażnika swoją walizeczkę ze sprzętem, zaczął padać deszcz ze śniegiem. Bray zauważyła mnie wcześniej niż media, po czym jej wzrok padł na Marina i na twarzy pojawił się gniew.

– ...Nie podacie tego do wiadomości, póki nie zostanie powiadomiona jej rodzina – mówiła dziennikarzom.

– A teraz patrz – mruknął detektyw pod nosem.

Szedł z widocznym pośpiechem w kierunku sklepu i zrobił coś, co nie zdarzyło mu się nigdy przedtem. Władował się świadomie w zasadzkę reporterów. Posunął się nawet do tego, żeby wyciągnąć na ich oczach swoją krótkofalówkę, dając wszem i wobec do zrozumienia, że on kieruje sprawą i zna wiele sekretów.

– Jesteś tam, dwa-zero-dwa? – doszedł do mnie jego głos, gdy zamykałam samochód.

– Dziesięć-cztery – odezwał się głos w odpowiedzi.

– Od frontu, wchodzę – mruknął Marino.

– Do zobaczenia.

Natychmiast otoczyło go co najmniej dziesięciu reporterów i kamerzystów. Poruszali się zdumiewająco szybko.

– Kapitan Marino?

– Kapitanie Marino!

– Czy dużo pieniędzy ukradziono?

Detektyw ich nie przepędził. Oczy Diane Bray przesunęły się po jego twarzy jak pazury, a uwaga wszystkich skupiona była na nim, na człowieku, którego już miażdżyła stopą.

– Czy trzymali w kasie mniej niż sześćdziesiąt dolarów, jak inne tego rodzaju placówki?

– Czy uważa pan, że te sklepy powinny mieć ochronę w okresie przedświątecznym?

Marino, nieogolony i pełen piwa, popatrzył w kamery i powiedział:

– Gdyby to był mój sklep, na pewno bym tak zrobił.

Zamknęłam samochód. Diane Bray szła już w moją stronę.

– Więc przypisuje pan te dwa zabójstwa okresowi przedświątecznemu? – spytał Marina kolejny reporter.

– Przypisuję je jakiemuś gnojkwowi z zimną krwią i bez sumienia. Zrobi to znowu – odrzekł kapitan. – A my musimy go powstrzymać i próbujemy to zrobić.

Bray dopadła mnie, gdy starałam się ominąć samochody policyjne. Otuliła się peleryną i była tak samo zimna i ostra, jak pogoda.

– Dlaczego pozwala mu pani to robić? – spytała.

Zatrzymałam się i popatrzyłam Diane w oczy, wydychając parę jak z lokomotywy, która zaraz ją przejedzie:

– „Pozwolić” to nie jest słowo, którego można użyć w odniesieniu do Marina – odparłam. – Chyba doświadcza pani tego na swojej skórze.

Jakiś reporter z lokalnego szmatławca uniósł głos, przekrzykując innych:

– Kapitanie Marino! Na mieście mówią, że nie jest pan już detektywem. Co pan tu robi?

– Zastępca komendanta Bray zleciła mi zadanie specjalne – oznajmił ponuro Marino do mikrofonów. – Będę prowadził to dochodzenie.

– Jest skończony – oświadczyła mi Bray.

– Nie odejdzie po cichu. W życiu jeszcze nie słyszała pani takiego hałasu, jaki robi – uprzedziłam ją, odchodząc.

Rozdział 24

Marino czekał na mnie przed głównym wejściem do sklepu. Gdy weszliśmy do środka, pierwszą osobą, jaką zauważyliśmy, była detektyw Anderson. Stała przy ladzie, zawijając w brązowy papier pustą szufladę od kasy, a technik Al Eggleston posypywał klawiaturę proszkiem, żeby zdjąć odciski palców. Rene wyglądała na zdumioną i nieszczęśliwą, gdy nas zobaczyła.

– Co tu robisz? – rzuciła się na Marina.

– Wpadłem po parę puszek piwa. Jak leci, Eggleston?

– Po staremu, Pete.

– Nie jesteśmy jeszcze gotowi, aby panią tu wpuścić – powiedziała do mnie Anderson.

Zignorowałam ją i zaczęłam się zastanawiać, ile szkody zdążyła już wyrządzić. Dzięki Bogu, najważniejszą robotę robił Eggleston. Natychmiast zauważyłam za ladą przewrócone krzesło.

– Czy to krzesło tak leżało, gdy przyjechała policja? – spytałam Egglestona.

– O ile wiem, to tak.

Anderson nagle wyszła ze sklepu, pewnie poszukać szefowej.

– Aha – odezwał się Marino. – Ploteczki.

– Nie żartuj.

Na ścianie za ladą widniały łuki krwi od krwotoku tętniczego.

– Cieszę się, że tu jesteś, Pete, ale to jak drażnienie kijem węża. Ślad ciągnął się wokół lady i przez najszersze przejście, najdalej od wejścia do sklepu.

– Marino, chodź tutaj – poprosiłam.

– Hej, Eggleston, zobacz, czy nie znajdziesz gdzieś tam DNA tego faceta. Włóż do buteleczki i może w laboratorium wyhodujemy jego kłona – odezwał się detektyw, podchodząc do mnie. – Wtedy będziemy wiedzieli, kto to, do cholery, jest.

– Jesteś bombowym naukowcem, Pete.

Wskazałam na łuki krwi powstałe na skutek skurczowego rytmu serca Kim Luong, gdy wykrwawiała się na śmierć przez tętnicę szyjną. Krew była również na podłodze i rozprysnęła się na jakieś sześć metrów na półkach z papierem toaletowym, ręcznikami papierowymi i innymi artykułami domowymi.

– Jezus Maria – jęknął Marino, gdy zrozumiał, co to oznaczało. – Ciągnął ją cały czas, kiedy tryskała z niej krew?

– Tak.

– Jak długo mogła przeżyć przy takim krwawieniu?

– Kilka minut – odpowiedziałam. – Najwyżej dziesięć.

Nie pozostawiła już więcej śladów, prócz wąskich, równoległych smug od włosów i palców, które zabrudziły się krwią. Wyobraziłam sobie zabójcę, jak ciągnie kobietę za nogi, jej rozłożone ramiona wyglądają niczym skrzydła ptaka, a włosy jak pióra.

– Trzymał ofiarę za kostki – dodałam. – Ma długie włosy.

Detektyw Anderson znów pojawiła się w pobliżu. Nie znosiłam sytuacji, kiedy musiałam się pilnować z każdym słowem, jakie wypowiadałam w obecności policji. Ale tak bywało. W ciągu tylu lat wielokrotnie

pracowałam z funkcjonariuszami, którzy bywali źródłem przecieków, więc nie pozostawało mi nic innego, tylko traktować ich jak wrogów.

– Na pewno nie umarła natychmiast – dodał Marino.

– Dziura w tętnicy nie uśmierca natychmiast. Można mieć podejrzięte gardło i jeszcze zadzwonić na policję. Nie musiała zostać natychmiast unieruchomiona, ale najwidoczniej była.

Ślady krwi stawały się coraz słabsze i znajdowały się coraz niżej, w miarę jak szliśmy na zaplecze. Małe krople już zaschły, większe dopiero się ścinały. Ruszyliśmy ich tropem wzdłuż chłodziarek z piwem i przez drzwi prowadzące do magazynu, gdzie drugi technik, Gary Ham, pracował na kolanach, podczas gdy inny funkcjonariusz robił zdjęcia. Obaj odwróceny byli tyłem do nas.

Kiedy stanęłam obok nich, zdumiałam się. Kim Luong miała dzinsy i majtki ściągnięte do kolan i wsunięty w odbyt termometr chemiczny. Ham spojrział na mnie i zamarł, jak ktoś przyłapano na kradzieży. Pracowaliśmy razem od lat.

– Co ty tu, do diabła, wyrabiasz? – odezwał się do niego takim tonem, jakiego nigdy jeszcze u mnie nie słyszał.

– Mierzę jej temperaturę, pani doktor – odrzekł Ham.

– Czy pobrałeś wymaz, zanim włożyłeś termometr – pytałam dalej takim samym wściekłym tonem.

Marino obszedł mnie i teraz też patrzył na ciało. Ham się zawahał.

– Nie, nie zrobiłem tego.

– Spieprzaj! – warknął mój przyjaciel.

Ham był wysokim, sympatycznym mężczyzną po trzydziestce, o ciemnych włosach i brązowych oczach otoczonych długimi rzęsami. Zdarzało się, że tacy jak on, mając pewne doświadczenie, ulegali pokusie i

wierzyli, że mogą wykonywać zadania lekarza sądowego i koronera. Ale Ham zawsze się pilnował, zawsze okazywał szacunek naszej pracy.

– A jak będę miała interpretować obecność skaleczeń po tym, gdy wprowadziłeś twardy przedmiot w jeden z otworów w ciele? – zapytałam. Głośno przełknął ślinę. – Jeśli znajdę zadraśnięcie w jej odbycie, czy będę mogła przysiąc w sądzie, że to nie od termometru? A jeśli nie będziesz mógł udowodnić sterylności swego sprzętu, pobranie jakiegokolwiek DNA też będzie kwestionowane. – Ham zrobił się czerwony. – Czy macie pojęcie, ile artefaktów wprowadziliście na miejsce przestępstwa, funkcjonariuszu Ham? – spytałam.

– Byłem bardzo ostrożny.

– A teraz proszę usunąć się z drogi. Natychmiast.

Otworzyłam swoją walizeczkę i ze złością, jednocześnie naciągając palce i wygładzając lateks, włożyłam rękawiczki. Wręczyłam Marinowi latarkę i rozejrzałam się dookoła, nim cokolwiek zaczęłam robić. Magazyn był słabo oświetlony, setki sześciopaków z napojami i piwem, ciągnące się na odległość siedmiu metrów, zostały spryskane krwią. Kilkanaście centymetrów od ciała leżały tampaxy i papierowe ręczniki. Dna pudełek przesiąknięte były krwią. Jak na razie nic nie wskazywało na to, żeby zabójca interesował się tu czymkolwiek, poza swoją ofiarą.

Wpatrywałam się w ciało, zwracając uwagę na każde przebarwienie i fakturę skóry, każdy efekt piekielnej sztuki zabijania. Niczego jeszcze nie dotykałam.

– Boże, on ją rzeczywiście skatował – odezwał się policjant, robiący zdjęcia.

Wyglądało to, jakby jakieś dzikie zwierzę wciągnęło ofiarę do swojej nory i tam rozszarpało. Sweter i biustonosz miała porwane, buty i skarpetki zdjęte i rozrzucone. Była dorodną kobietą, z okazałymi biodrami i biustem.

Jedyną możliwością, żeby się dowiedzieć, jak wyglądała, okazało się zdjęcie z jej prawa jazdy, jakie mi pokazano. Kim Luong była ładna, miała nieśmiały uśmiech i błyszczące czarne włosy.

– Czy miała na sobie spodnie, kiedy ją znaleziono? – spytałam Hama.

– Tak jest.

– A buty i skarpetki?

– Zdjęte. Dokładnie tak, jak je pani widzi. Nie dotykaliśmy ich. Nie musiałam nawet dotykać butów, żeby zobaczyć, że są bardzo zakrwawione.

– Dlaczego zdejmował jej buty i skarpetki, a nie spodnie? – zapytał jeden z policjantów.

– Właśnie, dlaczego ktoś miałby zrobić coś tak dziwnego?

Spojrzałam. Pod stopami też miała zaschniętą krew.

– Będę musiała ją obejrzeć w lepszym świetle, kiedy ją przewieziemy do prosektorium – powiedziałam.

Ranę postrzałową z przodu szyi widziałam wyraźnie. Był to wlot pocisku, więc musiałam lekko obrócić głowę denatki, żeby zobaczyć miejsce, którym kula wyszła, lekko skrzywiona w lewo. To ten pocisk przebił tętnicę szyjną.

– Czy znaleźliście kulę? – spytałam.

– Wygrzebałem jedną ze ściany za ladą – odpowiedział Ham, unikając mojego wzroku. – Na razie nie odnalazłem żadnej łuski, o ile tu jest.

Nie ma, jeśli ofiara została zastrzelona z rewolweru. Pistolety wyrzucają swoje łuski, co wydaje się jedyną pozytywną cechą używania ich do działalności przestępczej.

– Gdzie w ścianie? – spytałam.

– Jak pani spojrzy na ladę, to trochę na lewo od miejsca, w którym stałoby krzesło, gdyby ona siedziała przy kasie.

– Wylot kuli też jest trochę na lewo – powiedziałam. – Jeśli znajdowali się twarzą w twarz, gdy ją zastrzelił, być może powinniście poszukiwać leworęcznego zabójcy.

Twarz Kim Luong została zmasakrowana, skóra rozdarta od uderzeń, zadanych jakimś narzędziem czy narzędziami, które dawały rany o kształcie okrągłym i linearnym. Wyglądało na to, że kobietę bito też pięściami. Kiedy macałam czaszkę, szukając ewentualnych złamań, pod palcami poczułam kruszącą się kość. Zęby miała powybijane i wepchnięte do środka.

– Poświeć tutaj – poleciłam Marinowi.

Ustawił latarkę, jak prosiłam, a ja ostrożnie obróciłam głowę ofiary w prawo, a potem w lewo, macając czaszkę poprzez włosy, sprawdzając tył i boki szyi. Pokryta była sińcami, jak również tu i tam prostymi zadrapaniami.

– Czy poza ściągnięciem jej spodni, żeby zmierzyć temperaturę, niczego nie ruszyłeś? – spytałam Hama, bo musiałam wiedzieć to na pewno. – Wyglądała tak, jak teraz?

– Poza tym, że miała dzinsy zapięte na suwak i na guzik, to właśnie tak – odpowiedział. – Jej sweter i biustonosz też tak wyglądały. – Wskazał ręką. – Rozerwane na samym środku.

– Gołymi rękami. – Marino przykucnął przy mnie. – Cholera, musi być mocny. Ona już nie żyła, jak ją tu zaciągnął, prawda?

– Niezupełnie. Widać reakcję tkanek w postaci sińców.

– Więc na wszelki wypadek dobija ją – odezwał się kapitan. – Przecież na pewno nie siedziała i nie sprzeczała się z nim. Nie walczyła. To widać, nic nie jest przewrócone ani przesunięte. Nie ma zakrwawionych śladów stóp.

– Znali się – zabrzmiał za mną głos detektyw Anderson. – To musiał być ktoś, kogo znała. Inaczej po prostu by strzelił, zabrał pieniądze i uciekł.

Marino wciąż klęczał przy mnie, z łokciami na kolanach, z jednej ręki zwisała mu latarka. Spojrzał na dziewczynę, jakby miała inteligencję banana.

– Nie wiedziałem, że specjalizujesz się też w portretach psychologicznych – powiedział. – Chodzisz na jakieś kursy czy co?

– Marino, czy mógłbyś mi tu poświecić? – przerwałam. – Nic nie widzę. Światło ukazało na ciele denatki wzór, którego przedtem nie zauważyłam, bo zajęłam się zranieniami. Prawie każdy widoczny skrawek ciała zasmarowany był krwią, tak jakby ktoś malował palcami. Krew zaschła już i zaczynała pękać. I były też włosy, te same długie jasne włosy, przyklejone do krwi. Pokazałam je Marinowi. Nachylił się bliżej.

– Cicho – ostrzegłam, kiedy zauważyłam z jego reakcji, że wie, co mu pokazuję.

– Nadchodzi szef – oznajmił Eggleston, wchodząc ostrożnie do magazynu.

Pomieszczenie było zatłoczone i duszne. Wydawało się, że przeszła nad nim burza z krwawym deszczem.

– Osznurkujemy to – powiedział do mnie Ham.

– Odnalazłem łuskę – pochwalił się Eggleston detektywowi.

– Jeśli chcesz sobie zrobić przerwę, Marino, to ja potrzynam latarkę. – Ham chciał odkupić swój niewybaczalny grzech.

– Myślę, że to zupełnie jasne: leżała tu, nieruchomo, kiedy on ją bił – powiedziałam, bo uważałam, że sznurkowanie nie jest w tym przypadku konieczne.

– Po sznurkowaniu będziemy wiedzieć na pewno – obiecał.

Była to stara, francuska technika, według której jeden koniec sznurka przykładano do plamy krwi, a drugi do obliczonego geometrycznie źródła krwawienia. Powtarzano to wiele razy, i w efekcie otrzymywało się trójwymiarowy model ze sznurka, który pokazywał, ile uderzeń padło i w jakim miejscu znajdowała się wtedy ofiara.

– Za dużo tu ludzi – odezwałam się głośno.

Po twarzy Marina spływał pot. Czułam gorąco jego ciała i woń jego oddechu, gdy tak pracował obok mnie.

– Przekaż to natychmiast do Interpolu – powiedziałam cicho, żeby nikt nie usłyszał.

– Nie żartujesz?

– Speer trzydziestkaósemka. Słyszałeś kiedyś o tym? – spytał Eggleston detektywa.

– Taa. Bardzo skuteczne świństwo. Gold Dot – odrzekł mój towarzysz. – To w ogóle nie pasuje.

Wyjęłam termometr i położyłam go na pudle z papierowymi talerzykami, aby zmierzyć temperaturę otoczenia.

– Mogę powiedzieć, jak jest, pani doktor – powiedział Ham. – Dwadzieścia trzy, przecinek dwa. Bardzo ciepło.

Marino poruszał latarką, w miarę jak moje ręce i wzrok przesuwały się po ciele.

– Normalni ludzie nie kupują takiej amunicji – wyjaśniał. – Mówimy tu o dziesięciu, jedenastu dolarach za pudełko z dwudziestoma nabojami. Nie wspomnę już o tym, że broń nie może być byle jaka, bo cały ten interes wybuchnie ci w rękach.

– Wobec tego broń prawdopodobnie pochodziła z ulicy. – Rene Anderson nagle znalazła się obok mnie. – Narkotyki!

– Sprawa wyjaśniona – odezwał się Marino. – Jezu, dzięki, Anderson. Hej, ludzie, możemy wszyscy iść do domu.

Czułam słodką woń krwi Kim Luong, gdy krzepła; surowica oddzielała się od hemoglobiny, a krwinki pękały. Wyciągnęłam termometr chemiczny, który włożył Ham. Jej temperatura wewnętrzna wynosiła 31,4 stopnia. Podniosłam wzrok. W pomieszczeniu znajdowały się trzy osoby, oprócz Marina i mnie. Zaczynała we mnie wzbierać złość.

– Znaleźliśmy jej torebkę i płaszcz – opowiadała detektyw Anderson.

– W portfelu było szesnaście dolarów, więc chyba tam nie zaglądał. Aha, a obok leżała papierowa torebka z plastikowym pojemnikiem i widelcem. Wygląda na to, że przyniosła z sobą obiad i podgrzała w mikrofalówce.

– Skąd wiesz, że podgrzała? – spytał Marino.

Anderson została przyłapana. – Dwa i dwa nie zawsze daje dwadzieścia dwa – dodał.

Plama pośmiertna była jeszcze na wczesnym etapie. Szczęka zrobiła się już sztywna, mięśnie szyi i rąk też.

– Jest zbyt sztywna, żeby nie żyła dopiero od dwóch godzin – oświadczyłam.

– A od czego to właściwie zależy? – spytał Eggleston.

– Ja też się zawsze zastanawiałem.

– Miałem kiedyś jednego takiego w Bon Air...

– Coś ty robił w Bon Air? – spytał funkcjonariusz, robiący zdjęcia.

– To długa historia. Facet dostał ataku serca podczas uprawiania seksu. Dziewczyna myślała, że zasnął. Więc budzi się rano, a on zimny trup. Nie chciała, żeby było widać, że umarł w ten sposób, więc próbowała go posadzić w fotelu, ale opierał się o niego, sztywny jak deska do prasowania.

– Poważnie, pani doktor, skąd to się bierze? – spytał Ham.

– Mnie też zawsze to interesowało – rozległ się od drzwi głos Diane Bray. Stała tam, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Kiedy się umiera, ciało przestaje wytwarzać trifosforan adenozy. Dlatego sztywnieje – wyjaśniłam, nie spojrzawszy nawet na nią. – Marino, możesz ją tak potrzymać, żebym zrobiła zdjęcie?

Przysunął się bliżej mnie i wsunął lewą rękę w rękawicy pod bok denatki, a ja wyjęłam aparat. Zrobiłam zdjęcie okaleczeń pod lewą pachą, a jednocześnie obliczałam stosunek temperatury ciała do otoczenia, żeby ustalić, jak daleko posunęły się plama i stężenie pośmiertne. Słyszałam kroki, pokasływania i ciche głosy. Pociłam się pod maską.

– Potrzebuję trochę miejsca – powiedziałam, ale nikt się nie ruszył. Spojrzałam na Diane Bray i przestałam robić to, czym się zajmowałam.

– Potrzebuję miejsca – powtórzyłam ostro. – Niech pani wyprowadzi stąd tych ludzi.

Wskazała głową na wszystkich, prócz mnie. Policjanci powrzucaли rękawiczki chirurgiczne do dużej czerwonej torby na niebezpieczne odpadki biologiczne i wyszli.

– Ty też. – Te słowa dotyczyły detektyw Anderson.

Marino zachowywał się, jakby zastępczyni komendanta nie istniała. Ona zaś nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Nie chcę więcej wejść na miejsce zdarzenia w takim stanie – mówiłam do niej, pracując. – Ani pani funkcjonariusze, ani pani technicy, nikt, podkreślam, nikt nie może dotykać ciała i niczego z nim robić, dopóki ja lub któryś z moich lekarzy tego nie uczynimy. – Spojrzałam na nią. – Czy to sobie wyjaśniłyśmy?

Wydało mi się, że myślała nad tym z wielką uwagą. Założyłam film do mojego aparatu z trzydziestopięciomilimetrowym obiektywem. Oczy miałam już zmęczone, bo było tu nędzne światło. Wzięłam od Marina

latarkę i oświetliłam nią miejsca pod lewą piersią, a później na prawym ramieniu. Bray podeszła bliżej, żeby zobaczyć, co robię. Ocierała się prawie o mnie. Mieszanka zapachu jej perfum i woni ciała była piorunująca.

– Miejsce przestępstwa należy do nas, Kay – powiedziała. – Rozumiem, że w przeszłości nie musiałś w ten sposób pracować, prawdopodobnie przez cały czas, odkąd pracujesz tutaj czy gdziekolwiek indziej. O tym właśnie mówiłam, kiedy wspominałam...

– Co za bzdety! – rzucił jej w twarz Marino.

– Kapitanie, proszę się nie wtrącać – odparzyła.

– To pani nie powinna się wtrącać – podniósł głos.

– Pani zastępczo komendanta Bray – powiedziałam – według prawa stanu Wirginia to lekarz sądowy zajmuje się zwłokami. Ja jestem odpowiedzialna za ciało ofiary. – Skończyłam robić zdjęcia i napotkałam spojrzenie jej chłodnych jasnych oczu. – Zwłok nie należy dotykać, nie wolno zmieniać ich położenia ani w żaden inny sposób ingerować w sprawę. Czy wyraziłam się jasno? – spytałam znowu. Ściągnęłam rękawiczki i ze złością wrzuciłam je do czerwonej torby. – Pod względem dowodowym to tak, jakby właśnie wycięła jej pani serce, zastępczo komendanta Bray. – Zamknęłam walizeczkę i przekręciłam zamek.

– Pani i prokurator świetnie się tu dogadacie – dodał Marino z wściekłością, zsuwając rękawiczki. – Taka sprawa to jak darmowy obiad. – Wskazał grubym paluchem na martwą kobietę, jakby to Bray ją zakatowała. – Właśnie spowodowała pani to, że go nie złapiemy – wrzeszczał na nią. – Ty z tymi swoimi gierkami i cycami! Z kim się pieprzyłaś, żeby zajść tak daleko?

Twarz Bray posiniała z wściekłości.

– Marino! – Złapałam go za rękę.

– Coś ci powiem. – Nie dał się już powstrzymać, wyrwał rękę i dyszał ciężko jak ranny niedźwiedź. – Ta zmasakrowana twarz nie ma nic wspólnego z polityką ani występami w mediach, ty cholerna, pieprzona dziwko! A co byś zrobiła, gdyby to była twoja siostra? Cholera, co ja mówię?

– Marino uniósł w górę obsypane talkiem dłonie. – Przecież ty nie masz zielonego pojęcia, co to znaczy współczuć komuś.

– Marino, zawołaj ich z powrotem – powiedziałam.

– Kapitan Marino nie będzie nikogo wołał. – Jej głos zabrzmiał jak trzaśnięcie pokrywki metalowego pudełka.

– Co masz zamiar zrobić, wyrzucić mnie? – Dalej z nią walczył. – No, proszę bardzo. A ja opowiem wszystkim pieprzonym reporterom stąd do Islandii dlaczego.

– Wyrzucenie to za dobre dla ciebie – odparła Diane Bray. – Lepiej, żebyś cierpiał, bez zadań i bez pensji. To może potrwać bardzo, bardzo długo.

Odeszła, połyskując swą czerwoną peleryną, jak mściwa królowa, która rozkazała wojskom marsz na nas.

– O nie! – zawołał detektyw na cały głos. – Nic nie zrozumiałaś, laluniu. Zapomniałem ci powiedzieć, że to ja zrezygnowałem z tej pieprzonej roboty.

Włączył krótkofalówkę i zawiadomił Hama, że zespół jest tu potrzebny, a mnie latały po głowie obliczenia, które się nie zgadzały.

– Chyba jej pokazałem, co? – pochwalił się Marino, ale go nie słuchałam.

Alarm przeciwłamaniowy włączył się o siódmej szesnaście, teraz dochodziła dziewiąta trzydzieści. Czas zgonu był zawsze niepewny i pełen przekłamań, jeśli nie wzięło się pod uwagę wszystkich zmiennych, ale

temperatura ciała Kim Luong, plama i stężenie pośmiertne, a także stan rozlanej krwi nie zgadzały się z tym, że nie żyła zaledwie od dwóch godzin.

– Czuję się, jakby mnie to pomieszczenie ścisnęło – mówił dalej.

– Ona nie żyje od co najmniej czterech czy pięciu godzin – oświadczyłam głośno.

Otarł rękawem spoconą twarz. Oczy miał szkliste. Nie mógł usiedzieć spokojnie i wciąż nerwowo poklepywał się po paczce papierosów w kieszeni spodni.

– Od pierwszej czy drugiej po południu? Żartujesz sobie. To co on robił cały czas? – Spoglądał wciąż ku drzwiom, czekając, kto następny w nich się pojawi.

– Myślę, że wiele rzeczy.

– Cholera, chyba się właśnie załatwiłem odmownie – zauważył Marino.

Ze sklepu dochodziło do nas szuranie nóg, klekotanie noszy i przytłumione głosy.

– Może nie usłyszała twojego ostatniego dyplomatycznego komentarza – odrzekłam. – Może byłoby dobrze, żebyś to już tak zostawił.

– Myślisz, że dlatego tu tak długo sterczał, że nie chciał wyjść stąd w biały dzień z krwią na całym ubraniu?

– To chyba nie był jedyny powód. – Zobaczyłam, że dwaj sanitariusze w kombinezonach obracali nosze, żeby z nimi przejść przez drzwi. – Tu jest pełno krwi – powiedziałam. – Przejdźcie tędy.

– Jezu – odezwał się jeden z nich.

Wzięłam z wnęki poskładane jednorazowe prześcieradła i Marino pomógł mi rozłożyć je na podłodze.

– Unieście ją trochę – poinstruowałam sanitariuszy – a my podsuniemy prześcieradło pod ciało. Świetnie.

Leżała na plecach. Skrwawione oczy patrzyły w górę z rozszarpanych oczodołów. Zaszleścił nagumowany papier, gdy przykrywałam ją drugim prześcieradłem. Unieśliśmy ciało i wsunęliśmy do wiśniowego, zamykanego na suwak worka.

– Na dworze robi się lodowato – powiadomił nas jeden z sanitariuszy.

Marino przebiegł jeszcze wzrokiem cały sklep, a później wyjrzał na parking, gdzie wciąż błyskały czerwone i niebieskie światełka, ale zainteresowanie mediów już opadało. Reporterzy wrócili do swych redakcji i studiów, pozostali tylko technicy oraz jeden policjant w mundurze.

– No tak – mruknął Marino. – Ja jestem zawieszony, ale widzisz tu jakiegoś innego detektywa do tej roboty? Powinienem zostawić to wszystko i iść do diabła!

Szliśmy do mojego samochodu, kiedy nagle wjechał na parking stary niebieski volkswagen garbus. Silnik został wyłączony tak gwałtownie, że zgrzytnęło sprzęgło. Otworzyły się drzwi od strony kierowcy i wypadła z nich kilkunastoletnia dziewczyna o jasnej cerze i krótkich ciemnych włosach. Podskoczyła do noszy z zapakowanymi zwłokami, które właśnie wkładano do karetki, i rzuciła się, jakby chciała zaatakować sanitariuszy.

– Hej! – zawołał Marino, ruszając za nią.

Dobiegła, gdy zamknęły się tylne drzwi. Marino złapał ją za ramię.

– Pozwólcie mi ją zobaczyć! – krzyczała. – Och, proszę mnie puścić!
Pozwólcie mi ją zobaczyć!

– Nie możemy tego zrobić, proszę pani – rozległ się głos detektywa.

Sanitariusze otworzyli swoje drzwiczki i wsiedli.

– Pozwólcie mi ją zobaczyć!

– Wszystko będzie dobrze.

– Nie, nie, o proszę, Boże! – Żal wypływał z niej jak woda z wodospadu.

Marino trzymał ją mocno z tyłu. Silnik dieslowski zaczął warczeć i nie słyszałam, co mój przyjaciel mówił, ale puścił dziewczynę, gdy karetka odjechała. Płacząca opadła na kolana. Objęła dłońmi głowę i patrzyła w lodowatą, pochmurną noc, zawodząc i wykrzykując imię zakatowanej kobiety.

Kim! Kim! Kim!

Rozdział 25

Marino postanowił zostać z Egglestonem i Hamem, którzy zupełnie niepotrzebnie łączyli sznurkiem punkty na miejscu zbrodni. Pojechałam do domu. Drzewa i trawa błyszcząły od lodu i pomyślałam, że teraz jeszcze brakowało mi do szczęścia, żeby wyłączyli prąd. I to właśnie zastałam.

Kiedy skręciłam w swoje osiedle, wszystkie domy były ciemne, a Rita, strażniczka, wyglądała, jakby w swojej budce urządziła seans spirytystyczny.

– Nie mów mi, że znowu – powiedziałam.

Za szybą migotały płomyki świec, gdy wyszła, otulając się mocno służbową kurtką.

– Wysiadł koło wpół do dziesiątej – powiedziała, kiwając głową. – Jedyne, co w tym mieście mamy zapewnione, to lód.

Moje sąsiedztwo wydawało się zaciemnione, jakby wybuchła wojna, a niebo było zbyt zachmurzone, żeby zobaczyć choćby ślad księżyca. Z trudem odnalazłam swój podjazd i omal się nie przewróciłam na oblodzonych schodkach. Trzymałam się poręczy i zdołałam jakoś znaleźć właściwy klucz, aby otworzyć drzwi. Alarm przeciwwłamaniowy działał, gdyż miał baterię, ale nie wytrzymałby dłużej niż dwanaście godzin, a wyłączenia prądu z powodu oblodzenia trwały czasem po kilka dni.

Wystukałam swój kod i nastawiłam alarm od nowa. Marzyłam o prysznicu. Mowy nie było o tym, żebym weszła do garażu, by wrzucić ubranie, w którym pracowałam, do pralki, a sama myśl, że musiałabym biec nago przez ciemny dom pod zimny prysznic, napełniła mnie przerażeniem. Otaczała mnie zupełna cisza, prócz cichego szumu deszczu ze śniegiem.

Wyszukałam wszelkie możliwe świeczki i zaczęłam je ustawiać w strategicznych punktach domu. Znalazłam latarki. Rozpaliłam w kominku i w końcu wewnątrz mojego domu wyglądało jak ciemne nisze, między którymi jaśniały słabo połyskujące światełka. Dobrze, że telefon działał, choć oczywiście automatyczna sekretarka była głucha.

Nie mogłam usiedzieć spokojnie. W końcu rozebrałam się w sypialni i umyłam myjką. Włożyłam szlafrok i kapcie i zaczęłam się zastanawiać, czym wypełnić czas, bo nie znosiłam takiej pustki w głowie. Wyobraziłam sobie, że na sekretarce jest coś od Lucy, a ja nie mam dostępu do tej wiadomości. Potem pisałam listy, dałam je i wrzucałam do ognia. Patrzyłam, jak papier brązowieje na brzegach, zapala się i robi czarny. Deszcz ze śniegiem uderzał o dach i szyby, a w domu stawało się coraz zimniej.

Noc powoli przechodziła w ranek. Staralam się zasnąć, ale nie mogłam się rozgrzać. Moje myśli wędrowały od Lucy do Bentona, a w końcu do tej strasznej sceny, jaką dziś oglądałam. Widziałam krwawiącą kobietę, ciągniętą po podłodze, i małe sowe oczka wyglądające z rozkładającego się ciała. Przewracałam się z boku na bok. Lucy nie dzwoniła.

Strach zawładnął tymi luźnymi myślami, gdy wyjrzałam przez okno na ciemny ogród. Szyba zaparowała od mojego oddechu, a klik-klik deszczu przeszedł, gdy przysypiałam, w klik-klik drutów mojej matki, która w Miami, kiedy umierał ojciec, robiła nieskończone ilości szalików dla

biednych w zimnych krajach. Nie przejeżdżał ani jeden samochód. Zadzwoiłam do Rity w budce strażnika, lecz nie odpowiadała.

Próbowałam znów zasnąć około trzeciej, bo wszystko przed oczami już mi się zacierało. Dźwięk trzeszczących gałęzi brzmiał jak wystrzały z pistoletów, gdzieś w oddali stukotał pociąg. Jego samotny gwizd rozpoczął serie piszczenia, brzęczenia i dudnienia, które wprawiły mnie w jeszcze większy niepokój. Leżałam w ciemności, opatulona kołdrą, i kiedy horyzont zaczął się rozjaśniać światłem dziennym, włączyli prąd. Parę minut później zadzwonił Marino.

– O której mam po ciebie przyjechać? – spytał, zachrypnięty jeszcze od snu.

– Przyjechać po co? – Z przymkniętymi oczami szłam do kuchni zrobić kawę.

– Zawieźć cię do pracy.

Nie miałam pojęcia, o czym mówił.

– Wyglądałaś przez okno, pani doktor? – spytał. – Nie ma mowy, żebyś gdzieś pojechała tym swoim faszystowskim pojazdem.

– Prosiłam cię, żebyś tak nie mówił. To wcale nie jest śmieszne.

Podeszłam do okna i odsunęłam żaluzje. Świat wyglądał niczym oblodzona skała, wszystkie krzaki i drzewa były jak pokryte szkłem. Trawa przypominała gęsty, sztywny dywan. Sople lodu zwisały długimi zębami i wiedziałam już, że w najbliższym czasie mój samochód nigdzie nie pojedzie.

– Och – westchnęłam. – Chyba rzeczywiście potrzebuję podwiezienia.

Ciężarówka Marina z grubymi łańcuchami brnęła po ulicach Richmondu prawie godzinę, nim dotarliśmy do mojego biura. Na parkingu nie dostrzegłam żadnego innego auta. Powoli dotarliśmy do budynku, kilka razy o mało nie tracąc równowagi, bo chodnik był całkowicie pokryty

lodem, a my pierwsi się z nim zmagaliśmy. Rzuciłam płaszcz na krzesło w gabinecie i poszliśmy do szatni się przebrać.

Sanitariusze użyli przenośnego stołu autopsyjnego, więc nie musieliśmy jej ruszać. Odpięliśmy suwak i odsunęliśmy pokrwawione prześcieradła w ciszy tego pustego teatru śmierci. W świetle mocnego, rozproszonego światła nad naszymi głowami rany wydawały się jeszcze straszniejsze. Przysunęłam bliżej lampę powiększającą, ustawiłam jej ramię i zerknęłam przez soczewki.

Skóra denatki w powiększeniu wyglądała jak pustynia zaszuszonej, popękanej krwi z kanionami ziejących ran. Zebrałam włosy, dziesiątki delikatnych, jasnych włosów. Większość miała długość piętnastu, osiemnastu lub dwudziestu centymetrów. Przywarły do brzucha, ramion, piersi kobiety. Nie znalazłam żadnych na jej twarzy. Włożyłam włosy do papierowej koperty, żeby były suche.

Godziny mijaly jak złodzieje, kradnąc poranek, a ja usiłowałam dojść do tego, jak morderca rozerwał sweter z mocnej dzianiny i stanik na fiszbinach. Nie było jednak innej odpowiedzi, choć bardzo pragnęłam ją znaleźć – zrobił to gołymi rękami.

– Nigdy nie widziałam czegoś takiego – powiedziałam. – Przecież to niewyobrażalna siła.

– Może był na kokainie albo czymś w tym rodzaju – zasugerował Marino. – To by wyjaśniało również, czemu coś takiego jej zrobił. A poza tym jeżeli handluje narkotykami na ulicy, mamy źródło tej amunicji Gold Dot.

– Chyba Lucy coś mówiła o takich pociskach – usiłowałam sobie przypomnieć.

– Cholernie popularne na ulicach – dodał Marino. – Szczególnie wśród narkomanów.

– Jeżeli był pod wpływem narkotyków – zauważyłam, kładąc włókienka do innej koperty – to wydaje mi się nieprawdopodobne, żeby tak się dobrze zorganizował. Wywiesił napis „zamknięte”, zamknął wejście i nie wyszedł tylnymi drzwiami, póki nie był gotowy. Może nawet się umył.

– Na to nie mamy dowodu – odrzekł Marino. – Nie znaleziono niczego w umywalce ani w toalecie. Żadnych zakrwawionych papierowych ręczników, niczego. Nawet gdy otwierał drzwi na zaplecze, pewnie użył czegoś, może swojego ubrania, może papierowego ręcznika, nie wiadomo, w każdym razie nie zostawił śladów krwi ani odcisków palców na gałce.

– No więc nie był rozkojarzony. Tak nie działa ktoś, kto jest pod wpływem narkotyków.

– Ja jednak uważam, że był – oświadczył z przekonaniem. – Inna hipoteza jest straszna; może być jakimś Kubą Rozpruwaczem albo kimś takim. Żałuję...

Przerwał, ale wiedziałam, co chciał dodać: żałuje, że nie ma tu Bentona, który pomógłby nam swym doświadczeniem. Tak dobrze było polegać na kimś, chociaż nie każda teoria wymaga eksperta. Każde miejsce przestępstwa i każda rana oddawały emocje towarzyszące zbrodni, a to zabójstwo było szalone, było na tle seksualnym i było dzikie. Stało się to jeszcze bardziej oczywiste, kiedy znalazłam duże, nieregularne siniaki. Kiedy przyjrzałam się im przez lupę, zauważyłam małe krzywe ślady.

– Ślady ugryzienia – powiedziałam. Marino podszedł bliżej, żeby popatrzeć. – To, co po nich pozostało – wyjaśniłam. – A na tym ślady pobicia czymś tępym.

Obracałam lampę dookoła, szukając następnych, i znalazłam dwa na boku prawej dłoni ofiary, jeden pod spodem lewej stopy, a dwa pod spodem prawej.

– Jezu – mamrotał Marino tonem tak przerażonym, jak rzadko. Patrzył na poranione dłonie denatki, a potem na jej stopy, przesuwał się to tu, to tam. – Z czym my tu mamy do czynienia? – spytał.

Wszystkie ślady ugryzień okazały się tak zasinione, że ledwo mogłam dojrzeć zarys zębów, więc jakakolwiek identyfikacja była niemożliwa. Nic nas nie wspomůže, za mało ich, żeby do czegokolwiek je dopasować.

Wzięłam wymaz śliny i zaczęłam robić zdjęcia, wyobrażając sobie jednocześnie, co mogło znaczyć dla mordercy gryzienie stóp i dłoni. Może jednak znał swą ofiarę? Czy jej ręce i stopy miały dla niego znaczenie symboliczne, przypominały mu, kim była, podobnie jak twarz?

– Więc zdawał sobie sprawę z tego, co znaczą takie dowody – zauważył Marino.

– Chyba wie, że po odciskach zębów można kogoś rozpoznać – odrzekłam, włączając wąż z wodą do obmycia ciała.

– Brrr. – Detektyw się wzdrygnął. – Zawsze robi mi się od tego zimno.

– Ona tego nie czuje.

– Mam nadzieję, że nie czuła tego wszystkiego, co się z nią działo.

– Myślę, że zanim zaczął, ona już nie żyła albo umierała, dzięki ci, Panie – powiedziałam.

Oględziny wykazały jeszcze jedną rzecz, która dodała sytuacji dramatyzmu. Kula, która weszła w szyję i przebiła tętnicę, uszkodziła rdzeń między piątym a szóstym kręgiem, paraliżując ofiarę natychmiast. Mogła oddychać i mówić, ale nie mogła się poruszyć, gdy ciągnął ją przez środek sklepu. Krew tryskała na półki, a Kim Luong nie mogła nawet rozłożonymi szeroko, nieruchomymi rękami ucisnąć rany. Wyobrażałam sobie przerażenie w jej oczach, słyszałam skamlenie, kiedy myślała, co dalej z nią zrobi morderca, i obserwowała własną śmierć.

– Cholerny drań – odezwałam się głośno.

– Żałuję, jak diabli, że przerzucili się na zastrzyki usypiające – powiedział Marino twardym, pełnym nienawiści głosem. – Takie gnoje powinny się smażyć. Albo dusić się oparami cyjanku, aż gały im będą wyłazić. A my wysyłamy ich na miłą drzemkę.

Szybko wykonałam skalpelem rutynowe nacięcie w kształcie litery „Y”, od obojczyków do mostka i w dół aż do miednicy.

– Uważasz, że mogłabyś włożyć mu tę igłę w rękę? Mogłabyś włączyć gaz albo przywiązać go do krzesła i wcisnąć guzik? – Nie odpowiadałam. – Dużo o tym myślę – ciągnął.

– Nie zastanawiałabym się nad tym.

– Wiem, że mogłabyś to zrobić. – Nie chciał zostawić sprawy w spokoju. – I wiesz co jeszcze, myślę, że nawet by ci to odpowiadało, tylko byś się nie przyznała, nawet przed sobą. Czasem naprawdę chcę kogoś zabić.

Spojrzałam na niego. Krew zachlapała mu osłonę na twarz i zaplamiła długie rękawy fartucha.

– Teraz rzeczywiście mnie zaniepokoiłeś – przyznałam się, bo tak naprawdę było.

– Wiesz, myślę, że wielu ludzi to odczuwa, tylko się nie przyznają. Serce i płuca miała w granicach normy.

– Uważam, że większość ludzi tego nie odczuwa.

Marino stawał się coraz bardziej wojowniczy, jakby wściekłość z powodu tego, co przydarzyło się Kim Luong, sprawiła, że czuł się równie bezbronny.

– Myślę, że też Lucy tak to odczuwa – powiedział.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. – Myślę, że tylko czeka na okazję. I jeżeli tego z siebie nie wyrzuci, skończy jako kelnerka.

– Uspokój się, Marino.

– Prawda w oczy kole, co? Ja przynajmniej się do tego przyznaję. Weźmy tego gnoja, który to zrobił. Ja bym go przypiął do krzesła, nogi w kajdanki, wsadziłbym mu pistolet w usta i zapytał, czy ma ortodontę, bo mu się przyda.

Jej śledziona, nerki, wątroba również były w granicach normy.

– Potem bym przyłożył do oka i kazał sprawdzić, czy muszę przeczyścić wnętrze lufy.

Wewnątrz żołądka znajdowało się coś, co wyglądało na resztki kurczaka, ryżu oraz jarzyn i przypomniałam sobie plastikowy pojemniczek i widelec, które znaleziono w papierowej torbie obok torebki i płaszcza Kim Luong.

– Hej, a może bym sobie wyobraził, że jestem na strzelnicy i użył go jako tarczy, i zobaczył, jak mu się podoba...

– Przestań! – zawołałam. Umilkł w końcu. – Cholera, Marino, co w ciebie wstąpiło? – spytałam, trzymając w jednej ręce skalpel, w drugiej kleszcze.

Przez chwilę nic nie mówił i panowało między nami ponure milczenie, podczas gdy ja pracowałam, wynajdując mu różne zadania. W końcu powiedział:

– Ta dziewczyna, która wczoraj wieczorem podbiegła do karetki, była przyjaciółką Kim. Pracuje jako kelnerka w Shoney, studiuje wieczorowo. Mieszkały razem. Więc ta przyjaciółka wraca do domu po zajęciach, nie ma pojęcia, co się stało, a tu dzwoni telefon i jakiś kretyński reporter pyta: „Jaka była pani reakcja, kiedy się pani dowiedziała?” – Przerwał. Patrzył na otwarte ciało, pustą, ziejącą czerwienią klatkę piersiową, jasne żebra wystające z idealnie prostych pleców. Włączyłam piłę Strykera. – Zdaniem tej przyjaciółki nic nie wskazuje na to, żeby znała kogoś dziwnego, nikt nie nachodził jej w sklepie i nie straszył. Wcześniej, we wtorek, zadzwonił alarm przy tylnych drzwiach, ale to się często zdarzało. Ludzie zapominają,

że go włączyli – ciągnął, wpatrzony gdzieś w dal. – Jakby nagle wyskoczył gdzieś z piekła.

Zaczęłam przecinać czaszkę z licznymi pęknięciami i miejscami uderzonymi jakimś narzędziem czy narzędziami, których nie potrafiłam zidentyfikować. Gorący pył z kości poszybował w powietrze.

Rozdział 26

Wciągu przedpołudnia drogi rozmarzły na tyle, że inni pilni pracownicy naukowcy, przeraźliwie spóźnieni, zdołali dojechać do pracy. Postanowiłam obejść odpowiednie zespoły, bo umierałam z niecierpliwości.

Moim pierwszym przystankiem była Sekcja Biologii Sądowej, do której wstęp mieli jedynie posiadacze elektronicznych kart do zamków. Przychodzący nie wstępowali tu na pogawędkę. Szli korytarzem, widzieli przez szybę ludzi skupionych nad pracą i rzadko zaglądali bliżej. Przycisnęłam guzik intercomu, żeby dowiedzieć się, czy jest Jamie Kuhn.

– Poszukam go – odpowiedział czyjś głos.

Gdy tylko otworzyłam drzwi, Kuhn podał mi czysty, długi biały fartuch laboratoryjny, rękawice i maskę. Zanieczyszczenie było wrogiem DNA, zwłaszcza w epoce, kiedy każda pipeta, mikrotom, rękawiczka, lodówka, a nawet długopis użyty do podpisania naklejki mogły być zakwestionowane w sądzie. Stopień czystości w laboratoriach stał się niemal równy temu w sterylnych salach operacyjnych.

– Nie chcę ci tego robić, Jamie – powiedziałam.

– Zawsze pani tak mówi – odparł. – Proszę wejść.

Trzeba było minąć troje drzwi, a za każdymi z nich znajdowało się hermetycznie zamknięte pomieszczenie, w którym należało zmienić fartuch na nowy. Na podłogach leżał samoprzylepny papier pod buty. Proces ten

powtarzało się jeszcze dwukrotnie, aby mieć pewność, że nikt nie przeniósł żadnego czynnika zakażenia z jednej strefy do następnej.

Miejsce pracy stanowiła duża, jasna sala ze sterylnymi stołami, komputerami, łaźniami wodnymi i komorami z przepływem laminarnym. Pojedyncze stanowiska wyposażone były w starannie poustawiane pojemniki z olejem mineralnym, automatycznymi pipetami i polipropylenowymi probówkami w pojemnikach. Odczynniki, wyprodukowane z chemikaliów najwyższej jakości, jak w biologii molekularnej, otrzymywały numery identyfikacyjne poszczególnych partii i przechowywane były w małych pojemnikach z dala od chemikaliów ogólnego użytku.

Łańcuchowa reakcja polimeryzacji, czyli PCR, umożliwiała otrzymanie wyników badań DNA w ciągu kilku dni, a nie tygodni. Kuhn potrafił nawet, dzięki specjalnej metodzie STR, uzyskać wynik w ciągu jednego dnia. Oczywiście jeśli miał do dyspozycji hodowlę komórkową do testowania. W przypadku jasnych włosów, znalezionych przy niezidentyfikowanym mężczyźnie, takiej hodowli nie było.

– Straszna szkoda – powiedziałam. – Wygląda na to, że znalazłam ich więcej. Tym razem przyklejonych do ciała kobiety zamordowanej wczoraj wieczorem w Quik Cary.

– Chwileczkę? Czy ja dobrze słyszę? Włosy z ubrania Człowieka z kontenera są takie same jak znalezione na niej?

– Na to wygląda. Teraz widzisz, skąd ten pośpiech.

– Pani pośpiech wymaga jeszcze większego mojego – oświadczył – ponieważ te włosy nie są kocie. W ogóle nie są zwierzęce. To włosy ludzkie.

– Niemożliwe! – zawołałam.

– Absolutnie tak.

Kuhn był młodym naukowcem, który nie przejmował się byle czym. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak rozbłysły mu oczy.

– Delikatne, bez pigmentu, szczątkowe – ciągnął. – Niemowlęce włosy. Zastanawiałem się, czy może facet ma w domu małe dziecko. Ale teraz, dwa przypadki? Te same włosy na zamordowanej kobiecie?

– Włosy niemowlęcia nie mają piętnastu czy osiemnastu centymetrów – powiedziałam. – A takie zebrałam z jej ciała.

– Może w Belgii dzieci mają dłuższe – odrzekł bez przekonania.

– Najpierw porozmawiajmy o niezidentyfikowanym mężczyźnie z kontenera. Skąd by się na nim wzięły niemowlęce włosy? – spytałam. – Nawet jeśli gdzieś tam ma dziecko? I nawet gdyby to było możliwe, że włosy dziecka są takie długie?

– Nie wszystkie są długie. Niektóre nawet bardzo krótkie. Takie jak zarost przed goleniem.

– Czy któreś z nich zostały usunięte siłą? – spytałam.

– Nie widzę żadnych korzeni z tkanką mieszkową o bulwiastym kształcie, charakterystycznym dla włosów naturalnie wypadających. Dlatego nie mogę określić DNA.

– Ale niektóre były zgolone lub obcięte? – myślałam głośno.

– To prawda. Niektóre były obcięte, inne nie. Tak jak te dziwne modne fryzury, widziała je pani? Krótkie włosy na czubku, długie, zwisające po bokach.

– Ale u niemowlęcia czegoś takiego nie widziałam.

– A może miał trojaczki, pięcioraczki, sześcioraczki, bo żona brała środki hormonalne? – zastanawiał się Kuhn. – Włosy byłyby takie same, lecz pochodziłyby od różnych dzieci, więc mogłyby być różnej długości. DNA też wyszłoby takie samo. – U jednojajowych bliźniąt, trojczków, sześcioraczek DNA jest identyczne, tylko odciski palców są inne. – Pani

doktor – podsumował Kuhn – mogę tylko powiedzieć, że optycznie włosy są takie same, innymi słowy, mają taką samą morfologię.

– Cóż, włosy znalezione na ciele tej kobiety też optycznie są takie same.

– Nie ma żadnych krótkich, jakby były obcięte?

– Nie.

– Przykro mi, że nie mam pani nic więcej do zakomunikowania.

– Wierz mi, Jamie, powiedziałaś mi bardzo wiele. Nie wiem tylko, co to wszystko oznacza.

– Jak pani to wykombinuje – usiłował się pocieszyć – napiszemy razem artykuł.

Następnie próbowałam szczęścia w laboratorium śladów. Nie powiedziałam nawet „cześć” Larry’emu Posnerowi. Pochylony był nad mikroskopem, który miał zapewne lepszą ostrość niż spojrzenie Posnera, gdy podniósł na mnie wzrok.

– Larry – odezwałam się – wszystko diabli biorą.

– Zawsze tak było.

– Co z naszym niezidentyfikowanym facetem? Nic? – spytałam. – Bo muszę ci się przyznać, że błędzę po omacku.

– Ulżyło mi. Już myślałem, że chce pani coś na temat swojej damy z dołu – odrzekł. – I miałem pani powiedzieć, że nie jestem Merkurem ze skrzydełkami u stóp.

– Może być związek między tymi dwiema sprawami. Na obu ciałach znaleziono te same dziwne włosy. To ludzkie włosy, Larry.

Zastanawiał się nad tym dłuższą chwilę.

– Nie rozumiem – oświadczył w końcu. – I przykro mi to mówić, ale nie mam nic równie dramatycznego do przekazania pani.

– A masz coś w ogóle?

– Zaczniemy od próbek ziemi z kontenera. Pod mikroskopem spolaryzowanego światła znaleźliśmy to, co zwykle: kwarc, piasek, diatomit, krzemień i pierwiastki, takie jak żelazo i aluminium. Mnóstwo śmieci. Szkło, okruchy farby, pozostałości jarzyn, sierść gryzoni. Można sobie wyobrazić, co znajduje się w środku takiego kontenera. I wszędzie okrzemki. Lecz co mnie uderzyło, gdy badałem te z podłogi i z powierzchni ciała oraz z ubrania, to mieszanina. Są mieszaniną okrzemek, czyli diatomów, z wody słonej i słodkiej.

– To ma sens, skoro statek rozpoczął rejs na rzece Scheldt w Antwerpii, a potem znalazł się na oceanie – zauważyłam.

– Ale po wewnętrznej stronie ubrania? Tam występuje wyłącznie woda słodka. Nie jest to możliwe, chyba że prał ubranie, buty, skarpetki i nawet bieliznę w rzece, jeziorze czy czymś takim. Nie spodziewałbym się jednak, żeby ktoś prał ciuchy od Armaniego i buty ze skóry krokodyla w rzece czy jeziorze albo żeby w tych rzeczach pływał. Wygląda na to, że ma okrzemki z wód słodkich na skórze, co jest dziwne, a mieszaninę z wód słodkich i słonych na wierzchu, czego można się w tych warunkach spodziewać. Wie pani, chodził po doku, w powietrzu są okrzemki z wód słonych, które dostają się na ubranie, ale nie pod nie.

– A co z kręgami szyjnymi? – spytałam.

– Woda słodka. Jak w przypadku utonięcia w słodkiej wodzie, może w rzece w Antwerpii. Na włosach tylko okrzemki z wód słodkich. Ani śladu słonej. – Posner potarł oczy, jakby były bardzo zmęczone. – To mi w ogóle mózg wykręca. Okrzemki, które do siebie nie pasują, dziwaczne włosy niemowlęce i kręgi szyjne w słodkowodnych diatomach. Jak lody Oreo. Z jednej strony waniliowe, z drugiej czekoladowe, w środku polewa waniliowo-czekoladowa i kapka waniliowych na czubku.

– Daruj sobie te porównania, Larry. Już mam dosyć namieszane w głowie.

– Więc jak to pani wyjaśni?

– Mogę tylko zaproponować scenariusz.

– Niech pani strzela.

– Mógłby mieć tylko okrzemki z wód słodkich we włosach, gdyby miał całą głowę zanurzoną w wodzie – powiedziałam. – Gdyby na przykład włożył głowę do beczki ze słodką wodą na dnie. Jak się komuś tak zrobi, to nie może się wydostać. Jak małe dzieci, które wpadają głową do wiader z wodą, takich dużych, plastikowych, po detergentach. Te pojemniki sięgają dzieciakom do pasa i są bardzo stabilne, nie da się ich przewrócić. Albo mógł zostać utopiony w normalnej wielkości wiadrze z wodą, jeśli ktoś go przytrzymał.

– Będę miał straszne sny – powiedział Posner.

– Nie siedź tutaj tak długo, aż znów drogi zamarzną – ostrzegłam go.

Marino odwiózł mnie do domu. Zabrałam ze sobą słoik z formaliną, bo wciąż miałam nadzieję, że umieszczony w nim skrawek skóry jeszcze coś mi powie. Postawię go na biurku w gabinecie i co jakiś czas będę wkładała rękawiczki i oglądała go przy różnym świetle – jak archeolog, próbujący odczytać wytarte symbole z kamienia.

– Wejdiesz? – spytałam mego przyjaciela.

– Wiesz, pager mi coś pokazuje i nie mogę wykombinować, kto to – powiedział, zmieniając bieg w ciężarówce.

– Może byś zapalił światełko nad głową i popatrzył uważnie – poradziłam.

– Pewnie jakiś kabel, taki napity, że nie może porządnie wybrać numeru – zbagatelizował sprawę. – Coś bym zjadł, jeżeli proponujesz. Potem muszę jechać.

Gdy weszliśmy do mojego domu, pager znów się odezwał. Detektyw odpiął go od paska i ustawił do światła, aż udało mu się odczytać numer na wyświetlaczu.

– Znów coś pokręcone! Co to jest pięć-trzy-jeden? Znasz coś, co ma takie cyfry? spytał zirytowany.

Numer domowy Rose odrzekłam.

Rozdział 27

Rose bardzo przeżyła śmierć męża. Później myślałam, że zupełnie się załamie, gdy musiała uśpić jednego ze swych chartów. Zawsze jednak znosiła cierpienie z godnością, podobnie jak się ubierała – elegancko i dyskretnie. Ale kiedy rano dowiedziała się z dziennika o zamordowaniu Kim Luong, wpadła w histerię.

– Żebym tylko, żebym tylko... – powtarzała w kółko, płacząc w oparciu fotela stojącego przy kominku w jej niedużym mieszkaniu.

– Rose, przestań tak mówić – uspokajał ją Marino.

Moja sekretarka знаła Kim Luong, ponieważ często robiła zakupy w Quik Cary. Była tam również wczoraj wieczorem, prawdopodobnie wtedy, gdy morderca wciąż znajdował się w środku, bijąc i gryząc swoją ofiarę, i rozsmarowując jej krew wokół. Dzięki Bogu, że sklep był zamknięty.

Zaniosłam do jej saloniku dwa kubki herbaty żeńszeniowej i kawę dla Marina. Rose się trzęsła, twarz miała opuchniętą od płaczu, siwe włosy opadały jej na kołnierz płaszcza kąpielowego. Wyglądała jak zaniedbana staruszka z domu opieki.

– Nie włączałam wczoraj telewizora, bo czytałam. Więc nic nie widziałam i dopiero dzisiaj rano dowiedziałam się z radia. – Powtarzała nam tę samą historię na różne sposoby. – Nie miałam pojęcia, siedziałam w łóżku, czytałam i martwiłam się różnymi problemami w pracy. Głównie

Chuckiem. Ten chłopak jest kompletnie zwichrowany i coś kombinuje, a ja staram się to udowodnić.

Postawiłam przed nią herbatę.

– Rose – odezwał się Marino. – Porozmawiamy o Chucku innym razem. Najpierw musisz nam dokładnie powiedzieć, co się wydarzyło...

–Ale musicie najpierw mnie wysłuchać! – wykrzyknęła. – Kapitanie Marino, doktor Scarpetta musi tego posłuchać! Ten chłopak jej nienawidził. Nienawidzi całej naszej trójki. Próbuję właśnie pani wytłumaczyć, że trzeba się go pozbyć, zanim będzie za późno.

– Zajmę się tym, gdy tylko... – zaczęłam.

Potrząsnęła głową.

– To jest zło w ludzkim ciele. Uważam, że albo on, albo ktoś z nim związany mnie śledził – oświadczyła. – Może nawet siedział w tym samochodzie, który pani widziała na moim parkingu i w tym, który jeździł za panią. Skąd pani wie, że nie wypożyczył pod fałszywym nazwiskiem auta, żeby nie musiał użyć własnego i nie zostać zaraz rozpoznany? Skąd pani wie, że to nie był ktoś, z kim on współpracuje?

– Zaraz, zaraz – przerwał jej Marino, podnosząc rękę. – Dlaczego miałyby kogoś śledzić?

– Narkotyki – odpowiedziała, jakby była o tym przekonana. – W ostatni poniedziałek przywieźli przypadek przedawkowania i tak się złożyło, że przyszedłam półtorej godziny wcześniej, bo podczas przerwy obiadowej chciałam się wybrać do fryzjera.

Nie wierzyłam, że Rose przysłała wyjątkowo wcześniej przez przypadek. Poprosiłam ją, żeby pomogła mi wykryć, co kombinuje Ruffin i oczywiście uznała to za swoją życiową misję.

– Pani wtedy nie było – ciągnęła Rose. – I gdzieś pani zapodziała swój notes, wszędzie go szukaliśmy, ale bez powodzenia. W poniedziałek więc

uparłam się, żeby go znaleźć, bo wiedziałam, jak pani jest potrzebny. Pomyślałam, żeby jeszcze raz sprawdzić w prosektorium. Poszłam tam, zanim jeszcze zdjęłam płaszcz, i patrzę, a o szóstej czterdzieści pięć rano Chuck siedzi przy biurku z liczarką pigułek i dziesiątkami buteleczek. Wyglądał, jakbym go przyłapała ze spuszczoneymi spodniami. Spytałam, dlaczego zjawił się tak wcześnie, a on oświadczył, że zanosí się na ciężki dzień, więc chciał dobrze go zacząć.

– Czy jego samochód stał na parkingu? – spytał Marino.

– On parkuje z tyłu – wyjaśniłam. – Nie byłoby widać jego auta z naszego budynku.

– Lekarstwa pochodziły z przypadku doktora Fieldinga – opowiadała dalej Rose – i z ciekawości zajrzałam do sprawozdania. Ta kobieta trzymała w domu chyba wszystkie znane ludziom tabletki. Uspokajające, przeciwdepresyjne, narkotyki. W sumie jakieś tysiąc trzysta pigułek, uwierzycie?

– Ja, niestety, wierzę – odrzekłam.

Przedawkowania i samobójstwa, jakie do nas trafiają, to rezultat zbierania środków na receptę miesiącami, a nawet latami. Kodeina, percocet, morfina, metadon, PDC, valium, żeby wymienić zaledwie kilka. To było niezwykle nużące zajęcie, żeby policzyć wszystkie tabletki i sprawdzić, ile powinno być w buteleczce, a ile zostało.

– A więc kradł te leki, zamiast je wyrzucać do zlewu – stwierdził Marino.

– Nie mogę tego udowodnić – odpowiedziała Rose. – Ale w poniedziałek nie było tak strasznie dużo pracy, jak zwykle. To przedawkowanie okazało się jedynym przypadkiem. Chuck unikał mnie potem, jak tylko mógł, lecz za każdym razem, kiedy wraz ze zwłokami

przychodziły lekarstwa, zastanawiałam się, czy nie lądują w jego kieszeni, zamiast w zlewie.

– Możemy zainstalować kamerę tam, gdzie jej nie zobaczy. Macie już jakieś kamery w salach. Jeżeli dalej będzie to robił, to go przyłapiemy – zaproponował Marino.

– Jeszcze mi tego brakowało – powiedziałam. – Wyobrażacie sobie, co by o tym mówiono? A jeżeli jeszcze jakiś dociekliwy reporter dokopałby się do mojej rzekomej odmowy kontaktów z rodzinami ofiar albo do porad w kąciku doktor Kay w Internecie i podstępного spotkania z Diane Bray na parkingu...

Zaczęła mnie ogarniać jakaś paranoja i musiałam zrobić głęboki oddech. Marino mnie obserwował.

– Nie myślisz chyba, że Bray ma z tym coś wspólnego? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tylko w tym sensie, że pomogła Chuckowi wkroczyć na drogę, na której się znalazł. Sam mi powiedział, że im gorsze rzeczy robi, tym łatwiej mu idzie.

– Myślę, że Chuckie działa na własną rękę, jeśli chodzi o te lekarstwa. To za łatwe, żeby taka szuja mogła się oprzeć pokusie. Jak te gliny, co nie mogą się oprzeć wsunięciu do kieszeni zwitka banknotów przy akcjach antynarkotykowych i innych takich. Takie leki jak lortabs, lorcet, nie mówiąc o percoecie, chodzą na ulicy po dwa do pięciu dolców za działkę. Ciekaw tylko jestem, gdzie to upłynnia.

– A nie można by się dowiedzieć od jego żony, czy dużo wychodzi sam wieczorami – zaproponowała Rose.

– Kotku – odpowiedział Marino – źli ludzie robią takie rzeczy w świetle dnia.

Wydawała się nieco zakłopotana, jakby obawiała się, że jej zdenerwowanie doprowadziło do tego, iż przeczucia uznała za uzasadnione przekonanie. Marino wstał, żeby nalać sobie jeszcze kawy.

– Myślisz, że cię śledzi, bo podejrzewasz go o handel lekami? – spytał moją sekretarkę.

– Wydaje mi się to teraz przesadzone, kiedy zastanawiamy się nad całą tą sprawą.

– Może to być ktoś związany z Chuckiem, jeśli chcemy iść tym śladem. I niczego nie powinniśmy odrzucać – oświadczył detektyw. – Jeśli Rose wie, ty też – zwrócił się do mnie – Chuck na pewno się zorientuje.

– Jeżeli jest to związane ze sprzedażą leków, to jaki miałby motyw, żeby nas śledzić? Chce nam zrobić przykrość? Nastraszyć nas? – spytałam.

– To mogę ci zagwarantować – odezwał się Marino z kuchni. – Związał się z ludźmi, którzy grają w znacznie wyższej lidze. I nie mówimy tu o małych sumach. Pomyślcie, ile tych pigułek trafia do was z niektórymi ciałami. Policjanci muszą oddawać każdą buteleczkę, jaką znajdą. Pomyślcie, ile można znaleźć resztek lekarstw przeciwbólowych i innych w apteczce przeciętnego klienta waszego biura. – Wrócił do saloniku, usiadł i zaczął dmuchać w kawę, jakby to rzeczywiście przyśpieszało jej stygnięcie.

– Dodajcie do tego leki, jakie aktualnie zażywali lub powinni zażywać, i co się okaże? Że jedynym powodem, dla którego nasz chłoptaş potrzebuje tej pracy w prosektorium, jest kradzież leków. Może mieć to związek z faktem, że chętnie wykonuje taką gównianą robotę przez ostatnich kilka miesięcy.

– Zarobiłby tysiące dolarów tygodniowo – powiedziałam.

– Myślisz, że może mieć coś wspólnego z innymi osobami w twoim urzędzie, które robią to samo? Oni dają mu piguły, a on im odpala udział.

– Nie mam pojęcia.

– Masz cztery filie w terenie. Gdyby tak kraść lekarstwa we wszystkich, można zagarnąć niezły szmal – mówił dalej Marino. – Do diabła, przecież ten gówniarz może nawet mieć kontakty z przestępczością zorganizowaną. Jeszcze jedna pszczołka, znosząca urobek do ula. Problem w tym, że to nie zakupy w Wal-Mart. Jemu się wydaje, że tak łatwo jest robić interesy z facetem w eleganckim garniturze czy ze sprytną kobietką. Ta osoba przekazuje towar dalej, do następnej w łańcuchu. W końcu zaś jest zamieniany na broń w Nowym Jorku.

Albo w Miami, pomyślałam.

– Dzięki Bogu, że nas na to uczuliłaś, Rose – powiedziałam. – Ostatnia rzecz, jakiej bym chciała, to taka afera w naszym biurze. Przecież te leki mogą się znaleźć w rękach ludzi, którzy skrzywdzą, a może nawet zabiją innych.

– Nie mówiąc o tym, że dni Chucka są zapewne policzone – dodał Marino. – Tacy jak on zwykle nie żyją długo. – Wstał i przesiadł się na drugi koniec kanapy, bliżej mojej sekretarki. – No więc, Rose – zapytał łagodnie – dlaczego uważasz, że to, co nam właśnie powiedziałaś, ma coś wspólnego z zamordowaniem Kim Luong?

Zrobiła głęboki wdech i zgasiła stojącą obok lampę, jakby raziała ją w oczy. Ręce tak jej się trzęsły, że kiedy wzięła kubek, rozlała trochę herbaty. Wytarła plamę papierową chusteczką.

– Wczoraj wieczorem, w drodze z pracy do domu, postanowiłam kupić kruche ciasteczka i jeszcze kilka rzeczy – wyjaśniła, znów drżącym głosem.

– Czy wiesz dokładnie, która to była godzina? – wtrącił Marino.

– Niezbyt dokładnie, ale chyba za dziesięć szósta.

– Ustalmy, czy dobrze zrozumiałem – powiedział, robiąc notatki. – Zatrzymałaś się przy Quik Cary około szóstej wieczorem. Czy sklep był zamknięty?

– Tak, co mnie trochę zezłościło, bo powinni pracować co najmniej do szóstej. Byłam zła, a teraz mam wyrzuty sumienia. Ona tam leżała martwa, a ja byłam zła, że nie mogę kupić ciasteczek... – zachlipała.

– Czy widziałaś samochody na parkingu? A może jakąś osobę lub osoby?

– Nie.

– Pomyśl uważnie, Rose, czy coś cię tam uderzyło?

– Tak i właśnie do tego dochodzę. Zobaczyłam z daleka, że sklep jest zamknięty, bo światła były pogaszone, więc skręciłam w zatoczkę, żeby zawrócić, a wtedy zobaczyłam napis „zamknięte”. Wróciłam więc na Libbie i dojechałam najwyżej do sklepu ABC, kiedy nagle pojawił się za mną samochód z włączonymi długimi światłami.

– Czy kierowałaś się w stronę domu? – zapytałam.

– Tak. I naprawdę nic bym sobie nie pomyślała, dopóki nie skręciłam w Grove, a on też tam skręcił, zaraz za moim zderzakiem, prawie mnie oślepiając tymi swoimi reflektorami. Auta jadące w przeciwnym kierunku mrugały do niego na wypadek, gdyby zapomniał, że ma włączone długie światła. Ale on wyraźnie chciał je mieć.

– Nie rozpoznałaś, jaki to był samochód? Widziałaś coś?

– Byłam niemal całkiem oślepiąca i bardzo zdenerwowana. Natychmiast przypomniałam sobie tamten samochód na moim parkingu we wtorek wieczorem, kiedy pani u mnie była – powiedziała do mnie. – I jak pani mi mówiła, że za panią jechali. Zaczęłam myśleć o Chucku i narkotykach, i okropnych ludziach, którzy się tym zajmują.

– No więc jedziesz wzdłuż Grove... – Marino wrócił do tematu.

– Oczywiście przejechałam obok swojej kamienicy i starałam się wymyślić, dokąd pojechać, żeby się go pozbyć. Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy, ale nagle zjechałam na lewo i zrobiłam zwrot do tyłu.

Dotarłam do końca Grove i skręciłam w lewo, a on wciąż za mną. Następny zjazd w prawo to był Country Club, więc skierowałam się tam i podjechałam wprost pod wejście, przy którym stali portierzy. Oczywiście ten ktoś znikł.

– Cholernie sprytnie to zrobiłaś – pochwalił ją Marino. – Cholernie. Ale dlaczego nie zawiadomiłaś policji?

– To by nic nie dało. Nie uwierzyliby mi, a ja nie mogłabym podać żadnych szczegółów.

– Trzeba było chociaż do mnie zadzwonić – powiedział detektyw. – A potem dokąd pojechałaś? – zapytałam.

– Tutaj.

– Rose, to nieostrożne – odrzekłam. – A co by było, gdyby gdzieś tu czekał na ciebie?

– Nie mogłam jeździć całą noc, a poza tym wróciłam do domu inną drogą.

– Wiesz mniej więcej, o której zniknął? – chciał wiedzieć Marino.

– Gdzieś między szóstą a szóstą piętnaście. O Boże, nie mogę w to uwierzyć, że kiedy zatrzymałam się przed sklepem, ona tam była. A może on też? Żebym wtedy wiedziała! Nie mogę przestać myśleć o tym, że powinnam była coś zauważyć. Może nawet we wtorek wieczorem, kiedy robiłam zakupy.

– Rose, nie mogłabyś niczego zobaczyć, chyba że byłabyś Cyganką z kryształową kulą – przekonywał ją Marino.

Znów odetchnęła głęboko i owinęła się ciasniej szlafrokiem.

– Nie mogę się rozgrzać – powiedziała. – Kim była taką miłą dziewczyną. – Znów przerwała i twarz ściągnęła jej się z bólu. Zebrane w oczach łzy nareszcie popłynęły. – Nigdy nie odezwała się nieuprzejmie do nikogo i tak ciężko pracowała. Jak ktoś mógł coś takiego zrobić! Chciała

zostać pielęgniarzką! Zamierzała spędzić życie, pomagając ludziom! Pamiętam, jak się martwiłam, że siedzi tak późno w tym sklepie sama. O, Boże, nawet tak sobie pomyślałam, kiedy tam byłam we wtorek, ale nic nie mówiłam! – Głos jej zamarł, jakby spadła ze schodów. Podeszłam, przyklękłam i objęłam ją. – To tak jak wtedy, kiedy Sassy źle się czuła i była taka apatyczna, a ja myślałam, że po prostu zjadła coś, co jej zaszkodziło...

– W porządku, Rose. Wszystko będzie dobrze – powiedziałam.

– I okazało się, że połknęła jakiś kawałek szkła... Moje maleństwo miało wewnętrzny krwotok... A ja nic nie zrobiłam.

– Nie wiedziałaś. Nie możemy wiedzieć wszystkiego. – Ja też poczułam skurcz bólu.

– Żebym tylko poszła z nią wcześniej do weterynarza... Nigdy, nigdy sobie tego nie wybaczę. Takie biedactwo, najpierw uwięziona w klatce i w kagańcu, a jakiś potwór ją czymś bił, złamał jej nos... w tej cholernej ciężarówce dla psów! Potem ja pozwoliłam jej cierpieć i umrzeć!

Płakała, jak gdyby nad całym złem tego świata, które kiedykolwiek się wydarzyło. Przytrzymałam jej zaciśnięte pięści w dłoniach.

– Rose, posłuchaj mnie – powiedziałam. – Uratowałaś Sassy przed piekłem, tak jak uratowałaś inne psy. Nie mogłaś zrobić dla niej nic więcej, podobnie jak nie mogłaś zrobić niczego, kiedy zatrzymałaś się, aby kupić ciasteczka. Kim już wtedy nie żyła Nie żyła od kilku godzin.

– A co z nim? – zawołała. – A jeżeli on wciąż był w sklepie i wyszedłby właśnie, kiedy się zatrzymałam? Ja bym już też nie żyła, prawda? Zastrzelona i wyrzucona gdzieś jak śmieć. Albo ze mną też zrobiłby coś straszego.

Przymknęła oczy wyczerpana. Łzy ciekły jej po twarzy, była wyraźnie osłabiona po tym wszystkim. Marino pochylił się i dotknął jej kolana.

– Musisz nam pomóc – powiedział. – Musimy wiedzieć, dlaczego uważasz, że morderstwo i fakt, że byłaś śledzona, mają ze sobą jakiś związek.

– A może byś pojechała ze mną do domu? – zaproponowałam.

Oczy jej się rozjaśniły i zaczęła odzyskiwać zwykłe opanowanie.

– Ten samochód, który pojawił się za mną właśnie tam, gdzie została zamordowana Kim. Dlaczego nie jechał za mną wcześniej? – spytała. – I to godzinę czy półtorej godziny wcześniej, nim włączył się alarm. Nie uważacie tego za zdumiewający zbieg okoliczności?

– Pewnie, że tak – odrzekł Marino. – Ale w mojej pracy widziałem mnóstwo zdumiewających zbiegów okoliczności.

– Czuję się idiotycznie – wyznała Rose, patrząc na swoje ręce.

– Wszyscy jesteśmy zmęczeni – powiedziałam. – Mam dużo miejsca...

– Musimy przyskrzynić Chuckiego za te lekarstwa – zwrócił się do niej Marino. – Nie ma w tym nic idiotycznego.

– Zostanę tutaj i pójdę do łóżka – oświadczyła.

Gdy schodziliśmy po schodach i dalej na parking, zaczęłam sobie układać w głowie wszystko, co powiedziała Rose.

– Słuchaj – odezwał się Marino, otwierając samochód – spędzasz z Chuckiem dużo więcej czasu niż ja. Znasz go znacznie lepiej i tym gorzej dla ciebie.

– Więc masz zamiar mnie zapytać, czy to on jeździ za nami wynajętym samochodem – dokończyłam, gdy cofnął ciężarówkę i wyjechał na Randy Travis. – Odpowiedź brzmi „nie”. Jest donosicielem, kłamczuchem i złodziejem, ale to tchórz. Trzeba mieć dużo pewności siebie, żeby bezczelnie za kimś: jechać na długich światłach. Ten, kto to robi, sprawia wrażenie bardzo pewnego siebie. Nie boi się, że go złapią, bo uważa, że jest na to za sprytny.

– To jak definicja psychopaty. I teraz jeszcze gorzej się czuję. Cholera. Nie chcę myśleć, że facet, który załatwił Luong, to ten sam, co śledzi ciebie i Rose.

Ulice znów zamarzyły i kierowcy, zupełnie ogłupiali, ślizgali się i kręcili wszędzie. Marino miał włączoną policyjną krótkofalówkę i słuchał zgłoszeń o wypadkach.

– Kiedy masz zamiar oddać ten interes? – spytałam.

– Kiedy przyjdą i spróbują mi go odebrać – odparł. – Nie będę się babrał w gównie.

– To rozumiem.

– Najgorsze w każdym przypadku, nad którym pracowaliśmy, jest to, że nigdy nie dzieje się jedna rzecz – powiedział. – Gliny starają się połączyć tyle wątków, że zanim rozwiążemy sprawę, moglibyśmy napisać biografię ofiary. W połowie przestępstw znajdujemy fakty, które w ogóle nie łączą się z tym, co zaszło. Na przykład facet, który się wściekł na żonę. Ona wylatuje z domu zła i kończy zgwałcona i zamordowana na parkingu przed supermarketem. Przecież nie przez męża to się stało, bo pewnie i tak wybierała się do tego sklepu.

Skręcił na mój podjazd i zaparkował. Popatrzyłam na niego.

– Marino, co masz zamiar zrobić z pieniędzmi?

– Poradzę sobie.

Wiedziałam, że to nieprawda.

– Mógłbyś mi na razie pomagać jako detektyw terenowy – zaproponowałam. – Dopóki nie skończy się to idiotyczne zawieszenie.

Milczał. Dopóki Bray tu będzie, nigdy się nie skończy. Zawieszenie kapitana w czynnościach i niepłacenie mu pensji było jej metodą, aby zmusić go do rezygnacji. Gdyby sam odszedł, nie stałby już jej na drodze, podobnie jak Al Carson.

– Mam dwie możliwości zatrudnienia cię – ciągnęłam. – Do konkretnej sprawy i wtedy dostawałbyś pięćdziesiąt dolarów na...

– Pięćdziesiąt dolarów, też coś! – prychnął.

– Albo mogę cię zatrudnić na część etatu, a potem będę musiała ogłosić konkurs na to stanowisko i będziesz się musiał zgłosić, jak każdy inny.

– Niedobrze mi się robi.

– Ile teraz zarabiasz?

– Sześćdziesiąt dwa plus dodatki – odpowiedział.

– Ja mogłabym cię najwyżej umieścić w tabeli P-czternaście, trzydzieści godzin tygodniowo. Bez dodatków. Trzydzieści pięć rocznie.

– To dobre. Najśmieszniejsza rzecz, jaką ostatnio słyszałem.

– Mogę cię jeszcze zaangażować jako instruktora i koordynatora w dziale badania śmierci w instytucie. To następne trzydzieści pięć. Bez dodatków, ale w sumie pewnie byś wyszedł na tym lepiej.

Myślał przez chwilę, wciągając dym.

– Nie potrzebuję na razie twojej pomocy – oświadczył w końcu dość niegrzecznie. – A kręcenie się koło lekarzy sądowych i trupów nie leży w moich planach życiowych.

Wygrzebałam się z ciężarówki.

– Dobranoc – powiedziałam.

Odjechał z rykiem silnika, ale wiedziałam, że to nie na mnie się złościł. Był sfrustrowany i wściekły. Zaatakowano jego poczucie godności i obnażono jego wrażliwość w mojej obecności, a nie chciał, żebym o tym wiedziała. Mimo wszystko jednak to, co powiedział, sprawiło mi przykrość.

Rzuciłam płaszcz na krzesło w przedpokoju i zdjęłam rękawiczki. Włączyłam płytę z „Eroicą” Beethovena i moje skołatane nerwy zaczęły się uspokajać zgodnie z rytmem muzyki. Zjadłam omlet, a potem położyłam się do łóżka z książką, ale byłam zbyt zmęczona, żeby czytać.

Zasnęłam przy zapalonym świetle i obudziłam się przerażona dźwiękiem mojego alarmu przeciwwłamaniowego. Wyjęłam z szuflady glocka i opanowałam chęć natychmiastowego wyłączenia alarmu. Nie mogłam znieść przeraźliwego pisku, ale nie wiedziałam, co go uruchomiło. Po kilku minutach zadzwonił telefon.

– Tu służba alarmowa...

– Tak, tak – powiedziałam głośno. – Nie wiem, dlaczego się włączył.

– U nas pokazało strefę piątą – odezwał się męski głos. – Tylne drzwi, kuchenne.

– Nie mam pojęcia.

– Więc pewnie chce pani, żebyśmy wysłali policję.

– Chyba tak – odrzekłam, a alarm w moim domu dalej wył.

Rozdział 28

Przypuszczałam, że może silny wiatr uruchomił sygnał, więc po kilku minutach wyłączyłam go, żeby słyszeć nadjeżdżającą policję. Usiadłam na łóżku i czekałam. Nie odbyłam rutynowej wędrówki po całym domu, sprawdzając każdy zakamarek, każdą łazienkę, wszystkie obszary strachu.

Słuchałam ciszy i zaczęłam rozróżniać w niej poszczególne dźwięki. Usłyszałam wiatr, cichutkie tykanie cyfrowego zegara, nawiew ciepłego powietrza i własny oddech. Na podjeździe zatrzymał się jakiś samochód i pośpieszyłam do frontowych drzwi, gdy jeden z funkcjonariuszy mocno zastukał pałką, zamiast zadzwonić.

– Policja – oświadczył zdecydowany damski głos.

Wpuściłam ich. Było ich dwoje, młoda kobieta i starszy mężczyzna. Nazwisko kobiety według przypiętego identyfikatora brzmiało J.F. Butler i było w niej coś, co od razu zwróciło moją uwagę.

– Chodziło o strefę drzwi kuchennych, które prowadzą na podwórko – wyjaśniłam. – Dziękuję bardzo, że państwo tak szybko przyjechali.

– Jak się pani nazywa? – spytał jej partner, R.I. McElwayne.

Zachowywał się, jakby nie wiedział, kim jestem, jakbym była po prostu damulką w średnim wieku, w szlafroku, która mieszka sobie w ładnym domu w okolicy, gdzie rzadko potrzebna jest pomoc policji.

– Kay Scarpetta.

Rozluźnił się nieco i powiedział:

– Nie sądziłem, że pani naprawdę istnieje. Dużo o pani słyszałem, ale nigdy nie byłem w prosektorium, ani razu przez osiemnaście lat, z czego się bardzo cieszę.

– Bo wtedy nie trzeba było chodzić na pokazowe sekcje i uczyć się tych wszystkich naukowych rzeczy – wytknęła mu koleżanka.

McElwayne starał się opanować uśmiech, rozglądając się z ciekawością po moim domu. Policjantka Butler była cały czas czujna. Nie znudziła się jeszcze pracą, w przeciwieństwie do swego towarzysza, którego w tej chwili interesował tylko mój dom i to, kim jestem. Prawdopodobnie przyjeżdżał już tysiąc razy do fałszywych alarmów, wszystko za małe pieniądze i jeszcze mniejsze uznanie.

– Chcielibyśmy się rozejrzeć – zwróciła się do mnie Butler, zamykając drzwi wejściowe. – Zaczynając stąd.

– Proszę. Patrzcie wszędzie, gdzie chcecie.

– Może pani zostanie tutaj – poleciła, kierując się w stronę kuchni i wtedy coś mnie uderzyło, poruszając czułe struny.

Przypominała mi Lucy. Oczy, prosty nos, sposób gestykulacji. Lucy nie umiała poruszać ustami, nie wykonując jednocześnie ruchów dłońmi, jakby dyrygowała rozmową. Stałam w przedpokoju i słuchałam ich kroków, przytłumionych głosów, trzaśnięć drzwi. Robili to powoli i wyobrażałam sobie, że właśnie ona pilnowała, żeby nie przegapili żadnego miejsca, w którym mógłby ukryć się przestępca.

Zeszli po schodach i ruszyli wokół domu, świecąc silnymi latarkami po oknach i żaluzjach. Zajęło im to około piętnastu minut, a kiedy zapukali i weszli z powrotem, zaprowadzili mnie do kuchni. McElwayne chuchał na zmarznięte, czerwone ręce, jego koleżanka rozmyślała o czymś.

– Czy pani wie, że jest wgniecenie we framudze drzwi kuchennych? – spytała.

– Nie – odpowiedziałam zaskoczona.

Otworzyła drzwi w pobliżu stołu przy oknie, przy którym często jadałam, z przyjaciółmi lub sama. Powiało ostrym, mroźnym powietrzem, gdy zbliżyłam się, żeby zobaczyć, o czym mówiła. Oświetliła latarką małe wgniecenie na metalowej płytce od zamka i skraju drewnianej ramy, gdzie rzeczywiście ktoś próbował otworzyć drzwi.

– To mogło być tutaj od dawna, a pani nic nie zauważyła – powiedziała policjantka. – Nie sprawdzaliśmy tylnego wyjścia, kiedy pani alarm włączył się we wtorek, bo wtedy było to w strefie drzwi do garażu.

– Mój alarm włączył się we wtorek? – spytałam zdumiona. – Nic na ten temat nie wiem.

– Idę do samochodu – powiedział McElwayne do swej koleżanki, wychodząc z kuchni i wciąż rozcierając dłonie. – Zaraz wracam.

– Pracowałam na dziennej zmianie – wyjaśniła. – Wydaje się, że pani gosposia uruchomiła go przez pomyłkę.

Nie rozumiałam, dlaczego Marie miałyby uruchomić alarm w garażu, chyba że poszła tam z jakiegoś powodu i nie zwróciła uwagi na ostrzegawczy brzęczyk.

– Była bardzo przejęta – ciągnęła funkcjonariuszka Butler. – Nawet nie mogła sobie przypomnieć kodu, póki nie przyjechaliśmy.

– O której to było? – spytałam.

– Około jedenastej.

Marino nie mógł tego słyszeć przez swoją krótkofalówkę, bo o jedenastej znajdował się ze mną w prosektorium. Przypomniałam sobie, że alarm nie był włączony, kiedy wróciłam wieczorem, a na dywaniku widniały ślady błota i zauważyłam brudne ręczniki w łazience.

Zastanawiałam się, dlaczego Marie nie zostawiła mi wiadomości, co się stało.

– Nie mieliśmy powodu sprawdzać tych drzwi – wyjaśniła policjantka – więc nie mogę przysiąc, czy ten ślad był tu we wtorek, czy nie.

– Nawet jeśli nie – myślałam głośno – najwyraźniej ktoś starał się tu dostać.

– Jednostka trzy-dwadzieścia – powiedziała Butler. – Dziesięć-pięć do posterunku detektywów B i E.

– Jednostka siedem-dziewięćdziesiąt-dwa – padła odpowiedź.

– Czy możecie zareagować, B i E, w związku z usiłowaniami? – Podała mój adres.

– Dziesięć-cztery. Zabierze mi około piętnastu minut.

Postawiła radio na stole kuchennym i znów oglądała zamek. Powiew zimnego powietrza zdmuchnął na podłogę stos serwetek i poderwał gazety.

– Jedzie z Meadow and Cary – wyjaśniła, jakby było to coś, co powinnam wiedzieć. – Tam jest posterunek. – Zamknęła drzwi. – Nie są już teraz oddziałem detektywów – ciągnęła, obserwując moją reakcję. – Wszystkich ich przenieśli, należą do umundurowanych. Chyba tak z miesiąc temu – dodała i domyśliłam się, do czego zmierza.

– Przypuszczam, że detektywi z B i E podlegają teraz zastępczyni komendanta Bray – powiedziałam.

Zawahała się, po czym spytała z ironicznym uśmiechem:

– A czy wszyscy jej nie podlegają?

– Napije się pani kawy? – zaproponowałam.

– Byłoby miło. Ale nie chcę robić pani kłopotu.

Wyjęłam z zamrażalnika torebkę z kawą. Butler usiadła i zaczęła wypisywać zgłoszenie, a ja wyjęłam kubki, śmietankę i cukier. Słyszałam przekrzykujących się kodami w eterze dyspozytorów i policjantów.

Zadzwoił dzwonek i wpuściłam detektywa z B i E. Nie znałam go. Chyba już nikogo nie znałam, odkąd Diane Bray odsunęła dawnych ludzi od pracy, którą tak dobrze wykonywali.

– Czy to te drzwi? – zapytał detektyw policjantkę.

– Taa. Hej, Johnny, masz jakiś lepszy długopis?

Potworny ból zaczął mi rozsadzać głowę.

– Masz jakiś, który w ogóle pisze?

Nie mogłam uwierzyć w to, co się działo.

– Jaka jest pani data urodzenia? – spytał mnie McElwayne.

– Niewiele ludzi ma zamontowany alarm w garażu – powiedziała Butler.

– Moim zdaniem połączenia są słabsze niż w normalnych drzwiach. Lekki metal, duża powierzchnia. Wystarczy silniejszy poryw wiatru...

– Nigdy żaden wiatr nie włączył mi alarmu w garażu.

– Ale jeżeli ktoś jest włamywaczem i zorientuje się, że w domu jest alarm – kontynuowała swoje rozumowanie – może nie przypuszczać, że został też podłączony w garażu. A może tam być coś wartościowego.

– W biały dzień? – spytałam.

Detektyw posypywał futrynę proszkiem do wykrywania śladów, a tymczasem do środka wpadło zimne powietrze.

– Więc dobrze, pani doktor. – McElwayne dalej wypełniał raport. – Mam pani adres domowy, potrzebuję jeszcze ten do pracy oraz numery telefonów: służbowy i prywatny.

– Naprawdę nie chcę, żeby mój zastrzeżony numer znalazł się w pojemniku dostępnym dla prasy. – Starłam się opanować narastające uczucie niechęci do tego wtargnięcia, zamierzonego lub nie, w moje prywatne sprawy.

– Doktor Scarpetta, czy pani odciski palców są w katalogu? – spytał detektyw, brudząc podłogę czarnym proszkiem magnetycznym.

– Owszem, żeby móc je wykluczyć.

– Tak myślałem. Pewnie dotyczy to wszystkich lekarzy sądowych i koronerów, na wypadek gdyby dotykali czegoś, czego nie powinni – odrzekł, zapewne nie chcąc mnie obrazić, ale to zrobił.

– Czy pan rozumie, co mówię? – próbowałam nakłonić McElwayne’a, żeby spojrzał na mnie i posłuchał. – Nie chcę, żeby to było w gazetach. Nie życzę sobie, żeby jakikolwiek reporter czy Bóg wie kto jeszcze dzwonił do mnie do domu, znał mój dokładny adres, numer ubezpieczenia społecznego i datę urodzenia, rasę, płeć, miejsce urodzenia, wzrost, kolor oczu, najbliższą rodzinę.

– Czy zdarzyło się ostatnio coś, o czym powinniśmy wiedzieć? – przepytawał mnie dalej McElwayne, a Butler podała detektywowi taśmę.

– W środę wieczorem jechał za mną jakiś samochód – przyznałam się nie bez oporów.

Poczułam na sobie oczy ich wszystkich.

McElwayne wszystko zapisywał. Znów zadzwonił dzwonek i zobaczyłam Marina na wyświetlaczu nad lodówką.

– I żebym o tym nie przeczytała w gazetach – ostrzegłam, wychodząc z kuchni.

– Nie, proszę pani, to będzie w dodatkowym raporcie. On się nie dostanie do pojemnika z materiałami dla prasy – zadzwieczył za mną głos policjantki.

– Cholera, zrób coś – powiedziałam do Marina, otwierając mu drzwi.

– Ktoś się włamuje do mojego domu, a teraz na dodatek chcą naruszyć moją prywatność.

Z zapalem żuł gumę i patrzył na mnie, jakbym to ja popełniła przestępstwo.

– Byłoby miło, gdybyś dała znać, jak ktoś się do ciebie włamuje, a nie żebym musiał się o tym dowiadywać ze skanera – powiedział, kierując energiczne kroki w stronę dochodzących z kuchni głosów.

Miałam już dosyć i schroniłam się w gabinecie, żeby zadzwonić do Marie. Odebrało jakieś dziecko, a potem odezwała się ona.

– Właśnie się dowiedziałam, że włączył się alarm, jak byłaś tu we wtorek – zaczęłam.

– Bardzo przepraszam, proszę pani – powiedziała błagalnym tonem.

– Nie wiedziałam, co zrobić. Nic nie zrobiłam, żeby się włączył. Po prostu odkurzałam, a to się samo stało. Nie pamiętałam kodu, tak się wystraszyłam.

– W porządku, Marie – uspokoiłam ją. – Ja też się wystraszyłam. Dzisiaj wieczorem znów się włączył, więc cię rozumiem. Ale musisz mi mówić, kiedy coś takiego się zdarzy.

– Policja mi nie wierzyła. Jestem pewna. Powiedziałam im, że nie wchodziłam do garażu i i myślałam...

– W porządku – powtórzyłam.

– Bałam się, że pani będzie na mnie zła, bo policja... że może pani nie będzie już chciała, żebym tu pracowała. Powinnam pani powiedzieć. Zawsze będę. Obiecuję.

– Nie musisz się bać, Marie, policja nic ci nie robi. To nie jest tak, jak w twoim kraju. Chcę tylko, żebyś była bardzo ostrożna u mnie w domu.

Niech alarm będzie zawsze włączony i pilnuj, żeby działał, jak wychodzisz. Czy coś zauważyłaś nietypowego, może jakiś samochód?

– Pamiętam tylko, że padało i było bardzo zimno. Nikogo nie widziałam.

– Powiedz mi, jeśli coś zauważysz.

Rozdział 29

Dziwnym trafem dodatkowy raport na temat próby włamania do mojego domu dostał się do pojemnika przeznaczonego dla prasy i został wykorzystany w sobotnich wieczornych wiadomościach. Reporterzy zaczęli wydzwaniać do mnie i do Rose, wypytując, jak nas śledzono.

Nie miałam wątpliwości, że za tym drobnym przeoczeniem stała Diane Bray. Była to dla niej miła rozrywka w ten ponury, zimny weekend. Nic jej oczywiście nie obchodziło, że moja sześćdziesięcioletnia sekretarka mieszkała sama w osiedlu, w którym nie było strzeżonego wjazdu.

Późnym niedzielnym popołudniem siedziałam w dużym pokoju, ogień buzował w kominku, a ja pracowałam nad zaległym artykułem, do którego nie miałam serca. Nadal panowała obrzydliwa pogoda i nie mogłam się skoncentrować. W tej chwili Jo powinna już zostać przyjęta do naszego szpitala, a Lucy powinna być w Waszyngtonie. Nie wiedziałam tego na pewno. Pewna mogłam być jednego: moja siostrzenica była zła, a kiedy była zła, odsuwała się ode mnie. Mogło to trwać miesiącami, nawet cały rok.

Udało mi się uniknąć telefonu do matki i do mojej siostry Dorothy, co może się wydawać niewrażliwością z mojej strony, ale naprawdę nie zniosłabym już ani odrobiny więcej stresu. Złamałam się wczesnym

wieczorem w niedzielę; Dorothy nie było w domu, więc spróbowałam do mamy.

– Nie, Dorothy tu nie ma – odpowiedziała matka. – Jest w Richmondzie. Jakbyś sobie zadała trud i częściej telefonowała do swojej siostry czy matki, to byś wiedziała. Lucy jest zamieszana w strzelaninę, a ty nawet...

– Dorothy przyjechała do Richmondu? – spytałam z niedowierzaniem.

– A co myślałaś? Jest jej matką.

– Więc Lucy też jest w Richmondzie?

– Dlatego jej matka tam pojechała. Oczywiście, że Lucy jest w Richmondzie.

Nie wiem, dlaczego mnie to zdziwiło. Dorothy była narcystyczną artystką. Jeśli wyniknął jakiś dramat, musiała pokazać się w jego centrum. I chociaż oznaczało to nagłe wystąpienie w roli mamusi dziecka, o które nigdy przedtem nie dbała, Dorothy to zrobiła.

– Wyjechała wczoraj, ale nie chciała ci zawracać głowy i zatrzymać się w twoim domu, ponieważ rodzina nic cię nie obchodzi – mówiła dalej matka.

– Dorothy nigdy nie chce u mnie się zatrzymywać.

Moja siostra uwielbiała bary hotelowe. W moim domu nie było szansy na spotkanie mężczyzn, a w każdym razie takich, którymi chętnie bym się z nią podzieliła.

– Gdzie mieszka? – spytałam. – Czy Lucy jest z nią?

– Nikt mi nie chce nic powiedzieć, wciąż te tajemnice, a tutaj ja, jej babcia....

Nie mogłam już tego znieść.

– Mamo, muszę wyjść – przerwałam rozmowę.

O mały włos nie odłożyłam słuchawki pierwsza. Zaraz potem zadzwoniłam do szefa oddziału ortopedii, doktora Grahama Wortha, do

domu.

– Graham, musisz mi pomóc – powiedziałam.

– Tylko mi nie mów, że zmarł pacjent z mojego oddziału.

– Graham, wiesz, że nie prosiłabym cię o pomoc, gdyby to nie było coś bardzo ważnego.

Po dowcipie nastąpiła cisza.

– Masz pacjentkę przyjetą pod zmienionym nazwiskiem. Została postrzelona w Miami. Wiesz, o kogo chodzi. – Nie odpowiadał. – Moja siostrzenica, Lucy, uczestniczyła w tej samej strzelaninie – mówiłam dalej.

– Wiem o strzelaninie – odpowiedział. – Mówili o tym w wiadomościach.

– To ja poprosiłam przełożonego Jo Sanders, żeby ją przewieźli do naszej kliniki. Obiecałam osobiście się nią zainteresować, Graham.

– Posłuchaj, Kay. Poinstruowano mnie, że pod żadnym pozorem nie mogę zezwolić na wizytę nikogo poza najbliższą rodziną.

– Nikogo? – spytałam z niedowierzaniem. – Nawet mojej siostrzenicy?

Milczał przez chwilę, a potem oświadczył:

– Bardzo mi przykro ci to powiedzieć, ale zwłaszcza jej.

– Dlaczego? To wariactwo!

– To nie mój wymysł.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić reakcji Lucy na zakaz odwiedzenia ukochanej.

– Ma złamaną i zmiażdżoną lewą kość udową – wyjaśniał. – Musiałem jej wstawić płytkę. Jest na wyciągu, dostaje morfinę. Odzyskuje przytomność i znów ją traci. Tylko rodzice mogą ją widywać. Nie jestem pewien, czy w ogóle wie, gdzie jest i co się z nią stało.

– A co z raną głowy?

– Powierzchnowa, tylko zdarta skóra.

– Czy Lucy w ogóle tam była? Albo czekała przed salą? Mogła z nią być matka.

– Zjawiała się tam wcześniej. Sama – odrzekł doktor Worth. – Dzisiaj rano. Wątpię, żeby jeszcze była w szpitalu.

– To pozwól mi przynajmniej porozmawiać z rodzicami Jo. – Nie odpowiadał. – Graham? – Cisza. – Na miłość boską, one są partnerkami. Najlepszymi przyjaciółkami. – Wciąż cisza. – Jesteś tam?

– Tak.

– Do licha, Graham, one się kochają. Jo może w ogóle nie wiedzieć, czy Lucy żyje.

– Ranna doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że twoja siostrzenica ma się dobrze. Jo nie chce jej widzieć. – powiedział.

Skończyłam rozmowę i patrzyłam na telefon. Gdzieś w tym cholernym mieście moja siostra zameldowała się w hotelu i wie, gdzie jest Lucy. Zaczęłam dzwonić do hoteli według książki telefonicznej. Najpierw Omni, potem Jefferson, najbardziej znane. Wkrótce dowiedziałam się, że Dorothy mieszka w Berkeley, w historycznej części zwanej Shockhoe Slip.

Nie odbierała telefonu w pokoju. Było tylko kilka miejsc, do których mogła pójść w niedzielę, więc wybiegłam z domu i wsiadłam w samochód. Na niebie kłębiły się chmury. Zostawiłam wóz przed wejściem do hotelu, żeby go zaparkowali. Kiedy weszłam do środka, wiedziałam od razu, że Dorothy tam nie znajdę. Mały, elegancki hotel miał zaciszny, ciemny barek ze skórzanymi fotelami, na których siedzieli spokojni goście. Barman, ubrany w białą marynarkę, okazał się bardzo uprzejmy, gdy do niego podeszłam.

– Szukam siostry i zastanawiam się, czy może tu była – zaczęłam. Opisałam ją, ale potrząsnął głową.

Wyszłam i skierowałam się przez brukowaną ulicę na drugą stronę do Tobacco Company, starego magazynu tytoniowego, który przekształcono w restaurację ze szklaną windą, jeżdżącą do góry i na dół w dobudowanym atrium, pełnym bujnej roślinności i egzotycznych kwiatów. Tuż za drzwiami wejściowymi mieścił się bar z pianinem i parkietem do tańca i zaraz zobaczyłam Dorothy siedzącą przy stoliku w otoczeniu pięciu mężczyzn. Podeszłam do nich z wyraźnie określonym celem. Ludzie przy stolikach wokół przerwali rozmowy i oczy wszystkich skierowały się na mnie, jakbym była rewolwerowcem, który właśnie wkroczył do saloonu przez wahadłowe drzwi.

– Przepraszam bardzo – zwróciłam się do mężczyzny siedzącego z lewej strony Dorothy. – Czy mogłabym tu na chwilę usiąść?

Nie bardzo mu to odpowiadało, ale zwołał krzesło i wycofał się do baru. Pozostali adoratorzy Dorothy zaczęli się niespokojnie kręcić.

– Przyjechałam po ciebie – zwróciłam się do siostry, która wyraźnie już trochę wypila.

– Patrzcie, kto się tu zjawił! – wykrzyknęła, unosząc szklankę z koktajlem w geście toastu. – Moja wielka siostra. Zaraz was przedstawię – powiedziała do swych towarzyszy.

– Bądź cicho i posłuchaj mnie – rzekłam półgłosem.

– Moja słynna wielka siostra.

Dorothy zawsze stawała się złośliwa, gdy była pijana. Nie bełkotała, nie wpadała na nic, tylko nabijała się bezlitośnie z mężczyzn, a język miała jak pokrzywa. Wstyd mi było za jej zachowanie i strój, który czasem sprawiał wrażenie świadomej parodii moich ubrań.

Tego wieczoru miała na sobie elegancki biurowy kostiumik, ale obcisły różowy sweterek pod żakietem zupełnie wyraźnie ukazywał jej sutki.

Dorothy miała zawsze kompleksy na tle zbyt małych piersi, więc lubiła, kiedy mężczyźni na nie patrzyli, bo wtedy czuła się dowartościowana.

– Dorothy. – Nachyliłam się, mówiąc wprost do jej ucha, i owionął mnie zapach Coco Chanel. – Musisz ze mną wyjść. Musimy porozmawiać.

– Wiecie, kim ona jest? – ciągnęła, a ja się skręcałam. – Naczelnym koronerem tego wspaniałego stanu. Dacie wiarę? Mam starszą siostrzyczkę, która jest koronerem.

– Oo, to rzeczywiście interesujące – skomentował jeden z panów.

– Co pani przynieść do picia? – spytał drugi.

– A co pani myśli o przypadku Ramsey'a? Myśli pani, że rodzice to zrobili?

– Chciałbym, żeby ktoś udowodnił, że to były naprawdę kości Amelii Earhart, te, które znaleźli.

– Gdzie jest kelnerka?

Położyłam dłoń na rękę Dorothy i wstałyśmy od stolika. Jedno trzeba było mojej siostrze przyznać: była zbyt dumna, żeby zrobić scenę, w której nie wypadłaby zbyt mądrze i pociągająco. Wyprowadziłam ją w bezduszną noc mgły i ciemnych okien.

– Nie jadę z tobą do domu – oznajmiła, kiedy już nikt nie słyszał. – I zdejmij ze mnie, kurde, tę rękę.

Kierowała się w stronę swojego hotelu, a ja pchałam ją do samochodu.

– Jedziesz ze mną i zastanowimy się, co zrobić z Lucy.

– Widziałam ją dzisiaj w szpitalu – oświadczyła.

Usadziłam Dorothy na fotelu pasażera.

– Nie mówiła nic na twój temat – oznajmiła jak zwykle delikatnie moja siostra. Wsiadłam i zamknęłam drzwiczki. – Rodzice Jo są bardzo milutcy – dodała, gdy ruszyłam. – Bardzo mnie zdziwiło, że nie wiedzieli, co naprawdę łączy Lucy i Jo.

– Coś ty zrobiła? Powiedziałaś im, Dorothy?

– No, nie tak dokładnie, ale chyba napomknęłam o kilku rzeczach, bo wydawało mi się, że wiedzą. Jakie to dziwne widzieć takie niebo, kiedy człowiek przyzwyczał się do tamtego w Miami. – Myślałam, że ją uderzę.

– W każdym razie gdy już porozmawiałam trochę z tymi Sandersami, zorientowałam się, że nie zaakceptują związku lesbijskiego.

– Wolałabym, żebyś nie używała tego wyrażenia.

– Ale przecież tak się to określa. Pochodzi od Amazonek na wyspie Lesbos, na Morzu Egejskim, niedaleko wybrzeża tureckiego. Turczynki mają tyle włosów, zauważyłaś?

– Słyszałaś kiedyś o Safonie?

– Oczywiście, że o nim słyszałam – odparła Dorothy.

– Ona była Lesbijką, bo mieszkała na Lesbos. To jedna z największych poetek starożytności.

– Cóż, ja nie widzę nic poetycznego w tych sportowych sylwetkach i kolczykach w całym ciele. Oczywiście, Sandersowie nie powiedzieli, że uważają Jo i Lucy za lesbijki, tylko uważają, że Jo przeżyła straszny szok i spotkanie z Lucy by jej o tym przypomniało. Jeszcze za wcześnie. Byli bardzo sympatyczni, ale stanowczy. Kiedy Lucy się pokazała, powtórzyli jej to. – Minęłam stanowiska opłat za wjazd na szosę. – Wiesz, niestety, jaka jest Lucy. Zaczęła się z nimi kłócić, mówiła, że im nie wierzy, i była niegrzeczna. Wyjaśniłam Sandersom, że wciąż jest przejęta tym, co się stało. Byli bardzo wyrozumiali, powiedzieli, że będą się za nią modlić, a zaraz potem pojawiła się pielęgniarka, która kazała Lucy wyjść. Więc wybiegła – opowiadała dalej moja siostra. Popatrzyła na mnie i dodała. – Oczywiście, czy jest na ciebie wściekła, czy nie, przyjdzie do ciebie, jak zawsze.

– Jak mogłaś jej to zrobić? – spytałam. – Jak mogłaś stanąć między nią a Jo? Co z ciebie za człowiek?

Dorothy była zaskoczona. Czułam, jak się najeżyła.

– Zawsze byłaś o mnie zazdrosna, bo nie jesteś jej matką – odpowiedziała.

Skręciłam do zjazdu na Meadow Street zamiast jechać w stronę domu.

– Ustalmy to raz na zawsze – mówiła dalej zirytowana. – Jesteś niczym więcej, tylko maszyną, komputerem, jakimś nowoczesnym wytworem techniki, które tak lubisz. Trzeba by zbadać, co jest z osobą, która woli spędzać cały swój czas z trupami. Zamrożone, śmierdzące umarlaki.

Wjechałam znów na drogę szybkiego ruchu do śródmieścia.

– W przeciwieństwie do mnie. Ja wierzę w związki między ludźmi. Spędzam czas na poszukiwaniu i tworzeniu związków, wierzę, że nasze ciała są świątyniami, powinniśmy o nie dbać i być z nich dumni. Spójrz na siebie – przerwała dla większego efektu. – Palisz, pijesz, pewnie nawet nie chodzisz do siłowni. Nie pytaj mnie, dlaczego nie jesteś gruba i obwisła. Może z powodu krojenia tych wszystkich ciał, jeżdżenia na miejsca zbrodni i kręcenia się cały dzień po prosektorium. Ale zaraz dojdziemy do tego, co najgorsze. – Nachyliła się do mnie i poczułam jej nieprzyjemny alkoholowy oddech.

– Zapnij pas, Dorothy – odezwałam się cicho.

– Coś ty zrobiła z moją córką? Moje jedyne dziecko! Nigdy nie miałaś dziecka, bo zawsze byłaś za bardzo zajęta. Więc zabrałaś moje. – Znów zionęła na mnie alkoholem. – Nie powinnam była nigdy, przenigdy, zgodzić się, żeby cię odwiedzała. Co mi padło na mózg, żeby pozwolić, aby spędzała u ciebie całe wakacje? – Dramatycznym gestem ukryła twarz w dłoniach. – Ładowałaś w nią te głupoty o broni, amunicji i wykrywaniu zbrodni! Zrobiłaś z niej pieprzoną komputerową małpkę, nim skończyła

dziesięć lat, kiedy małe dziewczynki powinny chodzić na przyjęcia urodzinowe, jeździć na kucyku i bawić się z koleżankami!

Pozwoliłam jej dalej się uzalać nad Lucy i sobą i skoncentrowałam się na drodze.

– Poznałaś ją z tamtym grubym gliną o czerwonym byczym karku. Bądźmy szczerze, to twój jedyny bliski związek z mężczyzną. Mam tylko nadzieję, że nie śpisz z takim wieprzem. I muszę ci powiedzieć, chociaż mi żal Bentona, że on okazał się słaby. Bez jaj. To ty byłaś mężczyzną w tym związku, pani doktor-prawnik-szefowa. Mówiłam ci to nieraz i znów powtarzam: jesteś po prostu facetem z dużymi cycami. Wszyscy się dają nabrać, bo wyglądasz tak elegancko w swoim kostiumie od Ralpha Laurena i jeździsz bajeranckim samochodem. Myślisz, że jesteś taka cholernie seksowna z tymi swoimi cycami. Zawsze przez ciebie uważałam, że ze mną coś nie tak, a ty śmiałaś się, kiedy zamówiłam Marka Edena i inne takie przyrządy. A pamiętasz, co mama powiedziała? Dała mi fotografię owłosionej męskiej ręki i powiedziała: od tego robią się duże piersi.

– Jesteś pijana – powiedziałam.

– Byłyśmy nastolatkami, a ty się ze mnie śmiałaś!

– Nigdy się z ciebie nie śmiałam.

– Przez ciebie czułam się głupia i brzydka. A ty miałaś te piękne blond włosy, duże piersi i wszyscy chłopcy mówili tylko o tobie. W dodatku byłaś mądra. Zawsze uważałaś się za taką cholernie mądrą, bo ja byłam dobra tylko z angielskiego.

– Przestań, Dorothy.

– Nienawidzę cię.

– To nieprawda, Dorothy.

– Ale mnie nie oszukasz, o nie. – Kręciła głową na boki i machała mi palcem przed nosem. – O nie, mnie nie oszukasz. Zawsze podejrzewałam,

że znam prawdę o tobie.

Zaparkowałam przed hotelem Berkeley, a ona nawet nie zauważyła. Krzyczała, po twarzy płynęły jej łzy.

– Jesteś zakamuflowaną lesbą! – wyrzuciła z siebie z wściekłością. – I z mojej córki też taką zrobiłaś. A ona teraz o mało nie zginęła i uważa mnie za szmatę.

– Idź teraz do swojego pokoju i prześpij się – powiedziałam do siostry.

Otarła łzy, wyjrzała przez okienko i dopiero teraz ze zdumieniem zauważyła hotel, jakby to był jakiś statek kosmiczny, który niespodziewanie wylądował.

– Nie wyrzucam cię nigdzie na drodze, Dorothy. Ale w tej chwili lepiej będzie, jeśli nie zostaniemy razem. – Pociągnęła nosem, jej wściekłość rozplywała się jak fajerwerki w nocy. – Zaprowadzę cię do pokoju – zaproponowałam.

Potrząsnęła głową. Trzymała ręce bezwładnie na kolanach, a po jej nieszczęśliwej twarzy płynęły łzy.

– Nie chciała ze mną rozmawiać – powiedziała ledwie słyszalnie. – Kiedy tylko wyszłam z windy w tym szpitalu, wyglądała, jakby jej ktoś napluł do talerza.

Z Tobacco Company wyszła grupa ludzi. Byli wśród nich panowie od stolika Dorothy. Szli trochę niepewnie i śmiali się zbyt głośno.

– Ona zawsze chciała być taka jak ty, Kay. Czy wiesz, jak ja się czuję? – Zapłakała. – Ja też jestem kimś. Dlaczego nie chce być taka jak ja?

Przysunęła się nagle i objęła mnie. Płakała w moich objęciach, trzęsąc się cała. Chciałam ją kochać, ale nie mogłam. Nigdy jej nie kochałam.

– Chcę, żeby mnie też uwielbiała! – wykrzyknęła, dając się ponieść emocjom, alkoholowi i własnemu zamięłowaniu do przedstawień. – Żeby mnie też podziwiała! Chcę, żeby się mną chwaliła tak, jak tobą. Żeby

uważała, że jestem wspaniała i mocna, że wszyscy się odwracają i patrzą na mnie, gdy wchodzę do pokoju. I żeby myślała i mówiła o mnie to wszystko, co mówi o tobie! Chcę, żeby to mnie prosiła o radę i wyrosła na taką kobietę, jak ja.

Wrzuciłam bieg i podjechałam pod wejście hotelu.

– Dorothy – powiedziałam. – Jesteś największą egoistką, jaką znam.

Rozdział 30

Była prawie dziewiąta, nim dotarłam do domu. Zaczęłam się martwić, że nie przywiozłam Dorothy tutaj, zamiast zostawić ją w hotelu. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby natychmiast poszła do baru po drugiej stronie ulicy. Może zostało tam jeszcze kilku samotnych mężczyzn, których mogłaby zabawić.

Sprawdziłam wiadomości na sekretarce. Siedem razy ktoś się wyłączył. Byli to prawdopodobnie reporterzy, którzy nie lubią zostawiać informacji, bo wtedy dają mi szansę, żeby nie oddzwonić. Usłyszałam trzaśnięcie drzwiczek samochodu na podjeździe i zaczęłam się zastanawiać, czy to przypadkiem nie Dorothy, ale kiedy spojrzałam, żółta taksówka już się oddalała, a do moich drzwi dzwoniła Lucy. Miała jedną małą walizkę i miękką torbę, które rzuciła w przedpokoju i zamknęła nogą drzwi, nie witając się ze mną. Na lewym jej policzku dostrzegłam ciemnofioletowy siniak, a kilka pomniejszych zaczynało już żółknąć na brzegach. Wiedziałam, że musiały pochodzić od uderzenia.

– Nienawidzę jej! – wybuchnęła, patrząc na mnie wściekle, jakby to była moja wina. – Kto jej tu kazał przyjeżdżać? Czy to ty?

– Wiesz, że ja bym czegoś takiego nie zrobiła – odrzekłam. – Wchodź. Musimy pogadać. Mamy tyle do wyjaśnienia. Boże, myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę.

Posadziłam ją przed kominkiem i wrzuciłam następną kłodę. Lucy wyglądała strasznie. Miała ciemne sińce pod oczami, dzinsy i sweter na niej wisiały, rudobrązowe włosy opadały na twarz. Oparła nogę o mój stoliczek i odpięła kaburę z bronią, którą nosiła na kostce.

– Jest coś do picia w tym domu? – spytała. – Jakiś bourbon czy coś? W tej cholernej taksówce nie było z tyłu ogrzewania, a okno się nie domykało. Przemarzłam. Spójrz na moje ręce.

Wyciągnęła je w moją stronę. Paznokcie miała sine. Wzięłam jej dłonie w swoje i mocno przytrzymałam. Przysunęłam się bliżej na kanapie i objęłam Lucy. Była taka chuda.

– Gdzie się podziały te wspaniałe mięśnie? – próbowałam żartować.

– Niewiele jadłam... – Patrzyła w ogień.

– Nie ma jedzenia w Miami?

Nie uśmiechnęła się nawet.

– Dlaczego mama musiała przyjechać? Dlaczego nie zostawi mnie w spokoju? Przez całe moje życie nie robi nic innego, tylko chce mnie podporządkować tym swoim mężczyznom, mężczyznom, mężczyznom – mówiła szybko. – Paradowała sobie między tymi fiutami, a ja nie miałam nikogo. Oni zresztą też nie, ale o tym nie wiedzieli.

– Zawsze miałaś mnie.

Odgarnęła włosy z oczu, jakby nie słyszała tych słów.

– Wiesz, co zrobiła w szpitalu.

– Skąd wiedziała, gdzie cię znaleźć? – Najpierw musiałam się tego dowiedzieć i Lucy zrozumiała dlaczego.

– Bo jest moją biologiczną matką – odparła z goryczą. – Więc umieszczają jej dane na różnych dokumentach i formularzach, czy mi się to podoba, czy nie. Oczywiście wie, kim jest Jo. Więc mama odnajduje jej rodziców tu, w Richmondzie, i wszystko od nich wyciąga, bo ludzie

uważają, że jest taka cudowna. Sandersowie mówią jej, gdzie leży Jo i dziś rano, kiedy ja siedzę sobie w poczekalni, mamusia pojawia się w szpitalu jak primadonna. – Zaciskała i prostowała palce, jakby jej zeszywniały. – A wiesz, co się potem działo? Mama odstawia całą szopkę z Sandersami. Przynosi im kawę, kanapki, objawia perły swojej filozofii. Gadają i gadają, a ja tam siedzę, jakby mnie wcale nie było, i nagle mama podchodzi, klepie mnie po ręce i oświadcza: „Jo nie przyjmuje dzisiaj żadnych wizyt”. Pytam ją, kim, do diabła, jest, żeby mi to mówić. A ona na to, że Sandersowie ją poprosili, żeby mi powiedziała, bo nie chcą ranić moich uczuć. No więc w końcu stamtąd wyszłam. Mama może wciąż tam być.

– Nie, już nie – zapewniłam ją.

Lucy wstała i wbiła pogrzebacz w kłodę. Iskierki rozprysnęły się jakby w proteście.

– Posunęła się za daleko. Tym razem już przesadziła – oznajmiła.

– Nie wspominajmy o niej. Chcę porozmawiać o tobie. Co zdarzyło się w Miami?

Usiadła na dywaniku, opierając się o kanapę i patrzyła w ogień. Wstałam, poszłam do barku i nalałam jej bourbona Bookera.

– Ciociu, ja muszę ją zobaczyć.

Podaliśmy szklankę Lucy i znów usiadłam. Masowałam jej łopatki i ramiona i powoli się rozluźniła. Odezwała się sennym głosem.

– Ona tam jest i nie wie, że czekam na nią. Może uważa, że mnie nic nie obchodzi.

– Ale dlaczego miałyby tak uważać, Lucy?

Nie odpowiedziała, tylko wpatrywała się jak urzeczona w dym i płomienie. Popijała swój trunek.

– Kiedy jechałyśmy tam moim małym benzem V-12 – odezwała się jakby z dużej odległości – Jo miała złe przecucia i powiedziała mi o tym.

Odparłam, że to normalne mieć złe przeczucia przed takim zadaniem, nawet sobie z niej żartowałam. – Przerwała i przez chwilę wpatrywała się w płomień, jakby dostrzegła tam coś innego. – Dojeżdżamy do drzwi mieszkania, którego te dupki Stosześcdziesiątkipiątki używają jako swego lokalu klubowego – opowiadała dalej – i Jo wchodzi pierwsza. Jest ich tam sześciu zamiast trzech. Od razu orientuję się, że nas mają, i wiem, co zamierzają zrobić. Jeden z nich chwyta Jo i przystawia jej pistolet do głowy, żeby im powiedziała, gdzie jest Fisher Island, gdzie się umówiliśmy.

Wzięła głęboki oddech i milczała, jakby nie mogła dalej mówić. Sączyła whisky.

– Boże, co to jest? Od samego wachania może człowieka powalić.

– To naprawdę mocny alkohol. Zwykle nie namawiam nikogo do picia, ale teraz nie byłoby źle, gdyby od razu cię powaliło. Zostań ze mną na jakiś czas – powiedziałam.

– Nasze jednostki wykonały wszystko prawidłowo – oświadczyła.

– Tak się zdarza, Lucy.

– Musiałam myśleć tak prędko. Jedyne, co wiedziałam, to udawać, że nic mnie nie obchodzi, czy rozwalą jej głowę czy nie. Oni jej trzymają pistolet przy głowie, a ja się zgrywam, że ją olewam, czego się zupełnie nie spodziewali. – Znów łyknęła bourbona. Bardzo ją ta sprawa załamała. – Więc podchodzę do tego dupka Marokańczyka i mówię prosto w twarz, żeby ją załatwił, gdyż to jest głupia dziwka i już mam jej dosyć, bo wciąż mi wchodzi w drogę. Ale jeżeli zrobi to teraz, spieprzy sprawę sobie i wszystkim innym. – Patrzyła w ogień, nawet nie mrugnawszy okiem, jakby znów to przed sobą widziała. – Więc mówię: „Myślisz, że się nie spodziewałam, że nas wykorzystasz, a potem zrobisz coś takiego? Myślisz, że jestem głupia? Ale wiesz co? Zapomniałam ci powiedzieć, że pan Tortora oczekuje naszej wizyty – spojrzałam na zegarek – za godzinę i

szesnaście minut. Pomyślałam, że miło będzie trochę go rozerwać, nim wy, skurwiele, przyjdziecie, wyprujecie z niego flaki, zabierzecie mu broń, szmal i pieprzoną kokainę. A co będzie, jeśli się nie pojawimy? Myślisz, że się nie zaniepokoi?”.

Nie mogłam oderwać wzroku od Lucy. Ze wszystkich kierunków napływały do mnie obrazy. Wyobrażałam sobie ją, odgrywającą tę niebezpieczną scenę, widziałam ją w mundurze polowym podczas strzelaniny, a także pilotującą helikopter i programującą komputery. Przypominałam sobie tamto irytujące, nie do opanowania dziecko, które praktycznie ja wychowywałam. Marino miał rację. Lucy wciąż uważała, że musi coś wszystkim udowodnić. Zawsze jej pierwszym impulsem było walczyć.

– Chyba tak naprawdę mi nie uwierzyli – mówiła dalej. – Więc zwracam się do Jo. Nigdy nie zapomnę jej spojrzenia, kiedy miała lufę przy skroni. Jej oczy... – Przerwała. – Takie spokojne, kiedy patrzyła na mnie, bo... – głos jej zadrżał. – Bo chciała, żebym wiedziała, że mnie kocha... – Lucy zaczęła szlochać. – Kocha mnie! Chciała, żebym wiedziała, bo wierzyła... – głos jej się załamał. – Bo wierzyła, że umrze. Wtedy zaczynam się na nią wydzierać. Nazywam ją głupią pieprzoną kurwą i uderzam tak mocno, że nie czuję potem dłoni. A ona patrzy na mnie, jakby nic innego nie istniało na świecie, z kącika ust i z nosa kapie jej krew i cienką stróżką spływa po brodzie. Nawet nie zapłakała. Wypadła z roli, zapomniała o całym szkoleniu, o wszystkim, co powinna wiedzieć i robić w takich wypadkach. Łapię ją, przewracam, rzucam się na nią, przeklinając, bijąc ją i wrzeszcząc. – Otarła oczy i znów patrzyła wprost przed siebie. – A najgorsze jest to, ciociu Kay, że częściowo robiłam to naprawdę. Byłam taka zła na Jo, że mnie z tym zostawiła samą, że się poddała. Chciała się poddać i umrzeć, do cholery!

– Tak jak Benton – zauważyłam cicho.

Lucy wytarła twarz rękawem koszuli. Chyba nie słyszała, co powiedziałam.

– Już mam, kurwa, dosyć tego, że ludzie się poddają i zostawiają mnie samą – mówiła roztrzęsionym głosem. – Kiedy ich potrzebuję, oni rezygnują!

– Benton nie zrezygnował, Lucy.

– Dalej się wydzierałam na Jo, biłam ją, groziłam, że ja zabiję, szarpałam ją, ciągnęłam za włosy. To ją obudziło, wstrząsnęło nią i zaczęła ze mną walczyć. Nazwała mnie kubańską dziwką, splunęła mi w twarz krwią. W tym momencie ci faceci zaczęli się śmiać, gwizdać, chwytając się za krocze...

Znów odetchnęła głęboko i przymknęła oczy. Z trudem siedziała. Oparła się o moje nogi. Blask płomieni jaśniał na jej pięknej twarzy.

– Teraz ona zaczyna naprawdę walczyć. Przygniatałam ją kolanami tak mocno z obu boków, że aż się dziwię, że jej wtedy nie połamałam żeber. W końcu rozrywam jej koszulę i faceci tak się tym podniecają, że nie zauważają, kiedy wyciągam broń z nogawki. Zaczynam strzelać. Po prostu strzelać. Strzelam, strzelam, strzelam... – Głos jej się załamał. Objęłam ją. – Wiesz, że chodzę w dzinsach z szerokimi nogawkami, żeby tam schować sigę. Podobno wystrzeliłam jedenaście nabojów. Nie pamiętam nawet, kiedy wyrzuciłam pusty magazynek i załadowałam pełny. Nagle wszędzie jest pełno agentów, a ja ciągnę Jo za drzwi. Strasznie krwawi z głowy. – Wargi Lucy zadrżały, gdy próbowała opowiadać dalej. Nie było jej tutaj. Znalazła się znów w Miami i przeżywała to na nowo. – Strzelam, strzelam, strzelam. Jej krew jest na moich rękach. – Głos jej wznosił się do Boga. – Biłam ją i biłam. Wciąż czuję jej piekący policzek pod swoją dłoń. – Popatrzyła na mnie, jakby należało ją za to uśmiercić. – Czułam jej

delikatną skórę. A Jo krwawiła. To przeze mnie krwawiła. Jej gładka twarz, którą głaskałam i kochałam. Ja ją poraniłam. A potem ta cała broń, dym, dzwonięcie w uszach i kompletne oszołomienie. I koniec, jakby to się nigdy nie zaczęło. Myślałam, że ona nie żyje.

Pochyliła głowę i cicho zapłakała, a ja pogłaskałam jej włosy.

– Uratowałeś jej życie. I swoje też – powiedziałam w końcu. – Jo wie, co zrobiłaś, i dlaczego to zrobiłaś, Lucy. Powinna cię za to jeszcze bardziej kochać.

– Tym razem jestem w tarapatkach, ciociu – oświadczyła.

– Jesteś bohaterką. Właśnie tak.

– Nie, nie rozumiesz. Nie chodzi o to, czy powinnam była strzelać. Nie chodzi o to, czy ATF da mi medal.

Wyprostowała się i zaraz wstała. Popatrzyła na mnie z góry z wyrazem pokonanej i jeszcze jakiegoś uczucia, którego nie umiałam rozpoznać. Może to był ból. Nigdy nie okazała bólu, gdy Benton został zamordowany. Zawsze widziałam tylko wściekłość.

– Kula, którą wyjęli jej z nogi, to Hornady Custom Jacketed. Dziewięćdziesiąt granów. Taka amunicja była w mojej broni.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– To ja ją postrzeliłam, ciociu.

– Na wet jeśli to ty...

– A jeżeli ona już nigdy nie będzie mogła chodzić? Jeżeli nie będzie już mogła służyć w obronie prawa przeze mnie?

– Na pewno nieprędko będzie skakać z helikoptera – zapewniłam ją – ale będzie w porządku.

– A jeżeli trwale uszkodziłam jej twarz moimi cholernymi łapami?

– Lucy, posłuchaj mnie, uratowałaś jej życie. Jeżeli musiałaś zastrzelić dwie osoby, żeby to zrobić, trudno. Nie miałaś wyboru. Przecież nie

chciałaś.

– Akurat, nie chciałam. Żałuję, że ich wszystkich nie pozabijałam.

– Nie myślisz tak.

– Może zostanę żołnierzem do wynajęcia – powiedziała gorzko. – Macie jakichś morderców, gwałcicieli, porywaczy samochodów, pedofili, dealerów narkotykowych, których chcecie się pozbyć? Zadzwońcie pod jeden-osiem-sto L-U-C-Y.

– Nie przywrócisz Bentonowi życia, zabijając. – Jakby mnie nie słyszała. – On bardzo by nie chciał, żebyś to tak odczuwała – tłumaczyłam, gdy zadzwonił telefon. – On cię nie zostawił, Lucy. Nie bądź na niego zła tylko dlatego, że nie żyje.

Telefon zadzwonił trzeci raz i nie mogła już się powstrzymać. Złapała słuchawkę. Nie potrafiła ukryć nadziei i obawy, jakie zabłysły w jej oczach. Nie mogłam się zdobyć na to, żeby jej powtórzyć, co powiedział doktor Worth. To nie był odpowiedni moment.

– Oczywiście, chwileczkę – odpowiedziała, a na jej twarzy, kiedy podawała mi słuchawkę, pojawiło się rozczarowanie.

– Tak – odezwałam się niechętnie.

– Czy to doktor Kay Scarpetta? – spytał nieznany mi męski głos.

– A kto mówi?

– To bardzo ważne, żebym sprawdził, czy połączyłem się z właściwą osobą. – Akcent miał amerykański.

– Jeżeli jest pan kolejnym reporterem...

– Podam pani numer telefonu.

– A ja panu dam moje słowo – odparłam. – Albo mi pan powie, kim jest, albo się wyłączam.

– Podam pani ten numer. – I zaczął recytować cyfry, nim zdążyłam odmówić.

Poznałam kierunkowy do Francji.

– We Francji minęła trzecia rano – odrzekłam, jakby tego nie wiedział.

– Nie ma znaczenia, która jest godzina. Dostajemy od pani informacje i przepuszczamy je przez nasz system komputerowy.

– Nie ode mnie.

– No, nie w tym sensie, że pani je wystukuje na komputerze, pani doktor.

– Mówił gładkim jak politurowane drewno barytonem. – Jestem w sekretariacie w Lyonie – wyjaśnił. – Proszę zadzwonić pod numer, jaki pani podałam, i przynajmniej wysłuchać naszej poczty głosowej.

– Jaki sens ma...?

– Proszę.

Wyłączyłam się i spróbowałam zadzwonić. Odezwał się nagrany głos kobiety z francuskim akcentem: „Bonjour, hello?”, która następnie w obu językach podała godziny otwarcia biura. Połączyłam się z podanym mi wewnętrznym i usłyszałam głos tego mężczyzny.

– „Bonjour, hello”? I to ma potwierdzić, kim jesteście? – spytałam. – Równie dobrze możecie być restauracją!

– Proszę mi przefaksować kartkę ze swojej firmowej papeterii. Kiedy to zobaczę, poinformuję panią dokładniej.

Podał mi numer. Kazałam mu czekać i poszłam do gabinetu. Przesłałam mu kartkę z nadrukiem biura, a Lucy siedziała przez ten czas przed kominkiem, podparłszy brodę łokciem, i sprawiała wrażenie, że nic nie słyszy.

– Nazywam się Jay Talley, jestem łącznikiem Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni, ATF, w Interpolu – przedstawił się, kiedy znów podeszłam do telefonu. – Chcemy, żeby pani natychmiast tu przyjechała. Pani i kapitan Marino.

– Nie rozumiem – odrzekłam. – Dostał pan zapewne moje raporty. Nic więcej obecnie nie dodam.

– Nie prosilibyśmy, gdyby to nie było ważne.

– Marino nie ma paszportu – powiedziałam.

– Był na Bahamach trzy lata temu.

Zapomniałam, że Marino zabrał jedną ze swoich fatalnie wybranych pańienek na trzydniowy rejs. Ich związek nie trwał wiele dłużej.

– Nic mnie nie obchodzi, czy to ważne. Nie ma mowy, żebym wsiadała w samolot i leciała do Francji, kiedy nie wiem co...

– Proszę zaczekać sekundę – przerwał mi grzecznie, ale stanowczo. – Senatorze Lord? Jest pan tam, sir?

– Jestem.

– Frank? – spytałam zdumiona. – Gdzie jesteś? We Francji?

Zastanawiałam się, jak długo czekał tam już i słuchał.

– Posłuchaj, Kay, to naprawdę ważne – odezwał się senator Lord tonem, który przypomniał mi, kim jest. – Przyjeżdżaj, i to natychmiast. Możemy potrzebować twojej pomocy.

– My?

Teraz włączył się Talley.

– Pani i Marino musicie być na prywatnym terminalu Millionaire o czwartej trzydzieści. Rano, waszego czasu. Mniej niż sześć godzin od tej chwili.

– Nie mogę teraz wyjechać... – zaczęłam mówić, gdy Lucy stanęła w drzwiach.

– Proszę się nie spóźnić. Państwa samolot z Nowego Jorku odlatuje o ósmej trzydzieści – oświadczył.

Myślałam, że senator Lord już się wyłączył, ale nagle znów usłyszałam jego głos.

- Dziękuję, agencie Talley – powiedział. – Teraz ja z nią porozmawiam. Usłyszałam, że agent Talley się rozłączył.
- Ciekaw jestem, co słyhać, Kay – odezwał się mój przyjaciel senator.
- Nie mam pojęcia, co słyhać.
- Obchodzi mnie to – powiedział. – Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

Zaufaj mi. A teraz mów, jak się czujesz.

– Poza tym, że zostałam wezwana do Francji i niedługo wylecę z pracy, i... – Chciałam już opowiadać, co jest z Lucy, ale stanęła tuż obok.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił mnie senator Lord.

– Zależy, co to jest wszystko – odparłam.

– Zaufaj mi.

Zawsze mu ufałam.

Będą cię prosili o zrobienie rzeczy, których nie będziesz chciała robić.

Które cię będą przerażały.

– Mnie nie tak łatwo przerazić. Frank.

Rozdział 31

Marino podjechał po mnie za piętnaście czwarta. Była to nieludzka pora, przypomniła mi bezsenne dyżury w szpitalach na początku mojej kariery, kiedy dostawałam wezwania do przypadków, których nikt nie chciał.

– Teraz przynajmniej wiesz, jak się człowiek czuje na nocnej zmianie – podsumował mnie detektyw, gdy przemierzaliśmy oblodzone szosy i ulice.

– Dawno o tym wiem – odparłam.

– No tak, ale różnica polega na tym, że ty nie musisz tego robić. Mogłabyś wysłać kogoś na miejsce przestępstwa i siedzieć w domu. Jesteś szefem.

– Zawsze zostawiam Lucy, kiedy mnie potrzebuje, Marino.

– Powiem ci coś: ona rozumie. Zresztą i tak na pewno zaraz będzie leciała do Waszyngtonu na tę głównianą rozprawę komisji.

Nie powiedziałam mu o wizycie Dorothy. Nie miałyby to żadnego sensu i tylko by się zdenerwował.

– Należysz do personelu kliniki. To znaczy, jesteś prawdziwym lekarzem.

– Dziękuję.

– Nie możesz po prostu pójść do dyrektora albo coś takiego? – zapytał, wciskając zapalniczkę. – Nie możesz pociągnąć za odpowiednie sznurki, żeby Lucy tam wpuścili?

– Póki Jo nie jest w stanie samodzielnie podejmować decyzji, jej rodzice mają prawo mówić, kto może ją odwiedzać, a kto nie.

– Cholerne religijne świry. Hitlerki z Biblią w garści.

– Pamiętam okres, że i ty byłeś w tych tematach ograniczony, Marino – przypomniałam mu. – Chyba mówiłeś coś o lesbach i ciotach. Nawet nie chce mi się powtarzać, co od ciebie słyszałam.

– No tak, ale wcale tak nie uważałem.

Na lotnisku Millionaire było ponad siedem stopni mrozu i lodowaty wiatr omal mnie nie przewrócił, gdy wyjmowałam bagaże z tyłu ciężarówki. Powitało nas dwóch pilotów, którzy niewiele mówili, tylko otworzyli wejście i zaprowadzili nas do learjeta. Na jednym z foteli leżała gruba szara koperta z moim nazwiskiem. Kiedy wystartowaliśmy w czystą, zimną noc, wyłączyłam światelka i spałam, póki nie wylądowaliśmy w Teterboro w New Jersey.

Gdy schodziliśmy po metalowych schodkach, zauważyliśmy zmierzającego w naszą stronę ciemnoniebieskiego eksplorera. Małe płatki śniegu przywierały do mojej twarzy.

– Glina. – Marino wskazał głową, gdy eksplorer zatrzymał się przy samolocie.

– Skąd wiesz?

– Zawsze wiem – odpowiedział.

Kierowca był w dzinsach i skórzanej kurtce. Wyglądał, jakby niejedno już w życiu widział, i był bardzo zadowolony, że może nas podwieźć. Zapakował nasze walizki do bagażnika, Marino usiadł z przodu i pograżyli się w rozmowie i wspomnieniach, ponieważ kierowca był z policji nowojorskiej, a mój przyjaciel też kiedyś tam pracował.

– ...Adams, z oddziału detektywów, zadzwonił koło jedenastej. Chyba najpierw skontaktował się z nim Interpol. Nie wiedziałem, że ma z nimi coś

wspólnego.

– Ach tak? – Głos Marina był przytłumiony i działał nasennie jak bourbon z lodem. – Jakiś dupek pewnie...

– Nie, jest w porządku.

Zasypiałam i odlatywałam. Po moich zamkniętych powiekach przesuwały się mijane światła i znowu zaczynałam odczuwać tę bolesną pustkę.

– ...A kiedyś byłem taki naprany, że jak się na drugi dzień obudziłem, to nie miałem pojęcia, gdzie mój samochód i dokumenty. Wtedy miałem pobudkę...

Dotychczas tylko raz leciałam samolotem ponaddźwiękowym, z Bentonem. Pamiętam jego ciało przy swoim, gorąco moich piersi, które go dotykały, gdy siedzieliśmy w szarych skórzanych fotelach, piliśmy francuskie wino, patrzyliśmy na słoiczki z kawiozem, ale nie mieliśmy zamiaru go jeść. Pamiętam wymianę ostrych słów, zakończoną szaloną sceną miłosną w Londynie, w mieszkaniu w pobliżu ambasady amerykańskiej. Może Dorothy miała rację. Może czasami byłam zbyt skoncentrowana na własnych sprawach i nie tak otwarta, jak bym chciała. Ale nie miała racji co do Bentona. Nigdy nie okazał się słaby i nigdy nie byliśmy letni w łóżku.

– Doktor Scarpetta?

Czyjś głos przywrócił mnie do rzeczywistości.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział nasz kierowca, patrząc na mnie przez tylne lusterko.

Potarłam twarz dłońmi i stłumiłam ziewanie. Wiatr był tu silniejszy, a temperatura niższa. Poszłam sama zgłosić nas do odprawy w Air France, bo nie miałam zaufania do Marina, jeśli chodzi o bilety, paszporty, a nawet znalezienie właściwego wejścia. Lot numer dwa był dopiero za półtorej

godziny i w momencie, gdy usiadłam w poczekalni concordów, znów poczułam się strasznie zmęczona i piekły mnie oczy. Marino natomiast sprawiał wrażenie wniebowziętego.

– Popatrz na to, dobra? – szeptał zbyt głośno. – Mają tu pełniński bar. Ten facet tam pije piwo, a jest dopiero siódma rano. – Uznałam to za sygnał. – Chcesz coś? – spytał. – Może gazetę?

– W tej chwili guzik mnie obchodzi, co się dzieje na świecie. – Chciałam, żeby zostawił mnie w spokoju.

Wrócił, niosąc dwa talerze pełne bułeczek, sera i krakersów. Pod ręką miał puszkę heinekena.

– Wiesz co? – zaczął, ustawiając na stoliczku obok siebie tę skromną przekąskę śniadaniową. – Jest prawie trzecia po południu czasu francuskiego. – Otworzył piwo. – Tam jacyś ludzie mieszają szampana z sokiem pomarańczowym, widziałś coś takiego? A tam chyba siedzi ktoś sławny. Ma okulary przeciwsłoneczne i wszyscy się na nią gapią. – Nic mnie to nie obchodziło. – A ten facet, który z nią jest, też wygląda na kogoś sławnego, trochę jak Mel Brooks.

– Czy ta kobieta w okularach przeciwsłonecznych wygląda jak Anne Bancroft? – mruknęłam.

– Taa.

– Więc to jest Mel Brooks.

Inni pasażerowie, ubrani znacznie drożej od nas, zerkali w tę stronę. Jakiś mężczyzna przeglądał „Le Monde” i popijał espresso.

– Widziałem ją w „Absolwencie”. Pamiętasz ten film? – ciągnął Marino. Byłam już zupełnie przebudzona i marzyłam, żeby się gdzieś schować.

– To były moje marzenia. Cholera. Jak z tą nauczycielką, która dawała korepetycje po lekcjach, co to trzeba było zaciskać nogi.

– Tam przez okno możesz zobaczyć concorde'a. – Pokazałam mu samolot.

– Jak ja mogłem nie zabrać aparatu! – Łyknął piwa.

– Może pójdziesz gdzieś tu kupić – zaproponowałam.

– Myślisz, że będą mieli te jednorazowe?

– Tylko francuskie.

Zawahał się na chwilę, po czym spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Za chwilę wrócę – powiedział.

Oczywiście zostawił bilet i paszport w kieszeni kurtki przewieszanej na fotelu i kiedy ogłoszono, że mamy wchodzić do samolotu, dostałam pilną wiadomość tekstową na pagerze, że Marina nie chcą wpuścić do poczekalni. Czekał przy wejściu, czerwony ze złości, a obok niego strażnik.

– Przepraszam – powiedziałam, wręczając komuś z obsługi bilet i paszport detektywa. – Nie zaczynajmy podróży w taki sposób – mruknęłam pod nosem, gdy wchodziliśmy z powrotem do poczekalni i dalej za innymi pasażerami do samolotu.

– Tłumaczyłem im, że pójde i wszystko przyniosę. Francuskie skurwiele. Jakby mówili porządnie po angielsku, toby się nic takiego nie zdarzyło.

Nasze miejsca znajdowały się obok siebie, ale na szczęście samolot nie był pełen, więc przesiadłam się do sąsiedniego rzędu. Mój przyjaciel wydawał się trochę urażony, póki nie oddałam mu połowy kurczaka z sosem z limonki, biszkopta z musem waniliowym i czekoladek. Nie miałam pojęcia, ile piw wypił, bo często wstawał i chodził długim korytarzem, gdy tymczasem lecieliśmy z podwójną prędkością dźwięku. Dotarliśmy na lotnisko Charles de Gaulle o 18.20 czasu francuskiego.

Przed terminalem czekał na nas ciemnoniebieski mercedes i kapitan próbował nawiązać rozmowę z kierowcą, który nie pozwolił mu usiąść z przodu i nie zwracał na niego uwagi. Marino smętnie palił, wysuwając dłoń

z papierosem za okno, z którego wiało zimnym powietrzem, i obserwował nędzne bloki wysmarowane graffiti. Po wielu kilometrach pojawiło się oświetlone niebo nowoczesnego miasta. Korporacyjni bogowie, jak Hertz, Honda, Technics i Toshiba, błyszczeli nocą ze swych olimpów.

– Do diabła, przecież to równie dobrze może być Chicago – narzekał Marino. – Czuję się jakoś dziwnie.

– Zmiana czasu.

– Byłem na Zachodnim Wybrzeżu i tak się nie czułem.

– Bo to jest gorsza zmiana czasu.

– Myślę, że ma to jakiś związek z podróżowaniem tak szybko ciągnął. – Pomyśl tylko. Patrzysz przez ten mały lufcik, jak z jakiegoś statku kosmicznego, no nie? Nawet nie widzisz horyzontu. Na tej wysokości nie ma żadnych chmur, powietrze za rzadkie, żeby oddychać, pewno z szesnaście stopni poniżej zera. Żadnych ptaków, żadnych innych samolotów, pustka.

Policjant w biało-niebieskim citroenie z czerwonymi paskami zatrzymał kierowcę przekraczającego szybkość koło Banque de France. Na Boulevard des Capucines sklepy zmieniły się w drogie butikie projektantów mody i przypomniało mi się, że nie zdążyłam sprawdzić kursu dolara.

– Dlatego jestem głodny – Marino kontynuował swe naukowe wywody. – Jak lecisz tak szybko, twój metabolizm musi nadążyć. Pomyśl, ile to kalorii. Nic już nie czułem, kiedy przeszliśmy przez odprawę celną, a ty? Ani pijany, ani objedzony, ani nic.

Niewiele dostrzegłam tu dekoracji gwiazdkowych, nawet w sercu miasta. Paryżanie rozwiesili tylko lampki i gałązki ostrokrzewu przed bistrami i sklepami, ale na razie nie widziałam żadnego Mikołaja, poza wysokim nadmuchiwany na lotnisku, który poruszał rękami, jakby ćwiczył calisthenics. Święta były trochę wyraźniej zaznaczone –

czerwonymi gwiazdami betlejemskimi w doniczkach i choinką – w marmurowym holu Grand Hotelu, do którego zawiózł nas nasz przewodnik.

– Jasna cholera! – westchnął Marino, spoglądając na kolumny i ogromne kandelabry. – Jak myślisz, ile kosztuje pokój w tej budzie?

Bezustannie słyszeliśmy śpiewne dźwięki telefonów. Kolejka do recepcji wydawała się beznadziejnie długa. Bagaże poustawiano wszędzie i wkrótce się zorientowałam, że cała wycieczka ma zamiar się zameldować.

– Wiesz co, pani doktor? – powiedział detektyw. – Nawet mnie nie będzie stać na jedno piwo tutaj w barze.

– Jeżeli ci się w ogóle uda wepchnąć do baru – odparłam. – Wygląda na to, że będziemy tu stali całą noc.

Gdy tylko to powiedziałam, ktoś dotknął mojego ramienia i zobaczyłam stojącego obok uśmiechniętego mężczyznę w ciemnym garniturze.

– Madame Scarpetta, monsieur Marino? – Wskazał ręką, żebyśmy wyszli z kolejki. – Przepraszam, dopiero teraz państwa zobaczyłem. Na imię mi Ivan. Państwo są już zameldowani. Proszę, zaprowadzę państwa do pokojów.

Nie potrafiłam rozpoznać jego akcentu, ale niewątpliwie nie był rodowitym Francuzem. Poprowadził nas przez hol do błyszczących od lusterek i mosiądzu wind i nacisnął guzik na trzecie piętro.

– Skąd pan jest? – spytałam.

– A, różnie, ale od wielu lat mieszkam w Paryżu.

Szliśmy za nim długim korytarzem do naszych pokoi, które znajdowały się obok siebie, ale się nie łączyły. Byłam zaskoczona i trochę zaniepokojona, że nasz bagaż już tam się znalazł.

– Jeśli państwo będą czegokolwiek potrzebowali, proszę do mnie zadzwonić – powiedział Ivan. – Najlepiej chyba będzie zjeść w tutejszej

kawiarni. Jest tam dla państwa stolik albo oczywiście może być posiłek w pokoju.

Odszedł szybko, nim zdołałam dać mu napiwek. Oboje z Marinem staliśmy w drzwiach, zaglądając do swoich pokoiów.

– To mnie doprowadza do szału – irytował się detektyw. – Nie znoszę takich idiotycznych sekretów. Skąd, do cholery, możemy wiedzieć, kim on jest? Założę się, że nawet nie pracuje w tym hotelu.

– Marino, nie prowadźmy tej rozmowy w holu – odezwałam się cicho. Wydawało mi się, że jeśli nie będę mogła побыć chociaż kilku minut bez niego, to zrobię się groźna.

– Więc kiedy chcesz jeść?

– Potem zapukam do ciebie.

– Ale, ja już jestem porządnie głodny.

– Może byś więc poszedł sam do tej kawiarni, Marino? – zaproponowałam, modląc się, żeby zechciał. – Ja zjem coś później.

– Nie, myślę, że powinniśmy się trzymać razem – odpowiedział.

Weszłam do swego pokoju i byłam zdziwiona, że moja walizka jest już rozpakowana, a rzeczy starannie złożone w szufladach. Spodnie, bluzki i kostium wisały w szafie, przybory toaletowe poukładano w łazience. Nagle zadzwonił telefon. Nie miałam wątpliwości, od kogo.

– Co? – spytałam.

– Dostali się do moich rzeczy i wszystko wywalili! – Marino grzmiał jak radio podkręcone do maksimum. – Teraz to już mam dosyć. Nie znoszę, jak ktoś mi grzebie w torbach. Co oni sobie, do cholery, myślą, że kim są? Czy to taki francuski zwyczaj, co? Meldujesz się w bajeranckim hotelu, a oni ci przeglądają bagaż?

– Nie, to nie jest francuski zwyczaj – odrzekłam.

– Więc musi to być jakiś zwyczaj Interpolu – wypalił.

– Zadzwoń do ciebie później.

Na środku stolika stały koszyk z owocami i butelka wina. Przekroiłam sobie czerwoną pomarańczę i nalałam kieliszek merlota. Odsłoniłam ciężkie draperie i patrzyłam przez okno na ludzi w wieczorowych strojach, wchodzących do eleganckich samochodów. Złoczone rzeźby na starym gmachu opery pyszniły się swoją piękną nagością przed bogami. Kominy na rozciągających się wokół dachach wyglądały jak szczecina. Czułam się samotna i zniecierpliwiona.

Wzięłam długą kąpiel i myślałam o tym, żeby odstawić Marina na dzisiejszy wieczór, ale przyzwoitość zwyciężyła. Nigdy jeszcze nie był w Europie, a już na pewno w Paryżu, i co najważniejsze, bałam się zostawić go samego. Zadzwołam do jego pokoju i spytałam, czy chciałby zjeść lekką kolację w pokoju. Wybrał pizzę, mimo moich ostrzeżeń, że Paryż z tego nie słynie, i zrobił nalot na mój barek i piwo. Ja zamówiłam ostrygi w półskorupkach i nic więcej, potem zaś przykręciłam światło, bo dosyć już widziałam, jak na jeden dzień.

– Jest coś, o czym cały czas myślę – odezwał się, kiedy już nam przyniesiono jedzenie. – Nie chciałbym poruszać tego tematu, ale mam takie dziwne uczucie, cholernie dziwne, to znaczy – odgryzł kawałek pizzy – zastanawiałem się właśnie, czy też to odczuwasz. Czy to samo ci chodzi po głowie, zupełnie nie wiadomo skąd, jak jakieś ufo.

Odłożyłam widelec. Za oknami błyszczały światła wielkiego miasta i nawet w tym przyćmionym świetle widziałam strach Marina. Poczułam się podobnie.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – odpowiedziałam, sięgając po wino.

– Dobra, myślę, że powinniśmy przez chwilę nad czymś się zastanowić. Nie chciałam tego słuchać.

– Najpierw dostajesz list, wręczony przez senatora Stanów Zjednoczonych, który jest jednocześnie przewodniczącym Komisji Sprawiedliwości, więc ma taką władzę, jeśli idzie o przestrzeganie prawa federalnego, jak nikt inny. To znaczy, że może znać wszystkie główne sprawy, które się dzieją w Secret Service, FBI i co tam jeszcze.

Odezwał się we mnie jakiś alarm.

– Musisz przyznać, że to ciekawy zbieg czasowy, że senator Lord przywozi ci list od Bentona, a teraz nagle my jesteśmy tutaj, wezwani przez Interpol...

– Daj spokój – przerwałam mu, czując, jak ściska mi się żołądek i zaczyna walić serce.

– Musisz mnie wysłuchać, pani doktor – odpowiedział. – W liście Benton cię prosi, żebyś przestała się zamartwiać, że wszystko jest w porządku, i wie, co teraz robisz...

– Przestań! – Podniosłam głos i rzuciłam na stół serwetkę, porwana emocjami.

– Musimy spojrzeć prawdzie w oczy. – Marino też dał się ponieść uczuciom. – Skąd wiesz...To znaczy, może ten list nie był napisany parę lat temu? A jeżeli został napisany teraz?

– Nie! Jak śmiesz! – wykrzyknęłam i łzy napłynęły mi do oczu.

Wstałam i odsunęłam krzesło. – Wyjdź – powiedziałam. Nie chcę być ofiarą twoich cholernych teorii na temat zjawisk nadprzyrodzonych. Czego chcesz? Żebym jeszcze raz przeżywała to piekło? Żebym znów poczuła nadzieję, gdy już tak ciężko pracowałam, aby zaakceptować prawdę? Wyjdź z mojego pokoju.

Marino zerwał się na równe nogi i pchnął krzesło, aż się przewróciło. Porwał paczkę papierosów ze stolika.

– A jeżeli on, cholera, żyje? – Też podniósł głos. – Skąd wiesz na pewno, że nie musiał na jakiś czas zniknąć, bo ma to związek z jakąś wielką sprawą i FBI, Interpołem, kurde, może nawet NASA?

Złapałam swoje wino, ale ręce mi tak drżały, że ledwo mogłam je utrzymać bez rozlewania. Cała moja egzystencja znów zatrzęsa się w posadach. Marino wielkimi krokami przemierzał pokój, gestykułując żywo papierosem.

– Nie wiesz tego na pewno – powtórzył. – Widziałś tylko spaloną kość w śmierdzącej czarnej dziurze po ogniu. I zegarek Breitling. To co, do cholery!

– Ty draniu! – powiedziałam. – Cholerny skurwysynu! Po tym wszystkim, co przeżyłam, ty musisz...

– Nie jesteś jedyna, która przez to przeszła. To, że z nim spałaś, nie znaczy jeszcze, że miałaś go na własność.

Podeszłam szybko i w ostatniej chwili powstrzymałam się przed tym, żeby nie dać mu w twarz.

– O Boże – szepnęłam, patrząc w zdumione oczy mojego przyjaciela. – O Boże.

Pomyślałam o Lucy bijącej Jo i odeszłam od niego. Odwrócił się do okna i palił. Pokój wydał mi się nagle pogrążony w nieszczęściu i wstydzie. Oparłam głowę o ścianę i przymknęłam oczy. Nigdy w życiu nie byłam tak blisko popełnienia aktu przemocy wobec kogokolwiek, a w dodatku wobec znanego i bliskiego mi człowieka.

– Nietzsche miał rację – mruknęłam tonem osoby pokonanej. – Uważaj, kogo wybierasz za wroga, bo do niego najbardziej się upodobnisz.

– Przepraszam – powiedział po prostu Marino.

– Jak mój pierwszy mąż, jak moja siostra idiotka, jak każda okrutna, egoistyczna istota, którą znałam. I proszę. Taka jestem. Jak one.

– Nie, nie jesteś.

Przyciskałam czoło do ściany, jakbym się modliła, rada, że w pokoju panował półmrok. Stałam tyłem do Marina, więc nie widział mojego udręczenia.

– Wcale tak nie uważam, jak powiedziałem. Przysięgam, że nie. Nawet nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

– W porządku.

– Staram się tylko brać pod uwagę wszystkie możliwości, bo w tej układance są takie kawałki, które do niczego nie pasują. – Podszedł do popielniczki i zgasił papierosa. – Nie wiem, po co tu jesteśmy.

– Na pewno nie po to, żebyśmy się tak zachowywali – odrzekłam.

– Nie wiem, dlaczego nie mogli wymieniać z nami wiadomości przez telefon albo przez komputer, jak zawsze. A ty wiesz?

– Nie – szepnęłam, robiąc głęboki oddech.

– Więc zacząłem przypuszczać, że może Benton... A może coś takiego się działo, że musiał na jakiś czas skorzystać z programu ochrony świadka. Zmienić tożsamość i tak dalej. Nie zawsze wiedzieliśmy, czym się zajmuje. Nawet ty nie zawsze wiedziałaś, bo nie mógł ci wyjawić wszystkiego, a nigdy nie naraziłby nas na niebezpieczeństwo, mówiąc coś, czego nie powinniśmy słyszeć. Zwłaszcza nie chciał skrzywdzić ciebie, żebyś się o niego cały czas martwiła. – Nie odpowiedziałam na to. – Nie próbuję niczego zamieszać. Chcę tylko zauważyć, że jest to coś, nad czym powinniśmy się zastanowić – zakończył niezręcznie.

– Nie, nie jest – odrzekłam, zboląła. – To nie jest coś, nad czym powinniśmy się zastanawiać. On został zidentyfikowany, Marino, na wszelkie możliwe sposoby. Zabijając go, Carrie Gretchen nie udawała, nie stworzyła dogodnej sytuacji, żeby mógł na jakiś czas zniknąć. Nie rozumiesz, że to niemożliwe? On nie żyje, Marino. Nie żyje.

– Byłaś przy jego sekcji? Czytałaś sprawozdanie? – Nie chciał zrezygnować.

Szczałki Bentona zostały wysłane do koronera w Filadelfii. Nigdy nie prosiłam o ponowną analizę.

– Nie, nie pojechałaś na jego sekcję, a gdybyś to zrobiła, uważałbym, że jesteś najbardziej porąbaną osobą, jaką znam – odpowiedział sam sobie Marino. – Więc nic nie widziałaś. Wiesz tylko to, co ci pokazano. Nie chcę tego przypominać, ale taka jest prawda. A jeżeli ktokolwiek chciałby przed tobą ukryć, że to nie były jego szczątki, skąd to możesz wiedzieć, skoro nic nie widziałaś?

– Nalej mi scotcha – poprosiłam.

Rozdział 32

Odwróciłam się do niego, oparta wciąż o ścianę, jakbym nie miała siły sama ustać na nogach. – Ludzie, widzicie, ile tu kosztuje whisky? – skomentował Marino, zamykając drzwiczki hotelowego minibarku.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Chyba i tak Interpol za to płaci – uznał.

– I chcę papierosa – dodałam.

Zapalił mi marlboro i poczułam w płucach pierwsze zaciągnięcie. Marino wręczył mi szklankę z porcją słodowej z lodem, w drugiej ręce trzymając piwo Beck's.

– Próbuję tylko ci powiedzieć – podsumował – że jeśli Interpol potrafi załatwić w tajemnicy te elektroniczne bilety, bajeranckie hotele, concordy i nie spotkasz nikogo, kto ci wyjawia, kim naprawdę jest, to myślisz, że nie potrafiliby załatwić wszystkiego innego?

– Nie mogliby upozorować zamordowania go przez psychopatkę – odpowiedziałam.

– Mogliby. Może było to po prostu precyzyjnie zgrane czasowo. – Wydmuchnął dym i łyknął piwa. – Chodzi o to, pani doktor, że moim zdaniem można podrobić wszystko, jeśli się dobrze pomyśli.

– Ale DNA zidentyfikowano...

Nie mogłam dokończyć zdania. Sprowadzało obrazy, które od dawna starałam się usunąć z pamięci.

– Nie możesz powiedzieć na pewno, czy te sprawozdania są prawdziwe.

– Dosyć!

Piwo pokonało jednak wszelkie bariery, jakie przedtem miał Marino, i teraz roztaczał przede mną coraz bardziej fantastyczne teorie oraz domysły i pobożne życzenia. Jego głos wznosił się i oddalał i stawał się coraz bardziej nierealny. Przeszedł mnie dreszcz. Gdzieś tam, z daleka, zamajaczyło światelko i bardzo chciałam, żeby to, co mówił detektyw, okazało się prawdą.

Kiedy nadeszła piąta rano, wciąż byłam ubrana i spałam na kanapie. Miałam potworny ból głowy, w ustach czułam smak niedopałków, oddech śmierdział alkoholem. Wykąpałam się i przez dłuższy czas patrzyłam na telefon przy łóżku. Oczekiwanie na to, co postanowiłam zrobić, wprawiło mnie w panikę i zmieszanie.

W Filadelfii dochodziła północ, więc zostawiłam wiadomość dla doktora Vance'a Hartona, naczelnego koronera. Podałam mu numer faksu w moim pokoju i wywiesiłam na drzwiach napis: „proszę nie przeszkadzać”. Spotkałam się z Marinem w holu, ale nie powiedziałam mu nic prócz ledwo słyszalnego „dzień dobry”.

W kawiarni słychać było brzęk naczyń, jakiś mężczyzna czyścił szklane drzwi szczotką i szmatką. O tak wczesnej porze nie mieli jeszcze kawy, a jedyną osobą z gości, która już nie spała, okazała się jakaś dama z przerzuconym na krześle futrem z norek. Przed hotelem czekała na nas kolejna taksówka mercedes.

Kierowca był tego dnia naburmuszony i śpieszył się. Masowałam sobie skronie, kiedy obok nas przemknęli motocykliści, nie zwracając uwagi na żadne pasy ruchu, przeciskając się między samochodami i wyjąc w wąskich

tunelach. Przygnębiło mnie wspomnienie wypadku, w którym zginęła księżna Diana.

Przypomniałam sobie, jak się obudziłam, usłyszałam o tym i pomyślałam, że nie chcemy przyjąć do wiadomości, że nasze bożyszczą mogą umierać taką zwykłą, tuzinkową śmiercią. Nie ma nic wspaniałego ani szlachetnego, jeśli się zostanie zabitym przez pijanego kierowcę. Śmierć zrównuje ludzi. Nic jej nie obchodzi, kim jesteś.

Niebo było szaroniebieskie. Na mokrych po umyciu chodnikach stały zielone pojemniki na śmieci. Na Place de la Concorde wytrzęsło nas na kocich łbach, po czym samochód jechał wzdłuż Sekwany, której prawie nie widzieliśmy z powodu muru. Zegar cyfrowy przed Gare de Lyon wskazywał siódmą dwadzieścia. Z wnętrza budynku dochodziło szuranie nóg, gdyż ludzie w pośpiechu zmierzali do Relais Hachette, aby kupić gazety.

Czekałam przed kasą biletową za kobietą z pudłem, gdy zwrócił moją uwagę jakiś mężczyzna o ostrych rysach, dobrze ubrany, ze srebrnymi włosami. Z daleka wyglądał jak Benton. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie badać wzrokiem ludzi w nadziei, że go odnajdę. Serce mi waliło, jakbym już więcej nie mogła znieść.

– Kawy – powiedziałam do Marina.

Usiedliśmy przy ladzie w L’Embarcadere i podano nam espresso w maleńkich brązowych filiżankach.

– Co to jest, do diabła? – narzekał Marino. – Chciałem normalną kawę. Może by tak chociaż trochę cukru – powiedział do kobiety za ladą.

Rzuciła mu kilka paczuszek.

– Pan chciał *café crème* – wyjaśniłam.

Skinęła głową. Wypił cztery, zjadł dwie kanapki z bagietki z szynką i wypalił trzy papierosy w ciągu niecałych dwudziestu minut.

– Wiesz – odezwałam się, gdy wchodziliśmy do *train à grande vitesse*, czyli TGV – naprawdę nie chciałabym, żebyś się zabił.

– Hej, nie martw się – odpowiedział, siadając naprzeciwko mnie. – Gdybym starał się tak dobrze prowadzić, stres by mnie zabił.

Nasz wagon wypełniony był najwyżej w jednej trzeciej i pasażerowie wydawali się interesować wyłącznie swoimi gazetami. Cisza skłoniła mnie i Marina do rozmowy przytłumionymi głosami, a pociąg-strzała nagle ruszył zupełnie bezdźwięcznie. Wypadliśmy z dworca i po chwili niebieskie niebo i drzewa tylko śmigały za oknem. Byłam rozpalona i chciało mi się pić. Starałam się zasnąć, chociaż słońce migotało co chwila na moich zamkniętych powiekach.

Ocknęłam się, kiedy jakaś Angielka dwa rzędy za mną zaczęła rozmawiać przez telefon komórkowy. Starszy pan po przeciwnej stronie rozwiązywał krzyżówkę i prztykał automatycznym ołówkiem. Kiedy mijaliśmy jakiś pociąg, poczuliśmy uderzenie powietrza. W pobliżu Lyonu niebo nabrało mlecznej barwy i zaczął padać śnieg.

Marino miał coraz bardziej zwarzony humor i kiedy wysiedliśmy na Part-Dieu w Lyonie, był wręcz niegrzeczny. Nie odzywał się podczas jazdy taksówką, a ja robiłam się coraz bardziej wściekła na niego, gdy odtwarzałam w pamięci teorie, jakimi raczył mnie ostatniej nocy. Zbliżaliśmy się do starej części miasta, gdzie łączą się rzeki Rodan i Saona. Domy i stare mury wbudowane we wzgórza przypominały mi Rzym. Czułam się okropnie i miałam obolałą duszę. Byłam samotna jak nigdy w życiu, jakbym nie istniała, tylko należała do czyjegoś złego snu.

– Nie mam żadnych nadziei – odezwał się w końcu Marino, nie wiadomo o propos czego. – Mógłbym sobie powiedzieć: „a gdyby tak”, ale nie mam nadziei. Nie ma sensu. Żona mnie zostawiła dawno temu i wciąż nie mogę znaleźć nikogo, kto by się nadawał. Teraz jestem zawieszony i

rozważam możliwość pracy u ciebie. A gdybym to zrobił? Już byś mnie nie szanowała.

– Oczywiście, że bym cię szanowała.

– Gówno prawda. Jak się dla kogoś pracuje, wszystko się zmienia, wiesz o tym.

Wyglądał na wykończonego i przygnębionego. Po jego twarzy i oklapniętej sylwetce widać było tryb życia, jaki prowadził. Wygniecioną dżinsową koszulę zalał kawą, spodnie khaki miał wypchane na kolanach. Zauważyłam, że im stawał się grubszy, tym większe kupował spodnie, jakby chciał oszukać siebie albo wszystkich wokół.

– Wiesz, Marino, to niezbyt miłe sugerować, że praca dla mnie byłaby najgorszą rzeczą, jaka ci się w życiu przydarzyła.

– Może nie najgorszą, ale prawie – odpowiedział.

Rozdział 33

Siedziba Interpolu była samotnie stojącym budynkiem na Parc de la Tête d'Or. Ta forteca z odblaskowych paneli i szkła zupełnie nie wyglądała na to, czym jest. Byłam pewna, że przejeżdżający tędy nie mogli w żaden sposób się domyślić, co dzieje się w środku. Na uliczce, wysadzonej drzewami, nie umieszczono tabliczki z nazwą, więc jeśli ktoś nie wiedział, dokąd jedzie, nie trafił tam. Nie dostrzegłam również żadnej tabliczki na budynku, informującej, że znajduje się tu Interpol. Nie było w ogóle żadnych informacji.

Trudno byłoby dojrzeć talerze anten satelitarnych i wszystkie inne anteny oraz betonowe barykady, a zielony metalowy płot z drutem kolczastym na górze doskonale zamaskowano roślinnością. Sekretariat jedynej międzynarodowej organizacji policyjnej na świecie emanował spokojem i jasnością, pozwalając zatrudnionym w budynku wyglądać na zewnątrz, ale nikomu z zewnątrz nie udało się zajrzeć do środka. Mała choinka na dachu była ukłonem w stronę świąt.

Kiedy nacisnęłam guzik intercomu przy bramie, żeby powiedzieć, że przyjechaliśmy, nie zobaczyłam nikogo. Następnie jakiś głos poprosił o podanie nazwisk i furka się otworzyła. Poszliśmy chodniczkiem do przybudówki, gdzie szcęknał następny zamek i spotkaliśmy się ze strażnikiem w garniturze i krawacie. Był chyba wystarczająco silny, żeby

złapać Marina i rzucić go z powrotem do Paryża. Kolejny strażnik siedział za szybą kuloodporną. Wysunął szufladę, włożyliśmy do niej paszporty, a dostaliśmy identyfikatory gości.

Nasze rzeczy osobiste zostały umieszczone na pasie i prześwietlone. Strażnik, który nas powitał, teraz nakazał nam raczej gestem niż słowami, aby wejść pojedynczo w coś, co wyglądało jak przezroczysta pneumatyczna rura od podłogi po sufit. Weszłam, spodziewając się, że może mnie gdzieś wessać, i zamknęły się za mną półokrągłe drzwi z pleksiglasu. Kolejnymi drzwiami wyszłam po drugiej stronie, prześwietlona do najmniejszej cząsteczki.

– Co to jest, do cholery? „Star Trek”? – narzekał Marino po swoim prześwietleniu. – Skąd możesz wiedzieć, że od czegoś takiego nie dostaniesz raka? Albo możesz mieć inne problemy, jeśli jesteś facetem.

– Cicho bądź – uspokoiłam go.

Wydawało nam się, że czekaliśmy bardzo długo, aż w pasażu łączącym tę część z głównym budynkiem pojawił się jakiś mężczyzna. Wyglądał zupełnie inaczej, niż można się było spodziewać po pracowniku takiej instytucji. Szedł lekkim krokiem sportowca, a elegancki flanelowy garnitur w kolorze węgla drzewnego świetnie leżał na zgrabnej sylwetce nieznanego. Miał wykrochmaloną białą koszulę i drogi krawat od Hermesa, kasztanowo-zielono-niebieski. Mocno uścisnął nam ręce i zauważyłam, że nosił złoty zegarek.

– Jay Talley – przedstawił się. – Przepraszam, że państwo musieli czekać.

Jego orzechowe oczy były tak przenikliwe, że poczułam niepokój. Natychmiast wiedziałam, co to za typ, bo tak przystojni mężczyźni są bardzo do siebie podobni. Wiedziałam też od razu, że Marinowi się nie spodoba.

– Rozmawialiśmy przez telefon – powiedział do mnie, jakbym mogła nie pamiętać.

– I od tego czasu nie spałam – odparłam, nie mogąc oderwać od niego oczu, chociaż bardzo się starałam.

– Proszę, proszę za mną.

Marino spojrział na mnie i za plecami Talleya wykonał palcami znak, który zawsze robił, kiedy uznał, że ktoś jest gejem. Talley był szeroki w barach, miał profil rzymskiego boga, pełne usta i mocny podbródek. Zaintrygował mnie jego wiek. Zwykle na placówkach zagranicznych, tych bardzo ważnych, umieszczano w nagrodę zasłużonych agentów, a on wyglądał najwyżej na trzydziestkę. Zaprowadził nas do marmurowego atrium, wysokiego na cztery piętra, ozdobionego mozaiką mapy świata, skąpaną w świetle. Nawet winda była szklana.

Po pokonaniu serii elektronicznych zamków, brzęczyków, kombinacji i kamer śledzących każdy nasz ruch wysiedliśmy na trzecim piętrze. Znalazłam się jak gdyby wewnątrz kryształu, a Talley zdawał się błyszczeć. Czułam się oszołomiona i urażona, bo nie był to mój pomysł, żeby tu przyjeżdżać, i nie dostrzegałam, żebym miała na cokolwiek wpływ.

– A co jest tam? – Marino, ten wzór uprzejmości, wskazał palcem do góry.

– Czwarte piętro – odpowiedział Talley obojętnie.

– Guzik nie ma numerka i wygląda, jakby trzeba go uruchamiać kluczykiem – ciągnął Marino, spoglądając na sufit windy. – Zastanawiałem się, czy właśnie tam trzymacie wszystkie swoje komputery.

– Mieszka tam sekretarz generalny – wyjaśnił rzeczowo Talley, jakby nie było w tym nic niezwykłego.

– Poważnie?

– Ze względów bezpieczeństwa. On i jego rodzina mieszkają na miejscu – ciągnął dalej, gdy mijaliśmy normalnie wyglądające pokoje biurowe z normalnie wyglądającymi ludźmi w środku. – Zaraz się z nim zobaczymy.

– Dobrze. Może zechce nam pan łaskawie powiedzieć, co my tu, do cholery, robimy – odezwał się mój towarzysz.

Talley otworzył kolejne drzwi, tym razem z grubego ciemnego drewna i zostaliśmy uprzejmie powitani przez człowieka z brytyjskim akcentem, który przedstawił się jako dyrektor do spraw łączności. Przyjął zamówienia na kawę i zawiadomił sekretarza generalnego George'a Mirot, że przyszliśmy. Po paru minutach wprowadził nas do prywatnego gabinetu szefa. Zobaczyliśmy imponującego mężczyznę o szarych włosach, siedzącego za biurkiem z czarnym, skórzanym blatem, wśród wiszącej na ścianach zabytkowej broni, medali i upominków z innych krajów. Mirot wstał i uścisnął nam rękę.

– Proszę się rozgościć – powiedział i wskazał nam fotele przy oknie, wychodzącym na Rodan. Talley w tym czasie zbierał gruby plik dokumentów ze stołu.

– Wiem, że był to dla państwa wielki wysiłek i musicie się czuć wykończeni – powiedział bardzo starannym angielskim. – Bardzo państwu dziękuję za przyjazd, i to w tak szybkim czasie.

Nieprzenikniona twarz i wojskowy sposób bycia tego człowieka niczego nie zdradzały, ale jego postawa sprawiała, że wszystko wokół wydawało się mniejsze. Usiadł w fotelu i skrzyżował nogi. Marino i ja wybraliśmy kanapę, a Talley siadł naprzeciwko mnie i ułożył teczkę na dywanie.

– Agencie Talley – polecił Mirot – może pan zacznie. Państwo wybaczą, że przejdę od razu do rzeczy – zwrócił się do nas. – Mamy bardzo mało czasu.

– Po pierwsze, chcę wyjaśnić, dlaczego ATF, Wydział do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni zaangażował się w państwa niezidentyfikowany przypadek – powiedział Talley do Marina i do mnie. – Znają państwo działanie HIDTA, komórki zajmującej się handlem twardymi narkotykami, choćby z powodu pani siostrzenicy Lucy? – To pytanie skierował do mnie.

– To nie ma z nią nic wspólnego – broniłam jej niepewnie.

– Jak prawdopodobnie wiecie, HIDTA dysponuje siłami do zadań specjalnych – wyjaśniał Talley, nie reagując na moją odpowiedź. – FBI, DEA, czyli Agencja do Zwalczenia Narkotyków, lokalne służby egzekwujące przestrzeganie prawa i oczywiście ATF, wszystkie one łączą się w szczególnie ważnych i trudnych sprawach. – Przesunął swój fotel i usiadł zaraz naprzeciwko mnie. – Mniej więcej rok temu – ciągnął – utworzyliśmy specjalną grupę do rozpracowania powtarzających się w Paryżu morderstw, które naszym zdaniem zostały popełnione przez tę samą osobę.

– Nie wiedziałam o żadnych seryjnych morderstwach w Paryżu – wtrąciłam.

– Tu, we Francji, lepiej kontrolujemy media niż wy – włączył się sekretarz generalny. – Musi pani nas zrozumieć, pani doktor. O tych morderstwach mówiono w wiadomościach, ale bardzo niewiele, bez żadnych szczegółów, bez sensacji. Paryżanie wiedzą, że w mieście jest morderca, kobiety zostały ostrzeżone, aby nie wpuszczały do swoich domów obcych i tak dalej. Ale to wszystko. Uważamy, że nie ma żadnego sensu pokazywać ran, strzaskanych kości, rozdartych ubrań, śladów ugryzień i zboczeń seksualnych.

– Skąd pochodzi określenie Loup-Garou? – spytałam.

– Od niego – odpowiedział Talley, a jego wzrok prawie dotykał mojego ciała.

– Od mordercy? – upewniłam się. – To znaczy, że sam siebie nazywa wilkołakiem?

– Tak.

– Skąd, do diabła, możecie coś takiego wiedzieć? – wtrącił się Marino i dostrzegłam, obserwując język jego ciała, że mogą być kłopoty. Talley zawahał się i spojrzał na Mirotę. – Co ten skurwysyn robi? – kontynuował detektyw. – Zostawia swoje przezwisko na wizytówkach na miejscach zbrodni? A może przypina do zwłok napis jak na filmach, co? Tego właśnie nie znoszę w wielkich organizacjach, które się zabierają do takich bzdur. Najlepsi ludzie do pracy przy zbrodniach to takie łapserdaki jak ja, co będą wszędzie chodzić, chociaż im się zabłocą buty. Kiedy włączy się do śledztwa te wyspecjalizowane jednostki i systemy komputerowe, cała sprawa rozplywa się w powietrzu. Robi się to wszystko za inteligentne, podczas gdy to, co puściło całą maszynę w ruch, wcale nie jest takie mądre, w akademickim znaczeniu...

– I tu się pan myli – przerwał mu Mirot. – Loup-Garou jest bardzo inteligentny. Miał swoje powody, żeby podać nam własne przezwisko w liście.

– W liście do kogo? – chciał wiedzieć Marino.

– Do mnie – rzekł Talley.

– Kiedy to było? – spytałam.

– Mniej więcej rok temu. Po czwartym morderstwie.

Rozwiązał teczkę i wyciągnął z niej list osłonięty przezroczystym plastikiem. Wręczył mi go, dotykając moich palców. List był po francusku. Rozpoznałam pismo – te same dziwne, trochę drukowane litery z kartonu w kontenerze. Papeteria miała wytłoczone kobiece imię i zabrudzona była krwią.

– Jest tu napisane – przetłumaczył Talley – „Za grzechy jednego umrą wszyscy. Wilkołak”. Papier listowy należał do ofiary i to jej krew. Ale zastanowiło mnie wtedy, skąd wiedział, że byłem zaangażowany w tamto śledztwo. I to wszystko przybliżyło nas do teorii, z którą łączy się wasz przyjazd tutaj. Mamy poważne powody, aby przypuszczać, że zabójca pochodzi z rodziny o znacznych wpływach, jest synem ludzi dokładnie wiedzących, co robi, i dbających tylko o to, żeby nie został złapany. Niekoniecznie dlatego, że on ich obchodzi, tylko dlatego, że muszą chronić siebie.

– Łącznie z zapakowaniem go do kontenera na statku? – spytałam. – Martwy, niezidentyfikowany, tysiące kilometrów stąd, bo mieli go dosyć?

Mirot mnie obserwował. Zmienił pozycję w fotelu, skóra zaskrzypiała. Pogładził swój srebrny długopis.

– Chyba nie. – Talley zwrócił się znów do mnie. – Z początku nawet tak myśleliśmy, bo wszystkie elementy wskazywały na denata znalezionego w Richmondzie jako tego mordercę: „Loup-Garou” nabazgrane na kartonie, opis fizyczny, w miarę dokładny, biorąc pod uwagę stan zwłok, a także kosztowne ubranie. Kiedy jednak podała nam pani następną informację, dotyczącą tatuażu z – cytuję – „żółtymi oczami, które mogły być zmienione w celu ich zmniejszenia”...

– Ho, ho – wtrącił się Marino – mówi pan, że ten Garou miał tatuaż z żółtymi oczami?

– Nie – odrzekł Talley. – Mówimy, że jego brat miał.

– Miał? – spytałam.

– Dojdziemy do tego i może zacznie pani kojarzyć, dlaczego to, co przydarzyło się pani siostrzenicy, łączy się w pewnym punkcie z naszą sprawą – odpowiedział Talley, napęniając mnie znów niepokojem. – Czy

znany jest państwu międzynarodowy kartel kryminalny, który nazwaliśmy „Stosześćdziesiątkipiątki”?

– O Boże – jęknęłam.

– Został tak nazwany, bo ich ulubioną amunicją jest stusześćdziesięciopięciogranowa Speer Gold Dot – wyjaśniał Talley. – Szmuglują ten typ pocisków i używają wyłącznie do własnej broni, więc na ogół możemy poznać ich działalność, bo znaleziona kula będzie zawsze Gold Dot.

Pomyślałam o łusce z Gold Dot, znalezionej w Quik Cary.

– Kiedy przesłała nam pani informację o zamordowaniu Kim Luong i dzięki Bogu, że pani to zrobiła, kawałki układanki zaczęły do siebie pasować.

Teraz odezwał się Mirot:

– Wszyscy członkowie tego kartelu mają wytatuowane dwie żółte kropki. – Narysował je na notesie. Były wielkości dziesięciocentówek. – Symbol członkostwa w tym posiadającym wielką władzę klubie ludzi bez skrupułów. Przypomnienie, że jeśli się do niego wstąpi, to na całe życie, bo tatuaż nie schodzi. Jedynym sposobem na opuszczenie kartelu jest śmierć. Chyba że uda ci się zmniejszyć złociste kropki i przerobić je na oczka. Oczy sowy – prosto i szybko. A potem uciec w jakieś miłe miejsce, gdzie nikt cię nie będzie szukał.

– Jak zaciszny port w mało prawdopodobnym miejscu w Richmondzie, w stanie Wirginia – dodał Talley.

Mirot skinął głową.

– Właśnie.

– Ale po co? – spytał Marino. – Dlaczego ten facet nagle pęka i ucieka? Co takiego zrobił?

– Sprzeciwił się kartelowi – wyjaśnił Talley. – Innymi słowy, zdradził rodzinę. Uważamy, że człowiek w pani kostnicy to Thomas Chandonne. Jego ojciec jest ojcem chrzestnym, że się tak wyrażę, Stosześćdziesiątepiątek. Thomas popełnił drobny błąd, że zdecydował się na produkcję własnych narkotyków oraz samodzielny handel bronią i oszukał rodzinę.

– Należy wiedzieć – dodał Mirot – że rodzina Chandonne mieszka na Ile Saint-Louis, w jednej z najstarszych i najbogatszych dzielnic Paryża, od siedemnastego wieku. Mieszkańcy nazywają siebie Louisiens i są bardzo dumni, uważając się za elitę. Niektórzy nawet nie uznają wyspy za część Paryża, chociaż leży na środku Sekwany, w sercu miasta. Balzac, Voltaire, Baudelaire, Cézanne to zaledwie kilku z jej znanych mieszkańców. I tu właśnie Chandonne'owie ukryci za szlachetną, nobliwą fasadą wykorzystują filantropię i wpływy polityczne, prowadząc jeden z największych i najbardziej okrutnych karteli przestępczości zorganizowanej na świecie.

– Nigdy nie mieliśmy dostatecznie dużo dowodów, żeby ich przyskrzynić – dodał Talley. – Z państwa pomocą możemy zyskać szansę.

– Jak? – spytałam, chociaż wcale nie chciałam mieć do czynienia z taką rodzinką morderców.

– Po pierwsze, weryfikacja. Musimy udowodnić, że jest to ciało Thomasa. Ja nie mam wątpliwości, ale są pewne szczegóły, z którymi my, stróże prawa, musimy się uporać. – Uśmiechnął się do mnie.

– DNA, odciski palców, filmy? Czy mamy coś do porównania? – zapytałam, oczywiście znając odpowiedź.

– Zawodowi przestępcy dbają o to, żeby nie zostawiać takich dowodów – zauważył Mirot.

– Nic nie znaleźliśmy – potwierdził Talley. – I tu właśnie wkracza Loup-Garou. Jego DNA mogłoby zidentyfikować brata.

– Więc mamy umieścić ogłoszenie w prasie i poprosić tego Loup, żeby wpadł i pozwolił pobrać sobie próbkę krwi? – Marino stawał się coraz bardziej zgryźliwy.

– A oto, co naszym zdaniem mogło się stać. – Talley zaczął relacjonować przebieg wydarzeń, ignorując go. – Dwudziestego czwartego listopada, dwa dni przed wyruszeniem „Syriusza” w rejs do Richmondu, mężczyzna, który nazywa sam siebie Loup-Garou, usiłował popełnić ostatnie, naszym zdaniem, morderstwo w Paryżu. Proszę zwrócić uwagę na to, co powiedziałem: usiłował. Kobiecie się udało. Było około wpół do dziewiątej wieczorem, ktoś zapukał do drzwi jej domu, a kiedy otworzyła, zobaczyła stojącego na ganku mężczyznę. Był uprzejmy, ładnie się wyrażał. Wydawał jej się bardzo elegancki, zapamiętała długi, ciemny płaszcz, może skórzany, i ciemny szalik wsunięty pod kołnierz. Powiedział, że właśnie miał drobny wypadek samochodowy, i spytał, czy byłaby uprzejma pozwolić mu zatelefonować na policję. Był bardzo przekonujący. Już chciała go wpuścić, kiedy mąż zawołał coś do niej z pokoju, i mężczyzna nagle uciekł.

– Dobrze mu się przyjrzała? – spytał Marino.

– Opisała płaszcz, szalik, czapkę. Jest prawie pewna, że trzymał ręce w kieszeniach i jak gdyby kulił się przed zimnem – opowiadał agent. – Nie widziała jego twarzy, bo było ciemno. Generalnie odniosła wrażenie – nie, że to bardzo miły, uprzejmy dżentelmen. – Przerwał. – Może jeszcze kawy? Wody? – spytał wszystkich. Zauważyłam, że ma kolczyk w prawym uchu. Zobaczyłam ten maleńki brylancik, dopiero gdy Talley się nachylił, żeby nappełnić moją szklankę. – Dwa dni po usiłowaniu tego zabójstwa, dwudziestego czwartego listopada, „Syriusz” miał wypłynąć z Antwerpii,

podobnie jak marokański statek „Exodus”, który regularnie przywozi do Europy fosforyty – ciągnął, wracając na swój fotel. – Ale Thomas Chandonne dobrze prowadził swoje interesy, więc „Exodus” dopłynął do Miami z najróżniejszą bronią i materiałami wybuchowymi, ukrytymi w workach z fosforytami. Wiedzieliśmy o jego działalności, a może państwo też już widzą związek z HIDTA? Ta akcja, w której brała udział pani siostrzenica? To był tylko jeden z produktów ubocznych działalności Thomasa.

– Na pewno rodzina się zorientowała – odezwał się Marino.

– Przypuszczamy, że przez dłuższy czas mu się udawało. Wybierał różne trasy, podmieniał księgi i tak dalej – odrzekł Talley. – Ulica mówi na to przewalka, prawnicy – małwersacja. W rodzinie Chandonne nazywa się to samobójstwem. I nie wiemy dokładnie, co się wydarzyło, ale coś się stało, bo oczekiwaliśmy, że będzie na „Exodusie”, ale go nie było. A dlaczego go nie było? – Zadał to pytanie jako retoryczne. – Bo wiedział, że go odkryli. Zmienił tatuaż i wybrał mały port, gdzie istniała znikoma szansa na to, że ktoś będzie szukał pasażera na gapę. – Spojrzał na mnie. – Richmond wydawał się dobrym pomysłem. W Stanach jest już niewiele portów mających taką specjalizację, a w Richmondzie obserwuje się stały przepływ statków do i z Antwerpii.

– Więc Thomas, używając fałszywego nazwiska... – zaczęłam.

– Jednego z wielu – wtrącił Mirot.

– Zamustrował się jako członek załogi „Syriusza”. Chodziło o to, żeby wylądował w bezpiecznym porcie w Richmondzie, a „Exodus” miał popłynąć bezpieczną drogą do Miami bez niego – dokończył za mnie Talley.

– A gdzie w tym wszystkim pojawia się wilkołak? – chciał wiedzieć Marino.

– Możemy tylko spekulować – odrzekł Mirot. – Loup-Garou wyraźnie traci panowanie, ostatnie morderstwo mu się nie udaje. Może został zapamiętany? Może rodzina ma go dosyć, a on zdaje sobie z tego sprawę? Może zna skądś plany brata, zamierzającego uciec z kraju na „Syriuszu”. Odkrył jego działalność, wie o zmienionym tatuażu i tak dalej. Topi więc Thomasa, zamyka jego ciało w kontenerze i próbuje stworzyć pozory, że ten martwy mężczyzna to on, Loup-Garou.

– Zamienił się z nim na ubrania? – Talley zwrócił się z tym pytaniem do mnie.

– Jeśli planował zająć miejsce Thomasa na statku, nie mógł się tam pojawić w rzeczach od Armaniego.

– Co znaleziono w kieszeniach denata? – Miałam wrażenie, jakby Talley nachylał się ku mnie, chociaż siedział wyprostowany.

– Drobiazgi – powiedziałam. – A więc zapalniczkę, pieniądze, wszystko, co miał, włożono do kieszeni dżinsów brata – o ile był to jego brat, ten człowiek, którego ciało znaleziono w porcie Richmond.

– Wymieniono zawartość kieszeni, ale nie pojawiło się nic, co umożliwiłoby identyfikację zwłok.

– Tak – potwierdziłam. – I nie wiemy, czy cała wymiana nastąpiła po śmierci Thomasa. To raczej niezwykle. Lepiej zmusić ofiarę, żeby się rozebrała.

– Tak. – Mirot skinął głową. – Właśnie do tego dochodziłem. Zamiana ubrań przed zamordowaniem ofiary. Obie osoby się rozbierają.

Pomyślałam o wewnętrznej stronie bielizny, żwirku na kolanach i pośladkach. Otarcia z tyłu butów mogły powstać później, kiedy Thomas, już utopiony, był ciągnięty w kąt kontenera.

– Ilu członków załogi miał „Syriusz”? – spytałam.

To Marino mi odpowiedział.

– Na liście było siedmiu. Wszyscy zostali przesłuchani, ale nie przeze mnie, bo nie znam języka. Jakiś celnik miał ten zaszczyt.

– Czy członkowie załogi się znali? – zapytałam.

– Nie – odpowiedział Talley. – Nie ma w tym nic dziwnego, bo te statki zarabiają pieniądze tylko wtedy, gdy płyną. Dwa tygodnie rejs w jedną stronę, dwa z powrotem, bez przerwy. Musi być duża rotacja załogi. Nie mówiąc o tym, że mamy do czynienia z facetami, którzy nigdzie nie zagrzeją dłużej miejsca, więc można mieć siedmioosobową załogę, a tylko dwie osoby już kiedyś ze sobą płynęły.

– Czy tych samych siedmiu ludzi było na pokładzie, gdy statek wracał do Antwerpii? – zainteresowałam się.

– Jak powiedział Joe Shaw – odrzekł Marino – żaden z nich nawet nie opuścił portu w Richmondzie. Jedli i spali na statku, wyładowali towar i wrócili.

– Och – wtrącił Talley. – To niedokładnie tak. Jeden z nich miał rzekomo pilną sprawę rodzinną. Agent morski zawiózł go na lotnisko w Richmondzie, ale nie widział, czy tamten wszedł do samolotu. Nazwisko, widniejące w książce okrętowej, to Pascal Leger. Ów monsieur Leger prawdopodobnie nie istnieje i tak brzmiało zapewne fałszywe nazwisko Thomasa, którego używał, gdy został zabity, a Loup-Garou mógł je przejąć po utopieniu brata.

– Trudno mi jakoś wyobrazić sobie tego obłąkanego seryjnego mordercę jako brata Thomasa Chandonne’a – powiedziałam. – Skąd ta pewność?

– Zmieniony tatuaż, jak już wspomniałem – odrzekł Talley. – A także państwa najnowsze informacje dotyczące szczegółów morderstwa Kim Luong. Bicie, gryzienie, sposób, w jaki ją rozebrano, wszystko razem. Niepowtarzalny i straszliwy *modus operandi*. Kiedy Thomas był chłopcem,

pani doktor, opowiadał kolegom w klasie, że ma starszego brata, będącego *espčce de sale gorille*. Głupią, wstrętną małpą, która musi siedzieć w domu.

– Ten zabójca nie wydaje się głupi – zauważyłam.

– Absolutnie nie – zgodził się Mirot.

– Nie możemy znaleźć żadnego dokumentu na temat tego brata. Nie znamy imienia ani niczego – powiedział Talley. – Ale wierzymy, że istnieje.

– Zrozumie pani to wszystko lepiej, gdy przejrzymy dokumentację spraw – dodał Mirot.

– Chciałabym to zrobić zaraz oświadczyłam.

Rozdział 34

Jay Talley wziął pokaźny segregator w formie akordeonu i wyjął z niego liczne spięte pliki akt. Umieścił je przede mną na stoliku. – Przetłumaczyliśmy je na angielski – powiedział. – Wszystkie autopsje zostały wykonane w Institut Medico-Legal w Paryżu.

Zaczęłam je przeglądać. Każda ofiara została pobita tak, że nie można jej było rozpoznać, a zdjęcia i sprawozdania ukazywały posiniaczone odciski i gwiazdowate rozdarcia w miejscach, gdzie skóra pękła po uderzeniu jakimś narzędziem, które nie było chyba podobne do użytego w przypadku Kim Luong.

– Te wgniecione fragmenty czaszki – komentowałam, przewracając strony – to młotek czy coś takiego? I nie zostało odnalezione żadne narzędzie?

– Nie – odrzekł Talley.

Wszystkie kości twarzy były połamane. Były tam krwiaki podtwardówkowe, powodujące krwotok do mózgu. A także krew w klatce piersiowej. Wiek ofiar wahał się od dwudziestu jeden do pięćdziesięciu dwóch lat. Każda miała liczne ślady ugryzień.

– „Ciężkie złamanie z rozdrobnieniem kości... wgniecenie, a następnie złamanie, które spowodowało dostanie się odłamków kości do mózgu” – czytałam głośno, przerzucając jeden protokół z sekcji po drugim. –

„Obustronne krwiaki podtwardówkowe. Uszkodzenie tkanki mózgowej z towarzyszącym mu krwotokiem podpajęczynówkowym... złamanie prawej kości czołowej, dochodzące do prawej kości ciemieniowej... Zakrzep wskazuje na czas przeżycia około sześciu minut od momentu zadania ciosu...”. – Zamknęłam wszystko i powiedziałam: – Furia. Pasja zabijania. Szalona żądza mordy.

– Seksualna? – Talley nie spuszczał ze mnie wzroku.

– A czy wszystko na to nie wskazuje? – wtrącił się Marino. Każda ofiara została do połowy obnażona, ubranie miała rozerwane lub zdarte. Wszystkie były boso.

– Dziwne – zauważyłam. – Wydaje się, że nie interesowały go ich poślądki ani genitalia.

– Jakby miał jakąś obsesję na punkcie piersi – skomentował Mirot.

– Z pewnością symbol matki – odpowiedziałam. – I jeśli to prawda, że go trzymano w domu przez cały okres dzieciństwa, musi tu być jakaś ciekawa patologia.

– A co z rabunkiem? – spytał detektyw.

– Nie mamy pewności co do wszystkich przypadków, ale w niektórych na pewno. To znaczy pieniądze. Nic takiego, co dałoby się wysledzić, jak biżuteria, którą mógłby sprzedać – tłumaczył Talley.

Marino poklepał swoją paczkę papierosów jak zwykle, gdy koniecznie chciał zapalić.

– Proszę bardzo – powiedział Mirot.

– Czy możliwe, że zabija gdzie indziej? W innych miejscach poza Richmondem, zakładając, że on zamordował Kim Luong? – spytałam.

– To na pewno on ją załatwił – oświadczył Marino. – Nigdy nie widziałem takiego *modus operandi*.

– Nie wiemy dokładnie, ile razy zabił – odrzekł Talley. – Ani gdzie.

– Jeżeli istnieje jakiś związek, nasz program komputerowy zdoła go wskazać i połączyć te przestępstwa w ciągu dwóch minut. Jednak zawsze mogą istnieć przypadki, o których nie wiemy. Mamy sto siedemdziesiąt siedem krajów członkowskich, pani doktor. Niektóre korzystają z naszych możliwości częściej niż inne – wyjaśnił Mirot.

– To tylko podejrzenie, ale przypuszczamy, że facet nie jest światowym podróżnikiem. Zwłaszcza jeśli posiada jakąś ułomność, z powodu której musiał przebywać w domu. Sądzę, że wciąż mieszkał z rodzicami, kiedy zaczął popełniać te morderstwa.

– Czy one występują coraz częściej? Czy przerwa między kolejnymi trwa tak samo długo? – spytał Marino.

– Dwa ostatnie, o których wiemy, nastąpiły w październiku, potem było to usiłowanie zabójstwa, więc uderzył trzy razy w ciągu okresu pięciu tygodni. Potwierdza to tylko nasze podejrzenia, że zrobiło mu się tu za gorąco i dlatego zbiegł.

– Może miał nadzieję, że zacznie wszystko od nowa i przestanie zabijać – powiedział Mirot.

– Tak się nie zdarza – zapewnił go Marino.

– Nic tu nie napisano na temat dowodów dostarczonych do laboratorium – zauważyłam, czując równocześnie zimny dreszcz, jak gdybym zajrzała do ciemnego pokoju. – Nie rozumiem. Niczego nie badano w tych przypadkach? Wymazy płynów ustrojowych? Włosy, jakieś włókna, złamany paznokieć? Nic tu nie ma?

Sekretarz generalny popatrzył na zegarek.

– Nie szukano nawet odcisków palców? – Nie mogłam w to uwierzyć.

Mirot wstał z fotela.

– Agencie Talley, czy mógłby pan zabrać naszych gości na lunch do stołówki? – zapytał. – Obawiam się, że nie będę mógł wam towarzyszyć. –

Odprowadził nas do drzwi swego wspaniałego gabinetu. – Chciałbym państwu jeszcze raz podziękować za przyjazd – powiedział do Marina i do mnie. – Mam świadomość, że wasza praca dopiero się rozpoczyna, ale mam nadzieję, że pójdzie w dobrym kierunku i będzie można wkrótce zamknąć tę straszliwą sprawę. Albo uderzyć tak, że winni padną na kolana.

Jego sekretarka przycisnęła klawisz na telefonie.

– Panie inspektorze Arvin, jest pan tam? – spytała kogoś czekającego na linii. – Mogę pana połączyć?

Mirot skinął głową. Wrócił do gabinetu i delikatnie zamknął drzwi.

– Nie sprowadzał nas pan tutaj taki kawał drogi, żebyśmy przejrzała te protokoły – zwróciłam się do Talleya, gdy prowadził nas przez labirynt korytarzy.

– Coś państwu pokażę – odrzekł. Skierował się do narożnika, w którym zobaczyliśmy koszmarną galerię zdjęć twarzy zmarłych. – Ciała do zidentyfikowania – wyjaśnił. – Czarne kartki.

Odbitki były czarnobiałe, umieszczono na nich również odciski palców i inne cechy identyfikacyjne. Wszystkie informacje podano po angielsku, francusku, hiszpańsku i arabsku i było jasne, że większość tych bezimiennych nieszczęśników nie umarła śmiercią naturalną.

– Rozpoznajecie waszego? – Talley wskazał na najnowszy plakat.

Na szczęście nie była to groteskowo wykrzywiona twarz mojego niezidentyfikowanego przypadku, tylko nieciekawy schemat zębów, odciski palców i opis.

– Poza tymi plakatami Interpol jest organizacja bezpapierową – wyjaśnił nasz przewodnik. Zaprowadził nas do windy. – Dane z dokumentów są elektronicznie skanowane do głównego zbioru, przechowuje się je tam przez ograniczony czas, a następnie niszczy. – Wcisnął guzik na pierwsze piętro.

– Musicie tylko mieć nadzieję, że nie złapiecie pluskwy – powiedział Marino.

Talley się uśmiechnął.

Stołówki strzegły wiszące na ścianach zbroje i mosiężny orzeł. Przy zatłoczonych stolikach siedziało kilkuset mężczyzn i kobiet w biurowych strojach. Znajdowali się tu policjanci z całego świata, którzy przybyli do centrali, żeby zwalczać różnorodną zorganizowaną działalność kryminalną, poczynając od skradzionych kart kredytowych i fałszerstw w Stanach Zjednoczonych, a na handlu narkotykami w Afryce kończąc.

Talley i ja wybraliśmy pieczonego kurczaka i sałatkę, Marina skusiły żeberka z rusztu. Usiedliśmy w rogu sali.

– Sekretarz generalny zwykle nie angażuje się osobiście w ten sposób – poinformował nas Talley. – Co oznacza, jak ważna jest ta sprawa.

– Rozumiem, że mamy się czuć zaszczytzeni – odparł Marino.

Agent odkroił kawałek kurczaka i trzymał widelec na sposób europejski.

– Nie powinniśmy dać się zaślepić pragnieniu, żeby niezidentyfikowane ciało okazało się Thomasem Chandonne'em – ciągnął.

– Jasne, że byłby to obciach, gdybyście wyjęli tę czarną kartkę ze swojego sprytnego komputera i co? Okazuje się, że ten skurwiel żyje, a Loup-Garou to jakiś miejscowy narkoman, który zabija dalej. Obie sprawy bez związku – podsumował Marino. – Chyba Interpol straciłby sporo składek członkowskich, co?

– Kapitanie Marino, tu nie chodzi o składki członkowskie – odparł Talley, obrzucając go niewidzącym spojrzeniem. – Wiem, że w swej karierze pracował pan przy wielu bardzo, bardzo trudnych sprawach. Wie pan, jak pracochłonne mogą być śledztwa. Musimy zwolnić naszych funkcjonariuszy, żeby mogli zajmować się innymi przestępstwami. Musimy przyszpilić ludzi osłaniających to gniazdo os. Musimy ich zniszczyć do

ostatniego. – Odsunął tacę z nieskończonym posiłkiem i wyjął paczkę papierosów z wewnętrznej kieszeni marynarki. – To jest miłe w Europie – uśmiechnął się. – Szkodliwe dla zdrowia, ale niepotępiane w towarzystwie.

– Chciałbym jednak pana zapytać – drążył Marino. – Jeśli nie chodzi o składki członkowskie, to kto płaci za te bajery? Odrzutowce, concordy, luksusowe hotele, nie mówiąc o taryfach-mercedesach?

– Wiele taksówek tutaj to mercedesy.

– My w Stanach wolimy przechodzone chevrolety i fordys – ironizował detektyw. – Wie pan, kupuj amerykańskie.

– Interpol nie ma zwyczaju fundowania nikomu specjalnych odrzutowców i luksusowych hoteli – oświadczył Talley.

– Więc kto to zrobił?

– Może powinniście zapytać senatora Lorda? – zasugerował. – Ale chciałbym wam coś przypomnieć. Przemysł zorganizowany zarabia ogromne sumy pieniędzy, a większość tych pieniędzy pochodzi od uczciwych ludzi, uczciwych firm i korporacji. Toteż zależy im na wycofaniu tych karteli z konkurencji co najmniej tak samo, jak nam. – Marinowi zrzędała mina. – Mogę tylko przypuszczać, że dla jakiejś firmy z listy „Fortuna 500” zakup dwóch biletów na przelot concorde’em to niewiele w porównaniu ze sprzętem elektronicznym, a nawet bronią czy materiałami wybuchowymi wartymi miliony dolarów, jakie przechodzą przez nielegalne kartele.

– Więc za to wszystko zapłaciła jakaś spółka typu Microsoft? – drążył dalej Marino.

Cierpliwość naszego gospodarza się wyczerpała. Nie odpowiedział.

– Pytam pana. Chcę wiedzieć, kto zapłacił za mój bilet. Chcę wiedzieć kto, do cholery, grzebał w moim bagażu. Jakiś agent Interpolu? – nalegał detektyw.

– Interpol nie ma agentów. Ma łączników z różnych agencji. ATF, FBI, poczta, oddziały policji i tak dalej.

– Tak, jasne, tak samo jak CIA nie robi z ludzi frajerów.

– Na miłość boską, Marino – zaczęłam go uspokajać.

– Chciałbym wiedzieć, kto, do cholery, grzebał w mojej walizce – upierał się kapitan, robiąc się jeszcze bardziej czerwony. – To mnie tak wkurzyło, jak już dawno nic.

– Mogę to zrozumieć – odrzekł Talley. – Może powinien pan złożyć zażalenie do policji paryskiej. Ale podejrzewam, jeśli oni mieli z tym coś wspólnego, że było to dla pańskiego własnego dobra. Na wypadek gdyby pan na przykład przywiózł tu pistolet.

Marino nie odpowiedział. Dłubał w tym, co pozostało z żeberek.

– No nie – wykrzyknęłam z niedowierzaniem.

– Jeśli ktoś nie ma doświadczeń z podróżami zagranicznymi, no cóż, może popełnić jakiś niewinny błąd – dodał Talley. – Zwłaszcza amerykańscy policjanci, którzy są przyzwyczajeni do noszenia broni wszędzie i nie rozumieją, na jakie poważne kłopoty mogą się tu narazić.

Mój przyjaciel wciąż milczał.

– Podejrzewam, że jedynym motywem była chęć zapobieżenia jakimś przykrościom. – Talley strzepnął popiół.

– Dobrze, dobrze – wycofał się Marino.

– Pani doktor – zwrócił się do mnie Talley – czy zna pani tutejszy system sądowniczy?

– Wystarczająco, żeby się cieszyć, że nie mamy takiego w Wirginii.

– Sędzia pełni swój urząd dożywotnio. Lekarz sądowy powoływany jest przez niego i to sędzia decyduje, które dowody przekazuje się do laboratoriów, a nawet co było przyczyną śmierci – wyjaśniał Talley.

– Jak nasz system koronerski w najgorszym wydaniu – zauważyłam. – Kiedykolwiek polityka i głosy wyborców zaangażowane są...

– Władza – przerwał Talley. – Korupcja. Polityka i walka z przestępczością nie powinny przebywać w tym samym pokoju.

– Ale są. I to cały czas, agencie Talley. Może nawet tutaj, w pańskiej organizacji – odparłam.

– Interpol? – Wydawał się rozbawiony tym stwierdzeniem. – W Interpolu nie ma żadnej motywacji do takich działań, chociaż może to brzmieć świętoszkowato. Nie zbieramy zasług. Nie chcemy rozgłosu, samochodów, broni, mundurów, nie walczymy o zakres władzy i jurysdykcji. Mamy zdumiewająco niski budżet jak na to, co robimy. Dla większości ludzi w ogóle nie istniejemy.

– Tak pan się obnosi z tym „my”, jakby pan był jednym z nich – skomentował kapitan. – Jak to właściwie jest? Raz pan należy do ATF, a za chwilę do tajniaków.

Talley uniósł brew i wydmuchał dym.

– Do tajniaków? – spytał.

– Jak pan tu w ogóle trafił? – Marino nie dawał za wygraną.

– Mój ojciec jest Francuzem, matka Amerykanką. Spędziłem większość dzieciństwa w Paryżu, później rodzina przeniosła się do Los Angeles.

– A potem co?

– Studia prawnicze, których nie lubiłem, i wylądowałem w ATF.

– Na jak długo? – Kapitan kontynuował przesłuchanie.

– Jestem agentem od około pięciu lat.

– Taa? A ile z nich tutaj? – Marino stawał się z każdym pytaniem bardziej wojowniczy.

– Dwa.

– To ciekawe. Trzy lata na ulicach, a potem znajduje się pan tutaj, popija winko i siedzi z różnymi ważniakami w tym szklanym pałacu.

– Miałem niezwykle szczęście. – W uprzejmości Talleya kryło się małe żądło. – Ma pan absolutną rację. Trochę chyba pomogło mi to, że znam cztery języki i dużo podróżowałem. Poza tym na Harvardzie zajmowałem się jeszcze komputerami i robiłem studia międzynarodowe.

– Idę do kibla. – Marino nagle wstał.

– To ten kawałek o Uniwersytecie Harvarda go tak ugodził – powiedziałam do Talleya, gdy detektyw zniknął.

– Nie chciałem go tak załatwić.

– Oczywiście, że pan chciał.

– Och, tak szybko ma pani takie złe wyobrażenie o mnie.

– Marino zwykle nie jest taki zły – ciągnęłam. – Jest nowy zastępca komendanta, który posłał go z powrotem w mundur, zawiesił i próbował wszystkiego, prócz kulki, żeby go zniszczyć.

– A jak on się nazywa?

– To ona – odpowiedziałam. – Czasem one okazują się gorsze od onych, takie są moje doświadczenia. Bardziej zastraszone i niepewne. Kobiety często wolą się nawzajem niszczyć zamiast popierać.

– Pani na taką nie wygląda. – Przypatrywał mi się z uwagą.

– Sabotaż zajmuje za dużo czasu. Nie był pewien, jak to rozumieć.

– Dostrzegł pan już, agencie Talley, że zachowuję się bardzo bezpośrednio, ponieważ nie mam nic do ukrycia. Jestem skupiona na mojej pracy, więc albo będę z panem walczyła, albo nie, będę doprowadzała do konfrontacji albo nie i postaram się to robić metodycznie, ale litościwie, bo nie lubię patrzeć, jak ktoś cierpi. W przeciwieństwie do Diane Bray. Truje swoją ofiarę, a potem siedzi i patrzy, i cieszy się, gdy ten człowiek powoli schodzi w męczarniach.

– Diane Bray. Proszę, proszę – odezwał się Talley. – Toksyczne odpady w obcisłych ciuchach!

– Znają pan? – spytałam zdziwiona.

– Opuściła w końcu Waszyngton, żeby zniszczyć jakiś inny wydział policji. Pracowałem krótko w tamtejszej kwaterze, nim przydzielono mnie tutaj. Zawsze starała się skoordynować działania swoich policjantów z resztą. Wie pani, FBI, Secret Service, my. Nie ma oczywiście nic złego w tym, że ludzie z różnych służb współpracują ze sobą, ale to nie była jej działka. Chciała po prostu być równa władzą z ważnymi dowódcami, i pewnie jej się to udało.

– Szkoda energii na rozmowę o niej – powiedziałam. – Już mi jej dosyć zabrała.

– Chciałaby pani jakiś deser?

– Dlaczego w tych paryskich sprawach nie były badane żadne dowody?

– Znów wróciłam do tego tematu.

– A może kawy?

– Chciałabym odpowiedzi, agencie Talley.

– Jay.

– Dlaczego tu jestem?

Zawahał się, patrząc w stronę drzwi, jakby się obawiał, że wejdzie przez nie ktoś, kogo nie chciał zobaczyć. Podejrzewałam, że chyba chodzi o Marina.

– Jeżeli mordercą jest ten świr Chandonne, jak podejrzewamy, wówczas rodzina wolałaby, żeby jego brzydki zwyczaj szarpania, bicia i gryzienia kobiet nie został upubliczniony. Prawdę mówiąc – przerwał, wbijając we mnie wzrok – wydaje się, że jego rodzina nie chciała, aby ktokolwiek wiedział, że on w ogóle istnieje na tej planecie. Taki mały brzydki sekret.

– Więc skąd pan wie, że w ogóle istnieje?

– Matka Thomasa urodziła dwóch synów. Nigdzie nie ma dokumentu stwierdzającego, że jeden umarł.

– Wygląda na to, że w ogóle nie ma żadnych dokumentów.

– Nie na papierze. Ale są inne sposoby zdobywania wiadomości. Policja spędziła setki godzin, przesłuchując ludzi, zwłaszcza tych mieszkających na Ile Saint-Louis. W uzupełnieniu tego, co opowiadali koledzy Thomasa, krąży już prawie legenda o mężczyźnie, którego czasami widywano na brzegu rzeki, nocą albo wcześniej rano, gdy jeszcze było ciemno.

– Czy owa tajemnicza postać pływa czy tylko spaceruje? – spytałam.

Pomyślałam o słodkowodnych okrzemkach po wewnętrznej stronie ubrań nieżyjącego Człowieka z kontenera. Talley spojrzał na mnie zdumiony.

– Ciekawe, że pani o to pyta. Tak, mówiono nam o białym mężczyźnie, pływającym nago w Sekwanie przy brzegach Ile Saint-Louis. Nawet w zimne dni. Zawsze, gdy jest ciemno.

– A pan wierzy w te plotki? – spytałam.

– To nie mój zawód, żeby wierzyć czy nie wierzyć.

– Co to ma znaczyć?

– Naszą rolą tutaj jest ułatwianie wszystkim służbom wspólnej pracy i porozumienia, niezależnie od tego, gdzie i kim są. Jesteśmy jedyną organizacją na świecie, która potrafi to zrobić. Nie jestem tu po to, żeby się bawić w detektywa. – Przerwał na dłuższą chwilę i znów patrzył mi w oczy, szukając w nich tego, co bałam się mu wyjawić. – Nie jestem specjalistą od portretów psychologicznych, Kay – oświadczył. Wiedział o Bentonie. Oczywiście, że musiał wiedzieć. – Nie posiadam takich umiejętności i oczywiście nie mam doświadczenia – dodał. – Nawet nie zabieram się do stworzenia portretu faceta, który to robi. Nie czuję, jak może wyglądać, jak chodzi, jak mówi, może poza tym, że wiem, iż mówi po francusku i może

również zna inne języki. Jedna z jego ofiar była Włoszką – ciągnął. – Nie mówiła po angielsku. Ciekawe, czy odezwał się do niej po włosku, żeby mu otworzyła drzwi. – Wyciągnął się na krześle i sięgnął po wodę. – Facet miał olbrzymie możliwości zdobywania wiedzy. Może się dobrze ubierać, bo Thomas był znany z zamiłowania do szybkich samochodów, i ciuchów od znanych projektantów, biżuterii. Może ów nieszczęsny brat, ukrywany w suterenie, dostawał rzeczy po Thomasie.

– Dżinsy, które miał na sobie niezidentyfikowany denat, były trochę za szerokie w pasie – przypomniałam sobie.

– Prawdopodobnie waga Thomasa się zmieniała. Bardzo nad tym pracował, żeby pozostać szczupłym, był wrażliwy na punkcie własnego wyglądu. Więc kto wie? – powiedział Talley, wruszając ramionami. – Ale jedna rzecz jest pewna: jeśli ów mityczny brat jest taki dziwny, jak opowiadają, wątpię, żeby chodził na zakupy.

– Naprawdę pan myśli, że ten człowiek przychodzi do domu po którymś ze swych morderstw, a rodzice piorą zakrwawione rzeczy i go osłaniają?

– Ktoś go chroni. Dlatego wszystkie paryskie przypadki skończyły się przy drzwiach prosektorium. Nie wiemy, co się tam działo poza tym, co już ujawniliśmy.

– Sędziowie?

– To ktoś o dużych wpływach. Może to być dowolna liczba osób.

– A skąd się wzięły tutaj protokoły z sekcji?

– Poprosiliśmy o nie policję paryską. I widzi pani, co dostaliśmy. Żadne dowody nie były badane w laboratorium, Kay. Żadnych podejrzanych, żadnych procesów. Nic poza tym, że rodzina prawdopodobnie ma już dosyć osłaniania syna psychopaty. Stał się nie tylko wstydlivym kłopotem, ale i potencjalnym zagrożeniem.

– A w jakim stopniu udowodnienie, że Loup-Garou jest synem Chandonne'ów i psychopatycznym mordercą, pomoże zlikwidować kartel Stosześćdziesiątekpiątek?

– Po pierwsze, mamy nadzieję, że Loup-Garou będzie mówił. Przyskrzyni się go za serię morderstw, zwłaszcza to w Wirginii... Będziemy mogli wywrzeć nacisk. Nie mówiąc o tym – uśmiechnął się – że po zidentyfikowaniu synów pana Chandonne'a dostaniemy prawdopodobnie nakaz przeszukania ich uroczego trzystuletniego domu na Ile Saint-Louis, biur, a także wgląd do list przewozowych i tak dalej, i tak dalej.

– Zakładając, że złapiemy Loup-Garou.

– Musimy. Kay, chcemy, żeby pani udowodniła, że zabójca to brat Thomasa. – Wyciągnął w moją stronę pudełko papierosów. Nie tknęłam go. – Jesteście naszą jedyną nadzieją – dodał. – To najlepsza szansa, jaką dotychczas mieliśmy.

– Marino i ja możemy być poważnie zagrożeni, jeśli się do tego włączymy – zauważyłam.

– Policja nie może wejść do paryskiego prosektorium i zacząć zadawać pytania – powiedział. – Nawet pod przykryciem, pozorując inną akcję. I jest zupełnie jasne, że nikt z Interpolu też nie może.

– Dlaczego nie? Dlaczego policja paryska nie może tam wejść?

– Ponieważ lekarz sądowy, który pracował nad tymi sprawami, nie będzie z nikim rozmawiać. Już nikomu nie ufa, i trudno mieć o to pretensje. Ale wydaje się, że pani zaufa. – Milczałam. – Ze względu na to, co stało się z Lucy i Jo.

– To niesprawiedliwe.

– To jest sprawiedliwe, Kay. Ci ludzie są źli. Próbowali rozwalić głowę pani siostrzenicy. Później chcieli ją wysadzić w powietrze. To chyba nie jest dla pani żadną abstrakcją?

– Przemoc nigdy nie jest dla mnie abstrakcją. – Czułam, jak spływa po mnie zimny pot.

– Ale jest inaczej, jeśli dotyczy kogoś, kogo się kocha – odpowiedział Talley. – Prawda?

– Proszę mi nie mówić, co czuję.

– Abstrakcja nie abstrakcja, czuje pani zimne, okrutne szpony, które niszczą kogoś, kogo pani kocha. – Talley nie dawał za wygraną. – Nie wolno pozwolić, żeby te gnoje zniszczyły jeszcze kogoś. Ma pani dług do spłacenia. Lucy tym razem oszczędzono.

– Powinnam teraz być z nią w domu – odrzekłam.

– To, że jest pani tutaj, bardziej jej pomoże. I pomoże Jo.

– Nie potrzebuję, żeby ktoś mi mówił, co jest najlepsze dla mojej siostrzenicy albo jej przyjaciółki. Albo dla mnie.

– Dla nas Lucy jest jedną z najlepszych agentek, a nie czyjąś siostrzenicą.

– Rozumiem, że powinno mnie to cieszyć.

– Oczywiście.

Oczy Talleya powędrowały teraz na moją szyję. Czułam jego spojrzenie, jak wiaterek, który chłodził tylko mnie. Potem popatrzył na moje ręce.

– Boże, jakie mocne – powiedział i dotknął delikatnie jednej dłoni. – Człowiek z kontenera. Kim Luong. To twoje sprawy, Kay. – Przyglądał się uważnie moim palcom, dłoni. – Zna pani wszystkie szczegóły, wie, o co zapytać, czego szukać. To logiczne, żeby pani wpadła, aby się z nią zobaczyć.

– Z nią? – Cofnęłam rękę i zastanawiałam się, czy ktoś na nas patrzył.

– Madame Stvan. Ruth Stvan. Szef Instytutu Medycyny Sądowej i naczelny lekarz sądowy Francji. Poznałyście się kiedyś.

– Oczywiście wiem, kim jest, ale nigdy się nie poznałyśmy.

– W Genewie w 1988. Jest Szwajcarką. Kiedy się poznałyście, nie była zamężna. Jej nazwisko panięskie brzmi Dürenmatt. – Wpatrywał się w moją twarz, żeby poznać, czy sobie przypominam. Nie pamiętałam tego spotkania. – Byłyście razem na dyskusji panelowej. Zespół Nagłej Śmierci Noworodka, SIDS.

– A skąd pan to wie?

– Jest w pani życiorysie zawodowym – uśmiechnął się lekko.

– Ale na pewno nie ma tam nic o niej – broniłam się jeszcze.

Nie spuszczał ze mnie oczu, a ja nie mogłam przestać patrzeć na niego i trudno mi było myśleć.

– Pójdzie pani z nią się zobaczyć? – zapytał. – Nie będzie w tym nic niezwykłego, jeśli wpadnie pani przywitać się ze starą znajomą, bawiąc w Paryżu, a ona zgodziła się z panią porozmawiać. Właściwie dlatego pani tu jest.

– Miło z pana strony, że mi pan to powiedział – oświadczyłam, coraz bardziej oburzona.

– Może nie będzie pani mogła niczego zrobić. Może ona nic nie wie. Może nie zna żadnego szczegółu, który okazałby się pomocny w naszej sprawie. Ale nie wierzymy w to. Jest bardzo inteligentną, uczciwą kobietą i musi ciężko pracować, walcząc z systemem, stojącym nie zawsze po stronie prawa. Może zdołałybyście coś razem ustalić?

– A kim ty, do cholery, jesteś? Myślisz, że możesz sobie zadzwonić, wezwać mnie tutaj i kazać mi wpaść do prosektorium w Paryżu, w momencie gdy jakiś kartel przestępców nie będzie patrzył?

Nie odpowiadał, ale nie spuścił wzroku. W oknach pojawiło się słońce i oczy Talleya miały teraz bursztynowy kolor ślepiów tygrysa.

– Nic mnie nie obchodzi, czy jesteś Interpol, Scotland Yard czy królowa angielska! – zawołałam. – Nie będziesz narażał mnie ani doktor Stvan, ani

Marina na niebezpieczeństwo.

– Marino nie pójdzie do prosektorium.

– Ty mu to powiedz.

– Gdyby poszedł z tobą, wzbudziłoby to podejrzenia, zwłaszcza że tak się rzuca w oczy – tłumaczył. – Poza tym nie sądzę, żeby doktor Stvan specjalnie go polubiła.

– A jeżeli będzie miała jakieś dowody, to co? – Milczał, a ja wiedziałam, dlaczego. – Namawiasz mnie do tego, żebym coś namotała z materiałem dowodowym! Każesz mi wykraść dowody, prawda? Nie wiem, jak to określają tutaj, ale w Stanach Zjednoczonych nazywa się to przestępstwem.

– Uszkodzenie lub fałszowanie dowodów, według nowego kodeksu karnego. Tak się to nazywa tutaj. Trzysta tysięcy franków, trzy lata więzienia. Mogłabyś też zostać oskarżona o znieważenie zwłok, jeśli ktoś bardzo chciałby ci zaszkodzić, co daje następne sto tysięcy franków i kolejny rok w więzieniu.

Odsunęłam krzesło.

– Muszę powiedzieć – oznajmiłam chłodno – że nieczęsto zdarza się w moim zawodzie, żeby agent federalny namawiał mnie do łamania prawa.

– Ja cię nie namawiam. To sprawa między tobą a doktor Stvan.

Wstałam. Nie słuchałam go nawet.

– Może nie chodziłeś do szkoły prawniczej, ale ja tak – odparłam. – Może i potrafisz recytować kodeks karny, ja natomiast wiem, co on oznacza. – Nie poruszył się; czułam swój przyśpieszony puls, słońce oślepiało mnie tak, że nic nie widziałam. – Służę prawu, zasadom nauki i medycyny przez połowę swego życia – ciągnęłam. – Jediną rzeczą, jaką ty robiłeś przez połowę życia, agencie Talley, to przeżywałeś okres dojrzewania w swoim świecie prestiżowych uniwersytetów.

– Nic złego ci się nie stanie – odpowiedział spokojnie, jakby nie słyszał moich obraźliwych słów.

– Jutro rano Marino i ja lecimy do domu.

– Usiądź, proszę.

– A więc znasz Diane Bray? To ma być jej wielki finał? Wsadzenie mnie do francuskiego więzienia?

– Proszę, siadaj.

Usłuchałam go w końcu.

– Jeżeli zrobisz coś, o co cię poprosi doktor Stvan i wpadniesz, będziemy interweniować – zapewnił mnie. – Tak jak w przypadku tego, co Marino na pewno wpakował do swojej walizki.

– I mam w to wierzyć? – spytałam z niedowierzaniem. – Francuska policja z karabinami maszynowymi łapie mnie na lotnisku, a ja mówię: „W porządku, wypełniam tajną misję Interpolu?”

– My tylko doprowadzamy do twojego spotkania z doktor Stvan.

– Bzdura. Dobrze wiem, co robicie. A jeśli będę miała kłopoty, zachowacie się jak każda inna agencja bezpieczeństwa na tym cholernym świecie. Oświadczycie, że nawet mnie nie znacie.

– Nigdy bym tak nie powiedział.

Nie spuścił oczu. W sali było gorąco, potrzebowałam świeżego powietrza.

– Kay, nigdy byśmy tak nie powiedzieli. Senator Lord nigdy by tak nie powiedział. Proszę, zaufaj mi.

– Nie, nie ufam.

– Kiedy chciałabyś wrócić do Paryża?

Musiałam przestać myśleć. Byłam jak zamroczona i wściekła.

– Macie bilety na pociąg późnym popołudniem – przypomniał mi. – Ale jeśli chcielibyście zostać na noc, znam uroczy mały hotelik na rue du

Boeuf. Nazywa się La Tour Rose. Spodobałby ci się z pewnością.

– Nie, dziękuję – powiedziałam. Westchnął, wstał od stolika i zabrał nasze tace.

– Gdzie jest Marino? – Dopiero teraz zorientowałam się, że kapitan jakoś długo nie wraca.

– Sam się zacząłem zastanawiać – odrzekł Talley, gdy przechodziliśmy przez stołówkę. – Chyba nie bardzo mnie lubi.

– To najgenialniejsze odkrycie, jakiego dziś dokonałeś.

– Chyba nie lubi, kiedy jakiś mężczyzna zwraca uwagę na ciebie.

Nie wiedziałam, jak na to zareagować. Talley położył tace na półkę.

– Zadzwonisz do niej? – nie ustępował. – Proszę.

Stanął bez ruchu na środku stołówki i nieśmiało dotknął mojego ramienia, patrząc prosząco.

– Mam nadzieję, że doktor Stvan mówi jeszcze po angielsku – powiedziałam.

Rozdział 35

Kiedy zadzwoniłam do doktor Stvan, przypomniała mnie sobie bez wahania, co potwierdzało słowa Talleya. Czekwała na ten telefon i chciała się ze mną zobaczyć.

– Jutro po południu mam wykłady na uniwersytecie – powiedziała, a jej angielski był chyba dość dawno nieużywany. – Ale może pani przyjść rano. Jestem tu od ósmej.

– Czy jeśli przyjdę piętnaście po ósmej, to będzie dobrze?

– Oczywiście. Czy jest coś, w czym mogłabym pomóc, skoro jest pani w Paryżu? – spytała takim tonem, jakby ktoś jeszcze słuchał naszej rozmowy.

– Interesuje mnie system pracy lekarzy sądowych we Francji – wyjaśniłam w tym samym stylu.

– Nie zawsze jest dobrze – odrzekła. – Mieścimy się w pobliżu Gare de Lyon, niedaleko Quai de la Rapée. Jeżeli przyjedzie pani samochodem, można zaparkować od tyłu, tam gdzie przywożone są zwłoki. Jeżeli nie, to zapraszam od frontu.

Talley spojrzał na mnie znad karteczek z informacjami o telefonach, które przeglądał.

– Dziękuję – powiedział, kiedy skończyłam.

– Jak myślisz, gdzie mógł powędrować Marino? – spytałam.

Zaczynałam się denerwować. Nie miałam zaufania do kapitana, pozostawionego samemu sobie. Na pewno kogoś obrazi.

– Tyle jest miejsc, do których mógł pójść – odpowiedział Talley. Znaleźliśmy go w holu na dole. Siedział, ponury, obok palmy. Prawdopodobnie przeszedł przez zbyt wiele różnych drzwi i nie mógł się wydostać z żadnego zamkniętego na klucz piętra. Zjechał więc windą na parter, ale nie poprosił o pomoc nikogo z ochrony.

Już od dawna nie widziałam go tak rozdrażnionego, a w drodze powrotnej do Paryża był tak zgryźliwy, że w końcu przesiadłam się tyłem do niego. Przymknęłam oczy i drzemałam. Potem poszłam do wagonu restauracyjnego i kupiłam sobie pepsi, nie pytając, czy też by chciał. Kupiłam sobie papierosy i też mu nie zaproponowałam. Gdy weszliśmy do holu naszego hotelu, załamalam się wreszcie.

– Może bym ci coś postawiła?

– Muszę iść do swojego pokoju.

– Co się z tobą dzieje?

– Ciebie by trzeba zapytać, co z tobą – odpalił.

– Marino, nie mam pojęcia, o czym mówisz. Chodźmy na chwilę do baru, rozluźnimy się i pogadamy, co zrobić dalej z tym bagnem, w które się dostaliśmy.

– Jedyne rzecz, jaką mam zamiar zrobić, to iść do swojego pokoju. I to nie ja nas wepchnąłem w to bagno.

Pozwoliłam mu samemu wejść do windy i patrzyłam, jak jego zacięta twarz znika za zasuwającymi się mosiężnymi drzwiami. Wchodziłam pieszo po kręconych, wykładanych dywanem schodach, czując przy okazji, jak szkodliwe jest palenie. Otworzyłam drzwi i zaskoczył mnie widok, jaki zastałam. Poczułam zimny strach, gdy podeszłam do faksu i patrzyłam, co

mi przysłał naczelny koroner Filadelfii, doktor Harston. Siadłam na łóżku, jak sparaliżowana.

Widziałam przez okna jasne światła miasta; gdzieś wysoko widniał olbrzymi znak firmowy Grand Marnier, a z dołu dochodziły głosy z ruchliwej Café de la Paix. Drżącymi rękami, napięta do granic wytrzymałości, wyjęłam z faksu biały papier. Wzięłam z barku trzy małe szkockie i wlałam od razu wszystkie do szklanki. Nawet nie szukałam lodu. Nie myślałam o tym, jak będę się czuła następnego dnia, bo wiedziałam, że i tak fatalnie. Przeczytałam najpierw kartkę od doktora Harstona.

Kay, zastanawiałem się, kiedy o to poprosisz. Wiedziałem, że zrobisz to, gdy będziesz gotowa. Daj mi znać, jeżeli będziesz miała jeszcze jakieś pytania. Jestem do twoich usług.

Vance

Czas mijał bezsensownie, a ja wciąż czytałam sprawozdanie z początkowych oględzin lekarza sądowego z miejsca zdarzenia, opis ciała Bentona, a raczej tego, co z niego pozostało, w wypalonym budynku, gdzie zginął. Zdania fruwały przed moimi oczami jak popiół w powietrzu:

„Zwęglone ciało z kompletnie połamanymi nadgarstkami... brak dłoni... czaszka wykazuje warstwowe pęknięcia... i wypalenie mięśni na klatce piersiowej i podbrzuszu”.

Strzał w głowę pozostawił w paszce dziurę na półtora centymetra, która ukazywała wewnętrzne uszkodzenie struktury kostnej. Kula weszła tuż za prawym uchem, powodując promieniste złamania, i wbiła się w prawą część kości skalistej.

Miał „małą szczelinę między środkowymi siekaczami”. Tak lubiłam tę szparkę między przednimi zębami Bentona. Dzięki temu jego uśmiech

wydawał się jeszcze sympatyczniejszy, bo nie taki zupełnie doskonały. Poza tym jego zęby były perfekcyjne, gdyż perfekcyjna rodzina z Nowej Anglii pilnowała, żeby nosił aparat ortodontyczny.

„...Na opaleniznie ślad po spodenkach kąpielowych”. Pojechał do Hilton Head beze mnie, ponieważ zostałam wezwana do jakiegoś przestępstwa. Gdybym powiedziała „nie” i pojechała z nim... Gdybym odmówiła współpracy przy tej pierwszej z cyklu straszliwych zbrodni, których on był ostatnią ofiarą.

Nic z tego, na co patrzyłam, nie zostało sfabrykowane. Nie mogło być. Tylko Benton i ja wiedzieliśmy o bliźnie, jaką miał na kolanie. Przeciął je sobie szkłem w Black Mountain, w Karolinie Północnej, gdzie kochaliśmy się po raz pierwszy. Wydawała nam się zawsze stygmatem tej cudzołożnej wówczas miłości. Jakie to dziwne, że właśnie ta blizna się zachowała, bo spadła na nią wilgotna instalacja z dachu. Blizna pozostała przypomnieniem grzechu, a teraz zmieniała jego śmierć w karę. Przypieczętowała wszystko, co sobie wyobraziłam po przeczytaniu sprawozdań, i czułam się tak przygnębiona, że siadłam na podłodze i płakałam, powtarzając jego imię.

Nie słyszałam pukania do drzwi, póki nie przeszło w głośnie łomotanie.

– Kto tam? – zawołałam ochrypłym, zmęczonym głosem.

– Co z tobą? – zapytał głośnie Marino.

Wstałam, ale prawie straciłam równowagę, otwierając drzwi.

– Pukam od pięciu minut... – zaczął. – Jezus Maria, co się do diabła stało?

Odwróciłam się od niego i podeszłam do okna.

– No, o co chodzi? Co się dzieje? – Wydawał się przerażony. – Coś się stało?

Podszedł do mnie i położył mi ręce na ramionach. Zrobił to po raz pierwszy, a znaliśmy się tyle lat.

– Wytłumacz mi, co znaczą te wszystkie wykresy ciała i inne świństwa, które masz na łóżku. Czy coś z Lucy?

– Zostaw mnie w spokoju! – zawołałam.

– Nie zostawię, póki nie powiesz, co się stało.

– Idź sobie.

Opuścił ręce i poczułam w tym miejscu zimno. Przeszedł przez pokój i słyszałam, jak zbierał faksy. Milczał. Po chwili się odezwał.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? Chcesz z siebie zrobić wariatkę? Po co oglądać takie rzeczy? – Podniósł głos, coraz bardziej przerażony. – Dlaczego? Oszalałaś chyba!

Odwrociłam się, złapałam wszystkie faksy i rzuciłam w niego. Wykresy ciała, sprawozdania z badań toksykologicznych i spis dowodów, świadectwo zgonu i identyfikator z dużego palca, karty stomatologiczne, opis zawartości żołądka, wszystko szybowało i opadało na dywan jak zwiędłe liście.

– Bo musiałeś to powiedzieć! – wrzeszczałam na niego. – Musiałeś rozdziawić tę swoją wstrętną, bezczelną gębę i powiedzieć, że on nie umarł! Więc teraz już wiemy! Przeczytaj to sobie sam, Marino! – Usiadłam na łóżku i otarłam oczy i nos rękami. – Przeczytaj i już nigdy więcej o tym nie mów – krzyczałam. – Nie mów, że on żyje. Już nigdy nie rób mi tego!

Zadzwonił telefon i Marino złapał słuchawkę.

– Co? – prychnął. – Ach tak? – dodał po chwili. – Tak, mają rację. Zakłócamy ten cholerny spokój. Posłaliście na górę pieprzonych ochroniarzy, a ja zaraz odeślę ich na dół, bo jestem pieprzonym gliną, który jest teraz w cholernie złym nastroju! – Trzasnął słuchawką i usiadł na łóżku obok mnie. On też miał w oczach łzy. – No, więc co zrobimy, pani doktor? Co my teraz, do diabła, zrobimy?

– Chciał, żebyśmy zjedli razem kolację, żebyśmy się pokłócili i wszystko wykrzyczeli, jak teraz – mamrotałam przez łyżę. – Wiedział, że zwrócimy się przeciwko sobie i będziemy się wzajemnie obwiniali, bo nie ma innego sposobu, żeby się wyładować i dalej żyć.

– Tak, chyba zrobił nasze portrety psychologiczne – powiedział Marino.
– Tak, jakby wiedział, że to się stanie i jak się zachowamy.

– Znał mnie – mamrotałam. – Boże, jak dobrze mnie znał. Wiedział, że przeżyję to bardziej od innych. Ja nie płaczę. Nie chcę płakać! Nauczyłam się nie płakać, kiedy umierał mój ojciec, ponieważ płakać oznaczało czuć, a miałam zbyt wiele do odczuwania. Wydawało mi się, że mogę wyschnąć w środku jak strączek, a moje maleńkie, wysuszone uczucia będą grzechotały jak suche ziarenka groszku. Jestem wykończona, Marino.

Chyba nigdy sobie z tym nie poradzę. Może byłoby dobrze, żeby mnie też wyrzucili albo żebym odeszła.

– To się nie stanie – odpowiedział.

Kiedy się nie odezwałam, wstał i zapalił papierosa. Chodził po pokoju. – Chcesz kolację albo coś innego?

– Muszę się wyspać – oświadczyłam.

– Może dobrze by ci zrobiło wyjście z tego pokoju?

– Nie, Marino.

Zaprawiłam się benadrylem i kiedy zwlokłam się z łóżka następnego ranka, miałam ciężką głowę i byłam otępiała. Spojrzałam w lustro i zobaczyłam zmęczone, podpuchnięte oczy. Opłukałam twarz zimną wodą, ubrałam się i o wpół do ósmej odjechałam taksówką, tym razem bez pomocy Interpolu.

Institut Medico-Legal, trzykondygnacyjny budynek z czerwonej cegły i chropowatego wapienia, znajdował się we wschodniej części miasta. Droga szybkiego ruchu oddzielała ją od Sekwany, która dzisiejszego poranka

miała kolor miodu. Taksówkarz wysadził mnie przed budynkiem od frontu, skąd przeszłam przez mały, uroczy park z prymulkami, bratkami, stokrotkami i dzikimi kwiatami oraz starymi drzewami. Młoda para, ściskająca się na ławce, i starszy pan spacerujący z pieskiem wydawali się obojętni na wyraźną woń śmierci, dochodzącą poprzez zamknięte okna instytutu i czarne żelazne drzwi.

Ruth Stvan znana była z dość nietypowego systemu, jaki wprowadziła. Goście witani byli przez hostessy, więc gdy do budynku przychodził ktoś z rodziny zmarłych, natychmiast podchodziła uprzejma pracownica, która pomaga znaleźć drogę do odpowiedniego wydziału. Taka właśnie hostessa podeszła do mnie. Prowadziła mnie wyłożonym kafelkami korytarzem, w którym czekali detektywi, siedząc na niebieskich krzeselkach. Z tego, co do siebie mówili, zrozumiałam, że wczorajszego wieczoru ktoś wyskoczył przez okno.

Idąc za moją milczącą przewodniczką, minęłam małą kaplicę z witrażami w oknach, w której jakaś para płakała nad leżącym w otwartej trumnie małym chłopcem. Podejście do umarłych było tu inne od naszego. W Ameryce nie ma po prostu czasu ani funduszy na hostessy, kaplice i trzymanie za rączkę w społeczeństwie, gdzie strzelanina zdarza się codziennie, a nikt nie przejmuje się umarłymi.

Doktor Stvan pracowała nad jakimś przypadkiem w sali autopsyjnej, jak informował napis nad automatycznymi drzwiami. Kiedy weszłam, znów ogarnęło mnie zdenerwowanie. Nie powinnam była tu przychodzić. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Ruth Stvan kładła płuco na wagę.

Zielony fartuch miała poplamiony krwią, której kropelki prysnęły też na jej okulary. Pomyślałam, że ten przypadek to był człowiek, który wyskoczył przez okno. Twarz miał zmiażdżoną, stopy poharatane, kości podudzia wbite w uda.

– Proszę minutkę poczekać – powiedziała doktor Stvan.

Jednocześnie dwaj inni lekarze, ubrani na biało, pracowali nad dwoma innymi ciałami. Na wiszącej tablicy umieszczono nazwiska zmarłych i numery spraw. W zmywakach szumiała woda, a obok zgrzytała piła Strykera, rozcinająca czaszkę.

Doktor Stvan była szybka i energiczna, jasna, grubokoścista i starsza ode mnie. Pamiętam, że w Genewie trzymała się raczej osobno. Zakryła prześcieradłem niedokończony przypadek i ściągnęła rękawice. Podchodząc do mnie pewnymi, mocnymi krokami, odwiązywała już fartuch z tyłu.

– Jak się pani ma? – spytała.

– Nie jestem pewna – odrzekłam.

Jeśli odpowiedź wydała jej się dziwna, nie okazała tego.

– Proszę za mną i możemy już rozmawiać, gdy będę się myła. Potem wypijemy kawę.

Zaprowadziła mnie do małej przebieralni i wrzuciła fartuch do kubła na brudy. Obie umyłyśmy ręce mydłem dezynfekującym, a ona umyła jeszcze twarz i wytarła się ostrym, niebieskim ręcznikiem.

– Doktor Stvan – odezwałam się – oczywiście nie przyszłam tu na przyjacielską pogawędkę ani na dyskusję o systemie działania koronerów we Francji. Obie o tym wiemy.

– Oczywiście – odpowiedziała, patrząc mi w oczy. – Nie jestem dostatecznie przyjacielska na towarzyską wizytę. – Uśmiechnęła się lekko. – Tak, poznałyśmy się w Genewie, doktor Scarpetta, ale nie nawiązałyśmy stosunków towarzyskich, a szkoda. Wtedy bywało na takich imprezach tak mało kobiet. – Szłyśmy przez korytarz, a ona mówiła dalej. – Kiedy pani zadzwoniła, wiedziałam, o co chodzi, bo to ja zaprosiłam panią tutaj – dodała.

–To, co pani mówi, niepokoi mnie jeszcze bardziej. Jakbym jeszcze za mało się denerwowała.

– Chodzi nam o te same sprawy w życiu. Gdyby pani była mną, ja odwiedziłabym panią, prawda? Chcę powiedzieć, że nie możemy pozwolić, aby to trwało dalej. Nie możemy pozwalać, aby kobiety ginęły w ten sposób. Teraz w Ameryce, w Richmondzie. To jest potwór, ten Loup-Garou.

Weszliśmy do jej gabinetu, w którym nie było okien, a stosy teczek, czasopism i notatek zajmowały każde możliwe miejsce. Podniosła słuchawkę, nakręciła numer wewnętrzny i poprosiła kogoś, żeby nam przyniósł kawę.

– Proszę się rozgościć, jeśli to możliwe. Mogę trochę odsunąć te rzeczy, ale nie mam ich gdzie przełożyć. – Przysunęłam sobie krzeselko bliżej jej biurka. – Czułam się bardzo dziwnie wtedy w Genewie – przyznała się, powracając nagle do wspomnień. – Częściowo jest to wina naszego systemu tutaj, we Francji. Lekarze sądowi są zupełnie odizolowani i to się nie zmieniło i pewnie za mojego życia nie ulegnie zmianie. Nie możemy z nikim rozmawiać, co nie jest nawet takie złe, bo lubię pracować sama. – Zapaliła papierosa. – Ja robię spis obrażeń, a policja przedstawia mi całą historię, jeżeli ma na to ochotę. Jeśli sprawa jest drażliwa, rozmawiam osobiście z sędzią i albo dostaję to, o co proszę, albo nie. Czasem, chociaż mam wątpliwości, nie wyznaczają mi żadnego laboratorium, które mogłoby przeprowadzić badania, rozumie pani?

– Więc pani zadaniem jest jedynie wykazanie przyczyny śmierci? – spytałam.

Skinęła głową.

– Do każdego przypadku otrzymuję polecenie od sędziego, aby określić przyczynę zgonu, to wszystko.

– Więc pani niczego nie dochodzi?

– Nie w takim stopniu, jak u was. Nie tak, jak bym chciała – odpowiedziała, wydmuchując dym kącikami ust. – Widzi pani, problem z francuskim systemem sprawiedliwości polega na tym, że sędzia jest niezależny. Nie mogę się zwrócić do nikogo poza sędzią okręgowym, który mnie powołał, i tylko minister sprawiedliwości może odebrać mu sprawę i przekazać innemu sędziemu okręgowemu. Więc jeśli wyniknie jakiś problem, nie mam możliwości, żeby cokolwiek zrobić. Sędzia robi z moim protokołem, co chce. Jeśli ja mówię, że to zabójstwo, a on się nie zgadza, tak musi być. Nie moja sprawa, takie jest prawo.

– Może zmienić pani protokół? – Sam pomysł był dla mnie oburzający.

– Oczywiście. Jestem sama przeciwko wszystkim. Podejrzewam, że pani też.

Nawet nie chciałam myśleć o tym, jak bardzo byłam sama.

– Mam pełną świadomość tego, że gdyby ktoś wiedział, że tu rozmawiamy, mogłoby się to skończyć bardzo źle, zwłaszcza dla pani – zaczęłam.

Uniosła rękę, żeby mnie uspokoić. Drzwi się otworzyły i ta sama młoda kobieta, która mnie przyprowadziła, przyniosła kawę, śmietankę i cukier. Doktor Stvan podziękowała jej i powiedziała po francusku jeszcze coś, czego nie zrozumiałam. Kobieta skinęła głową i cicho wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– Uprzedziłam ją, że nie przyjmuję żadnych telefonów – wyjaśniła mi doktor Stvan. – Musi pani wiedzieć, że bardzo szanuję sędziego, który mnie mianował. Ale wywierane są na niego naciski z góry, jeśli pani rozumie, co mam na myśli. Naciski nawet ponad ministrem sprawiedliwości. Nie wiem, skąd się to wszystko wzięło, lecz w tych sprawach nie przeprowadzono żadnych badań laboratoryjnych, dlatego przysłano mi panią.

- Przysłano? Myślałam, że to pani prosiła o mój przyjazd?
- Jaką pani pije kawę? – spytała doktor Stvan.
- Kto pani powiedział, że zostałam przysłana?
- Oczywiście przysłano panią, żebym mogła wyznać moje sekrety, i zrobię to z największą przyjemnością. Życzy sobie pani cukru i śmietanki?
- Nie, czarną.
- Kiedy została zamordowana ta kobieta w Richmondzie, powiedziano mi, że można panią tu ściągnąć, jeśli z panią porozmawiam.
- Więc to nie pani domagała się mojego przyjazdu?
- Nigdy bym o coś takiego nie prosiła, bo nie wyobrażałam sobie, że to możliwe.
- Pomyślałam o prywatnym odrzutowcu, concordzie i całej reszcie.
- Czy może mnie pani poczęstować papierosem? – spytałam.
- Przepraszam, że nie zaproponowałam. Nie wiedziałam, że pani pali.
- Nie palę. To tylko zboczenie z kursu. Tyle że trwa już od roku. Czy pani wie, kto mnie przysłał, doktor Stvan?
- Ktoś, kto ma odpowiednie wpływy, żeby sprowadzić panią tutaj prawie natychmiast. Poza tym nie wiem. – Pomyślałam o senatorze Lordzie. – Jestem już wykończona tym, co robi Loup-Garou. Dotychczas już osiem kobiet! – Patrzyła gdzieś dalej wzrokiem pełnym bólu.
- Co mogę zrobić, pani doktor?
- Nie ma żadnego dowodu, że zostały zgwałcone przez pochwę – zaczęła mówić. – Albo odbyt. Pobrałam wymazy ze śladów po ugryzieniu, bardzo dziwnych śladów, z brakującymi zębami trzonowymi, nietypowym zgryzem i małymi ząbkami, szeroko rozstawionymi. Zebrałam włosy i całą resztę. Ale powróćmy do pierwszego przypadku, gdzie wszystko było dziwne. Jak pani zapewne przypuszcza, sędzia poinstruował mnie, żeby wszystkie dowody dostarczyć do laboratorium. Mijały tygodnie, a potem

miesiące, i nie przychodziły żadne wyniki. Od tamtego czasu już się nauczyłam. Gdy pojawiły się następne przypadki, o które podejrzewano Loup-Garou, nie prosiłam o badanie niczego. – Przez moment milczała, przebywając myślami gdzie indziej. W końcu powiedziała: – On jest jakiś dziwny, ten Loup-Garou. Gryzie dłonie i stopy od spodu. To musi mieć dla niego jakieś znaczenie. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. A teraz pani musi się z tym użerać, tak jak ja. – Zamilkła, jakby to, co miała teraz wyznać, było dla niej bardzo trudne. – Niech pani bardzo uważa, doktor Scarpetta. On przyjdzie po panią, tak jak po mnie. Widzi pani, ja jestem tą kobietą, która się uratowała. – Byłam zbyt zdumiona, żeby wykrztusić choć słowo.

– Mój mąż jest szefem kuchni w Le Dôme. Prawie nigdy nie ma go wieczorami w domu, ale wtedy, dzięki Bogu, był chory i leżał w łóżku, gdy ten potwór stanął przed moimi drzwiami kilka tygodni temu. Padało. Powiedział, że miał wypadek samochodowy i musi zawiadomić policję. Oczywiście mój pierwszy odruch był taki, żeby mu pomóc. Chciałam nawet sprawdzać, czy nie jest ranny, i bardzo się przejęłam. To mój słaby punkt – tłumaczyła. – Wie pani, myślę, że lekarze mają taki wewnętrzny odruch ratowania. Musimy się zajmować wszystkimi poszkodowanymi i to był ów impuls, na który słusznie liczył morderca w moim przypadku. Nie było w nim nic podejrzanego i byłabym go wpuściła. Ale Paul usłyszał głosy i zawołał z łóżka, kto przyszedł. A ten mężczyzna uciekł. Nie przyjrzałam mu się dobrze, bo nie było światła nad drzwiami. Musiał wykręcić żarówkę, jak odkryłam później.

- Zadzwoń pani po policję?
- Tylko po detektywa, któremu ufam
- Dlaczego?
- Trzeba być ostrożnym.

– Skąd pani wie, że to był ten zabójca?

Sączyłam kawę. Była już zimna, więc doktor Stvan dołąła trochę gorącej do obu naszych filiżanek.

– Czułam to. Pamiętam, że czułam woń wilgotnego zwierzęcia, ale teraz myślę, że sobie to wyobraziłam. Czułam zło i widziałam w jego oczach żądzę mordu. Nie pokazał twarzy. Zobaczyłam tylko przelotnie jego oczy w świetle uchylonych drzwi.

– Zapach wilgotnego zwierzęcia? – spytałam.

– Inny niż woń ciała. Smród, jak od psa, którego trzeba wykapać. To pamiętam. Ale wszystko potoczyło się tak szybko, że nie jestem już pewna. Następnego dnia dostałam od niego kartkę. Proszę.

Wstała, otworzyła szufladę metalowej szafki, w której skoroszyty były tak ciasno poupychane, że miała trudności z wyciągnięciem czegokolwiek. W końcu wyjęła jedną teczkę, nieopisaną. W środku, w plastikowej torebce, znajdował się oddarty kawałek brązowego papieru, spryskany krwią.

– *Pas la police. Ça va, ça va. Pas de problčme, tout va bien. Le Loup-Garou* – przeczytała. To znaczy: „Nie ma policji. Jakoś leci. Nie ma problemów, wszystko w porządku. Wilkołak”.

Patrzyłam na znajome drukowane litery. Były takie kanciaste i niezgrabne.

– Papier wygląda jak oddarty z torby na zakupy – powiedziała. – Nie mogę udowodnić, że to od niego, ale od kogo mógłby być? Nie wiem, czyja to krew, bo nie mogę przeprowadzić badań i tylko mój mąż wie, że to dostałam.

– Ale czemu właśnie pani? Dlaczego chciał zabić panią?

– Mogę tylko przypuszczać, że dlatego, że widział mnie na miejscach zbrodni. Wiem, że wszystko obserwuje. Kiedy zabija, stoi potem gdzieś tam, w ciemności, i patrzy, co ludzie tacy, jak my, robią. Jest bardzo

inteligentny i przebiegły. Nie mam wątpliwości, że doskonale wie, co robię, kiedy te ciała przywożą do mnie.

Obracałam papierek w świetle lampy, aby sprawdzić, czy na kartce przypadkiem nie odbiło się coś, na czym morderca go kładł. Nic nie znalazłam.

– Kiedy przeczytałam tę kartkę, było dla mnie jasne, że działa tu korupcja – tłumaczyła dalej doktor Stvan. – Loup-Garou wiedział, że nic nie da oddawanie kartki na policję czy do laboratoriów. Mówił mi wyraźnie, a nawet ostrzegał mnie, żebym nie próbowała wszczynać śledztwa, i to bardzo dziwne, ale miałam wrażenie, jakby chciał oświadczyć, że więcej już nie będzie tego robił.

– Ja bym tak tego nie rozumiała – odrzekłam.

– Jakby potrzebował przyjaciela. Samotna bestia potrzebuje przyjaciela. Być może w swoich wyobrażeniach sądzi, że jest dla mnie ważny, bo go widziałam, a żyję. Ale kto rozgryzie takie rozumowanie? – Wstała od biurka i otworzyła inną szufladę w innej szafce. Wyjęła z niej zwykłe pudełko od butów, odkleiła taśmę i zdjęła pokrywkę. W środku było osiem małych papierowych pudełeczek z dziurkami i osiem małych, szarych kopert, wszystkie z numerami spraw i datami. – Niestety nie zrobiono odcisków ugryzień, ale musiałabym sprowadzić dentystę, a wiedziałam, że na to nie będzie zgody. Pobrałam wymazy i może wyniki się na coś przydadzą, a może nie.

– Próbował zatrzeć ślady ugryzień po zabiciu Kim Luong – powiadomiłam ją. – Nie możemy ich odtworzyć. Nawet zdjęcia nie pomogły.

– Nie dziwię się. Wie, że teraz już nikt go nie chroni. Jest, jak to mówicie, na waszym terenie. A mówię pani, nie byłoby trudno go

zidentyfikować na podstawie tych zębów. Ma bardzo nietypowe, ostre zęby, oddalone od siebie. Jak zwierzę.

Poczułam się dziwnie.

– Znalazłam włosy na wszystkich ciałach – opowiadała dalej. – Podobne do kociej sierści. Zastanawiałam się nawet, czy nie hoduje kotów angorskich albo coś w tym rodzaju.

Nachyliłam się ku niej.

– Kocie włosy? – spytałam. – Zachowała je pani?

Odkleiła taśmę z koperty i wzięła pęsetkę z szuflady biurka. Wyjęła z koperty kilka włosków. Były tak delikatne, że sfrunęły jak puch, gdy wypuściła je nad bibułą.

– Wszystkie takie same, widzi pani? Jasnoblond, długości dziewięciu, dziesięciu centymetrów. Bardzo delikatne, jak niemowlęce.

– Doktor Stvan, to nie jest sierść kocia. To są ludzkie włosy. Były na ubraniu niezidentyfikowanego mężczyzny, którego znaleźliśmy w kontenerze. Były też na ciele Kim Luong.

Zrobiła wielkie oczy ze zdumienia.

– Kiedy przy pierwszej sprawie oddawała pani dowody do zbadania, czy dołączyła pani też te włosy?

– Tak.

– I nie dostała pani żadnej odpowiedzi?

– O ile wiem, nie analizowali tego, co przysłałam.

– Założę się, że analizowali – powiedziałam. – Założę się, że wiedzą doskonale, że te włosy są ludzkie i za długie na włosy niemowlęcia. Wiedzą, co znaczą te ugryzienia, i może nawet odtworzyli z nich DNA.

– Więc może uzyskamy również DNA z wymazów, jakie pani daje. – Doktor Stvan była coraz bardziej podekscytowana. – Nie zwracałam na to uwagi. To już nie miało znaczenia. Oczywiście, niewiele można zrobić z

tymi włosami – mówiła chaotycznie. – Owłosienie, bez pigmentacji. Będą po prostu wszystkie takie same, prawda?

Nie słuchałam. Myślałam o Kasparze Hauserze. Spędził pierwsze szesnaście lat życia w lochu, ponieważ książe Karol Badeński chciał mieć pewność, że Kaspar nie będzie zgłaszał pretensji do tronu.

– ...Nie uzyskacie DNA, nie mając korzeni, jak sądzę... – ciągnęła doktor Stvan.

Gdy chłopak miał szesnaście lat, znaleziono go z przypiętą do ubrania kartką przy bramie miasta. Był blady jak ryba z podziemnych wód i nie umiał mówić. Potrafił napisać swoje nazwisko tylko wtedy, gdy ktoś prowadził jego rękę.

– Mechaniczne, drukowane litery początkującego – myślałam głośno. – Ktoś ukrywany, nigdy niemający kontaktów z ludźmi, uczony tylko w domu. Może nawet samouk. – Doktor Stvan zamilkła, gdyż każde moje słowo potwierdzało jej najgorsze przypuszczenia.

– Chandonne'owie wiedzą doskonale, co znaczą te włosy, dziwne zęby i wszystko razem – powiedziałam. – I on wie. Oczywiście, że wie, i mógłby podejrzewać, że pani też wie, mimo że laboratoria niczego pani nie przekazały, doktor Stvan. Myślę, że dlatego przyszedł do pani domu, że pani widziała jego wizerunek w tym, co zrobił swoim ofiarom. Poznała pani powód jego wstydu, a w każdym razie myślał, że pani poznała.

– Wstydu?

– Nie sądzę, że przysłał pani tę karteczkę, żeby zapewnić, że już nie będzie próbował – tłumaczyłam. – Raczej sobie z pani pokpiwał, mówiąc, że będzie robił, co mu się podoba, mając zapewnioną nietykalność. Że jeszcze wróci i następnym razem mu się uda.

– Ale wydaje się, że tutaj go nie ma – odrzekła doktor Stvan.

– Wyraźnie coś wpłynęło na zmianę jego planów.

– A ta hańba, którą rzekomo widziałam? Nie przypatrzyłam mu się dobrze.

– To, co zrobił swoim ofiarom, wystarczy. Włosy nie pochodzą z jego głowy – powiedziałam. – On zostawił sierść z całego ciała.

Rozdział 36

Widziałam w życiu zaledwie jeden przypadek hipertrychozy, kiedy byłam na stażu w Miami i miałam praktykę na pediatrii. Pewna Meksykanka urodziła dziewczynkę i po dwóch dniach noworodek pokrył się delikatnym, jasnoszarym owłosieniem o długości pięciu centymetrów. Z dziurek od nosa i z uszu wyrastały mu kępki włosów i miał fotofobię, to znaczy oczy nadwrażliwe na światło.

U większości ludzi dotkniętych tą chorobą owłosienie stopniowo się powiększa, aż jedynymi miejscami wolnymi od niego są błony śluzowe, dłonie i podeszwy stóp. W szczególnych przypadkach, o ile dana osoba nie goli się często, włosy na twarzy i brwiach rosną tak długie, że trzeba je odsuwać, aby chory mógł coś widzieć. Innymi objawami mogą być anomalie zębów, skarłowaciałe genitalia, dodatkowe palce u rąk i nóg oraz sutki i asymetryczna twarz.

W dawnych czasach sporo z tych nieszczęsnych istot sprzedawano do cyrków albo na dwory królewskie ku uciechu możnych. Niektóre nawet uznawano za wilkołaki.

– Wilgotne, brudne włosy. Jak wilgotne, brudne zwierzę – snuła przypuszczenia doktor Stvan. – Zastanawiam się, czy może dlatego widziałam tylko jego oczy, gdy stał przed moimi drzwiami, że reszta twarzy

była zarośnięta? A może trzymał ręce w kieszeniach też dlatego, że były owłosione?

– Na pewno z takim wyglądem nie mógłby normalnie przebywać wśród ludzi – zauważyłam. – Chyba że wychodzi tylko po ciemku. Wstyd, nadwrażliwość na światło, a teraz jeszcze morderstwa. Ale i tak ograniczył swoją działalność jedynie do nocy.

– Przypuszczam, że mógł się golić – ciągnęła moja rozmówczyni. – Przynajmniej te partie, które widzą ludzie. Twarz, czoło, szyję, wierzch dłoni.

– Niektóre z włosów, jakie znaleźliśmy, wydały się zgolone – przypomniałam sobie. – Jeżeli przebywał na statku, coś musiał z nimi robić.

– Musi się rozbierać, chociaż częściowo, kiedy zabija, skoro zostawia tyle włosów.

Zastanawiałam się, czy ma skarłowaciale genitalia i czy to właśnie tłumaczy fakt, że obnażał swoje ofiary tylko od pasa w górę. Oglądanie normalnych narządów płciowych dorosłej kobiety przypominałoby mu o własnej ułomności pod tym względem. Mogłam sobie tylko wyobrażać jego wściekłość i upokorzenie. Dość typowe dla rodziców, zwłaszcza znanych i dumnych Chandonne'ów z ekskluzywnej i bogatej Ile Saint-Louis, było ukrywanie narodzin takiego dziecka przed ludźmi.

Wyobrażałam sobie udręczonego syna, tego *espèce de sale gorille*, trzymanego gdzieś w ciemności w zabytkowym domu rodzinnym i wychodzącego na spacer tylko nocą. Bogata rodzina o szanowanym nazwisku, niezależnie od tego, czy stworzyła kartel przestępczy, czy nie, mogła sobie nie życzyć, aby świat dowiedział się o jej nieudanym potomku.

– Jest jakaś nadzieja, że prowadzi się we Francji statystyki i są dokumenty narodzin dziecka z taką wadą – powiedziałam. – Nie powinno

to być trudne do odnalezienia, bo hipertrychoza jest szalenie rzadka. Występuje raz na miliard czy coś w tym rodzaju.

– Nie będzie żadnych dokumentów – oświadczyła rzeczowo doktor Stvan.

Uwierzyłam jej. Z pewnością rodzina Chandonne już się o to postarała. Było prawie południe, gdy pożegnałam się z doktor Stvan i wyszłam z obawą w sercu i nielegalnie zdobytymi dowodami w teczce. Wyszłam tylnymi drzwiami, przy których samochody z zasłonkami w oknach czekały na kolejną smutną podróż. Jakaś kobieta i mężczyzna ubrani nędznie i nijako siedzieli na czarnej ławeczce pod starym ceglany murem. On miał w rękach kapelusz i wpatrywał się w ziemię, ona spojrzała na mnie. Twarz miała wykrzywioną z żalu.

Szłam szybko po kocich łbach wzdłuż Sekwany i nachodziły mnie straszne obrazy. Wyobraziłam sobie jego ohydny postać wyłaniającą się z ciemności, gdy jakaś kobieta otwiera drzwi. Wyobraziłam sobie, jak ta nocna bestia wędruje w poszukiwaniu ofiary, a potem osacza ją, aby w końcu uderzyć i rozszarpać swą zdobycz, jeszcze i jeszcze. Jego zemstą za nieudane życie było spojrzenie konającej kobiety. Jej strach był jego siłą.

Zatrzymałam się i zaczęłam rozglądać. Samochody mijały mnie w pośpiechu. Byłam oszołomiona hałasem i piaskiem, rozpryskiwanym w moją stronę. Nie miałam pojęcia, jak znaleźć taksówkę. Nawet nie widziałam miejsca, żeby mogła się zatrzymać. Boczne uliczki, które mijałam, były zupełnie puste i na nich również nie miałam szans na taksówkę. Zaczęłam wpadać w panikę. Pobiegnęłam z powrotem kamiennymi schodami, wpadłam do parku i dysząc, siadłam na ławce. Poprzez drzewa i kwiaty dochodziła woń śmierci. Przymknęłam oczy i wystawiłam twarz do zimowego słońca. Czekałam, aż moje serce zacznie bić wolniej, a kropelki lodowatego potu spływały mi po całym ciele. Stopy i dłonie miałam

zdrętwiały, ale między kolanami dzielnie trzymałam twardą, aluminiową teczkę.

– Wyglądasz, jakbyś potrzebowała przyjaciela – rozległ się nagle za mną głos Jaya Talleya.

Podskoczyłam z przestraszu.

– Przepraszam – powiedział delikatnie, siadając obok mnie. – Nie chciałem cię przestraszyć.

– Co ty tu robisz? – spytałam. Myśli kołatały mi się w głowie bezładnie i wpadały na siebie jak piechota na polu bitwy.

– Czyż nie mówiłem, że będziemy nad tobą czuwać?

Rozpiął kaszmirowy płaszcz i wyjął z wewnętrznej kieszeni paczkę papierosów. Zapalił dwa dla nas obojga.

– Mówiłeś też, że pokazywanie się tutaj jest dla was zbyt niebezpieczne – zauważyłam z wyrzutem. – Więc przychodzę, wykonuję brudną robotę, a ty sobie siedzisz w tym cholernym parku tuż przed drzwiami tego cholernego instytutu. – Wydmuchnęłam ze złością dym i zerwałam się z ławki. Schwyciłam teczkę. – W co ty w ogóle ze mną grasz? – spytałam.

Wsunął rękę do drugiej kieszeni i wyjął telefon komórkowy.

– Myślałem, że trzeba cię będzie podwieźć – wyjaśnił. – W nic z tobą nie gram. Jedźmy.

Przycisnął jakieś cyferki i powiedział coś po francusku.

– A teraz co? Czy pan policjant przyjdzie nas zabrać? – spytałam ze złością.

– Wezwałem taksówkę. Ten policjant chyba dawno jest na emeryturze.

Podeszliśmy do jednej z cichych bocznych uliczek i po chwili zatrzymała się obok nas taksówka. Gdy wsiedliśmy, Talley zaczął się przypatrywać teczce na moich kolanach.

– Tak – odpowiedziałam na niezadane pytanie.

Kiedy dotarliśmy do hotelu, zabrałam Talleya na górę do pokoju, bo nie było innego miejsca, w którym mogliśmy porozmawiać bez obawy, że ktoś będzie nas podsłuchiwał. Spróbowałam zadzwonić do Marina, ale nie odpowiadał.

– Muszę wracać do Wirginii – oznajmiłam.

– To się da łatwo zrobić – zapewnił mnie. – Kiedy tylko chcesz.

Wywiesił na zewnątrz napis: „Proszę nie przeszkadzać”, i zamknął drzwi na łańcuch.

– Z samego rana.

Usiedliśmy przy oknie, rozdzieleni małym stolikiem.

– Rozumiem, że madame Stvan otworzyła się przed tobą – zaczął mówić. – To był najtwardszy orzech do zgryzienia. Ta biedna kobieta jest teraz przewrażliwiona, zresztą ma po temu ważne powody, więc myśleliśmy, że już nikomu nie powie prawdy. Na szczęście instynkt mnie nie zawiódł.

– Twój instynkt?

– Tak. – Nie spuszczał ze mnie wzroku. – Wiedziałem, że jeśli ktokolwiek zdoła do niej dotrzeć, to tylko ty. Jesteś bardzo znana i było jasne, że ona czuje wobec ciebie ogromny respekt. Ale trochę pomogło mi również to, że mam informacje o tobie z bliskiego źródła. – Zamilkł na moment. – Od Lucy.

– Znasz moją siostrzenicę? – Nie mogłam w to uwierzyć.

– Znaleźliśmy się w tym samym czasie na różnych szkoleniach w Glynco – wyjaśnił. Miał na myśli Glynco w stanie Georgia, gdzie ATF, celnicy, tajni agenci, służba graniczna i sześćdziesiąt innych jednostek stróżów prawa odbywają podstawowe szkolenia. – Było mi jej w pewnym sensie żal. Jej obecność zawsze prowokowała rozmowy na twój temat, jakby Lucy nie miała własnych uzdolnień.

- Nie potrafię jednej dziesiątej tego, co ona – powiedziałam.
- Większość ludzi nie potrafi.
- Co to wszystko ma z nią wspólnego?
- Sądzę, że ona chce być Ikarem i latać zbyt blisko słońca z powodu ciebie. Mam nadzieję, że nie potraktuje tego mitu dosłownie i nie spadnie z nieba.

To stwierdzenie napełniło mnie strachem. Zupełnie nie wiedziałam, co Lucy teraz robi. Talley miał rację. Moja siostrzenica zawsze musiała robić wszystko lepiej, szybciej i bardziej ryzykując niż ja. Tak jakby rywalizacja ze mną mogła jej przynieść miłość, na którą we własnym mniemaniu nie zasługiwała.

– Włosy pozostawione przez zabójcę na jego paryskich ofiarach absolutnie nie należą do niezidentyfikowanego mężczyzny w mojej zamrażarce – powiedziałam i wyjaśniłam mu resztę.

– Ale te dziwaczne włosy znajdowały się na jego ubraniu? – usiłował zrozumieć Talley.

– Po wewnętrznej stronie. Potraktuj rzecz hipotetycznie. Przypuśćmy, że te ubrania nosił zabójca, a jego ciało pokryte jest gęstymi, delikatnymi jak niemowlęce włosami. Oczywiście przyczepiają się do wewnętrznej strony rzeczy, które zdejmuje i każe włożyć na siebie tamtemu mężczyźnie, nim go utopi.

– A ofiarą jest facet z kontenera, Thomas. – Talley zastanawiał się chwilę. – Loup-Garou ma włosy na całym ciele? Dlaczego się nie goli?

– Trudno byłoby regularnie golić całe ciało. Prawdopodobnie goli tylko te partie, które ludzie mogliby zobaczyć.

– I nie ma na to żadnych skutecznych metod leczenia? Żadnych lekarstw, niczego?

– Obecnie z pewnym powodzeniem używa się laserów, lecz nasz wilkołak może o tym nie wiedzieć. A bardziej prawdopodobne, że rodzina nie pozwoliłaby mu się pokazać w klinice, zwłaszcza że zaczął mordować.

– A jak myślisz, dlaczego zamienił się ubraniem z mężczyzną z kontenera, z Thomasem?

– Jeżeli chciałbyś uciec na statku – snułam przypuszczenia – nie zrobiłbyś tego w ciuchach od znanych projektantów mody, przyjmując, że słuszna jest twoja teoria, iż morderca dostawał rzeczy po bracie. Mogła to być też złośliwość albo pogarda. Ostatnie słowo, które należało do niego. Można by spekulować cały dzień, ale nigdy nie ma jednego wyjaśnienia, jest tylko wyrządzone zło.

– Czy mogę ci coś przynieść? – zapytał.

– Odpowiedź. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że to doktor Stvan była niedoszłą ofiarą? Siedzieliście razem z sekretarzem generalnym, opowiadając mi to wszystko, a cały czas wiedzieliście, że o nią chodzi. – Talley milczał. – Bałeś się, że to mnie przestraszy, prawda? – spytałam. – Loup-Garou widzi ją i próbuje ją zabić, więc może zobaczy mnie i mnie też będzie próbował zamordować?

– Różni ludzie powątpiewali, czy pójdziesz się z nią zobaczyć, jeśli będziesz znała całą prawdę.

– A więc ci różni ludzie nie znają mnie zbyt dobrze. Prawdę mówiąc, jeszcze chętniej bym poszła, wiedząc o czymś takim. Rzeczywiście, cholernie dobrze mnie znasz i możesz to i owo przewidzieć po tym, jak raz czy drugi spotkałeś się z Lucy.

– Kay, to doktor Stvan nalegała. Chciała ci powiedzieć sama i miała powód. Nikomu nie powierzyłaby wszystkich szczegółów, nawet detektywowi, który jest jej przyjacielem. On dał nam tylko przybliżony szkic sytuacji.

– Dlaczego?

– Znow chodzi o ludzi, chroniących zabójcę. Gdyby się jakoś o tym dowiedzieli i przypuszczali, że go widziała, mogliby coś zrobić jej albo mężowi czy dwójce dzieci, więc się obawiała. Wierzyła, że nie będziesz rozmawiała na ten temat z nikim, kto mógłby ją postawić w trudnej sytuacji. Ale chciała sama zdecydować o tym, ile ci powie, dopiero podczas waszej rozmowy.

– Na wypadek, gdyby mi jednak nie zaufała.

– Wiedziałem, że ci zaufa.

– A więc misja została wypełniona.

– Dlaczego jesteś na mnie taka zła? – zapytał.

– Bo jesteś taki pewny siebie.

– Nie robię tego specjalnie – odpowiedział. – Po prostu chcę, żebyśmy przerwali to szaleństwo wilkołaka, zanim zabije i zmasakruje jeszcze kogoś. Chcę wiedzieć, co nim powoduje.

– Strach i odrzucenie – wyjaśniłam. – Żal i wściekłość, bo został ukarany za coś, co nie jest jego winą. Cierpiał w samotności. Wyobraź to sobie, zwłaszcza jeśli jest tak inteligentny, żeby rozumieć sytuację.

– Najbardziej zapewne nienawidzi swojej matki – powiedział Talley. – Być może nawet ją obwinia.

W świetle słonecznym włosy błyszcząły mu jak heban, a w oczach pojawiły się złociste błyski. Zobaczyłam w nich jego uczucia, nim zdążył nad nimi zapanować. Wstałam i wyjrzałam przez okno, bo nie chciałam na niego patrzeć.

– Na pewno nienawidzi kobiet, które spotyka – ciągnął. – Kobiet, których nigdy nie będzie miał. Które krzyczą z przerażenia na jego widok, na widok jego ciała.

– Przede wszystkim nienawidzi siebie – dodałam.

– Ja na pewno bym nienawidził.

– Ty zapłaciłeś za naszą podróż prawda, Jay? – Wstał i oparł się o okno.

– Nie żadna wielka korporacja, zwalczająca kartel Stosześćdziesiątekpiątek – ciągnęłam. Spojrzałam na niego. – To ty wymyśliłeś moje spotkanie z doktor Stvan. Ty wszystko załatwiłeś i zapłaciłeś za to – mówiłam, coraz bardziej zdumiona, ale i przekonana o swej słuszności. – Mogłeś to zrobić, bo jesteś bardzo bogaty. Twoja rodzina jest bardzo bogata. Dlatego zostałeś stróżem prawa, żeby uciec od tego. Ale i tak zachowujesz się jak bogacz i wyglądasz jak bogacz. – Na moment wydawał się zaskoczony. – Nie podoba ci się, że to nie ty prowadzisz przesłuchanie, prawda?

– To prawda, że nie chciałem być taki jak mój ojciec. Prywatny Uniwersytet w Princeton, odpowiednie towarzystwo, wżenienie się w odpowiednią rodzinę, odpowiednie dzieci, wszystko odpowiednie.

Staliśmy teraz obok siebie, wyglądając przez okno, jakby działo się tam coś szalenie interesującego.

– Nie uważam, żebyś się postawił ojcu. Myślę, że sam się oszukujesz, protestując w ten sposób. Noszenie odznaki policyjnej i broni albo przekłuwanie uszu jest na pewno aktem sprzeciwu, jeśli się studiowało na Uniwersytecie Harvarda i jest się milionerem.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz?

Odwrócił się w moją stronę i byliśmy tak blisko siebie, że czułam jego wodę kolońską i oddech.

– Bo nie chcę się jutro obudzić i wtedy dopiero zdać sobie sprawę z tego, że jestem częścią twojego scenariusza na protest, jaki sobie ułożyłeś w głowie. Nie chcę wierzyć, że właśnie złamałam prawo i wszystkie przysięgi, bo ty jesteś zepsutym bogatym chłopcem, którego pomysł na sprzeciwienie się rodzinie zakłada, żeby namówić kogoś takiego jak ja na przeciwstawienie się prawu i zrobienie czegoś, co może zniszczyć moją

kariere, a właściwie to, co z niej pozostało. A może też wepchnąć mnie do jakiegoś pieprzonego francuskiego więzienia.

– Przychodziłbym cię odwiedzać.

– To wcale nie jest śmieszne.

– Nie jestem zepsuty, Kay.

Pomyślałam o tabliczce: „Proszę nie przeszkadzać”, i łańcuchu na drzwiach. Dotknęłam jego szyi, przejechałam palcem po brodzie, zatrzymując się w kąciku ust. Ponad rok już nie dotykałam męskiego podbródka. Wyciągnęłam obie ręce i wsunęłam palce w gęste włosy Jaya. Były ciepłe od słońca. Jego wpatrzone we mnie oczy czekały, co teraz zrobię.

Przyciągnęłam go do siebie i pocałowałam. Gładziłam rękami całe jego twarde, wspaniałe ciało, a on walczył z moimi ubraniami.

– Boże, jesteś taka piękna – mówił wprost w moje usta. – Myślałem, że przez ciebie oszaleję... – Oderwał mi guzik i porozginał haftki. – Siedzisz tam sobie przed sekretarzem generalnym, a ja próbuję nie patrzeć na twoje piersi.

Ujął je w dłonie. Chciałam, żeby to było szalone, bez ograniczeń. Pragnęłam, żeby jego gwałtowność kochała moją, bo nie chciałam, żeby cokolwiek przypominało mi Bentona, który wyglądał mnie powoli, jak kamień, żeby potem łagodnie przenieść przez fale erotyzmu.

Pociągnęłam Talleya do sypialni. Nie mógł mnie zdominować, bo posiadałam doświadczenie i umiejętności, o jakich nie miał pojęcia. To ja dyktowałam warunki. To ja go wykorzystywałam, póki nie byliśmy kompletnie wykończeni i mokrzy od potu. Bentona nie było w tym pokoju. Ale gdyby w jakiś sposób to widział, zrozumiałby.

Popołudnie mijało, a my piliśmy wino i obserwowaliśmy zmieniające się cienie na suficie, w miarę jak słońce nużyło się dniem. Kiedy zadzwonił

telefon, nie odebrałam. Kiedy Marino walił w drzwi i wołał mnie, udawałam, że nikogo nie ma. Gdy telefon znów zadzwonił, pokiwałam głową.

– Oj Marino, Marino – westchnęłam.

– Twój ochroniarz.

– Tym razem niezbyt dobrze się spisał – powiedziałam, a Talley obejmował ustami jak największy kawałek mojego ciała. – Chyba będę musiała go wyrzucić.

– Dobrze by było.

– Powiedz mi, że nie popełniłam dzisiaj już więcej żadnego przestępstwa. I że twoje nazwisko, agencie Talley, nie ma nic wspólnego ze zdobywaniem punktów w tej grze.

– Zgoda. Moje nazwisko nie ma nic wspólnego ze zdobywaniem punktów. Ale nie jestem pewien co do przestępstwa.

Wyglądało na to, że mój przyjaciel zrezygnował, i kiedy się ściemniło, Talley i ja wzięliśmy razem prysznic. Umył mi włosy, a ja zaczęłam żartować na temat naszej różnicy wieku. Oświadczył, że to kolejny przykład jego buntu przeciwko konwenansom. Powiedziałam, że powinniśmy pójść na kolację.

– Co byś powiedziała na Café Runtz? – zapytał.

– A co to takiego?

– To, co Francuzi nazywają *chaleureux, ancien et familial* – ciepła, stara, rodzinna restauracja. Obok znajduje się Opera Comique, więc na wszystkich ścianach wiszą zdjęcia śpiewaków operowych.

Pomyślałam o Marinie. Musiałam dać mu jakoś znać, że nie zginęłam gdzieś w wielkim Paryżu.

– To miły spacer – mówił dalej Talley. – Jakies piętnaście minut, najwyżej dwadzieścia.

– Muszę najpierw zawiadomić Marina. Pewnie jest w barze.

– Czy chcesz, żebym go poszukał i przysłał tu na górę?

– Jestem pewna, że byłby ci bardzo wdzięczny – odrzekłam ironicznie.

Detektyw znalazł mnie wcześniej niż Talley jego. Suszyłam jeszcze włosy, kiedy pod moimi drzwiami pojawił się Marino, a wyraz jego twarzy mówił wyraźnie, że wie, dlaczego nie mógł się do mnie dostać.

– Gdzieś ty, do diabła, była? – spytał, wchodząc do pokoju.

– W Instytut Medico-Legal.

– Cały dzień?

– Nie, nie cały dzień – odpowiedziałam.

Popatrzył na łóżko. Pościeliliśmy je z Jayem, ale nie było takie, jak je rano zostawiła pokojówka.

– Chcę wyjść... – zaczęłam.

– Z nim! – Marino podniósł głos. – Wiedziałem, że tak się stanie. Nie mogę uwierzyć, że dałaś się na to złapać. Matko Boska! Myślałem, że jesteś ponad...

– Marino, to nie twoja sprawa – powiedziałam znużonym głosem.

Stał, trzymając się pod boki jak zagniewana niania. Wyglądał tak zabawnie, że chciało mi się śmiać.

– Co się z tobą dzieje? – zaczął wykrzykiwać. – Najpierw studiujesz protokół z sekcji zwłok Bentona, a za chwilę pieprzysz się z jakimś zarozumiałym, smarkatym playboyem! Nie mogłaś nawet poczekać dwudziestu czterech godzin! Jak śmiałaś to zrobić Bentonowi?

– Marino, na miłość boską, ucisz się. Dostaję już wrzeszczeliśmy w tym pokoju.

– Jak mogłaś? – Patrzył na mnie z obrzydzeniem, jakbym była dziwką. – Dostajesz od niego list, zapraszasz Lucy i mnie, wczoraj siedzisz tu i

płaczesz. I co? Nic się nie wydarzyło! Zaczynasz od nowa, jakby nic się nie stało? Z jakimś punkiem, podrywaczem?

– Wyjdz, proszę, z mojego pokoju. – Miałam już dosyć.

– O, nie – zaczął spacerować tam i z powrotem, grożąc mi palcem. – O, nie, nigdzie nie pójde. Chcesz się pieprzyć z jakimś ładnym chłopaczkiem, możesz to robić tu, przy mnie. A wiesz, dlaczego? Bo ja na to nie pozwolę. Ktoś tu powinien się zachować właściwie i wygląda na to, że muszę to być ja.

Chodził i chodził w kółko, podniecając się bardziej z każdym słowem.

– Nie będziesz mi tu na nic pozwalać czy nie pozwalając. – Opanowała mnie wściekłość. – Kim ty, do cholery, dla mnie jesteś, Marino? Trzymaj się z dala od mojego życia!

– Cóż, biedny Benton. Lepiej, że nie żyje, co? Widać, jak bardzo go kochałaś. – Przestał spacerować i wymierzył palcem wprost w moją twarz. – A ja myślałem, że jesteś inna! Coś ty robiła, kiedy Benton nie patrzył? Chciałbym to wiedzieć! A ja cały czas ci współczułem!

– Wynoś się natychmiast z mojego pokoju. – Nie potrafiłam się już opanować. – Ty cholerny, zazdrosny skurwielu! Jak śmiesz robić jakiegokolwiek aluzje do mojego związku z Bentonem! Co ty wiesz, Marino? Nic. On nie żyje, Marino. Nie żyje od ponad roku. Ale ja nie umarłam i ty też nie.

– W tej chwili żałuję, że nie umarłaś.

– Mówisz jak Lucy, kiedy miała dziesięć lat.

Wyszedł i trzasnął drzwiami tak mocno, że obrazy podskoczyły na ścianach, a żyrandol się zakołysał. Podeszłam do telefonu i wystukałam numer recepcji.

– Czy jest może w holu pan Jay Talley? – spytałam. – Wysoki, ciemnowłosey, młody, w beżowej skórzanej kurtce i w dżinsach?

– Tak, widzę go, proszę pani.

Po kilku sekundach Talley był przy telefonie.

– Przed chwilą wypadł stąd Marino – poinformowałam go. – Nie pozwól, żeby cię zobaczył, Jay. Oszalał.

– Właśnie wychodzi z windy. Masz rację, rzeczywiście wygląda na szalonego. Muszę kończyć!

Wybiegłam z pokoju. Gnałam, jak mogłam najszybciej korytarzem, a potem po krętych, wyłożonych chodnikiem schodach, nie zwracając uwagi na dziwne spojrzenia kulturalnych, dobrze ubranych ludzi, spacerujących godnie i niewdających się w awantury w Grand Hotelu w Paryżu. Zwolniłam nieco, dobiegając do holu. W nogach czułam gorąco i nie mogłam złapać tchu. Z przerażeniem patrzyłam, jak Marino zamachnął się na Talleya, kiedy dwaj portierzy i służący podbiegli, by interweniować. Mężczyzna w recepcji nerwowo wystukiwał numer, prawdopodobnie policji.

– Marino, nie! – powiedziałam głośno rozkazującym tonem, podchodząc do niego. – Marino, nie! – Złapałam go za rękę.

Miał szkliste oczy, spocił się strasznie i na szczęście nie wziął broni, bo być może użyłby jej teraz. Trzymałam go za ramię, a Talley mówił coś po francusku i gestykulował, zapewniając wszystkich, że nic się nie stało i nie trzeba wzywać policji. Pociągnęłam mego przyjaciela przez hol jak mamusia, która ma zamiar ukarać bardzo niegrzecznego chłopca, przeprowadziłam go obok portierów i eleganckich samochodów i zatrzymałam się dalej na chodniku.

– Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, co wyprawiasz? – zapytałam.

Otarł twarz wierzchem dłoni. Oddychał tak ciężko, że aż charczał. Przeraziłam się, że dostanie ataku serca.

– Marino – potrzęsnałam jego ręką – posłuchaj mnie. To, co przed chwilą zrobiłeś, jest niewybaczalne. Talley nic ci nie zrobił. Ja też ci nic nie zrobiłam.

– Może ja bronię tu interesu Bentona, skoro on sam nic już nie może zrobić – odrzekł bezbarwnym, zmęczonym głosem.

– Nie, ty się mściłeś na jego mordercach. To ich chciałeś pobić czy zabić. Oddychał głęboko, pokonany.

– Sądzisz, że ja nie wiem, co robisz? – wypytywałam go dalej cichym głosem. Ludzie mijali nas, przesuwając się jak cienie. Z kawiarni i cukierni z wystawionymi na zewnątrz stoliczkami widać było światła. – Musisz się na kimś zemścić – ciągnęłam. – Taki jest mechanizm. Ale na kim masz się wyładować? Carrie i Owen Joyce nie żyją.

– Przynajmniej ty i Lucy mogłyście ich zabić. Wystrzelić im tyłki w powietrze. – Marino zaczął łkać.

– Przestań – powiedziałam. Wzięłam go pod rękę i zaczęliśmy iść przed siebie. – Nie miałam nic wspólnego z ich śmiercią, Marino. Nie, żebym się zawahała przed czymś takim. Ale to Lucy pociągnęła za spust. I wiesz co? Wcale nie czuje się lepiej z tego powodu. Wciąż nienawidzi, gotuje się w środku i toruje sobie drogę przez życie strzelaniem. Dla niej też nadejdzie kiedyś dzień zapłaty. A dziś jest twój. I niech będzie.

– Dlaczego musiałaś to zrobić akurat z nim? – zapytał cichym, zbolalym głosem, ocierając oczy rękawem. – Jak to się stało, Kay? Dlaczego właśnie on?

– Nikt nie jest dość dobry dla mnie, o to ci chodzi? – spytałam.

Musiał nad tym pomyśleć. – I nikt nie jest dostatecznie dobry dla ciebie. Nie tak dobry jak Doris. Kiedy się z tobą rozwiodła, było ci ciężko, prawda? A ja nigdy nie uważałam, żeby jakaś następna, z którą chodziłeś,

była choć trochę taka, jak ona. Ale musimy próbować, Marino. Musimy żyć.

– Taa, ale one wszystkie też mnie zostawiały. Te, które nie są dla mnie dość dobre.

– Porzucały cię bo to wszystko były kurewki drugiego sortu.

Uśmiechnął się w ciemności.

Rozdział 37

Kiedy szliśmy z Talleyem do Café Runtz, uliczki Paryża budziły się i ożywiały. Powietrze przyjemnie chłodziło twarz, ale ja wciąż byłam podenerwowana i pełna wątpliwości. Żałowałam, że w ogóle przyjechałam do Francji. Kiedy przeszliśmy Place de l'Opéra i wziął mnie za rękę, żałowałam, że w ogóle poznałam Jaya Talleya.

Miał ciepłe, smukłe i mocne palce i nie spodziewałam się, że taka łagodna forma okazania uczucia spowoduje, że się wzdrygnę z obrzydzeniem, natomiast to, co robiliśmy kilka godzin wcześniej w moim pokoju, nie wywołało takiej reakcji. Czułam wstyd.

– Chcę, żebyś wiedziała, że to było dla mnie ważne – odezwał się. – Nie miewam takich kaprysów, Kay. Nie uznaję znajomości na jedną noc. Musisz to wiedzieć.

– Nie zakochaj się we mnie, Jay. – Spojrzałam na niego. Jego milczenie powiedziało mi, jakie wrażenie wywołały te słowa. – Jay, nie mówię, że mnie nic nie obchodzisz.

– Spodoba ci się ta kawiarnia – zmienił temat. – To sekret. Zobacysz. Nikt nie mówi tu inaczej, tylko po francusku, a jeśli nie mówisz, musisz pokazać palcem na karcie albo wyciągnąć słowniczek i właścicielka będzie się dobrze bawiła. Odette jest bardzo zasadnicza, ale miła. – Prawie go nie

słuchałam. – Mam z nią taki układ. Jeśli ona jest miła, odwiedzam jej lokal jak najczęściej. Jeśli ja jestem miły, ona mi pozwala odwiedzać swój lokal.

– Posłuchaj mnie – powiedziałam, wsuwając mu rękę pod ramię. – Ostatnia rzecz, jakiej bym chciała, to skrzywdzić kogokolwiek. Nie chciałam skrzywdzić ciebie, a już to zrobiłam.

– Jak mogę się czuć skrzywdzony? Dzisiejsze popołudnie było cudowne.

– Tak, było, ale...

Zatrzymał się na chodniku i popatrzył mi w oczy. Ludzie przechodzili obok, a światła sklepów odpychały od nas wieczór. Miejsca, w których mnie dotykał, były wrażliwe, pełne życia.

– Nie prosiłem, żebyś mnie kochała – oświadczył.

– To nie jest coś, o co powinienesz prosić.

Znów zaczęliśmy iść.

– Wiem, że nie oferujesz łatwo uczucia, Kay – ciągnął. – Miłość to twój *loup-garou*. Potwór, którego się lękasz. I teraz widzę dlaczego. Dopadał cię i ranił przez całe życie.

– Nie staraj się przeprowadzać mojej psychoanalizy. Nie próbuj mnie zmieniać, Jay.

Ludzie potrącali nas, śpiesząc gdzieś w swoich sprawach.

Kilkoro nastolatków z kolczykami w różnych miejscach ciała i farbowanymi włosami wpadło na nas i zaczęło się śmiać. Wokół złotego dwupłatowca prawie naturalnej wielkości, przymocowanego do budynku Grand Marnier, zebrał się mały tłumek ciekawskich. Poczułam zapach pieczonych kasztanów.

– Nie miałam nikogo od śmierci Bentona – powiedziałam. – Takie jest twoje miejsce, Jay, w mojej fizjologii.

– Nie chciałem być okrutny...

– Wracam do domu rano.

– Tak bym chciał, żebyś nie wyjeżdżała.

– Mam misję do wypełnienia, pamiętasz?

Znów wypełzła skądś moja ukryta złość i kiedy Talley próbował ponownie wziąć mnie za rękę, wysunęłam dłoń.

– A może powinnam raczej powiedzieć, że rano wykradnę się do domu – warczałam. – Z teczką pełną nielegalnie wywożonych dowodów, które, nawiasem mówiąc, stanowią również zagrożenie biologiczne. Wypełnię rozkazy jak dzielna harcerka i jeśli się uda, zdobędę DNA z wymazów. Porównam je z DNA niezidentyfikowanego ciała, a w końcu ustalę, że mój trup z kontenera i morderca są braćmi. W tym czasie glinom może się poszczęści i znajdą wilkołaka wędrującego po ulicach, a on wam wszystko wyśpiewa o kartelu Chandonne’ów. A zanim to nastąpi, dwie albo trzy kobiety zostaną zmasakrowane.

– Proszę, nie bądź taka zgorzkniała – odezwał się Jay.

– Zgorzkniała? Ja mam nie być zgorzkniała? – Skręciliśmy z Boulevard des Italiens na rue Favard. – Nie mam być zgorzkniała, chociaż zostałam tu przysłana, żeby rozwiązać jakiś problem i jestem pionkiem w grze, o której nie mam pojęcia?

– Przykro mi, że tak na to patrzysz – powiedział.

– Robimy sobie wzajemnie krzywdę.

Café Runtz była małą, spokojną knajpką, z obrusikami w zieloną kratkę i zielonymi szklanymi nakryciami. Lampki i żyrandol były czerwone. Kiedy weszliśmy, Odette szykowała jakieś drinki przy barze. Na powitanie Talleya wyrzuciła ręce w górę, pomstując.

– Ma do mnie pretensje, że nie było mnie dwa miesiące, a teraz nawet nie zadzwoniłem, że przychodzę – przetłumaczył.

Nachylił się nad barem i pocałował ją w oba policzki na zgodę. Chociaż lokal był zatłoczony, zdołała nas umieścić przy wygodnym stoliku w kącie,

bo Talley miał taki wpływ na ludzi. Dostawał zawsze to, co chciał. Wybrał czerwonego burgunda Santenay, bo pamiętał, że mówiłam mu, jak bardzo lubię burgundy. Ja sobie nie przypomiinałam, kiedy to powiedziałam, i czy naprawdę tak było. Teraz już straciłam rozeznanie, co wcześniej o mnie wiedział, a czego się dowiadywał bezpośrednio ode mnie.

– Zobaczmy – mruknął, przebiegając wzrokiem menu. – Szczerze polecam dania alzackie. A na początek? Może *salade de gruyčre* – skrobany gruyčre, który wygląda jak makaron na sałacie z pomidorem. Bardzo sycące.

– Więc może ja tylko to – odpowiedziałam, nie czując większego apetytu na nic.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął małe cygaro i obcinacz.

– To mi pomaga ograniczyć papierosy – wyjaśnił. – Chciałabyś spróbować?

– Wszyscy we Francji za dużo palą. Czas, żebym znowu przestała.

– Są bardzo dobre. – Odciął czubek. – Moczone w cukrze. To jest waniliowe, ale mam też cynamon i sambucę. – Zapalił zapałkę. – Ale waniliowe lubię najbardziej. – Dmuchnął. – Naprawdę powinnaś spróbować.

Podał mi cygaro.

– Nie, dziękuję – odmówiłam.

– Zamawiam je u hurtownika w Miami – mówił dalej, zaciągając się cygarem i odchylając do tyłu głowę, by wydmuchnąć dym. – Nazywają się Cojimars. Nie należy ich mylić z Cohibas, które są cudowne, ale przemycane, jeśli kubańskie, w przeciwieństwie do tych z Republiki Dominikany. W każdym razie są nielegalne w Stanach. Wiem to, bo jestem przecież z ATF. Tak, proszę pani, odrobiłem lekcję o alkoholu, tytoniu i

broni. – Skończył już pierwszy kieliszek wina. – Trzy B. Bieganie, bieganie i bieganę. Słyszałaś kiedyś o tym? Uczą tego w szkole dla twardzieli. – Nalał sobie następny kieliszek i dopełnił mój. – Gdybym wrócił do Stanów, czy spotkałabyś się ze mną? A co by było, gdybym się postarał o przeniesienie... powiedzmy, z powrotem do Waszyngtonu?

– Nie chciałam ci tego robić – szepnęłam.

W jego oczach pojawiły się łzy i szybko odwrócił głowę. – Nie chciałam. To moja wina – starałam się mówić łagodnie.

– Wina? – spytał. – Nie wiedziałem, że jest w tym czyjaś wina, że kogoś należy obciążać. Tak, jakby pomyłka. – Przechylił się nad stolikiem, uśmiechając się z zadowoleniem, jakby był detektywem, który właśnie przygwoździł mnie sprytnym pytaniem. – Wina, hmm – powtarzał, wydmuchując dym.

– Jay, jesteś taki młody – tłumaczyłam mu. – Kiedyś zrozumiesz...

– Nie zmienię swojego wieku – przerwał mi głosem, który zwrócił na siebie spojrzenia.

– I mieszkasz we Francji, na miłość boską.

– Istnieją gorsze miejsca.

– Możesz sobie uprawiać różne gierki słowne, Jay, ale rzeczywistość zawsze w końcu nas dopada.

– Przykro ci, prawda? – Odchylił się. – Tyle o tobie wiem, a potem nagle robię coś tak głupiego.

– Nie powiedziałam, że to głupie.

– To dlatego, że nie jesteś jeszcze gotowa.

– Nie możesz tego wiedzieć, czy jestem gotowa, czy nie – zaczęłam, ale pojawił się kelner, żeby przyjąć od nas zamówienia, i zaraz się dyskretnie wycofał. – Grzebiesz za dużo w moim umyśle, a za mało w swoim.

– W porządku, nie bój się, już nigdy nie będę próbował odgadnąć twoich myśli lub uczuć.

– O, jaka drażliwość – odparłam. – Nareszcie zachowujesz się odpowiednio do wieku.

Oczy mu zabłyśły. Sączyłam swoje wino. On skończył już drugi kieliszek.

– Ja również zasługuję na szacunek – powiedział. – Nie jestem dzieckiem. Co to było dzisiaj po południu, Kay? Praca społeczna? Akcja dobroczynna? Edukacja seksualna? Terapia zastępcza?

– Może nie rozmawiajmy o tym tutaj – zaproponowałam.

– A może po prostu mnie wykorzystałaś? – ciągnął.

– Jestem dla ciebie za stara. Proszę, mów ciszej.

– Stara to jest moja matka albo ciotka. Głucha wdowa, moja sąsiadka też jest stara.

Zdałam sobie sprawę z tego, że nie mam pojęcia, gdzie on mieszka. Nawet nie znam jego domowego numeru telefonu.

– Stare jest twoje zachowanie, kiedy stajesz się taka wyniosła, protekcyjna i tchórzliwa – mówił dalej, unosząc kieliszek w moją stronę.

– Tchórzliwa? Różnie o mnie mówiono, ale nigdy nie nazwano mnie tchórzem.

– Jesteś tchórzem emocjonalnym. – Pił, jakby chciał ugasić ogień. – Dlatego z nim byłaś. Dawał ci poczucie bezpieczeństwa. Nie obchodzi mnie, co będziesz opowiadać, jak bardzo go kochałaś. Był bezpieczny.

– Nie mów o czymś, czego nie wiesz – ostrzegłam go.

Zaczynałam się trząść.

– Bo się boisz. Boisz się, odkąd umarł twój ojciec, odkąd poczułaś, że jesteś inna niż wszyscy, bo jesteś inna, i to jest cena, jaką płacą ludzie tacy,

jak my. Jesteśmy wyjątkowi. Pozostajemy samotni i rzadko rozumiemy, że to właśnie dlatego. Na ogół wydaje się nam, że coś z nami nie w porządku.

Położyłam serwetkę na stoliku i odsunęłam się na krzeselku.

– To jest wasz problem, dupków z wywiadu – odparowałam cicho i spokojnie. – Przywłaszczacie sobie czyjeś tajemnice i obawy, tragedie i uniesienia, i traktujecie to wszystko jak własne. Ja przynajmniej mam jakieś życie. Nie żyję poprzez podglądanie, egzystencją nieznanym sobie ludzi. Nie jestem żadnego rodzaju szpiegiem.

– Nie jestem szpiegiem – odpowiedział. – Otrzymałem zadanie, żeby się jak najwięcej o tobie dowiedzieć.

– I doskonale się z niego wywiązałeś – odparłam urażona. – Zwłaszcza dziś po południu.

– Nie odchodź, proszę – powiedział cicho, wyciągając do mnie rękę poprzez stół.

Odsunęłam się od niego i wyszłam z restauracji. Inni goście gapili się na mnie, ktoś się zaśmiał i coś powiedział i nie potrzebowałam tłumacza, żeby zrozumieć. Było dla nich jasne, że przystojny młody człowiek i jego starsza przyjaciółka zakończyli sprzeczkę kochanków. A może to jej żigolo.

Było prawie wpół do dziesiątej i zmierzałam zdecydowanie w stronę hotelu, podczas gdy wszyscy inni, a przynajmniej tak mi się zdawało, szli w przeciwnym kierunku. Policjantka w białych rękawiczkach zagwizdała, żeby przepuścić pojazdy, gdy czekałam w tłumie, aby przejść na drugą stronę Boulevard des Capucines. W powietrzu unosiły się liczne głosy i jaśniało chłodne światło księżyca. Zapachy naleśników, bagietek i kasztanów piekących się na małych rożenkach przyprawiały mnie o zawrót głowy i potęgowały przygnębienie.

Śpieszyłam się, jak ścigana, a mimo to na rogach ulic zwalniałam, bo chciałam, aby Talley mnie dogonił. Nie poszedł jednak za mną. Kiedy

dotarłam do hotelu, zdyszana i nieszczęśliwa, nie mogłam znieść myśli o spotkaniu z Marinem ani o powrocie do pokoju.

Wsiadłam do taksówki, bo miałam jeszcze jedną sprawę do załatwienia. Byłam w nastroju nierozważnego szaleństwa i musiałam to zrobić, sama i nocą.

– Słucham? – odwrócił się do mnie kierowca. – Madame? Czułam się, jakby przestawiły się we mnie jakieś elementy i nie mogłam ich poukładać, bo nie pamiętałam, gdzie były przedtem.

– Czy pan zna angielski? – spytałam.

– Tak.

– Czy pan wie dużo o tym mieście? Może mi pan mówić, co widzę?

– Co pani widzi? Teraz?

– Kiedy będziemy jechać – wyjaśniłam.

– A więc jestem przewodnikiem wycieczki? – zaśmiał się. – No, mieszkam tutaj. A dokąd chciałaby pani jechać?

– Czy pan wie, gdzie jest kostnica? Nad Sekwaną, koło Gare de Lyon?

– Chce pani tam jechać? – Odwrócił się do mnie i skrzywił, czekając, żeby się włączyć do ruchu.

– Tak, będę chciała tam pojechać. Ale przedtem na Ile Saint-Louis – powiedziałam, wypatrując jeszcze Talleya, chociaż moja nadzieja była równie wątła, jak światło na ulicy.

– Co? – Mój kierowca zaśmiał się, jakbym powiedziała najlepszy dowcip. – Chce pani jechać do kostnicy i na Ile Saint-Louis? Jaki to ma związek? Ktoś bogaty umarł?

– Proszę, jedźmy. – Zaczynał mnie denerwować.

– Oczywiście, jasne. Jeżeli pani sobie życzy.

Koła dudniły na bruku jak kotły, a odbijające się w Sekwanie światła lamp wyglądały jak ławica srebrnych rybek. Starłam parę ze swojego

okienka i uchyliłam je trochę, żebym mogła lepiej widzieć, gdy wjeżdżaliśmy na wyspę mostem Ludwika Filipa. Natychmiast rozpoznałam siedemnastowieczne kamienice, które niegdyś stanowiły własność szlachty. Byłam tu już z Bentonem. Chodziliśmy wtedy wąskimi, brukowanymi uliczkami i czytaliśmy niektóre tabliczki na ścianach informujące, kto tam kiedyś mieszkał. Zatrzymywaliśmy się w małych kafejkach na świeżym powietrzu i kupiliśmy lody w Berthillon.

Kazałam kierowcy okrążyć wyspę. Stały na niej cudowne domy z wapienia, popękane trochę z powodu wieku, ze wspaniałymi balkonami z czarnego kutego żelaza. W oknach paliły się światła i można było zerknąć na wyeksponowane belki pod sufitem, półki z książkami czy dobre obrazy, ale nie zobaczyłam żadnego człowieka. Tak, jakby mieszkająca tu elita była dla nas niewidoczna.

– Czy słyshał pan o rodzinie Chandonne’ów? – spytałam swego kierowcę.

– Ależ oczywiście. Chciałaby pani zobaczyć, gdzie mieszkają?

– Proszę – odpowiedziałam z mieszanymi uczuciami.

Podjechał do Quai d’Orleans, obok rezydencji, w której umarł Pompidou i gdzie stopy były wciąż zasunięte, a następnie wjechał na Quai de Bethune, w kierunku wschodniego cypelka wyspy. Poszperałam w torebce i wyciągnęłam fiolkę advilu. Taksówka się zatrzymała. Wyczułam, że kierowca nie miał ochoty podjeżdżać bliżej domu państwa Chandonne’ów.

– Niech pani skręci tu za rogiem – pokazał – i podejdzie do Quai d’Anjou. Zobaczy pani drzwi ozdobione rzeźbioną kozicą. To jest herb Chandonne’ów, tak się to chyba nazywa. Nawet rury odpływowe są z kozicami. Naprawdę coś. Na pewno pani zauważy. Tylko niech pani się trzyma z daleka od mostu po prawej stronie – dodał. – Pod nim siadują bezdomni i homoseksualiści. Tam jest niebezpiecznie.

Hôtel particulier, w którym rodzina Chandonne'ów mieszkała od stuleci, był trzypiętrową kamienicą z licznymi mansardowymi oknami, kominami i wolim okiem, czyli okrągłym okienkiem na strychu. Drzwi wejściowe z ciemnego drewna także ozdobiono rzeźbioną kozicą, a połączane koziołki na zgrabnych nóżkach podpierały pionowe rynny.

Poczułam gęsią skórę. Ukryłam się w cieniu i patrzyłam na drugą stronę ulicy na miejsce, gdzie wyrósł potwór, który sam nazwał się wilkołakiem. Widziałam przez okna błyszczące żyrandole i półki z setkami książek. Zaskoczyło mnie nagłe pojawienie się w oknie kobiety, niezwykle tęgiej, w ciemnoczerwonym szlafroku czy sukni z jakiegoś atłasu lub jedwabiu. Stałam i patrzyłam jak osłupiała. Miała zniecierpliwiony wyraz twarzy i poruszała ustami, mówiąc do kogoś. Natychmiast pojawiła się pokojówka z kieliszkiem do likieru na małej srebrnej tacy. Madame Chandonne, jeśli to była ona, sączyła napój, a potem zapaliła papierosa srebrną zapalniczką i zniknęła z pola widzenia.

Przeszłam szybko przez skwer i stamtąd udało mi się dojrzeć zarys kostnicy. Było to najwyżej kilka kilometrów w górę rzeki, po drugiej stronie Pont Sully. Patrzyłam na Sekwanę i wyobrażałam sobie, że zabójca był synem tej grubej kobiety i całymi latami kąpał się tu nago bez jej wiedzy, a światło księżycy błyszczało na jego długich jasnych włosach.

Wyobrażałam sobie, jak wymykał się z tego eleganckiego domu po zapadnięciu ciemności i wędrował przez ten skwer, żeby zanurzyć się w rzece, mając nadzieję, że kąpiel go uzdrowi. Ile lat taplał się w zimnej, brudnej wodzie? Zastanawiałam się, czy bywał w rejonie pod mostem, gdzie mógł widzieć ludzi, którzy podobnie jak on zostali odrzuceni przez społeczeństwo. Może się nawet z nimi zaznajomił?

Z ulicy na bulwar tuż nad rzeką prowadziły schody. Woda sięgała tak wysoko, że oblewała kamienie bruku mętnymi falami o lekkiej woni

ścieków. Sekwana wezbrała od nieustannego deszczu, prąd był silny, ale czasem przepływała tu nawet jakaś kaczką, chociaż podobno w nocy nie pływają. Światło gazowych lamp układało się na wodzie w błyszczący wzór.

Zdjęłam zakrętkę z fiolki advilu i wysypałam tabletki na ziemię. Ostrożnie zaczęłam schodzić po kamiennych schodkach nad rzekę. Wypłukałam plastikową buteleczkę i napełniłam ją lodowatą wodą. Zakręciłam korek i wróciłam szybko do taksówki, oglądając się od czasu do czasu na dom Chandonne'ów, jakby miał stamtąd wyskoczyć na mnie któryś z członków kartelu.

– Proszę mnie zawieźć do prosektorium – powiedziałam do taksówkarza. Było ciemno, ale dopiero teraz, w świetle mijanych samochodów widziałam wyraźnie drut kolczasty na ogrodzeniu. – Proszę się zatrzymać na parkingu od tyłu. – Skręcił z Quai de la Rapee za budynek, gdzie wcześniej parkowały karawany, a na ławce siedziała smutna para. Wysiadłam. – Niech pan tu zaczeka – powiedziałam do kierowcy. – Przejdę się tylko dookoła.

Miał bladą twarz, a kiedy przypatrzyłam mu się wyraźniej, zobaczyłam, że ma mnóstwo zmarszczek i brakuje mu kilku zębów. Zerka! nerwowo na boki, jakby się bał, że zaraz mogę mu uciec.

– W porządku – uspokoiliam go, wydając z torebki notes.

– O, pani jest dziennikarką – odetchnął z ulgą. – Pani tu pracuje nad artykułem.

– Tak, nad artykułem.

Uśmiechnął się, wysunawszy głowę przez otwarte okno.

– Martwiłem się, madame! Myślałem, że pani jest jakimś wampirem.

– Niech pan mi da minutkę – powiedziałam.

Obchodziłam budynek dookoła. Od rzeki i starego kamienia wiało wilgotnym, przenikliwym zimnem. Przypatrywałam się wszystkim

szczegółom, jakbym była mordercą. Na pewno fascynowałoby go to miejsce. W tych salach demonstrowano jego ofiary, a on cieszył się królewską nietykalnością. Mógł robić, co chciał i kiedy chciał, zostawiać wszelkie możliwe dowody, a i tak nikt by go nie tknął.

Mógł dojść pieszo z domu do prosektorium w dwadzieścia czy trzydzieści minut. Wyobraziłam go sobie, siedzącego w parku, wpatzonego w stary, ceglany budynek i zastanawiającego się, jaką też pracę wymyślić dla doktor Stvan. Ciekawe, czy odór śmierci też na niego działał.

Delikatny wiaterek poruszył gałęziami akacji, dotykając prawie mojej skóry. Przypominałam sobie, co doktor Stvan mówiła o mężczyźnie, który stanął wtedy u jej drzwi. Przyszedł ją zamordować i mu się nie udało. Wrócił następnego dnia w to samo miejsce i zostawił jej kartkę.

„Nie ma policji...”. Może niepotrzebnie dopatrywałyśmy się w jego słowach tak skomplikowanych treści. „Nie ma problemu... Loup-Garou”.

Może było to tak proste, jak niepohamowana, mordercza żądza, której nie mógł opanować. Kiedy ktoś budził w nim potwora, nie było ucieczki. Jestem pewna, że gdyby został we Francji, doktor Stvan już by nie żyła. Może gdy uciekał do Richmondu, sądził, że przez jakiś czas będzie mógł się kontrolować. Może mu się udało, przez trzy dni. A może obserwował Kim Luong cały czas, snując fantazje, aż nie mógł już dłużej powstrzymać swej żądzy czynienia zła.

Wróciłam do taksówki. Okienka były tak zaparowane, że nic nie widziałam. Otworzyłam tylne drzwi. Ogrzewanie pracowało z pełną mocą, a obudzony nagle kierowca wyprostował się i zaklął.

Rozdział 38

Concorde wyleciał z lotniska Charles de Gaulle o jedenastej i przyleciał za piętnaście dziewiąta rano, czyli w pewnym sensie wcześniej, niż wyruszyliśmy. Weszłam do domu około południa, zupełnie rozkojarzona, zmęczona i oszołomiona zmianą czasu. Pogoda się pogarszała i znów przewidywano deszcz ze śniegiem i marznącą mżawkę, a ja musiałam załatwić parę spraw. Marino pojechał do domu, miał przecież swoją ciężarówkę.

Sklep spożywczy Ukrops był zatłoczony, bo gdy tylko zapowiadano śnieg albo deszcz ze śniegiem, mieszkańcy Richmondu tracili głowę. Wyobrażali sobie, że umrą z głodu albo z pragnienia. Kiedy dopchnęłam się do stoiska z pieczywem, nie było już ani jednego bochenka chleba. W dziale mięsnym nie znalazłam indyka ani szynki. Kupiłam, co się dało, bo spodziewałam się, że Lucy jakiś czas u mnie zostanie.

Dotarłam do domu trochę po szóstej i nie miałam siły na pertraktacje z moim garażem, zostawiłam więc samochód przed domem. Białe chmury otaczające księżyc wyglądały jak czaszka, ale po chwili zmieniły się w coś bezkształtnego i pognały dalej, pędzone coraz silniejszym wiatrem, który szumiał i szeptał w gałęziach drzew. Czułam się obolała i słaba, jakbym miała zachorować, poza tym denerwowałam się, że Lucy nie wraca i nie telefonuje.

Uznałam, że jest w szpitalu, ale kiedy zadzwoniłam na oddział ortopedyczny, dowiedziałam się, że nie była tam od poprzedniego ranka. Zaczęłam panikować. Powędrowałam do dużego pokoju i myślałam intensywnie. Zrobiła się już prawie dziesiąta, gdy znów wsiadłam do samochodu i pojechałam do śródmieścia. Byłam tak spięta, że bałam się, iż coś mi się stanie.

Wiedziałam, że Lucy mogła polecieć do Waszyngtonu, ale na pewno zostawiłaby kartkę. Kiedy znikła bez słowa, nigdy nie oznaczało to niczego dobrego. Zjechałam z autostrady, minęłam puste ulice śródmieścia, a następnie przesuwałam się wolniutko po kilku poziomach parkingu pod szpitalem w poszukiwaniu wolnego miejsca. Złapałam fartuch laboratoryjny z tylnego siedzenia w samochodzie i pobiegłam.

Oddział ortopedyczny znajdował się w nowym szpitalu na pierwszym piętrze i kiedy znalazłam się przed pokojem, włożyłam fartuch i otworzyłam drzwi. Przy łóżku siedziała jakaś para, którą uznałam za rodziców Jo, więc podeszłam do nich. Jo miała zabandażowaną głowę i nogę na wyciągu, ale była przytomna i od razu utkwiała we mnie spojrzenie.

– Państwo Sanders? – spytałam. – Jestem doktor Scarpetta.

Jeśli moje nazwisko coś im mówiło, nie dali tego po sobie poznać, ale pan Sanders uprzejmie wstał i uścisnął mi rękę.

– Miło nam panią poznać – powiedział.

Zupełnie inaczej go sobie wyobrażałam. Chyba wyrobiłam sobie jakiś obraz obojga po tym, jak Jo opisywała sztywną postawę rodziców i spodziewałam się surowych twarzy i krytycznych spojrzeń. Ale państwo Sandersowie okazali się pulchniutcy i wyfiokowani, i wcale nie wyglądali imponująco. Byli bardzo uprzejmi, a nawet nieśmiali, gdy spytałam ich o córkę. Jo dalej na mnie patrzyła, a jej spojrzenie błagało o pomoc.

– Czy państwo mieliby coś przeciw temu, żebym przez moment sama porozmawiała z pacjentką? – spytałam.

– W porządku – odrzekła pani Sanders.

– Jo, rób, co ci pani doktor każe – poinstruował córkę pan Sanders łagodnym tonem.

Wyszli i ledwo zamknęłam drzwi, oczy Jo zaszklily się łzami. Schyliłam się i pocałowałam ją w policzek.

– Zamartwialiśmy się wszyscy o ciebie – powiedziałam.

– Co z Lucy? – szepnęła, gdy z oczu popłynęły jej łzy.

Wsunęłam chusteczkę do spętanej kroplówkami ręki dziewczyny.

– Nie wiem. Nie wiem, gdzie ona jest. Twoi rodzice powiedzieli jej, że nie chcesz się z nią widzieć i...

Pokręciła głową.

– Wiedziałam, że tak zrobią – odezwała się ponurym głosem. – Wiedziałam. Mnie mówili, że ona nie chce się ze mną zobaczyć, że za bardzo się przejęła tym, co się wydarzyło. Nie wierzyłam im. Wiem, że nie zrobiłaby czegoś takiego. Ale oni ją przepędzili. I może uwierzyła w to, co powiedzieli.

– Lucy uważa, że to, co się stało, to jej wina – wyjaśniłam. – Niewykluczone, że kula w twojej nodze pochodziła z jej broni.

– Przeprowadź ją do mnie. Proszę!

– Czy masz pomysł, gdzie mogłabym ją znaleźć? – spytałam. – Czy jest jakieś miejsce, do którego mogłaby pojechać, kiedy jest taka przygnębiona? Może wróciła do Miami?

– Tam na pewno by nie pojechała.

Usiadłam na krześle obok łóżka i głęboko odetchnęłam ze zmęczenia.

– Może do hotelu? – spytałam. – Do znajomych?

– Może do Nowego Jorku – powiedziała Jo. – Jest taki bar w Greenwich Village. Rubyfruit.

– Myślisz, że pojechała do Nowego Jorku? – spytałam ze zdumieniem.

– Właścicielka ma na imię Ann, to była policjantka. – Głos Jo zadrżał. – Zresztą nie wiem, nie wiem. Boję się, kiedy tak ucieka. Przestaje wtedy myśleć racjonalnie.

– Wiem, a po tym wszystkim, co się stało, i tak nie potrafi sensownie myśleć. Jo, jak będziesz się dobrze sprawować, mogłabyś stąd wyjść za dzień czy dwa. Dokąd chciałabyś pójść? – spytałam z uśmiechem.

– Nie do domu. Znajdziesz ją, prawda?

– Czy chciałabyś pobyc u mnie?

– Moi rodzice nie są złymi ludźmi – mruknęła, gdy patrzyłam, jak kapie morfina. – Nie rozumieją. Uważają... Dlaczego to jest złe?...

– Nie jest – odpowiedziałam. – Miłość nigdy nie jest zła. Wyszłam, kiedy zapadła w drzemkę. Rodzice czekali za drzwiami.

Byli zmęczeni i smutni.

– Jak ona się czuje? – spytał ojciec Jo.

– Nie za dobrze – odrzekłam. Pani Sanders zaczęła płakać. – Mają państwo prawo wierzyć w to, w co wierzycie, ale nie dopuszczając teraz do tego, żeby Jo i Lucy mogły się zobaczyć, robicie najgorszą rzecz, jaka jest możliwa. Dosyć już miała przygnębienia i strachu. Nie może utracić woli życia, proszę państwa. – Żadne z nich nie odpowiedziało. – Jestem ciotką Lucy.

– Myślę, że i tak jakoś już wraca do tego świata – odezwał się w końcu pan Sanders. – Nie możemy nikogo trzymać od niej z daleka. Staraliśmy się postąpić jak najlepiej.

– Jo o tym wie – zapewniłam ich. – Ona państwa kocha.

Nie powiedzieli mi do widzenia, ale patrzyli za mną, gdy wsiadałam do windy. Gdy tylko dotarłam do domu, zadzwoniłam do baru Rubyfruit i przekrzykując hałas jakiejś kapeli i głosów, poprosiłam do telefonu Ann.

– Nie jest w najlepszym stanie – wyjaśniła mi i wiedziałam, co ma na myśli.

– Zajmie się nią pani? – spytałam.

– Już to robię – odrzekła. – Chwileczkę, zaraz ją poproszę.

– Widziałam się z Jo – odezwałam się, gdy moja siostrzenica podeszła do telefonu.

– Aha – odpowiedziała tylko i od razu się zorientowałam, że jest pijana.

– Lucy!

– Nie chcę teraz rozmawiać.

– Jo cię kocha! – zawołałam. – Przyjeżdżaj do domu.

– I co potem?

– Przywieziemy ją ze szpitala do mnie do domu, a ty będziesz się nią opiekować. To masz robić.

Niewiele spałam tej nocy. W końcu o drugiej wstałam, poszłam do kuchni i zrobiłam sobie herbatkę ziołową. Wciąż lało, a woda spływająca z dachu rozpryskiwała się na patio. Nie mogłam się rozgrzać. Myślałam o wymazach, włosach i zdjęciach śladów ugryzień, jakie miałam w aktówce, i prawie wydawało mi się, że zabójca jest w moim domu. Czułam jego obecność, jakby te jego ślady wydzielały fluidy zła.

Pomyślałam o złośliwości losu. Interpol wzywa mnie do Francji i po wszystkim, co zostało tam zrobione i powiedziane, jedynym legalnym dowodem, jaki posiadam, jest buteleczka po advilu, wypełniona wodą i szlamem z Sekwany.

Kiedy minęła trzecia nad ranem, usiadłam w łóżku i zaczęłam pisać jeden po drugim listy do Talleya, na brudno. Żaden nie był dobry.

Przeraziłam się, jak bardzo za nim tęsknię i co mu zrobiłam. Teraz mi się odwzajemniał i zasłużyłam sobie na to. Zgniotłam kolejną kartkę i popatrzyłam na telefon. Obliczyłam, która jest teraz godzina w Lyonie i wyobraziłam go sobie przy biurku, w eleganckim garniturze. Może rozmawiał przez telefon albo był na zebraniu, albo oprowadzał kogoś innego i w ogóle już o mnie nie myślał. Ja natomiast myślałam o jego twardym, gładkim ciele i zastanawiałam się, jak to się stało, że był takim dobrym kochankiem.

Pojechałam do pracy. Kiedy była już prawie druga po południu we Francji, zdecydowałam się zadzwonić do Interpolu.

– ...Bonjour, hello...

– Poproszę z Jayem Talleyem – powiedziałam.

Przełączono mnie.

– HIDTA – odezwał się męski głos.

Byłam trochę zmieszana i nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Czy to wewnętrzny Jaya Talleya?

– A kto mówi? Przedstawiłam się.

– Nie ma go tu – odrzekł mężczyzna.

Przeszył mnie strach. Nie uwierzyłam mu.

– A z kim rozmawiam? – zaczęłam się dopytywać.

– Agent Wilson. Jestem łącznikiem FBI. Nie poznaliśmy się wtedy. Jay wyjechał.

– Czy wie pan, kiedy wróci?

– Nie jestem pewien.

– Rozumiem. A czy mogę się jakoś z nim skontaktować? Albo może pan go poprosić, żeby zatelefonował do mnie?

Słyszałam, że jestem zdenerwowana.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest – oświadczył Wilson. – Ale jeśli się zamelduje, powtórzę, że pani dzwoniła. A może ja mógłbym pani w czymś pomóc?

– Nie – odrzekłam.

Kiedy się wyłączyłam, zaczęłam panikować. Byłam pewna, że Talley nie chciał żadnych kontaktów ze mną i poinstruował kolegów, że go nie ma, jeśli będę dzwoniła.

– O Boże, o Boże – szeptałam, przechodząc obok biurka Rose. – Co ja narobiłam?

– Czy pani mówi do mnie? – Spojrzała na mnie przez okulary znad klawiatury. – Czy znów coś pani zgubiła?

– Tak – odpowiedziałam.

O wpół do dziewiątej weszłam na zebranie pracowników i zajęłam swe zwykłe miejsce u szczytu stołu.

– Co dziś mamy? – zapytałam.

– Czarna kobieta, trzydzieści dwa lata, z Albermale County – zaczął Chong. – Zjechała z drogi i rozbiła samochód. Ewidentnie straciła panowanie nad kierownicą. Złamanie podstawy czaszki, złamana prawa noga. Koroner hrabstwa Albemarle, doktor Richards chce, żebyśmy to my zrobili sekcję zwłok. – Popatrzył na mnie. – Zastanawiam się dlaczego. Przyczyna i sposób zgonu wydają się oczywiste.

– Bo przepisy mówią, że świadczymy usługi na rzecz miejscowych koronerów – wyjaśniłam. – Proszą nas, więc to robimy. Możemy teraz zrobić ją w godzinę albo może nam to później zabrać dziesięć godzin, jeśli będą jakieś problemy.

– Następnie jest osiemdziesięcioletnia biała kobieta, widziana ostatnio żywa wczoraj rano około dziewiątej. Wczoraj wieczorem koło wpół do siódmej znalazł ją narzeczony...

Musiałam się bardzo pilnować, żeby słuchać z uwagą.

– ...Nie ma informacji na temat nadużycia leków czy podejrzanych okoliczności. Na miejscu zdarzenia znaleziono nitroglicerynę.

Talley kochał się jak wygłodzony. Nie mogłam uwierzyć, że podczas zebrania z pracownikami mam takie erotyczne myśli.

– Trzeba sprawdzić, czy nie ma żadnych obrażeń i zrobić badania toksykologiczne – mówił Fielding. – Mamy się tym zająć.

– Czy ktoś wie, co wykładam na Akademii w przyszłym tygodniu? – spytał toksykolog Tim Cooper.

– Pewnie toksykologię.

– Rzeczywiście. – Cooper westchnął. – Potrzebuję sekretarki.

– Ja mam dziś trzy wystąpienia sądowe – odezwał się mój zastępca, Riley. – To jest zupełnie niemożliwe, bo odbywają się w zupełnie różnych miejscach.

Drzwi się otworzyły i Rose wsunęła głowę, kiwając ręką, żebym wyszła na korytarz.

– Larry Posner musi za chwilę wyjść – powiedziała. – Ale pyta, czy pani mogłaby teraz zajrzeć do jego laboratorium?

– Już idę – odrzekłam krótko.

Kiedy weszłam, przygotowywał właśnie trwałe szkiełko, używając pipety, żeby wpuścić kroplę cargille na skraj szkiełka przykrywającego, a pozostałe grzały się na gorącej tacce.

– Nie wiem, czy to coś znaczy – zastrzegł się od razu. – Niech pani spojrzy w mikroskop. Okrzemki z tego pani niezidentyfikowanego. Proszę wziąć pod uwagę to, że poszczególne diatomy powiedzą pani tylko, czy jest to woda słona, słonawa czy świeża.

Spojrzałam przez soczewki na małe organizmy, które wyglądały, jakby były zrobione ze szkła, miały różne kształty, przypominające łódki,

łańcuszki, zygzaki, sierpy księżycy, paski tygrysa czy wiórki. Były tam kropki podobne do konfetti, ziarenka piasku i inne cząsteczki w różnych kolorach, prawdopodobnie minerały.

Posner zdjął szkiełko i położył następne.

– Próbką, którą przywiozła pani z Sekwany – powiedział. – *Cymbella*, *Melosira*, *Navicula*, *Fragilaria*. I tak dalej i tak dalej. Pospolite jak pył. Wszystko słodkowodne, więc przynajmniej to dobre, ale nic nam to nie mówi.

Usiadłam głębiej i popatrzyłam na niego.

– Więc ściągnął mnie pan tutaj tylko po to? – spytałam rozczarowana.

– Cóż, nie jestem Robertem McLaughlinem – odparł sucho, mając na myśli światowej sławy diatomistę, u którego się uczył. Nachylił się nad mikroskopem, ustawił powiększenie i zaczął obracać szkiełka. – Nie prosiłem tu pani na próżno. Mamy szczęście, jeśli idzie o częstotliwość pojawienia się określonych gatunków flory.

Była to lista botaniczna roślin, a w tym przypadku diatomów, według gatunków.

– Pięćdziesiąt jeden procent *Melosira*, piętnaście procent *Fragilaria*. Nie chcę pani tym zanudzać, w każdym razie próbki są właściwie identyczne. Wydaje mi się to wprawdzie cudem, bo flora w miejscu, gdzie pani nabrała wody do buteleczki, może być zupełnie różna od tej kilkadziesiąt metrów dalej.

Zrobiło mi się zimno na myśl o wybrzeżu Ile Saint-Louis i opowieści o mężczyźnie pływającym nago w ciemnościach w pobliżu rezydencji Chandonne'ów. Wyobraziłam sobie, jak się ubiera, nie biorąc prysznic, i w ten sposób nieświadomie przenosi diatomy na wewnętrzną stronę ubrania.

– Jeżeli pływa w Sekwanie i te diatomy są na wszystkich jego rzeczach – powiedziałam – to znaczy, że się nie opłukuje przed ubraniem. A co z

ciałem Kim Luong?

– Na pewno nie jest to flora z Sekwany – oświadczył Posner. – Ale pobrałem próbkę wody z naszej James River, nawiasem mówiąc, niedaleko pani domu. I znów jest prawie ta sama częstotliwość występowania.

– To znaczy flora na jej ciele i flora z James są identyczne? – Chciałam się upewnić.

– Jestem tylko ciekaw, czy diatomy z naszej rzeki są wszędzie dookoła – powiedział Posner.

– To sprawdzimy – zaproponowałam.

Wzięłam wacik i wytarłam sobie rękę, włosy i podeszwy butów. Posner umieścił to na szkiełku. Nie było ani jednego diatomu.

– Może w wodzie z kranu? – spytałam.

Larry pokręcił głową.

– Więc nie mogą być na całym ciele człowieka, póki ta osoba nie zanurzyła się w stawie, oceanie, jeziorze... – przerwałam, bo przyszła mi do głowy dziwna myśl – ...w Morzu Martwym, w rzece Jordan – kończyłam.

– Co takiego? – spytał zdumiony Posner.

– W źródle Lourdes – mówiłam, coraz bardziej podniecona. – W świętej rzece Ganges, we wszystkich tych miejscach, w których według wierzeń występują cuda i do wody wchodzi ślepi, kulawi, sparaliżowani, żeby ich uzdrowiła.

– Pływa w rzece James o tej porze roku? – zdziwił się Posner. – Facet musi być stuknięty.

– Nie da się wyleczyć hipertrychozy – powiedziałam.

– Co to jest, do diabła?

– Okropne, niezwykle rzadkie schorzenie. Włosy na całym ciele od urodzenia. Delikatne, niemowlęce włosy, które mogą dochodzić do sześciu, piętnastu, a nawet dwudziestu centymetrów. Prócz innych zaburzeń.

– Fuu!

– Może kąpał się nago w Sekwanie, w nadziei że cudownie ozdrowieje. Może robi to samo w James – myślałam głośno.

– Jezu – westchnął Posner. – To dopiero pomysł!

Kiedy wróciłam do gabinetu, na krześle przy moim biurku siedział Marino.

– Wyglądasz, jakbyś całą noc nie spała – odezwał się, siorbiąc kawę.

– Lucy uciekła do Nowego Jorku. Rozmawiałam z Jo i jej rodzicami.

– Co zrobiła Lucy?

– Już wraca, w porządku.

– Niech się tylko przyzwoicie zachowuje. To nie jest dobry moment dla niej, żeby świrowała.

– Marino – powiedziałam szybko – jest możliwe, że morderca kąpie się w rzekach, w nadziei że to może go uzdrowić. Zastanawiam się, czy nie mieszka gdzieś w pobliżu James.

Myślał o tym przez chwilę, a na jego obliczu pojawił się dziwny wyraz. W holu usłyszeliśmy tupanie.

– Spodziewam się, że nie ma tam jakiejś starej posiadłości, której właściciele dawno zmarli – powiedział kapitan. – Mam złe przeczucia.

Wtedy pojawił się w moim gabinecie Fielding i zaczął wrzeszczeć na detektywa.

– Co się z tobą, do cholery, dzieje!

Na karku Fieldinga nabrzmiały żyły, twarz miał czerwoną. Nigdy nie słyszałam, żeby tak podniósł na kogoś głos.

– Pozwalasz, żeby ta pieprzona prasa dowiedziała się wcześniej, nim my zdążymy dojechać na to cholerne miejsce zbrodni! – krzyczał.

– Hej – odezwał się detektyw – spokojnie. O czym pozwoliłem się dowiedzieć pieprzonej prasie?

– Diane Bray została zamordowana – wyspał Fielding. – Mówią o tym we wszystkich wiadomościach. Zatrzymano podejrzaną. To detektyw Anderson.

Rozdział 39

Niebo było zachmurzone i gdy dojechaliśmy do Windsor Farms, zaczął padać deszcz. Dziwnie było tak jechać służbowym czarnym suburbanem w okolicy pełnej rezydencji w stylu georgiańskim i Tudorów, stojących w rozległych ogrodach, pod starymi drzewami. Nie słyszałam nigdy, żeby moi sąsiedzi bali się jakichś przestępców. Okazuje się, że pieniądze starych rodzin i eleganckie uliczki o angielskich nazwach dawały tylko złudzenie bezpieczeństwa. Nie miałam wątpliwości, że teraz to się zmieni.

Dom, w którym mieszkała Diane Bray, znajdował się na obrzeżach tej okolicy, gdzie po drugiej stronie muru przebiegała głośna droga szybkiego ruchu, prowadząca do śródmieścia. Kiedy skręciłam w wąską uliczkę, byłam zdumiona. Reporterzy tłoczyli się wszędzie. Samochody z rozgłośni i wozy telewizyjne blokowały ruch i w stosunku do aut policyjnych stało ich jak trzy do jednego przed białym domkiem typu Cape Cod, z dwuspadowym dachem, rodem z Nowej Anglii.

– Bliżej już nie dojadę – powiedziałam do Marina.

– To się okaże – oświadczył, łapiąc za klamkę.

Wyszedł w ulewę i pomaszerował w stronę samochodu radiowego, zaparkowanego częściowo na trawniku przed domem Diane Bray. Kierowca odkręcił szybę i był na tyle nieostrożny, że podsunął detektywowi mikrofon.

- Wynocha! – warknął ten z wściekłością.
- Kapitanie Marino, czy mógłby pan potwierdzić?...
- Zabieraj stąd ten pieprzony samochód, już!

Zapisały opony, zgarniając muł i trawę, kiedy kierowca się wycofywał. Zatrzymał się na środku ulicy, ale detektyw kopnął w tylną oponę.

- Jazda! – rozkazał.

Kierowca ruszył, a jego wycieraczki pracowały jak szalone. Zaparkował na czyimś trawniku dwa domy dalej. Deszcz walił mnie po twarzy, a silny wiatr popychał jak niewidzialna ręka, gdy wyciągnąwszy z bagażnika walizeczkę, szłam w kierunku Marina.

– Mam nadzieję, że twój ostatni elegancki występ nie poszedł w eter – powiedziałam.

- Kto, do diabła, zajmuje się tą sprawą?

– Mam nadzieję, że ty – odrzekłam, idąc szybko z głową wciśniętą w ramiona.

Marino złapał mnie za rękę. Na podjeździe stał zaparkowany ciemnoniebieski ford contoura, a za nim samochód patrolowy, w którym siedział jeden policjant z przodu, z tyłu zaś drugi, obok Rene Anderson. Młoda kobieta wyglądała na wściekłą i rozhisteryzowaną, potrząsała głową i mówiła coś, czego nie słyszałam.

– Doktor Scarpetta? – Jakiś reporter telewizyjny zmierzał już w moją stronę, a po piętach deptał mu kamerzysta.

– Rozpoznajesz nasz samochód? – szepnął do mnie Marino, patrząc na forda ze znajomą rejestracją RGG-7112.

- Doktor Scarpetta?
- Bez komentarza.

Detektyw Anderson nie spojrzała na nas, gdy przechodziliśmy obok radiowozu.

– Czy mogłaby pani powiedzieć?... – Reporterzy byli nieustępliwi.

– Nie – oświadczyłam, wchodząc szybko po schodach.

– Kapitanie Marino, podobno policja dostała jakąś informację?

Zacinał deszcz, warczały silniki samochodów. Schyliliśmy się, przechodząc pod żółtą taśmą, otaczającą miejsce przestępstwa. Drzwi otworzyły się nagle i funkcjonariusz nazwiskiem Butterfield wprowadził nas do środka.

– Strasznie się cieszę, że państwa widzę – zwrócił się do nas obojga. – Myślałem, że jesteś na urlopie – powiedział do Marina.

– Tak, zostałem urlopowany.

Włożyliśmy rękawiczki. Butterfield zamknął za nami drzwi. Miał napiętą twarz i wyglądał na rozkojarzonego.

– Opowiedz mi o tym – zaczął detektyw, rozglądając się po przedpokoju i omiatając wzrokiem salon.

– Dostałem telefon na 901 z budki niedaleko stąd. Przyjechaliśmy i zastaliśmy to, co widać. Ktoś ją zatłukł na śmierć – meldował Butterfield.

– Co jeszcze? – spytał Marino.

– Napaść na tle seksualnym. Wygląda też na rozbój. Portfel na podłodze, bez pieniędzy, wszystko wyrzucone z torebki. Uważajcie, gdzie chodzicie – dodał, jakbyśmy o tym nie wiedzieli.

– Cholera, musiała mieć niezły szmal – zdumiewał się Marino, oglądając kosztowne meble w kosztownym domu komendant Bray.

– Jeszcze nic nie widziałeś – odparł Butterfield.

W salonie przede wszystkim zwróciła moją uwagę kolekcja zegarów. Były tam zegary ściennie, stojące na półeczkach, z drzewa różanego, orzecha i mahoni, z kalendarzami i wieżyczkami, wszystkie zabytkowe i

doskonale zsynchronizowane. Głośno tykały i gdyby to mnie przyszło mieszkać wśród nieustannego, monotonnego odmierzania czasu, chybabym oszalała.

Diane Bray miała zamiłowanie do angielskich antyków, wspaniałych, ale sztywnych i nieprzyjaznych. Naprzeciwko telewizora stała sofa ze ślimacznicą z jednej strony oraz obrotowa biblioteczka z atrapami książek w skórzanych oprawach. Tu i ówdzie, bez żadnego porządku, stały sztywne fotele z ozdobną tapicerką i drewnianymi oparciami, obite ałtarem. W pokoju dominował olbrzymi, zrobiony na heban, kredens. Ciężkie, złote zasłony były zaciągnięte, a lambrekin, ułożone w kontrafałdy, pokrywała koronka pajęczyny. Nie zauważyłam żadnej ozdoby, żadnej rzeźby ani obrazu i osobowość Diane Bray wydała mi się jeszcze bardziej chłodna i odpychająca. Jeszcze mniej ją lubiłam. Nie należało tego mówić o kobiecie, która właśnie została zakatowana na śmierć.

– Skąd takie pieniądze? – spytałam.

– Nie mam pojęcia – odrzekł Marino.

– Wszyscy się nad tym zastanawialiśmy, odkąd tu przyjechała – dodał Butterfield. – Widziała pani kiedyś jej samochód?

– Nie.

– Jak to? – prychnął Marino. – Codziennie wieczorem zabierała się do domu nowiutką crown via

– Jaguar w kolorze strażackiej czerwieni. Stoi w garażu. Wygląda na rocznik dziewięćdziesiąty ósmy albo dziewiąty. Trudno nawet zgadnąć, ile to może kosztować. – Policjant pokręcił głową.

– Co najmniej dwa lata twojego zapieprzania – skomentował Marino.

– Mnie to będziesz mówił!

Rozmawiali o gustach i bogactwie Diane Bray, jakby jej zmasakrowane ciało w ogóle nie istniało. Nic nie wskazywało na to, żeby w salonie doszło

do jakiegokolwiek spotkania albo żeby w ogóle ktoś w nim dłużej przebywał czy sprzątał.

Kuchnia mieściła się na prawo od salonu, więc zajrzałam do niej, sprawdzając, czy nie ma jakichś plam krwi czy śladów przemocy, ale niczego nie zauważyłam. Tutaj też nie czuło się życia. Błaty i kuchenka były nieskazitelnie czyste. Nie zauważyłam żadnego jedzenia, oprócz torebki z kawą Starbucks i małego stojaka na wino z trzema butelkami merlota.

Marino podszedł od tyłu i otworzył lodówkę rękami w rękawiczkach.

– Nie wygląda na to, żeby była amatorką gotowania – zauważył, oglądając raczej puste półki.

Zobaczyłam mały kartonik dwuprocentowego mleka, mandarynki, margarynę, pudełko orzeszków i rodzynek oraz przyprawy. Zamrażarka również nie wyglądała obiecująco.

– Tak jakby jej nigdy nie było w domu albo zawsze jadła w mieście – powiedział, otwierając nogą pedał kubła na śmieci. Wyjął stamtąd zgniecione pudełko po pizzy Domino, butelkę po winie i trzy puszki po piwie St. Pauli Girl. Poskładał kawałki paragonu.

– Jedna średnia pepperoni, dodatkowy ser – mrucał. – Zamówiona wczoraj po południu o piątej pięćdziesiąt trzy. – Pogrzebał jeszcze trochę i wyciągnął zgniecione serwetki, trzy kawałeczki pizzy i co najmniej sześć niedopałków. – Teraz jesteśmy ugotowani – podsumował. – Bray nie paliła. Wygląda na to, że wczoraj wieczorem miała towarzystwo.

– O której zatelefonowano pod 901?

– Dziewięć cztery. Około półtorej godziny temu. I nie wygląda na to, że dziś rano robiła kawę czy czytała gazetę albo coś takiego.

– Jestem pewny, że rano już nie żyła – wtrącił Butterfield.

Ruszyliśmy dalej wyłożonym chodnikiem korytarzem do głównej sypialni na tyłach domu. Kiedy doszliśmy do otwartych drzwi, oboje się zatrzymaliśmy. Mieliśmy wrażenie, jakby przemoc wypompuwała z tego pomieszczenia całe światło i powietrze. Panowała tu kompletna cisza, a wszędzie widniały plamy krwi i ślady zniszczenia.

– Jasna cholera – mruknął Marino pod nosem.

Białe ściany, podłoga, sufit, tapicerowane krzesła, szelortg, wszystko było tak zachlapanie krwią, że wyglądało prawie na dekorację teatralną. Ale te krople, smugi i strumyczki nie powstały od farby. Były wynikiem potwornego wybuchu psychopatycznej ludzkiej bomby. Zasuszone kropelki i plamki pokrywały zabytkowe lustra, a na podłodze zastygały kałuże i chlapnięcia. Olbrzymie łoże bez pościeli było nasiąknięte krwią.

Diane Bray została tak pobita, że nie mogłabym określić teraz jej rasy. Leżała na plecach, a na podłodze walały się jej atłasowa zielona bluzka i czarny biustonosz. Podniosłam obie rzeczy. Zostały z niej zerwane. Każdy kawałeczek skóry denatki pokrywały zaschnięte mazgaje i zakrętasz z krwi, co znowu przywodziło mi na myśl malowanie palcami. Jej twarz stanowiła miazgę tkanek, z odłamkami kości. Na lewym nadgarstku miała roztrzaskany kompletnie zegarek, złota obrączka na palcu prawej ręki wbiła się w kość.

Patrzyliśmy na zwłoki przez dłuższy czas. Od pasa w górę Bray była naga. Czarne sztruksowe spodnie i pasek wyglądały na nietknięte. Podeszwy stóp i dłonie miała pogryzione i tym razem Loup-Garou nawet nie próbował ukryć śladów ugryzień. Było na nich widać półkola szeroko rozstawionych, wąskich zębów, które nie wyglądały na ludzkie. Bił, ssał, gryzł, znów bił i to kompletne okaleczenie ciała Bray dawało pełen obraz jego wściekłości. Wydawało się, że mogła znać swego zabójcę, jak było w przypadku poprzednich ofiar.

Tyle że on ich nie znał. Zanim stanął u ich drzwi, on i ofiary nigdy się nie spotkali. Widywał je wszakże w swych szatańskich fantazjach.

– Co się dzieje z Anderson? – spytał kapitan Butterfielda.

– Usłyszała o tym wszystkim i spanikowała.

– Ciekawe. To znaczy, że nie mamy tu detektywa?

– Marino, podaj mi swoją latarkę, proszę.

Poświeciłam dookoła. Krew kapiąca z narzędzia zbrodni przy kolejnych uderzeniach rozprysnęła się na wezglowie i nocną lampkę. Były też ślady na dywanie. Wstałam i zbałam podłogę w pobliżu łóżka; znalazłam długie jasne włosy. Takie same, jak na ciele Diane Bray.

– Mówili, że mamy zabezpieczyć miejsce i czekać na dowódcę – odezwał się jeden z policjantów.

– Jakiego dowódcę? – spytał Marino.

Poświeciłam latarką na krwawe ślady stóp koło łóżka. Tworzyły wyraźną ścieżkę, więc popatrzyłam na obecnych w pokoju policjantów.

– Chyba przyjdzie tu sam szef. Pewnie chce zobaczyć sytuację, nim cokolwiek się zacznie robić – mówił Butterfield do Marina.

– Cholera – odrzekł detektyw. – Jak się pojawi, może się zdarzyć, że będzie stał na deszczu.

– Ilu ludzi przebywało w tym pokoju? – spytałam.

– Nie wiem – bąknął jeden z policjantów.

– Jeżeli nie wiesz, to znaczy, że za dużo – odparłam ostro. – Czy któryś z was dotykał zwłok? Jak blisko podchodziliście?

– Ja nie dotykałem.

– Nie, pani doktor – odezwał się drugi policjant.

– A czyje to ślady? – spytałam, pokazując ścieżkę. – Muszę to wiedzieć, bo jeśli nie wasze, to znaczy, że morderca był tu tak długo, aż krew zdążyła zaschnąć.

Kapitan popatrzył na stopy policjantów. Obaj mieli solidne sportowe czarne buty. Przykucnął i oglądał słabe ślady na drewnianej podłodze.

– Czy to mogą być wibramy? – spytał złośliwie.

– Muszę zaczynać – odezwałam się stanowczym tonem, wyjmując z torby waciki do wymazów i termometr chemiczny.

– Mamy tu za dużo ludzi! – oświadczył wszystkim Marino. – Cooper, Jenkins, znajdźcie sobie coś pożytecznego do roboty. – Wskazał kciukiem na otwarte drzwi.

Gapili się na niego, a jeden zaczął coś mówić. – Połknij to, Cooper – powiedział mu Marino. – I daj mi aparat fotograficzny. Może wypełniliście rozkaz, zabezpieczając teren, ale nikt wam nie kazał pracować na miejscu zbrodni. Co? Nie mogliście się powstrzymać, żeby nie obejrzeć sobie szefowej w takim stanie? O to chodziło? Ilu takich dupków jeszcze tu zaglądało?

– Zaraz, chwileczkę... – zaprotestował Jenkins.

Marino wyjął mu z rąk nikona.

– Daj mi swoje radio – rzucił detektyw.

Jenkins z oporami odpiął je od pasa i wręczył mu.

– Idź – powiedział Marino.

– Kapitanie, nie mogę odejść bez swojego radia.

– Właśnie udzieliłem ci pozwolenia.

Nikt nie śmiał mu przypomnieć, że jest zawieszony. Jenkins i Cooper odeszli w pośpiechu.

– Skurwiele! – warknął Marino, gdy wyszli.

Odwróciłam ciało denatki na bok. Stężenie pośmiertne było całkowite, co sugerowało, że nie żyła już od co najmniej sześciu godzin. Ściągnęłam jej spodnie i pobrałam z odbytu wymaz przed włożeniem termometru.

– Potrzebuję detektywa i kilku techników – mówił w eter Marino.

- Dziewiątka, jaki adres?
- Ten w toku – rzucił tajemniczo.
- Dziesięć-cztery, dziewiątka – odpowiedziała dyspozytorka.
- To Minny – zwrócił się do mnie Marino. Czekalam na wyjaśnienie.
- Znamy się od dawna. Jest moją donosicielką radiową. Wyciągnęłam termometr i trzymałam w górze.
 - Trzydzieści jeden, przecinek dwa – powiedziałam. – Ciało zwykle stygnie około półtora stopnia na godzinę przez pierwsze osiem godzin.
 - Ona mogła stygnąć nieco prędzej, bo jest częściowo odkryta. A tu mamy ile? Ze dwadzieścia jeden stopni?
 - Nie wiem. Ja się piekę – odrzekł. – Na pewno została zamordowana wczoraj w nocy, tyle wiemy.
 - Czegoś się jeszcze dowiemy z zawartości żołądka. Czy mamy pojęcie, jak morderca się tu dostał?
 - Sprawdzę wszystkie drzwi i okna, kiedy skończymy tutaj.
 - Długie, pionowe rozdarcia – powiedziałam, dotykając jej ran i szukając jakiegoś śladu, który mógłby nie dotrzeć do prosektorium. – Jak od łyżki do zdejmowania opon. Są jeszcze te podziurkowane miejsca, wszędzie.
 - Może to zakończenie łyżki – podsunął mi Marino, przyglądając się bacznie.
 - Ale od czego są te ślady? – spytałam.
- W kilku miejscach na materacu były ślady krwi, przeniesione z jakiegoś przedmiotu, który pozostawił wzór w paski, przypominający zaorane pole. Paski były długości może czterech centymetrów, przerwy między nimi wynosiły około trzech milimetrów, a powierzchnia każdego śladu miała wielkość mniej więcej mojej dłoni.

– Pamiętaj, żebyśmy sprawdzili odpływy do rur ściekowych – powiedziałam, słysząc w holu jakieś głosy.

– To chyba chłopaki.

Weszli, dźwigając duże służbowe torby.

– Czy macie zielone pojęcie, co tu się, do cholery, dzieje? – spytał Marino.

Obaj technicy patrzyli bez słowa.

– Matko Boska! – wykrztusił w końcu Ham.

– Czy ktoś wie, co się tutaj wydarzyło? – spytał Eggleston, wpatrzony w to, co pozostało z Diane Bray.

– Wiemy mniej więcej tyle samo, co wy – odpowiedział Marino. – Dlaczego nie ściągnięto was wcześniej?

– Dziwię się, skąd ty się dowiedziałeś – odrzekł Ham. – Nas zawiadomili dopiero teraz.

– Mam swoje źródła – oświadczył Marino.

– A kto dał znać mediom? – zainteresowałam się.

– Oni pewno też mają swoje źródła – odrzekł Eggleston.

Zaczęli otwierać torby i ustawiać światła. Z przechwyconego przez kapitana radia zaczęto wywoływać jego numer, co nas wszystkich poderwało.

– Cholera – zaczął marudzić. – Dziewiątka – zgłosił się niechętnie.

Ham i Eggleston założyli na oczy szare szkła powiększające w formie okularów.

– Dziewiątka, dziesięć-pięć, trzy-czternaście – odezwało się w odpowiedzi radio.

– Trzy-czternaście, jesteście tam? – spytał detektyw.

– Potrzebny jesteś na zewnątrz – odezwał się głos.

– To jest dziesięć-dziesięć – zaprotestował Marino.

Technicy zaczęli pomiary milimetrowe, używając dodatkowych lup wyglądających jak jubilerskie. Normalne lupy okularowe powiększały tylko trzy i pół raza, a niektóre drobinki krwi były na to za małe.

– Ktoś chce się z tobą zobaczyć. Teraz – mówiło radio.

– Ludzie, tu jest wszędzie pokrywa.

Eggleston miał na myśli krew, która rozpryskiwała się przy każdorazowym zamachnięciu narzędziem zbrodni, tworząc ścieżki czy linie na każdej powierzchni, z jaką miała kontakt.

– Nie mogę – rzucił do radia Marino.

Trzy-czternaście nie odpowiedziało. Zaczęłam podejrzewać, co to może oznaczać, i niestety miałam rację. Po kilku minutach w holu znów rozległy się kroki i w drzwiach stanął z kamienną twarzą komendant Rodney Harris.

– Kapitanie Marino – powiedział.

– Tak jest, panie komendancie – zgłosił się detektyw, studiując podłogę w pobliżu łazienki.

Ham i Eggleston w czarnych kombinezonach, lateksowych rękawiczkach i hełmach z okularami powiększającymi dodawali całej scenie niesamowitości. Pracowali, mierząc osie, kąty i punkty styczne, aby zrekonstruować miejsca w przestrzeni, z których zadawane były ciosy.

– Panie komendancie – powitali szefa.

Harris patrzył na łóżko z zaciśniętymi zębami. Był niski, pospolity, z rzadkimi rudymi włosami. Stale prowadził walkę z nadwagą. Może te niedostatki uformowały jego psychikę, nie wiem, ale Harris zawsze był tyranem. Miał agresywny sposób bycia i nie ukrywał, że nie lubi kobiet, które nie siedzą na swoim właściwym miejscu. Dlatego właśnie zdumiewało mnie, że zatrudnił Diane Bray, ale może to właśnie miało pomóc mu stworzyć lepszy obraz własnej osoby.

– Z całym szacunkiem, panie komendancie – zwrócił mu uwagę Marino
– ale niech pan nie zbliża się już ani na krok.

– Chciałbym się dowiedzieć, czy to pan sprowadził tu media, kapitanie?
– spytał Harris tonem, który przeraziłby większość znanych mi ludzi.

– Czy jest pan i za to odpowiedzialny, czy tylko bezpośrednio sprzeciwił się pan moim rozkazom?

– To drugie, komendancie. Nie mam nic wspólnego z mediami. Oni już tu byli, kiedy pani doktor i ja przyjechaliśmy.

Harris popatrzył na mnie, jakby dopiero teraz zauważył, że jestem w pokoju. Ham i Eggleston weszli na składane drabinki i zajęli się swoją robotą.

– Co się z nią stało? – spytał mnie komendant, a głos mu trochę zadrżał.
– Boże. – Zamknął oczy i pokręcił głową.

– Pobita na śmierć jakimś przedmiotem, być może narzędziem. Nie wiemy – odpowiedziałam.

– To znaczy, czy jest coś... – zaczął, ale jego żelazna maska zaczęła opadać. – Więc... – odchrząknął. Nie mógł oderwać oczu od zwłok. – Dlaczego ktoś to zrobił? Kto? Wiecie już cokolwiek?

– Pracujemy nad tym, szefie – odrzekł detektyw. – Nie mamy jeszcze teraz żadnych wiadomości, ale może pan mógłby mi odpowiedzieć na kilka pytań.

Technicy zaczęli mierzyć specjalnym różowym sznurkiem kropelki krwi na białym suficie. Komendant wyglądał na chorego.

– Czy wie pan coś na temat jej życia osobistego? – spytał Marino.

– Nie – odpowiedział Harris. – Prawdę rzekłszy, nie wiem, czy w ogóle jakieś miała.

– Ktoś u niej był wczoraj wieczorem. Jedli pizzę, może coś pili. Jej gość palił – oświadczył Marino.

– Nigdy nie wspominała, że się z kimś spotyka. – Jego szef oderwał wzrok od łóżka. – Nie byliśmy w specjalnie przyjacielskich stosunkach.

Ham przestał mierzyć. Eggleston zerkał przez swój optiwizor na kropelki krwi na suficie. Przesunął nad nimi powiększającą miarę i zapisał milimetry.

– A co z sąsiadami? – zapytał Harris. – Czy ktoś coś słyszał, widział?

– Przepraszam, ale nie mieliśmy jeszcze czasu nawet tknąć sąsiadów, zwłaszcza że nikt nie ściągnął tu żadnych detektywów ani techników, póki ja tego nie zrobiłem – odrzekł Marino.

Harris nagle odszedł. Popatrzyłam na kapitana, który unikał mojego spojrzenia. Byłam pewna, że właśnie stracił resztki szans na dalszą pracę.

– Jak wam tu idzie? – spytał Hama.

– Już nam się kończy ten cholerny sznurek. – Ham przyłożył jeden koniec sznurka do kropli krwi kształtu przecinka. – Dobra, więc gdzie mam przyczepić drugi koniec? Niech pan przesunie tę lampę. Dzięki. Proszę ją ustawić tutaj. Doskonale – powiedział Ham, przylepiając taśmą drugi koniec sznurka do podstawki lampy.

– Powinien pan zostawić swoją robotę, kapitanie, i pracować z nami.

– Znienawidziłby pan to – dodał Eggleston.

– Macie rację. Nic mnie bardziej nie wkurza niż strata czasu – odpowiedział Marino.

Sznurkowanie nie stanowi straty czasu, ale to koszmarnie żmudne zajęcie, o ile ktoś nie jest amatorem kątomierzy i trygonometrii, a także nie odznacza się wyjątkowo precyzyjnym i uporządkowanym umysłem. Rzecz polega na tym, że każda kropelka krwi ma swój indywidualny tor z miejsca uderzenia czy zranienia do powierzchni docelowej, takiej jak ściana, i zależnie od prędkości, przebytej odległości i kąta padania, kropelki mogą mieć różne kształty, które opowiadają całą krwawą historię.

Chociaż w dzisiejszych czasach komputery potrafią dać te same wyniki, praca na miejscu zbrodni wymaga tyle samo czasu, a ci z nas, którzy występowali przed sądem, wiedzą, że do sędziów przysięgłych bardziej przemawia jaskrawy sznurek w trójwymiarowym modelu niż kreseczki na papierze. Jednak wyliczenie dokładnej pozycji ofiary podczas zadawania ciosu w tym wypadku nie miało znaczenia. Nie potrzebowałam pomiarów, żeby wiedzieć, że to morderstwo, a nie samobójstwo, i że morderca był wściekły, szalony i uderzał wszędzie.

– Musimy ją zawieźć do miasta – powiedziałam do Marina – Sprowadź mi tu transport.

– Nie rozumiem, jak się mógł tu dostać – odezwał się Ham. – Przecież jako doświadczona policjantka powinna chyba wiedzieć, że nie należy otwierać drzwi obcym.

– Zakładając, że był to obcy.

– Do cholery, przecież to ten sam szaleniec, który zatłukł tę dziewczynę w Quik Cary!

– Pani doktor? – usłyszałam z holu głos Harrisa.

Obejrzałam się zdumiona. Myślałam, że komendant już sobie poszedł.

– Gdzie jest jej broń? – spytał Marino. – Czy ktoś ją znalazł?

– Na razie nie.

– Czy mógłbym panią prosić na chwilkę? – spytał Harris.

Marino posłał mi pełne złości spojrzenie i wszedł do łazienki, wołając zbyt głośno:

– Chłopaki, pamiętajcie, żeby sprawdzić odpływy i rury?

– Dojdziemy do tego, szefie.

Wyszłam do holu, a Harris przesunął się tak, żeby nikt nie słyszał, o czym mówimy. Szef policji w Richmondzie poddał się w obliczu tragedii. Gniew ustąpił panice, a tej, jak podejrzewam, nie chciał okazać swoim

podwładnym. Marynarkę przewiesił przez ramię, kołnierzyk koszuli miał rozpięty, krawat rozluźniony. Oddychał z trudem.

– Dobrze się pan czuje? – spytałam.

– Astma.

– Ma pan inhalator?

– Właśnie go użyłem.

– Bez nerwów, panie komendancie – uspokajałam go, ponieważ atak szybko może się stać niebezpieczny, a stres wszystko pogarsza.

– Niech pani posłucha – mówił. – Krążyły plotki, że była zaangażowana w jakieś afery w Waszyngtonie. Nie wiedziałem o tym, zatrudniając ją. I nie miałem pojęcia, skąd bierze pieniądze – dodał, jakby Diane Bray wciąż żyła. – I słyszałem, że Anderson chodzi za nią jak piesek.

– Może chodziła za nią również wtedy, gdy Bray tego nie widziała – podsunęłam.

– Mamy ją w samochodzie patrolowym – oznajmił, jakbym o tym nie wiedziała.

– Generalnie to nie moja sprawa, żeby wygłaszać opinię, kto jest winien morderstwa, ale nie sądzę, żeby to detektyw Anderson je popełniła – oświadczyłam.

Wyjął znów inhalator i wciągnął dwa razy lekarstwo.

– Komendancie Harris, mamy tu tego samego sadystycznego mordercę, który zabił Kim Luong. Sposób działania jest analogiczny, zbyt charakterystyczny, aby mógł to być ktokolwiek inny. Wiele szczegółów nie zostało ujawnionych, więc niemożliwe, żeby ktoś mógł je naśladować. Te rzeczy znamy tylko Marino i ja. – Oddychał z trudem. – Czy słyszy pan, co mówię? – spytałam. – Czy chce pan, by jeszcze inne kobiety też tak zginęły? Bo to się powtórzy, i to wkrótce. Ten szalowiec traci kontrolę w błyskawicznym tempie. Może dlatego, że porzucił swoją bezpieczną

kryjówkę w Paryżu, a tu czuje się jak dzikie zwierzę, które nie ma dokąd uciec. Jest zdesperowany, może uznał, że to wyzwanie dla niego i dlatego nas drażni? – dodałam, zastanawiając się, co powiedziała by Benton.

Harris odchrząknął.

– Co mam zrobić? – zapytał.

– Dać komunikat do prasy i to zaraz. Wiemy, że morderca mówi po francusku. Może mieć wrodzoną wadę, polegającą na nadmiernym owłosieniu. Długie, jasne włosy na całym ciele. Może golić twarz i szyję, mieć zdeformowane uzębienie: szerokie szpary między małymi, ostrymi zębami. Jego twarz zapewne też dziwnie wygląda.

– Boże drogi!

– Marino powinien się tym zająć – dodałam, jakbym miała do tego prawo.

– Co pani powiedziała? Mamy publicznie oświadczyć, że poszukujemy człowieka z włosami na całym ciele i ostrymi zębami? Chce pani wzniecić panikę, jakiej jeszcze w tym mieście nie było? – Nie mógł złapać tchu.

– Niech się pan uspokoi, proszę.

Przyłożyłam palec do jego szyi, żeby sprawdzić puls. Galopował, unosząc z sobą życie komendanta. Zaprowadziłam Harrisa do salonu i kazałam usiąść, przyniosłam mu szklankę wody, masowałam barki, przemawiając łagodnie, żeby się uspokoił, aż wreszcie znów zaczął normalnie oddychać.

– Takie napięcie nie jest dla pana wskazane – oświadczyłam. – Marino powinien zająć się tymi zabójstwami, a nie jeździć nocami po mieście w mundurze. Niech Bóg ma pana w swojej opiece, jeśli on się tym nie zajmie. Niech ma w opiece nas wszystkich!

Komendant skinął głową. Wstał i ruszył wolno w stronę drzwi, za którymi odbyła się ta straszliwa scena. Marino tymczasem przeglądał

garderobę.

– Kapitanie Marino! – odezwał się Harris.

Detektyw przerwał na chwilę swoje zajęcie i rzucił wyzywające spojrzenie w stronę szefa.

– Pan to prowadzi – oznajmił Harris. – Proszę dać znać, jeśli pan będzie czegoś potrzebował.

Ręka kapitana, okryta rękawiczką, przesunęła się przez rząd spódnic.

– Chcę porozmawiać z Anderson – powiedział.

Rozdział 40

Wzrok Rene Anderson był równie zamglony i szklisty, jak szyba, przez którą patrzyła, gdy zabierano na noszach zapakowane w worek ciało Diane Bray. Wciąż padał deszcz. Reporterzy i fotografowie ustawili się jak pływacy na słupkach startowych, patrząc na Marina i na mnie, gdy podchodziliśmy do wozu patrolowego. Kapitan otworzył drzwi od strony Anderson i wsunął głowę do środka.

– Musimy trochę pogadać – powiedział do dziewczyny. Jej przerażony wzrok przeskakiwał od niego do mnie i z powrotem. – No, dalej – przekonywał policjantkę.

– Jej nie mam nic do powiedzenia – odrzekła, patrząc na mnie.

– Pani doktor uważa, że chyba masz – nalegał. – No już, wychodź. Nie zmuszaj mnie, żebym ci pomógł.

– Nie chcę, żeby robili mi zdjęcia! – wykrzyknęła, ale było za późno. Kamery rzuciły się na nią jak grad włóczni.

– Zarzuć kurtkę na głowę, żeby przykryć twarz, jak to widziałaś w telewizji – poradził Marino z odrobiną złośliwości.

Podeszłam do samochodu zabierającego zwłoki, żeby wydać polecenie sanitariuszom.

– Kiedy przyjedziecie – mówiłam, a zimny deszcz kapał mi na głowę i spływał z włosów – ciało należy zawieźć do chłodni pod eskortą

ochroniarzy. Skontaktujcie się najpierw z doktorem Fieldingiem i upewnijcie się, że będzie tego pilnował.

– Tak jest, pani doktor.

– I z nikim o tym nie rozmawiamy.

– Nigdy nie rozmawiamy.

– Ale w tym wypadku szczególnie. Ani słowa nikomu – przypomniam im.

– Jasne, że nie.

Weszli do samochodu, a ja wracałam do domu, nie zwracając uwagi na pytania, kamery i flesze. Marino i detektyw Anderson siedzieli w salonie, a według zegarów Diane Bray była teraz jedenasta trzydzieści. Rene miała mokre dżinsy, a buty oblepione błotem i trawą, jakby upadła. Była zmarznięta i trzęsła się cała.

– Wiesz, że możemy pobrać próbki DNA z butelki po piwie, tak? – pytał ją Marino. – Możemy też zdjąć je z niedopałków papierosów, wiesz? Nawet z tych resztek pizzy.

Detektyw Anderson siedziała skulona na kanapie i nie miała w sobie żadnej woli walki.

– To nie ma nic wspólnego z... – zaczęła mówić i przerwała.

– W śmieciach kuchennych znaleźliśmy niedopałki mentolowych salemów – ciągnął detektyw. – Ty takie palisz, prawda? I tak, Anderson, to ma coś wspólnego. Uważam, że byłeś tu wczoraj wieczorem na krótko przed tym, nim Bray została zamordowana. Wierzę również, że nie walczyła, może nawet знаła osobę, która ją zatłukła na śmierć w sypialni.

Nawet przez ułamek sekundy nie wierzył, że to Rene zamordowała swoją szefową.

– Co się stało? – spytał. – Podpuszczała cię tak długo, że już więcej nie mogłaś tego znieść?

Pomyślałam o seksownej aksamitowej bluzce i koronkowej bieliźnie, w którą była ubrana Diane Bray.

– Zjadła z tobą pizzę i kazała ci iść do domu, jakbyś nic dla niej nie znaczyła. Odesłała cię wczoraj wieczorem, tak? – spytał Marino.

Detektyw Anderson patrzyła w milczeniu na swe nieruchome dłonie. Oblizywała wargi i starała się nie płakać.

– To zresztą byłoby zrozumiałe. Każdy z nas może wytrzymać tylko do pewnego momentu, prawda, pani doktor? Jak ktoś na przykład rozpieprza twoją karierę. Ale do tego dojdziemy trochę później. – Pochylił się do przodu w fotelu, trzymając grube ręce na grubych kolanach, póki Rene nie podniosła zaczerwienionych oczu i nie spojrzała na niego. – Masz pojęcie, w jakich jesteś tarapatach? – zapytał.

Odgarnęła włosy drżącą ręką.

– Byłam tu wczoraj wcześniej wieczorem – odrzekła monotonnym głosem. – Wpadłam i zamówiliśmy pizzę.

– Taki miałś zwyczaj? Wpadać? – spytał Marino. – Byłaś zaproszona?

– Przychodziłam tutaj. Czasem wpadałam.

– Czasami wpadałaś niezaproszona, to chciałaś powiedzieć?

Skinęła głową i znów oblizwała wargi.

– Wczoraj też tak było?

Rene musiała pomyśleć. Widziałam, jak kolejne kłamstwo zbiera się w jej oczach jak ciemna chmura. Marino oparł się głębiej w fotelu.

– Cholera, jakie to niewygodne. – Założył ręce. – Jak siedzenie w grobie. Nie uważasz, że dobrze byłoby powiedzieć prawdę? Bo wiesz co? Ja i tak dowiem się wszystkiego, a jak mi skłamiesz, to cię tak załatwię, że będziesz jadła karaluchy w więzieniu. Nie myśl, że nie wiemy o tobie i tym cholernym wynajętym samochodzie.

– Nie ma w tym nic niezwykłego, że detektyw ma wynajęty samochód – wykręcała się, ale wiedziała, że jej nie uwierzemy.

– Jasne, zwłaszcza jeśli nim jeździ wszędzie, śledząc niewinnych ludzi – odparował i teraz była moja kolej, żeby się odezwać.

– Zaparkowałaś przed mieszkaniem mojej sekretarki – powiedziałam.

– A w każdym razie ktoś w tym samochodzie. Ja byłam śledzona, Rose również. – Rene milczała. – Nie sądzę, żeby twój adres poczty elektronicznej przypadkiem brzmiał M-A-Y-F-L-R. – Przeliterowałam jej.

Pochuchała na rękę, żeby je rozgrzać.

– Racja, zapomniałem – wtrącił się Marino. – Urodziłaś się w maju, dziesiątego, w Bristolu, stan Tennessee. Mogę ci również podać twój numer ubezpieczenia społecznego i adres, jeśli chcesz.

– Wiem wszystko o Chucku – dodałam.

Teraz była naprawdę zdenerwowana i przerażona.

– Sprawa wygląda tak, że mamy tego Chuckiego nagranego na wideo, jak kradnie z prosektorium lekarstwa zapisywane tylko na receptę.

– Zrobiła głęboki oddech. Tak naprawdę nie mieliśmy jeszcze tego na taśmie. – Kupa pieniędzy. Wystarczy dla niego, dla ciebie, a nawet dla Bray, żeby nieźle żyć.

– To on kradł, nie ja – oświadczyła Rene Anderson. – I nie był to mój pomysł.

– Pracowałaś w wydziale narkotyków i wiedziałaś, gdzie takie gównno można sprzedać. Założę się, że ty byłaś mózgiem całego przedsięwzięcia, bo chociaż nie lubię Chucka, nie handlował narkotykami, póki ty się nie pojawiłaś na horyzoncie.

– Jeździłaś za Rose, jeździłaś za mną, żeby nas nastraszyć – powtórzyłam.

– Moim terenem jest śródmieście – odparła. – Jeżdżę wszędzie. Jeżeli znajdę się za panią, to nie znaczy, że mam w tym jakiś cel.

Marino wstał i wydał dźwięk wyrażający dezaprobatę.

– Daj spokój – powiedział. – Może byśmy tak wrócili do sypialni Bray? Ponieważ jesteś takim dobrym detektywem, może popatrzysz na krew i mózg rozprysnięte wszędzie i powiesz mi, co się twoim zdaniem wydarzyło. Ponieważ nikogo nie śledziłaś i nic nie wiesz o handlu lekami, możecie powrócić do pracy i pomóc mi, detektyw Anderson.

Zbladła; w jej oczach pojawił się strach, jak u zagonionej sarny.

– Co? – Marino usiadł obok niej na kanapie. – Masz jakieś problemy? To znaczy, że nie chcesz pójść do prosektorium, aby obserwować sekcję? Nie masz ochoty na wykonywanie swoich obowiązków?

Wzruszył ramionami, wstał i zaczął spacerować wokół, potrząsając głową.

– Mówię ci, to nie jest widok dla ludzi o słabych żołądkach, to pewne. Jej twarz wygląda jak hamburger...

– Przestań!

– A piersi są tak strasznie pogryzione...

W oczach młodej kobiety pojawiły się łzy. Ukryła twarz w dłoniach.

– Jakby ktoś zaspokajał swoje seksualne żądze i nagle opanowała go wściekłość. Prawdziwe połączenie pożądania i nienawiści. A zrobienie czegoś takiego z twarzą ofiary zwykle dowodzi czegoś bardzo osobistego.

– Przestań! – krzyknęła.

Marino umilkł i przyglądał jej się w zamyśleniu, jakby była zadaniem matematycznym, wypisanym na tablicy.

– Detektyw Anderson – spytałam – w co była ubrana zastępczyni komendanta wczoraj wieczorem?

– W cienką zieloną bluzkę. Coś w rodzaju atłasu. – Głos jej zadrżał. – I czarne sztruksy.

– Buty i skarpetki?

– Kamaszki do kostek. Czarne. I czarne skarpetki.

– Biżuteria?

– Pierścionek i zegarek.

– A co z bielizną, biustonoszem?

Spojrzała na mnie. Kapało jej z nosa i mówiła, jakby miała katar.

– To jest dla mnie bardzo ważne – naciskałam.

– To prawda, jeżeli chodzi o Chucka – powiedziała nagle. – Ale to nie był mój pomysł, tylko jej.

– Bray? – usiłowałam iść za jej myślami.

– Zabrała mnie z narkotyków i przeniosła do zabójstw. Zamierzała odsunąć pana jak najdalej stąd – zwróciła się do Marina. – Robiła pieniądze na tych pigułkach i nie wiem, na czym jeszcze, od dłuższego czasu. Sama też brała dużo pigułek i chciała, żeby pan stąd poszedł. – Znów popatrzyła na mnie i wytarła nos wierzchem dłoni. Pogrzebałam w torebce i podałam Rene chusteczki jednorazowe. – Chciała, żeby pani też sobie poszła – dodała.

– To oczywiste – odrzekłam i wydawało mi się niemożliwe, że z osoby, o której mówimy, pozostały teraz jedynie poszarpane zwłoki, które przed chwilą badałam kilka metrów dalej.

– Wiem, że miała biustonosz – ciągnęła Rene. – Ona zawsze tak się ubierała. Duży dekolt albo kilka rozpiętych guziczków u góry. I nachylała się tak, żeby było wszystko widać. Zawsze tak robiła, nawet w pracy, bo lubiła obserwować reakcje.

– Jakie reakcje? – spytał Marino.

– No, mężczyźni reagowali różnie. Albo spódnice z rozcięciami, które wyglądały normalnie, a potem, jak się z nią siedziało w biurze i założyła nogę na nogę... Mówiłam jej, że nie powinna tak się ubierać.

– Jakie reakcje? – powtórzył pytanie.

– Mówiłam jej cały czas, że nie powinna tak się ubierać – powtórzyła.

– Trzeba mieć odwagę, żeby jako początkujący detektyw mówić zastępcy komendanta, jak ma się ubierać.

– Uważałam, że podwładni nie powinni jej takiej oglądać, tak na nią patrzeć.

– Bo byłaś trochę zazdrosna, co? – Nie odpowiedziała. – I założę się, że ona o tym wiedziała. Wiedziała, że jesteś z tego powodu zazdrosna, cholernie nieszczęśliwa i wściekła, mam rację? A Bray z tego korzystała. To już taki typ. Nakręci cię, a potem zabierze baterię, żebyś nie dostała tego, co chcesz.

– Miała na sobie czarny biustonosz – powiedziała do mnie Rene Anderson. – Z koronką u góry. Nie wiem, co jeszcze.

– Cholernie cię wykorzystywała, co? – pytał dalej Marino. – Byłaś jej mrówką od narkotyków, dziewczynką na posyłki, kopciuszkiem do czyszczenia kominka. Co jeszcze kazała ci robić? – Dziewczyna ze złości zaczynała się rozgrzewać. – Zawoziłaś jej samochód do myjni? Tak mówili. Wszyscy uważali cię za najgłupszą na świecie lizuskę, której nie można traktować poważnie. Najsmutniejsze zaś to, że może nie byłabyś takim głównianym detektywem, gdyby cię zostawiła w spokoju. Nawet nie miałaś okazji o tym się przekonać, bo zawsze cię trzymała na smyczy. Coś ci powiem: Bray tak samo miała zamiar przespać się z tobą, jak z człowiekiem z Księżyca. Tacy ludzie z nikim nie śpią. Są jak węże, nie potrzebują nikogo, żeby ich ogrzać.

– Nienawidzę jej! – wybuchnęła. – Traktowała mnie jak śmieć!

– Więc dlaczego tu przychodziłaś? – pytał Marino.

Rene dalej zwrócona była do mnie, jakby go w ogóle nie słyszała.

– Siadała tu, w tym fotelu co pani. Prosiła, żeby przynieść jej drinka, pomasować ramiona i służyć na dwóch łapkach. Czasem chciała, żebym jej zrobiła masaż.

– A ty robiłaś? – spytał Marino.

– Miała na sobie tylko szlafrok i kładła się na łóżku.

– Tym, na którym została zamordowana? Czy zdejmowała szlafrok, jak ją masowałeś?

Oczy Rene Anderson ciskały gromy, gdy spojrzała na kapitana.

– Zawsze była wystarczająco okryta! Zawoziłam jej rzeczy do pralni, napełniałam bak w pieprzonym jaguarze i... A ona była dla mnie taka podła!

Detektyw Anderson zachowywała się jak dziecko, które ma żal do matki.

– Na pewno była – potwierdził Marino. – Była podła dla wielu osób.

– Ale jej nie zabiłam, na miłość boską! Nigdy jej nie tknęłam, poza tymi wypadkami, o których wam mówiłam, kiedy sama chciała.

– Co wydarzyło się wczoraj wieczorem? – spytał kapitan. – Wpadłaś, bo po prostu musiałaś się z nią zobaczyć?

– Czekala na mnie. Miałam przynieść trochę pigułek i trochę pieniędzy. Lubiała valium, ativan, buspar. Takie tabletki, po których mogła się rozluźnić.

– Ile pieniędzy?

– Dwa i pół tysiąca dolarów. Gotówką.

– Teraz ich tu nie ma – zauważył detektyw.

– Leżały na stole. Na stole w kuchni. Nie wiem. Zamówiliśmy pizzę, trochę piłyśmy i rozmawiałyśmy. Była w złym nastroju.

– Z jakiego powodu?

– Słyszała, że pojechaliście do Francji – zwróciła się do nas – obojga! – Do Interpolu.

– Ciekawa jestem, skąd się o tym dowiedziała?

– Pewnie z pani instytutu. Może Chuck coś usłyszał. Kto wie? Ona zawsze zdobywała to, czego chciała, i dowiadywała się tego, czego chciała się dowiedzieć. Uważała, że to ona powinna była pojechać. To znaczy, do Interpolu. Tylko o tym mówiła. I zaczęła obwiniać mnie o wszystkie wsypy. Tę na parkingu restauracji, a także to, co się wydarzyło na miejscu zbrodni w Quik Cary. Po prostu o wszystko.

Zegary dzwoniły i biły. Było południe.

– O której stąd wyszłaś? – spytałam, gdy koncert się skończył.

– Może o dziewiątej.

– Czy ona robiła jakieś zakupy w Quik Cary?

– Mogła tam kiedyś wpaść – potwierdziła. – Ale oglądając kuchnię, zapewne się zorientowaliście, że nie była zainteresowana gotowaniem czy jedzeniem w domu.

– I prawdopodobnie to ty cały czas przynosiłaś jedzenie – dodał Marino.

– Nigdy nie proponowała, że mi odda pieniądze. A ja nie zarabiam wiele.

– A co z tym kieszonkowym, które miałaś z lekarstw? Nic nie rozumiem – powiedział. – To znaczy, że nie dostawałaś sprawiedliwej części?

– Chuck i ja mieliśmy po dziesięć procent. Przynosiłam jej leki raz w tygodniu, zależnie od tego, co przyszło do prosektorium, albo czasem ja ściągnęłam coś z miejsca zdarzenia. Nigdy nie siedziałam długo, jak tu przychodziłam. Ona zawsze się śpieszyła, nagle miała coś pilnego do roboty. Spłacam raty za samochód, na to szło moje dziesięć procent. Nie to,

co ona. Takie nie mają pojęcia, co to znaczy martwić się o pieniądze na spłacenie samochodu.

– Walczyłaś z nią czasem? – spytał Marino.

– Czasem. Kłóciłyśmy się.

– A wczoraj wieczorem?

– Chyba tak.

– O co?

– Nie podobał mi się jej nastrój. To, co zawsze.

– A potem?

– Wyszłam, tak jak mówiłam. Miała coś do zrobienia. Ona zawsze decydowała, kiedy kończyła się dyskusja czy kłótnia.

– Wczoraj też byłeś tym wynajętym samochodem? – chciał się upewnić Marino.

– Tak.

Wyobraziłam sobie psychopatę, obserwującego jej wyjście. Krył się gdzieś tam, w ciemności. Znajdowały się obie wtedy w porcie, gdy przyplłynął „Syriusz”, a morderca przybył do Richmondu pod fałszywym nazwiskiem jako marynarz Pascal. Prawdopodobnie ją widział. Prawdopodobnie widział też Diane Bray. Interesowali go wszyscy, którzy zajmowali się tą zbrodnią, łącznie z Marinem i ze mną.

– Detektyw Anderson – zaczęłam oficjalnie. – Czy pani czasem wracała tu, żeby jeszcze porozmawiać z Bray?

– Tak – wyznała. – To nie było sprawiedliwe, że tak mnie po prostu wyganiała.

– Często pani wracała?

– Kiedy byłam rozżalona.

– I co pani robiła, dzwoniła? Jak jej pani dawała znać, że jest za drzwiami?

- Słucham?
 - Wydaje mi się, że policjanci zawsze pukają, w każdym razie robią tak, kiedy przychodzą do mnie – powiedziałam. – Nie dzwonią.
 - Bo w połowie tych nor, do których jesteśmy wzywani, dzwonki nie działają – wyjaśnił Marino.
 - Pukałam – odrzekła po chwili.
 - A jak? – pytałam dalej, a kapitan w tym czasie zapalił papierosa.
 - No...
 - Dwa, trzy razy? Lekko, mocno? – Nie dawałam za wygraną.
 - Trzy razy. Głośno.
 - I zawsze panią wpuszczała?
 - Czasem nie. Czasami po prostu otwierała drzwi i kazała mi iść do domu.
 - A czy pytała: „Kto tam?”, czy coś takiego? Czy po prostu otwierała drzwi?
 - Jeżeli wiedziała, że to ja, po prostu otwierała.
 - To znaczy, jeśli myślała, że to ty – uściślił Marino.
- Rene pojęła tok naszych myśli, ale odrzuciła sugestię. Nie mogła tego znieść.
- A wczoraj wieczorem pani nie wróciła, prawda? – Chciałam się upewnić.
- Jej milczenie stanowiło odpowiedź. Nie wróciła. Nie zapukała trzy razy, mocno. Zrobił to morderca i Diane Bray otworzyła mu bez wahania. Prawdopodobnie coś już mówiła, nawiązywała do sporu, kiedy nagle ten potwór wpełznął się do mieszkania.
- Nic jej nie zrobiłam, przysięgam – oświadczyła Anderson. – To nie moja wina – powtarzała w kółko, bo w jej naturze nie leżało branie za cokolwiek odpowiedzialności.

– Cholernie dobrze, że wczoraj wieczorem nie wróciłaś – odezwał się Marino. – Zakładając oczywiście, że mówisz prawdę.

– Mówię! Przysięgam na Boga!

– Gdybyś się tam pojawiła, byłabyś następna.

– Nie mam z tym nic wspólnego!

– W pewnym sensie masz. Nie otworzyłyby drzwi...

– To nie w porządku! – zawołała i miała rację.

Cokolwiek kombinowała z Bray, nie było winą żadnej z nich, że morderca tam się kręcił i czekał.

– Więc pojechałaś do domu – podsumował Marino. – Próboweś potem do niej zadzwonić? Spróbować jakoś naprawić sytuację?

– Tak. Nie odbierała telefonu.

– To było ile czasu po twoim wyjściu?

– Jakieś dwadzieścia minut później. Dzwoniłam potem jeszcze wiele razy, sądząc, że po prostu nie chce ze mną rozmawiać. Potem zaczęłam się niepokoić, było już po północy, a ja wciąż tylko słyszałam automatyczną sekretarkę.

– Zostawiałaś jakieś wiadomości?

– Raczej nie. – Przerwała, przełykając ślinę. – A dziś rano przyjechałam sprawdzić, co z nią, około szóstej trzydzieści. Zapukałam, ale nie było odpowiedzi. Drzwi nie były zamknięte na zamek, więc weszłam do środka.

– Zaczęła znów drżeć. W jej oczach malowało się przerażenie. – Więc wróciłam tam... – Głos jej się załamał. – I uciekłam. Byłam tak przerażona.

– Przerażona?

– Tego kogoś... Prawie go czułam, tę straszną obecność w pokoju... i nie wiedziałam, czy go jeszcze gdzieś tam nie ma. Ścisnęłam w rękę broń i biegłam, a potem odjechałam samochodem jak najszybciej i przystanęłam przy budce telefonicznej, żeby zadzwonić na policję.

– Tu przynajmniej musimy cię pochwalić – powiedział Marino zmęczonym głosem. – Przynajmniej się przedstawiłaś i nie próbowałaś tych kretyńskich anonimowych numerów.

– A co, jeżeli teraz zaczniesz polować na mnie? – spytała Rene i wydawała się taka mała i zagubiona. – Bywałam w Quik Cary. Czasem się tam zatrzymywałam i rozmawiałam z Kim Luong.

– Miło, że teraz nam to mówisz – zauważył detektyw i zdałam sobie sprawę z tego, w jaki sposób mogła się z tym wszystkim łączyć Kim Luong.

Jeśli morderca obserwował detektyw Anderson, mogła go niechcący doprowadzić do Quik Cary i pierwszej ofiary w Richmondzie. Albo może zrobiła to Rose. Może obserwował, jak szliśmy z Rose na parking u mnie w pracy albo jak wstąpiłam do niej do domu.

– Możemy cię zamknąć, jeśli wtedy będziesz się czuła bezpieczniej – oświadczył Marino zupełnie poważnie.

– Co mam zrobić? – płakała. – Mieszkam sama... Boję się, boję...

– Spisek w celu dystrybucji środków odurzających oraz faktyczna dystrybucja leków z drugiego wykazu – myślał głośno. – Plus posiadanie prochów bez recepty. Wszystko to przestępstwa. Zaraz. Ponieważ ty i Chuckie jesteście zatrudnieni i odnosicie korzyści materialne, prowadziliście też całkiem porządne życie, kaucja będzie wysoka. Prawdopodobnie dwa i pół tysiąca dolców, co pewnie możecie pokryć ze swoich dochodów za leki. Więc milutko.

Pogrzebałam w torebce i wyjęłam telefon komórkowy. Zadzwoiłam do Fieldinga.

– Właśnie przyniesiono tu jej ciało – poinformował mnie. – Chcesz, żebym zaczął?

– Nie – odrzekłam. – Czy wiesz, gdzie jest Chuck?

- Nie przyszedł dzisiaj.
- Spodziewałam się tego. Jak się pojawi, posadź go w swoim gabinecie i nic pozwól nigdzie wychodzić.

Rozdział 41

Dochodziła druga, gdy zaparkowałam w zadaszonej zatoczce. Dwaj pracownicy firmy pogrzebowej wkładali właśnie zapakowane w worek zwłoki do staromodnego karawanu z firankami na tylnych oknach.

– Dzień dobry – powiedziałam.

– Tak, proszę pani. Jak zdrówko?

– Kogo tu macie? – spytałam.

– Pracownika z budowy w Petersburgu. – Zamknęli tylną klapę i zdjęli lateksowe rękawiczki. – Tego, co go pociąg przejechał – tłumaczyli, mówiąc jeden przez drugiego.

– Aż strach pomyśleć.

– Ja bym tak nie chciał skończyć. Miłego dnia.

Otworzyłam drzwi wejściowe za pomocą karty i weszłam do jasno oświetlonego korytarza, w którym podłoga wyłożona była epoksydem odpornym na zagrożenia biologiczne, a cały ruch monitorowały kamery telewizji przemysłowej. Kiedy weszłam do pokoju rekreacyjnego w poszukiwaniu kawy, zobaczyłam Rose, ze złością wciskającą klawisz dietetycznej coli w automacie do napojów.

– Do licha, myślałam, że to już naprawione. – Na próżno usiłowała odzyskać monetę. – Znowu to samo. Czy nikt nie potrafi nic dobrze zrobić? – narzekała. – Zrób to, zrób tamto, a dalej wszystko stoi, podobnie jak

pracownicy stanowi. – Wydała z siebie głośne, pełne pesymizmu westchnienie.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałam bez przekonania. – Jest w porządku, Rose.

– Chciałabym, żeby pani trochę odpoczęła. – Westchnęła znowu.

– Wszyscy powinniśmy odpocząć.

Kubeczki pracowników wisiały na kołkach nad ekspresem do kawy, ale swojego szukałam bez powodzenia.

– Niech pani zobaczy w toalecie na umywalce, tam zwykle go pani zostawia – poradziła mi.

Przypomnienie takiego detalu ze zwykłego, codziennego życia było miłym, choć krótkim przerywnikiem.

– Chuck nie przyjdzie – oświadczyłam. – Zostanie aresztowany, o ile już nie został.

– Policja dopiero tu była. Nie zamierzam po nim płakać.

– Będę w prosektorium. Wiesz, co robię, więc nie łącz żadnych telefonów, chyba że okaże się to bardzo pilne.

– Lucy dzwoniła. Dziś wieczorem odbiera Jo ze szpitala.

– Tak bym chciała, żebyś zamieszkała u mnie, Rose.

– Dziękuję, ale wolę być u siebie.

– Znacznie lepiej bym się czuła, gdybyś pojechała ze mną do domu.

– Pani doktor, jeśli nie będzie on, to będzie ktoś inny, prawda? Zawsze nam grozi coś złego. Muszę żyć normalnym życiem, nie mogę stać się więźniem własnego strachu i wieku.

Przebrałam się w szatni w plastikowy fartuch i kitel. Miałam kłopoty z troczkami i wciąż mi coś wypadło z rąk. Czułam się obolała i zziębnięta, jakby łąpała mnie grypa. Byłam zadowolona, że mogę włożyć maseczkę, osłonę na twarz, czapkę, buty, kilka warstw rękawiczek – wszystko to, co

chroniło mnie przed zagrożeniami biologicznymi i własnymi emocjami. Nie chciałam teraz widzieć się z nikim. Wystarczyła mi Rose.

Kiedy weszłam do sali autopsyjnej, Fielding fotografował zwłoki Diane Bray, a moi dwaj zastępcy i trzech stażyści pracowali nad nowymi przypadkami, bo w ciągu dnia przybyło kilkoro umarłych. Usłyszałam zwykły szum płynącej wody, szcęk stalowych instrumentów, dźwięk przyciszonych głosów. Telefony dzwoniły bezustannie.

W tym stalowym pomieszczeniu nie było żadnego koloru, prócz odcieni śmierci. Stłuczenia i posiniaczenia były fioletowo-niebieskie, a plama pośmiertna – różowa. Krew stawała się jasna na tle żółtego tłuszczu. Klatki piersiowe były otwarte jak tulipany, organy leżały na wadze i na deskach do krojenia. Tego dnia czuło się tu wyjątkowo przykry odór rozkładu.

Dwa pozostałe przypadki to byli młodociani z licznymi ranami kłutymi, jeden Latynos, jeden biały, obaj pokryci nieprofesjonalnymi tatuażami. Ich twarze, na których za życia malowały się pewnie nienawiść i gniew, teraz złagodniały, i wyglądali jak chłopcy, jakimi mogliby być, gdyby zaczęli życie na innym progu, a może i z innymi genami. Ich rodziną był gang, a domem ulica. Umarli tak, jak żyli.

– „...Głębokie wniknięcie ostrza. Dziesięć centymetrów nad lewą boczną częścią pleców, poprzez dwunaste żebro i aortę, ponad litr krwi w lewej i prawej jamie opłucnowej” – dyktował Dan Chong do mikrofonu przypiętego przy kombinezonie. Amy Forbes pracowała po drugiej stronie stołu.

– Czy zaaspirował krew?

– Minimalnie.

– Zadrapanie na lewym przedramieniu. Może przy śmiertelnym upadku? Czy ci mówiłam, że uczę się nurkować?

– No, to życzę powodzenia. Zaczekaj, aż będziesz nurkowała na otwartej wodzie. To dopiero zabawa. Zwłaszcza zimą.

– Boże – powiedział Fielding. – Jezus Maria!

Otworzył właśnie torbę z ciałem i odsunął zakrwawione prześcieradło. Podeszłam do niego i ponownie poczułam szok, gdy zdjęliśmy z niej przykrycie.

– Jezus Maria – powtarzał Fielding pod nosem.

Ułożyliśmy ciało na stole, lecz Diane Bray uparcie wracała do pozycji, w jakiej leżała na łóżku. Musieliśmy przełamać stężenie pośmiertne w rękach i nogach, rozluźniając zeszywniałe mięśnie.

– Co, kurwa, jest z ludźmi? – Fielding ładował film do aparatu.

– To, co zawsze było – odparłam.

Przymocowaliśmy przenośny stół sekcyjny do jednego z wbudowanych w ścianę zlewów. Na moment cała praca w sali ustała, gdy lekarze podeszli, żeby popatrzeć. Nie mogli się opanować.

– O, mój Boże – mruknął Chong.

Amy Forbes nie zdołała nic powiedzieć, tylko patrzyła zszokowana.

– Słuchajcie – odezwałam się, spoglądając im w oczy. – To nie jest sekcja pokazowa. Fielding i ja zajmiemy się nią sami.

Zaczęłam oglądać zwłoki przez lupę, zbierając kolejne delikatne diabelskie włosy.

– On się nie przejmuje – powiedziałam. – Nic go nie obchodzi, że wszystko o nim wiemy.

– Myślisz, że wie o twoim wyjeździe do Paryża?

– Nie wiem skąd. Ale może jest w kontakcie z rodziną. Do cholery, przecież oni chyba wszystko wiedzą.

Przypomniałam sobie wielki dom, żyrandole i siebie, jak przykucnęłam nad Sekwaną, żeby nabrać wody w miarę możliwości dokładnie z tego

miejsca, w którym moczył się morderca, żeby wyleczyć swe schorzenie. Pomyślałam o doktor Stvan i miałam nadzieję, że jest bezpieczna.

– Ma też ciemny mózg – mówił Chong, który powrócił do swej zaczętej pracy.

– Taa, ten drugi też. Pewno znowu heroina. Czwarty przypadek w ciągu sześciu tygodni, wszystkie w Richmondzie.

– Musi ostatnio chodzić dobry towar. Pani doktor! – zawołał Chong, jakby to było zwyczajne popołudnie, a ja zaczynałam pracować nad jednym ze zwyczajnych przypadków. – Taki sam tatuaż, domowej roboty, prostokąt. Na wierzchu lewej dłoni. Musiało boleć, jak diabli. Ten sam gang?

– Sfotografuj to – poleciłam.

Na ranach, zwłaszcza na czole i policzku Bray, występowały wyraźne ślady tam, gdzie siła uderzenia rozszarpała skórę i pozostawiła prążkowane wzorki, jakie już kiedyś widziałam.

– Może jakaś nagwintowana rurka? – rzucił przypuszczenie Fielding.

– Nie bardzo wygląda na ślad rurki – odpowiedziałam.

Badanie zewnętrzne zabrało jeszcze dwie godziny, podczas których Fielding i ja starannie rysowaliśmy i fotografowaliśmy każdą ranę. Kości twarzy były zmiażdżone, ich okruchy przedziurawiły mięśnie. Zęby miała wyłamane, niektóre z taką siłą, że część znajdowała się w gardle. Miękkie tkanki twarzy odchodziły od kości, zdjęcie rentgenowskie wykazywało setki złamań i pęknięć, zwłaszcza w obrębie czaszki.

O siódmej wieczorem, gdy brałam prysznic, woda była różowa, gdyż tak się zabrudziłam krwią. Było mi słabo i kręciło się w głowie, bo nic nie jadłam od wczesnego rana. W instytucie nie pozostał już nikt prócz mnie. Wyszłam z szatni, susząc włosy ręcznikiem, kiedy nagle z mojego gabinetu wysunął się Marino. Omal nie krzyknęłam. Złapałam się za serce z przerażenia.

– Nie strasz mnie tak! – zawołałam.
– Nie zamierzałem. – Wyglądał ponuro.
– Jak się tu dostałeś?
– Nocny strażnik mnie wpuścił. Jesteśmy kumplami. Nie chciałem, żebyś sama szła do samochodu, a wiedziałem, że jeszcze tu będziesz.

Ułożyłam palcami wilgotne włosy. Marino wszedł za mną do gabinetu. Rozłożyłam ręcznik na fotelu i zaczęłam zbierać wszystko, co należało wziąć do domu. Zauważyłam na biurku wyniki badań laboratoryjnych, które zostawiła mi Rose. Odciski palców z wiadra, znalezionego wewnątrz kontenera, odpowiadały odciskom niezidentyfikowanego mężczyzny.

– Gównu nam to daje – podsumował detektyw.

Był również wynik testu DNA z informacją od Jamiego Kuhna. Użył metody STR i miał już wyniki.

– „...Znalazłem obraz... bardzo zbliżony z niewielkimi różnicami” – czytałam głośno bez większego zaangażowania – „...zgodny z pobraną próbką biologiczną... bliskie pokrewieństwo...”. – Spojrzałam na Marina. – A więc, mówiąc w skrócie, DNA niezidentyfikowanego mężczyzny oraz zabójcy są zgodne z DNA tych dwóch osobników spokrewnionych z sobą. Kropka.

– Zgodne! – powiedział z obrzydzeniem. – Nienawidzę tego naukowego bełkotu „zgodne z”. Te dwa gnojki są braćmi.

Co do tego nie miałam wątpliwości.

– Potrzebujemy próbki krwi od rodziców, żeby to udowodnić – oświadczyłam.

– Więc zadzwońmy i zapytajmy, czy możemy do nich wpaść – odrzekł cynicznie Marino. – Uroczy synkowie Chandonne’ów. Hura!

Rzuciłam raport na biurko.

– „Hura” jest w istocie odpowiednim słowem – zauważyłam.

- Kogo to obchodzi!
- Przede wszystkim chciałabym wiedzieć, jakiego narzędzia użył.
- Spędziłem całe popołudnie, wydzwanając do tych odpicowanych rezydencji nad rzeką. – Marino zmienił temat. – Dobra wiadomość jest taka, że wszyscy tam mieszkają i można ich zastać. Ale wciąż nie mamy pojęcia, gdzie on się podziewa. Na zewnątrz jest dziewięć stopni mrozu. Nie może po prostu chodzić sobie i spać pod drzewem.
- A hotele?
- Nie widzieli nikogo włochoatego z francuskim akcentem i ostrymi ząbkami. Ani nikogo w tym stylu. A w sekretnych motelach niezbyt chętnie rozmawiają z glinami.
- Człapał za mną korytarzem i wydawało się, że wcale się nie śpieszy, jakby coś jeszcze chodziło mu po głowie.
- Co się stało? – spytałam. – Poza wszystkim?
- Lucy wczoraj miała stanąć przed komisją oceniającą w Waszyngtonie. Sprowadzili czterech terapeutów, którzy chcą jej pomóc, z wszystkimi bajerami. A ona się upiera, że musi zostać tutaj, póki Jo nie wydobrzeje. – Wyszliśmy na parking. – Wszyscy to rozumieją – ciągnął, widząc, jak się denerwuję. – Ale tak nie można, dyrektor ATF staje na głowie, a ona się nie pojawia.
- Marino, jestem pewna, że zadzwoniła do nich i zawiadomiła... – zaczęłam bronić mojej siostrzenicy.
- No jasne, zadzwoniła i obiecała, że będzie za kilka dni.
- Nie mogą poczekać kilku dni, aż przyjedzie? – spytałam, otwierając samochód.
- Cała ta spieprzona akcja została sfilmowana na wideo – powiedział, gdy wsuwałam się na zimne siedzenie. – I przeglądają ją w kółko.

Uruchomiłam silnik. Nagle wieczór wydał mi się ciemniejszy, zimniejszy i bardziej pusty.

– Mają mnóstwo pytań. – Wepchnął ręce w kieszenie kurtki.

– Czy to strzelanie było uzasadnione? A czy uratowanie życia Jo i jej własnego życia nie jest wystarczającym uzasadnieniem?

– Myślę, pani doktor, że takie właśnie podejście ma do tego Lucy. Jest taka, no, sama wiesz. W każdej chwili gotowa wyciągnąć broń i walczyć. To się objawia we wszystkim, co robi, dlatego jest taka cholernie dobra. Ale to może się stać również wielkim problemem, jeśli się wymknie spod kontroli.

– Chcesz wsiąść do samochodu, żeby tak nie marznąć?

– Pojadę za tobą do domu, a później mam parę spraw do załatwienia. Lucy już tam będzie, tak?

– Tak.

– Bo inaczej nie zostawię cię samej, skoro ten typ gdzieś się tu wciąż kręci.

– Co mam z nią zrobić? – spytałam cicho.

Już nie wiedziałam. Czułam, że moja siostrzenica znalazła się gdzieś poza zasięgiem mojej ochrony. Chwilami nie byłam nawet pewna, czy mnie jeszcze kocha.

– To wszystko wiąże się z Bentonem – tłumaczył Marino. – Jasne, że jest zdegustowana życiem w ogóle i regularnie to okazuje. Może powinnaś jej pokazać ten protokół z sekcji, niech się z tym zmierzy, a potem wyrzuci wszystko z siebie, nim się w końcu zabije.

– Nigdy tego nie zrobię – oświadczyłam i znów pojawił się dawny ból, ale już nie tak intensywny.

– Jezu, jak zimno. I coraz bliżej pełni, a to właśnie teraz wcale mnie nie cieszy.

– Pełnia oznacza tylko, że jeśli znów spróbuje, będzie go łatwiej zobaczyć – powiedziałam.

– Chcesz, żebym za tobą pojechał?

– Nic mi nie będzie.

– Ale zadzwoń, jeśli z jakichś powodów Lucy jeszcze nie ma. Absolutnie nie możesz zostać sama.

Jadąc do domu, czułam się jak Rose. Dokładnie rozumiałam, co miała na myśli, mówiąc o byciu uwięzioną przez strach, późny wiek, smutek, przez cokolwiek lub kogokolwiek. Dojechałam już prawie w swoją okolicę, kiedy postanowiłam zawrócić na West Broad Street, gdzie czasami robiłam zakupy w Pleasants Hardware. Był to stary sklep żelazny, który w miarę upływu lat się rozbudował i teraz handlowano tam nie tylko podstawowymi narzędziami i sprzętem ogrodniczym.

Rzadko przyjeżdżałam tu wcześniej niż o siódmej, kiedy zjawiali się też po pracy mężczyźni i krążyli między półkami jak chłopcy wśród zabawek. Parking pełen był samochodów dostawczych i półciężarówek. Minęłam szybko nieczynny dział mebli ogrodowych, a następnie narzędzia elektryczne. Tuż przy wejściu oferowano już cebulki kwiatów wiosennych i wyprzedawano niebieską i białą farbę w puszkach.

Nie byłam pewna, jakiego rodzaju narzędzia szukam, choć podejrzewałam, że to, czym została zabita Diane Bray, było podobne do kilofa czy młotka. Przechadzałam się więc wśród półek z gwoździami, śrubkami, nakładkami, muterkami, nakrętkami, haczykami, zawiasami i zamkami. Przeszłam dziesiątki metrów wzdłuż starannie pozwijanych lin i sznurków, rynienek odprowadzających i materiałów uszczelniających oraz wszystkiego, co mogłoby się przydać hydraulikowi. Nie zauważyłam niczego odpowiedniego również w dziale szczypców i młotków.

Rury też nie bardzo mi pasowały, bo nie miały dostatecznie grubych gwintów między rowkami i nie było właściwej odległości, żeby dać taki wzór, jak zauważyliśmy na materacu Diane Bray. Łyżki do opon w ogóle nie wchodziły w grę. Kiedy doszłam już do działu kamieniarskiego, byłam zrezygnowana. Nagle zobaczyłam wiszące na haczyku narzędzie, na którego widok zabiło mi serce i zrobiło mi się gorąco.

Wyglądało trochę jak czarna, żelazna motyka z zawiniętą w kształcie sprężyny rączką. Podeszłam i zdjęłam to coś z haczyka. Było ciężkie. Jeden koniec miało ostry, drugi wyglądał jak dłuto. Na metce napisano, że jest to gradzina i kosztuje sześć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów.

Młody sprzedawca nie miał pojęcia, do czego służy gradzina i w ogóle nie wiedział, że coś takiego prowadzą.

– Czy jest tu ktoś, kto mógłby mi pomóc? – spytałam.

Poprosił przez intercom zastępczynię kierownika imieniem Julie. Przyszła natychmiast, ale wydawała mi się zbyt elegancka i dobrze ubrana, żeby mogła się znać na takich narzędziach.

– Może być używana przy spawaniu, do oczyszczenia powierzchni – wyjaśniła. – Ale najczęściej używana jest w kamieniarstwie. Cegła, kamień, cokolwiek. Jest to narzędzie wielofunkcyjne, co zresztą łatwo poznać po wyglądzie, a pomarańczowa kropka na metce oznacza, że dajemy na nie dziesięć procent zniżki.

– Więc można je znaleźć tam, gdzie prowadzi się prace kamieniarskie? To musi być raczej mało znane narzędzie – upewniłam się jeszcze.

– Jeśli ktoś nie zajmuje się kamieniarstwem ewentualnie spawaniem, nie ma o nim pojęcia.

Kupiłam gradzinę z dziesięcioprocentową zniżką i pojechałam do domu. Lucy nie było, gdy wjechałam na podjazd, ale miałam nadzieję, że udała się do szpitala i wkrótce przywiezie Jo do domu. Nie wiadomo skąd

nadciągnęły chmury i czułam, że może zacząć padać śnieg. Wstawiłam samochód do garażu i weszłam do domu, kierując się wprost do kuchni. W kuchence mikrofalowej rozmroziłam paczkę piersi z kurczaka. Polałam keczupem gradzinę, zwłaszcza zwinięty uchwyt, a potem przejechałam nim po białej poszewce na poduszkę. Wzór paseczków był taki sam jak na materacu Bray. Obu końcami rozbiłam mięso kurczaka i natychmiast rozpoznałam znane już ślady. Zadzwoiłam do Marina, ale nie było go w domu. Zadzwoiłam na pager. Nie odzywał się przez piętnaście minut. Umierałam z niecierpliwości.

– Przepraszam – powiedział. – Wysiadła mi bateria w telefonie i musiałem szukać automatu.

– Gdzie jesteś?

– Jeżdżę w kółko. Policja stanowa zaplanowała okrążenie rzeki, oświetlenie reflektorami terenu. Może gdzieś w ciemności zabłyszczą nam oczy tego drania. Widziałas niebo? Cholera, mówią, że spadnie piętnaście centymetrów śniegu. Już zaczęło padać.

– Marino, Bray została zamordowana gradziną – poinformowałam go.

– Co to jest, do diabła?

– Narzędzie używane w kamieniarstwie. Czy jest nad rzeką jakaś budowa, na której używano by kamienia albo czegoś takiego? Przypuśćmy, że wziął stamtąd narzędzie, bo się tam schronił.

– Gdzieś ty wynalazła tę gradzinę? Myślałem, że pojechałaś do domu. Nie znoszę, jak robisz takie głupoty.

– Siedzę w domu – odpowiedziałam niecierpliwie. – Może on też jest, właśnie w tej chwili. Może gdzieś tam kładą kostkę brukową, albo budują murek.

Milczał przez chwilę.

– Zastanawiam się, czy czegoś takiego używa się przy kładzeniu dachu łupkowego? – myślał głośno. – Jest taki duży, stary dom, za bramą, dość daleko od Windsor Farms, tuż nad rzeką. Kładą tam nowy dach łupkowy.

– Ktoś tam mieszka?

– Nie pomyślałem o tym miejscu, bo ci faceci z budowy cały dzień się tam kręcą. Nikt nie mieszka. Dom jest na sprzedaż – powiedział.

– Morderca może siedzieć w środku w ciągu dnia i wychodzić po ciemku, kiedy robotnicy pójdą – zastanawiałam się głośno. – Może alarm nie jest włączony, bo właściciele się boją, że włączałyby się sam przy tym remoncie.

– Już tam jadę.

– Marino, proszę cię, nie wchodź tam w pojedynkę.

– ATF zostawiło wszędzie swoich ludzi.

Rozpaliłam ogień w kominku, a kiedy wyszłam, żeby przynieść więcej drewna, padał gęsty śnieg i widać było bladą tarczę księżyca za niskimi chmurami. Wzięłam szczapy drewna pod jedną pachę, a w drugiej ręce ścisnęłam mojego glocka, wpatrując się w każdy cień i nasłuchując każdego szmeru. Wieczór wydawał się nabrzmiąły strachem. Szybko weszłam z powrotem do domu i ponownie włączyłam alarm.

Siedziałam w dużym pokoju, płomienie lizały zakopconą gardziel komina, a ja próbowałam myśleć. Chciałam odtworzyć sposób, w jaki morderca ściągnął Bray z powrotem do sypialni, nie zadając przedtem żadnego ciosu. Przecież mimo wielu lat przepracowanych w administracji była wyszkoloną policjantką. Jak mógł ją tak łatwo obezwładnić bez widocznych śladów walki? Miałam włączony telewizor i widziałam, że co pół godziny lokalne stacje przerywały program, aby nadać komunikat.

Tak zwany Loup-Garou nie mógł być specjalnie zadowolony z tego, co mówiono, jeśli miał dostęp do radia lub telewizji.

– „...Opisywany jako krępej budowy, wzrost około stu osiemdziesięciu centymetrów, może być łysy. Zdaniem naczelnego koronera, doktor Scarpetty, może mieć rzadką chorobę, która powoduje nadmierne owłosienie, deformację twarzy i zębów...”.

Dziękuję bardzo, Harris, pomyślałam. Musiał mnie w to wmieszać.

– „...Proszeni są o zachowanie szczególnej ostrożności. Nie należy otwierać drzwi, nie upewniwszy się, kto to”.

Harris nie mylił się co do jednej rzeczy: ludzie na pewno wpadną w panikę. Tuż przed dziesiątą zadzwonił telefon.

– Hej – odezwała się Lucy, a jej głos brzmiał radośniej niż ostatnio.

– Czy wciąż jesteś w klinice? – spytałam.

– Kończymy tu wszystko załatwiać. Widzisz ten śnieg? Pada jak cholera! Powinnyśmy być w domu gdzieś za godzinę.

– Jedź ostrożnie. Zawołaj mnie, kiedy przyjedziecie, żebym ci pomogła wyprowadzić Jo.

Dołożyłam jeszcze dwie kłody do ognia, ale chociaż moja forteca była bezpieczna, zaczęłam odczuwać niepokój. Próbowałam się rozerwać, oglądając stary film z Jimmym Stuartem na HBO i jednocześnie przeglądając rachunki. Nagle pomyślałam o Talleyu i zrobiło mi się smutno. Mimo mojego niezdecydowania powinien był dać mi szansę. Próbowałam się z nim skontaktować, a jemu nawet nie chciało się oddzwonić.

Kiedy telefon zabrzączał ponownie, podskoczyłam tak, że plik rachunków zsunął mi się z kolan.

– Tak?

– Ten skurwiel rzeczywiście tu się schował! – wykrzyknął Marino. – Ale teraz go nie ma. Śmieci, opakowania po jedzeniu, różności. I włosy na posłaniu. Wszystko śmierdzi jak brudny, mokry pies. – Poczułam, jakby przebiegł po mnie prąd. – HIDTA ma tu gdzieś oddział, a ja ustawiłem

policjantów w całej okolicy. Jak tylko wejdzie do rzeki, złapiemy go za dupę.

– Lucy przywozi Jo do domu, Marino – powiedziałam. – Ona też jest gdzieś w mieście.

– Jesteś sama? – wybuchnął.

– W domu, zamknięta, z włączonym alarmem i pistoletem na stole.

– Siedź i nie wychodź, słyszysz?

– Nie martw się.

– Jedno, co dobre, to że naprawdę mocno pada. Mamy już około ośmiu centymetrów, a wiesz, jak śnieg wszystko rozjaśnia. To nie jest dla niego dobra pora na wędrówki.

Wyłączyłam się i zaczęłam skakać pilotem po kanałach, nic mnie jednak nie zainteresowało. Wstałam i poszłam do gabinetu sprawdzić pocztę elektroniczną, ale nie chciało mi się odpowiadać. Wzięłam słoik z formaliną i podniosłam pod światło, przyglądając się małym, żółtym oczkom, które tak naprawdę były zmniejszonymi złotymi kropkami. Uświadomiłam sobie, w jak wielu punktach pobłądziłam. Zła byłam z powodu każdego swojego zbyt wolnego kroku i niewłaściwego skrętu. A teraz zginęły jeszcze dwie kobiety.

Odstawiłam słoik z formaliną na stolik w dużym pokoju. O jedenastej włączyłam NBC, żeby obejrzeć wiadomości. Oczywiście wszystko było o tym potworze, o Loup-Garou. Gdy przełączyłam się na inny kanał, wystraszył mnie dźwięk alarmu. Podskoczyłam, pilot spadł na podłogę, a ja pobiegłam w głąb domu. Myślałam, że mi serce wyskoczy z piersi. Zamknęłam się w sypialni, ściskając w dłoniach glocka, i czekałam na telefon. Zadzwoił po kilku minutach.

– Strefa szósta, drzwi do garażu – poinformowano mnie. – Czy wzywa pani policję?

– Tak, natychmiast – odpowiedziałam.

Siedziałam na łóżku, a przeraźliwy dźwięk alarmu omal nie przebił mi bębenków. Wpatrywałam się w monitor Aiphone, aż przypomniałam sobie, że nie zadziała, jeśli policjanci nie zadzwonią do drzwi. A tego, jak pamiętałam, nigdy nie robili. Nie miałam wyboru, musiałam wyłączyć alarm i nastawić go na nowo, a potem siedziałam i czekałam w milczeniu, nasłuchując intensywnie każdego dźwięku, aż mi się wydawało, że słyszę, jak śnieg pada.

Niecałe dziesięć minut później rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi frontowych, więc popędziłam korytarzem, gdy dobiegł z ganku głos:

– Policja!

Z ulgą odłożyłam pistolet na stół w jadalni i spytałam:

– Kto tam? Chciałam mieć pewność.

– Policja, proszę pani. W związku z alarmem.

Otworzyłam drzwi, a dwoje policjantów, tych sprzed kilku dni, otrzepało buty ze śniegu i weszło do środka.

– Nie za dobrze się pani ostatnio bawi, co? – spytała funkcjonariuszka Butler, zdejmując rękawiczki i rozglądając się dookoła. – Wygląda, jakbyśmy się osobiście panią interesowali.

– Tym razem drzwi garażowe – powiedział jej partner, McElwayne. – No dobrze, popatrzmy.

Weszłam za nimi do garażu i od razu wiedziałam, że alarm nie jest fałszywy. Drzwi od garażu były uniesione około piętnastu centymetrów. Nie zostały specjalnie uszkodzone żadnym narzędziem, tylko miały zdrapaną gumę od spodu. Kiedy nachyliliśmy się, żeby spojrzeć od dołu, zauważyliśmy ślady stóp, prowadzące do i od garażu. Były lekko zasypane śniegiem, więc pozostawiono je niedawno.

– Jedyne, co możemy zrobić, to postawić patrol tu w okolicy – zaproponowała mi policjantka Butler, gdy wychodzili. – Będziemy pilnowali pani domu, jak się da, a jeśli cokolwiek się wydarzy, proszę dzwonić pod 901. Nawet jeśli będzie to najdrobniejszy hałas, który panią zaniepokoi.

Zatelefonowałam do Marina.

– Co się dzieje? – spytał.

Opowiedziałam mu o alarmie.

– Zaraz przyjeżdżam.

– Posłuchaj, nic mi nie jest – odrzekłam. – Jestem roztrzęsiona, ale wszystko w porządku. Wolałabym, żebyś tam był i go szukał, niż przyjeżdżał tutaj i mnie niańczył.

Nie był pewny. Zdawałam sobie sprawę z tego, co teraz myśli.

– To zresztą nie w jego stylu, żeby się włamywać – dodałam.

Marino zawahał się, a w końcu wykrztusił:

– Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. Zastanawiałem się, czy ci to mówić. Talley jest tutaj.

Zastrzelił mnie.

– Jest dowódcą oddziału przysłanego z HIDTA.

– Jak dawno tu jest? – starałam się okazać tylko zwykłą ciekawość i nic więcej.

– Dwa dni.

– Pozdrów go – rzuciłam lekko, jakby Talley już bardzo niewiele dla mnie znaczył.

Mój przyjaciel nie dał się jednak nabrać.

– Przykro mi, że okazał się takim dupkiem – powiedział.

Gdy tylko skończyliśmy rozmowę, skontaktowałam się z oddziałem ortopedycznym, ale pielęgniarka na dyżurze mnie nie знаła, więc nie

chciała udzielić żadnych informacji. Pragnęłam porozmawiać z senatorem Lordem, chciałam porozmawiać z doktor Zimmer, z Lucy, z jakimś przyjacielem, z kimś, kogo obchodzę, i w tym momencie tak strasznie brakowało mi Bentona, że wydawało mi się, iż nie wytrzymam dłużej bez niego. Pomyślałam o śmierci. Pomyślałam o tym, że zostanę pogrzebana pod ruinami swego życia.

Chciałam podsycić ogień, ale mi się nie udawało, gdyż drewno, które przyniosłam, było wilgotne. Popatrzyłam na paczkę papierosów na stoliku, nie miałam jednak dość energii, żeby wyjąć papierosa i zapalić. Siedziałam na kanapie i zakryłam twarz rękami, dopóki trochę się nie uspokoiłam. Kiedy znów rozległo się walenie do drzwi, byłam potwornie zmęczona.

– Policja – odezwał się głos mężczyzny, który ponownie zastukał czymś twardym, może pałką.

– Nie wzywałam policji – odpowiedziałam przez drzwi.

– Proszę pani, dostaliśmy wiadomość o podejrzanej osobie na pani posesji – wyjaśnił. – Czy wszystko w porządku?

– Tak, tak – zawołałam, wyłączając alarm i otwierając mu drzwi.

Światło na ganku się nie paliło, a mnie nigdy by nie przyszło do głowy, że mógłby mówić bez francuskiego akcentu. Poczułam brudną, wilgotną woń psa, gdy wepchnął się do środka, zamykając nogą drzwi. Krzyk zamarł mi w gardle, kiedy uśmiechnął się obrzydliwie i wyciągnął owłosione łapsko, żeby dotknąć mojej twarzy, jakby kierowały nim subtelne uczucia.

Policzki miał pokryte delikatnym blond zarostem, a mętne szalone oczy płonęły wściekłością, pożądaniem i diabelską złośliwością. Ściągnął z siebie długi, czarny płaszcz, żeby mi go zarzucić na głowę, ale uciekłam, a wszystko to trwało kilka sekund.

Panika zagnała mnie do dużego pokoju. Deptał mi po piętach, wydając jakieś nieludzkie dźwięki. Poczułam dziecinny impuls, żeby czymś w niego

rzucić. Pierwsze, co mi wpadło w oczy, był to słoiczek z formaliną, w której znajdował się strzępek ciała jego brata, którego zamordował. Chwytiłam słoik, wskoczyłam za kanapę i męczyłam się z odkręceniem pokrywki. Tymczasem on wysunął ten swój młotek ze sprężynowym uchwytem, a kiedy go uniósł i złapał mnie, chlusnęłam mu w twarz formaliną.

Wrzasnął, zakrył oczy i gardło, bo go paliły i trudno mu było oddychać. Zacisnął powieki i głośno wyjął, usiłował zerwać z siebie zalaną koszulę. Stękał z bólu, bo wszystko go parzyło jak ogień. Pobiełam jak szalona. Złapałam po drodze pistolet ze stołu w jadalni, uderzyłam w przycisk alarmu i wyskoczyłam z domu na śnieg. Na schodkach poślizgnęłam się jednak i odruchowo wyciągnęłam lewą rękę, padając. Kiedy próbowałam wstać, wiedziałam, że złamałam ją w łokciu. Przeraziłam się, gdy zobaczyłam, że morderca chwiejąc się, zmierza za mną.

Trzymał się poręczy i schodził po omacku, wciąż krzycząc, a ja gramoliłam się, wystraszona, cofając się jak przy wiosłowaniu.

Głowę miał porośniętą gęstymi, długimi, jasnymi włosami, które zwisały mu z ramion i przechodziły na plecy. Upadł na kolana i zgarniał garściami śnieg, wcierając go sobie bez przerwy w twarz i z trudem łapiąc oddech.

Był blisko mnie i wyobraziłam sobie, że lada moment skoczy na mnie, jak jakiś niehumaniczny potwór. Uniosłam pistolet, lecz nie mogłam go przeładować. Próbowałam i próbowałam, ale złamany łokieć i zerwane ścięgna nie pozwalały mi zgiąć ręki.

Nie zdołałam wstać, gdyż wciąż się ślizgałam. Usłyszał ten hałas i podczołgał się bliżej, lecz ja się odsunęłam i próbowałam się poturlać. Sapał, aż wreszcie położył się twarzą na śniegu, jak dziecko, które robi orła, gdyż chciał złagodzić ból spowodowany oparzeniami chemicznymi. Kopał śnieg jak pies, sypał całe garście na głowę, wrzucał biały puch na kark.

Wyciągnął do mnie włochatą rękę. Nie rozumiałam jego francuskiego, ale chyba błagał mnie o pomoc.

Płakał. Był bez koszuli i trzął się z zimna. Miał brudne i połamane paznokcie, ubrany był w spodnie i buty robocze – może te, w których pracował na statku. Wił się z bólu i krzyczał, i prawie zrobiło mi się go żal. Ale za nic nie zbliżyłabym się do niego.

Wokół mojego złamania zaczynał się tworzyć krwiał. Ręka puchła mi i pulsowała, nie usłyszałam nawet nadjeżdżającego samochodu. Po chwili Lucy biegła już przez śnieg, kilka razy prawie tracąc równowagę, bo po drodze odbezpieczała swojego ukochanego glocka czterdziestkę. Stała na ugiętych kolanach tuż przy mordercy i przybrała postawę strzelecką. Przyłożyła do jego głowy lufę z nierdzewnej stali.

– Lucy, nie! – zawołałam, próbując wstać.

Oddychała ciężko, trzymając palec na spuście.

– Ty cholerny skurwysynu! – krzyczała. – Pierdolony gówniarzu! – mówiła dalej, a on jęczał i ocierał oczy śniegiem.

– Lucy, nie – wrzasnęłam, bo szykowała się już do strzału.

– Zaraz cię wyzwolę z tego cierpienia, cholerny skurwielu! Podczołgałam się do jej stóp, kiedy rozległy się jakieś głosy i trzasnęły drzwiczki samochodu.

– Lucy! – powiedziałam. – Nie! Na miłość boską, nie!

Jakby nie słyszała ani mnie, ani nikogo innego. Była w jakimś własnym świecie, pełnym zła i nienawiści. Przełknęła ślinę, patrząc, jak on skręca się i trzyma ręce na oczach.

– Nie ruszaj się! – krzyknęła do niego.

– Lucy – byłam już coraz bliżej – odłóż ten pistolet.

On nie mógł przestać się skręcać z bólu, ona zastygła, gotowa do strzału, ale jakby leciutko się zawahała.

– Lucy, nie chcesz – tego zrobić – mówiłam. – Proszę, odłóż pistolet.

Nie odłożyła. Nie odpowiedziała i nie spojrzała w moją stronę. Zdałam sobie sprawę z tupotu czyichś nóg obok mnie, jacyś ludzie w ciemnych mundurach polowych biegli, odbezpieczając strzelby i pistolety.

– Lucy, odłóż tę broń! – usłyszałam głos Marina.

Nie poruszyła się. Pistolet zaczął drżeć w jej rękach. Ten straszny człowiek, zwany Loup-Garou, dusił się i jęczał kilkanaście centymetrów dalej, a ja byłam tuż obok niej.

– Lucy, spójrz na mnie – poprosiłam. – Popatrz na mnie. – Zerknęła w moją stronę i łza spłynęła po jej policzku. – Dostyc było już zabijania – powiedziałam. – Proszę. Już więcej nie trzeba. To byłoby złe, Lucy. To nie samoobrona. Jo czeka na ciebie w samochodzie. Nie rób tego. Nie rób tego, proszę. Kochamy cię. – Znów przełknęła ślinę. Ostrożnie wyciągnęłam rękę. – Daj mi pistolet – powiedziałam. – Proszę. Kocham cię, Lucy. Daj mi broń.

Opuściła rękę i rzuciła pistolet w śnieg, gdzie błyszczał jak srebro. Stała nieruchomo, z przekrzywioną głową, i nagle znalazł się przy niej Marino, mówiący jakieś słowa, których nie mogłam usłyszeć, bo coś w moim łokciu dudniło jak bęben. Ktoś mnie podparł pewnymi dłońmi.

– Chodź – odezwał się łagodnie Talley.

Przyciągnął mnie do siebie, a ja popatrzyłam na niego. Wydawało się takie dziwne widzieć go w kombinezonie ATF. Nie byłam pewna, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Może to sen albo jakiś koszmar. Nic takiego nie mogło się przecież wydarzyć w rzeczywistości. Nie było kogoś takiego jak wilkołak, Lucy nikogo by nie zastrzeliła, Benton nie zginął, a ja zaraz zemdleję i agent Talley mnie podtrzyma.

– Musimy zawieźć cię do szpitala, Kay. Na pewno znasz kilka w okolicy – zażartował Jay.

– Trzeba zabrać Jo z samochodu. Musi jej być zimno. Nie może się poruszać – mamrotałam. Usta mi zdrętwiały i mówiłam z trudem.

– Nic jej nie będzie. Wszystkim się zajmiemy.

Gdy mnie prowadził, czułam się, jakbym miała nogi z waty. Jay poruszał się tak, jak gdyby śnieg i lód mu nie przeszkadzały.

– Przepraszam, że tak się zachowałem – powiedział.

– Ja zaczęłam. – Słowa z trudem wydobywały się z moich ust.

– Mogę sprowadzić karetkę, ale wolałbym sam cię odwieźć – zaproponował.

– Tak, tak. Ja też bym wolała.